

Bogdan Mielnik

Moje Telechany

DODATEK DO „ECHA POLESIA”

FUNDACJA POMOCY SZKOŁOM POLSKIM NA WSCHODZIE
REDAKCJA „ECHA POLESIA”
BRZEŚĆ–LUBLIN, 2010

© Copyright by Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie
im. Tadeusza Goniewicza

*Redakcja „Echa Polesia” dziękuje Senatowi RP
oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”
za dofinansowanie wydania książki B. Mielnika pt. „Moje Telechany”*

ISBN 978-83-60845-40-0

Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza
20-611 Lublin, ul. Kazimierza Wielkiego 9/60
fundgon@gmail.com; telefony: (81) 747-6163; (81) 525-7160; albo 605-828-137
Druk POLIHYMNIA, Lublin

CZĘŚĆ PIERWSZA:

POWRÓT, RETROSPEKCJE, REFLEKSJE

ROZDZIAŁ 1

W słonecznym lipcowym dniu 1967 roku, niewygodny i hałaśliwy autobus wiezie mnie kiepską szosą przez równinę sowieckiej Białorusi. Ten zabużański teren Polesia przed wybuchem drugiej światowej wojny, stanowił polskie kresy wschodnie.

Szosa biegnie przez szaro-rude łąki pocięte melioracyjnymi rowami, wokół których zieleń jest żywsza i są jakieś zarośla. W innych miejscach, szosę otaczają wielkie zachwaszczone pola ziemniaków, albo słabego żyta. Od czasu do czasu, autobus mija sosnowe młodniki, poprzątkane gdzieś niegdyś starymi drzewami.

Patrzę na przesuające się za oknem krajobrazy i nie ma tu nic z fotografii, zapisanej przed dwudziestu trzema laty w mojej wówczas dziecięcej pamięci. Zanim wojna wyrzuciła nas z poleskiej ziemi, szosy tutaj nie było. Biegła tędy bita droga przez niekończący się wiekowy bór, tylko w kilku miejscach poprzerywany rozległymi soczystymi łąkami, albo przylegającymi do nielicznych tutaj wsi poletkami. Droga ta łączyła miasto Pińsk, z miasteczkiem Telechany.

Miasteczko było niewielkie, z niebrukowanymi ulicami, zabudowane drewnianymi domami. Na pół-chrześcijańskie, na pół-żydowskie, ot, takie, jakich na Polesiu było sporo. Żadne jednak nie nosiło tak egzotycznej nazwy. Podobno to dziwne imię miasteczka upamiętnia mogiłę tatarskiego chana, pochowanego tutaj w zamierzchłej przeszłości.

Miejscowe podanie mówi, że podczas jednego z tatarskich najazdów na Ruś, napastnicy zapędzili się aż na Polesie. Mongolscy najeźdźcy jako mieszkańcy bezkresnych stepów, na otwartych przestrzeniach byli niezwyciężonymi wojownikami. Jednak w zetknięciu się z poleską przyrodą, trafiawszy na bagna i leśną głusz, nie potrafili skutecznie walczyć. Jeźdźców razem z końmi masowo pochłaniały zdradzieckie bagienne topiele, a w przepastnych borach wojowie kniazia i dzielni Poleszacy, wycinali w pień oddziały stepowych wojowników.

Podczas jednej z takich potyczek, zabity został chan tatarskiej ordy. Tatarzy pochowali swojego wodza i nad mogiłą usypali kopiec. Sami zaś, wynieśli się ze śmiertelności dla nich poleskiej krainy, na swoje dalekie stepy.

Wiele lat po tamtych wydarzeniach, w lesie nieopodal kurhanu z mogiłą chana, osiedlili się ludzie. Ta nowa osada powstała w czasach, kiedy wśród mieszkańców Polesia żywa jeszcze była pamięć o zwycięstwie ich pradziadów nad tatarskimi najeźdźcami, bowiem ustny przekaz o tym wydarzeniu,

przechodził z pokolenia na pokolenie. To też o nowej osadzie ludzie mówili, że leży ona tam, gdzie jest pochowane ciało chana. Ponieważ w miejscowym narzeczu słowo „ciało” brzmi „tiele”, mówiło się, że osada leży tam, gdzie Tieleo-chana. Z latami przeobraziło się to w Telechany. Pierwsze zapiski o istnieniu tej miejscowości, pojawiły się w dokumentach z szesnastego wieku.

Faktem jest, że na północnym skraju miasteczka już w lesie, znajduje się spory ziemny kopiec. Jeden jedyny na niekończącej się leśnej równinie. Ten kopiec według miejscowego podania, jest właśnie kurhanem kryjącym w sobie ciało tatarskiego chana. Ludzie nazywają kopiec „Łysą Górą”.

Przed wojną Telechany różniły się od innych poleskich miścin jeszcze i tym, że miały jak na ówczesne czasy świetne połączenie ze światem. A więc, była rzeczona już bita droga do Pińska, a trzy razy w tygodniu przemierzał ją regularnie autobus telechańskiego przedsiębiorcy, pana Pigulewskiego.

Był także trakt wodny, w postaci kanału Ogińskiego. Od wiosennego spłynięcia lodów, aż do późnej jesieni między Pińskiem i Telechanami kursował dwa razy w tygodniu statek. Przewoził ludzi i towary. Pamiętam, że jeden ze statków przypływających do Telechan, nosił dziwaczne imię „Sekunda”. Statek ten należał do przedsiębiorcy z Pińska, Żyda Westera. Z tej wodnej komunikacji bardzo chętnie korzystali Poleszacy zamieszkujący bagienne bezdroża, przyległe do tego wodnego szlaku. Stanowiły go rzeki Prypeć, Jasiołda i kanał Ogińskiego.

Uwieńczeniem komunikacyjnego komfortu Telechan była jeszcze wąskotorowa kolej, która łączyła je z Iwacewiczami i Janowem, skąd można było już jechać normalnymi pociągami w świat.

Był, była, było...Koniec grzebania się w czasie przeszłym. Wracam do rzeczywistości, bo właśnie mój autobusik wjechał pomiędzy zabudowania Telechan.

– Prijechali! – Kierowca gramoli się ze swojego siedziska.

Z dziwnym uczuciem schodzę ze stopni autobusu na niebrukowany plac. A więc po nieomal ćwierćwieczu, znowu tu jestem. Witajcie moje Telechany! Moje? Całe otoczenie placu z autobusowym dworcem, jest mi zupełnie obce. Ale to mnie nie dziwi. Przecież za moich czasów, w Telechanach tego tutaj w ogóle nie było. Mimo to, czuję wewnętrzny niepokój. Co znajomego znajdę w miasteczku, kiedy tam pójde?

Ejże, przecież moje pierwsze kroki mam skierować do jedynej teraz bliskiej mi rodziny w Telechanach, do cioci Katarzyny, nie stercz tutaj!

Ruszam przed siebie trochę na chybił trafił po niemal ćwierć wiecznej nieobecności. Idę kilkadziesiąt kroków i oto mgliste wspomnienie przybiera realne kształty. Zatrzymuję się na przeciw parterowego, okazałego budynku. Tak, tutaj przed wojną mieścił się ośrodek kultury. Wówczas nosił on miano Domu Ludowego. Czytam, co oznajmia tabliczka przy drzwiach budynku. To Dom Kultury. A więc, wciąż pełni misję swojego pierwotnego przeznaczenia.

O kilkadziesiąt kroków dalej, znowu trafiam na znaną mi sylwetę budynku. No tak, znam ten dom. Wybudowano go przed wojną, z przeznaczeniem na posterunek policji. Za Bolszewików był tutaj bank, a za okupacji niemieckiej, znowu siedziba policji. Wrogiej, przestępczej, czarnej policji.

Ciekawe, jaką funkcję pełni teraz? Na ścianie budynku jest sowieckie godło, jest czerwona tablica. Już wiem. To siedziba miejscowej administracji.

Przed budynkiem, na ulicy stoi terenowy ciemnozielony samochód. Za kierownicą, oparty o nią oburącz siedzi człowiek. Pochyloną nisko głowę oparł na rękach, pewno śpi. Niech śpi, idę dalej.

Widok dwóch znajomych domów spowodował, że mgliste wspomnienia sprzed tylu lat zaczynają urealniać się z topografią miasteczka. Po kilku minutach marszu już wiem, że ta dawniej ulica Marszałkowska została „ochrzczona” teraz imieniem Siedemnastego Września. Daty, upamiętniającej napaść sowiecką na Polskę w 1939 roku! Ale tutaj, w Związku Sowieckim to data chwalebna, data wyzwolenia Białorusinów spod polskiej niewoli. Ciekawe, jak to „wyzwolenie” przyjęły dziesiątki, a raczej setki tysięcy tych Białorusinów, którzy trafili do kazamatów NKWD i łagrów? Czy data siedemnastego września ich też napawa radością?

Ta przykra refleksja trwała dłuższą chwilę, zanim strząsnąłem ją, niby jakieś lepkie paskudztwo. Teraz ponownie całą uwagę koncentruję na porównywaniu zabudowy ulicy z obrazkami, utrwalonymi w pamięci. Idąc, przyglądam się kolejnym domom. Wśród nich nie ma ani jednego nowego. Wszystko wygląda na przedwojenne starocia. Nie wiem, a może nie pamiętam czyje one były.

Zbliżam się do nieco okazałego budynku, w którym aż do wybuchu wojny w 1939 roku mieścił się urząd telechańskiej gminy, w której pracował mój ojciec. Tutaj też przez ponad dziesięć lat zajmując służbowy lokal mieszkali moi rodzice i tutaj przyszło na świat moje rodzeństwo. Siostra Rajmunda, do której mówiliśmy Mundzią i brat Stefan. Ja wszakże, zczekałem z tym do czasu wybudowania naszego własnego domu.

Po zajęciu Polesia przez sowiecką Rosję, w budynku po gminie mieściło się NKWD, miejsce kaźni wielu aresztowanych ludzi. Mój ojciec także nie uniknął zatrzymania przez enkawudzystów i pobytu w tym miejscu.

Mijam ten budynek i zbliżam się do ulicy Szkolnej, przy której stoi pierwsza w moim życiu szkoła. Wielka i dwuskrzydłowa, choć również drewniana jak prawie całe przedwojenne miasteczko. Też się zestarzała, tyle, że dach ma nowe pokrycie. W miejsce gontów, położono na nim eternit. Szkolny plac nie jest ogrodzony, ale na nim leżą sterty niewielkich białych desek. Zapewne to na nowy płot, którym już ogrodzony jest drugi bok placu. Na boisku nie ma ani jednego dziecka, pewnie teraz są lekcje.

Po przeciwnej stronie ulicy Szkolnej, na jej rogu stoi dom Winiarskich. Poznałem go od razu, choć cały jest po remoncie. Ma świeżo odmalowane ściany i werandę, a dach z eternitu. A na naprzeciw tego domu... Jest! Jest niewielki dom ciotki Katarzyny Demczyłowej, chrzestnej mojego brata Stefana! Wprawdzie ona nie jest prawdziwą ciotką, ale moja mama i Katarzyna Demczyłowa z domu Winiarska, już jako młodziutki dziewczęta darzyły siebie iście siostrzaną przyjaźnią. I tak to im pozostało na całe życie, a dla nas dzieci, Katarzyna i Cyprian Demczyłowie stali się niejako prawdziwymi ciotką i wujkiem.

Będąc dzieckiem, nieraz słyszałem jak w rodzinie żartowano, że przyjaźń pomiędzy moją mamą i ciocią Katarzyną była tak silna, że nawet w tych samych latach wydały na świat swoje dzieci. Wprawdzie córka cioci o imieniu Nadzieja urodziła się o rok wcześniej od mojej siostry, ale syn Mikołaj nazywany w domu Kolą, był rówieśnikiem mojego brata.

Teraz ciocia Katarzyna jest wdową. Mąż cioci przed wybuchem drugiej światowej wojny, przez wiele lat pełnił funkcję skarbnika gminy Telechany. Będąc człowiekiem o nieskazitelnej opinii, wśród mieszkańców miasteczka cieszył się dużym szacunkiem.

Jednakże fakt piastowania przez wujka Cypriana tej odpowiedzialnej funkcji zadziałał zdecydowanie na jego niekorzyść, kiedy we wrześniu 1939 roku Polesie zostało zajęte przez Sowiecką Rosję. Został bowiem wkrótce aresztowany przez bolszewików i wywieziony na Sybir. Po pewnym czasie, słuch o nim zaginął. Niestety na zawsze.

Ciocia Katarzyna została sama z dwojgiem dzieci. Cały ciężar utrzymania rodziny, spadł teraz na jej barki. Pomagał jej w tym na miarę swych możliwości i sił, żyjący jeszcze wówczas ojciec jej męża Wiktor, dziadek Nadzi i Koli. Był to siwy małomówny człowiek, który swoją starczą bezczynność wypełniał drep-taniem przy doglądaniu swojego stadka kur. Po aresztowaniu jego syna, pan Wiktor pomagał cioci Katarzynie chronić dom przed głodem, strugając całymi dniami drewniane łyżki, które później wymieniał w miasteczku i pobliskich



Małżeństwo Katarzyny i Cypriana Demczyłów z dziećmi, córką Nadzieją (Nadzią) i synem Mikołajem (Kolą). Fotografie z 1934 i 1937 roku.

wsiach na żywność. W tych tragicznych okolicznościach, ciocia Katarzyna okazała się być bardzo dzielną osobą. Utrzymała cały dom i wychowała dzieci.

Po wejściu do Telechan w 1944 roku sowieckich wojsk, Kola podjął przerwana podczas wojny naukę, a Nadzia niebawem wzięła ślub z Aleksym, który całą niemiecką okupację spędził w partyzanckim oddziale. Jednakże jego wojenne zasługi „wzięły w łeb”, z chwilą ożenienia się z Nadzią. Wszechwładna partyjna władza uznała, że Aleksy „splamił honor ojczyzny”, żeniąc się z córką politycznego skazańca. Znieważano go na każdym kroku.

Sytuacja zmieniła się dopiero po śmierci Stalina. Towarzysze z komitetu partii zaczęli strugać głupka, że nic się nie stało, bo przecież on Aleksy jest szanowanym człowiekiem! Wtedy też powierzono mu pełnienie w Telechanach odpowiedzialnej funkcji dyrektora domu dzieci, osieroconych podczas drugiej światowej wojny..

W kilka lat później, Aleksy pobudował duży drewniany dom. Jednakże lata spędzone w partyzanckim lesie, odezwały się poważnymi, zdrowotnymi kłopotami. W związku z tym jest już wcześniejszym emerytem i pozostał zasłużonym kombatanem.

Nadzia i Aleksy mają trójkę dzieci, dwie córki i „spóźnionego,” bo dopiero ośmioletniego syna. Jedna z ich córek jest już mężatką, a Nadzia szczęśliwą babcią.

Kola natomiast założył rodzinę dziesięć lat później niż Nadzia, żeniąc się z Rosjanką Lidią. Oni też mają troje dzieci. Chłopca i dwie dziewczynki. Mieszkają wspólnie z ciocią Katarzyną, bo własnego domu nie dorobili się. W tym niewielkim domu cioci Katarzyny musi być im ciasno...

No, dosyć tych wspominań, zapapranych podarunkami złego losu. Już najwyższy czas spotkać się wreszcie z ciocią Katarzyną i jej dziećmi, Nadzią i Kolą! Przecież już dobrą chwilę stoję przed furtką ich domu. Czy już mam ją otworzyć? Nie, nie, najpierw muszę wygasić w sobie nową falę podniecenia, które spowodowało galop mojego tętna.

Już jestem na niewielkiej werandce, przede mną drzwi znane mi sprzed lat. Za nimi pulsuje życie wciąż drogich mi osób, których parszywy los nie oszczędzał przez długie lata. Stukam do drzwi raz i drugi, bez skutku. Naciskam klamkę, drzwi ustępują. W małym przedpokoju przyjemny chłodek. Znajomy mi sprzed lat. Z kuchni wychodzi niemłoda kobieta. Szczupłutka, gładko zaczesane kruczoczarne włosy, mocno przyprószone siwizną. Patrzą na mnie znajome oczy, ciepłe, bystre. Patrzą pytająco.

Nagła fala wzruszenia chwyta mnie za gardło. Zduszam ją głębokim haustem powietrza. Uśmiecham się do cioci

– Dzień dobry ciociu... ja jestem... z Polski...

– Boże mój, czyżby to ty, Stefan? Syn Ani?

– Nie ciociu, brat Stefana, Bogdan.

– Bogdan? Ten mały Bogdanek? Ależ ty jesteś podobny do mamy! O mój Boże, co za niespodzianka! No chodź, chodź do pokoju, co my tutaj robimy, chodź dziecko, ojej, co ja mówię, toż to dorosły mężczyzna, no chodźże...

Z ust cioci Katarzyny sypie się bezładny potok słów, a po policzkach jedna za drugą, staczają się łzy i giną gdzieś na podłodze. Lekko popycha mnie w kierunku drzwi do pokoju. Otwiera je i tutaj grzęźniemy, nie mieszcząc się w trójkę z moją podróżną torbą. Ciocia wybucha śmiechem, chwytą się za głowę, po czym wyrywa torbę z moich rąk i ciągnie mnie za rękaw w stronę stołu. Sadza na krześle, bierze w dłonie oba moje policzki. Dłonie cioci po otarciu nimi policzków z łez, są wilgotne.

– Synku, dziecko, mów, opowiadaj! Ty z drogi, ty pewnie jesteś głodny, ja tutaj zaraz, o mój ty Boże...

Ręce ciotczyne na moich policzkach drżą. W jej oczach znowu pojawiają się łzy. Już są na rzesach, już spływają po policzkach.

Próbuję opanować sytuację. Nie chcę, żeby ciocia „rozkleiła się” do reszty. Pytam, czy mogę umyć ręce. Ależ tak! Oczywiście, co za gapa! Chodź do kuchni, jest ciepła woda, a tu czysty ręcznik. Lniany, jeszcze z dobrych czasów. No mówże wreszcie, co u was, mów! O mój Boże, ja jeszcze nie dałam ci niczego do zjedzenia! Ale jeden momencik... Co za radość, jakie szczęście!

I już stół jest nakryty białutkim, nakrochmalonym obrusem. Brzęczą talerzyki, podzwaniają nakrycia stołowe. Ciocia znowu gorąco tłumaczy się, że nic takiego szczególnego do jedzenia nie ma, gościa się nie spodziewała, ale ona tutaj zaraz, niech tylko Kola wróci z pracy... Ach Boże, co za gapa, przecież dawno już powinna była zadzwonić do Nadzi, to ona zrobiłaby zakupy!

Nie wiem, jakich to zakupów ciocia by chciała. Na stole jest chleb, jest wędlina w kilku rodzajach (jedz Bogdanek, to swojej roboty), jest masło, rzodkiewka, są pomidory i ogórki... Nawet jest karafka z wiśniową nalewką, też swojej roboty. Ciocia nie pije, choć mały kieliszek przed nią stoi.

– Mam wysokie ciśnienie Bogdanek, ale usta umoczę, taki gość! – Jednocześnie pilnie baczy, żeby mój kieliszek chwili nie stał pusty.

– Za szczęśliwe spotkanie, za zdrowie twojej mamy, za brata, za siostrę, za twoje zdrowie Bogdanku. Za wieczny pokój twojego ojca. Boże, jak ten Stach niespodziewanie i niepotrzebnie odszedł!

Bronię się jak mogę przed ciągłymi dokładkami na talerz i napełnianiem kieliszka. Ze strony cioci jednak brak zainteresowania moimi naleganiami na „nie”.

Stan euforii u cioci już ustąpił, ale radosne podniecenie jest nadal. Z wypiekami na twarzy nie ustaje w „naganianiu” mnie do jedzenia, jednocześnie zasypując pytaniami. Nie zdążę dokończyć odpowiedzi, a już zadaje mi następne pytanie. Większość z nich to takie, na które przecież odpowiedź zna, bo koresponduje z moją mamą od lat, gdyż kontakt ze sobą nawiązały niedługo po śmierci Stalina.

Biesiadę we dwoje z ciocią Katarzyną, przerywa nadejście Nadzi. Wpadła jak burza. Stała w drzwiach wysoka, rozłożysta, piersiasta, roześmiana. Nie jestem ułomek, ale w jej uścisku poczułem się nieomal jak w uchwycie zapaśnika.

Nie umilkła jeszcze wrzawa powitania, a w drzwiach staje Kola. Wielki niedźwiedziowaty chłopisko, o roześmianych oczach. Chwytały siebie

w objęcia. Mój Kola „rży” radosnym śmiechem i dłońmi wielkimi jak szufle, oklepuje moje plecy. Moje dłonie są dużo mniejsze, ale czynię to samo z jego plecami.

Atmosfera kipiąca radosnym wybuchem powitania, powoli opada. Głosne ochy i achy przechodzą w normalną rozmowę. Okazuje się, że Kola powiadomiony przez Nadzię o moim przyjeździe, po drodze zaopatrzył się w dwie butelki „Stolicznej”. Kobiety błyskawicznie uzupełniły na stole nakrycia i wiktuały. Już zadzwoniły kieliszki, zabułgotała „Stolicznaja” w szyjce butelki. „Coknęło” szkło o siebie radosnym dźwiękiem „za spotkanie”.

Rozhuśtała się chaotyczna rozmowa. Staram się jak mogę sprostać zadaniu, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania. Śledzą mnie trzy pary życzliwych oczu, żadne wiadomości stamtąd, zza granicy, z Polski. Na moją biedę, cała trójka bez przerwy goni mnie do jedzenia. Chciał nie chciał, muszę rozmawiać z pełnymi ustami.

Ja też jestem żądny wiadomości z Telechan. Zaczynam atakować pytaniami; „a co, a kto, a jak”? Jacy oni są mili. Każde z nich pragnie odpowiedzieć na moje pytanie, przerywając sobie wzajemnie; „noo, daj mi dokończyć”!

Już wiem, że po śmierci Stalina, prawie wszyscy Polacy wyjechali z Telechan do Polski. Większość z nich, osiedliła się w Gorzowie Wielkopolskim. Wyjechał również ksiądz Tarnogórski. Kościół został przebudowany na kinoteatr. To już wiem, widziałem. Teraz nieliczna grupka katolików, zbiera się na wspólną modlitwę w jednym z domów.

Każdy napoczęty temat prawie natychmiast przeganiany jest przez następny. Wszystkie one prześcigają się wzajemnie, spiętrzają, rwą na strzępy.

W tym słownym rozgardiaszu, prawie nie bierze udziału tylko żona Koli Lidia, Lida jak wszyscy do niej mówią. Dla niej jestem zupełnie obcy człowiek. Widzi mnie po raz pierwszy. Lida po przyjściu z pracy i powitaniu ze mną, przysiadła się do stołu tylko na krótką chwilę i znowu wybiega do kuchni.

Kiedy widoczny z okna budynek szkoły okrył się cieniem zachodzącego słońca, ciocia Katarzyna i Nadzia opuściły męskie towarzystwo przy stole. Tłumaczyły się domowymi obowiązkami. Ciocia, że musi jeszcze do ogrodu, a Nadzia spodziewa się lada moment powrotu z Pińska Aleksego. Musi przygotować mu obiad, a i syn Jurek sam pozostaje w domu tyle czasu.

Zostaliśmy przy stole z Kolą we dwójkę, a z nami świeżo napoczęta druga butelka „Stolicznej”. No i popłynęliśmy we wspominki, mój Kola i ja. W lata wspólnego łowienia ryb i raków w kanale Ogińskiego, wiosennego kręcenia wierzbowych fujarek, gonitw po pachnących ługach...

Patrzę przez okno na budynek naszej szkoły. Kola, toż i tutaj przeleciała kapka naszego życia! A jakie nauki w niej pobieraliśmy! Uczęszczaliśmy trochę do szkoły polskiej, potem rosyjskiej, a wreszcie białoruskiej. I to w dwóch wariantach, najpierw sowieckim, potem niemieckim... Były to lata niebagatelnych wydarzeń!

Wyływają postaci naszych nauczycieli. Tych „przedwojennych” i ludzi uczących w czasie okupacji. Pierwszych nieomal doszczętnie wymiotła woj-

na. Za jednej i drugiej okupacji, w szkole pojawiali się różni ludzie, niektórzy zupełnie przypadkowi. Jedni robili to wówczas z poczucia obowiązku, bo ktoś jednak dzieci uczyć musiał. Inni, bo chociaż marnie, ale za to płacono, a przecież żyć z czegoś trzeba było.

– Pamiętasz Kola, jak przedwojenny kierownik szkoły Pierowski, mówił śmiesznie po rosyjsku? Jak gimnastykował się z tym językiem? A w ogóle, to długo nas za bolszewików nie pouczył, bo wylali go ze szkoły.

– Noo tak, po wybuchu wojny kierownicy naszej szkoły mieli jakiegoś pecha. Nie wiadomo, czy dyrektorka z czasów sowieckich Siłkowa przeżyła wojnę. Pierowskiego „ukatrupili” Niemcy i właściwie nikt nie wie, za co. A Trydeńska, która była kierowniczką za Niemców, po wojnie odsiedziała za to w sowieckim łagrze parę ładnych lat!

– No tak, Trydeńscy uczyli nas po wrześniu trzydziestego dziewiątego i za jednych i za drugich. Ona matmy i przyrody, a on języków i śpiewu!

– To drugie przyszło mu łatwo, był przecież diakonem w cerkwi, śpiewał liturgię. Miał piękny baryton. A wiesz, kim jest teraz? Nie zgadniesz! Został osobą duchowną! Uzyskał święcenia kapłańskie i jest popem prawosławnej parafii w Świętej Woli. Ale nadal mieszka w Telechanach. Tam dojeżdża, to przecież niedaleczko.

– No, to uzyskał w miasteczku wysoki status. Przecież teraz za władzy Chruszczowa, dla wierzących nastały kapkę lepsze czasy. Represji chyba nie ma.

– Eee, tyle co kapkę. Moje dzieci opowiadają, że w szkole na porannym apelu dyrektor potrafi wywołać z szeregu dziecko chodzące do cerkwi i napiętnować je przy wszystkich, że jest niegodne być uczniem postępowej radzieckiej szkoły!

– Cóż Kola, podobno życie w kraju tak wolnym, że drugi taki na świecie nie istnieje. Dla mnie, to tylko okrutna kpina z tak gnojonego narodu. Chruszczow ponoć wyzwolił was spod tyranii Stalina, ale ja nie dostałem wizy do Związku Radzieckiego. Moja wiza zezwala mi jedynie przebywać przez ileś tam dni na terytorium Związku Radzieckiego wyłącznie w Telechanach! A na granicy kazano mi natychmiast po przyjeździe tutaj, zameldować się na milicji. Ech, pamiętasz zapewne sławetną pieśń Dunajewskiego „...ja drugiej takiej strony nie znaju, gdzie tak wolno dyszyt czieławiek”? Bębniań to do obrzydzenia! Oj, oddychacie sobie swobodnie, oddychacie...

– Mimo to, Kola bracie, z pewnością łatwiej znieść takie durne szykany, aniżeli radziecką wolność za czasów Stalina. Doznaliście przecież tego na własnej skórze. Wtedy twój ojciec za nic stracił życie. A takie niewinne ofiary, szły przecież w setki tysięcy! W samych tylko małych Telechanach, ileż to osób aresztowano i wywieziono na kraj świata. Ilu z tych ludzi zgniło w więzieniach, ilu przepadło w łagrach bez wieści, ilu po śmierci Stalina nie powróciło do domu? Czy dla twojej mamy, dla ciebie i Nadzi to taka wielka satysfakcja, że twój ojciec zamordowany bezimiennie gdzieś na Sybirze, został pośmiertnie zrehabilitowany przez ekipę Chruszczowa? A ty Kola syn stalinowskiej ofiary, zobaczyłem to dzisiaj, że mieszkasz przy ulicy Siedem-

nastego Września. Przy ulicy upamiętniającej datę wyzwolenia twojego ojca spod polskiej niewoli! Wyzwolenia, dzięki któremu twój tata skonał bezimiennie gdzieś w łagrze pod biegunem.

– Taak, to gorzka prawda. A wiesz ty Bogdan, że jednak po śmierci Stalina tylko w naszym powiecie zrehabilitowano kilkaset osób? Tyle, że nijak nie doliczysz się wszystkich aresztowanych. Chodzi oczywiście o tych, co przed wojną pełnili jakieś poważniejsze funkcje w urzędach, czy byli wojskowymi, albo policjantami. Ci nadal pozostali wrogami radzieckiej władzy. Czy wiesz o tym, że jak w czterdziestym czwartym znowu nastała nam radziecka władza, to NKWD zaraz aresztowało żony Kowalewskiego i Pigulewskiego? Jak może pamiętasz, oni pojechali do łagrów jeszcze w trzydziestym dziewiątym. A te kobitki aresztowano jako żony wrogów radzieckiej władzy, rozumiesz? Dostały po cztery latka. Wypuścili je z przeprosinami po śmierci Stalina, ale co posiedziały jako „polityczne”, to posiedziały! Ufff !

– Wtedy też zrehabilitowano mojego ojca, teraz mama otrzymuje po nim rentę. Już nie jestem synem wroga radzieckiej władzy. A wiesz ty, że Polczyński, który był na Syberii w łagrze z moim ojcem, przeżył i powrócił? Nawet o własnych siłach! Tyle, że teraz choruje.

– No tak, niewielu urodziło się w czepku...

– A teraz trzymaj się Bogdan stołka, bo spadniesz. Chciałem ci o tym powiedzieć zaraz na początku, ale tyle tematów, cholera... Znałeś przecież doskonale naszego popa, Ojca Joana Strukowskiego. Wiesz zapewne od swoich rodziców, że ten człowiek swoje życie poświęcił nie tylko dla prawosławnych parafian, ale dla wszystkich ludzi w miasteczku. Zgadnij, jak za to poświęcenie wynagrodziła go radziecka władza towarzysza Stalina.

– Jedno jest pewne, po główce go nie pogłaskała.

– Oj pogłaskała, pogłaskała. Czy pamiętasz, że za niemieckiej okupacji, Ojciec Joan zorganizował amatorski teatrzyk? Grali w nim Linkowie, Trydeńska, aptekarz, Tania Bogdanowiczówna...

– No jakżeż, to była sensacja! Grali taką grafomańską sztukę, o zakochanym Sawce.

– No właśnie, wszystko przez tego Sawkę. Pośrednio, bo jak mówią ludzie, to faktycznie przez Dziechciaryka. Powinieneś go pamiętać, bo wtedy byłeś już wyrostkiem. To taki przedwojenny kryminalista, co potem na przemian służył Bolszewikom, Niemcom, a teraz jest partyzanckim kombatanem i partyjną szychą.

– Jak tu nie pamiętać! To głównie z jego powodu, musieliśmy wiać z Telechan!

– Otóż, podobno właśnie ta kanalia złożyła w NKWD donos na Strukowskiego. Dziechciaryk oskarżył popa, że ten kolaborował z Niemcami, a przykrywką do tego miał być właśnie ten amatorski teatrzyk! Gdzie tu Rzym, gdzie Krym, gdzie jakaś logika!

Przecież całe Telechany wiedziały, że Dziechciaryk po prostu bał się takiego autorytetu, jakim był w miasteczku „batuszka” Strukowski. Ale ban-

dytom z NKWD wystarczyłby donos innego bandyty, ażeby „dowalić” popu „tylko” dwadzieścia pięć lat! Aresztowali go w styczniu czterdziestego dziewiątego i wywieźli gdzieś do łagru na daleką północ. Po śmierci Stalina, zwolnili go i zrehabilitowali w pięćdziesiątym szóstym.

– No to i tak dobrze, że przetrwał w łagrze te, ile? Te siedem biblijnych lat.

– Popisko nasz miał szczęście, bo w tym łagrze był inny człowiek z Telechan. Nie pamiętam jego nazwiska. On pracował w obozowej kuchni, to miał możliwość dokarmiania naszego Ojca Joana. Dzięki temu, obaj wrócili do Telechan w dobrym stanie.

– A powiedz mi Kola, co z Dziechciarykiem?

– Hm, wiesz doskonale, że gównu nigdy nie utonie. On teraz jest tutaj pierwszym sekretarzem partii, czyli wedle dyktatury proletariatu, także pierwszym obywatelem i najwyższym autorytetem w Telechanach!

– Ty, nie komentuję tego, bo bez najplugawszych przekleństw nie dałbym rady. A jestem jeszcze za trzeźwy, żeby mi było to obojętne.

Przerzucamy z Kolą inne tematy, a każdy z nich ciężki jak skiby gliniastej, mokrej ziemi. Tematów do obgadania przed nami jeszcze moc, a idzie nam to coraz trudniej, bo w tej drugiej butelce po „Stolicznej,” już dno widać. Języki nam spowolniały, głowy stały się jakieś dziwnie ciężkie, domagają się podpórki za pomocą ręki.

Co za ulga niespodziewana! Oto w drzwiach staje Nadzia i mówi, że dać by nam jeszcze wódki, to przegnijemy do rana przy stole. Ale nic z tego! Na mnie już czeka u niej posłane łóżeczko. Zatokowaliśmy się z Kolą do cna. Zupełny brak umiaru!

Faktycznie, brak umiaru. Kola tutaj przecież u siebie, ale kiedy gdzie i jak ciocia, Lida i dzieci ulokowałyby się do snu? Ja, choć tak fetowany gość, w końcu jestem tylko obcym człowiekiem! Faktycznie, pijacki brak umiaru i taktu.

Z korytarzyka, zza Nadzi wyłania się ciocia Katarzyna. Przepraszam ją wylewnie. Ciocia śmieje się, twierdzi, że wszystko w najlepszym porządku. Bardzo jej miło, że czuję się u niej tak dobrze. Jeśli tylko zechcę, mogę zostać i spać w jej domu. Nadzia energicznie protestuje. „Mamuś on ma już u mnie posłane łóżko!” Jeszcze jedno przeprosiny, jeszcze jeden cmok w ciociną rękę i podążam za Nadzią do jej domu.

Stoi on przy małym zaułku, biegnącym równolegle do dawnego ogrodu cioci. Ogród ten został przez radziecką władzę podzielony na kilka parcel pod zabudowę. Na trzeciej parceli, stoi dom Nadzi. Wchodzimy na podwórze. W poświęcie księżycy widać kwietnik, a dalej owocowe drzewa. Dom już śpi. W mieszkaniu, Nadzia milcząc wskazuje oczyma rozesłaną dla mnie na tapczanie pościel, po czym prowadzi do łazienki. Dotyka palcem dwóch ręczników szepcząc, że to dla mnie. Z uśmiechem życzy „spokojnej nocy” i znika za drzwiami sypialni.

Zimna woda niewiele mi pomogła i z ciężkim „łbem” wlokę się do tapczanu. Z rozkoszą zapadam w pachnącą letnim wiatrem pościel. Spać teraz, spać...

ROZDZIAŁ 2

Wczesny poranek. Przez otwarte na oścież okno słysząc rajcujące na podwórku wróble. Pokój wypełnia poranne jeszcze chłodnawe, rozkosznie czyste powietrze. Z lubością wciągam je w płuca.

Zza zamkniętych drzwi, słysząc pobrzękiwanie naczyń i rozmowę. Na monolog Nadzi, momentami nakłada się bas Koli. Już się zjawiał tutaj? A ja jeszcze pod kołdrą, wstyd. Pośpiesznie wyskakuję z pościeli. Stwierdzam z przyjemnością, że po „Stolicznej” nie zostało w głowie ani śladu. Chwytam toaletowe przybory i szybko do łazienki!

Do śniadania siadam z mężem Nadzi, Aleksym. Przed chwilą poznaliśmy się. Nadzia przeprasza, że nie usiądzie z nami, bo ma jakieś pilne zajęcie. Kola dołączył do nas już podczas śniadania. Posiedzi z nami tylko chwilę, śpieszy się do pracy. Ale kieliszek dla towarzystwa, owszem, wypije. Tym bardziej, że to swojej roboty pyszna nalewka na czarnej porzeczce. No to jeszcze raz na zdrowie, za spotkanie! Poszło gładziutko pod jajecznicę, na domowej kielbasce.

W drzwiach staje Nadzia i zapowiada, że na uroczystym obiedzie spotkają się tutaj wszyscy, a więc mama, dla mnie ciocia Katarzyna, oraz ona i Kola, oboje ze swoimi rodzinami. To z okazji mojego do nich przyjazdu. Zwraca się do mnie z prośbą o ustalenie godziny obiadu. W tym momencie ogarnia mnie wzruszenie, głos więźnie w gardle. Jacy oni są kochani! Próbuję nadrabiać miną. Dziękuję najgoręcej jak potrafię za okazanie mi tyle serca. Kończą się na spontanicznych całusach.

Kola nerwowo spogląda na zegarek. Czas ucieka, a on spóźnić się do pracy nie może. Jest jakimś szefem w bazie maszyn rolniczych. Pośpiesznie wychylamy na cześć spotkania następny kieliszek nalewki.

– Do zobaczenia o siedemnastej - pada raz jeszcze i już jesteśmy z Kolą na ulicy. On skręca w lewo do swojej bazy, a ja zastanawiam się chwilę, dokąd teraz pójść. Jak magnes ciągnie mnie ku sobie kanał Ogińskiego. Tyle, tyle cudownych wspomnień związanych z tym miejscem. Kanał, śluza, bulwar, cudowna przyroda...

Jednak rozsądek bierze górę nad emocjami wspomnień o dziecięcym raj. Po tylu latach niebytu w Telechanach moją wizytę powinienem zacząć od ulicy Kościelnej, gdzie przecież stoi nasz dom i odwiedzić najważniejsze miejsca w miasteczku. To jest mój obowiązek, a radość spotkania się z dziecięcym rajem, zostawię sobie na deser. Zdecydowanym krokiem ruszam ulicą Szkolną, wiodącej do Kościelnej. Tuż za szkołą na dużym placu, gdzie stało parę domków, widzę zaawansowaną już budowlę jakiegoś obiektu. Sądząc po jego dość udziwnionym kształcie, zapewne będzie to jakiś handlowo usługowy

kompleks. Nagle przypomniało mi się, że to właśnie tutaj gdzieś stał dom akuszerki Radczycowej. To jej ręce pomogły ujrzeć światło mojej siostrze Mundzi, potem bratu Stefanowi, a na końcu mnie. Hm, ciekawe, ile porodów przyjęła Radczycowa w swoim akuszerskim życiu?

Idę i przyglądam się kolejnym starym domom wysilając pamięć, czyje one kiedyś były. Nic z tego nie wychodzi, nie potrafię skojarzyć wspomnień z oglądanymi domami i rezygnuję z tych dociekań.

Zbliżam się do końca ulicy Szkolnej, a u jej wylotu, wita mnie z wysokiego kamiennego cokołu sam towarzysz Lenin. Stoi w pozie identycznej, jak w setkach tysięcy innych egzemplarzy jego pomników na terenie tego kraju. Wódz rewolucji, ma zatroskaną twarz o los radzieckiego narodu. Jedną ręką wyciągniętą przed siebie wskazuje drogę do komunizmu, a drugą zabawia się czymś w kieszeni spodni.

Pozostawiam za sobą wodza rewolucji i skręcam w lewo, na moją ulicę Kościelną, choć na budynku narożnym wisi tabliczka i głosi cyrylicą, że jestem na ulicy Lenina. No nie, ja pójdę jednak moją starą ulicą Kościelną.

Znowu wraca natrętne pytanie, co znajdę jeszcze na jawie ze wspomnień z nieomal całego mojego dzieciństwa. Były to wydarzenia, które wryły mi się w pamięć, jak gdyby zostały wypisane rylcem na kamieniu.

Idę i patrzę. Domki jak te z mojej pamięci, niewielkie, drewniane. Okna otoczone okiennicami. Większość domów ma werandy. Dachy są inne! Kiedy mieszkalem tutaj, nieomal wszystkie dachy w miasteczku pokryte były gontami. Teraz gontów nie widzę. Jest papa, eternit. Przed wieloma domami małe, kwiatowe ogródki. Jedne zadbane, inne zachwaszczone...

Chodnik, którym idę, też jest inny. Tamten był drewniany, ten z cementowych płyt. Wzdłuż niego, ciągną się drewniane płoty. Niektóre pomalowane. Przed wojną, wszystkie były malowane obowiązkowo. Pilnował tego osobiście komendant posterunku policji, pan Kowal. Za płot nie pomalowany, płacono się karę. Teraz, pomalowanych prawie nie ma.

No a ten, kiedyś pomalowany na zielono, teraz z brązowymi odrapańcami to dom kierownika szkoły pana Pierowskiego. Miał syna Jurka i córkę Elę. Kierownika w czterdziestym drugim roku rozstrzelali Niemcy.

Już mijam zakręt. Tutaj gdzieś był mały domek pani Kamili, podobno kiedyś zakonniczki. Mieszkała w nim samotnie, nie licząc starego, olbrzymiego wilczura. Utrzymywała się z obszywania w sukienki miejscowych damulek. Nosiła się na czarno, w okrągłym kapelusiku na głowie. Codziennie rano przyjmowała w kościele komunię. Domku nie ma, pani Kamili też zapewne od dawna.

Jeszcze chwila i już powinna być kuźnia i olejarnia Nowaka. Z jego dziećmi, Danusią i Cześkiem, ja i mój brat chodziliśmy do jednych klas w szkole. Brat mój z Cześkiem, ja z Danusią. Gdzie stały te budynki, tutaj? Czy może tu? Budynków po prostu nie ma. Nie ma kuźni, nie ma olejarni, nie ma Nowaka. Pewnie wyjechał z Telechan do Polski po 1944 roku, jak większość Polaków.

Po drugiej stronie ulicy, widzę spory pusty plac. Tutaj stał duży budynek, będący przed wojną siedzibą Nadleśnictwa. Nie pamiętam, co było tutaj za

Sowietów, natomiast za okupacji niemieckiej, w budynku tym mieściło się biuro telechańskiego Rejonu.

Za tym pustym placem o rzut kamieniem, z dala od ulicy wśród starych drzew stoi kościół. Kościół? Ściany są, dach jest, ale nie ten, który mam w pamięci. I wolnostojącej drewnianej dzwonnicy u wejścia na kościelny plac, ani śladu. Na ścianie budynku obok drzwi, widzę czerwoną tabliczkę z jakimś napisem. A więc teraz chyba nie kościół? Stąd nie odczytam, co tam jest napisane. Przechodzę przez ulicę, zbliżam się, czytam i już wiem. Obecnie to kinoteatr. Tak, więc kościół był, kościoła nie ma. Przypuszczam, że teraz pewnie i nie miał by kto do niego tutaj chodzić ...

Wracam na ulicę, idę dalej. Mijam kościelny niegdyś plac i już dom Jakubaszka. Za nim, nasz dom. Gdzie jest nasz dom?! Przecież był tutaj! I nie ma go. Po prostu nie ma! Od ulicy rosną stare bzy i jakie chaszczce. Za nimi w głębi, widoczne są ślady po budynku w postaci fundamentów, obrośniętych zielskiem. A dom był nowy, zbudowany niedawno przed wojną i nawet jeszcze całkowicie nie był wykończony. Ale domu nie ma. Nie ma i już.

Stoję i przywołuję w wyobraźni bryłę budynku. Tu była weranda. Na prawo od niej był salonik, z którego okien w dni niepogody gapilem się na życie toczące się na ulicy. Po lewej stronie werandy był pokój gościnny. Od strony podwórza była jadalnia, sypialnia, kuchnia i spiżarnia, a na zewnątrz druga weranda, ciągnąca się wzdłuż połowy budynku. Na prawo od domu, znajdowały się dwa duże ogrody warzywne, przedzielone płotkiem z furtką. Nasz i wujostwa. Za warzywnikiem, był jeszcze ogromny sad wujostwa.

Dom wuja Stefana stoi na swoim miejscu. Tyle, że wyraźnie się postarzał, szerniał. Przed domem od strony następnej posesji, rośnie tak jak rósł wiekowy klon. Gigant jeszcze potężniejszy jak ten, z mojej pamięci. Ale, ale, jest coś nie tak. Na klonie było bocianie gniazdo! Jak daleko sięgam pamięcią, rokrocznie wylęgały się w nim nowe pokolenia bocianów. I nie tylko. W szparach ogromnego gniazda, roiło się od niezliczonej ilości wróbli, dzikich lokatorów bocianie rodziny. Ale teraz gniazda także nie ma. Zniknęło.

Spoglądam ponownie na pozostałości naszego domu. W głębi, gdzie było podwórze, dostrzegam coś znajomego. To moja brzoza kochana. Wielka, rozłożysta, o zwisających nisko gałęziach. Ta sama, która co dzień radowała moje dziecięce oczy, a w jej cieniu my dzieci, wymyślaliśmy najwspanialsze zabawy.

Wczesną wiosną, z brzozy ściągany był słodki, nektarowy sok. Cała nasza trójka dzieci przepadała za nim. Potem, kiedy zaczynały rozwijać się małe, lepkie od brzozowej żywicy listki, moja mama zbierała je do suszenia na „zdrową herbatkę”.

Z trudem rozstaję się ze wspomnieniami, ruszam dalej. Mijam zaniedbany dom wuja Stefana o przekrzywionej teraz werandzie, mijam potężny klon i porastające go od dołu chaszczce. Koniec chaszczy, znów dom. Zaniedbany, prawie rudera z werandą. Od ulicy odgradza go drewniany parkan. Pomiedzy parkanem a budynkiem, mały ogródek. W nim jakieś kwiatki. A moja pamięć zachowała tutaj bujne krzewy georginii z krwistymi głowami kwiatów.

To był dom stolarza Perelsztajna. Stąd dwadzieścia sześć lat temu, zabrano go na ostatnią, krótką drogę do wieczności. Wraz z nim jego żonę i dzieci, wśród których był najlepszy przyjaciel moich dziecięcych zabaw. Kochany Chaimek ze swoją nieodłączną małą przylepką, młodszą siostrzyczką Dobką.

Idąc tutaj, mijalem kolejno stojące po drugiej stronie ulicy domy Góźniczaków, Polczyńskich, Bogdanowiczów... Następny dom wyglądający całkiem okazale przy tamtych, to wybudowany tuż przed wojną telechański hotel. Czy jest nim i teraz?

Dochodzę do końca płotu, grodzącego podwórze Perelsztajna. W rogu ogrodu stała studnia z drewnianym żurawiem do wyciągania wody. Studni tej nie ma. Za ogrodzeniem, w lewo umyka łukiem ulica Borowa. O, teraz nosi ona nazwę ulicy Czerwonych Partyzantów! Jednak dla mnie, na zawsze pozostanie ulicą Borową. Przecinam ją energicznym krokiem, idę dalej. Pierwszy narożny dom, to dom Mizińskich. Mieli dwoje dzieci, mojego rówieśnika Roberta i o rok młodszą Telę. Dalej stoi wciąż okazały, choć postarzały już, dom kupca bławatnego Czerni. Nie widzę zabudowań drobnego gospodarza pana Brzostowskiego noszącego przydomek „Płaksy”, który trudnił się dodatkowo ubojem świń i cieląt. Jako dziecko słyszałem wielokrotnie, że był to bardzo zacny człowiek.

Mijam jeszcze dwa, trzy budynki i zatrzymuję się. Koniec, dalej teraz nie pójdę. Ulica Kościelna ciągnie się jeszcze spory kawałek, przechodząc dalej w drogę prowadzącą do wsi Wólka, leżącej nad jeziorem Wólkowskim. Ten graniczny obszar miasteczka, nosił nazwę Huty. Kiedyś przed pierwszą światową wojną, faktycznie była tutaj huta szkła. Za mojej pamięci, na tym terenie znajdowały się spalone podczas wojny tartak i młyn, a jeszcze dalej był katolicki cmentarz. Zobaczę potem co z niego zostało.

Po przeciwnej stronie na wysokości tartaku była stacja wąskotorowej kolejki, a w bok od niej prawie już pod lasem, smolarnia. Jednak w perspektywie ulicy widzę, że teraz jest tu jakoś zupełnie inaczej, aniżeli na obrazku w mojej pamięci. Jakże płynący nieustannie czas, bezlitośnie zmienia zapamiętane przez nas wizerunki twarzy, miejsc, całych okolic! Jak starannie z biegiem lat wymazuje z naszej pamięci początkowo szczegóły, a potem całe połacie wydarzeń z naszego życia!

Ciekawe, u ilu mieszkańców teraźniejszych Telechan zachowały się wspomnienia z tamtych lat? Ilu świadków owych dni jeszcze żyje? Ilu spośród nich wskaże miejsce, gdzie pod warstwą piasku, do dziś leżą kości starych, młodych i całkiem maleńkich telechańskich Żydów? Przecież to tutaj niedaleko, właściwie jeszcze przy ulicy Kościelnej! Zniknęli z powierzchni ziemi w ciągu jednego sierpniowego dnia, 1941 roku. Pogodnego, pełnego słońca, a jakże strasznego. Ten jeden, jedyny dzień na zawsze zmienił wizerunek Telechan. Tych moich Telechan, z lat szczęśliwego dzieciństwa.

Nie, zrobię jak postanowiłem, teraz dalej nie pójdę. Zawracam, idę z powrotem. Dochodzę do ulicy Borowej, która odbiega w bok od Kościelnej. Na płocie grodzącym dawną posesję Perelsztajna, ponownie widzę tabliczkę, że

teraz to ulica Czerwonych Partyzantów. No cóż, pójdę szlakiem tych partyzantów, chociaż nie wszyscy spośród nich w mojej pamięci zostawili dobre wspomnienia.

Idąc ulicą Borową, niebawem powinienem dojść do wysokiego płotu, odgradzającego ją od ogromnego sadu wuja Stefana. No i następne przykre zdarzenie z realiami. Nie ma ani płotu, ani sadu. Widzę za to rozległy plac, na którym zamiast rzędów owocowych drzew, panoszy się burza wszelakich zielsk i krzaków. Hen daleko, na końcu tego chaszczonego, widać zabiedzony dom wuja Stefana.

Nie zatrzymując się przy tym cmentarzysku wujowego sadu, idę dalej. Znowu zaczynają się domy. Teraz ponownie całą uwagę koncentruję na porównywaniu zabudowy ulicy, z mglistymi obrazkami utrwalonymi w pamięci. Przecież kiedyś codziennie chodziłem tędy do mojej szkoły!

Tak, w tym pierwszym domu za sadem wuja, mieszkał mój kolega Boguś, chrześniak mojego ojca. Ale nie ma następnego domu, on już wtedy był stareńki. To był dom rymarza Bromberga. W miasteczku ludzie nazywali go po imieniu, Nisiel. Powszechnie wiadomym było, że Nisiel pił. Nie byłoby w tym nic dziwnego, przecież nie on jeden, ale Nisiel podobno pił naftę. Twierdził, że nafta oczyszcza zepsutą wątrobę. A i tak umarł nie z powodu zepsutej wątroby. Zginął od niemieckiej kuli. Minęło już ćwierć wieku, jak nie ma Nisiela i jego licznej rodziny. Dalej stoi dom krzykliwej, bezdzietnej wdowy Chai, która miała gremplarnię owczej wełny. Do Chai przychodziły Poleszuczki z całej okolicy, niosąc na plecach toboły z owczym runem do gremplowania.

Na przeciw domu Chai, aż pod ścianę lasu na horyzoncie, porozrzucane były chutory telechańskich gospodarzy i przepastne łąki, po tutejszemu ługi. Pachnące, wilgotne ługi. Z jakiegoś zakamarka mojej pamięci, nagle wypełził uśpiony przez długie lata zapamiętany podświadomie zapach ługów. Powiało od nich delikatnym, wygrzanym w słońcu wiatrem niosącym odurzający zapach traw, ziół i niczym nieskażonej ziemi. Ale już wspomnienie uleciało. Ługów nie ma. Zamiast nich jest ruda równina. Po widnokrąg. Bo las widoczny kiedyś na horyzoncie, też gdzieś przepadł.

Doszedłem do końca ulicy niegdyś Borowej. Następna także nieutwardzona i piaszczysta dawniej Marszałkowska a teraz Siedemnastego Września, bierze ostry zakręt w lewo. Tutaj też nie ma ani jednego nowego domu. O, ten duży dom po lewej stronie dobrze już podstarzały w głębi obszernego podwórza, to dom Jakobsonów! A nieco dalej widzę po mojej prawej stronie dom, który z pewnością należał do telechańskiego popa, Ojca Joana.

Po chwili mijam już stojący w sąsiedztwie dom cioci Katarzyny, budynki mojej szkoły, dawnej gminy i po paru minutach wychodzę na dawną ulicę Piłsudskiego. Usiłuję odtworzyć w pamięci, jak tutaj było kiedyś. Domy niby te same. Parę z nich wylazło aż na chodnik. Tak samo jak kiedyś na ulicy Kościelnej, tutaj chodnik też był drewniany, a teraz jest z cementowych płyt.

Przed wojną, była to ulica sklepikarzy i rzemieślników. Nieomal wszyscy oni byli Żydami. Ale żydowska biedota, tutaj nie mieszkała. Gnieździła się po zauł-

kach, gdzie stały sklecone byle jak domki i cuchnęły wylewane na uliczki nieczystości. Tam mieszkali najbiedniejsi wyrobnicy, pachciarze, oraz nędzarze, którzy utrzymywali swoje liczne rodziny Bóg jedyny wie, jakim sposobem.

Porównuję obrazy ze wspomnień z rzeczywistością. W tych ulicznych zakamarkach nie obowiązywało malowanie płotów, bo ich tutaj przeważnie w ogóle nie było. Tych strasznych pożydowskich ruder też nie ma. Na ich miejscu stoją albo nowe domy, albo są place porośnięte chwastami.

* * *

Odwiedziłem część moich Telechan tak pośpiesznie, jak zjada się pierwszy kęs, kiedy człowiek jest bardzo głodny. Po takim kęsie, ssanie w żołądku ustaje. Zachłysnąłem się już Telechanami tak, że ustąpiło podniecenie, które opanowało mnie na początku zwiedzania mojego miasteczka.

Teraz kieruję swoje kroki na rynek. Ludzie tak nazywali ten odcinek ulicy przylegający do ogrodzenia cerkwi, chociaż targi odbywały się w innym miejscu. Ten niby rynek, to fragment poszerzonej w tym miejscu ulicy teraz pustej, sennej.

Całkowicie już rozluźniony stoję w cieniu wielkiej lipy, która rozparła się szeroko za cerkiewnym ogrodzeniem. Zasluchany w szum jej liści poruszanych lekkim wiatrem, z lubością poddaję się wspomnieniom.

Cofam się do czasów mojego dzieciństwa i oczami wyobraźni przeglądam fotografie tamtych moich Telechan. Wtedy żyli tutaj obok siebie zajęci codziennymi troskami Polacy i Rosjanie, Poleszucy nazywający siebie „tutejszymi”, czyli Białorusini, Żydzi i Litwini. Takie było to moje małe poleskie miasteczko, które odeszło w nieodwracalną przeszłość.

Jenak w mojej pamięci, jego obraz pozostał takim, w jakiej widziałem go w latach dziecięcych. Przekonany jestem, że do końca mojego życia pozostanie tam obrazem żywego muzeum kultury, religii, przepięknego folkloru i obyczajów zrodzonych wieki temu w zagubionej wśród puszczy i bagien cudownej Krainie Polesia.

Stojąc w pobliżu prawosławnej świątyni uległem urokowi wspomnienia, co oglądały tutaj moje chłopięce oczy w dni cerkiewnych uroczystości. Zdarzało się bowiem, że niekiedy podczas prawosławnych świąt moja mama zabierała mnie ze sobą do cerkwi na uroczyste bogosłużenia, czyli nabożeństwa. Pamiętam niezwykły klimat tych nabożeństw przesyconych zapachem morza płonących woskowych świec i niebieskich dymów z kadzideł, oraz niepowtarzalnego śpiewu setek przypadkowych, lecz zawsze pięknie zgranych ze sobą głosów.

Biorący udział w tych nabożeństwach mieszkańcy Telechan, stanowili nieliczną garstkę wiernych wobec Poleszuków, mieszkańców otaczających miasteczko chutorów i leżących w pobliżu wsi. Znamienne było to, że w ciepłe pory roku uczestniczyli oni w nabożeństwach ubrani niemal wyłącznie w swoje przepiękne samodziłowe stroje, wykonane z lnianego płótna o różnej grubości. To był najprawdziwszy, choć z ich strony nieświadomy pokaz tego fragmentu bogatego poleskiego folkloru.

Kobiety były wystrojone w soroczki – koszule z bufiastymi rękawami bogato wyszywanymi w charakterystyczne poleskie wzory i często narzuconymi na nie bajecznie haftowanymi serdaczkami. Drugą częścią stroju były perepeczki – obficie marszczone długie spódnice i fartuchy, które zdobione były w perebory – kolorowe wstawki w białym płótnie. Na głowach zaś nosiły szalinówki - kwieciste chustki z długimi frędzlami albo nametki – specjalne chusty z cieniutkiego płótna, kunsztownie układane na głowach w kształcie dużego turbana.

Mężczyźni nie wyglądali tak barwnie jak ich kobiety, ale też nosili bogato wyszywane długie soroczki przepasane pojasami – pasami utkanym z kolorowej wełny, wypuszczane na sztany – spodnie z grubego płótna.

Bezimiennymi „bohaterami” wyrobu tych odzieżowych cudniek były poleskie kobiety, które przy użyciu bardzo prymitywnych urządzeń tkwały cienkie jak batyst lniane płótno, z przeznaczeniem na świąteczne koszule, bluzki i chusty. To płócienko już w czasie tkania zdobiły kolorowymi wstawkami, a po uszyciu z niego odzieży, wyszywały na niej przepiękne, często niepowtarzalne wzory.



Dziewczęta z poleskich wsi nie pozują do zdjęć w kupionych strojach.
Te cudnieka stworzyły własnymi rękoma ich matki i one same.

Poleszucy zagubieni od zarania swojego istnienia w dzikich ostępach puszczy i bagien, musieli być przystosować do panujących tutaj warunków. Stąd też ich takie a nie inne ubiory wytworzone z dostępnych im materiałów jak len, owcza wełna, skóry, czy niezwykle ważny jeszcze do niedawna surowiec do wytwarzania obuwia, lipowe łyko. Pamiętam z lat dziecięcych, że nader rzadko można było spotkać zarówno latem jak i zimą poleskiego chłopca w innym obuwiu, jak nie w łapciach z lipowego łyka. Tak to było.



Zbiór lnu, surowca do wyrobu płótna.



Przędzenie lnu z pomocą wrzeciona i tkanie płótna. Chłopiec stoi przy stępie do wyrobu kaszy. Fotografia z lat trzydziestych ubiegłego wieku.



Wyrób łapci z lipowego łyka.



Ten rybak idąc nad jezioro, nie przywdział zdobionego odświętnie ubioru.

Wiejskie kobiety Polesia z tamtych lat, harując w obejściu i polu jak niewolnice od świtu do nocy, jednocześnie pokonywały dzielnie i takie przeszkody, jak obowiązek macierzyństwa. Wcale nierzadkim zdarzeniem było, że ciężarną kobietę chwytały porodowe bóle podczas pracy w polu przy sianokosach, żniwach czy wykopkach i z pola powracała do chałupy, już z noworodkiem zawiniętym w fartuch. Także powszechny był widok pracującej w polu młodej kobiety w towarzystwie swojego dzieciątka leżącego w plecionej z łyka kolebce, zawieszanej na trójnogu z żerdzi osłoniętym płachtą.



Kolebka na pole. Ten przedmiot znajduje się w Regionalnej Izbie Pamięci w telechańskim Domu Kultury.

Aż dziw bierze człowieka, jak te poleskie kobiety mimo niewyobrażalnie ciężkich warunków życia, potrafiły pielęgnować i rozwijać niewyczerpalny zasób finezyjnych pomysłów na zdobienie wyrabianej przez siebie odzieży.

Nie ma wątpliwości, że właśnie to niepowtarzalne zdobnictwo płóciennych ubiorów tworzone spracowanymi rękoma wiejskich kobiet, stało się na Polesiu zapalnikiem wybuchu powszechnej mody na ludowe poleskie stroje.

W kręgu naszej rodziny, panował niemal kult dla ludowej zdobniczej sztuki tej ziemi. Ale pamiętam także wiele obcych osób zafascynowanych poleskim folklorem i pełnych podziwu dla niezwykłego kunsztu prostych, często niepiśmiennych Poleszuczek, wytwarzających niezwykle prymitywnymi sposobami takie cudowne ozdoby ich odzieży.

Z dziecięcych lat pamiętam pliki takich fotografii znajdujących się w naszym domu. Niektóre z nich, wykonane były jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku. Niestety, wojenna zawierucha unicestwiła te wspaniałe pamiątki naszej rodziny i osób z nią zaprzyjaźnionych.

W tamtych latach, wiejskie stroje cieszyły się na Polesiu ogromną popularnością wśród mieszczuchów. Szczególne zainteresowanie okazywała temu miejscowa inteligencja, wywodząca się z rodzin żyjących tutaj od pokoleń. Jednym z przejawów tego, była dość powszechna moda fotografowania się w poleskich ludowych strojach.



Amatorski zespół młodzieży
z Telechan w ludowych strojach.
Fotografia z 1923 roku.



Ciocia Katarzyna i jej mąż Cyprian
w ludowych poleskich strojach.
Fotografia z 1930 roku.



Pamiętkowa fotografia ze zbiorów rodziny Państwa Daukszów z Telechan.



Dzieci również pozowały w szkole do zdjęcia w ludowych strojach.
Fotografia z 1934 roku.

Nie mam wątpliwości, że powszechną modę robienia sobie takich pamiątek, zainspirowali ludzie zakochani w tej cudownej krainie puszczy, bagien, rzek i jezior, zaś w pojęciu wielu mieszczuchów te pozornie obskurne poleskie ubiory, potrafiły swoim zdobnictwem zachwycić ludzi posiadających chociażby jakikolwiek zmysł estetyczny

Przypuszczam jednak, że nie wszyscy ci „przebierańcy” fascynowali się tym folklorem. Zapewne byli i tacy, którzy pozując do zdjęć przebrani za Poleszuków, pragnęli tylko zaspokoić swoje fochy panującej mody, analogicznie jak ówczesne strojenie niemal wszystkich dzieci w marynarskie ubranka.

ROZDZIAŁ 3

Nagle ocknąłem się z „pływania” mojego umysłu po dawno minionych latach i spoglądam na zegarek. Już za godzinę będzie południe! Najwyższy czas udać się nad kanał Ogińskiego. Z tego miejsca gdzie stoję do kanału na wprost jest bliźutko, ale postanawiam pójść tam wydłużoną drogą przez odcinek ulicy Kościelnej, którego jeszcze nie zwiedziłem.

Idę, zatem moją ulicą i uważnie przyglądam się każdemu jej szczegółowi. Hm... ten spory dom z brązowymi odrapańcami na sobie, z pewnością kiedyś był pomalowany na zielono. Nie mam wątpliwości, że to dom kierownika szkoły pana Pierowskiego. Miał syna Jurka i córkę Elę. Kierownika w czterdziestym drugim roku rozstrzelali Niemcy.

A ten dom też poznaję. Mieściła się w nim apteka pana Bochińskiego, który umarł zaraz na początku wojny. O, a ten duży dom po drugiej stronie ulicy, należał do właściciela autobusu pana Pigulewskiego. Oba te kiedyś bardzo dostatnie domy, też podupadły tego.

Doszedłszy do ulicy Szkolnej, ponownie spotykam się z wodzem rewolucji na kamiennym cokole. Nie zwracam uwagi na towarzysza Lenina i podążam w stronę zakrętu ulicy Kościelnej. Już jestem na wysokości budynku dawnego kościoła, a obecnie kinoteatru i skręcam w prawo do niemal zaułka, prowadzącego nad kanał Ogińskiego. Mijając kilka stojących w nim drewnianych domów przypominam sobie, że mieszkali tutaj państwo Dramowiczowie, Gilisowie, cieśla Struniewski...



Znaczące gospodarczo w Telechanach małżeństwo Leokadii i Włodzimierza Pigulewskich



Autobus „Sokół” kursujący m. Telechanami a Pińskim W. Pigulewskiego (w kapeluszu).

Zabudowania już skończyły się. Szumią nade mną wysokie, stare topole. Te same, co kiedyś? Na to wygląda. Pnie mają potężne, są wiekowe. Już kończą się topole, zaraz piaszczysty trakt wyprowadzi mnie na śluzę. Ale, ale, nie czuję niepowtarzalnego, świeżego zapachu przeczystej wody, opadającej na śluzie szumiącą kaskadą. Nie słyszę jej szumu. Gdzie jest śluza? Gdzie jest jeziorko? Gdzie!

Zmieniła się fotografia moich wspomnień. Rzeczywistość okazuje się gorsza od mojej podobno bujnej wyobraźni. Nie ma śluzy, nie ma drewnianego pomostu i wodnej kaskady. Nie ma też wiekowych drzew, które otaczały wod-



Statek „Sekunda” na przystani w Telechanach. Fotografia z 1937 roku.



Oprócz „Sekundy” przyływały z Pińska również statki w różnych celach gospodarczych.

ny zbiornik przy kaskadzie. Drzewa piękne i dumne, które szumem swych liści nuciły przedwieczną pieśń chwały dla matki przyrody, tak okrutnie tutaj przez ludzi skalanej.

W miejsce krystalicznie czystego wodnego zbiornika ze złocistym piaskiem na dnie, widzę przed sobą sadzawkę odrażająco brudnej wody, z połyskującymi tęczowo na niej w słońcu tłustymi plamami. Z bajora wyzierają stare, przeżarte rdzą wiadra, fragmenty jakichś gospodarczych sprzętów, wyłysiałe opony, zbutwiałe gałęzie. Brzegi tego jeziorka porastała niegdyś zielona gęsta murawa, teraz są one czarne i błotniste, częściowo porośnięte chaszczami.



Sztuczne jeziorko na kanale Ogińskiego w Telechanach

Ten barbarzyńsko uśmiercony teraz akwen, w latach przedwojennych był dla Telechan miejscem bardzo ważnym. Zimową porą na jego lodowej tafli, w prawosławne święto Trzech Króli celebrowany był tutaj ważny obrzęd religijny, noszący nazwę Jordanu. Polegał on na odprawieniu uroczystej mszy przy ołtarzu zbudowanym z lodu, a jej kulminacyjnym punktem było poświęcenie wody w przerębli, poprzez zanurzenie w niej krzyża. Prawosławny proboszcz powierzał zaszczyt budowy lodowego ołtarza i wykonania przerębli, cieśli Struniewskiemu.



Prawosławna uroczysta msza nad kanałem w święto Jordana

To samo jezioro dzięki ówczesnemu burmistrzowi Telechan panu Ludwikowi Kowalewskiemu, już w kilka lat po zakończeniu pierwszej światowej wojny stało się dla mieszkańców miasteczka w letnich miesiącach miejscem wielkiej atrakcji. Z okazji Święta Morza, odbywała się tutaj wspaniała zabawa dla ludności miejscowej i wycieczkowiczów, przyprawiających tutaj kajakami aż z Pińska. Główną atrakcją tej zabawy był taneczny parkiet, który w tym celu budowano na tafli tego jeziora. Jednak festyn na wodzie z okazji Święta Morza, nie był jedynym w roku. W ciągu lata, taneczne zabawy organizowano w ten sposób kilkakrotnie.

Trzeba tutaj powiedzieć, że burmistrz Kowalewski nie był pierwszym pomysłodawcą wykorzystania jeziora, jako miejsca rozrywki. Prawie dwa wieki wcześniej, na scenie pływającej po tafli tego jeziora, grane były ówczesne najwspanialsze opery. Działo się to z woli hetmana Michała Kazimie-

rza Ogińskiego, ówczesnego właściciela tych ziem, wielkiego miłośnika muzyki i mecenasa sztuki.

Burmistrz Kowalewski, przywrócił do życia zagubiony w mroku dziejów tej ziemi pomysł hetmana. Jednakże między imprezami urządzanymi przez Ogińskiego i tymi sprzed kilkudziesięciu lat, była zasadnicza różnica. Opery na jezioru grano dla nielicznej grupy arystokratów, a festyny pana Kowalewskiego były darem burmistrza dla wszystkich mieszkańców miasteczka.

Przygotowania do takiego festynu trwały kilka dni. Na tafłę jeziora spławiano łodzie, wielkie nieomal jak barki. Spinano je ze sobą, a na nich cieśle układali podłogę z gładko heblowanych desek. Potem stawiali podium dla orkiestry i całość obudowywali solidną barierą, która uniemożliwiała jakiegokolwiek nazbyt zajętej sobą tanecznej parze, wpadnięcie do wody. Nad płynącym parkietem i nabrzeżem, rozwieszano mocowane na wysokich słupach girlandy kolorowych żarówek. Tą skomplikowaną operacją, dowodził osobiście jedyny w miasteczku elektryk, pan Białobłocki.

Podczas zabawy, taneczne przeboje grała orkiestra dęta miejscowej ochotniczej straży pożarnej. Jej komendant pan Gwóźdź, wystrojony w galowy mundur, występował wówczas w roli wodzireja. Z pomocą tuby zdzierał bezlitośnie gardło, podgrzewając tym sposobem atmosferę wśród tancerzy.

Nieopodal wejścia na estradę, znajdował się oczywiście obficie zaopatrzony bufet, ale bez wyszynku. Nad ładem zaś i porządkiem, czuwali zarówno policjant na służbie, jak i kilku nieulomnych młodzieńców, w mundurach i hełmach ogniowej straży.

Zrozumiałe, że bal na wodzie organizowany z okazji Święta Morza, zawsze miał szczególnie uroczysty charakter. Wówczas z Pińska spływała kajakami cała ławica gości, głównie młodych ludzi. Na zaproszenie burmistrza, do Telechan przyływała także kanonierka marynarki wojennej, stacjonującej w Pińsku. Oczywiście, że marynarze z kanonierki, byli honorowymi gośćmi balu na wodzie.

Wizytując Telechany kanonierkę zacumowaną przy nabrzeżu koło przystani pasażerskiego statku, zwiedzały tłumy ciekawskich. Większość zwiedzających, to była istna gawiedź składająca się z miejscowej i okolicznej dzieciarni, oraz chrześcijańskich i żydowskich wyrostków. Znajdującą się na pokładzie kanonierki armatę, zawsze otaczał ciasny wianuszek młodych Żydów. Przyglądali się jej z wyrazem podziwu na twarzach, szwargocząc półgłosem między sobą. Od czasu do czasu, któryś z wyrostków z wyraźnym szacunkiem dotykał armatniej lufy, poczym gwałtownie cofał rękę.

Natęstwo towarzystwa oblepiającego trap i pokład kanonierki, marynarzom pełniącym na niej służbę sprawiało prawdziwą udrękę. Niestety, zwiedzanie wojennego okrętu, było w programie jego wizyty w Telechanach.

Co się tyczy samej zabawy, to byłem dwukrotnie bezpośrednim obserwatorem tej imprezy. Po raz pierwszy, kiedy jeszcze nie chodziłem do szkoły. Wówczas w dniu Święta Morza mnie i moje rodzeństwo, rodzice zabrali ze sobą na spacer nad kanał.

Spacer ten zrobił na mnie niezapomniane wrażenie. Był już wieczór. Przez grzmot dętej orkiestry, z trudem przebijał się gwar tłumu na brzegu i szurgot nóg tancerzy na pływającej podłodze. Parkiet na wodzie i nabrzeże, oświetlone były zawieszonymi na słupach girlandami żarówek. Światło z nich, odbijało się milionem srebrnych iskier w czarnej teraz wodnej kaskadzie na śluzie i w jezioru.

Tego wieczoru księżyc był w nowiu i niebo nad wodą, z gwiazdami niewidocznymi w łunie sztucznego światła, miało kolor różowo szary. Zatopione w mroku nocy, nieruchome czarne sylwety drzew otaczających akwen, wyglądały tajemniczo, strasznie.

Byłem nieomal zahipnotyzowany tym nowym dla mnie, nienaturalnym otoczeniem. Wytrzeszczając oczy aż do bólu, jak gąbka chłonałem obrazy otaczającej mnie scenerii. Panujący tumult dźwięków i przelewająca się ludzka masa, wywołały we mnie stan silnego podniecenia. Idąc pomiędzy mamą i siostrą, kurczowo ścisakałem ich ręce, żeby opanować drżenie całego ciała. Dech w piersiach zapierał mi widok najprawdziwszych marynarzy, których widziałem pierwszy raz w życiu. Postanowiłem wówczas, że jak tylko dorosnę, to zostanę marynarzem.

Postanowienie zostania kimś tam w życiu, zmieniałem jeszcze wielokrotnie, lecz w kilkanaście lat później, co prawda na krótko, ale marynarzem zostałem.

Drugi raz, taneczną imprezę na wodzie w pełnej krasie, widziałem kilka lat później. Wkręciłem się wówczas w towarzystwo mojej kuzynki Mureczki i jej narzeczonego Poldka, oficera z jednostki wojskowej w Prużanie.

Ta impreza z okazji Święta Morza, odbyła się w Telechanach wówczas po raz ostatni. Mureczka i Poldek, widzieli się ze sobą wtedy także po raz ostatni. Było to bowiem Święto Morza w roku 1939.

* * *

W latach poprzedzających 1939 rok, kiedy na jezioru nie było pływającego parkietu z tancerzami, dętą orkiestrą i tłumem ludzi, w tamtych latach szczęśliwego dzieciństwa, my telechańscy chłopaczkowie uznawaliśmy to miejsce, za swoją wyłączną własność.

Wówczas do nas należał ten cudowny, letni raj przyrody. Nasza była wodna kaskada śluzy, jezioro o złocistym dnie i drzemiące nad brzegami potężne drzewa.

Przecież to tutaj, niewiele ponad ćwierć wieku temu, ja razem z Tadekiem, Kołą, Guciem i innymi chłopaczkami mocząc się na golasa w wodzie po pępki, łowiliśmy ryby. Stopy nasze zatapiailiśmy w białozłotym piasku dna, bo stadka maleńkich okoni natrętnie szczypały nasze palce u stóp.

Każdy z nas ma w ręku długi, prosty leszczynowy kij. Do końca kija przywiązany jest konopny sznurek, do sznurka zaś plecionka z końskiego włosia. Do niej haczyk. Na haczyku przynęta dla ryby, dżdżownica. W przezroczystej wodzie doskonale widać, jak skubie ją stadko malutkich rybek. Wtedy



Śluza w Telechanach.

W głębi widoczny jest budynek Przedsiębiorstwa Odbudowy Kanału.

spławik z gęsiego pióra z korkiem, lekko drga. Ale oto do przynęty podpływa większa rybka. Rozpierzchły się maleństwa, a ona skubnęła przynętę raz, drugi i łaps! Ciągnie, trzymając w pyszczku. Teraz trzeba poderwać wędkę. Raz! Błysnęły słońcem w powietrzu srebrne łuski. Płotka leży już na trawie. Rozpaczliwie otwiera pyszczek. Stoszy czerwone grzebienie płetw. Teraz wędruje do saczka, zatopionego w wodzie. Niech się nie męczy.

A spławik drga znowu, ale inaczej. To bierze okoń. Raz! Już jest na brzegu, skąd trafia do saczka. Łowimy dalej, drepcząc po piasku dna, bo malutkie okonie nie dają nam spokoju.

– A kaby was usich szczuka zożrała! – żeby was wszystkie szczupak zezarł! – Irytuje się Jura, wierzgając w wodzie nogami. Odgania tym sposobem skubiące go po nogach małe okonki. Jest widocznie spośród nas najmniej cierpliwy.

– Ty, umyj nogi, to ryby nie będą ciągnąć do padliny – chichocze ze swojego dowcipu Robert.

– A ty łowi rybu na swoi woszy – łap ryby na swoje wszy – odcina się Jura. Śmiejemy się wszyscy z ich pogaduchy. Jest fajnie, wesoło...

– Jutro przyjdziemy na raki. Tam gdzie one siedzą, woda jest głębsza i nie ma tego natręctwa – decyduje nagle najstarszy wiekiem Kola.

– Ja patrzyłem ooo tam, pod wykrotami! Zalęgło się ich pełno!

– Wieczorem nałapię żab na przynętę – wtóruje Gucio. Wiadomo przecież, że raka nic tak nie znęci jak żabie udko, aby wylazł z wykrotu.

Słońce skryło się już za drzewami. Drzewa rzucają długie cienie, aż na drugi brzeg. Pochłodziło. Wyłazimy z wody, na mokre ciała naciągamy ubrania. Rybki mamy już nadziane na wierzbowe patyczki. Patyczek wkłada się rybce do skrzel, a wyciąga pyszczkiem. Rybki wiszą pęczkiem, jedna nad drugą. Czasem, któraś jeszcze rozpaczliwie trzepnie ogonkiem. Teraz do domu. Bose nogi chłopaczków mlaskają o piach. Jeszcze ciepły, wygrzany. Będzie kolacja z rybek. Mama je usmaży.

Czasami, jeśli w piątek po południu nie łowimy ryb, nasza paczka chłopców urządza sobie atrakcyjny wypad. Tuż przed zachodem słońca, cichaczem wymykaliśmy się z domów i biegliśmy na uliczkę, gdzie znajdowała się synagoga. W synagodze, w piątek wczesnym wieczorem modlą się pobożni Żydzi

Jak możemy najostrożniej, uchylamy drzwi synagogi, żeby broń Boże nie skrzypnęły. Z wnętrza dobiega męski wielogłos modlących się. Nad tym bezładnym chórkim góruje wysoki, lekko schrypnięty głos wiernego, czytającego Torę. Człowiek ten ubrany jest w dziwne dla nas, liturgiczne szaty.

Szparą w drzwiach wydostaje się na zewnątrz rozgrzane powietrze, przesycone zapachem roztopionego wosku świec, nieświeżych ludzkich ubrań i czegoś jeszcze, jakby zleżalego papieru.

Palą się w lichtarzach woskowe świece, mrugają ich płomyki. Najwięcej ich tam, gdzie Żyd w liturgicznych szatach czyta Torę, spisana na zwoju papieru. Tora w trakcie czytania przewijana jest z jednego drewnianego wałka na drugi. Od palących się świec, ludzkie postacie rzucają na białą wybielone ściany wielkie kosmate cienie.

Nagle robi mi się nieswojo, bo przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział mój żydowski przyjaciel Chaimek.

– Jak się zagłęda do cudzej świątyni, to za plecy może ciebie złapać jakieś straszdyło, a nawet aj waj! Co za okropność! Do twojej duszy może wejść sam Dybuk, znaczy straszny zły duch. To też, ja Chaim nigdy nie zaglądał ani do cerkwi, ani do kościoła!

Jednakże u mnie, ciekawość wzięła górę nad strachem przed Dybukiem i wciśnięty na wszelki wypadek pomiędzy chłopaków, gapię się nadal.

Niespodziewanie, któryś z podglądaczy głośno chlapie smarkami w nosie. Na ten odgłos, Żyd siedzący najbliżej drzwi obraca ku nam okrytą tałesem kudłatą głowę. Mnie się wydaje, że jego kosmata broda zjeżyła się w naszym kierunku. Żyd patrzy na nas groźnie i syczy:

– Poszli wont małe goje, wek szejgin, precz łobuzy!

To wystarcza, żebyśmy się rzucili do ucieczki, choć nikt nas nie goni. Podglądanie modlących się w synagodze Żydów, nie zawsze kończyło się w ten sposób. Czasami nikt nie zareagował, a czasami nikt nas nie zauważył. Jednak ze względu na późną porę, zawsze spod synagogi pędziliśmy biegiem do domu.

Do domu? Jakiego domu? Stoję nad cuchnącym rozlewiskiem, pełnym śmieci. Nic tu po mnie. Ruszam w stronę koryta kanału. Ciekawe, co z niego zostało. Co zostało z przystani, gdzie cumował parostatek „Sekunda” i jeszcze inne, gdzie przewijały się tłumy ludzi. Co zostało ze spacerowego bulwaru.

Idąc w kierunku kanału widzę, że nie ma tam gąszczy starych drzew. Dochodzę do jego koryta, porośniętego chaszczami. Z przepięknego bulwaru, z „biczewnika” jak go w Telechanach nazywano, nie pozostało nic. Martwy prawie pas ziemi z chorowitą trawką, ciągnie się wzdłuż szerokiego rowu, na którego dnie widzę mętne ślady wody. Brzegi porośnięte są jakimś zielskiem. Tam, gdzie rosły potężne klony, lipy i jesiony, sterczą po nich z ziemi jedynie poczerniałe pnie. Oto co pozostało z przystani i wspaniałego bulwaru, chluby miasteczka. Tyle, że wokół jest sporo młodych drzewek, zapewne samosiejek.

Kiedy mieszkałem w Telechanach, za kanałem rozciągała się aż pod ścianę lasu na horyzoncie równa jak boisko, zielona soczysta łąka. Pamiętam stojące na niej szare ruiny pałacu Honoraty Ogińskiej, siostry hetmana. Ruiny sterczały samotnie na tej zielonej łące, spoglądając na drugą stronę kanału martwymi, czarnymi oczodołami po oknach. Po wspaniałym parku otaczającym kiedyś pałac, nie było żadnego śladu. W jego miejsce, niezwykczona natura stworzyła łąki, na których pasły się telechańskie krowy.



Ruiny pałacu Honoraty Ogińskiej. Fotografia z lat trzydziestych XX wieku.

Teraz łąk tutaj nie ma, nie ma pasących się krów, nie ma ruin pałacu. Wysechł kanał, wyschły zmeliorowane bezmyślnie łąki. Szaro, smutno. Ściany lasu na horyzoncie też nie ma. Jeszcze jedna ofiara ludzkiej bezmyślności.

Siadam na czarnym pniu sterczącym z ziemi, opieram łokcie na kolanach, dłonie zaś podtrzymują brodę. Zamykam oczy. Wywołuję pod zamknięte powieki dawne obrazy tej mojej ziemi. Wspomnienia powoli przysłaniają przykrą rzeczywistość, którą przed chwilą odkryłem. Wokół panuje cisza, kompletna cisza. Nie szumią stare, ogromne drzewa i nie ma na nich rozśpiewanych ptaków.

ROZDZIAŁ 4

Siłą woli uciekam w dawno minione lata. Już widzę siebie jako kilkuletniego chłopczyka, który drepcze po miękkiej, wilgotnej trawie bulwaru. Na ogromnych drzewach delikatnie szumią liście. Przez piramidę ich gęstwiny, z trudem przedzierają się promienie słońca, układając na trawie złociste plamy. Wysoko nade mną, ukryte w zielonej gęstwinie wilgi i drozdy, zachłystują się śpiewem. Od wody w kanale niesie się jej przeczysty zapach, upajający jak świeże siano.



Bulwar nad kanałem Ogińskiego, zwany powszechnie „biczewnikiem”

Taki był ten telechański bulwar w ciepły, wiosenny dzień. Służył wszystkim, kto chciał napawać się jego niepowtarzalnym, zielonym urokiem. Ba, od lat, kiedy ucichła zawierucha pierwszej światowej wojny, wiosną i latem w pogodne świąteczne dni, bulwar stał się dla mieszkańców miasteczka miejscem spacerów, rodzinnych i towarzyskich spotkań, oraz rewią mody dla większości tutejszych pań. Stało się to nieomal czymś obowiązkowym, w wypełnieniu godzin świątecznego dnia. Dla Żydów w szabas, czyli sobotę, dla chrześcijan w niedzielę.

Otóż dzisiaj jest sobota, słoneczna i ciepła. Wczesnym popołudniem, nad brzegiem kanału w cieniu drzew siedzi kilku chłopaczków z wędkami w rękach. Dzisiaj łowią ryby w nurcie kanału, a nie w swoim stałym miej-

scu przy śluzie. Przywiodła ich tutaj ciekawość, oglądania spacerujących po bulwarze Żydów. Bystre oczy chłopców pilnie obserwują, co się na nim dzieje. O, bulwarem idzie już grupka żydowskich dziewcząt. Większość w białych, prawie po kostki sukienkach. Niektóre w kolorowych, wzorzystych. Wszystkie w białych pończochach. Prawie każda z dziewcząt, ma długie włosy splecione w warkocze. Te warkocze są kruczoczarne, rzadziej miedziano-rude.

Dziewczęta idą po kilka, głośno szwargoczą, śmieją się. Strzelają oczami do chłopaków, idących z naprzeciwka grupkami. Każdy z nich ma na głowie jakieś nakrycie, przeważnie zwykłą czapkę, rzadko trafia się mycka, a jeśli jest to kapelusz, to obowiązkowo czarny. Sporo chłopaków ma pejsy. Młodszy chłopcy, gołowasy jeszcze, są jakby speszeni kokieteryą dziewcząt. Uśmiechają się jakoś niepewnie, jakby zawstydzeni. Za to starsi, co to już im puszczają się liche na razie brody, są pewniejsi siebie. Śmieją się hałaśliwie, wzajemnie przekrzykują, chcąc na siebie zwrócić uwagę dziewcząt. Świecą się oczy i jednym i drugim. Oczy mają na ogół duże, brązowe, rzadziej czarne czy zielone. W ciemnej oprawie rzęs i brwi.

Upłynęło niewiele czasu i na bulwarze zaroilo się od spacerujących Żydówek z dziećmi. Prawie wszystkie spośród nich, to kobiety o kształtach obfitych, niektóre wręcz tłuste, rozlane. Wszystkie poubierane są odświeżeniem, na głowach mają kapelusze z woalkami, ale częściej koronkowe czarne szale. Wiele spośród nich ma głowy wygolone i nosi peruki. Niektórych peruk nie sposób odróżnić od włosów naturalnych, a inne aż rzucają się w oczy swoją sztucznością. Żydówki twarze mają mocno wymalowane, a ta sama jaskrawa szminka, co na ustach, jest również w dziurkach nosa. U każdej jednej z żydowskich elegantek. Zawiewa od nich mocnymi perfumami o przeróżnych zapachach aż do nas, nad sam kanał. Spacerujące kobiety mają na sobie dużo złotych błyskotek, kolczyki, pierścionki, przeróżne wisiorki.

Kobiety spacerują gromadkami, ze stertami swoich dzieci. Rozmawiają bardzo głośno, śmieją się, przekrzykują między sobą. Dzieciaki biegają, wrzeszczą. Tych dzieci jakoś strasznie dużo.

W tym babskim tłumie, mężczyzn mniej jak na lekarstwo. Trudno jednak nie zauważyć wysokiej i brzuchatej postaci kupca bławatnego, Czerni. Faktycznie, to on nazywa się Czernomorec, ale wszyscy mówią na niego Czernia. Tak jest łatwiej.

Kupiec bławatny Czernia rzuca się w oczy już z daleka. Nawet nie tyle ze względu na potężną posturę, co na tradycyjny żydowski ubiór, którego w Telechanach nikt prócz niego nie nosi. Wielka broda kupca spoczywa na aksamitnej kamizelce, na którą nałożony jest czarny surdut. Kuse spodnie kończą się tuż za kolanami, a niżej na butelkowatych łydkach, widać białe pończochy. Od dołu Czernia zakończony jest lśniącoymi lakierkami. Głowę kupca przykrywa płaski czarny kapelusz z dużym rondem. Założone na plecy ręce trzymają lekką laskę, ze srebrnym pałakiem uchwytu.

Kupiec dostojnie kroczy sam, nikt mu nie towarzyszy. Jego żona cała w koronkowej czerni, „toczy się” parę kroków za nim. Rozmiarami ciała, kupcowa niewiele ustępuje mężowi. Ona również jak inne spacerujące tutaj Żydówki, twarz ma mocno wyszminkowaną, włącznie z dziurkami nosa. Kupcową, która lśni w słońcu złotymi błyskotkami, otacza kilka pulchnych żydowskich elegantek, które zaglądając jej w twarz, bez przerwy coś mówią. Ta zaś robi wrażenie, że ostatecznie zgadza się na ich towarzystwo. Wokół tej grupki, wydaje się aż parować gęsty zapach mieszaniny perfum.

Na policzenie pozostałych mężczyzn, palców u jednej ręki za dużo. Jest jeszcze na spacerze handlarz bydlęcymi skórami, Lewin. Na imię ma Abraham, ale w Telechanach wszyscy nie – Żydzi, mówią na niego Abramek. Abramek jeździ swoją furką po rozległej okolicy i skupuje w ubojniach i od gospodarzy zwierzęce skóry. Potem dostarcza je gdzieś do garbarni. Kiedy handlarz ten jedzie przez miasteczko swoją furką zaprzężoną w niepokątnego konika, wszyscy wiedzą o tym zawczasu, bo jego pojazd już z daleka okropnie cuchnie tymi skórami.

Jednak w szabas, tutaj na bulwarze zaszmelcowany w zwykły dzień Abramek Lewin, wygląda jak pan Abraham Lewin. Gładko ogolony, w białej koszuli, czarnym garniturze i kapeluszu, spaceruje z dwoma innymi handlarzami, Aronem Rubinem i Szłomą Rakiem. Oni również dzisiaj nie wyglądają jak zwyczajni, zapracowani telechańscy Żydzi. Też mają wygolone twarze i ubrani są w czarne garnitury.

Aron i Szloma są współnikami. Latem, na stacji wąskotorowej kolejki skupują od Poleszuczek bagienne i leśne dary tej ziemi; czarne jagody, borówki, żurawiny i grzyby. Zakupiony towar elegancko zapakowany w łubianki, jeszcze w tym samym dniu pojedzie do Iwacewicz. Stamtąd, nocny pośpieszny pociąg dostarczy je raniutko do Warszawy, gdzie oczekiwać już będą na towar tamtejsi kupcy.

Ponadto, Aron i Szloma mają wspólne interesy z Landmanem, dzierżawcą Wólkowskiego jeziora. Łowione tam przez Poleszuków ryby, rozprowadzają wśród niezliczonych odbiorców. Zimą zaś, handlują głównie opałowym drewnem.

Trójka tych handlarzy idzie razem. Głośno o czymś rozprawiają, energicznie gestykulując. Wygląda to tak, jakby kłócili się ze sobą. Żony handlarzy z gromadkami swoich dzieci, idą kilka kroków za nimi. One też głośno rozmawiają między sobą, a ich dzieciaki wydzierają się. Chwilami trzej mężczyźni jeszcze bardziej podnoszą głosy. Zatrzymują się wówczas i stojąc ciasnym wianuszkciem twarzą w twarz, prawie wrzeszczą, wymachując rękoma przed nosami. Wtedy ich żony łapią za ubrania najbliższe dzieci ze swojej gromadki i też stają w miejscu.

Taki postój trwa dopóty, dopóki kupcy nie wywrzeszczą się. Kiedy wreszcie przycichną, ponownie ruszają z miejsca. W ślad za nimi zaczynają też dreptać ich żony, popychając przed sobą dzieciaki.

Dziwiły mnie takie zachowania i to, że w szabas spacerują właściwie same kobiety z dziećmi. Zapytałem kiedyś mamę, dlaczego w niedzielę katolicy i prawosławni spacerują po biczewniku całymi rodzinami, a Żydzi w sobotę robią to w taki dziwny sposób. I co w tym czasie robią mężczyźni, że ich nie ma. Musiałem też zgłębić tajemnicę, dlaczego ci czterej Żydzi, jeśli już pojawiają się na spacerze, to chodzą z dala od swoich żon i dzieci, które wloką się gdzieś w ich „ogonie”. Mama wyjaśniała mi wówczas, że dawno temu Żydzi przybyli tutaj z kraju, gdzie panują takie właśnie obyczaje. A dla pobożnych Żydów sobota jest dniem tak świętym, że nie wolno niczego robić. Siedzą więc w swoich domach i czytają święte księgi.

– Aha, to ci czterej, co spacerują po bulwarze nie są pobożni! - Rezolutnie rozjaśniło mi się w głowie.

– Synu, nie osądzaj tak ludzi. Jeśli spacerują, to ich sprawa. Każdy obyczaj, który nie szkodzi innym, należy uszanować – ucięła temat mama.

A na bulwarze, całe to hałaśliwe towarzystwo wystrojone i rozsiewające kłębowisko woni przeróżnych perfum, przepływa w jedną i drugą stronę. Na nas, chłopaczków łowiących ryby, nikt nie zwraca uwagi. Przecież goje z wędkami nad kanałem w szabas, to normalny widok.

Słońce już zaczyna kryć się za koronami drzew. Powietrze jest wygrzane słońcem, ale od wody zaczyna już docierać jej świeży, wilgotny powiew. Przedwieczorny wietrzyk wzmacnia szum liści na drzewach. Na bulwarze Żydzi ciągle szwargoczą, ich dzieciaki wrzeszczą, a na wysokich drzewach, ptaki próbują zapanować nad ludźmi śpiewem

Bulwar zaczyna przerzedzać się. Spacerowiczów na nim, coraz mniej. Ci, co jeszcze zostali, zaczynają opędzać się od komarów. Komary zaczynają dopiekać i nam. Najwyższy czas do domu. Mama będzie niezadowolona, że wracamy tak późno. Nawet złapane rybki nie pomogą. Znów będzie mówić, że nad kanał więcej nie puści. No to prędko do domu. Tam jeszcze parę godzin marudzenia, potem mycie, kolacja i spać. Jutro niedziela.

W niedzielne przedpołudnie, katolicy i prawosławni idą na nabożeństwo do swoich świątyń. Ci do kościoła, a ci do cerkwi. Prawosławnych jest dużo więcej.

Po mszach w kościele i cerkwi, jedni ludziska od razu idą do domu, a inni przystają, rozglądają się za krewnymi, przyjaciółmi, znajomymi. Chciałoby się ich zobaczyć, pogadać, „pobiesiedować”, jak mówią tutaj. Ale kościół i cerkiew stoją w różnych, oddalonych od siebie miejscach. To też od wiosny do jesieni, jeśli tylko pozwala na to pogoda, bulwar nad kanałem Ogińskiego zwany częściej biczewnikiem, jest miejscem rodzinnych i towarzyskich spotkań. Jest także wybiegiem rewii mody dla telechańskich elegantek. Tutaj pokazuje się nowe suknie, kapelusze, pantofelki, torebki, rękawiczki...

W naszej rodzinie, moja mama i siostra Mundzia chodzą na niedzielne msze do cerkwi, a ojciec z moim bratem Stefanem i za mną, do kościoła. Po wyjściu ze świątyń, spotykamy się wszyscy przy uliczce, wiodącej nad kanał Ogińskiego. W niektóre niedziele przy ładnej pogodzie nie idziemy stąd pro-

sto do domu, a godzinę czasu poświęcamy na spacer nad kanałem, w cieniu starych drzew.

Jakieś pół godziny po zakończeniu nabożeństw w obu świątyniach, na bulwarze jest już ludno. Nieliczni spacerują samotnie, inni parami, a jeszcze inni, całymi grupkami. Jedne dzieci idą grzecznie obok rodziców, inne swawolnie biegają pomiędzy dorosłymi. Niekiedy któreś mniejsze dziecko przewróci się, rozpląsczy na trawie. Popłacze trochę. A życie towarzysko rodzinne wśród spacerowiczów, wre.

Oto widzę z dala moje wujostwo. Oni bardzo rzadko odwiedzają bulwar. Wuj Stefan idzie z żoną, ciotką Manią. Jest z nimi ich dorosła córka Małgosia, moja kochana Mureczka, drobna delikatna dziewczyna w okularach. Wuj jest wysoki jak tyczka do pnącej fasoli. Chodzi jak żuraw, rytmicznie poruszając głową przy każdym kroku. Do odmiany ciotka jest mała i gruba. Twierdzi, że kiedyś była szczupłutka, a jej obecna tusza, to z powodu chorej wątroby. Kiedy wuj to słyszy, parska śmiechem i mówi ciotce, żeby dała spokój z tą wątrobą. Nic wątrobie nie jest, skoro wytrzymuje takie obżarstwo. Na to ciotka dąsa się i mruczy coś o braku taktu, a wuj macha ręką i na wszelki wypadek znika w drugim pokoju.

Teraz ciotka uwieszona na przedramieniu wuja, „przelewa się” ku przodowi na swoich krótkich nogach. Nie lubię ciotki, ona mnie też. Mówi, że przy takim charakterku, ze mnie może wyrosnąć tylko bolszewik. Ciekawe, jak nazwać to, co wyrosło z ciotki.

Ale oto już nasze rodziny zrównały się ze sobą, teraz idziemy razem. Toczy się rozmowa, która mnie nie interesuje. Idę grzecznie i gapię się na ludzi.

O, właśnie nadchodzi aptekarz, pan Bochiński z żoną. On jest niewielki i chudziutki, a jego staromodny garnitur krojem zupełnie nie przypomina garniturów mojego ojca, czy wuja. Także koszulę aptekarz ma ze staromodnym, wysokim nakrochmalonym kołnierzykiem. W krawacie wyglądającym jak apaszka, tkwi ozdobna szpilka. Kapelusz trzyma w ręku, a jego głowa jest golutka jak jajko. Na niej wyrasta z ciemienia lśniący, czerwony twór wielkości dużej śliwki. Wiedziony niespożytą ciekawością, dawno już wy dobyłem od rodziców wiadomość, że ten guz na głowie aptekarza to jakaś poważna choroba, która nie daje się wyleczyć.

Aptekarzowi towarzyszy obfite kobiecisko. To pani Bochińska. Twarz ma wymalowaną od kapelusza, aż po „kaskadę podbródków”. Pod nimi piętrzy się kilka pagórków ciała, przykrytych kwiecistą suknią. Ten masyw buja się w górę i w dół przy każdym kroku. Aptekarzowa ma modny kapelusz z woalką i koronkowe rękawiczki. Zalatuje od niej mocnymi perfumami, jak w szabas od eleganckich Żydówek.

Teraz następują nowe ukłony, uśmiechy, wymiana uprzejmych zdań. To Polczyńscy. On wysoki, ona maleńka jak dziewczynka. Pod rękę, idzie z nią nastoletnia córka Ninka. Wszyscy Ninkę nazywają Pestka. Są też obaj synowie Polczyńskich. Starszy, to Miecio parujący w gimnazjalnym mundurku i takiejż czapce. Miecio uczęszcza do gimnazjum w Iwa-

cewiczch. Na niedzielę przyjechał do domu. Młodszy chłopiec też starszy ode mnie, to Wienia. Kiedyś go zapytałem go co to za imię, dowiedziałem się, że jestem głupi. Ale potem spytałem o to moją mamę i wyjaśniła mi, że Wieńczysław.

Przemknął samotnie pomiędzy spacerującymi stary kawaler Kruczenko. Na imię ma Rościsław, i ludzie nazywają go z rosyjska Rostia. Jak w ukłonie Rostia uchyla czapkę, widać na głowie liche kosmyczki włosów, zalizanych przy pomocy brylantyny. Ma na sobie sportowy ubiór, w angielskim stylu. Kraciastą marynarkę, spodnie pumpy i pstre skarpety.

Teraz następuje wymiana ukłonów z byłym burmistrzem Telechan, panem Kowalewskim i jego żoną. Burmistrz bez przerwy uchyla kapelusza i uprzejmie uśmiechając się, głową przesyła znajomym ukłony na lewo i prawo. Wtóruje mu w tym małżonka.

Tak na prawdę, to pan Kowalewski pełnił funkcję naczelnika miasteczka, gdyż burmistrza w Telechanach nigdy nie było, ale ludzie do dzisiaj mówią mu „panie burmistrzu”. Pan Kowalewski jest kolegą mojego taty, jeszcze z czasów kawalerskich. Kiedy po latach urodził się mój brat Stefan, to pan Kowalewski został jego chrzestnym ojcem. Toteż brat i ja z siostrą mówimy do niego wujku, a do jego żony ciciu. Z Kowalewskimi idą ich dzieci, dwie dziewczynki.

Na bulwarze pojawia się następna osoba, którą znają całe Telechany. To doktor Wojdyło ze swoją żoną i dziećmi. Doktor jest mężczyzną o sylwetce sportowca, nosi zgrabny wąsik, a gęste włosy ma ostrzyżone na języka. On nie musi bez przerwy sięgać do kapelusza, jak pan burmistrz, bo chodzi bez nakrycia głowy. Właściwie, to na codzień nie widać jak doktor chodzi, bo on jeździ motocyklem. Doktor ma pod lekarską opieką jeszcze inne miejscowości oprócz Telechan. Na motocyklu jeździ do Świętej Woli, Wygonoszczy i Bozia wie, gdzie jeszcze.

Teraz cyklistówkę zdejmuje w ukłonie inny medyk, felczer pan Dramowicz. Uśmiecha się uprzejmie, kiwa łysą głową. Jak założył czapkę, to spod niej widać z tyłu jeszcze kawałek łysiny.

Noo! Nareszcie coś fajnego! Idzie ciocia Katarzyna, chrzestna mojego brata Stefana. Bardzo ją lubię. Bywa u nas często, bo to serdeczna przyjaciółka mojej mamy. One przyjaźniły się jeszcze wówczas, kiedy były pannami.

Ciocia Katarzyna idzie w towarzystwie swojego męża i dzieci, Nadzi i Mikołaja, Koli. Teraz następuje powitanie, wymiana uśmiechów, ucałowania damskich rączek. Ja, mój brat i Kola stoimy z boku, gapimy się na ludzi i jest nam nudno. Wreszcie nasz tłumek rusza do przodu.

Nadal jest nam nudno iść tak beczynn timer z dorosłymi, kiedy wydaje się, że o tobie zupełnie zapomnieli. Gadają i gadają, lich timer wie o czym. A nad wodą widzę Jakubaszków, Tadz timer i Muńdzika. Jest okazja ucieczki od dorosłych.

– Mamusiu, pobiegamy trochę! Tam są chłopaki...

– Zgoda, tylko grzecznie. I uważajcie na siebie!

A kto by tam uważał. Tyle, że w tych nowych bucikach biega się strasznie źle. Ale zdjąć ich, mama przecież mi nie pozwoli.

– Dzieci, zawracamy – woła ciocia Katarzyna. Racja, koniec bulwaru. Tam dalej, to już wysoka niekoszona trawa, piękne stare olchy i gąszcz łozy. Z gałązek łozy robi się wiosną gwizdki. Ja nie mam w rękach jeszcze tyle siły, aby wykręcić z gałęzi wierzby prawdziwą fujarkę. To robią starsi chłopcy, tacy jak Wienia Polczyński czy kulawy Gienio Gilis, którzy już cichcem palą papierosy. My młodsi, zadowalamy się robieniem gwizdków z łozy, albo trąbek z młodej lipowej kory. Kiedy idziemy nad kanał robić te gwizdawki i już nam to zajęcie zbrzydnie, kąpiemy się na golasa i opalamy, leżąc na ciepłym piasku.

Ostatnio coraz częściej zamiast robić tam gwizdzące zabawki, potajemnie chodzimy jakiś kilometr za nasyp kolejowych torów, które nad kanałem biegną po wysokim drewnianym moście. Zaczęliśmy tam chodzić, od kiedy Robert podpatrzył, że robią to chłopcy znacznie od nas starsi. No i tak to się zaczęło...

Tuż za kolejowym nasypem, mijamy stojący w pobliżu jazgoczący piłami tartak i przechodzimy mostem z drewnianych bali nad szerokim przekopem z wodą, którym dostarcza się do tartaku drewno z lasów, spławiane kanałem. Na ogromnym tartacznym placu, stoją gotowe do załadunku na wagony kolejki stopy desek i belek. Są tutaj również sterty obrzynków drewna i rozsiadła się ogromna piramida z trocin. Te drzewne odpady służą jako opał w parowych maszynach, napędzających urządzenia w tartaku i stojącym obok młynie.



Przekop wodny z kanału pod tartak, służący do transportu drewna

Mijamy tartaczny plac pachnący silnie żywicą ciętego drewna i zanurzamy się w chaszcze młodej olszyny i łozy. Po przebyciu kawałka drogi w tej gęstwinie zaczynamy nasłuchiwać, czy znad kanału nie dolatują dziewczęce głosy i śmiech, co oznacza, że tam kąpią się młode Żydóweczki.

W tym miejscu, pomiędzy zaroślami, a kanałem leży szeroka łacha złocistego piasku, ciągnąca się wzdłuż brzegu kilkaset metrów. Dawno temu była tutaj kopalnia tego piasku, będącego surowcem do wyrobu szkła w telechańskiej hucie.

Zaczajeni w gęstwinie łozy, niemal wstrzymując oddech gapimy się na dziewczęta, które w kanale pluskają się w długich, oblepiających ciała koszulach. Jak któraś dziewczyna wyjdzie na brzeg aby zdjąć i wyżąć z wody mokrą koszulę, to uważnie obmacujemy ją wzrokiem po miejscach normalnie niewidocznych. Po takiej edukacji, w drodze powrotnej dzielimy się wrażeniami.

Kiedyś Robert podsłuchiwał jednego dużego chłopaka, jak opowiadał innemu dużemu chłopakowi, że on chodzi podglądać kąpiące się młode Żydówki, bo wtedy można sobie fajnie ulżyć. Ciekawe, co też miał na myśli?

No tak, ale dzisiaj, to nigdzie nie pójdziemy. Jesteśmy z rodzicami na niedzielnym spacerze. Może uda się przyjść tutaj po południu samemu. Teraz poszłoby się już do domu. Niewygodne są nowe buciki i chce się jeść. W domu czeka prawie gotowy już obiad, bo mama sporo przygotowała jeszcze przed pójściem na nabożeństwo. Zjemy go po powrocie do domu.

ROZDZIAŁ 5

U mojego wujostwa, z obiadem jest zupełnie inaczej. Mureczce rzadko udaje się namówić ciotkę Manię na niedzielny spacer. Ciotka mówi, że kiedy za dużo chodzi, to się poci i bolą ją nogi. Zazwyczaj po mszy w cerkwi, swoim kacusiowym chodem gna do domu. Twierdzi, że musi przypilnować służącą Darię, którą nazywa Tłumokiem, aby ta nie popsuła obiadu. Ciekawe, jak to ciotka pilnuje owego Tłumoka, skoro po jej przyjściu z cerkwi, obiad już na nią czeka. Zgodnie z poleceniem ciotki, musi on być gotowy punktualnie na godzinę dwunastą. Wuj mówi, że to idiotyzm, ale z rezygnacją macha ręką i je o dwunastej.

O porze, kiedy w naszym domu je się obiad, ciotuchna pewnie już sposobi się do przyjęcia swoich gości. W każdą niedzielę przez okrągły rok, wczesnym popołudniem odwiedzają ciotkę Manię przyjaciółki. Przeważnie jako pierwsza, zjawia się wielka i krwista baba, żona starego mecenasa Piszczyka. Mecenasa jest starszy od swojej żony o dwadzieścia parę lat. Choć Piszczykowa jest przyjaciółką ciotki Mani, to ta mówi o niej, że to wredna baba. Odgrza się przy wuju, że kiedyś wygarnie w oczy całą jej nikczemność i głupotę. Bo Piszczykowa powinna każdego dnia Bogu dziękować za swój los. Przecież kiedyś była zwykłą służącą u starego kawalera, mecenasa Piszczyka. I tak go podeszła, mówi ciotka, że się z nią ożenił. A teraz nim pomiata.

– Nie mów tego mnie, bo wiem dobrze, co to za numer. Powiedz to tej babie, skoro ci się to aż tak nie podoba – niecierpliwi się wuj – czemu ją tutaj gościsz, jeśli jest taka?

– Było nie było, to jednak teraz żona adwokata, a ty przecież u niego byłeś aplikantem - uzasadnia ciotka swoje związki z Piszczykową.

– Ja odróżniam Piszczyka od tej megiiery. A ty gość ją sobie, skoro chcesz, mnie nic do tego – wuj Stefan zamyka temat razem z drzwiami do drugiego pokoju, w którym znika, uwalniając się od utyskiwań ciotki.

Rzeczywiście, Piszczykowa gdzie tylko może obnosi się z tym, że męża ma za nic i nie lubi swojej córki Baśki. O mężu mówi, że to fajtłapa, który życie jej zmarnował, bo niczego się nie dorobił jak inni ludzie. A Baśka to nieudacznik, co matce przynosi same zmartwienia. Rodzice wykosztowali się na nią i maturę w Prużanie zrobiła, ale na dobre jej to nie wyszło. Piszczykowa nie wie, kto taki wpływ miał na Baškę, że w jej głowie całkiem się przewróciło. Boga się nie boi, wstydu za grosz nie ma. Jak ma swoje nieczyste dni, to gdyby nie matka, ona grzeszne ciało myłaby codziennie!

Do tego fajtłapa jak ojciec, nawet nie potrafiła sobie znaleźć porządnego narzeczonego. Ośmiela się mówić matce, że nad życie kocha jakiegoś młodziutkiego oficerka z garnizonu w Prużanie. Cóż z tego, że Piszczykowa

upatrzyła córce kandydata na męża. To bogaty i bardzo stateczny wdowiec z Pińska, mógłby śmiało być jej postarzałym tatusiem. Takiego, to młodziutka Baśka mogłaby w mig owinąć sobie wokół palca. On ma przecież duży majątek, a jest już wystarczająco stary, żeby...

Ale Baśka powiedziała, że wpierw się zabije, nim go poślubi. Ojciec Baśki, też stanął w jej obronie. Więc jedyną nadzieją i radością życia Piszczykowej, został tylko jej pierworodny syn Paweł. Ona mówi na niego Pawłatko. Piszczykowe Pawłatko jest rówieśnikiem syna ciotki Mani, Stefana. Ciotka do odmiany, swojego synusia nazywa pieśczośliwie Ścioszyk. Ten Ścioszyk ma dwa metry wzrostu i waży sto dwadzieścia kilo. Pawłatko i Ścioszyk, studiuja na uniwersytecie w Wilnie. Mają zostać prawnikami. Jak ich ojcowie.

Ciotka Mania psioczy na Piszczykową, ale moim zdaniem, z niej także jest niezły numer. Ciągle czepia się o coś wuja i chyba nie lubi córki Małgosi, mojej Mureczki. Wiecznie ma do niej jakieś pretensje. Mureczka często płacze. Przez ciotkę. Ja myślę, że chodzi o Poldka, narzeczonego Mureczki. Poldek, tak samo jak narzeczony Baśki Piszczykówny, jest oficerem i też służy w prużańskim garnizonie. Kiedy Mureczka i Baśka były uczennicami gimnazjum w Prużanie, na ich maturalny bal zostali zaproszeni młodzi oficerowie z garnizonu. Zawarte tam znajomości, z czasem przerodziły się w miłość...

Póki co, u wujostwa po obiedzie o rytualnej dwunastej, ciotka Mania przygotowuje się na przyjęcie swoich gości. Ciastka dla nich trzyma w kredensie pod kluczem, a klucz nosi przy sobie. Tacki z ciastkami do rąk służącej Darii nie da, chociaż upiekła je nie ciotka, a właśnie Daria. Postawi na stole sama i wszystkie przeliczy, pokazując na każde palcem.

Oprócz Piszczykowej, do ciotki przychodzą w gości jeszcze dwie staruszki. Jedna z nich, to pani Elżbieta Wasiljewna Godlewska, wdowa po porzednim telechańskim popie, Julianie Godlewskim. Druga, to jej siostra, również wdowa, pani Nadzieжда Wasiljewna Kruczenko. Wdowy są małe i chudziutkie, a ich buzie podobne są do suszonych jabłek na zimowy kompot. Obie mają rzadkie, białe jak mleko włosy. Zaplatają je w cienki jak sznurek warkoczyk, który zawijają w koczek wielkości włoskiego orzecha.

Ubierają się w dziwaczne stroje, chyba jeszcze z czasów ich zamierzchłej młodości. Długie, ciemne suknie, całe w fałdach, pliskach i zaszewkach. Do tego kołnierzyki, żaboty, mankieciki... Cudaczne kapelusze i torebki. Suknie pod szyją ozdabiają na przemian srebrnymi, albo emaliowanymi broszami. Z cienkich szyjek zwieszają się im złote łańcuszki, z dyndającymi na nich ozdobnymi zegarkami.

Kiedyś, jako mały bezczelny kpiarz, spróbowałem przy mamie zażartować z wyglądu tych pań. Mama ostro mnie wówczas skarciła. Powiedziała, że należy się im wielki szacunek nie tylko ze względu na wiek. Są to, bowiem osoby niezwykle szlachetne, czego nieraz swoim postępowaniem dowiodły.

Kiedy staruszki wchodzi do domu wujostwa, napęniają go zapachem naftaliny przemieszanej z lawendą. Same zaś, robią wrażenie osób czymś wylęknionych. Przy powitaniu mówią prawie szeptem. Następnie tak jakoś

bojaźliwie, obie jednocześnie przeciskają się do saloniku przez drzwi, obwieszone ciężką zieloną portierą.

W saloniku dywany są na podłodze i na ścianie. Wiszą portrety i obrazy. Stół i krzesła, mają powyginane rzeźbione nogi. Nad stołem wisi ozdobny mosiężny żyrandol, z porcelanową błękitną przeciwwagą do regulowania wysokości jego zawieszenia. Pod oknem stoi ogromna chińska róża.

Ciężka atmosfera saloniku jeszcze bardziej przytłacza obie panie Wasiljewne. Siadają na samych brzeżkach zielonych, pluszowych siedzeń krzesel, tak jakoś niepewnie. Po zajęciu takiej pozycji, malutkie stare panie z trudem sięgają nogami podłogi. Natomiast Piszczykowa bezceremonialnie i hałaśliwie opanowuje sobą całe krzesło i jeszcze na nim obustronnie zwisa. Ciotce siedziska na krzesle wystarcza, ale nie jest za dużo.

Służąca Daria wnosi szumiący wrzątkiem, mosiężny wypolerowany samowar. Na jego czubku, siedzi porcelanowy czajniczek z herbacianą esencją. Na tym czajniczku dwie Japonczki w kwiecistych kimonach, też piją herbatę.

Ciotka Mania z Piszczykową nalewają do filiżanek dużo esencji, staruszki, jakby po kropelce. Potem napełniają je ukropem z samowaru. Teraz wszystkie nalewają po trochę herbaty na spodeczki. Ze srebrnej cukiernicy biorą po kawałku cukru. Maczają go w herbie na spodeczku i odgryzają ten umoczony kawałeczek. Z kolei, ostrożnie dmuchając na herbatę w spodeczkach, zapijają nią odgryziony cukier. Takie picie herbaty czysto starorusyjskie nazywa się „w priekusku”, czyli w przekąskę z cukrem.

Ciotka Mania nieomal przekrzykuje jakieś swoje racje z Piszczykową. Brzęczy porcelana i czasami ostrożnie zaszeleści głosem któraś z pań Wasiljewnych.

Nie minie godzina i samowar został już opróżniony. Wówczas cztery panie przy stole, zaczynają pogryzać ciastka. Chwalą kunszt gospodyni. Nie wiedzą, że piekła je służąca Daria, znaczy Tłumok po ciotczynemu.

Kiedy tacka z ciastkami opustoszeje, jedna ze staruszek otwiera wieczko zegarka i udaje przestach, że już tak późno. Jakby nie było słyhać, że stojący w kącie olbrzymi zegar Beckera, głośno wybija każdy kwadrans. Obie wdowy gramolą się z krzesel na podłogę, rozglądając za swoimi okryciami, kapeluszami, torebkami. Również Piszczykowa, niechętnie i wyraźnie ociągając się, podnosi swój korpus. Otwiera torebkę, wyjmując z niej pudernicę i pudruje się. Po co, skoro i tak nos jej się świeci, jak nawoskowany ogórek. Tyle, że kolor ma inny.

Potem już w przedpokoju, ciotka nieomal ze szlochem wyraża swój żal, że panie tak prędko wychodzą. Było tak miło!

Dom wujostwa pustoszeje i kiedy za gośćmi już klapnie furtka, ciotka mówi do wuja, że nareeesszcie może odsapnąć. Na to wuj z politowaniem kiwa głową, macha ręką i sycząc coś o hipokryzji wychodzi do drugiego pokoju. Służąca Daria sprząta w saloniku, a ciotka Mania uклада się na sofie i nie marnując czasu, zwyczajowo ma do Darii jakieś pretensje. Kiedy Daria bez słowa posprząta i wyniesie się do kuchni, ciotunia uczepli się Mureczki. Porządek musi być, choć zupełnie nie wiadomo, o co ciotce chodzi.

Wuj korzysta z tego zamieszkania i wynosi się z domu. Ogrodową ścieżką idzie w odwiedziny do nas. Pewnie znowu zasiedzą się z moim ojcem do późnego wieczora, rozmawiając o polityce. Piją przy tym aromatyczną herbatę, a ojciec pali papierosy. Niepalący wuj marszczy twarz i odpędza od niej papierosowy dym, jak natrętą muchę.

Mama kiedyś patrząc na nich powiedziała, że są jak brzoza i sosna. Z wyglądu różnią się bardzo, ale korzeniami siedzą w tej samej ziemi. Mając zupełnie różne charaktery i zainteresowania, rozmawialiby ze sobą dzień i noc.

Ojciec mój jest samorządowym urzędnikiem. Burmistrz bardzo go ceni za jego wiedzę, ale w domu mój tata niewiele potrafi. Kiedyś nawet próbując wbić gwóźdź w ścianę, wałnął się młotkiem w palec. Potem przez tydzień nosił na tym palcu „lalkę” z bandaża, ale paznokcie i tak mu zlaźły.

Wuj Stefan do odmiany, potrafi zrobić wszystko. Ma mnóstwo narzędzi i uwielbia majsterkowanie. Dlatego tak chętnie przyklejam się do niego, nie bacząc na fochy ciotki Mani. Wuj chyba nawet lubi jak pałętam się koło niego, choć czasem coś nabroję. Jednak prawdziwą jego pasją, jest ogromny sad. W miasteczku nikt wujowi nie dorównuje wiedzą o sadownictwie, chociaż z zawodu jest prawnikiem, tyle że kancelarii już nie prowadzi.

Wuj Stefan jest „młodym emerytem” z przymusu. Kiedy miał prawniczą kancelarię, jako jedyny w całym powiecie podejmował się prowadzenia spraw przeciwko osadnikom z centralnej Polski, wśród których było dużo dawnych legionistów Piłsudskiego. Zdarzało się, że władze nadające im ziemię pod folwarki, przy robieniu nowego podziału gruntów krzywdziły poleskich chłopów, przydzielając im ziemię jakościowo gorszą od posiadanej do tej pory.

Wuj podejmował się takich spraw i wygrywał je w sądach na korzyść Poleszków. W końcu tak to rozeźliło przegrywające w sądach powiatowe władze, że złożyły one na wuja odpowiednio „uzasadnioną” skargę do swoich wysokich zwierzchnich władz.

Wuj wezwany przed oblicze wojewody usłyszał, że powinien zrezygnować z prawniczej działalności i przejść na wysoką państwową emeryturę. Natomiast jeśli propozycji tej nie przyjmie i nie zaprzestanie uprawiania w swojej kancelarii „wywrotowego” procederu przeciwko interesom Państwa, może nie wykaraskać się z czekających go kłopotów. Po usłyszeniu takiej alternatywy, wujcio aczkolwiek niechętnie, przystał na propozycję przejścia na emeryturę.

A więc, pan wojewoda okazał się być bardzo przyzwoitym człowiekiem, zadawszy sobie trud znalezienia isticie salomonowego wyjścia z tej zawilej sytuacji nie tyle administracyjnie, co raczej politycznie..

* * *

Mnie takie zawilosci życia dorosłych jeszcze wcale nie interesują, jak również temat ich dzisiejszej rozmowy. Mam też dosyć zabawy z rodzeństwem, a oni mnie chyba też. Wychodzę z domu. Na dworze pogoda zrobiła się inna, jak była przed południem. Jest bardzo duszno. Ponad sadem „wisi” czerwo-

ne słońce, wielkie jak miednica.. Mama mówi, że to oznacza zmianę pogody i nadejście silnego wiatru. Ale teraz powietrze jest zupełnie nieruchome. Wydaje mi się, że nawet jaskółki latają jakoś leniwie.

Przemyśliwuję jak tu wyrwać się do Tadzika. Idę niby do sadu, a potem chyłkiem przez warzywnik i podwórze wuja, do Jakubaszków. Udało się. Tadzia i Mundzika znajduję na ich podwórku i teraz w trójkę gnamy nad kanał. Włazimy na smukły jesion i z wysokości komina domu, obserwujemy snujące się po bulwarze zakochane pewnie pary.

Tadzik kiedyś uświadomił mnie, że jak dziewczyna jest porządna, to nie daje się chłopakowi całować. Twierdzi, że to jest pewne, bo słyszał jak jego mamusia tak mówiła do jednej pani. No to my pilnie patrzymy, która z nich porządna, a która nie. Tyle, że komary zaczynają coraz mocniej dokuczać. Złazimy z drzewa i „na skróty” pędzimy do domu.

– Hdzie ty byu ja zachrypła wołajuczy za tobą! – Złości się mama Tadzika.

– Maaamciu ja nigdzie nie był, ja tylko nie słyszał – zawodzi Tadzik.

Niezauważony wynoszę się chyłkiem i już jestem na werandzie domu. Na wszelki wypadek patrzę mamie prosto w oczy, a mama niespokojna, chwytą mnie za rękę.

– Gdzie ty się podziewasz? Wołam i wołam...

– Mamusiu, ja byłem u Tadzika, on też nie słyszał, że mama go woła!

– Tyle razy mówię, żebyś nie odchodził od domu bez pozwolenia – głos mamy łagodnieje.

– Woda nalana, myć się i do kolacji – kończy.

Zapadnięty w miękką, pachnącą pościel, widzę za otwartym oknem rozmazane w mroku zarysy owocowych drzew sadu.

W niezmąconej ciszy wieczoru, z leżącego niedaleko za ulicą Borową chutoru Żura, niesie się rozlewna poleska pieśń. To śpiewają czystymi, białymi głosami jego córki Żuryszki, jak je nazywają ludzie. Są to siostry bliźniaczki, Zojka i Ołena.

Pieśń płynie stamtąd za pieśnią, a mnie tutaj miło, wygodnie, bezpiecznie... Usypiam.

Słodkie, bez troskie dzieciństwo. Ostoja bezpieczeństwa, to dom osaczony ze wszystkich stron krzewami bzu i jaśminu. Nad naszym i wujostwa podwórzem, króluje potężny klon z bocianim gniazdem pomiędzy konarami, a naszego podwórza pilnuje wielka, rozłożysta brzoza.

W domu zaś mama, najlepsza z mam, zawsze znajdująca dla nas dzieci, czas na uśmiech i pieszczotę. Co prawda, jak widzę z perspektywy lat, tych uśmiechów dla nas chłopców było więcej, aniżeli dla naszej siostry Mundzi. Ale ta więcej od nas, przebywała razem z mamą. Od małej dziewczynki, a była w rodzeństwie najstarsza, wtajemniczała ją mama w skomplikowaną sztukę bycia dobrą panią domu. Natomiast ja z bratem, poza szkołą nie mieliśmy żadnych obowiązków. Ot, synalkowie próżniaki. No cóż, takie w owych czasach były zwyczaje i taki był podział ról w domu.



Fotografia mojej rodziny z 1936 roku. Stoją kolejno ojciec mój Stanisław trzymający mnie na rękach, moja mama Anna, a dalej córka wuja Stefana Mureczka i jej przyjaciółka Baśka. Przed dorosłymi stoi moje rodzeństwo, siostra Mundzia i brat Stefan.



Rodzina mojego ojca. Dziad Mikołaj, babka Katarzyna i ich dzieci córka Katarzyna i syn Stanisław (mój późniejszy ojciec). Fotografia z 1909 roku.



Rodzinna pamiątka mojej mamy z 1910 roku. Na progu werandy siedzi jej ojciec a mój dziad Antoni, siedzący w głębi werandy mężczyźni w kapeluszach to jego dwaj najstarsi synowie (wujowie moi) Jan i Stefan. Dwie pozostałe osoby w czapkach na głowie, to ich przyjaciele.



Fotografia rodzinna mojego wuja Stefana z 1921 roku. Stojące kobiety to jego żona Maria (moja ciotka Mania) i siostra Anna, w późniejszych latach moja mama. Dzieci wuja to córka Małgorzata (Mureczka) i syn Stefan.

ROZDZIAŁ 6

– Kruekrekre! Kruekrekre!

Piękny ptak o czarnych piórach z zielonkawym połyskiem i białymi przybraniami, ostrym krzykiem przerywa moje rozmyślania. To sroka. Siedzi na gałęzi pokracznego jawora w czujnej postawie i gapi się na mnie. Zwabiona krzykiem drapieżnika, przylatuje druga sroka. Teraz już obie w bojowej postawie, na przemian opluwają mnie obelgami:

– Kruekrekre! Co tutaj robi ten intruz?!

Gwałtownie wybudzony z marzeń, zadaję sobie pytanie, co ja faktycznie tutaj jeszcze robię? Trzeba iść do miasta. Teraz już spokojnie, bez pośpiechu będę mógł porównać Telechany wspomnień z rzeczywistością.

Szybko idę wzdłuż szerokiego rowu o zdewastowanych brzegach, z cienką stróżką mętnej wody na dnie. A był tu przecież wspaniały spławny kanał, długi na pięćdziesiąt parę kilometrów, z dwunastoma śluzami. Fundatorem tej wspaniałej wodnej budowli powstałej dwa wieki temu, był Wielki hetman litewski, Michał Kazimierz Ogiński.

Uważam, że dzisiejsza powszechna niepamięć o złotym wieku Polesia w latach budowy kanału, to duża wyrwa w zasobie historycznej wiedzy o tej ziemi. Jej degradacja poszła tak daleko, że na niektórych współczesnych mapach, kanału Ogińskiego w ogóle nie ma, albo jest zaznaczony tylko w postaci bezimiennego kreski

Mój sentyment do Telechan i kanału Ogińskiego zrodzony w latach wczesnego dzieciństwa, nie wygasł we mnie nigdy. W minionym ćwierćwieczu, poświęciłem sporo czasu na dosyć rzetelne poznanie historii tej ziemi. Wiele godzin prześlęczałem nad pożółkłymi stronicami bibliotecznych skarbów, przyswajając razem z wiekowym kurzem zapisaną w nich historię krótkich niestety, złotych czasów mojego Polesia sprzed dwustu lat.

Michał Kazimierz Ogiński urodził się w 1728 roku. Jego ojciec Tadeusz Józef, był jak na ówczesne społeczne stosunki, osobowością nieprzeciętną. Nie posiadając magnackiego rodowodu, piastował na Litwie urząd wojewody w Trokach. Wprawdzie matka Michała pochodziła ze starego książęcego rodu Wiśniowieckich, ale zgodnie z ówczesnym polskim prawem, tytularne godności nie przechodziły na potomstwo „po kądzieli”.

Michał Kazimierz był jedynym męskim potomkiem wojewody. Rosnąc w otoczeniu swoich sześciu sióstr, przyswoił cechę wręcz kobiecego dbania o swoją urodę. Po przedwczesnej śmierci ojca, mały Michał został podopiecznym swojej babki Eleonory, osoby słynącej z dziwactw i ekstrawagancji. Potem przeszedł jeszcze przez ręce trzech opiekunów. Swojego dziada ze strony matki Wiśniowieckiego, następnie witebskiego wojewody kuzyna

Marcjana Ogińskiego i wreszcie za zgodą króla trafił na dwór księcia Michała Czartoryskiego.

Pomimo iż młody Ogiński aż do osiągnięcia dojrzałego wieku wychowywał się na kilku znakomitych dworach, gruntownego wykształcenia nie zdobył w żadnej dziedzinie. Według mu współczesnych, miał rozliczne, ale powierzchowne zainteresowania. Okazywał je poza udziałem w życiu politycznym kraju, w znacznym stopniu inżynierii budowlanej. Jednakże jego życiową pasją jeśli wręcz nie miłością, była muzyka.

Nienaturalna mnogość osób kształtujących osobowość Michała Kazimierza Ogińskiego, w efekcie stworzyła z niego postać nieprzeciętną. Współcześni oceniali go jako człowieka wysoce inteligentnego, ale o charakterze trudnym, pełnym przywar. Ogiński stawiający swoją osobę ponad wszystkimi, był chorobliwie żądnym sławy, kapryśnym egocentrykiem o chwiejnych poglądach. Ta bezkrytyczna, wręcz chora miłość do swojej osoby, wywołała w Ogińskim głęboką niechęć do Stanisława Augusta Poniatowskiego, kiedy ten został obrany królem Polski. Ogiński bowiem uważał, że korona należała się jemu.

Innym przejawem jego poczucia „nadwartościowości”, było wywołanie skandalu w Petersburgu, gdzie przebywał na dworze carycy Katarzyny II. Na audyencji przyjęty został przez monarchinię życzliwie, ale niebawem utracił jej przychylność. Powodem tej zmiany, stał się konflikt Ogińskiego z dygnitarzami carskiego dworu. Odnosząc się do książęcych osobistości z kręgu przyjaciół carycy z wyrazem pełnym wyniosłego chłodu, wzbudził w nich żywą nienawiść do siebie. To „krótkie spięcie” na carskim dworze, z kolei ugodziło jego dumę. Spowodowało głęboką niechęć do Rosji, ale jednocześnie zbliżyło do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Nie należy sądzić, żeby wygórowana ambicja Ogińskiego została zaspokojona objęciem w 1765 roku urzędu wileńskiego wojewody, co łączyło się to z pozyskaniem szeregu nowych majątków. Urząd przejął po księciu Karolu Radziwille znanym jako „Panie Kochanku”, który za wroga Polsce polityczną działalność, został zmuszony do udania się na wygnanie.

Objęcie przez Ogińskiego wysokiego urzędu wojewody, wyzwoliło w nim twórczą pasję udowodnienia światu własnej wielkości. Nie licząc się z kosztami realizacji tego marzenia, zaczął przeistaczać swoją poleską posiadłość w Słonimiu w istną siedzibę muz, która zyskała niebawem miano Aten Północy. Przepych pałacu o stu szesnastu pokojach, który stał się rokokowym klejnotem i bajeczność otaczających go ogrodów, gości wojewody wprawiały w zdumienie i zachwyt.

Swoją „śmiertelną chorobę” miłości do muzyki, Ogiński potwierdził budową w Słonimiu wspaniałego gmachu opery. Twórcą tego niezwykle pięknego obiektu był włoski architekt teatralny i malarz, Innocente Maraino. Stworzył on w Polsce wiele wspaniałych wnętrz, między innymi w Warszawie, w Teatrze Narodowym i ujazdowskim zamku, a także za granicą, jak choćby we włoskiej „La Scali”.

Wojewoda Michał Kazimierz Ogiński, człowiek nurzający się w zbytku i wręcz uzależniony od piękna muzyki, nie zapisał się w oczach potomnych wyłącznie jako roztrwaniasz swojego majątku, w celu pędzenia rozkosznego żywota. Niebawem zaczął przeznaczać wielkie kwoty pieniędzy na gospodarczy rozwój swoich włości, należących uprzednio do rodów Dolskich i Wiśniewieckich. Kiedy w Słonimiu powstawała „siedziba muz”, jednocześnie zbudowano tam drukarnię i manufaktury wytwarzające sukno i gobeliny.

Swoje młodzieńcze niesprecyzowane zainteresowania inżynierią, Ogiński przyoblekł teraz w realne kształty. Przez nieprzebyte poleskie puszcze i bagna, zbudowany został trakt łączący Słonim, poprzez Pińsk z Wołyniem. Budowa traktu poza ogromnym finansowym nakładem poniesionym przez wojewodę, kosztowała Polesie wytrzebieciem wielkich połaci dębowych lasów. Dla utwardzenia drogi biegnącej przez trzęsawiska i bagna, zużyto dziesiątki tysięcy dębowych pali.

Jednakże wiekopomnym dziełem życia Ogińskiego, było zbudowanie na Polesiu kanału łączącego ze sobą rzeki, spływające do basenów mórz bałtyckiego i czarnego. Wprawdzie takie marzenie snuł już sto lat wcześniej książę Bogusław Radziwiłł, ale wówczas skończyło się na mrzonce. Inspiratorem Ogińskiego do podjęcia tego dzieła, był niezwykle światły człowiek Marcin Butrymowicz, piński miecznik i grodzki sędzia. Nie można tutaj pominąć istotnego faktu, że to właśnie piński miecznik Butrymowicz swoimi gospodarczymi sukcesami wzbudził u króla Stanisława Augusta ogromne zainteresowanie ziemią Polesia.

Kanał powstał w latach 1767-1783, okupiony znojem i potem tysięcy budujących go pańszczyźnianych chłopów. Ile ofiar śmiertelnych pochłonęła jego budowa, tego nie odnotowały żadne kroniki. Zachowane dokumenty świadczą tylko o kosztach budowy kanału, jakie poniósł Ogiński. Wyniosły one astronomiczną na ówczesne czasy kwotę, dwunastu milionów złotych.

Żeglowny kanał płynący przez bory i błota Polesia, połączył sobą rzeki Szczarę i Jasiołdę, będące dopływami rzek Niemna i Prypeci, wpadającej do Dniepru. Z kolei wody Niemna i Dniepru, spływają do mórz. Niemna do Bałtyckiego, a Dniepru do Czarnego. Tak oto dzięki wybudowaniu kanału, Polesie uzyskało dostęp do morskich portów na południu i północy Europy.

W drugim roku budowy kanału, w życiorysie Michała Ogińskiego zaszły istotne zmiany. Do kraju powrócił z wygnania książę Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, po którym Ogiński objął urząd wileńskiego wojewody. Teraz musiał mu go zwrócić, lecz odbyło się to bez uszczerbku na jego honorze. Zaowocowała tutaj poprawa stosunków z królem, która nastąpiła po konflikcie Ogińskiego z dworem carycy Katarzyny II.

Stanisław August Poniatowski zadośćuczynił Ogińskiemu utratę urzędu wojewody, wręczając mu buławę Wielkiego hetmana Litwy. Wprawdzie wojsko było rzeczą ostatnią w długim szeregu zainteresowań i wiedzy nowego hetmana, ale urząd ten zdecydowanie poprawiał status jego magnackiej pozycji.

Ogiński wyniesiony do godności hetmana, obwieścił o budowie kanału Sejmowi Rzeczypospolitej, obradującemu w 1768 roku. W płomiennej i panegirycznej przemowie, przedstawił przyszłe korzyści płynące z tego tytułu dla państwa. Sejm inicjatywę Ogińskiego ocenił bardzo wysoko. W uznaniu wagi tego przedsięwzięcia dla kraju, nagrodił hetmana częściowym zwrotem kosztów budowy, nadając mu dwie leżące na Polesiu miejscowości z przyległymi włościami. Także jeszcze przed oddaniem kanału do użytku, Sejm przyznał hetmanowi podatkową ulgę na drewno eksportowane przez morskie porty.

W latach budowy kanału, w Polsce związana została konserwatywna magnacka konfederacja, zwana od miejsca powstania barską. Ogiński będąc uczestnikiem konfederacji, po jej rozbiciu został zmuszony na czas jakiś opuścić kraj. Na pokrycie emigracyjnych kosztów pobytu we Francji, została sprzedana posiadłość hetmana Nieborów.

Kiedy Ogiński powrócił z emigracji, skorzystał na tym jego posiadłość na Polesiu. Oprócz Słonimia, który został teraz główną rezydencją hetmana, powstały nowe w Telechanach i Siedlcach. Ta ostatnia jakoś nie zyskała sympatii właściciela i dosyć szybko została zaniedbana. Natomiast telechańska budowla, będąca darem hetmana dla jego siostry byłej mniszki Honoraty Ogińskiej, z czasem przerodziła się w istny klejnocik. Pałac ten otaczał bajeczny park podzielony na cztery kwartały, z których każdy urządzony był w innym stylu. W ogrodach tych, hetman zniewolony pięknem muzyki, kazał zbudować gmach opery.

Budowlę zaprojektował i wykonał dekorację wnętrza, znany już ze Słonimia Włoch Innocente Maraino. Pałac i gmach opery wraz z ogrodami, leżały na przeciwnym brzegu kanału niż Telechany i nie należały do nich. Ogiński nadał im bowiem nazwę Honoracina.

Plany hetmana dotyczące tego kompleksu, nigdy nie zostały zrealizowane do końca. I tak na przykład nie pobudowano potężnych arkad, które miały połączyć kwartały parku leżące nad kanałem, z jego drugim brzegiem po stronie Telechan.

W pałacu Honoraty Ogińskiej, swego czasu gościł nawet król Stanisław August Poniatowski, odbywający podróż z Warszawy do Nieświeża. Het-



Wielki hetman Księstwa Litewskiego Michał Kazimierz Ogiński. Podobizna według rysunku C.P. Marilliera.

mana w tym czasie nie było w Polsce, przebywał w Holandii. Wobec tego, honory gospodarza domu czyniła jego siostra Honorata. Kiedy kawalkada królewskich karet zbliżała się do Telechan, powitały ją wiwatujące armatnie salwy. Król popasając w Honoracinie, zachwycił się pięknem pałacu i otaczających go ogrodów. Wieczorem zaś, po obejrzeniu w teatrze wystawionej na jego cześć opery, wyraził podziw dla kunsztu śpiewaków i orkiestry. Jak stoi w kronikach, król napisał później listy do hetmana, jego żony i siostry, dziękując za tak wspaiałą gościnę w Honoracinie.

Ciekawostką z życia Ogińskiego może być fakt, że człowiek ten równający siebie z koronowanymi głowami, osobiście nigdy nie gościł w swoich posiadłościach żadnego monarchy. Dotyczyło to zarówno pobytu króla Poniatowskiego w Honoracinie, jak i przebywającego w Słonimiu cara Rosji Pawła I-go, kiedy ten po drugim rozbiórze Polski, zwiedzał zaanektowane ziemie.

Moim zdaniem, mieszkańców Telechan powinien wielce satysfakcjonować fakt, że hetman Ogiński właśnie ich małą wówczas osadę, darzył tak szczególną sympatią. Budując za własne fundusze żeglowny kanał długości pięćdziesięciu trzech kilometrów z dwunastoma śluzami i przystanią, nazwał go kanałem Telechańskim. Obecną nazwę, czyli nazwisko swojego fundatora, kanał otrzymał dopiero po jego śmierci w 1800 roku.

W tym samym czasie, kiedy budowano kanał, z decyzji hetmana Ogińskiego w Telechanach powstała fabryka wyrobów fajansowych, huta szkła i manufaktura produkująca sukno. Tę ostatnią jako pomysł nietrafiony, niebawem zlikwidowano. W rozwoju obu pozostałych fabryk, rolę pierwszorzędną odegrała budowa kanału, gdyż na bezdrożach Polesia był on w tamtych czasach najdoskonalszą arterią komunikacyjną. Poza spławianiem do morskich portów bogactwa tej ziemi drewna, wywożono nim daleko poza granice Polski wyroby z telechańskich fabryk. Zza granicy natomiast, tą samą drogą sprowadzano komponenty niezbędne do ich produkcji, oraz przeróżne towary handlowe.

Od swoich narodzin, kanał z niewielkimi przerwami służył poleskiej ziemi prawie sto pięćdziesiąt lat. Jednakże swojej ojczyźnie Polsce, kanał służył niestety krótko. Te półtora wieku służby, w większości przypadło na lata zaboru ziemi poleskiej przez carską Rosję, czyli na okres po trzecim rozbiórze Polski.

W ciągu tych stu pięćdziesięciu lat swojego życia, kanał parokrotnie ulegał dewastacji. Najgorsze zniszczenia następowały podczas wojen, które w międzyczasie przetaczały się przez te ziemie.

Podczas napoleońskiej wojny wskutek wojennych działań, kanał był niszczonej zarówno przez wojska francuskie, jak i rosyjskie. Po jej zakończeniu, Rosjanie doceniając gospodarcze znaczenie kanału, odbudowali go przy pomocy najlepszych wojskowych specjalistów bardzo szybko.

Jednymi z najlepszych lat dla kanału Ogińskiego, była druga połowa dziewiętnastego wieku. Ponad czterdzieści lat nad jego doskonałym stanem technicznym i prawidłową eksploatacją, czuwał inżynier Joszua Eisensztadt. Pochodził z Wilna. Szukając pracy po studiach „zaczepił się” w Telechanach, w ówczesnym urzędzie eksploatacji kanału.



Fotografia z XIX-go wieku. Ten miniaturowy parostatek służył Zarządcy kanału Ogińskiego, którym wówczas był J. Eisensztadt.

Eisensztadt zakochał się w Polesiu, Telechanach i kanale Ogińskiego. Jemu też poświęcił swoją wiedzę i całe zawodowe życie. Będąc obywatelem Telechan, zapisał się w pamięci żydowskiej społeczności jako jej wielki darczyńca. Między innymi, był fundatorem trzeciej w miasteczku synagogi, która powstała w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Była to synagoga ortodoksyjna.



Synagoga ortodoksyjna w Telechanach. Fotografia z końca XIX wieku.

Znamienny jest fakt, że pamięć o Telechanach i kanale Ogińskiego zachowali potomkowie Eisensztadta, mieszkający od trzech pokoleń w Stanach Zjednoczonych.

Podczas pierwszej światowej wojny w latach 1915-1918, na przeciwnych brzegach kanału, pozycyjną wojnę prowadziły przeciwko sobie dwie wrogie armie, rosyjska i niemiecka.

Wskutek trzyletnich wojennych działań na linii kanału, chluba Telechan kanał Ogińskiego został w ogromnym stopniu zdewastowany. Zniszczeniu uległy wszystkie śluzy. Niemcy wymyślili szatański sposób ochrony swoich wojsk przed atakami rosyjskiej konnicy. Na przestrzeni wielu kilometrów, w dno kanału zostało wbitych tysiące wysokich żelaznych pali. Na nich rozpięto drucianą siatkę, oddzielającą od siebie oba brzegi, zajęte przez wrogie sobie wojska. Wiele odcinków brzegu kanału uległo zniszczeniu, a dno замуłeniu lub zasypaniu.

Niebawem po odrodzeniu się polskiego państwa w 1918 roku, w Telechanach zostało powołane do życia Przedsiębiorstwo Odbudowy Kanału Ogińskiego. W trudnych warunkach rozkołysanej gospodarki niedawno odrodzonego kraju, przedsiębiorstwo borykało się z ogromnymi kłopotami na drodze swoich zadań. Fachowców od wodnego budownictwa poszukiwano w całej Polsce. I tutaj zaskakującym jest fakt, że przy budowie skomplikowanych drewnianych konstrukcji śluz, najwyższej cenionymi fachowcami okazali się żydowscy cieśle, zwerbowani do tych robót w różnych zakątkach Polski.

Pomimo różnorakich trudności, już w 1924 roku na tym wodnym szlaku została przywrócona pełna żeglowność. Przy rzadkiej sieci marnych poleskich dróg, kanał wciąż pełnił bardzo ważną gospodarczo rolę. Nic więc dziwnego, że administracyjne władze Polesia, poświęcały kanałowi Ogińskiego tyle



Gromadzenie materiału na odbudowę kanału Ogińskiego, po zakończeniu I-szej światowej wojny.



Widok na kanał Ogińskiego po odbudowie. Fotografia z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Nieużywane śluzy niszczały, brzegi zarastały krzewami i szuwarami. Wspaniałe dzieło hetmana Ogińskiego ginęło. „Matka” przyroda zazdrośnie odbierała wydarte jej ponad sto pięćdziesiąt lat wcześniej obszary ziemi.

Po zakończeniu drugiej światowej wojny w 1945 roku, sowieckie władze zagospodarowując Polesie, uznały kanał Ogińskiego za nieprzydatny pod jakimkolwiek względem. Został on pozostawiony całkowicie swojemu losowi.

Proces ostatecznego uśmiercenia tej wspaniałej hydrobudowy, był głównie dziełem człowieka. Przysłowiowym gwoździem do trumny, stał się tutaj dokonany z wielkim rozmachem, lecz niestety nieprzemyślany program osuszania poleskich bagien. To on spowodował, że z niszczącego koryta kanału pozbawionego śluz, zniknęła woda.

W wyniku realizacji tego „szalonego” programu melioracji Polesia, obniżył się tragicznie poziom gruntowych wód. Na tak „zagospodarowanych” terenach pozbawionych naturalnej wilgoci, ginęła wszelka roślinność.

Nieskończone swoim obszarem, kipiące bogatym życiem poleskie bagna i zawsze wilgotne łąki, stały się z czasem jałową, bezużyteczną równiną szaro-rudego koloru. Teoretycznie wspaniały program zamienienia „bezużytecznych” bagien na ziemię rodzącą chleb, okazał się dla Polesia tragicznym niewypałem. Uczonym twórcom tego rodem z piekła pomysłu nie

uwagi. W Telechanach, w dziesięcioleciu poprzedzającym wybuch drugiej światowej wojny, pieczę nad sprawnym funkcjonowaniem ponad połowy długości kanału od Łohiszyna po jezioro Wygonoskie, pełnił nadzorca wodny pan Bronisław Dauksza, dobry znajomy moich rodziców.

Jednak służba kanału Ogińskiego dla Drugiej Rzeczypospolitej, trwała niespełna szesnaście lat. Wybuchła druga wojna światowa, najstraszliwsza w dziejach ludzkości.

Po roku 1939 najpierw podczas sowieckiej, a następnie niemieckiej okupacji, kanał utracił jakiekolwiek gospodarcze znaczenie. Przestał istnieć ruch pasażerski i towarowy wodną drogą. Transport w tym rejonie Polesia przerzucono na konne furmanki, kolej wąskotorową, a nawet na ówczesne ciężarowe samochody.

Kanał pozbawiony wszelkiego nadzoru technicznego, popadał w ruinę.

przyszło do głowy, że osuszone bagno nie zamieni się w życiodajną glebę rodzącą złotą pszenicę.

Po osuszeniu kilkudziesięciu tysięcy hektarów bagien, pozyskane gdzieś poławie uprawnej ziemi były liche, jałowe i słabo wydajne.

Oprócz unikalnych na skalę Europy poleskich bagien, w ogromnym stopniu zostało również spustoszone drugie bogactwo tej ziemi, lasy. Były one trzebione bez opamiętania przez setki lat. Poleska knieja kurczyła się z biegiem czasu coraz bardziej.

W międzywojennym dwudziestoleciu, w lasach państwowych były podjęte jakieś działania w zakresie planowej gospodarki. Niestety, większość lasów była prywatną własnością, i te wycinano bezlitośnie. Dla właścicieli lasów, był to przecież najprostszy sposób na szybkie wzbogacenie się. W latach Drugiej Rzeczypospolitej, leśne kompleksy otaczające Telechany, były dosłownie oblepione tartakami.

Lasy ucierpiały straszliwie także podczas ostatniej wojny, kiedy to niemiecki okupant dokonał w nich przerażających spustoszeń. Wtedy nie robiono wyrębu w zimowym sezonie, jak tego wymaga zdrowy rozum leśnej gospodarki. Drzewa wycinane były okrągły rok i po strakowaniu na belki i deski, wysyłane do niemieckiej Rzeszy.

Pierwsze lata po zakończeniu wojny, Rosjanie także cięli las bez żadnego gospodarczego programu. A zapotrzebowanie na drewno było wówczas ogromne. W pierwsze powojenne lata, było ono na Polesiu jedynym materiałem budowlanym i opałowym. Zanim odbudowano w Rosji zniszczone podczas wojny kopalnie węgla, jako opału używano wyłącznie drewna nawet w energetyce przemysłowej i na kolei w parowozach.

Tak oto, ludzka okrutna bezmyślność przeobraziła oblicze Polesia. A przecież ćwierć wieku temu, choć już mocno zdewastowane, Polesie wciąż było jeszcze żywym wulkanem nieokiełznanej przyrody. Takie było to moje Polesie. Wracając tutaj po dwudziestu trzech latach, ujrzałem jego żalosną kariaturę.

Stoję i patrzę na to, co zostało po kanale Ogińskiego. Kanału nie ma. Kanał umarł. Został uśmiercony. Po prawie stu pięćdziesięciu latach służby ludziom. A teraz nawet na niektórych mapach, jest tylko bezimienną kreseczką.

Dla mnie kanał Ogińskiego istnieć nie przestał. W pamięci mojej odcisnął zbyt głęboki ślad wspomnień, abym mógł pogodzić się z jego śmiercią.

ROZDZIAŁ 8

W smętnym nastroju idę wzdłuż szerokiego zaniedbanego rowu, z cienkim pasemkiem stojącej wody na jego dnie. A jeszcze niespełna trzydzieści lat temu, rów ten był korytem kanału Ogińskiego! Oczami wyobraźni chcę widzieć głęboki nurt jego czystej wody w szerokim korycie.

Zagłębiany w myślach nawet nie zauważyłem, kiedy drogę zastąpił mi wysoki, choć rozpadający się nasyp ziemny, biegnący prostopadłe do kanału. Koryto kanału rozrywa go na dwie części. Na drugim brzegu nasyp rozpoczyna dalej swój bieg, aby opadając łagodnie zniknąć w zaroślach, pokrywających niegdysiejsze łąki.

Nasypem tym biegły tory wąskotorowej kolejki, z Telechan do tartaku w Rzeczkach. Nad kanałem nasyp spięty był mostem. Most był drewniany, zbudowany z potężnych bali. Przypomniałem sobie, jak zazdrościłem starszym chłopakom, którzy z tego mostu skakali do wody. Zazdrościłem, ale skakać bałem się, jak zresztą pozostali chłopcy z naszej paczki. Do tchórzostwa jednak żaden z nas nigdy nie przyznał się, wymyślając i łąąc różne wymówki.

Teraz skoczyłbym bez wahania, ale jak to zrobić, skoro mostu nie ma, a i wody w kanale także... Most pewnie nie zdążył zawalić się ze starości, bo został rozebrany, a drewno z niego dobrzy ludkowie rozszabrowali na opał. Po co komu teraz most, skoro nie jeździ po nim kolejka?

Nasyp i most przez kanał, zbudowano na początku dwudziestych lat ubiegłego wieku. Wtedy spółka akcyjna hrabiego Pusłowskiego, postawiła tartaki w Telechanach i Rzeczkach. Wycinane w okolicznych lasach drzewa trakowano na belki i deski, poczym wywożono je wagonikami wąskotorowej kolejki do Iwacewicz, albo Janowa. Stamtąd jechały one pociągami dalej w głąb Polski i za granicę.

Do niszczyielskiego procederu wyrębu poleskich lasów, zaprężnięty został także kanał Ogińskiego. Drewno wycięte zimą w otaczających go lasach, z wiosną było spławiane nim do tartaku w Telechanach.

Moje spotkanie z rozwalającym się kolejowym nasypem, przywołuje na myśl następne obrazki z dzieciństwa. Oto od strony Rzeczek, torami wspina się po nasypie w kierunku mostu miniaturowa lokomotywa. Wlecze za sobą rząd wagoników, wyładowanych pachnącymi sosnową żywicą belkami i deskami. Wąskotorowe lokomotywy, ten nieomal groteskowy twór dziewiętnastowiecznego kolejnictwa, tutejsi ludzie nazywali pieszczotliwie samowarkami. Samowarek wlokąc z trudem pod górę obładowane wagoniki, dychawicznie „pufa” wypływając kłęby pary. Z wysokiego komina zakończonego wielkim cylindrem z drucianą czaszą, za każdym takim „pufnię-

ciem” wylatują w górę kółka czarnego dymu. Lekki wiatr chwyta w locie te kółka i drąc na strzępy, zamienia w rudy welon ścielący się po nasypie.

Zanim samowarek dowlecze ciężkie wagoniki do mostu, jedzie bardzo wolno. Wykorzystują to miejscowe andrusy. Przechodzą mostem na drugi brzeg kanału, aż do końca nasypu. Kiedy ciuchcia z Rzeczek jadąc pod górę zaczyna zwalniać biegu, czepiają się wagoników, „kaby darom pokataćsa”, żeby darmo przejechać się.

Pokonawszy uciążliwy podjazd do mostu, po jego drugiej stronie samowarek doznaje wyraźnej ulgi. Jego ciężkie zipanie parą, teraz zamienia się w coraz szybszą świszczącą sapkę. Za samowarkiem usiłuje nadążyć karawana wagoników dzwoniąc frędzlami łańcuchów, wiążących załadowane drewno.

Jeszcze moment i kawalkada wagoników jadąc z górki, zaczyna coraz bardziej przyspieszać biegu. Teraz samowarek już nie ciągnie wagonów, lecz to one nabierając prędkości, pchają go do przodu. Ale jest sposób na taką swawolę wagoników. Na malutkiej platformie ostatniego z nich, stoi kolejarz i zapamiętale kręci korbą ręcznego hamulca. Jazgot hamowanych kół cichnie powoli wraz z oddalającym się pociągami. Nad kanałem czas jakiś pachnie jeszcze rozproszonym dymem z samowarka.



Telechańska „Ciuchcia”. Fotografia z 1937 roku.

Wąskotorową kolejkę, ten niespotykany już dzisiaj środek lokomocji, moje Telechany otrzymały niejako w prezencie od niemieckich wojsk, podczas pierwszej światowej wojny. Niemcy po zawładnięciu w 1915 roku terenu Polesia, wybudowali na nim dla swoich wojskowych i gospodarczych celów całą sieć wąskotorowej kolei, w tym również do Telechan.

Wojska kajzerowskich Niemiec wypierając na wschód armię rosyjską, po roku wojny utknęły na szerokim froncie rozciągniętym od Rygi aż po Tarnopol. Na Polesiu front zatrzymał się na linii pomiędzy Pińskiem i Baranowiczami. Częścią tej linii, stał się kanał Ogińskiego. Na jego wschodnim brzegu, w ziemnych fortyfikacjach zaległy wojska rosyjskie. Natomiast zachodni brzeg kanału, opanowali Niemcy. Telechany, znalazły się pod niemiecką okupacją.

Niemieccy stratedzy przewidując długotrwałą pozycyjną wojnę, rozpoczęli wzdłuż kanału Ogińskiego budowę potężnych umocnień, naszpikowanych betonowymi bunkrami. Do ich budowy niezbędne jednak były takie materiały, jak cement i różne wyroby ze stali. Prócz tego, musiało sprawnie działać zaopatrzenie dla wojska na froncie. Niemieckiego okupanta nęciła również możliwość grabienia nieprzebranego bogactwa Polesia, drewna. Wobec niezwykle małej ilości dróg na Polesiu, okupant stanął przed problemem pokonania trudności transportowych.



Żelbetowy bunker, relikw pozycyjnej wojny rosyjsko-niemieckiej nad kanałem Ogińskiego w latach 1915-18. Fotografia wykonana w 2004 roku.

Niemieccy stratedzy frontowi, postanowili problem ten rozwiązać poprzez wybudowanie sieci wąskotorowych kolejek. Zapadła decyzja, iż sieć ta obejmie wielki przyfrontowy obszar bezdroży, leżący pomiędzy dwiema kolejowymi liniami, idącymi na wschód od Brześcia nad Bugiem. Jedna z tych linii biegła w kierunku południowo wschodnim do Pińska, a druga w północno wschodnim, do Baranowicz. Dla pruskiego okupanta były to stacje krańcowe, jakie na tych liniach zdołał opanować.

Pomiędzy tymi dwoma kolejowymi szlakami, rozciągała się ogromna komunikacyjna pustynia, którą w niewyobrażalnie krótkim czasie pokryła rozległa sieć wąskotorowej kolejki. Budowę prowadzono w niesłychanie

trudnych warunkach terenowych, klucząc pomiędzy bagnami, przebijając się przez uroczyska i bory.

Sieć wąskotorowej kolei dotarła w paru miejscach aż do samego frontu. Jedna z jej odnóg połączyła stację Iwacewicze z Telechanami, a inna dotarła aż do nowo powstałej wsi Kraśnica, nieopodal Wygonoszczy.

Niemcy za pośrednictwem wąskotorówki dokonali także bezpośredniego połączenia stacji Iwacewicze leżącej na linii kolejowej do Baranowicz, z Janowem Poleskim leżącym na trasie do Pińska. Dzięki takiemu rozwiązaniu, stały się możliwe bezpośrednie przeładunki wojsk i towarów z normalnej kolei na wąskotorową i odwrotnie, na obszarze całego Polesia.

Możliwość tę Niemcy wykorzystali w pełnym zakresie, dostarczając na poleski odcinek frontu zaopatrzenie dla wojska i niezbędne materiały do budowy fortyfikacji. W ciągu trzech lat trwania pozycyjnej wojny, Prusacy wybudowali wzdłuż kanału Ogińskiego ponad pięćdziesiąt żelbetowych bunkrów, o różnorodnym przeznaczeniu. Wiele spośród tych niezniszczalnych, wojennych „monstrów” przetrwało do dzisiaj. W pamięci mojej zachowała się ponura sylweta jednego z takich okazów, który w sposób wątpliwy zdobył ogród mojego wuja Stefana.

Po wybudowaniu przez Niemców betonowych fortyfikacji, ich wojska rozlokowane na zachodnim brzegu kanału Ogińskiego stworzyły sobie luksusowe jak na wojnę warunki bytu. Żołnierze ukryci przed pociskami rosyjskiej artylerii w żelbetowych schronach, byli bezpieczni i syci. O to z kolei dbali ich kamraci, grasujący na zapleczu frontu. Na okupowanych ziemiach, Prusacy rabowali na potrzeby swojej armii wszelkie dostępne dobra, siejąc wśród cywilnej ludności głód i zniszczenia.

W tym samym czasie na przeciwnym brzegu kanału Ogińskiego, żołdaków armii carskiej trapiły głód, wszy, choroby i niedostatki w zaopatrzeniu. Na domiar złego, rosyjscy żołnierze kryjący się przed ogniem wroga jedynie w okopach i ziemiankach, byli dla niego łatwym celem. To też rosyjskie straty w ludziach były nieporównywalnie większe, niż w wojskach pruskich.

Dla niemieckiego okupanta, rozwiązanie problemu łatwego dowozu na front wojska i zaopatrzenia nie było jedynym celem. Zgodnie z perfidnym planem cesarskich Niemiec, kolejka miała służyć również do wywozu z Polesia wojennych łupów. Dniem i nocą Niemcy wywozili nią z tej ziemi wszelkie dobra, jakie tylko mogli zrabować. W Iwacewiczach i Janowie, łupy te przeładowane z kolejki na towarowe pociągi, jechały do Niemiec. Najbardziej łakomym kąskiem dla okupanta było oczywiście drewno, które wywożono z bezlitośnie trzebionych lasów. W tym celu, w głębi starej puszczy na zachód od wsi Wygonoszcz, gospodarni kajzerowscy rabusie postawili nowoczesny tartak i elektrownię.

Zatrudnieni tam przymusowi robotnicy, byli praktycznie odcięci od reszty świata. W tych warunkach, w sąsiedztwie tartaku powstała wieś, którą robotnicy nazwali Kraśnica.

Z pomocą doprowadzonej tam kolejowej linii, okupanci wywozili nie tylko przerobione w tartaku drewno, ale również rabowane we wsiach zboże i inne płody rolne.

Prusacy swojego apetytu na płody rolne, nie ograniczyli jedynie do ściągania ich z miejscowej ludności. Na niezalesionych terenach w pobliżu kolejki, w zawrotnym tempie wybudowali wiele prowizorycznych ferm. Rozpoczęli tam masową hodowlę rzeźnych zwierząt i uprawę rolnych płodów. Z zajętych terenów wywożono także ogromne ilości siana, na paszę dla kawalerskich koni.

W haniebnym procederze rabunku poleskiej ziemi, wąskotorowa kolejka zaprzężona do służby przez pruskiego okupanta, uczestniczyła przez trzy lata. Uznanie i sympatię ludzi zyskała później, służąc przez następnych lat dwadzieścia mieszkańcom swojej ziemi. Była przez nich uznana za niezbędną ogniwo komunikacji, a wielu traktowało ją nieomal jak maskotkę swojej miejscowości.

W Telechanach, ludzie bardzo chętnie fotografowali się na tle kolejki, a tutejsi kolejarze cieszyli się powszechnym poważaniem. Pamiętam, jak znaną i szanowaną osobą w całym miasteczku był zawiadowca stacji naszej „ciuchci”, pan Gołębiowski. Zapamiętałem również trzech panów spośród kolejarzy, którzy nosili przezabawne nazwiska. Ogromny i brzuchaty maszynista nazywał się pan Siekiera, a dwaj inni mizernie wyglądający kolejarze, nosili nazwiska Nędza i Jendza, co pan ów podkreślał przy każdej okazji, że jego nazwisko pisze się przez literę „n”.

W mojej pamięci samowarek i jego miniaturowe wagoniki, pozostawiły na zawsze ciepłe wspomnienia. Także i teraz, wspinając się piaszczystą pochyłością na kolejowy niegdyś nasyp, z żalem myślę, że nie zobaczę na nim szyn wypolerowanych kółkami samowarka. Jest jak przewidywałem, po torach kolejowych nie ma żadnego śladu.

ROZDZIAŁ 9

Idę piaszczystym nasypem opadającym łagodnie w stronę ulicy Kościelnej, teraz Lenina. Nasyp od strony południowej, jest porośnięty gęsto macierzanką. Zresztą wszystko wokół, jest zachwaszczone jakimiś nieznanymi dla mnie roślinami. Ale już koniec nasypu, zaraz dojdę do ulicy Kościelnej. Po prawej stronie nieopodal torów znajdował się tartak, a nieco dalej duży parowy młyn. Przy tartaku była niewielka elektrownia, oświetlająca sporą część miasteczka. Tartak i elektrownię, napędzała parowa maszyna. Jednym z jej palaczy, był nasz pobliski sąsiad, wąsaty pan Fiedkowicz. Jego córka Tosia, chodziła z moją siostrą do jednej klasy. Pan Fiedkowicz stracił pracę, kiedy w 1943 roku młyn, tartak i elektrownię spalili partyzanci.



Młyn hrabiego Pusłowskiego w Telechanach.

Przed wojną, te trzy gospodarcze obiekty będące własnością hrabiego Pusłowskiego, zarządzane były przez jego dzierżawców.

Członkowie rodu Pusłowskich rezydowali w kilku wspaniałych siedzibach, w większości leżących na terenie Polesia. Ich dobra szły w dziesiątki tysięcy hektarów uprawnych pól i lasów. Posiadali niezliczone wręcz tartaki, młyny, gorzelnie i smolarnie. Byli również właścicielami lub współwłaścicielami różnych wysoko dochodowych obiektów na innych obszarach Polski.

Po wybuchu drugiej światowej wojny w 1939 roku, Pusłowsky rezydujący na Polesiu, wyjechali za granicę. Tym sposobem uniknęli sowieckich represji, z których najłagodniejszą prawdopodobnie byłaby wywózka na Sybir.

Po zajęciu Polesia przez Sowietów, wielkie dobra Pusłowskich stały się oczywiście własnością radzieckiego państwa.

Teren, gdzie znajdowały się tartak i młyn Pusłowskiego, wygląda teraz zupełnie inaczej, jak przed ćwierćwieczem. Jest ogrodzony wysokim płotem z desek, a za nim stoją parterowe drewniane budynki. Dobiegają stamtąd odgłosy, jakie wydają maszyny do obróbki drewna. Na placu widać poukładane pod daszkami stosy desek. A więc teraz jest tutaj wytwórnia jakichś drewnianych wyrobów. No tak, żeby ci tutaj mogli coś produkować, znowu jakiś las musi płacić swoją śmiertelną daninę.

Ten ogrodzony teren z hałasującą wewnątrz fabryczką, oprócz kanału Ogińskiego jest historycznie najważniejszym miejscem w Telechanach. To właśnie temu kawałkowi ziemi, miasteczko zawdzięcza swój rozwój. Początek tej historii sięga osiemnastego wieku, kiedy właścicielem Telechan był Wielki hetman litewski, Michał Kazimierz Ogiński. Realizując największe dzieło swojego życia budowę kanału, na tym właśnie miejscu zlecił postawienie fabryki wyrobów fajansowych. Także wybudowana nieopodal huta szkła, już w 1779 roku rozpoczęła produkować swoje wyroby. Od niej to aż po dzień dzisiejszy, ta część obszaru Telechan nosi nazwę Huty.

Do produkcji przeróżnych wyrobów ze szkła i kryształu, używano miejscowego surowca, piasku wydobywanego nieopodal kanału. Nad kanałem zaś znajdowała się przystań, gdzie na barki ładowano wyroby z obu fabryk, wywożone stąd w głąb Polski i poza jej granice.

Wytwarzane w Telechanach doskonałej jakości naczynia i inne przedmioty, znane były daleko poza granicami kraju. Obie fabryki doskonale prosperowały bez względu na wszystkie polityczne wstrząsy, jakim w międzyczasie ulegała poleska ziemia. Fabrykom wiodło się świetnie nawet po trzecim rozbiórce Polski, kiedy teren Polesia znalazł się pod panowaniem carskiej Rosji. Także śmierć założyciela obu fabryk, hetmana Michała Kazimierza Ogińskiego w 1800 roku, nie przerwała tej dobrej passy.

Dopiero wojna napoleońska, która wybuchła w 1812 roku, stała się przyczyną ich upadku. Wytwórnia fajansu przestała istnieć jeszcze podczas wojny. Sto kilkadziesiąt lat później, relikty jej produkcji w postaci fajansowych malowanych skorupiek, my telechańskie dzieci wygrzebywaliśmy z piasku bawiąc się tam, gdzie kiedyś stała ta fabryka.

Natomiast huta szkła ocalała podczas wojny i po jej zakończeniu liczone, że będzie nadal przynosić zyski. Około 1819 roku nabył ją żydowski finansista Lewin. Niestety, przeliczył się. Popyt na wyroby huty po wojnie okazał się tak mały, że jej nowy właściciel niebawem splajtował i huta przestała istnieć.

W Telechanach, Ogiński pobudował nie tylko obie wspomniane fabryki. Jako wyznawca prawosławia, był również fundatorem pierwszej chrześcijańskiej świątyni. W centrum miasteczka, wybudowana została drewniana

cerkiew pod wezwaniem Świętej Trójcy. Jednocześnie podarował nowopowstałej parafii cztery włóki uprawnej ziemi, czyli około sześćdziesięciu siedmiu hektarów. Prawosławne świątynie Ogiński zafundował również miejscowościom Świętej Woli i Wygonoszczy, obdarowując także i te parafie ziemskimi dobrami.

Śmierć hetmana Michała Ogińskiego spowodowała, że w jego włościach zaszły istotne zmiany. Jego spadkobiercy nękani finansowymi kłopotami, żądania wierzycieli zaspakajali wyprzedając resztki posiadłości nieboszczyka hetmana. Część włości z należącym do nich miasteczkiem Telechany, sprzedali zarządcy słonimskich dóbr, Wojciechowi Pusłowskiemu. Był to człowiek niezwykle rzetelny, posiadający nieprzeciętne umiejętności organizacyjne.

Te cechy charakteru Wojciech Pusłowskiego, w kolejnych latach otworzyły mu drogę do kariery politycznej i były napędową siłą ekonomicznego rozwoju nabytych przez niego posiadłości, które w przeciągu niewielu lat stały się jednymi ze znaczniejszych na Polesiu.

Zdobycie tak wysokiej ekonomicznie i politycznie pozycji, niebawem Pusłowskiemu umożliwiło pozyskanie tytułu hrabiego.

Wojciech Pusłowski po objęciu w posiadanie Telechan, prawie niezwłocznie, bo już w roku 1817 zafundował miasteczku katolicką świątynię, Wprawdzie była to tylko drewniana kaplica, ale przy ówczesnej ilości mieszkających tam katolików, w pełni im wystarczająca.

Nabycie przez Pusłowskiego dóbr od spadkobierców hetmana Ogińskiego wraz z Telechanami, dla miasteczka okazało się szczęśliwym zrządzeniem losu. Zarówno on jak i jego spadkobiercy, byli doskonałymi gospodarzami swych posiadłości. Rozwijające się w Telechanach rzemiosło i handel, były wówczas niezbędne dla normalnego funkcjonowania licznych i wciąż rozrastających się majątków rodu Pusłowskich.

W czasach istnienia pańszczyzny, polescy chłopcy byli w swoich potrzebach nieomal całkowicie samowystarczalni. Po uwłaszczeniu ich carskim ukazem w 1861 roku, zaczęli coraz częściej korzystać z usług rzemieślników i handlarzy.



Hrabia Wojciech Pusłowski.
Kopia olejnego portretu.

ROZDZIAŁ 9

W 1880 roku wskutek straszliwego pożaru, w Telechanach spłonęły niemal wszystkie budynki. Miasteczko odbudowało się po tej klęsce niezwykle szybko, dzięki różnym rodzajom pomocy ze strony właściciela Telechan hrabiego Franciszka Pusłowskiego, wnuka założyciela tego rodu, Wojciecha.

W 1895 roku u wylotu ulicy Kościelnej, na miejscu gdzie przed stu laty stała huta Ogińskiego, Franciszek Pusłowski wybudował nową hutę szkła. Była ona własnością akcyjnej spółki, której największym udziałowcem był sam hrabia. Udziałem tym był aport jego gruntów, na których postawiono hutę. Oprócz hrabiego, akcjonariuszami spółki zostało jeszcze sześć osób, wnoszących kapitał. Wśród nich byli dwaj Żydzi ze Słonima bracia Czernihow, doskonali specjaliści w dziedzinie hutnictwa szkła. Ponadto wspólnicy sprowadzili do Telechan zza granicy jeszcze kilku szklarskich fachowców. Do dnia dzisiejszego obywatelami miasteczka jest rodzina Jakobsonów, potomków specjalisty szklarskiego hutnictwa, rodem ze Skandynawii

Huta posiadała najnowocześniejsze jak na ówczesne czasy wyposażenie i była ciągle modernizowana. Już po czterech latach produkcji, wymieniono w niej piece do wytopu szkła na wówczas najdoskonalsze, acetylenowe. Acetylen pozyskiwano bardzo ekonomicznie, wykorzystując do tego drzewne odpady, z wybudowanego w sąsiedztwie tartaku. W roku 1911, uruchomiono tam również własną elektrownię.

W telechańskiej hucie produkowano szeroki, absolutnie pełny asortyment szklanych wyrobów, poczynając od szyb okiennych, aż po rzeźbione i pozłacane kryształowe puchary, które zdobiły cesarskie stoły Europy. Wyroby huty wysyłane w świat z przystani kanału Ogińskiego, były bardzo atrakcyjnym, poszukiwanym towarem w całej Rosji, Niemczech, Austrii, Francji i Anglii.

Podstawowym surowcem do produkcji szkła, zarówno przed stu laty w hucie Ogińskiego i teraz był złocisty piasek, którego nieprzebrane złoża znajdowało się nieopodal fabryki. Komponenty niezbędne do wytworzenia szklanych cacek, importowano. Między innymi saletrę przywożono aż z Chile, a różne chemikalia i barwniki, z Niemiec i Anglii. Po długiej podróży, trafiały one do huty kanałem Ogińskiego.

W roku uruchomienia huty, zatrudniała ona niespełna stu pięćdziesięciu ludzi, ale już po pięciu latach, pracowało w niej trzysta osób. Po piętnastu latach istnienia fabryki w 1910 roku, pracowało już blisko pięciuset robotników. Rekrutowali się oni spośród mieszkańców Telechan i okolicznych wsi.

Robotnicy będący mieszkańcami wsi, zakwaterowani byli w fabrycznych barakach, pobudowanych obok huty. Panowały w nich fatalne warunki bytowe. Ludzie mieszkali w ogromnej ciasnocie. Za opał w postaci

drzewnych odpadów z tartaku, oraz użytkowanie łaźni, musieli właścicielom fabryki płacić.

Przy wysokich zarobkach ludzi z nadzoru, płace zwykłych robotników były nędzne, choć nie odbiegały od ogólnie przyjętych wówczas robotniczych płac w Rosji. Zarobki kobiet i licznie zatrudnionych młodocianych, równały się połowie tego, co zarabiali mężczyźni. Roboczy dzień trwał dwanaście, nieraz nawet trzynaście godzin, a robotnicy obsługujący niektóre miejsca pracy, rozpoczynali ją nawet o godzinie czwartej rano.

Warunki pracy w hucie były niezwykle ciężkie. W słabo oświetlonych pomieszczeniach bez wentylacji, robotnicy musieli oddychać powietrzem silnie skażonym. Było ono przesycone powstającym przy szlifowaniu szkła pyłem i wylęgami z hutniczych pieców. Nic, więc dziwnego, że wśród robotników szerzyły się liczne choroby, będące wynikiem tak złych warunków pracy i zakwaterowania w barakach. Przy tym zaś, byli oni pozbawieni jakiegokolwiek opieki medycznej.

Jednakże warunki pracy i bytowania stworzone robotnikom huty „Telechany” przez ich chlebodawców, nie różniły się od tych, jakie panowały w innych fabrykach na terenie Rosji. Potwierdzają to zachowane protokoły państwowych kontrolerów wizytujących hutę, że w niej „wsio w pariadkie.”

Nie należy więc dziwić się, że kiedy w 1905 roku w Rosji wybuchła rewolucja, Telechany ogarnęły niepokoje. Rewolucja ta była następstwem wydarzeń w Petersburgu, gdzie kozacy zmasakrowali robotników, domagających się poprawy swojego bytu. Carskie władze próbowały rozładować napięcie wśród ludzi starym, wypróbowanym sposobem. Całe zło panujące w Rosji, należało zrzucić na „krwiopijców” Żydów.

Na polecenie zwierzchniej władzy, policja w Telechanach wykorzystując w tym celu miejscowy motłoch, zorganizowała w „obronie świętej chrześcijańskiej wiary” pogrom Żydów. W pogromie tym niszczone żydowskie sklepy i demolowano mieszkania, a kilkoro Żydów poniosło śmierć. Nie dało to jednak spodziewanego rezultatu. Wśród robotników huty, nadal wrzało.

Narastające niezadowolenie robotników trwało do marca 1907 roku, kiedy to w hucie wybuchł strajk. Do pracy nie stawiała się większość załogi. Przywódcy strajku wnieśli do właścicieli huty siedem postulatów. Domagano się w nich podniesienia płac, zmniejszenia ilości godzin pracy i poprawy warunków bytowych.

Po dwóch tygodniach rozmów, pracodawcy uznali wszystkie żądania robotników. Strajk zakończył się i przez następne dziesięć lat, huta bez żadnych zakłóceń produkowała swoje wspaniałe wyroby.

Niestety, nadszedł rok 1914, wybuchła pierwsza światowa wojna. To był początek końca huty szkła w Telechanach. Praca w niej została zdezorganizowana, gdyż większość zatrudnionych tam mężczyzn wcielono do wojska. Niedługo po wybuchu wojny, Telechany znalazły się w zasięgu frontu i huta szkła po dwudziestu latach pracy, przestała istnieć.

Wojna pomiędzy Rosją i Niemcami tocząc się przez trzy lata na poleskiej ziemi, zadała jej straszliwe rany. Tysiące jej mieszkańców poniosło śmierć, spalone zostały wsie i miasteczka, panował głód, rozpleniły się choroby. Ziemia nieuprawiana na terenach objętych frontem jałowiała, a lasy zostały straszliwie przetrzebione.

Pozycyjna wojna na linii kanału Ogińskiego, dokonała również i w Telechanach okrutnych spustoszeń. Przed zbliżającym się frontem, większość ludności miasteczka uciekła w głąb Rosji, cierpiąc tam wszelkie niedostatki. Podczas trzyletnich działań wojennych, niemal doszczętnie spłonęła drewniana zabudowa miasteczka.

Po zakończeniu wojny i odzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku, Telechany szybko dźwignęły się z wojennych zniszczeń. Nowe domy wyrastały jak grzyby po ciepłym deszczu. Należy tutaj wspomnieć, że telechańscy Żydzi otrzymali wówczas dużą finansową pomoc od żydowskich organizacji w Ameryce. Uzyskanie tych środków, bardzo przyspieszyło odbudowę miasteczka.

Lata mojej rozłąki z Telechanami były wystarczająco długie, abym zdążył ckliwą tęsknotę za nimi, wypełnić szperaniem po różnorakich źródłach, dotyczących historii mojego miasteczka. Stąd wiem, jakim skokiem w jego rozwoju stała się odbudowa ze zgliszcz po pierwszej światowej wojnie. Wprawdzie ta wojna przyniosła Telechanom „wiano” w postaci wąskotorowej kolejki, ale jednocześnie kosztem obrócenia ich w zgliszcza, utratą huty szkła i rujną kanału Ogińskiego.

Przed wybuchem pierwszej światowej wojny, Telechany znajdujące się pod zaborem carskiej Rosji były zapyziałą miejsciną, której statusu nie poprawiało nawet istnienie huty. Przy istniejących tu pięciu świątyniach trzech wyznań, jedynie katolicka nie miała swojego kapłana. A tak w ogóle, to poza powiatowym miastem Pińskiem, na całym podległym mu razem z Telechanami obszarze, tylko w dwóch miejscowościach były katolickie kościoły z obasadą księży. W leżącym nieopodal Telechan Łohiszynie z księdzem Szackim i w odległym Lubieszowie, z księdzem Kozłowskim.

Rzemiosło i handel obsługujące potrzeby rodzimego miasteczka, oraz okoliczne majątki i wsie po uwłaszczeniu chłopów w 1861 roku, były zdominowane przez ludność żydowską. Tą rzemieślniczo-handlarską gildią zarządzał w Telechanach bogaty kupiec Szloma Perelsztain, dziad mojego dziecięcego przyjaciela Chaimka, którego w 1941 roku Niemcy zamordowali podczas holokaustu.

Przez lata panowania carskiej Rosji aż do jej upadku, miasteczko nie miało państwowej szkoły. Najbliższa znajdowała się o dwanaście kilometrów od niego, w Świętej Woli. Telechany musiały zadowolić się małą prywatną szkółką, ufundowaną przez miejscowych bogatych obywateli.

Przy okazji warto tutaj nie pominąć ciekawostki, cuchnącej dyskryminacją. Szkołka wielkością swoją obliczona była na domniemaną ilość objętych nauką dzieci, zarówno chrześcijańskich jak i żydowskich. Miejscowi notable

wraz z wójtem Michałem Poźniakiem i pisarzem gminnym Piotrem Łapiczem, narzuciły fundatorom budowy szkoły następujące kryterium. Kwota budowy jednego miejsca nauki dla dziecka żydowskiego, była dwukrotnie wyższa od tej, jaką fundatorzy szkoły płacili za dziecko chrześcijańskie. Cóż, w carskiej Rosji antysemityzm był zupełnie legalny i wręcz hołubiony przez samego „pomazańca bożego, cara świętej Rusi”.

Znacznie lepiej jak z edukacją, było z pomocą medyczną dla miasteczka i jego rozległej okolicy. Wprawdzie Poleszucy w zasadzie z niej nie korzystali, jako że była dla nich zbyt droga, ale mimo to, doktor Aleksy Puchnarewicz nędzy prawdopodobnie nie cierpiał. Zapewne nie cierpiał jej też właściciel apteki Lejba Wajner, z prowadzącym ją Dymitrem Sagałowiczem i jego pomocnikiem Freimanem. Najbliższe szpitale z prawdziwego zdarzenia, ale oddzielne dla chrześcijan i Żydów, znajdowały się dopiero w odległym o pięćdziesiąt kilometrów powiatowym Pińsku.

Telechany zdegradowane losowo po okresie bujnego rozkwitu za czasów Ogińskiego, mogły jednak poszczycić się posiadaniem nowoczesnej naówczas poczty, której naczelnikiem był powszechnie znany i szanowany „uważajemyj gospodin” Wasilij Grudziński. Dzięki jego zabiegom, ta zagubiona wśród poleskich błot „pipidówka”, już wtedy posiadała telegraf i własną abonencką sieć telefonów! Wprawdzie obejmowała ona na obszarze całego miasteczka razem z hutą i majątkiem hrabiego zaledwie kilka aparatów, ale była!

Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, ogromna ilość ludności wyemigrowała z terenu carskiej Rosji do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ludzie wyjeżdżali z powodu biedy panującej w Rosji, a Żydzi dodatkowo jeszcze ze względu na panoszącą się tam dyskryminację.

Na tym pędzie biedoty do „lepszego” świata, korzystali przeważnie obrotni Żydzi, zakładając biura wysyłające emigrantów do Stanów Zjednoczonych. Firmy te powstawały jak grzyby po deszczu. Takie biuro Chaima Najmana, znajdowało się nieopodal Telechan w Łohiszynie.

* * *

Mam wielką satysfakcję, że zdołałem przywrócić do życia zapomniane, martwe od tylu lat i próchniejące pod kożuchem pajęczyn i kurzu zapiski o ludziach i tamtejszym obrazie Telechan, w których żyli może nawet moi praszczurowie i gdzie po raz pierwszy światło dnia ujrzały moje oczy.

Zapamiętane z czasów mojego dzieciństwa Telechany, miały już zupełnie inny wizerunek. To miasteczko, które znałem, zostało przecież odbudowane po wojennej zawierusze pierwszej światowej wojny i miało nie więcej, jak dwadzieścia lat!

Będąc przy tej refleksji, nie można pominąć zasług kolejnych telechańskich ojców miasteczka. To ich zabiegi o fundusze na odbudowę i właściwy nadzór nad nimi sprawiły, że Telechany odrodziły się ze zgliszcz dosłownie w ciągu kilku lat. Nie można też przemilczeć czynnej pomocy telechańskich



Włodarze Telechan z 1934 roku. Z lewej siedzi naczelnik miasteczka i gminy (nazwisko nieustalone), z prawej skarbnik Cyprian Demczyło. Za nimi stoi sekretarz urzędu, Ligocki.

władz dla ludności żydowskiej, w pozyskaniu pieniędzy na odbudowę swoich domostw, z funduszu utworzonego na ten cel przez amerykańskie syjonistyczne organizacje.

Refleksje te przywodzą z kolei na myśl pytanie, ile to zmian jeszcze będę musiał nanieść na zapamiętany obraz moich Telechan? Prócz tych oczywiście, które już zdążyłem odnotować.

Spoglądam na zegarek. Znowu urządziłem sobie niezły postój. Ruszam z miejsca, opuszczam tak ważny historycznie dla Telechan obszar, powszechnie zwany Hutą.

Idąc wzdłuż ogrodzenia fabryczki jazgoczącej jakimiś maszynami, zbliżam się do ulicy Kościelnej. Na tej wysokości ulica właściwie już się kończy i przechodzi w piaszczystą drogę, porośniętą z obu stron młodym, brzoźowo-sosnowym lasem. Droga ta prowadzi do niewielkiej wsi i jeziora, o wspólnej nazwie Wólka. Nieopodal stąd po prawej stronie drogi, jest jeszcze katolicki cmentarz. Myślę, że za cmentarzem uchował się przed siekierą stary las, w którym znajduje się kurhan z mogiłą tatarskiego chana, czyli Łysa Góra. Muszę tam pójść po południu.

Doszedłem już do mojej ulicy, do Kościelnej. Natychmiast stwierdzam, że miejsce to różni się całkowicie od tego sprzed lat. Po przeciwnej stronie ulicy, w głębi była stacja wąskotorowej kolejki. Ale skoro nie ma kolejki, to po co komu stacja?

Na prawo od nieistniejącej stacji, stały dwa baraki. Miały bogatą i tragiczną historię. Wybudowane zostały przez właścicieli huty dla zatrudnionych w niej robotników, pochodzących spoza Telechan. W czasie pierwszej światowej wojny, dziwnym trafem nie uległy zniszczeniu. W okresie międzywojennym, mieściły się tu kolejowe magazyny.

Podczas okupacji hitlerowskiej, baraki stały się ostatnim etapem życia telechańskich Żydów. Spędzano ich tutaj przed dokonaniem mordów. W jakiś czas później, przyjeły pod swoje dachy wojennych uciekinierów z głębokiej Rosji, którzy ocaliwszy cudem życie, wyrwali się spod kul i bomb toczącej się wojny. Po miesiącach tułaczki o głodzie i chłódzie, zżerani przez wszy i choroby, znaleźli wreszcie tutaj schronienie.

Za zrujnowanymi szczątkami baraków, aż po żałosne resztki lasu na horyzoncie, rozciąga się równina porośnięta młodymi brzoza. Ten zielony młodniak kipiący życiem, wyrósł tutaj żywiąc się ciałami zamordowanych tutaj i pogrzebanych telechańskich Żydów. Stwierdzam, że po zbiorowych mogiłach nie pozostał żaden ślad. Jednakże miejsce to upamiętnia stojący tuż przy drodze pomnik, poświęcony pamięci tej potwornej zbrodni.



Pomnik upamiętniający wymordowanie żydowskiej ludności w Telechanach, w sierpniu 1941 roku.

Pobyt w tym miejscu przywołał do mojej pamięci pewne wydarzenie z czasu okupacji niemieckiej. Bez wątpienia, było to najbardziej makabryczne przeżycie w moim dzieciństwie. Otóż w kilka dni po wymordowaniu telechańskich Żydów przez niemiecki oddział SS, w miasteczku ludzie zaczęli opowiadać niesamowitą historię. Mianowicie znaleźli się ponoć zwyrodnialcy, którzy wykopują ze zbiorowych mogił trupy Żydów, szukając w ich odzieży ukrytego złota i wyrywając nieboszczykom złote zęby.

Zrozumiałe, że w ślad za dorosłymi, temat ten stał się również sensacją dla naszej paczki chłopców. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z „makabry” tego procederu, to też rozsadzała nas ciekawość. Któregoś dnia, Robert imponujący nam najszybszym bieganiem, zdecydował:

– Chłopaki, pójdziemy zobaczyć, jak to z tym wykopywaniem zabitych Żydów. Tylko w domu o tym ani słowa, no, bo sami wiecie o co chodzi...

Zrozumiałem, że rodzice innych chłopców, tak samo jak moi bratu i mnie, zabronili pod groźbą jakiejś surowej kary zbliżania się do tego cmentarzyska. Ojciec i mama tłumaczyli nam, iż dokonanie mordy na Żydach było rzeczą tak okropną, że my dzieci nie powinniśmy nawet myśleć o tym. Jednakże teraz, moja wrodzona wścibskość podbechtana decyzją naszego szybkobiegacza Roberta, zagłuszyła we mnie ówczesne, jeszcze nieomal ślepe posłuszeństwo wobec rodziców.

Poszliśmy tam okreśną drogą przez młody brzeźniak, żeby nikt nie mógł nas zauważyć. Byliśmy jeszcze spory kawałek od tego miejsca, jak poczuliśmy odrażającą woń i usłyszeliśmy niesamowity harmider głosów, wydawanych przez wronowate ptaki. Po wyjściu z brzeźniaka, potworny fetor nieomal zatrzymał mi oddech, a oczom ukazał straszliwy widok.

Przemy piachu przykrywające zbiorowe mogiły, w wielu miejscach były rozgrzebane. Wokół nich leżały na piasku jakieś łachmany, z których sterczały jakby ubłocone kości. Jednak największą, paraliżującą grozę wywołał we mnie widok ludzkich czaszek. Wystawały one z łachmanów, albo walały się na piasku. Pośród tych okropności, roilo się od dużych czarnych ptaków. Cały ten teren, ubabrany był ich odchodami.

Czułem, jak moje nogi zamieniają się w bezwładne kołki, a w ustach pojawił się znany mi już smak ohydnej słodyczy. Nie wiem, ile czasu staliśmy tam zbici w ciasną gromadkę, odrętwiali z przerażenia. Ocknęliśmy się, kiedy Tadzik z bolesnym jękiem rzygnął przed siebie strugą wymiocin. Stało się to hasłem, do naszej panicznej ucieczki w kierunku kanału.

Szliśmy jego brzegiem bez celu, zziębnięci i mokrzy od zimnego potu, nie mając odwagi spojrzeć na siebie. Czułem jak moje nogi, które tak lotnie przyniosły mnie nad kanał, teraz stają się z każdym krokiem coraz słabsze. Kola na pode mną trzęsły się. Idąc tak doszliśmy do miejsca, gdzie kilku miasteczkowych „żuli” mieszkających na Hucie, łowiło ryby. W normalnych okolicznościach my jako młodsi i słabsi, na wszelki wypadek omijaliśmy ich. Oni zaś traktowali nas pogardliwie i także nie zaczepiali. Dziwne, ale tym razem widok tych młodych lumpów z Huty, sprawił mi ulgę.

– Chto was honyu, szczo tak ziajete – kto was gonił, że tak ziajecie – roześmiał się na nasz widok Andrej, dryblas mówiący głosem skaczącym od chłopięcego, po gruby męski.

Kpina Andreja podziałała na nas jeszcze bardziej dobroczynnie. Szczękając zębami, zaczęliśmy jeden przez drugiego opowiadać bezładnie o naszym makabrycznym odkryciu. Jednakże prawie natychmiast, nasze opowiadanie zostało przerwane gromkim śmiechem wyrostków.

– Nujżesz trusy, duraki, żydouskoho padła zlakatysia! – Ależ tchórze, durnie, żydowskiej padliny przestraszyli się!

– Taż ludy chodziać tam zołota szukaty! – Toż ludzie chodzą tam szukać złota! – rehocząc wyjaśnił nieznany nam andrus.

– Ja tama buw ne raz i baczyu, jak ludy żydouskomu padłu wybiwając kamniamy zołotyje zuby – ja byłem tam nieraz i widziałem, jak ludzie wybijali kamieniami żydowskiej padliny złote zęby – pochwalił się Omelan.

– A ja czuw pro takich, szo u Żydowok szukajuć u dyrkach palciami schowanoho zołota. Dla mene heta hadość – a ja słyszałem, że są tacy, co szukają palcami u Żydówek w dziurkach schowanego złota. Dla mnie to ohydne – z obrzydzeniem splunął Hryszka.

– Zamknij mordę durniu, komu ty to opowiadasz? – Warknął milczący do tej pory Edek, herszt chuliganów z Huty, znany jako „Czarny Edzik” – A wy główniarze poszli won! I nikomu ani słowa, co widzieli i co słyszeli! Won jobu waszu mać, bo zdechłym Żydem poszczuje!

Makabryczny dowcip Czarnego Edzika i nasze przerażenie, musiały dla andrusów być bardzo śmiesznie, bo patrząc na nas, zanosili się od śmiechu.

Pośpiesznie wynieśliśmy się stamtąd na trzęsących nogach i wciąż nie patrząc na siebie, w milczeniu rozeszli do domów.

Po przekroczeniu progu kuchni, z niepohamowanym płaczem rzuciłem się w objęcia mamy. Dławiąc się łzami, wyznałem jej całą prawdę. Mama płakała razem ze mną.

– Dziecko moje, przecież zabroniliśmy tobie tam chodzić! Gdzie ciebie poniosło, po co ci to było! Boże mój, do czego doszedł ten świat, co porobiło się z tych ludzi! – szlochała, tuląc mnie do siebie.

Sporo wysiłku kosztowało mamę, ażeby całkowicie mnie uspokoić. Kiedy wreszcie to nastąpiło, długo mi wyjaśniała, że są na świecie ludzie potwory, którzy dla osiągnięcia korzyści, nie cofną się przed żadną podłością. I że w Telechanach niestety, również mieszkają tacy zwyrodnialcy. Że rozgardiasz spowodowany wojną, ośmiela takich nikczemników bez czci i sumienia, do popełniania najohydniejszych czynów. To, co zobaczyłem na własne oczy i usłyszałem, niech będzie dla mnie ostatnią przestrogą przed nieposłuszeństwem wobec rodziców. Mamę bardzo to boli, że z powodu mojego nieposłuszeństwa, spotkało mnie coś tak strasznego.

Konkluzja mamy, była dla mnie przysłowiowym plastrem miodu na serce. Poczułem dla niej bezgraniczną wdzięczność, że okazała mi tyle dobra i ciepła. Wprawdzie po rozmowie z mamą został mi jeszcze strach przed re-

akcją ojca, kiedy przyjdzie do domu. Ale on po spokojnym wysłuchaniu relacji mamy, zamknął temat krótko:

– Synku, zabroniliśmy tobie pójścia tam dla tego, żeby uchronić cię przed taką potwornością, jakiej doświadczyłeś z własnej winy.

Jakże byłem wdzięczny rodzicom, że zamiast obiecanego lania za złamanie rodzicielskiego zakazu, doznałem od nich wyrazów zrozumienia i współczucia!

Po tym zajściu, przez parę miesięcy zdarzały mi się sny z rozkopanymi grobami, czaszkami, wronami... Budziłem się zlany zimnym potem. Moi współtowarzysze tej niefortunnej eskapady, również opowiadali mi o makabrycznych snach z trupami.

Stoję i patrzę na to miejsce, kryjące w sobie tak splugawione szczątki niegdysiejszych mieszkańców moich Telechan. Teraz rośnie tutaj młody brzoźniak, tchnący ciszą i spokojem. On nie pamięta tych aktów ludzkiego zwyrodnienia, on wyrósł lata całe później. Ciekawe, ilu jest jeszcze mieszkańców dzisiejszych Telechan, świadków tych straszliwych wydarzeń? A ilu mieszkańców w ogóle nie wie, o dokonanej tu zbrodni?

ROZDZIAŁ 11

Opuszczam szumiący cichutko liśćmi brzeźniak, wychodzę na drogę. Ruszam w górę Kościelnej. Zaczynają się domy. Widać, że budowane już po wojnie. Zabrakło mi miejsca na dom Wiktorskiego. A przecież był. Brak domu Brzostowskiego – „Płaksy” stwierdziłem już wczoraj. A oto już dom kupca bławatnego Czerni. Był kupcem bławatnym, ale na zamówienie pewno sprowadziłby również banany. Lubiłem chodzić do tego sklepu. Z rodzicami albo sam, wysyłany przez mamę lub ciotkę Manię.

Czernia był niemłodym, olbrzymim Żydem z wielką, szpakowatą brodą i pejsami. Czubek jego głowy przykrywała ozdobna kipa, jarmułka. Na dużym brzuchu opiętym aksamitną kamizelką, błyszczał złoty łańcuszek zegarka. Spod kamizelki spływały po brzuchu w dół cajgowe spodnie. Żona Czerni, wielka tęga kobieta, nosiła czarne długie sukienki i koronkowe czepce. W sklepie żadne z nich nie siedziało. Kiedy wchodziło się do niego, dzwonił dyndając zaczepiany drzwiami dzwonek. Wtedy w szparze pluszowej kotary, zawieszanej w drzwiach prowadzących ze sklepu do mieszkania, pojawiało się oko i po chwili kotara uchylała się. Do sklepu po trzech schodkach schodził kupiec albo jego żona. Na tłustym obliczu pojawiał się uśmiech, a brzuchaty korpus pochylał się w ukłonie.

– Dzień dobry, czemu można służyć? – Padało z kupieckich ust za każdym razem. Brzuszyisko wsuwało się pomiędzy ciemnobrązowe regały z towarami i takąż ladę. Na regałach, oprócz zwoi tkanin, było jeszcze obuwie, parasole, czapki, kapelusze i Bozia wie, czego tam jeszcze nie było. Mroczne wnętrza sklepu przesycone było zapachem nowych tkanin i cebuli. Ten ostatni, przedostawał się przez kotarę w drzwiach do mieszkania.

Sklep Czerni, był bodajże największym sklepem w Telechanach. Nie dorównywał mu nawet sklep spółdzielczy, w którym pracował pan Szneke, jedyny Niemiec w miasteczku. Pochodził z poznańskiego i mówił płynnie po polsku, ale ze swoją żoną, nawet w sklepie rozmawiał po niemiecku.

Dla klientów robiących większe zakupy, pan Szneke był wyjątkowo uprzejmy. Zakupiony towar zawinięty w biały pakowy papier, obwiązany dwukolorowym papierowym sznurkiem, do domów odnosił wynajmowany do pomocy chłopak o imieniu Daniło. Daniło przynosił paczkę i dotąd stał w drzwiach pociągając nosem, dopóki nie dostał parę groszy. Wtedy niezgrabnie kłaniał się i z chytrym uśmieszkiem na twarzy wychodził bez słowa.

Poczułem na sobie czyjś wzrok. To kobieta w oknie, zrobionym z drzwi do sklepu Czerni. Stara kobieta w białej chustce na głowie, nisko nasuniętej na czoło. No tak, stoję już dobrą chwilę przed jej oknem, a jedna myśl pogania drugą. Przeleciał kawałek filmu: Czernia, Szneke, Daniło... Ruszam da-

lej, mijam dom Mizińskiego. Widać, że był remontowany. Ramy oszklonych drzwi werandy lśnią świeżym, niemalowanym drewnem.

Przechodzę przez ulicę Borową i już drewniany płot, ogradzający zaniedbany dom Perelsztajna. Zatrzymuję się przy furtce, dławię w sobie chęć wejścia za nią. Patrzę na przekrzywiony ganek z oszklonymi drzwiami wejściowymi. Ileż wspomnień wiąże się z tym starym domem!

Jeżeli ze względu na porę roku, albo złą pogodę nie latałem z chłopakami nad kanał Ogińskiego, to całe godziny spędzałem na zabawie z Chaimkiem Perelsztajnem, któremu nieodłącznie towarzyszyła jego młodsza siostrzyczka Dobka. Najczęstszym miejscem zabawy, była stolarnia ich ojca. Mieściła się ona w dużej przybudówce domu, zbudowanego po zakończeniu pierwszej światowej wojny.

W stolarni stały dwa warsztaty. Przy jednym pracował właściciel, przy drugim misiowaty pomocnik Josele. Spod upapranej opiłkami drewna mycki, wystawały mu dwa czarne świderki pejsów. Pejsy te śmiesznie kołysały się w takt ruchów ciała, kiedy Josele coś piłował czy heblował. Jego lniana koszula zawsze miała na plecach dużą, wilgotną plamę potu.

Kiedy Josele wyrabiał w jakimś drewnie otwory, pobijając dłuto drewnianym młotkiem, od czasu do czasu odwracał do nas głowę i uśmiechał się, pokazując zza krótkiej, gęstej czarnej brody, białe zęby. Nieraz coś do nas mówił i czasami wyłapałem sens zdania. Na ogół było to: „Jak tam koty?” Albo: „Co słysząc, dzieciaki?”

Perelsztajn, ojciec Chaimka i Dobki będąc Żydem, nie nosił chałata ani mycki. Chodził w zwyczajnym ubraniu, a głowę nakrywał czapką cyklistówką. Był to mężczyzna dobrze po czterdziestce, nie miał pejsów i golił zarost na twarzy. Oprócz Chaimka i Dobki, miał jeszcze dwoje starszych dzieci, byli to chłopcy bliźniacy.

Perelsztajn pracował w milczeniu. Pasował drewniane detale, korbą stolarską wiercił otwory, poczym wbijał w nie na klej drewniane czopy. Różne części wyrabianego mebla smarował gorącym klejem i pokrywał płatami forniru, którego całe stopy leżały na półce, wysoko pod sufitem. Potem wszystko unieruchamiał w stolarskich ściskach i odstawiał na bok, do wyschnięcia.

Kiedy Dobka zagrzebana w wiórach, bawiła się swoimi lalkami, ja i Chaimek uważnie obserwowaliśmy pracę jego ojca. Oczywiście, obaj wiedzieliśmy na pewno, że kiedyś zostaniemy stolarzami.

Czasami Perelsztajn pozwalał nam „popracować”. Cięliśmy wówczas małą płatnicą niepotrzebne kawałki drewna i wierciliśmy w nich otwory. Robiliśmy to z mozołem we dwójkę. Na jedną parę naszych rąk, korba stolarska była za duża.

Kiedy Dobce brzydło niańczenie lalek, rozpoczynało się baraszkowanie w trójkę. Mocowaniu się i przewalaniu po stertach wiór nie było końca. Kiedy rozszaleliśmy się za mocno, ojciec moich przyjaciół przerywał robotę i wołał: „Sza, sza, spokój”, a Josele kręcił głową i cmokał: „Cy, cy, cy”... Cichliśmy na chwilę, a potem wszystko zaczynało się od nowa.

Nieraz do stolarni przychodziła mama Chaimka i Dobki. Nie wiadomo, dlaczego ludzie nazywali ją „Warszawianką”. „Warszawianka” była sporo młodsza od męża, miała wielkie, orzechowe oczy i smolście czarne włosy. Przykrywała je małą, trójkątną chusteczką, zwaną z poleska kosynką. Ubierała się w kolorowe bluzki i ciemne spódnice albo długie, kwieciste sukienki. Na tym nosiła fartuch z falbankami.

Mama „Warszawianka” uśmiechała się do nas koralowymi ustami i mówiła w swoim języku, lub po polsku:

– Dzieci, trzeba jeść podwieczorek...

Ze stolarni, przez wielką sień wchodziliśmy do kuchni, gdzie na dużej ławie pod oknem, stały już trzy niebieskie miseczki. Było tam na ogół coś mlecznego, albo pachnący rosół z maleńkimi, żółtymi kluseczkami. Czasem zamiast gotowanego jedzenia, dostawaliśmy po kawałku pysznego, miodowego ciasta i kubku mleka.

Kiedy tak siedzieliśmy na stołeczkach przed ławą z jedzeniem, czasami „Warszawianka” głaskała nasze głowy i cicho śmiała się niskim głosem, co dla mnie brzmiało, jak mruczenie kotki.

Kiedyś, na podwieczorek dostaliśmy po kawałku faszerowanego szczupaka. Moja mama też robiła takie danie, ale ten tak mi smakował, że gdzieś na samym dnie duszy pożałowałem, że „Warszawianka” nie jest moją mamą. Przewyciężając wstyd, poprosiłem o jeszcze. „Warszawianka”, kładąc przede mną drugą porcję, powiedziała:

– Smakuje? Taki szczupak to umie robić tylko bube, babcia moich dzieci.

Pożarłem drugą porcję, nie bacząc na to, kto ją przyrządził. Bube była osobą, która budziła we mnie bojaźń. Wysoka i szczupła, wręcz chuda, z oczami, które przenikały mnie na wylot. Nosiła czarne, długie sukienki i czepiec na głowie. Nigdy nie uśmiechała się, a ja miałem wrażenie, że za chwilę nas, dzieci, za coś zestrofuje. Ale Dobka ją uwielbiała. Przypadała do niej całym ciałem, obejmowała wpół i cieniutkim głosikiem podśpiewywała: „Bubele, buuubele, meine bubele.” Wtedy oczy bubele robiły się aksamitne i ciepłe, a kąciaki ust drgały. Jedną ręką przytulała do siebie wnuczkę, a drugą pieściła jej kruczoczarny, kędzierzawy łepok.

W czasie żydowskiego święta Pesach, kiedy wypiekano macę, „Warszawianka” obdarowywała mnie całymi jej stertami. Przynosiłem do domu plik cienkich płatów ciasta z brązowymi, przypieczonymi plamami. Z siostrą i bratem jedliśmy macę posmarowaną konfiturami, lub maczaliśmy w miodzie nalanym do spodka.

Stoję i zatopiony we wspomnieniach, patrzę na szerniały ganek. Ileż to razy na nim czytałem Chaimkowi i Dobce bajki Grimma z pięknie ilustrowanej książki, którą dostałem w prezencie pod choinkę na ostatnią Gwiazdkę. Dobka wołała oglądać ilustracje, bo niewiele rozumiała z czytanego przeze mnie tekstu. Co chwila pytała o znaczenie słów, ale czasami i tłumaczenia nie pomagały. Złościło to mnie i Chaimka. Kończyło się tym, że naburmuszona dziewczynka zła z ławki i szła do matki na skargę, że nie bawimy się

z nią. Wtulona buzią w jej fartuch, płaczliwym głosem psioczyła na nas do woli. Matka Dobki coś jej tłumaczyła, całowała w głowę i zabierała ze sobą w głąb domu, lub do ogrodu.

Przez oszklone drzwi widzę młodą kobietę z dzieckiem na ręku. Dziecko trzyma w buzi smoka. Kobieta z nieukrywanym zainteresowaniem przygląda się facetowi przy furtce. Ten facet, to ja. Nic dziwnego, w Telechanach zawsze obcego poznawało się natychmiast. A ten jeszcze zachowuje się dziwnie. Zrobiło mi się trochę głupio i odchodzę od furtki, ale na wypływiałej fotografii pamięci, wciąż widzę rodzinę Perelsztajnow. Odeszła w nicość ponad ćwierć wieku temu.

Staram się otrząsnąć z przykrych wspomnień. Oddycham głęboko, rozluźniam napięte mięśnie. Uspokajam tętno, przyglądając się pobliskim domom. Staram się odnaleźć w nich różnice pomiędzy dwoma obrazami, tym z pamięci i tym rzeczywistym.

Wzrok mój przenosi się z domu na dom, aż zatrzymuje na budynku po drugiej stronie ulicy. To był hotel Żyda, Ajzika Szklara. Ajzik otworzył go po zakończeniu budowy, na parę miesięcy przed wybuchem wojny. To sprawiło, że biedak nie zdążył nacieszyć się nim, gdyż niebawem Telechany „oswobodzili” Bolszewicy. Hotel został upaństwowiony, jego „naczalnikiem” został jakiś przyjezdny Rosjanin, a Szklarowi pozwolono jedynie w nim pracować jako stróżowi i palaczowi w piecach. Do pracy w hotelu w charakterze sprzątaczk, skierowano też panią Wandę Girszel, starszą już kobietę o białutkich jak mleko włosach.

Pani Wanda była osobą samotną. Pochodziła z Ukrainy, z bogatej ziemiańskiej rodziny. Ale pierwsza światowa wojna, a potem polsko sowiecka w 1920 roku sprawiły, że spośród licznej rodziny, ocalała jedynie ona. Ziemskie posiadłości rodziny pani Wandy, stały się własnością radzieckiego państwa.

Przed wojną, pani Wanda była w Telechanach właścicielką aptecznego składu, ale ten oczywiście przepadł z nastaniem radzieckiej władzy. Żyć z czegoś jednak trzeba było. I tak oto niełaskawy los uczynił z niej hotelową „służankę.”

Kiedy w 1941 roku wybuchła niemiecko sowiecka wojna, „naczalnik” hotelu uciekł z Telechan razem z innymi towarzyszami. W niespełna dwa miesiące później, Niemcy wymordowali telechańskich Żydów i ofiarą ich padł również właściciel hotelu Ajzik Szklar. W dużym hotelowym budynku, została tylko pani Wanda.

Podczas niemieckiej okupacji, w hotelu nigdy nie roiło się od gości, ale hotel funkcjonował. Pani Wanda pełniła w nim wszystkie możliwe funkcje. Była w nim jednocześnie kierownikiem i pokojówką, sprzątała, prała i paliła w piecach. Za swoją ciężką pracę, wynagrodzenie otrzymywała z rejonowego urzędu od przypadku do przypadku, jak zresztą wszyscy tutejsi ludzie, zatrudnieni przez Niemców.

Pani Wanda chcąc jakoś przeżyć, hodowała kozy. Wśród nich była jej ulubienica, młoda bezroga kózka o imieniu Zula. Cieszyła się ona u pani Wandy względami szczególnymi. Zachowaniem swoim bardziej przypominała psa,

aniżeli kozę. Łaziła za swoją panią wszędzie, do hotelu miała nieograniczony wstęp. Pani Wanda wielokrotnie powtarzała, że Zula jest jej ukochanym pieskiem. Tyle, że nie umie szczekać. No i daje mleczko.

I właśnie owa „psia miłość” do kozy, pewnego razu stała się przyczyną tego, że pani Wanda przyszła do nas z wielkim płaczem i skargą na swoją pupilkę. Otóż księgowemu w urzędzie rejonu, właśnie udało się wskrobać pieniądze na pensję dla pani Wandy. Ta zaś odebrawszy ją, zwitek banknotów schowała do kieszeni palta i szczęśliwa powróciła do hotelu. Tam zostawiwszy palto w swoim pokoju, wyszła z niego, zostawiając niedomknięte drzwi. Kiedy po chwili wróciła tam, omal nie padła trupem. Jej ukochana Zula wywlokła z kieszeni palta odebraną dopiero co pensję i z rozkoszą dożerała właśnie ostatnie banknoty. I chociaż na co dzień Zula urzekala panią Wandę swoim „psim” charakterem, tutaj wylazła z niej najprawdziwsza koza. Zuli ten perfidny wyczyn wcale nie zaszkodził, ale pani Wandzie... Ech!

Pani Wanda zapewne też wyjechała z Telechan, ale czy jeszcze żyje? Już wtedy młodzianka nie była, a upłynęło ćwierć wieku.

Ze wspominkiem zmartwienia pani Wandy, ruszam wolno w stronę domu wuja Stefana. Mijam go i na chwilę zatrzymuję się ponownie przy chaszczach, maskujących rumowisko po naszym domu. Trudno mi wciąż z tym się pogodzić, że go nie ma. Jakim sposobem przepadł zupełnie nowy dom? Uświadamiam sobie nagle, że wiedząc już o tym wczoraj, obgadałem z Kolą multum tematów, a ten jakoś mi umknął. Dzisiaj będzie to pierwsze pytanie, kiedy się spotkamy.

Z naprzeciwnika idzie niemłody człowiek, przygląda mi się ni to ciekawie, ni to podejrzliwie. Zrównawszy się ze mną, bez słowa w powitalnym geście, koniuszkami palców dotyka daszka czapki. Wziął mnie za kogoś znajomego? Teraz widzę z bliska, że mężczyzna jest podchmielony.

– Dzień dobry, słucham was? – pytam go po rosyjsku.

– Noo tak... tak stoicie tutaj...

Wpadam na pomysł i pytam człowieka, czy jest miejscowy. Potwierdza.

– Może wiecie, co stało się z tym domem?

Człowiek wzrusza ramionami. W jego zamglonych alkoholem oczach, widzę zdziwienie i ciekawość zarazem.

– A co mogło się stać? Czort go wie, chyba spalił się, czy jak... Było coś takiego, ale uuu... dawno temu, zaraz po wojnie. Nie wiem, nie pamiętam, ja mieszkam po tamtej stronie miasta. A po co wam to wiedzieć, wy chyba nie miejscowy?

– Nie, ale ja w tym domu kiedyś mieszkałem...

– Aha – kwituje wiadomość nieznajomy. Nagle traci zainteresowanie moją osobą i odchodzi bez słowa z rękoma w kieszeniach.

Zostaję na miejscu i z ciepłym uczuciem ściskającym za gardło, patrzę na ocalałą staruszkę brzozę, która stoi w głębi podwórza. Ogromna, gałęzie swoje zwiesza z jakimś smutkiem. Tak mi się wydaje. Patrzę na nią zwiłgotniałymi oczyma i powtarzam w duchu:

– Brzózko moja, brzozo...

Stary, a głupi. Tak rozmazać się na widok starej brzozy. Przechodzę na drugą stronę ulicy, idę w kierunku centrum. Do rynku.

Zbliżam się do uliczki wiodącej nad kanał Ogińskiego. U zbiegu obu ulic stał dom kowala Nowaka. Dom stoi, ale nie ten. Widać, że ma niewiele lat. Drewniany, z ładną, ozdobną werandą. Okna też w drewnianych, ozdobnych otoczkach. To nie jest dom Nowaka. Tamten był mały, z dwoma okienkami od ulicy. W głębi wielkiego podwórza, po lewej stronie stała kuźnia, po prawej olejarnia.

Córka Nowaka Danusia, chodziła ze mną do jednej klasy. Jej starszy brat Czesiek, z moim bratem Stefanem. Oboje bardzo „fajni”. Ale Czesiek do naszej paczki chłopaków nie należał. Kolegował się ze starszymi chłopcami.

W penetracji telechańskich ciekawostek, nie zabrakło mnie również w Nowakowej kuźni i olejarni. Pan Nowak pracował w kuźni z pomocnikiem, panem Daszkiewiczem. Był to niewysoki, ale muskularny mężczyzna. Pół twarzy zasłaniały mu olbrzymie wąsy. Zastanawiałem się nieraz, jak one pozwalają mu jeść.

Kiedy trzymane przez Nowaka w szczypcach, rozgrzane do czerwoności żelazo pan Daszkiewicz bił wielkim młotem, na jego plecach i barkach poruszały się zwały mięśni. Naga skóra na grzbiecie lśniła od potu. Pan Nowak, małym młotkiem stukał w jakieś miejsce na rozżarzonym żelazie, a duży młot walił w nie tak, że iskry tryskały na całą kuźnię. Po takiej „operacji,” żelazo wracało do ponownego nagrzania w palenisku. Pan Daszkiewicz rozżarzał węgle, poruszając jedną ręką dźwignię kowalskiego miecha, drugą zaś ocierał pot z czoła i wąsów. Posapywał przy tym i półgłosem powtarzał: „uuuff, psia jucha, psia jucha...”

Po doznaniu takich wrażeń w kuźni, wielokrotnie postanawiałem zostać kowalem. Koniecznie. Jak tylko będę duży! Przy tym postanowieniu trwałem niezłomnie tak długo, dopóki nie trafiłem do warsztatu innego rzemieślnika.

Pan Nowak umiał jakoś podzielić swój czas pomiędzy kuźnię i olejarnię. Do niej, Poleszucy z całej okolicy przywozili lniane siemię, aby wytłoczyć z niego olej.

W olejarni grzechotał młynek drobiący lniane siemię. Później było ono podgrzewane w wielkim blaszanym bębnie nad żarem brzozowych węgli. Zatrudniona w olejarni piersiasta Stefka obracała powoli korba bębna. Potem, we dwie, z córką Zośką bez jednego zęba z przodu, przenosiły gorące siemię do stępy. Na jej śrubę zakładały potężny drąg, jak dyszel od wozu. Ciągnęły go, aż śruba i makuchy w formie piszczwały. Czasami do pomocy przy tłoczeniu oleju przychodził pan Daszkiewicz. Makuchy piszczwały, a złoty-żółty olej płynął strużką do podstawionej konwi.

Podczas prawie dwuletniej okupacji bolszewickiej w Telechanach, zarówno Nowakowa kuźnia jak i olejarnia, stały się oczywiście własnością radzieckiej władzy. Teraz były one spółdzielcze, czyli „artielnyje”.

W czasie niemieckiej okupacji, pomimo że oba warsztaty powróciły do właściciela, to w miarę upływu czasu, było z nich coraz mniej pożytku. Oko-

lice owładnięte przez partyzantów stawały się coraz bardziej niespokojne i ludzie bali się ruszać w drogę. Zdarzało się teraz, że chłopskie konie chodziły nie podkute. Również i olejarnia obsługiwała tylko najbliższych właścicieli chutorów. Nowak wraz z rodziną klepał biedę.

I znowu „łapię się” na tym, że stoję jak kołek naprzeciw czyjegoś domu. Przecież domu Nowaków nie ma, a oni też z pewnością wyjechali do Polski. Przywracam swój umysł do rzeczywistości, zaczynam się rozglądać.

Nieomal naprzeciw mnie z dała od ulicy, wśród starych drzew stoi pokościelny budynek. Przechodzę przez ulicę, idę w jego kierunku. Wiem już od wczoraj, że teraz mieści się tu kinoteatr. O kilkadziesiąt kroków dalej, stoi była plebania. To obszerny, solidny budynek. Przed wojną, w Telechanach murewanymi budynkami oprócz kościoła były jedynie plebania i nowy szpital.

W oknach byłej plebanii, widzę firanki i rośliny w doniczkach. Zauważyłem, że przy wejściu wisi czerwony szyldzik. Więc plebania nie jest budynkiem mieszkalnym. Podchodzę bliżej, czytam i już wiem. Teraz mieści się tutaj przedszkole. Stojąc przy samym budynku słyszę, jak zza okiennej szyby przeciekają głosiki dzieciaków, śpiewających jakąś piosenkę.

Znowu przywołuję wspomnienia. Widzę księdza Tarnogórskiego i jego jędzowatą gospodynię. Widzę też księżowskiego foksteriera Wisusa. Ksiądz Tarnogórski często przychodził do naszego ojca na pogawędkę. Latem siadali na werandzie, palili egipskie papierosy ojca, popijali herbatę albo nalewkę na wiśniach i gawędzili. Ja usiłowałem sprowokować Wisusa do zabawy, ale pies mnie lekceważył.

Obok kościoła, odkrywam nieistniejący kiedyś, odbiegający w prawo zaułek. Jest wyjeżdżona, gruntowa droga. Ciekawe, dokąd mnie zaprowadzi? Wzdłuż zaułka stoi kilka niewielkich domów, przykrytych eternitem. Nie ma tu żadnego ładu, ani porządku. Wałają się śmieci i rosną chwasty.

Niespodziewanie wychodzę na ulicę Borową, tuż obok domu Chai gremplarki. Żydówka Chaja była jeszcze młodą, owdowiałą kobietą. Niewysoka i zgrabna. Ku zgorszeniu pobożnych telechańskich Żydówek, nie przykrywała niczym głowy. Długie, czarne włosy z połyskiem jak skrzydło kruk, zaplatała w gruby warkocz i upinała w kok na tyle głowy. Nosila za krótkie jak na Żydówkę, jaskrawe sukienki. Przyozdabiała się w korale i brosze.

Chaja nie miała dzieci. Całe dni przesiadywała z Poleszuczkami, które w pocie czoła na przemian kręciły korbą u wielkiego koła gremplarskiej maszyny. Pieprznym babskim plotkom i prześmiejchom, nie było końca. Nad głosami i chichotem Poleszuczek, górował mocny, ostry głos Chai.

Ludzie mówili, że do Chai zachodził na nocie niejaki Sawka o przydomku Burłaga, postrach spokojnych obywateli Telechan i okolicy, częsty lokator aresztu przy posterunku policji. Był to chłop, jak dwa niedźwiedzie. Widocznie dla drobnej Chai, taki był potrzebny.

ROZDZIAŁ 12

Idąc dalej w kierunku szkoły, w pewnej chwili rozpoznaję dom, w którym z rodzicami mieszkała młodsza ode mnie Dusia. Miałem wtedy bodajże dziesięć lat, kiedy ta mała dziewczynka zaciągała mnie do ichniej drewnutni. Tam w panującym półmroku, Dusia jako pierwsza w moim życiu wyjaśniała wszystkie zawiłości, do czego tak naprawdę służy to, co ma kobieta i mężczyzna. Dziewczynka uciepiona rozszerzonymi źrenicami mojej twarzy, wykłady swoje prowadziła zduszonym szeptem. Od czasu do czasu niespodziewanie przerywała jakieś zdanie i wspinając się na palce, całowała mnie w usta. Wargi jej były wilgotne, gorące i zawsze pachniały szczypiorkiem.

Skłamałbym twierdząc, że stawiałem opór Dusinej napastliwości. Jej rewelacje chłonałem z jakimś zawstydzeniem, ale jednocześnie byłem obezwładniony pragnieniem poznania tej wiedzy. Zasluchany w szeptanie Dusi, czułem jak moje ciało przenika dziwne, nieznane do tej pory uczucie. Co chwila musiałem przełykać napływającą do ust gęstą ślinę, a w moim podbrzuszu pełzały sprawiające przyjemność mrówki.

Niezwykle bogatą wiedzę w tej dziedzinie, Dusia zdobyła śpiąc w jednym pokoju z rodzicami. Mała spryciula opowiadała mi, że często budziły ją ze snu hałasy, powodowane łóżkowymi uciechami jej rodziców. Wtedy pilnie obserwowała spod kołdry ich wymyślne harce, z których później składała mi skrupulatne relacje.

Wspominając te „schadzki” z Dusią, nagle olśniła mnie zaskakująca refleksja. Przecież wówczas nigdy nie przyszło mi do głowy skojarzenie, że moi rodzice także mogą mieć coś wspólnego z „tymi rzeczami”.

Za którymś razem Dusia niespodziewanie zaproponowała, abyśmy spróbowali „jednej sztuczki”, która jej rodzicom podobala się zapewne najbardziej, gdyż właśnie „to” robili najczęściej. Zniewolony ciekawością, przystałem na to skwapliwie. Pragnienie skosztowania marcepanu z nieznanego mi dotąd świata, puściło w niepamięć wpajaną w domu jedną z podstawowych „prawd” o ciężkim grzechu, zajmowania się tym fragmentem ciała.

To nowe moje życiowe doświadczenie w wykonaniu małoletniej nauczycielki, było wręcz oszałamiające. W jego trakcie, mała lubieżnica od czasu do czasu przerywała swoją czynność i zaglądając mi w oczy pytała, czy to mi się podoba. W jakimś momencie, Duśka gwałtownie zażądała rewanzu. Kiedy natrętnie ponaglany przystąpiłem do niego, całkowicie skompromitowałem się. Już po krótkiej chwili zaprzestałem tego procederu, ponieważ moja niedomyta partnerka zdecydowanie mi nie posmakowała. Unikając zawiedzionych spojrzeń Dusi, bez słowa wyniosłem się z drewnutni.

Wracając do domu z przyklejonym do języka absmakiem poczułem, jak wraz ze zbłaźnieniem się podczas mojej inicjacji, gdzieś przepadło zaintere-

sowanie osobką Dusi. Nie bez znaczenia było też obudzenie się we mnie refleksji, że te „schadzki” w mroku drewnutni były przecież ciężkim grzechem!

Jednakże mimo poczucia winy z racji zajmowania się „tymi rzeczami”, po jakimś czasie ponownie zacząłem tęsknić za naszymi spotkaniami. Niestety, moje umizgi do nauczycielki „grzesznej wiedzy”, były przez nią kwitowane wzruszaniem ramion i pogardliwym wykrzywianiem krwistych ustek.

Niebawem wyjaśnił się powód, takiego ignorowania mnie przez Dusię. Okazało się, że teraz edukowała ona Gucia, który o rewelacjach z drewnutni opowiedział mi kiedyś z wypiekami na twarzy. Gucio był widać aktywniejszy ode mnie, gdyż oni nieomal z marszu przeszli do części praktycznej zajęć. Wkrótce okazało się także, iż Gucio nie był jedynym wybranцем Dusinej „akademii grzesznej edukacji”.

Kiedy ci „studenci” dzielili się ze mną wrażeniami ze swoich sukcesów, byli zdumieni moją zakłamaną niewiedzą w tej dziedzinie. Nawet spoglądali na mnie z góry, a Robert nazwał mnie kiedyś głupim prawiczkim. Ja zniósłem to z udanym spokojem, a wiedzę przyswojoną od Dusi i nabyte tam doświadczenie, zachowałem w najgłębszej tajemnicy.

Przemilczałem to również podczas spowiedzi, nie pisnąwszy na ten temat księdzu Tarnogórskiemu ani słówka. Strach przed jakąś potworną karą, którą może wymierzyć mi sam Pan Bóg za grzech popełniony w drewnutni, paraliżował mnie przed wypowiedzianiem się z tego czynu. Uczyniłem to w przekonaniu, że Bóg dowiaduje się o ludzkich grzechach od spowiednika...

Pamięć o popełnieniu z Dusią tak ciężkiego grzechu, długi czas nękała moje dziecięce sumienie. Ta duchowa rozterka, pogłębianą w następnych latach kolejnymi „występkami” rozwojowego wieku, sięgnęła szczytu poprzez uczestnictwo w Sakramencie bierzmowania. Stało się to już w latach powojennych, a bierzmował mnie sam prymas Polski, ksiądz kardynał August Hlond.

Na uroczystej mszy, Jego eminencja wygłosił nader pompatycznie i bardzo długie kazanie. Jedyną jego treścią, był obowiązek czynienia przez wiernych nieustającej pokuty, za popełnione z podszeptu szatana grzechy. Nawoływanie wiernych do ciągłego bicia się w piersi za popełnione grzechy, prymas wielokrotnie uzasadniał cytatai słów, jakie wygłaszały objawiające się ongiś postacie, lśniące największym nimbem świętości.

Wtedy w kościele, treść kazania prymasa w złotych szatach grzmiącego z ambony, w mojej duszy połączyła się w całość z bożą bojaźnią, kształtowaną we mnie latami przez rodziców. Zjednoczona presja słów usłyszanych z ambony i rodzicielskich napomnień wywleczonych z pamięci, wpędziła moje sumienie w najczarniejsze poczucie winy. Dodatkowo pogłębiał je fakt, że przed bierzmowaniem podczas spowiedzi, dławiący strach przed eksplozją gniewu spowiednika i jakąś straszliwą karą, kolejny raz uśmiercił moje pragnienie przyznania się do popełnionych frywolności.

Z samego dna mojej świadomości wypłynęła konkluzja, że z takimi grzechami żyć nie jestem godzien i jedynie słuszną karą za moje występkę, powinno być popełnienie samobójstwa. Nie wiem do dzisiaj, czy moja duchowa rozterka nie zakończyłaby się tragedią, gdyby mojego poczucia winy nie zdo-

minował strach przed nieuniknionymi mękami w piekle, na temat których tak wiele dowiedziałem się z kazania Jego eminencji, prymasa Augusta Hlonda.

Dopiero po latach rozumiałem, jak głęboko można okaleczyć wrażliwą psychikę dziecka, chowanego w takiej chorej „bojaźni bożej.” Psychikę modelowaną strachem wiszącej nad nim jakiejś potwornej kary ziemskiej, ale głównie boskiej. Kary za przewinienia zabronione prawem, wydumanym przed wiekami przez „pasterzy naszych dusz”. Prawem sięgającym korzeniami samego jądra zapyziałego średniowiecza, pogrążonego w obskurantyzmie, i hipokryzji.

Niestety, w tamtych latach społeczeństwo wciąż jeszcze w dużym stopniu było owładnięte zatechłą gnijącą kołtunerią, sięgającą odległych czasów rządzonych niepodzielnie przez zakapturzonych „świętych mężów”. To, czym Matka Natura obdarzyła człowieka w celu płodzenia potomstwa i wzajemnego obdarzania się przez partnerów czułością i radością życia, w uczonych księgach tych „autorytetów” zostało upodlone do ostatecznych granic. I tak na przykład zbliżenie kobiety mężczyzny, niektórzy twórcy tej „moralności” zdefiniowali jako ohydny grzech penetrowania członkiem skórzanego worka, wypełnionego łajnem.

Jestem przekonany, że taka chora nienawiść do prokreacyjnych elementów ludzkiego ciała, mogła zrodzić się jedynie w głowie osoby seksualnie tragicznie upośledzonej. Zapewne przysłowie o psie ogrodnika, który skoro sam zeżreć nie może to i drugiemu skosztować nie da, wzbudziło w pewnym uczonym eunuchu nienawiść do ludzi, posiadających sprawne organy.

Takie zwyrodnienie Praw Natury będących przecież Prawem boskim, pchnęło ludzi w objęcia demona hipokryzji, splodzonego przez chytry ludzki rozum. Dwulicowość pozwoliła bowiem na zewnętrzne demonstrowanie wymaganego porządku, z jednoczesnym czynieniem w ukryciu wszelkich zabronionych uciech, a nawet o wiele, wiele więcej.

Ten bigoteryjny „porządek świata”, w dwudziestym wieku zaczął wreszcie powoli więdnąć, przybierając bardziej „cywilizowaną” postać. Jednak wynaturzona przyzwoitość polegająca na demonstrowaniu sąsiadom, iż żywot pędzi się „po bożemu”, do moich czasów dotrwała spokojnie.

Po dzień dzisiejszy większość ludzi nosi pęta reżimu, że „co powiedzą ludzie” w razie ujawnienia, iż wyszło się poza normy obyczajowości, narzuconej ongiś naszym przodkom. Wciąż wielu hołduje zasadzie, że dotąd „wszystko gra”, dopóki smród hipokryzji nie wypełźnie za próg „bogobojnego” domostwa.

Ja żyjąc w tym środowisku, także podlegałem obowiązującym powszechnie rygorom. Moi rodzice, najukochańsi i najlepsi spośród wszystkich rodziców, umysły swoich dzieci również modelowali w duchu bojaźni bożej, rodem ze średniowiecza. Gorzkie to dla mnie, że oboje będąc ludźmi krystalicznie uczciwymi i w wielu dziedzinach bardzo postępowymi, w tej jednej dźwigali garby zacofania. Taki model wychowania, wynieśli niestety ze swoich rodzinnych domów.

Jednak rodzice moi byli dowodem na to, że w tamtym świecie oprócz bigotów, żyli również ludzie o duszach czystych, brzydzący się obłudą. Tyle, że urodzeni i wychowani na swoją biedę w takim środowisku, byli ślepo pod-

porządkowani „bożym” nakazom i zakazom obłudnych moralistów. Brzydzili się hipokryzją niemal fizycznie, ale głęboko wierzyli, że przekroczenie „zakazanego progu”, niechybnie wywoła boży gniew i zasłużoną karę.

Przy każdej sposobności napominali nas dzieci, że myślenie, a nie daj Boże manipulowanie przy „tych” detalach ciała, należy do najcięższych grzechów, za które Pan Bóg surowo karze. Poniesienie niechybnej boskiej kary, miała poprzedzić niewyobrażalnie surowa doczesna kara cielesna, aczkolwiek nasi rodzice kary stosowali bardzo rzadko i symbolicznie, tylko za największe dziecięce przewinienia. Głównie wychowywali nas „na ludzi” poprzez wpajane do świadomości, że każdy grzech wywołuje gniew Pana Boga.

Jeżeli kiedykolwiek temat rozmowy zaczepiał o tę „zakazaną” sferę życia, moi rodzice nie umieli sensownie odpowiedzieć swojemu dziecku. W odpowiedzi na niezręczne dla nich pytania, karmili naszą trójkę bzdurami o bocianie, lub sprytnie zmieniali temat. Dochodziło do takich absurdów, że kiedy będąc małym dzieckiem zapytałem mamę którą kura znosi jajko, w odpowiedzi usłyszałem, że dziobem.

Ja stałem się świadkiem panującej „za moich czasów” kołtuńskiej obłudy, kiedy bodajże nie osiągnąłem jeszcze szkolnego wieku. Będąc z rodzicami w mieście, spotkaliśmy po drodze mocno starszego pana, który podobno cieszył się w miasteczku ogólnym poważaniem. W trakcie przelotnej wymiany zdań rodziców z tym człowiekiem, ulicą przejechała na rowerze „damce” jakaś młoda kobieta. Rowery o tej nazwie miały ramę o takim kształcie, że kobiety jeżdżąc na nich w spódnicach, mogły wsiadać i zsiadać z nich bez „fikania” nogą ponad siodełkiem.

Na widok przejeżdżającej rowerzystki, starego pana aż poderwało.

– Kakoże biezobrażje – co za zgorszenie - paczcie państwo, toż to Sodoma!
– Zawołał wzburzony, jednocześnie kłaniając się szarmancko mojej mamie
– przepraszam niewieście uszy łaskawej pani! Ale za moich czasów, nawet rozpustnica z bardaka (burdelu) nie považyła by się na ulicy tak bezwstydnie rozkraczać nóg, jak ta bezbożnica!

Staruch ten rozjuszony widokiem „bezbożnicy rozkraczającej nogi” w czasie jazdy na rowerze, w tamtych „jego czasach” bez pardonu folgował swojej chuci, rozkraczając nogi folwarcznym dziewczętom i zwiększając tym sposobem pogłowie swoich pozbawionych ojca potomków.

O dubeltowej moralności starego hipokryty dowiedziałem się po latach od mamy, będąc już dorosłym człowiekiem. Obłudnik ten przed pierwszą światową wojną, był jakimś urzędnikiem w majątku hrabiego Pusłowskiego. Słyszał wówczas z tego, że na podległych mu folwarkach, masowo wykorzystywał tamtejsze młode kobiety. W tamtych „jego czasach”, pięćdziesiąt lat po zniesieniu pańszczyzny przez cara, zahukane poleskie kobiety nie ośmiały się sprzeciwiać obłej woli wyuzdanego „panoczka”.

O jego folwarcznych wyczynach, podobno aż gotowało się w mieszczańskich salonikach Telechan. Jednak te moralne smrody uwięzione tam przez panującą wszechwładnie obyczajowość, na zewnątrz nie wydostawały się. Oficjalnie, ten folwarczny dwunogi buhaj pozostawał statecznym, żonatym

urzędnikiem. W swoim otoczeniu zachowywał się przecież godnie, dbał o dom, rodzinę i regularnie uczęszczał do świątyni na nabożeństwa. Nic dodać, nic ująć, wzór obywatela godnego szacunku!

Miałem bodajże jedenaście lat, kiedy nieświadomie zmusiłem rodziców do zjedzenia żaby ich wychowawczych metod. Pewnego razu wyczytałem w całowanej ze czcią biblii, że rozgniewany Bóg zabił Onana za „wypuszczanie nasienia na ziemię”, którym to czynem złamał powinność zapłodnienia wdowy po swoim bracie. Poprosiłem mamę o wyjaśnienie zawilego dla mnie sensu tego fragmentu biblii, a ona – wybac mi mamusiu – zbaraniała z wrażenia. Po dłuższej chwili wyjąkała, że odpowie wieczorem, bo teraz nie ma czasu.

Wieczorem rodzice wpierw poszeptali ze sobą, a potem ojciec powiedział mi, że w biblijnych czasach panowała straszna bieda i takie marnotrawienie nasienia jakiegoś zboża zamiast je posiać, było ciężkim grzechem. Po tym kłopotliwym dla rodziców objaśnieniu grzechu Onana, jako niewinne dziecko udałem, że wiem już wszystko i niezapłodniona biblijna wdowa nie interesuje mnie wcale.

Kiedy zacząłem dojrzewać i pojawiły się u mnie nocne zmazy, wiedziałem już z całą pewnością, że podjęcie rozmowy z rodzicami na ten temat jest bezsensowne. Z uczuciem złośliwego politowania udawałem, że nie widzę jak nasza mama chyłkiem ściąga z łóżek swoich synów prześcieradła, upaprane mapami ich bujnie kielkującej męskości.

Z tej samej przyczyny, w wieku lat czternastu omal nie wybuchnąłem śmiechem, kiedy moi rodzice żachnęli się gromiąc mnie wzrokiem za moją uwagę o sąsiadce, że już niebawem urodzi dziecko, bo jej brzuch ostatnio bardzo urósł.

Jednakże, kiedy dziesięć lat później urodziła się moja córka, z ust rodziców nie padło pytanie gdzie i jak dowiedziałem się, jakim sposobem należy to dzieło załatwić osobiście, zamiast wyglądać przybycia bociana z gotowym dzidziusiem w dziobie.

* * *

Stan moich duchowych dziecięcych rozterek, zrozumiałem dopiero ileś tam lat później. Dopomogła mi w tym wrodzona umiejętność dedukcji i lektura książek, których ksiądz Tarnogórski na pewno by mi nie polecał.

Będąc już człowiekiem dorosłym, niejednokrotnie łapałem się na tym, że w okolicznościach niekorzystnych dla mnie, z głębi mojej duszy próbował wypełznąć obmierzły dwulicowy robak. Zastanawiając się później nad tym, który z moich przodków zaflancował go we mnie, doszedłem do wniosku, że chyba żaden. Najprawdopodobniej była to tylko nieszczęsna spuścizna po rodzicielskiej metodzie ich strusiego chowania głowy w piasek, przed popełnieniem grzechu w kształtowaniu charakterów swoich dzieci.

Konkluzja ta nie wywołała we mnie najmniejszej pretensji do rodziców. Jedynie jest mi ich do tej pory ogromnie żal. Ileż idiotycznych stresów musieli znieść w swoim życiu, pragnąc przejść je „po bożemu” zgodnie z własnym, jakże okaleczonym sumieniem!

ROZDZIAŁ 13

Rozmyślając o tym kłębowisku problemów związanych z moimi „grzechami dzieciństwa”, doszedłem do budynku szkoły. Widać, że od czasów przedwojennych budynek nie był remontowany, prócz pokrycia go nowym dachem. Stoi taki jakiś całkiem szerniały, a z ram okiennych płatami „złazi” farba. Biednie wygląda.



Budynek szkoły w Telechanach. Fotografia z marca 1938 roku.

W latach niemieckiej okupacji szkoła zamieniona była na obronną twierdzę, ale po tym nie ma śladu. Zniknęły potężne ziemne i drewniane fortyfikacje po jej obu stronach. Powstały one w błyskawicznym tempie, kiedy w szkole stacjonowali służący Niemcom litewscy żołnierze.

Zagłębiam się we wspominki początków mojej edukacji w szkole, gdzie trafiłem w wychowawcze ręce nauczycielki, którą wszystkie dzieci w szkole nazywali Kundzią. Widocznie na imię miała Kunegunda. Nie pamiętam nazwiska swojej pierwszej nauczycielki, wysokiej przystojnej blondynki. Pamiętam natomiast, że pierwszaków z równoległej klasy edukowała też młoda i ładna nauczycielka, pani Gwiazdowska.

Ciekawe, że na urodę naszej Kundzi chłopcy byli niewrażliwi, natomiast dziewczynki często szczyliły się nią, robiąc przechwały przed pierwszaczkami sąsiedniej klasy.

– A nasza pani jest najładniejsza w szkole, co tam wasza!

Wtedy atakowane wychowanki pani Gwiazdowskiej rewanzowały się wywalaniem języków, wykrzywianiem twarzy i wymyślaniem przezwisk.

Większość uczniów mojej klasy, stanowiły dzieci białoruskie. Polskich, razem ze mną było pięcioro. Dwie dziewczynki i trzech chłopców. Poza tym,

jedno dziecko żydowskie, mój przyjaciel Chaimek Perelsztajn. Nie znam przyczyny, czemu tak postanowili jego rodzice. Chaimek mówił mi, że jego ojciec specjalnie prosił kierownika szkoły pana Pierowskiego, aby umieścić go w tej klasie. W drugiej pierwszej klasie, mieszanka była bogatsza. Tam dzieci żydowskich było sporo.

Zaraz na początku roku szkolnego, usiedliśmy z Chaimkiem w jednej ławce.

– Żydy! Żydy! – Rozlegało się niekiedy na przerwach z różnych krańców klasy. Prowokatorem była tutaj zawsze dziewczyna o imieniu Frosia. Kiedy zaczynała swoje ujadanie pod moim i Chaimka adresem, pomny rodzicielskich nauk, że dziewczynkę bić nie wolno, odszczekiwałem się jej wymyślanymi naprędce wyzwiskami.

Niekiedy do jazgotu Frosi dołączały się inne dzieciaki, w tym również chłopcy. Oczywiście, wtedy był to już powód do rozpoczęcia bójk z pyskaczami. Trudno mi mówić o licznych zwycięstwach, bo przeciwników wówczas przeważnie było kilku. Dlatego do ataku ruszałem z drewnianym piórnikiem w rękę. Z Chamka, pomocy tutaj nie miałem żadnej. Ograniczał się on tylko do słownego zagrzewania mnie do bitki. Właził na pulpit ławki i siedząc na nim po psiemu, wrzeszczał mieszając słowa polskie, białoruskie i żydowskie.

Kiedyś „rozkwaśiłem” jednemu z chłopaków kantem piórника wargę i popłynęła z niej krew. Zrobił się taki wrzask, że przybiegła pani nauczycielka. Nie wiem, dlaczego nie zostałem ukarany. Skończyło się na tym, że pani zrobiła pod nosem Aloszki, gdzie wyrósł wielki siny bąbel, mokry okład ze swojej chusteczki.

Jednakże w następstwie tego zajścia, na jakiś czas pani rozsadziła mnie z Chaimkiem. Teraz każdy z nas siedział w pierwszym rzędzie ławek, ale z innym dzieckiem. Było mi przykro, Chaimkowi też. Ale Frosia i wtórujący jej pyskacze, jakoś przycichli.

Białoruska dzieciarnia z klasy, to była na ogół biedota, nosząca samodzielne ubrania z grubego, szarego płótna. Do późnej jesieni i od wczesnej wiosny, dzieci chodziły na bosaka, a w zimie należało do wyjątku, aby któreś chłopskie dziecko nosiło skórzane obuwie. Większość dzieci chodziła w lipowych łapciach nazywanych postołami, z nogami owiniętymi po kolana w szare, utkane z owczej wełny onuce. Kiedy w drodze do szkoły takie postoły obmarzły zlodowaciałym śniegiem, stukały o szkolną podłogę jak kamienie. W klasie rozmarzały, zostawiając pod ławkami kałuże brudnej wody. Najgorzej było wówczas, kiedy w czasie roztopów, spod śniegu pojawiało się głębokie, poleskie błoto.

Przypomni mi się mały Kostuś, który pomimo surowego nakazu, wchodząc do szkoły nie wycierał nóg. Na swoich łapciach nanosił do środka sterty błota. Przyłapany na gorącym uczynku, został przez któregoś nauczyciela ostro wytargany za uszy. Kara okazała się tak skuteczna, że odtąd Kostuś wycierał nogi zarówno wchodząc do szkoły, jak i z niej wychodząc. Wycierał je

starannie z niczego nawet wówczas, kiedy po nastaniu ciepłych dni zrzucił postój i chodził na bosaka.

Klasy w mojej szkole były małe, ale widne, miały po dwa okna. W ciasno ustawionych ławkach z otwieranymi pulpitemi, gnieździła się dzieciarnia. Kiedy na dworze było ciepło, okna były otwarte i świeżego powietrza nie brakowało. Najgorzej było zimą. Wtedy powietrze w klasie było ciężkie od zapachu niemytych ciał, samodziłowej odzieży, kożuchów i popuszczanych cichcem bzdetów.

Bywało, że któreś dziecko zepsuło w klasie powietrze szczególnie jadłowicie. Wówczas pani nauczycielka rozpoczynała poszukiwania winowajcy. Kolejno odchyłała dzieciom kołnierze i z oddala, ostrożnie pociągając nosem degustowała uchodzące stamtąd wyziewy. Zdemaskowanego winowajcę biła linijką po plecach i wyganiała na korytarz, żeby się przewietrzył. Pozostała dzieciarnia skwapliwie korzystała z zamieszania. Klasa zaczynała rozbrzmiewać dziecięcym wielogłosem. Pani nauczycielka opanowywała ten wróble rozgwar biciem linijką o blat stolika.

– Dzieci! Nie rozmawiać po chłopsku! Cisza! – Krzyczała ile sił.

Rozmowy „po chłopsku” urywały się gwałtownie. W klasie zalegała cisza, przerywana jedynie pochlipywaniem dziecięcych zasmarkanych nosów. Pani prowadziła lekcję dalej. Oczywiście nie „po chłopsku”. Po polsku. W jakimś momencie otwierała drzwi na korytarz i przywoływała skruszonego, ale wywietrzonego truciciela powietrza.



Fotografia z 1935 roku nauczycieli i dzieci na tle szkoły w Telechanach.



Dzieci przed kościołem

Moje krótkie uczęszczanie do przedwojennej polskiej szkoły, pozostawiło zarówno dobre, jak i złe ślady w mojej pamięci. Wielkim przeżyciem dla sześciolatniego brzdąca, lecz a jakże, ucznia pierwszej klasy było uczestniczenie w szkolnej uroczystości Święta Niepodległości, w dniu jedenastego listopada 1938 roku.

My dzieciaki z najmłodszych klas, dreptaliśmy dwójkami ze szkoły na uroczystą mszę do kościoła, trzymając się wzajemnie za rączki. Spoglądaliśmy z zawiścią na starszaków w harcerskich czapkach i na szkolny poczet sztandarowy, idący ramię w ramię z kierownikiem szkoły, panem Pierowskim.

Szkolny sztandar niósł jakiś wyroślak z siódmej klasy, w towarzystwie dwóch wysokich dziewczynek. Chłopca niosącego sztandar nie znałem, natomiast znajome były mi obie dziewczynki. Jedną z nich była „nasza” Nadzia, czyli córka cioci Katarzyny, a drugą Ludka Jakobsonówna. Cała trójka sztandarowego pocztu, miała przewieszone przez ramiona i sięgające niżej biodra szerokie, białoczerwone szarfy.

Inne wydarzenie w mojej szkole pozostawiło na długo w mojej pamięci przykre piętno. Któregoś dnia jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, w najstarszej klasie wybuchł jakiś tumult i usłyszałem wrzaski „bij Żyda”! Z klasy zaczęły wybiegać w panice żydowskie dzieci, a dwóch chłopaków prało ich po plecach płóciennymi torbami, w których nosili książki. W ten sposób, dzieci te zostały „wyprowadzone” przez całe boisko aż na ulicę.

Na korytarzu i boisku, błyskawicznie pojawili się nauczyciele. Nakazali wszystkim dzieciom wejść do klas i usiąść w swoich ławkach. Zrozumiałe, że

do momentu wejścia do klasy nauczycielki, panował w niej niesłyszany rozgardiasz. Nasza pani po uciszeniu dzieciarni oświadczyła, że łobuzy z siódmej klasy zostaną ukarani, bo w szkole musi panować porządek. Temat ten, nauczycielka zamknęła bez żadnych wyjaśnień i komentarzy.

Nie dowiedziałem się nigdy, jak łobuzy zostali ukarani. Siedząc w ławce obok Chaimka, do końca lekcji nie śmiałem na niego spojrzeć. On też milczał, był nieswój. Po lekcjach wracaliśmy do swoich domów w całkowitym milczeniu. Nagle Chaimek zapytał:

– Jak znów będą bić Żydów, czy ty zechcesz mnie bronić?

Pomyślałem, że mój przyjaciel zwątpił we mnie. Zachciało mi się płakać.

Kiedy w domu opowiedziałem o tym, co stało się w szkole, mama była bardzo wzburzona. Jakimś nieswoim głosem powiedziała mi, że wśród porządných ludzi, zawsze znajdzie się jakaś „czarna owca”. Między innymi są i tacy, którzy potrafią nienawidzić ludzi tylko za to, że ci mówią innym językiem, czy inaczej modlą się do tego samego Pana Boga. I że taka podłość wynika tylko z zacofania i ciemnoty. Na tym temat się urwał, bo mama nie miała jakoś ochoty na jego przedłużanie.

Siłą woli przerywam te dobre i złe szkolne wspomnienia.

ROZDZIAŁ 14

Ponownie kieruję kroki w stronę rynku i po niewielu minutach znalazłem się na „swoim” miejscu w pobliżu cerkwi. Południe dawno już minęło i słońcu skryło się za jej masywem. Ulegam urokowi szumiącej delikatnie lipy i porównuję doznane dzisiaj wrażenia z obrazem moich Telechan z lat dziecięcych.

Ta cerkiew, która teraz otuliła mnie miłym chłodkiem swojego cienia przed popołudniowym skwarem, jest wiekowo młodsza ode mnie. Jako budowla, wiekowo jest młoda, bo została oddana wiernym w 1936 roku, ale historia telechańskich cerkwi sięga dwóch stuleci. W przeszłości, ofiarą pożarów padały kolejno wszystkie cerkwie. Ostatni raz w 1916 roku, podczas pierwszej światowej wojny. Po jej zakończeniu, prawosławna wspólnota miasteczka pobiudowała niewielką kapliczkę. Kiedy umarł stary pop Godlewski, rozpoczęto w 1934 roku budowę nowej cerkwi. Powstała ona dzięki staraniom następcy zmarłego popa Godlewskiego. Był nim młody i energiczny człowiek oddany bez reszty misji kapłana, „batiuszka” Joan Strukowski, powszechnie zwany Ojcem Joanem przez wszystkich mieszkańców Telechan, bez względu na ich wyznanie.



Budowa cerkwi w Telechanach.

W otoczeniu zgromadzonych osób stoi Ojciec Joan Strukowski. Fotografia z 1934 roku.



Wnętrze cerkwi po jej otwarciu dla wiernych. Na tle Ikonostasu stoją Ojciec Joan Strukowski i projektant cerkwi inżynier Kotwicz.

Projektantem nowej cerkwi, był specjalizujący się w sakralnym budownictwie inżynier Kotwicz, z niedalekiego Kobrynia. W przeciągu dwóch lat rękoma poleskich cieśli, stworzone zostało prawdziwe cacko sakralnego drewnianego budownictwa.

Przed wojną byłem z mamą wielokrotnie w tej cerkwi. Miała bogate wnętrze, pełne obrazów, rzeźb i złoceń. W porównaniu z cerkwią, wnętrze katolickiej świątyni było biedniutkie. Kościół katolicki w swojej ponad stuletniej historii, także uczestniczył we wszystkich klęskach, jakie nawiedzały Telechany. Kiedy w 1880 roku straszliwy pożar nieomal doszczętnie zniszczył miasteczko, pastwą jego padł również drewniany kościółek.

Po tej klęsce zbudowany został kościół murowany, ale i z nim los nie obszedł się łaskawie, podczas pierwszej światowej wojny. Po jej zakończeniu, uszkodzony budynek kościoła stał przez kilka lat opuszczony. W Telechanach nie było katolickiego duchownego. Kiedy wreszcie pojawił się w miasteczku ksiądz Franciszek Uliński, świątynia po usunięciu skutków wojny, został otwarta dla wiernych. Po jakichś dziesięciu latach, w miasteczku nastąpiła zmiana księży. Duszpasterzem został znany mi ksiądz, Apolinary Tarnogórski.

Pierwsza katolicka świątynia, powstała w Telechanach na początku dziewiętnastego wieku. Była to niewielka, drewniana kaplica ufundowana w 1816 roku przez nowego właściciela miasteczka, hrabiego Wojciecha Pułowskiego. W tym czasie, prawie już sto lat istniała tutaj cerkiew. Były też



Kościół w Telechanach. Fotografia z 1936 roku.



Msza w telechańskim kościele odprawiana przez księdza Apolinarego Tarnogórskiego.

dwie synagogi, świątynie wiernych wyznania mojżeszowego. Trzecią synagogę zbudowano w sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku, ale po pożodze pierwszej światowej wojny, odbudowano tylko dwie.

Taka mnogość świątyń trzech wyznań, dotrwała do moich czasów. W małym poleskim miasteczku, do tego samego Jedyne Boga modlono się w różnych świątyniach, za pomocą różnych języków, w majestacie różnych obrzędów.

Nie oznaczało to jednak, że modlitwy zanoszone do tego samego Boga, łączyły ludzi różnych wyznań i nacji. O parodio, właśnie na tym tle przez wieki narastały wzajemne niechęci, wybuchające od czasu do czasu otwartą wrogością. Stan ten sięgnął dna w latach, kiedy Polesie znalazło się pod zaborem carskiej Rosji. W państwie tym, kleropolicyjny system władzy oparty był na bizantyjskiej zasadzie oddawania panującemu carowi ślepej czci i trzymania w zamordyzmie jego poddanych.

Celem utrzymania w ryzach własnego i podbitych narodów, stosowano barbarzyńską, ale w zacofanych społeczeństwach skuteczną metodę podjudzania motłochu do wewnętrznych waśni, głównie na tle religijnym. Tak więc, perfidne karmienie poddanych „najjaśniejszego pana” jadłem wzajemnej wrogości na tle religijnym i nacjonalnym, owocowało dla caratu konkretnymi korzyściami. Tak było do czasu, gdyż wreszcie tron carski runął. Szkoda tylko, że kosztem tylu ludzkich ofiar.



Ks. Franciszek Uliński



Ojciec Joan Strukowski

Długotrwałe i żmudne poszukiwania fotografii z wizerunkiem ks. Apoloniusza Tarnogórskiego, niestety zakończył się fiaskiem.

Wzajemna niechęć ludzi należących do różnych kościołów i nacji, nie była obca również mieszkańcom Telechan. Mimo tego mieszane małżeństwa chrześcijańskie, gdzie każde z małżonków należało do innego kościoła, było tam zjawiskiem powszechnym. Przykładem najbliższym tego byli moi rodzice.

Po zakończeniu pierwszej światowej wojny, w Telechanach właśnie na tym tle zostały w znacznym stopniu wygaszone. Było to wielką zasługą ówczesnych włodarzy Telechan, ale niepodważalnie główną rolę, odegrali pełniący wówczas duszpasterską posługę kapłani trzech różnych wyznań. Dzięki ich mądrości i szlachetnej, pełnej poświęcenia pracy, wśród mieszkańców miasteczka zaczęła powoli tworzyć się atmosfera religijnej tolerancji i wzajemnego poszanowania spełnianych obrzędów.

To oni walczyli z obskurantkimi uprzedzeniami religijno-nacyjnymi, głosząc w świątyniach światłe kazania. Kapłani sami będąc dla mieszkańców miasteczka wzorem międzyludzkich stosunków, pozytywnie przestrajali ludzkie umysły także i w ten sposób.

Pamiętam, jak ksiądz Apoloniusz Tarnogórski, chodząc po ulicach w towarzystwie nieodłącznego foksteriera Wisusa u nogi, przy spotkaniu z prawosławnym „batiuszką” Ojcem Joanem Strukowskim, uprzejmie kłaniali się sobie. Nie należało do rzadkości, że zatrzymywali się wówczas i ucinali pogawędkę. Towarzyszyło temu nieustanne uchylanie kapeluszy, w odpowiedzi na pozdrowienia przechodniów różnych wyznań i nacji.

Tak samo obaj chrześcijańscy duchowni przy spotkaniu z rabinem Hakonem Glikiem, również wymieniali wzajemne, uprzejme ukłony.

Telechańscy ludzie skazani losowo na wspólne bytowanie, byli uzależnieni od siebie całą siecią przeróżnych powiązań. Na co dzień, oni czuli się wzajemnie sobie potrzebni. Nikt spośród mieszkańców ówczesnych Telechan nie wyobrażał sobie, iż może nagle zabraknąć żydowskich sklepikarzy czy rzemieślników. Wielonarodowość miasteczka była tak naturalna jak słońce na niebie, jak jego wschody i zachody.

Na ulicach Telechan spotykali się ze sobą ludkowie, Polacy, Białorusini, Rosjanie, Żydzi.... Podawali sobie w powitaniu ręce, pytali o zdrowie, o żony, dzieci. Rozmawiali ze sobą na przeróżne tematy, o pogodzie, o codziennych kłopotach, co zdarzyło się u sąsiadów, przekazywali sobie wiadomości ze świata.

Rodzice moi wpajali nam dzieciom wiedzę, że zarówno wśród chrześcijan, jak i wśród Żydów, są ludzie porządni i ludzie źli. Jednakże szacunek należy się każdemu przyzwoitemu człowiekowi bez względu na jego pochodzenie, religię, czy narodowość. Natomiast ludzi złych, należy unikać.

Słowa rodziców były dla mnie wyrocznią i starałem się stosować sumienie do ich pouczeń. Jednakże stykanie się poza domem z innym traktowaniem ludzi niż wpajane w domu, zostawiało we mnie jakiś „osad”. Kiedy bowiem spotykałem się ze zjawiskiem pogardliwego traktowania Żyda czy poleskiego chłopca, nie raziło mnie to w sposób szczególny. W zależności od sytuacji, wydawało się jedynie dziwne, albo śmieszne.

Bywało, że w domach niektórych naszych znajomych widziałem różne pisemka ziejące do Żydów pogardą, lub wręcz nienawiścią. Coś takiego w naszym domu nigdy się nie znalazło, ale doskonale pamiętam widziane gdzie indziej kalendarze i gazetki, wydawane niestety także przez jakieś środowiska przykościelne. Wszystkie one były jednakowej treści. Żyd to podstępny oszust, łajdak, krwio pijca i nikczemny innowierca, potomek zabójców Chrystusa. Treść tych pisemek była dla mnie drastycznym zaprzeczeniem tego, co było wpajane nam dzieciom w domu. Dlaczego ludźmi złymi są wyłącznie Żydzi? A swoją drogą, rozśmieszały mnie zamieszczane tam antyżydowskie dowcipy i rysunki.

Niejednokrotnie nękany wewnętrzną rozterką, zaczynałem z rodzicami rozmowę na temat treści tych piśmideł. Zawsze odpowiadali, że takie gazetki są ohydztwem, którego nie należy nawet brać do ręki. Kiedy nieraz drążąc temat pytałem, czy ta nasza znajoma pani, albo ów znajomy pan czytający te gazetki są głupi czy źli, rodzice odpowiadali wymijająco. Nieraz mnie i brata rozpierała ciekawość, kim są ludzie drukujący te pisma i gdzie można ich spotkać, ale wtedy autorytet rodzicielskiego „dosyc”, zdecydowanie kończył rozmowę.

W zasadzie, takie rozmowy rodzice zamykali powtórką morału, że szacunek należy jest wszystkim porządnym ludziom bez względu na to, kim oni są.

Mój naiwny wówczas dziecięcy mózdek modelowany przez rodziców w taki sposób nie pojmował, jaką podłością jest poniżanie człowieka. Początkiem przeobrażeń w moim widzeniu świata, stały się wydarzenia spowodowane wybuchem wojny. Stworzony dziecięcymi oczyma wyidealizowany obraz moich Telechan, zaczął zmieniać się z dnia na dzień. Każdy z nich kolejno przynosił nowe, coraz straszniejsze wydarzenia. O zgrozo, nie były one sprawką wyłącznie zwyczajnych rzezimieszków. Także z dusz niektórych ludzi uważanych za osoby godne szacunku, powylażyły przyczajone do tej pory ohydne demony.

Ten rozpadający się obraz mojego świata, ostatecznie zdemolowały serie z karabinu maszynowego w sierpniu, 1941 roku.

Wystarczył jeden dzień, aby zniknęła z telechańskiej ziemi wrośnięta w nią od wieków żydowska społeczność. Od tego dnia rzeczywistość Telechan już nigdy nie powróciła do wizerunku, zakodowanego w najgłębszych komórkach mojej pamięci. Tam jednak przetrwał on po dzień dzisiejszy. Powracając tutaj po dwudziestu trzech latach, usilnie staram się „przyklejać” obrazy z moich wspomnień do tego, co widzę w naturze.

Stojąc teraz na skrzyżowaniu ulic, układam w głowie plan miasteczka. Stąd przyszedłem, tędy idzie się na ulicę Kościelną, a tędy do kanału. Zostaje jeszcze jedna ulica. No tak, to była ulica Józefa Piłsudskiego, w rzeczywistości telechańska miniaturowa dzielnica handlu i usług. Tutaj zagnieździły się prawie wszystkie sklepy i warsztaty przeróżnych rzemieślników miasteczka. Z małymi wyjątkami, była żydowska poleska biedota. Ale to ona właśnie nadawała miasteczku ten niepowtarzalny, egzotyczny koloryt.



Ulica im. Józefa Piłsudskiego w Telechanach była największym skupiskiem rzemiosła i handlu.

Każdy z jej przedstawicieli, codziennie zmagał się z małomiasteczkową biedą, aby wykarmić swoje na ogół liczne potomstwo. Tutaj zapracowani ojcowie, uczyli swoich synów tajemnic uprawianego rzemiosła. Tutaj drobni kupcykowic wtajemniczali swoje potomstwo, jak robić geszefty, czyli interesy. Tacy w większości byli mieszkańcy tej ulicy.

To na tej ulicy z drewnianymi chodnikami, miał swój warsztat dostojny, jakby trochę sztywny krawiec, Sruł Gursztel. Miał szeroką, rudą brodę i rude pejsy, a na czubku jego głowy tkwiła kipa, jarmułka. Nosił koszulę bez kołnierzyka, a jej szerokie rękawy nie miały mankietów.

Pewnego razu ojciec zabrał mnie do tego krawca, kiedy zamawiał u niego uszycie garnituru. Pamiętam mroczne wnętrze Gursztelowego warsztatu. W kiszkatym pomieszczeniu, przy słabym świetle wpadającym przez wąskie okienko, siedziało kilku krawców w jarmułkach na głowach. Siedzieli na stołkach i błyskawicznymi ruchami migali igłami z nitkami, zszywając jakieś kawałki materiałów. Wszyscy milczeli, tylko czasami któryś bąknął jakieś słowo.

Pod zwisającą z sufitu naftową lampą z białym emaliowanym kloszem, stała maszyna do szycia. Na jej korpusie odczytałem napis: SINGER. Naprzeciw maszyny pod ścianą, stał długi stół przykryty szarym sukniem. Przy stole pracował brat krawca Gursztela, Judel. Judel też miał czerwono-rudą brodę, nosił myckę i tałas. W rękę trzymał wielkie, żeliwne żelazko do prasowania, z zakrzywionym kominkiem. W żelazku tliły się brzożowe węgle. Judel poplukał leciutko na końce palców lewej ręki, potem błyskawicznie dotykał nimi spodu żelazka. Słysząc było syk śliny – psyt! Judel potwierdzająco ki-

wał głową w jarmułce i pomrukiwał coś pod nosem. Stawiał żelazko na wilgotnej lnianej szmatce przykrywającej prasowane spodnie i ostrożnie, jakby z namaszczeniem zaczynał je prasować. Psss! Syczało pod żelazkiem i para unosiła się ku głowie Judela.

Kiedy Judel wysyczał już wszystką parę spod żelazka, odstawiał je na drucianą podstawkę i suchą już lnianą szmatkę, przekładał na inne miejsce prasowanych spodni. Sięgał po blaszany kubek z wodą i nabierał ją do ust. Pfuuuuj! Rozpylona potężnym wydmuchem woda, ponownie zwilżała szmatkę. Judel sięgał po żelazko, znów próbował je na ślinę i sycząc parą, prasował dalej.

Patrzyłem na to wszystko z uwagą, aby nic nie uronić z tego, co się przed moimi oczyma działo. Przecież wszystko będę musiał potem opowiedzieć chłopakom, pewnie będziemy bawić się w krawców. Co prawda, w domu mama prasowała też żelazkiem na węgle, ale nasze było takie jakieś małe przy Judelowym i nie robiło tyle pary. Poza tym mama nie sprawdzała żelazka, plując na palce. Nic w tym dziwnego, nie była krawcową!

Tymczasem krawiec Gursztel wymierzył ojca wzdłuż, wszerz i na okrągło. Z uwagą coś zapisywał ołówkiem w zatłuszczonym zeszycie. Robiąc to wszystko, bez przerwy mówił.

– Będzie wielmożny pan w ten garnitur wyglądać, jak największy puryc! Gursztel, proszę pana, to nie byle jaki krawiec. Ja swój fach wyuczył u majster w Warszawie! U mojego majster swoje garnitura szył sam grabia Nehrebecki, jak bywał w Warszawie. Do taki majster, to ja się dostał z powodu wojna światowa. Jak ona wybuchnęła, to mnie zabrali do ruskiego wojska na front. Kiedy była jedna duża bitwa, to nas ruskich żołdatów Niemiec wziął do plenu, znaczy niewoli. Jak razu jednego nas wygonili z łagra do kopania okopów, to ja z plenu uciekł. Chował się potem od Niemca u jednych krewnych Żydów, co mieszkali koło Warszawy. Jak Niemiec odstąpił i zrobiła się Polska, to oni urządzili mnie u ten krawcowy majster w samej Warszawie. Nu i ja u niego wyuczył swój fach. Aj, co to za majster był!

– Ja proszę wielmożny pana, z Warszawy powrócił w Telechany tylko z powodu moja żona Sura. Jak ja raz przyjechał w Telechany zobaczyć swój tate i swój mame, to ja zobaczył Sura, co ona była córka od sąsiada. To ja już nie chciał być w Warszawie, ja wrócił w Telechany, ja się ożenił z Sura. Aj, proszę wielmożny pana, co to za kobieta to moja Sura! Ja mamy z nią cztery dziecko!

– Aj, aj, co my za garnitura uszyjemy dla wielmożny pana! Takiego garnitura jak wielmożny pana, to nie wstyd nałożyć na księżę Radziwiłł! Jutro na wieczór mój Benele zanieś do domu wielmożny pana gotowiutki garnitur. Ale pan to ma szyk wybrać taki fason, pan ma gust, jak największy puryc. Niech się nosi na zdrowie!

– A po pieniądź, to ja do wielmożny pana kiedyś zabiegnę, u pana pieniądź pewniejszy, jak w bank! – Wołał jeszcze Gursztel za nami, kiedy byliśmy z ojcem już na ulicy. Nie ponosił ojciec długo tego garnituru w prążki. Niedługo potem wybuchła wojna i nastała władza radziecka. A władza ra-

dziecka, bardzo nie lubiła eleganckich burżujów. Ojciec przekonał się o tym niebawem.

Nie ma mojego ojca, ani jego garnituru. Nie ma krawca Srula Gursztela, jego żony Sury, ich „cztery dziecko”, jego brata Judela i migających igłami krawczyków. Minęło ćwierć wieku historii, zapisanej w tak brzemienne wydarzenia.

Nie mogę zdecydować się, gdzie tutaj po sąsiedzku z Gursztelem warsztat miał szewc Ickowicz. Miejscowym łatwiej było mówić do niego po imieniu, Moniek. Przy drzwiach do warsztatu wisiał duży blaszany szyld, z namalowanym na nim butem. Do środka wchodziło się po krzywych, drewnianych schodkach. Nosilem tam z siostrą albo bratem, do reperacji buciki i pantofle.

Ickowicz był chudym kościstym mężczyzną o rzadkim siwiejącym zaroście i takimiż pejsami. Ze swoimi głęboko zapadniętymi policzkami, robił wrażenie kogoś bardzo smutnego. Miał na sobie brudny fartuch z grubego płótna, a na głowie zatłuszczoną myckę. Siedział głęboko zapadnięty na szewskim zydelku, a przed nim wysoko sterczały jego kościste kolana, na których leżał przyciśnięty pociągłem reperowany but.

Przed szewcem stał niski kwadratowy stolik, cały zagracony pudełkami i puszkami po konserwach. Pełno w nich było różnych gwoździaków, drewnianych szpilek i innych, zapewne bardzo szewcowi potrzebnych rzeczy. Nad szewcem wisiała lampa z białym emaliowanym kloszem, zupełnie taka sama jak u krawca Gursztela. W warsztacie kłębiło się od porozrzucanych w nieładzie butów, kamaszy i pantofli. W powietrzu unosił się zapach skóry, szuwaksu, smoły i czyichś niemytych nóg.

Szewc Ickowicz pracował błyskawicznie. Z dziś na jutro szył na zamówienie poleskiej krasawicy „czerewiczi”, wysokie prawie do kolan sznurowane buciki na wysokim obcasie. Taki luksus, bogatszy Poleszuczek zamawiał na ślub swojej córki. Od świtu do późnego wieczoru, dobiegał z warsztatu z przerwywnikami suchego kaszlu stukot młotka, wbijającego drewniane szpilki w nową zelówkę reperowanego buta.

Po obu stronach ulicy Piłsudskiego, mieściły się całe rzędy małych sklepików z pokrytymi kurzem okienkami, w których handlarze ku zachęce kupujących, wystawiali swoje towary. Tutaj polescy chłopcy kupowali wszystko, czego nie potrafili wyprodukować. Za pieniądze, a często w zamian za ser, jajka, kurę czy zboże, „mużyk” kupował naftę, zapaliki, gwoździe, siekierę, a Poleszuczka czasami wstążkę lub korale.

Oczami wyobraźni, przywołuję widok tej ulicy z czasów przedwojennych. Przypominam sobie jeden z domów, stojących tutaj szczytem do ulicy, w którym była fryzjerna Melcera. Na szyldzie fryzjera oprócz nazwiska, figurowały też jego trzy imiona, Lejb, Hirsch i Abram. W miasteczku przyjęło się jakoś, że do fryzjera powszechnie mówiono po imieniu, Lejba.

Snuję się wzrokiem po budynkach, szukając zachowanej w pamięci fryzjerni. Chyba rozpoznałem ten dom. Jest, jest, to ten! A jakże, są schodki, są też podwójne drzwi. Te od środka oszklone, a zewnętrzne z pełnych desek.

Jest też nad drzwiami szyld. Ale to nie fryzzeria. Tłumacząc na język polski, teraz mieści się tutaj sklep papierniczy.

W tych drzwiach, kiedy nie było klientów, tkwił nieruchomo ubrany w biały kitel chudy czarniawy Żyd Lejba. Człowiek ten trudniąc się fryzjerstwem, jednocześnie był pośrednikiem Landmana, arendarza Wólczańskiego jeziora. Od jego rybaków brał część złowionych tam ryb i rozprzedawał je w miasteczku. Kiedy Lejba nie sterczał w drzwiach i były one zamknięte, oznaczało to, że teraz zajmuje się rybami. Albo pojechał rowerem do Wólki po ryby, albo roznosi je po domach swoich klientów. Z samego fryzjerstwa, Lejba z pewnością przymierałby głodem razem ze swoją liczną rodziną.

W Telechanach będę klepał jeszcze jeden fryzjer, Polak Majcherski. Kiedy w czterdziestym roku bolszewicy aresztowali Lejbę, Majcherski został w miasteczku jedynym fryzjerem. Z kolei podczas niemieckiej okupacji, Majcherskiego aresztowali Niemcy i wtedy fryzjerstwem zajął się miejscowy samouk, Archip. Nad drzwiami fryzjerni po Lejbie, zawiesił szyld w języku białoruskim „CYRULNIA”.

Po chwili, znajduję jeszcze jeden znajomy dom. Drewniany, ale zapewne jedyny w Telechanach z wjazdową bramą na obszerne podwórze. To tutaj była piekarnia Gitelmana. On sam niewysoki, tęgawy. Twarz miał zawsze starannie wygoloną. Przy uszach ni to bokobrody, ni to pejsiki. Na głowie nosił zwyczajną czapkę cyklistówkę. W ustach piekarza tkwiła nieodłączna gliniana fajeczka. Był zawsze pogodny, uśmiechnięty.

Piekarz miał dorosłego, niedorozwiniętego syna, Kałmana. Kałman pomagał ojcu w piekarni. Codziennie, wczesnym rankiem rozwoził po miasteczku na dwukołowym wózku pieczywo. Kosze wypełnione były kajzerkami, obwarzankami i bajgielkami. Piekarz miał stałych odbiorców pysznych, pachnących wypieków, ale Kałman, pchając swój wózek, wydzierał się w niebogłosy:

– Bejgełe, bejgełe! Kajzerke, kajzerke! – Niosło się po ulicach.

Kiedy Kałman rozwiózł pieczywo, ojciec zatrudnił go w piekarni, albo przy piłowaniu i rąbaniu brzoźowego drewna do pieca. Dwudziestoparolet-



Żydowska rodzina kupiecka.

ni syn piekarza był chudy, ale niepospolicie silny. Zawdzięczał to zapewne ciągłej, ciężkiej, fizycznej pracy.

Telechańskie andrusy bali się go jak ognia, poznawszy nieraz na własnej skórze, jak roześlony przez nich a ciężko myślący Kałman, potrafi takiego żartownisia sponiewierać. Kiedy widzieli go pchającego ulicą swój wózek, na wszelki wypadek usuwali mu się sprzed oczu. Jednak z natury, był on człowiekiem nieszkodliwym, pogodnym.

Byłem kiedyś w piekarni Gitelmana. Wysłała mnie tam po drożdże ciotka Mania. Odebrałem z rąk piekarza paczuszkę z drożdżami i stanąłem przy drzwiach, gapiąc się urzeczoną egzotyką tego miejsca. Podjąłem wówczas stanowczą decyzję, że gdy dorosnę, zostanę piekarzem.

W piekarni powietrze było bardzo ciepłe, suche, pełne zapachów. Pachniało chlebowym rozczynek, świeżo pieczonym chlebem, mąką i brzozywym drewnem. Gdzieś w szparze pomiędzy piekarniczym piecem a podłogą, upajał się swoją muzyką świerszcz. Ciszej i jakby ostrożnie, z innego miejsca, odpowiadał mu drugi.

Na lewo od drzwi, na drewnianych skrzyżowanych nogach, stała długa skrzynia w kształcie koryta, z resztkami chlebowego ciasta wewnątrz. Blżej pieca na drewnianych koziolkach, leżały długie deski grubo upaprane otrębami. Na nich rzędem ułożone były surowe bochenki chleba.

Gitelman ubrany w białe płóciennie spodnie i takąż, rozchełstaną na piersi koszulę, z podwiniętymi rękawami, kręcił się pomiędzy piecem, a chlebami na deskach. Kładł obok nich długachną, drewnianą łopatę posypaną otrębami i sprytnie przerzucał na nią po trzy chleby. Potem brał do ręki ni to miotkę, ni to pędzel zrobiony ze słomy prosa i maczając go w wiadrze z wodą, zwilżał nim bochenki na łopacie. Następnie manewrując zręcznie długim drzewcem, wsuwał obładowaną chlebami łopatę w ziejącą żaromielnicę pieca.

W jakimś momencie, z drzwi wiodących do drewnutni wyszedł syn piekarza, niedorozwinięty Kałman. Obaj z ojcem zamruczeli coś po żydowsku i teraz pracowali już we dwójkę. Robota poszła im teraz błyskawicznie i w niedługim czasie, po chlebach zostały tylko puste deski.

Gitelman zamknął piec dwuskrzydłowymi, żelaznymi drzwiczkami. Kiedy wycierał spoconą twarz i szyję jakąś ścierką, Kałman zajął się skrobaniem do czysta za pomocą długiego noża desek, na których jeszcze przed chwilą leżały surowe chleby.

Piekarz pewnie dopiero teraz zauważył, że wciąż sterczą przy drzwiach. Nabijając tytoniem swoją glinianą fajeczkę, uśmiechnął się do mnie rzędem złotych zębów i powiedział:

- Nu, co jest? Podobało się patrzeć? To ciężka praca, aj, jaka ciężka! Ale jeść chleb trzeba. Jak jego jeść, to jego Gitelman potrzebuje upiec!

Pamiętam, że kiedy wyszedłem z piekarni na dwór, owionęło mnie dokuczliwe zimno. Porównywałem w myślach pracę mojej mamy, piekącej raz na tydzień sześć bochenków chleba z ilością, jaką widziałem u Gitelmana.

Przyznałem mu w duchu rację, że jego praca jest bardzo ciężka. Pragnienie zostania piekarzem, minęło mi gwałtownie.

Nagle przypomniało mi się imię Hirsza. Co za Hirsz? No tak, to przecież też tutaj. Prawie na końcu tej ulicy mieszkał krzykliwy Hirsz Gekelman, bednarz. W podwórzu swego domu miał warsztat, ale w lecie pracował na powietrzu. Wtedy widać było jego przygarbioną postać, jak strugiem zwanym bykiem, mozolnie obrabia klepki. Hirsz dla zachęty kupujących, wystawiał na ulicy przed domem dębowe beczki opasane leszczynowymi, albo żelaznymi obręczami, cebry, wiadra, maselnice, i jakieś inne różności wykonane z klepek.

Zdarzało się, że jakiś telechański andrus przechodząc obok tych beczek, wałnął w którąś z nich pałką, aż zadudniło na całej ulicy. Wtedy Hirsz wybiegał z podwórza ze strugiem w ręku, wymachiwał nim nad głową i wrzeszczał za uciekającym chłopakiem:

– Da ja ciebie dam! Ja dla ciebie nogi z dupy wyrwę, ty idiotu, łobuzu jeden! Wyładowawszy swoje wzburzenie, powracał na podwórze kręcąc głową i mrużąc pod nosem:

– Myszugin, szajgec, pomyleniec, chuligan.

Co jeszcze uda mi się wskrobać z pamięci, stojąc na ulicy, która przed półwieczem pulsowała takim życiem? Przez chwilę patrzę na dwie rozlazłe baby, które stojąc na środku ulicy i zapewne plotkując o czymś, co i raz pokazują na jeden z domów.



Żydowska rodzina Blumbergów

Ojej, całkiem odpłynąłem od rzeczywistości. Wspomnienia, wspomnienia... Ale na Boga, przecież to one właśnie, moje wspomnienia przygnały mnie w to poleskie ustronie! To one, jak drzazga tkwiły w mojej pamięci przez tyle lat. Przetrwały, jak na filmowej taśmie, choć tu i ówdzie obraz uległ zamgleniu, a nawet zatarciu. Ilu jeszcze świadków tamtych dni i wydarzeń zachowało życie do dnia dzisiejszego? To pewne, że większość dzisiejszych mieszkańców Telechan nie ma pojęcia, jakie one były w czasach mojego dzieciństwa!

Ilu spośród nich wie, że niewiele ponad ćwierć wieku temu nieopodal tej ulicy, na piaszczystym nieużytku istniała płatanina krzywych zaułków? One chyba nawet nie miały nazw. Wytyczały je rzędy nędznych domków. Tak naprawdę, to nie były domy. To były chatynki sklecone byle jak i z byle czego, pomiędzy którymi cuchnęły kałuże wylewanych przed próg nieczystości.

Mieszkańcy tego skupiska byli samym dnem żydowskiej biedoty, która żyła nie wiadomo, z czego. Posiadanie własnej kozy oznaczało zamożność. Oni w piątkowy uroczysty wieczór, nie oświetlali swoich izdebek rzędem siedmiu świec płonących w menorze, siedmioramiennym świeczniku. Oni nie spożywali uroczystego posiłku, czulentu. Radość sytości budził saganek ziemniaków, ugotowanych w obierkach. Luksusem było zjadanie ich, z posysaniem małego dzwonka śledzia. Tutaj rodzili się, byle jak żyli i umierali najbiedniejsze z biednych, poleskie dzieci Izraela.

W którejś z tych nor gnieździł się niedorozwinięty Josel, popularnie zwany Jośkiem. Głupiego Jośka znały całe Telechany. W brudnych, podartych łachmanach włóczył się po miasteczku. Twarz zarastała mu rudą, zmierzwioną brodą. Nie wiadomo, kto dzielił się z nim jadłem, bo ta biedna istota nie umiała nawet żebrać. Jośko nie miał podobno żadnej rodziny. Całe dnie łąził po uliczkach Telechan. Do napotkanych przechodni uśmiechał się bezzębnymi ustami i coś bełkotał. Czasem Jośki czepiała się żydowska chewra, albo chrześcijańscy żule. Ku ucieście hołoty siadał wtedy na ziemi, głowę przykrywał dłońmi i chował ją między kolanami. Widocznie w swoim nędznym życiu był bity.

ROZDZIAŁ 15

Osobą znaną w całych Telechanach była mieszkanka tego gniazda nędzy, stara ślepa żebraczka Żydówka Perla. Niewidzące oczy miała otwarte i nas, dzieci, przerażała białymi gałkami oczu. Twarz jej oprócz zmarszczek, pokrywały gęsto sine blizny. Okrągły rok nosiła na zgarbionych plecach tę samą, wielką połataną chustę. Chodziła powoli, postukując o ziemię wysuniętym przed siebie kijem.

Perla włóczyła się całe dnie po miasteczku, żebrząc. Ze względu na odrażający brud żebraczki, ludzie niechętnie wpuszczali ją do domu. To też Perla przeważnie stawała przy furtce i dotąd postukiwała swoim kijem o sztachety płotu, dopóki nie dostała jałmużny. Zdarzało się, że ten i ów odpędzał ją od furtki, nic nie dając. Odchodziła wtedy, rżąc jakieś przekleństwa.

Kilkadzieci lat wstecz, Perla była ładną dziewczyną. Ku utrapieniu matki wdowy, wiodła swawolny żywot, gorsząc tym zarówno Żydów, jak i chrześcijan. Pobożni Żydzi opluwali ją, uznając za wyrzutka swojej gminy. Ale Perla nic sobie z tego nie robiła. Na przelotne miłości, wybierała najładniejszych chłopaków z miasteczka.

W niespokojnym 1905 roku, podczas zorganizowanego przez carską policję pogromu Żydów, zginęła matka Perli. W niedługi czas potem umarło na gruźlicę jej dwoje młodszego rodzeństwa. Perla została sama na świecie. Ładna i niefrasobliwa jak radosny ptaszek, żyła na koszt często zmienianych kochasiów.

Kiedyś wybór jej padł na Trofima. Był to przystojny młody człowiek, pomocnik młynarza. Trofim ożeniony był z Tonia Kraciukówną, córką właściciela pobliskiego chutoru.

Gdy Tonia zaszła w ciążę i nie mogła już zaspokajać wszystkich zachcianek Trofima, ten zaczął coraz częściej po pracy nie wracać do domu. Małe Telechany miały nową sensację. Oto młynarczyk Trofim, włóczy się po miasteczku z ładacznicą Perlą!

A Trofim całkiem ogłupiał na tle kochanki. Doszło do tego, że nawet podarował jej złoty pierścionek z oczkiem, który Tonia wniosła do ich domu w wianie.

Tonia płakała całe dnie. Kiedy Trofim pojawiał się w domu, prosiła go, zaklinała na nienarodzone dziecko, żeby się opamiętał. Ale on opamiętać się nie chciał. Ponuro milcząc, golił się, zmieniał koszulę i smarował włosy brylantyną. Potem szedł do Perli. Przez nią nawet opuścił się w pracy. Młynarz nie wyrzucił go z roboty tylko ze względu na nieszczęśliwą Tonia. A Tonia „donaszała” w brzuchu Trofimowe dziecko. Urodziła je na ojcowym chutorze, kiedy Trofim hulał w miasteczku z Perlą. Dziecko zostało ochrzczone także bez udziału Trofima.

Stary Kraciuk o swoim zięciu nie mówił inaczej, jak pies. Zakazał córce spotykać się z mężem rozpustnikiem. A rozpustnik zdurniał do reszty. Nawet najął u Motęła, który kuśtykał na drewnianej nodze, izbę dla siebie i Perli. Tam zamieszkali. Żyli teraz nie wiadomo z czego, bo młynarz wyrzucił Trofima z roboty. Mimo to u kochanków zawsze było hucznie i wesoło. Ludzie mówili, że Trofim przystał do złodziejskiej szajki. Kiedy Perla szła ulicą, Żydzi pluli na nią, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Śmiała się wszystkim w twarz. Nawet samemu rabinowi Finkelsztajnowi.

Tymczasem biednej Toni całkiem popsuło się w głowie. Płakać co prawda przestała, ale prawie wcale nie jadła i zaniedbywała dziecko. Zrobiła się chuda i zbrzydła. W czarnych włosach pojawiły się srebrne niteczki, a na czole i przy ustach zmarszczki.

Rodzice patrzyli na te zmiany ze strachem. Pojechali nawet do Telechan, do popa Godlewskiego, błagając go o ratowanie córki. Przywieźli go na chutor, ale Tonia milczała jak zaklęta. Wówczas pop pokręcił głową, rozłożył ręce, zmówił modlitwę i krzyżem pobłogosławił Tonię. Wtedy załamany Kraciuk odwiózł popa do miasteczka, wsunawszy mu przedtem do kieszeni sutanny rubla.

Pewnego dnia Tonia zniknęła z domu, ale po południu wróciła z miasteczka. Teraz zaczęło się to zdarzać kilka razy w tygodniu. Rodzice nie mieli pojęcia, co się za tym kryje, bo Tonia uparcie milczała.

Pewnego razu, kiedy podpity Trofim prowadził ulicą pod rękę wyperfumowaną Perlę w różowej sukience, drogę zastąpiła im Tonia. Spod chustki, którą miała na ramionach, wyjęła butelkę z zielonego szkła. Zanim para zorientowała się w czym rzecz, Tonia chlusnęła zawartością butelki w twarz Perli. A w butelce był zajzajer, żrący płyn. Resztę zajzajeru wylała na twarz Trofima. Rozległ się straszny krzyk, poparzona kobieta tarzała się po ziemi w strasznym bólu. Obok niej kochaś z wypalonym okiem wył i przeklinał swoją ślubną żonę.

Zrobiło się wielkie zbiegowisko. Niebawem zjawiał się sam policmajster. Poparzonym pomocy udzielił telechański lekarz Puchnarewicz. Od razu powiedział, że Perli wzroku już nikt nie przywróci, a i Trofim łypać będzie na świat już tylko jednym okiem.

Tonię trzymano w areszcie miejscowego cyrkułu, a sprawa sądowa była aż w Pińsku. Tam też odsiedziała z wyroku swoje trzy lata. Powróciła na chutor ojca, gdzie pozostała z synem. Chuda, siwa, milcząca.

Trofim z bielmem na oku i niewygojonymi jeszcze bliznami na twarzy, wyniósł się z Telechan i przepadł gdzieś na zawsze.

W miasteczku pozostała Perla. Ślepa, z bielmem na oczach. Na jej twarzy po długim gojeniu się, pozostały szpetne, sine blizny. Wyglądała odrażająco.

Życie Perli zmieniło się, jak za odwróceniem kartki w książce. Z ładnej powabnej dziewczyny, przeobraziła się w brudną, odrażającą żebraczkę. Z pomocą swojego kija musiała nauczyć się poruszać po ulicach. Chodziła po nich żebrząc. Wróciła do swojej rudery w śmierdzącym zaułku. Była całkowicie zdana na łaskę i niełaskę żydowskiej gminy i ludzką litość.

Pierwszą wojnę światową i lata następne, Perla przetrwała bez szwanku. Nie czepił się jej tyfus, nie czepiła się szalejąca już po wojnie na świecie epidemia grypy „hiszpanki”, która w miasteczku zabiła mnóstwo ludzi. Kiedy epidemia wygasła, żydowska biedota nadal umierała, tyle że na gruźlicę. Ale Perla nawet nie zakasłała. Mijały lata, a Perla była nieodłączną częścią telechańskiego pejzażu.

Tę smutną historię usłyszałem, kiedy nie chodziłem jeszcze do szkoły. Siedziałem w naszej kuchni na ławie pod oknem pomiędzy mamą i ciocią Katarzyną. Na przeciw nas, siedziała na stołku stara żebraczka Kuźbarycha, która była jakąś daleką krewną hultaja Trofima. Na kolanach trzymała miskę kapuśniaku. Kobieta pogryzała chleb, siorbała gorący kapuśniak i opowiadała, jak okrutnie poplątały się losy Toni, Trofima i Perli.

Kiedy nadszedł straszny sierpniowy dzień 1941 roku i Niemcy mordowali żydowską ludność, SS-man zastrzelił Perlę na ulicy. Nikt potem nie wiedział, gdzie podziały się jej zwłoki, obleczone w brudne szmaty.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZĘŚĆ DRUGA:

WOJNA I JEJ OFIARY

ROZDZIAŁ 1

W ciepłe sierpniowe dni 1939 roku, ludzie bez przerwy „wałkowali” tylko jeden temat. Wszyscy dorośli rozmawiali o wojnie. Dzieci słyszały o niej w domu, sklepie i na ulicy. Wojna i wojna. Teraz chłopaki bawią się już tylko w wojnę. Nawet mała Dobka Perelsztajnow łazi za swoim bratem Chamkiem i chce się z nami bawić. Chłopaki złością się na małą i na Chaimka, który wtedy Dobkę wygania do domu. Dobka ryczy i bez powodzenia chce bić brata swoim małym karabinkiem. Oboje mają bardzo fajne karabiny, zrobione z gontowych deseczek. Wystrugał je na prośbę Chaimka jego starszy brat, Dawid.

Tadzik zazdrości im tych karabinów; bo sam nic nie ma. Jak zaczął strugać deseczkę na karabin, to strasznie zaciął się nożem w rękę i teraz nic nie może sam zrobić. Całą dłoń ma zawiniętą w płócienną szmatkę. Prosił brata Mundzika o pomoc, ale ten nie chce.

Ja mam karabin z prawdziwą, żelazną lufą. Tata kupił mi go na gwiazdkę w zeszłym roku. Mój karabin nawet strzelał z kapiszonów, ale kapiszonowy dawno się skończyły. Prosiłem tatę o kupno nowych, ale powiedział mi, że kupi kiedy indziej. Teraz są sprawy dużo ważniejsze od moich kapiszonów.

Rzeczywiście, dorośli teraz bez przerwy mówią o tej wojnie. Słysząc wciąż Niemcy, Francja, Hitler... Kiedyś widziałem w jakiejś gazecie fotografię Hitlera. Taki jakiś. To wszystko jest dla mnie nowe, dziwne, ciekawe. Ciągłe gdzieś słyszę, że wojna wisi na włosku. Kiedy pytam jak ona może wisieć na włosku, to dorośli odpowiadają, że tylko tak się mówi. To po co tylko tak?

Rodzice teraz kilka razy dziennie słuchają radia i wtedy mówią, żeby im nie przeszkadzać. Potem rozmawiają o tym, co usłyszeli. Wówczas mama często bywa zdenerwowana, a tata pali papierosa za papierosem. Mama mówi, że nad jej bratanicą Mureczką czuwał anioł stróż. Mureczka była w lipcu na wywczasach nad morzem, na Helu. Dobrze, że już jest w domu, bo gdyby nie daj Boże wybuchła wojna...

Teraz każdego wieczoru do późna siedzi u nas wuj Stefan. Mówi, że w naszym nowym radiu słyszeć lepiej jak w jego. Przychodzi też z wujem nieraz Mureczka, a nawet ciotka Mania. Wtedy wszyscy ciągle wołają, żeby dała słuchać radia. Bo ciotka teraz ciągle płacze, ponieważ boi się o swojego syna Stefcia, Ścioszyka. Jest mobilizacja i bardzo wielu mężczyzn biorą do wojska.

Ciotka nie wyobraża sobie, żeby Ścioszyka wzięli do wojska. Bo gdyby wzięli, to ona tego na pewno nie przeżyje.

Ja dziwię się temu, bo już dużo ludzi wzięli do wojska i z tego powodu jeszcze nikt nie umarł. Tak samo zapewne myśli wuj Stefan, bo kiedy ciotka zaczyna lamentować to pyta ją, czemu płacze. Boi się o Stefcia, czy ze strachu, że umrze. No to o swoje życie może być spokojna, bo Stefcia jako studenta, póki co, to nie zmobilizują.

Oprócz wujostwa, przychodzą do nas różni znajomi rodziców. Niektórzy z nich żeby posłuchać radia, bo w domu nie mają. Wszyscy siedzą do późna, piją herbatę z samowara, wielu pali papierosy taty. Chwalą, że dobre, egipskie. Czasem tata wyjmuje z kredensu którąś karafkę z nalewką i wszyscy też chwalą, że dobra.

Z tego, co mówią dorośli, ja rozumiem coraz mniej. O co właściwie temu Hitlerowi chodzi? Zapytany o to tata powiedział mi, że jestem jeszcze zbyt mały, abym zrozumiał tę całą okropność. Mama zamiast mi coś wyjaśnić, tylko jęknęła płaksiwie „oj synku”. Z kolei Mureczka odpowiedziała, że mnie kocha i nie powinienem sobie tym głowy zawracać. Pytałem także brata, co wie na ten temat. Odpowiedział mi, że na te sprawy jestem jeszcze za głupi. Ale brat też chyba jest jeszcze za głupi, bo jakby był mądrzejszy, to by mi wytłumaczył. Przecież mama często mówi bratu, że jako starszy, powinien być mądrzejszy.

Któregoś dnia tata poszedł na stację kolejki, żeby pożegnać się z jakimś panem, który został zmobilizowany i właśnie wyjeżdżał do wojska. Ja oczywiście, natychmiast powlokłem się za tatą. Był z tego mocno niezadowolony, ale w końcu zamilkł i nawet wziął mnie za rękę.

Już z daleka zobaczyłem przed stojącym na stacji pociągiem wielki tłum ludzi. Prócz mężczyzn z walizkami, kuferkami i tobołkami, było sporo kobiet z dziećmi w różnym wieku. Tata powiedział mi, że te kobiety odprowadzają jadących do wojska mężów i synów. Wiele kobiet płakało, najgłośniej te z wiosek, Poleszuczki. Płaczą i zawodząc załamując ręce, chwytają się oburącz za głowy. Mężczyźni pocieszają je, czasami przytulają do siebie. Niektórzy biorą na ręce swoje dzieci, mówią coś do nich, całują. Jeszcze inni, pijani, śpiewają zataczając się pomiędzy ludźmi. Tata powiedział, że to obrzydliwe. Może i tak, ale dla mnie śmieszne. Żołnierze, co pilnują porządku, to krzyczą na pijanych. Nasz sąsiad Łoziuk, który też jest pijany i też idzie do wojska, mówi, że z pijakami w koszarach zrobi porządek, bo on jest plutonowym.

Wreszcie wszyscy poborowi i ci trzeźwi, i ci pijani, załadowali się do wagonów kolejki. Kolejarz pan Jendza krzyknął „odjazd”, lokomotywa gwizdnęła przeciągle i pociąg odjechał. Ludzie długo jeszcze patrzyli na malejący w oddali pociąg, który zanurzwszy się w leśny tunel, zniknął. Pozostała po nim tylko szara, rozpraszająca się smuga dymu z parowozu, snująca się pod lasem. Dopiero wtedy ludzie zaczęli rozchodzić się do domów. I znowu wszyscy rozmawiali o wojnie.

A wojna przyszła niespodziewanie. Rano przed pójściem do pracy, tata włączył radio, żeby wysłuchać wiadomości, które po chwili zaczęły czytać.

– Żeby go szlag trafił! – usłyszałem krzyk taty.

Nigdy nie słyszałem, żeby tata przeklinał. To też wyskoczyłem z łóżka jak z procy i wpadłem do saloniku. Zobaczyłem jeszcze znikające za drugimi drzwiami plecy taty. Tuż za mną pojawił się mój brat. W tym momencie z kuchni dobiegł nas głośny płacz mamy, zawtórowała jej nasza siostra Mundzia.

Błyskawicznie znaleźliśmy się ze Stefanem w kuchni. Tata przytulał do siebie mamę i Mundzię. Sam wyglądał tak, jakby i jemu zbierało się na płacz.

– Psiakrew, dopiero minęło dwadzieścia lat pokoju, a ten drań znowu... Czy tych Niemców nigdy, nic nie nauczył? – Głos taty wyraźnie drżał z irytacji.

ROZDZIAŁ 2

Na Telechany spadła nienormalność jak jastrząb. Zakłóciła senną codzienność miasteczka. Ludzie zaczęli gorączkowo kupować różne towary, robić zapasy na wojnę. Kupowano naftę, sól, zapalki. Pan Brzostowski „Płaksa” miał pełne ręce roboty, bo wszystkim, którzy mieli świnie albo cielaka, on im ubijał, a ludzie robili kielbasy, wędzonki i marynaty.

Z Pińska przestały kursować statki. W szkole pan kierownik Pierowski mówił nam, jak mamy zachować się, gdyby nadleciały niemieckie samoloty i puściły gaz. Jeśli ktoś nie ma przeciwgazowej maski, a pan kierownik też nie miał, to powinien zmoczyć chusteczkę i przycisnąć do nosa, żeby przez nią oddychać. Wtedy nie zatruje się gazem. Tatusz powiedział, że to bzdura. To kto tutaj ma rację? Najlepiej, żeby dorośli dogadali się ze sobą.

O wojnie było coraz głośniejsze, ale Niemcy gazu nie puszczali. Policjant pan Patek, chodził teraz cały dzień po miasteczku i ostrzegał wszystkich przed obcymi, bo to mogą być niemieccy szpiegowie. Pan Góźniczak powiedział, że kiedy jeden pastuch zjadł czekoladę, którą dostał od nieznajomego, to zatrzał się nią i umarł. Z pewnością był to niemiecki szpieg, podobno jest ich wszędzie pełno i to oni rozdają dzieciom zatrute czekolady.

Parę razy, pojawiły się niemieckie samoloty. Latały nisko, krążąc na miasteczkiem. Na skrzydłach miały czarne krzyże.

Potem przez Telechany zaczęli przejeżdżać różni obcy ludzie. Wszyscy mówili, że są z Warszawy i że jadą w stronę rumuńskiej granicy, tyle, że okrężną drogą. Droga na wprost chociaż o wiele krótsza, jest tak strasznie zapchana uciekinierami i wojskiem, że oni okrężnie do celu dojadą szybciej.

Uciekinierzy jechali przeważnie najętymi chłopskimi furmankami, ale także bryczkami i dorożkami, a czasem trafiały się nawet samochody. Ludzie byli brudni, często głodni, bardzo zmęczeni. O wiele gorzej wyglądali ci, co jechali konnymi pojazdami, bo byli dłużej w drodze.

Wielu spośród nich opowiadało o okropnościach wojny, o niemieckich bombardowaniach, pożarach, o zabitych. Mówili też o tym, że niemieckie samoloty dosłownie polują na uciekinierów jadących i idących drogami. Strzelają do nich z karabinów maszynowych i zrzucają bomby.

Niektórzy ludzie z Telechan, nie chcieli w to uwierzyć. Słuchając tego dziwili się i mówili, że jest to niemożliwe. Bo przecież Niemcy nie są jakimś dzikusami, tylko kulturalnym narodem i niewinnych cywilów nie zabijaliby. Wtedy uciekinierzy kiwali z politowaniem głowami i mówili niedowiarkom, że lepiej niech ich Bóg uchroni przed taką niemiecką kulturą.

Pewien człowiek, któremu skończyła się benzyna w samochodzie, biegł po miasteczku i chciał za nią dać walizkę pieniędzy. Ale ludzie wzruszali tyl-

ko ramionami, bo po co komu walizka polskich pieniędzy, jeśli z pewnością przyjdą tutaj Niemcy. A benzyny i tak nikt nie ma.

Wreszcie, Kalinowski „Kuka” zgodził się odwieźć furmanką dokądś tego człowieka razem z jego rodziną. Po kilku dniach Kuka powrócił zły i mówił, że po jakie лихо mu to było. Konia w drodze zabiedził, a ten warszawski drań mu nawet nie zapłacił. Powiedział, żeby w zapłacie wziął sobie pozostawiony w lesie samochód, na co Kuka mówił, że jemu „na chaleru ta czortowa kolaska”. A czortową kolaskę i tak z lasu ktoś zabrał jeszcze przed jego powrotem.

Tak mijał dzień za dniem, a każdy przynosił nowe, ale coraz gorsze wiadomości. Nasi żołnierze walczyli bardzo dzielnie, ale Niemcy zbliżali się coraz bardziej. Ludzie niecierpliwie czekali, kiedy wreszcie Anglicy i Francuzi rozpoczną wojnę Hitlerem. Takie mocarstwa powinny się z nim szybko rozprawić.

Tatę coraz bardziej denerwowały wiadomości usłyszane w radiu. Mówił, że ucieczka rządu za granicę dla niego „śmierdzi” zwykłą zdradą narodu. Wuj Stefan zawsze taki opanowany, teraz też nieraz okazywał zdenerwowanie. Już nie machał flegmatycznie ręką tak jak na ciotkę, ale energicznie gestykulował obiema. Mama nieraz nawet piła krople walerianowe, a ciotka Mania płacząc mówiła, że jej matczyne serce krwawi w obawie o los Ścioszka, który nie daje znaku życia z Wilna.

Moja kochana Mureczka też popłakiwała biedactwo. Nie wiedziała, co dzieje się z jej narzeczoną Poldkiem. Ostatni list do niej, napisał w dniu wybuchu wojny.

O losie swojego narzeczonego nic nie wiedziała również Baśka Piszczykówna. Teraz przychodziła często do Mureczki i obie zamykały się w jej pokoju. Wtedy ja nieraz węszyłem pod drzwiami chcąc wiedzieć, co się tam dzieje. Było mi ich żal, kiedy słyszałem jak obie pochlipują.

Któregoś dnia przyjechał do nas furmanką wujek Nikodem, który mieszka nieopodal Janowa Poleskiego, w Rudzku. Wujek jest mężem cioci Mirki, siostry mojej mamy.

Rodzice i wujek rozmawiał o czymś długo w nocy, a ja nie mogłem usnąć. Leżąc w pościeli słuchałem odgłosów z drugiego pokoju, gdzie prócz rozmowy trwała jakaś krzątanina. Niewiele mogłem zrozumieć, co się tam dzieje. A raniutko wujek Nikodem odjechał z jakimiś tobołami na wozie.

Stojąc w piżamce przy oknie, patrzyłem na odjeżdżającą furmankę. Wujek siedział na niej okryty brudną burką, z nałożonym na głowę kapturem. W nocy zaczął padać deszcz, a szare jak dym z komina chmury, wisiały tuż nad ziemią. Zrobiło mi się żal konika, który nie miał burki jak wujek i musiał moknąć.

Zapytałem mamę, dlaczego wujek przyjechał na tak krótko i co to były za toboły. Odpowiedziała mi, że wujek zabrał do siebie pewne nasze cenniejsze rzeczy, bo podczas wojny na wsi jest bezpieczniej.

W dniu wyjazdu wujka Nikodema, skończyły się słoneczne i upalne dni. Na dworze zrobiło się chłodno i często siąpiły nieprzyjemne deszcze.

Któregoś takiego deszczowego ranka, tata po wysłuchaniu wiadomości w radiu powiedział, że teraz to już koniec. Na Polskę nie wypowiadając wojny, napadli bolszewicy. Polska została wzięta w podwójne kleszcze, a nasi sojusznicy na zachodzie, nic sobie z tego nie robią. Po prostu, mają nasz Kraj „w nosie”.

Niebawem po zakończeniu radiowego dziennika, zjawił się u nas razem z Mureczką wuj Stefan. Pierwszy raz zobaczyłem wuja nieogolonego. Niedługo potem przyczłapała w szlafroku i papuciach, ale pod parasolem, ciotka Mania. Papucie jej nasiąkły na deszczu wodą i ciotka zostawiała za sobą na podłodze mokre placki.

Wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Mureczka siedziała wtulona w moją mamę i obie miały płaksawe miny. Tata zapalał kolejnego papierosa od poprzedniego, a wuj krążąc po pokoju krokiem żurawia, nawet nie odpędzał od siebie papierosowego dymu. Ciotka Mania chlapiąc nosem, w pewnym momencie powiedziała, że chyba Pan Bóg odwrócił się od nas, skoro bolszewikom na tę napaść pozwolił.

– Jeszcze tego brakowało, żeby Bóg zajmował się Bolszewikami – zniecierpliwił się wuj i machnął ręką. Ty razem znowu jedną ręką, bo miał do czynienia z ciotką.

ROZDZIAŁ 3

Po kilku dniach, w chłodne i dżdżyste przedpołudnie, w tartaku zawyła syrena. Cienkim głosem wtórował jej samowarek, parowóz kolejki na stacji. To wycie trwało bardzo długo. Kiedy w końcu urwało się, zrobiło się dziwnie, że panuje taka cisza. Tata powiedział, że zapewne z Iwacewicz przyjechali sowieccy żołnierze i zaraz tutaj będą.

Ludzie nie zważając na drobny dokuczliwy deszcz, powychodzili przed domy. Wszyscy patrzyli w stronę kolejki. Tata też wyszedł z domu i stanął przy furtce z parasolem nad głową. Nasza trójka dzieci wylazła za nim. Tata ostrym głosem kazał nam wracać do domu, ale zaraz przestał zwracać na nas uwagę. To też oczywiście zostaliśmy, przylepieni do sztachet płotu. Nadeszła także mama i przykryła nas z głowami jakimś płaszczem.

Po pewnym czasie zobaczyliśmy bolszewików. W siąpiącym deszczu, ulicą Kościelną od strony kolejki szedł oddział żołnierzy. Mama powiedziała, że to jest właśnie wojsko bolszewickie.

Przed wojną widziałem polskich żołnierzy, piechurów i ułanów. Tamci jednak wyglądali zupełnie inaczej niż ci tutaj. Maszerujący ulicą żołnierze ubrani byli w długie, prawie do kostek szare płaszcze. Na plecach mieli zawieszone ni to torby, ni to worki. Tata powiedział nam, że to takie plecaki i nazywają się sumki. Na głowach żołnierzy tkwiły wysokie czapki zakończone szpicem, z czerwoną pięcioramienną gwiazdą nad czołem. Na ramionach, zawieszone mieli na sznurowych plecionkach długie karabiny z bagnetami. Żołnierze maszerowali w zupełnej ciszy, nie zwracając na nic i na nikogo uwagi.

Oddział wojska zniknął niebawem za zakrętem ulicy i gdzieś się zapodział. Wtedy ludzie stojący dotąd za płotami swoich domów, wylegli na ulicę. Polacy, Żydzi, Rosjanie, wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, gestykulowali. Niewiele z tego mogłem zrozumieć, ponieważ jedni mówili, że spotkała nas okropna klęska, inni zaś, że nareszcie przyszli Rosjanie. Że jak dobrze pójdzie, teraz odrodzi się prawdziwa Rosja, „Matuszka Rossija”.

Jedni ludzie rozmawiali spokojnie, inni kłócili się ze sobą zajadle. W końcu pogodził ich deszcz, który z kapuśniaczka, zamienił się w ulewny. Wtedy wszyscy rozeszli się do domów. W miasteczku zapanowała pełna oczekiwania cisza, co będzie dalej.

Tego wieczoru tata długo słuchał radia. Był też jak zwykle wuj Stefan. Siedzieli do późna w nocy. Tym razem nie pili herbaty, opróżnili karafkę nalewki i rozmawiali, rozmawiali... Mama też wypila z nimi całe dwa, małe kieliszki.

Rano tata wyszedł do miasta, ale zaraz wrócił i powiedział, że widział na mieście enkawudzystów. Spytałem, co to takiego, a tata wyjaśnił mi, że są

to bolszewiczcy policjanci, z tym, że gorsi od zwykłych. Brat Stefan patrząc w sufit powiedział, że to poważna sprawa, a siostra Mundzia jedynie westchnęła „o Boże”.

Po południu i ja zobaczyłem dwóch enkawudzistów. Szli wolno środkiem ulicy i uważnie rozglądali się. Ubrani byli w długie skórzane płaszcze, a na głowach mieli okrągłe niebieskie czapki z czerwonymi otokami i błyszczącymi daszkami. U pasów wisiały im ogromne rewolwery w brezentowych kaburach. Później wuj Stefan powiedział mi, że taki rewolwer nazywa się nagan i jest to bardzo groźna broń. Zapytałem, co robią enkawudziści, ale wuj tylko swoim zwyczajem machnął ręką. Ja dowiedziałem się o tym niebawem.

W kilka dni po zajęciu Telechan przez bolszewików, ojciec zdecydował się rozejrzeć za podjęciem jakiejś pracy. Rankiem nałożył garnitur w prążki, uszyty u krawca Gursztela niedługo przed wojną. Ponieważ dzień był dżdżysty i wyjątkowo chłodny, ubrał jesionkę z aksamitnym kołnierzem zwaną poltotem, wziął kapelusz, rękawiczki i parasol.

Oczywiście, że nie mogłem odpuścić takiej okazji wyjścia z ojcem do miasta i dotąd namolnie skamlałem, aż mama kazała mi założyć płaszcz w szkocką kratę i wsadziła na głowę beret. Obie strony były zadowolone. Mama, że przestałem ją męczyć, a ja, że dopiąłem swego.

Szedłem z ojcem ulicą Kościelną i kiedy zbliżaliśmy się z do budynku nadleśnictwa, wyszło z niego dwóch enkawudzistów. Poznałem ich natychmiast po ubiorze, bo przecież parę dni temu ojciec pokazywał mi takich samych, kiedy obaj staliśmy w domu przy oknie, patrząc na ulicę.

Ci dwaj przez chwilę przyglądali się nam, a potem szybko „przecieli” ulicę i podeszli do nas od przodu, zastępując drogę. Zatrzymaliśmy się z ojcem. Ja patrzyłem na nich zaciekawiony. Jeden z nich ten niższy, miał czarniawą twarz z fioletowym odcieniem po wygolonym zaroście, duże wyłupiaste orzechowe oczy z czarnymi krechami brwi i wielkie, odstające uszy. Drugi dużo wyższy, wręcz olbrzym, był siwiejącym na skroniach blondynem. Skórzany płaszcz ciasno opinał wywalone do przodu brzuszysko, które od dołu podtrzymywał skórzany pas, z dyndającym na nim naganem. Zauważyłem, że na brzuchu wielkoluda płaszcz rozlażł się w szparę, bo brakowało tam guzika. Enkawudzista miał szerokie, sinawe półotwarte usta, w których widać było wielkie jak łopaty, żółte, poprzedzielane szparami zęby. Oddychał ciężko, ze świstem, jak astmatyk pan Szwepe. Obaj mieli na nogach buty z cholewami, od połowy w dół zmarszczone w ciasne harmonijki.

Te oględziny zajęły mi krótką chwilę i obaj, a szczególnie ten wielki, nie spodobali mi się. Z zaciekawieniem czekałem, co będzie dalej. Ale to trwało sekundę.

– Wy kto takoj? – Zapytał ten czarniawy.

– W czom dieło, o co chodzi? – Na pytanie, odpowiedział pytaniem ojciec.

W tym samym momencie, chrypliwie zaświszczał ten wielki.

– Aron, toż na wiorstę widać, że to burżujska swołocz – a do ojca – dokumenty!

Ojciec powoli wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel i w tym momencie olbrzym wyrwał mu go z rąk, wsuwając do kieszeni swojego płaszcza.

– Dawaj, poszli – zawarczał, dychawicznie świszcząc.

– Proszę mi oddać mój portfel – powiedział stanowczym głosem ojciec.

– Ty burżujska swołocz, ty mi się stawiasz? – Chrapliwie zabulgotał enkawudzista.

Stałem ściskając z całej siły rękę ojca. Opanowywało mnie przerażenie. Coś obrzydliwie słodkiego wylało mi z żołądka i wciskało się do ust. Czułem, jak plecy pokrywają mi się potem.

– Proszę mi oddać mój portfel – powtórzył spokojnie, ale stanowczo ojciec.

– Kiedy tak chcesz, to ci dam, ale w mordę...

Brzuchaty błyskawicznym ruchem wałnął ojca pięścią w twarz. Ojciec głucho stęknął, rzuciło go plecami na płot, po którym osunął się na ziemię. Kapelusz ojca poleciał na jezdnię, a parasol na chodnik. Pod nosem ukazała się krew.

– Tataa! – Wrzasnąłem nieswoim głosem i zaniósłem się płaczem.

– Ty job twoju mać, ty będziesz stawiać się mnie? Mnieeee?! – Świszcząc i pokaszując wycharczał enkawudzista.

– Siemion, daj spokój, nie bij – mitygował kamrata ten czarniawy.

– Zamilcz Aron, ja tu naczelnik! – Odcharczał brzuchaty. Schylił się nad ojcem i tarmosząc go za kołnierz jesionki, pięścią drugiej ręki poszturchiwał po twarzy. Pokasływał przy tym i świszczwał:

– Ty ssoba-aka. Ty mier’za-awiec... Ty mnie się staa, yhy, yhy, aawiasz, mnie?!

Przed oczami latały mi czarne płatki. Czułem, jak po nodze spływa mi ciepła strużka moczu. Zsikałem się. Brakowało mi powietrza.

– Tata – wyplakałem.

Wtedy brzuchacz puścił ojca, odwrócił się do mnie i podnosząc pięść ryknął, tym razem zachrypniętym basem:

– Jeszcze i ten szczeniak! Woooo stąd, bo zatłukę!

Nieprzytomny ze strachu rzuciłem się do ucieczki w kierunku domu. Wpadłem do kuchni bez tchu, dusił mnie spazmatyczny płacz. Mama, płacząc razem ze mną, przytulała mnie ile sił pytając, co się stało i co z ojcem. Siostra Mundzia nakapała na cukier kropli walerianowych i prosiła, żebym to wziął. Powoli uspokajałem się. Zlany zimnym potem, z obsikanyymi spodniami, bucząc jeszcze i chlipiąc opowiadałem, co stało się na ulicy.

Mama i Mundzia głośno płakały, nawet mój brat Stefan rozmazał się i stał przy oknie pochlipując nosem. Mama wciąż płacząc, nalala do miednicy ciepłej wody i umyła mnie od góry do dołu. Rozchlipana Mundzia pobiegła do wujostwa i zaraz przyszedł wuj Stefan. Chciał iść do NKWD, ale mama uprosiła go, aby tego nie robił, bo jego też jeszcze pobiją i zamkną. Następnie

ubrała stare palto, na głowę nałożyła chustkę i poszła tam sama. Wróciła po godzinie płacząc, bo żaden enkawudzista nie chciał z nią rozmawiać.

Minął wieczór i noc. Na drugi dzień przed południem, ojciec przywłókł się do domu. Był bez kapelusza i parasola. Cała jesionka była wybrudzona błotem i miała naderwany jeden rękaw. Twarz ojca była tak spuchnięta, że lewego oka nie mógł otworzyć. Mówił z trudem, sepleniąc przez obrzmiałe wargi. Stękał i mówił, że wszystko boli go, a najgorzej nerki, po których skopał go na komendzie ten brzuchaty.

Przyszędł wuj Stefan i przyprowadził ze sobą felczera, pana Dramowicza. Zgodnie z jego zaleceniami, ojciec leżał obłożony kompresami. Z łóżka podniósł się po kilku dniach.

Swoje uwolnienie z NKWD, ojciec zawdzięczał telechańskiemu Żydowi, Herszelowi. Mijała doba pobytu ojca w komendzie NKWD, kiedy przyszedł tam Herszel i zobaczył sponiewieranego ojca. Narobił wielkiego krzyku, że to jakaś straszna pomyłka. On ojca zna, to najporządniejszy obywatel Telechan! On Herszel, osobiście ręczy za niego głową! Krzyku było tyle, że przyszedł sam „komandir” i po rozmowie z Herszelem, kazał ojca zwolnić. Na odchodne, brzuchaty Siemion obiecał ojcu, że na pewno tutaj jeszcze wróci.

Muszę tutaj koniecznie poświęcić słów parę wybawcy ojca, Herszelowi. Przed pierwszą światową wojną, był on jakimś biednym wyrobnikiem. Kiedy wybuchła wojna, został zmobilizowany do carskiej armii, gdzie zetknął się z bolszewicką ideologią. Widocznie zaraził się nią na tyle, że po wojnie związał się z polskimi komunistami. Za swoją z nimi działalność, dostał wyrok kilku lat pobytu w Berezie Kartuzkiej. Mieścił się tam karny, ciężki obóz odosobnienia dla politycznych.

Po odbyciu wyroku, przypaletał się do Telechan i w nich pozostał. Siedział tutaj cicho, nie założył rodziny, był najemnym robotnikiem „smoluchem”. Zarówno Żydzi jak i chrześcijanie, uważali go za wyrzutka. Po zajęciu Polesia przez bolszewików, natychmiast przylepił się do enkawudzistów. Jednak życie pokazało, że nie był on złym człowiekiem. Będąc „osobą przy władzy” pomógł wielu tym, którzy wbrew swojej woli znaleźli się w kleszczach enkawudowskiego aparatu.

ROZDZIAŁ 4

Wprowadzane w Telechanach przez bolszewików zmiany wywracające do góry nogami dotychczasowy porządek, wywołały u większości ludzi głębokie przygnębienie. Ci, co spodziewali się wojskowej pomocy ze strony państw sprzymierzonych z Polską, z nadziei tej musieli zrezygnować. Poczuli się zdradzeni przez nich w haniebny sposób.

Głębokiego rozczarowania doznali także ci, którzy przyjscie bolszewików powitali z radością. Obdarowując kwiatami żołnierzy Czerwonej Armii byli pełni nadziei, że oto odradza się „Matuszka Rossija”, prawdziwa Mateczka Rosja. Władza radziecka jednak szybko wybiła im z głowy tęsknotę do nieistniejącej od lat Rosji rządzonej przez cara. Zamiast najjaśniejszego cara, wszechwładnie zapanowały rządy towarzysza Stalina, sprawowane za pomocą jego aparatchyków.

Trzeba było pogodzić się z faktem, że bolszewików z Telechan nikt nie przepędzi. Wszystko wskazywało na to, że władza sowiecka umacnia się coraz bardziej.

W nowo powstałym Rejonie Telechan, zaczęły urzędować Reispółkom, Gostbank, Sielsowiety, i inne instytucje o egzotycznych nazwach. Kierownicze stanowiska w nich obejmowali nowi ludzie, ściągani gdzieś z głębi Rosji. Zła sława panoszącego się coraz bardziej w miasteczku NKWD, zaczęła napawać ludzi bladym strachem.

W tych nowych warunkach utworzonych przez sowieckie władze, poprawy swojej sytuacji dopatrywali się jedynie Żydzi, a głównie żydowska biedota z najniższych warstw nędzy. Po wejściu bolszewików natychmiast zamilkła antysemicka propaganda, uprawiana legalnie w Polsce przez niektóre środowiska. Miało to kolosalny wpływ, na zaaprobowanie sowieckiej władzy przez Żydów. Ponadto dla żydowskiej biedoty, przysłowiowym miodem na serce była natrętna sowiecka agitacja, że towarzysz Stalin z najgłębszą troską dba o poprawę losu ludzi cierpiących nędzę, uciskanych dotąd przez „polskich burżujów”.

Okazało się jednak, że ten stalinowski „miód” również i w tym środowisku ma gorzki smak. Na skutek różnych donosów i manipulacji partyjnego aparatu, aresztowano także kilku Żydów i skazano na wieloletnie więzienie.

Jednak w odwecie za uprawiany legalnie w Polsce antysemityzm, bolszewickie „głaskanie” Żydów zaowocowało tym, iż sporo żydowskiej młodzieży ochotniczo wstąpiło do Komsomołu. Taką „karierę” zrobili na przykład synowie cieśli Rubachy, z czego ten był wyjątkowo niezadowolony. Również kilku starszych wiekiem Żydów, zostało partyjnymi aktywistami. Kilku innych współpracowało z milicją, a nawet z NKWD, jak choćby poniewierany

przed wojną Herszel. Jednak właśnie jemu mój ojciec zawdzięczał, że enkawudziści po aresztowaniu go na ulicy, wypuścili ze swoich łap na wolność.

Teraz Herszel obnosił się po miasteczku z dużą skórzaną teczką, która przedtem należała zapewne do kogoś z aresztowanych przez NKWD. Tej teczki zazdrościli Herszelowi wszyscy przyjezdni sowieccy dygnitarze, bo oni mieli wyłącznie ceratowe.

Także ze skórzaną czyjąś teczką, cwałował po Telechanach miejscowy kominarz Zońka Żywołowicz, noszący przezwisko Wijun, co po rosyjsku oznacza piskorza. Wijun był „podstrzelonym” człowieczkiem, obiektem nieustających żartów i dowcipów. Po wejściu bolszewików porzucił kominarstwo i został partyjnym aktywistą. W związku z tym, kominów teraz nikt nie czyścił i często zapalały się w nich sadze.

* * *

Partyjny awans tych dwojga był jednak niczym, wobec kariery niejakiego Mikołaja Dziechciaryka. Splendor, jakim obdarzyła go sowiecka władza, wprowadził miejscowych ludzi w osłupienie. Dziechciaryk był telechańskim lumpem, szwendającym się najczęściej nieopodal Telechan w Świętej Woli, czy Wielkiej Haci. Będąc jeszcze wyrostkiem, w całej okolicy dał się poznać jako chuligan i złodziejaszek.

W latach dwudziestych, Dziechciaryk „zwąchał się” z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi, podziemną organizacją działającą na terenie Polesia. Będąc członkiem jej młodzieżowej jacejki, nie popisał się zbyt wiele. Przyłapano go na kolportażu komunistycznych gazetek, a potem rozpoznany przez policję na nielegalnej demonstracji komunistów w Kosowie, dla podziemnej organizacji był już spalony. Zresztą, nie zaprowadziła go tam miłość do komunizmu, lecz fakt, że ta podziemna organizacja posiadała nielegalny magazyn broni. Zwędzony tam pistolet, miał mu ułatwiać rabunkowe napady.

Na swoją pierwszą ofiarę napadu z bronią w ręku, Dziechciaryk upatrzył zamożnego żydowskiego kupca Abrama ze Świętej Woli. Posłużył się przy tym osobą swojego kumpla Gładuna, który był furmanem u Abrama.

Niebawem kupiec wybrał się do Kosowa po towar. Pojechał tam furmanką, powożoną przez Gładuna. Wyjechali ze Świętej Woli jeszcze nocą, aby w jednym dniu zdążyć ze sprawunkami. Dziechciaryk powiadomiony przez furmana o tym wyjeździe, zaczął się na kupca przy drodze, biegnącej przez pobliski las. Kiedy tam nadjechała furmanka wioząca Abrama, bandyta zabił go strzałem z pistoletu. Po zabraniu nieboszczykowi trzystu złotych i zegarka, czmychnął do lasu zostawiając swojego kumpla Gładuna na pastwę losu.

Policja niebawem ujęła ukrywającego się w lesie bandytę i osadziła w areszcie. Nadzwyczajnie skorzystała na tym policja polityczna, nosząca nazwę Defensywy. Wiedzano tam, że Dziechciaryk należy do podziemnej komunistycznej organizacji. Na prowadzonym przez Defensywę śledztwie, bandyta ratując własną skórę zaczął sypać swoich „towarzyszy” z KPZB. Dzięki jego zeznaniom, została ona na terenie kosowskiego powiatu doszczętnie rozbita.

Rok później, w Grodnie odbył się głośny proces komunistów. Sądzone na nim kilkudziesięciu członków rozbitej przez Defensywę, nielegalnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Na procesie tym, Dziechciaryk występował głównie jako świadek, pogrążając zeznaniami swoich niedawnych „towarzyszy”.

Za tak okazaną „skruchę”, bandyta nie otrzymał odsiadki w Berezie Kartuskiej, gdzie mieścił się obóz odosobnienia dla skazańców politycznych. Jako morderca i rabuś, osadzony został w ciężkim więzieniu dla kryminalistów na Świętym Krzyżu. Kiedy we wrześniu 1939 roku Polskę zajmowały niemieckie wojska, wszyscy skazani odsiadujący tam wyroki, a wśród nich i Dziechciaryk, zostali uwolnieni mocą dekretu Prezydenta o zbiorowej amnestii.

Dziechciaryk zjawił się w Telechanach po zajęciu ich przez bolszewików jako zasłużony bojownik komunistycznego podziemia, ofiara „Polskiego terroru”. Partyjne władze w dowód uznania za „ofiarną podziemną walkę z polskim reżimem”, półpiśmiennego kryminalistę zrobiły dyrektorem banku. Ludzie widząc ten niesłychany skandal, wołali w duchu o pomstę do Boga. W duchu, gdyż miasteczko sterroryzowane przez enkawudzystów, milczało.

Jednakże towarzysz Dziechciaryk miał pecha, bowiem znaleźli się w Telechanach dwaj odważni Żydzi, którzy zdemaskowali jego kryminalną przeszłość. Tymi desperatami byli krewni zamordowanego kupca Abrama, fryzjer Lejba Melcer i jego kuzyn Karczmar. Złożyli oni partyjnym władzom udokumentowany meldunek, że towarzysz Dziechciaryk jest bandytą, który kilkanaście lat wcześniej zamordował w celu rabunkowym kupca Abrama i za to odsiadywał przed wojną wyrok w kryminale dla pospolitych zbrodniarzy.

Towarzysze z partyjnego aparatu, popadli w nader kłopotliwą sytuację. Mieli świadomość tego, że sprawa ta może nabrać wielkiego rozgłosu. Ratując autorytet „nieomyślnej” partii, problem rozwiązali następująco. Nie uznali wyroku polskiego sądu skazującego Dziechciaryka na więzienie, ale przenieśli go z urzędu dyrektora banku na jakąś podrzędną posadkę.

Następnie aparaczczyki dalej ratując „autorytet” tak skompromitowanej partii, zastosowali niezawodną metodę terroru. Obaj demaskatorzy Dziechciaryka Melcer i Karczmar, zostali aresztowani w lipcu czterdziestego roku pod pretekstem kontrrewolucyjnej działalności. Bolszewicki sąd wymierzył im karę po osiem lat więzienia. Do jej odbycia, skazanych wywieziono gdzieś w głąb Rosji. Było to wyraźne ostrzeżenie dla tych, których interesowałby jakiś osobnik będący jednocześnie bandytą i bojownikiem o komunizm.

Tym oto sposobem, autorytet komunistycznej partii, został nienaruszony.

ROZDZIAŁ 5

Sowieckie władze realizując metodą przemocy politykę nieomyślności komunistycznej partii, w imponującym tempie całkowicie zmieniły dotychczasowy wizerunek Telechan. Dokonując tych zmian, nie zapomniano także o młodzieży i dzieciach. Już w listopadzie 1939 roku, bolszewicy otworzyli w Telechanach szkołę i zaczął się rok szkolny. Po raz drugi w tym samym roku kalendarzowym.

Jednak w tej szkole było zupełnie inaczej jak przed wojną. Odczuwałem mocno brak mojego przyjaciela Chaimka Perelsztajna, bo teraz chodził on do przedwojennej żydowskiej ortodoksyjnej szkoły, którą sowietzi zamienili w szkołę publiczną, ale wyłącznie dla dzieci żydowskich. Teraz widywaliśmy się rzadko i tylko po powrocie ze swoich szkół.

Kiedy w tych nowych warunkach spotkaliśmy się po raz pierwszy i dali już upust radości spotkania, zaczęliśmy dzielić się szkolnymi wrażeniami.

– Aj, co to za szkoła dla Żydów – konkludował swój „raport” Chaimek – kiedy niektórzy nauczyciele wcale po naszymu mówić nie umieją. Ja dla ciebie mówię, ty pomyśl sobie, że jak my na przerwie po naszymu rozmawiamy, to te nauczyciele krzyczą, że „nada gawariť na russkom jazykie”. Ty sobie pomyśl, tak krzyczą nawet nasze żydowskie nauczyciele! Oni ruskiego same muszą się dobrze wyuczyć!

Tutaj przypomniał mi się epizod, często powtarzający się w naszej przedwojennej szkole. Kiedy białoruskie dzieci rozmawiały ze sobą „po swojemu”, nasza nauczycielka Kundzia strofowała je podniesionym głosem:

– Dzieci, nie rozmawiać po chłopsku!

Ha, okazało się, że każda pliszka swój ogonek chwali, bez względu na jego kolor.

Zrozumiałe, że teraz w szkole naukę prowadzono w języku rosyjskim. Niebawem jednak obowiązującym językiem, stał się białoruski. Trzeba było szybko nauczyć się czytać i pisać w tych obu językach. Brat z siostrą siedzieli obok siebie i uczyli się czytania, a ja klęcząc na krześle naprzeciw nich, też się uczyłem. Wyszło mi to na złe, bo po jakimś czasie okazało się, że najlepiej w tych językach czyta mi się trzymając książkę do góry nogami, a nie normalnie. Musiałem sporo popracować nad sobą, aby książka trzymana normalnie, nie utrudniała mi czytania. Cierpliwie pomagała mi w tym kuzynka Mureczka, która podjęła pracę nauczycielki w naszej szkole i uczyła właśnie języka białoruskiego. Mureczka była teraz jedyną żywicielką rodziny, bo po przyjsciu bolszewików, wuj Stefan oczywiście utracił swoją wysoką emeryturę.

W szkole nastąpiły wielkie zmiany. Pan Pierowski nie był już kierownikiem, tylko zwykłym nauczycielem. Potem w ogóle go zwolniono. Teraz nie

kierownikiem, lecz dyrektorem szkoły, była osoba przyjezdna z Rosji, Walentyna Pietrowna Siłkowa. Początkowo wyglądem nie różniła się od innych przyjezdnych Rosjanek. Nosiła obszerną szubę ze sztucznego misia, na głowie ogromną wełnianą chustę, a na nogach wołokowe walonki. Jednak już po miesiącu, przebrana w zgrabne palto i botki, oraz biały z fantazją noszony beret, wyglądała jak dbające o swój wygląd telechańskie kobiety.

Mureczka mówiła w domu, że Walentyna Pietrowna jest osobą inteligentną i kulturalną, bardzo różniącą się od innych przyjezdnych. Chwaliła ją też, jako dyrektora szkoły. Wśród uczniów, Pietrowna wzbudzała respekt, ale była lubiana.

Pan Jakutowicz uczył tylko pół roku, bo został aresztowany przez NKWD i wywieziony w głąb Rosji. Nauczycielami zostały osoby, dotąd ze szkołą niezwiązane. Oprócz mojej kuzynki Mureczki, uczyli w szkole prawosławny diakon Giennadij Arkadijewicz Trydeński i jego żona Eugenia, sąsiadka pani Polczyńska i pani Wojdyłowa żona lekarza, który nie wrócił z wojny. Inni nowi nauczyciele, to byli przyjezdni z Rosji. Wśród nich był Żyd Szulczyn, który po rosyjsku mówił bardzo źle i śmiesznie wyglądał. To też niebawem zyskał w szkole przydomek „Chwost”, co po rosyjsku znaczy ogon.

W szkole pojawiła się także osoba do tej pory nieznana. Była to zastępczyni dyrektora szkoły do spraw wychowania ideologicznego, opiekunka młodzieżowych organizacji. Osoba ta oficjalnie nazywała się „wozataja”, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało młodzieżową przywódczynię.

Swoją pracę w szkole zaczęła od tego, że wszyscy starsi uczniowie zostali zapisani do „Komsomołu”, a młodsze dzieci do „Pionierów”. Wozataja mająca niewiele ponad dwadzieścia lat, była wielką i rozlazłą babą o tępej twarzy i takimż usposobieniu. Nieomal natychmiast zyskała powszechną antypatię wszystkich uczniów. Na długich i nudnych zbiórkach, nie potrafiła nawiązać z „podwładnymi” żadnego kontaktu.

Zbiórki polegały głównie na czytaniu różnych propagandówek, z trzymanej w ręku instrukcji. Podczas tego zajęcia, wozataja nigdy nie spojrzała ani razu na salę. Jak ognia unikała bezpośredniej, swobodnej rozmowy, a nawet spojrzenia uczniowi w oczy.

Jednakże dobra Matka-Natura obdarzyła tę nieudacznicę jednym talentem. Bojowe, młodzieżowe piosenki śpiewała przepięknym, słodko brzmiącym głosem. No i wszystkie je znaliśmy, nie ucząc się ich wcale. One same włączyły nam w uszy z głosem wozatej...

W szkole wprowadzona została nowa forma zwracania się do nauczycieli, powszechnie stosowana w Rosji. Należało zwracać się do nich „po imiaotcziestwu”, czyli wymieniając imię nauczyciela i jego ojca. I tak na przykład, do dyrektorki zwracaliśmy się per Walentina Pietrowna, a do mojej Mureczki, Margarita Stiepanowna.

Lekcji religii oczywiście nie było, a niektórzy nauczyciele ciągle powtarzali, że „Boga nie tu”. Z klas poznikały krzyże, portrety Mościckiego i Rydza-Śmigłego. Na ich miejscu pojawiły się portrety Lenina i Stalina. Niektóre



Fotografia z 1940 roku siódmej klasy szkoły w Telechanach. W drugim rzędzie widać siedzących nauczycieli: moją kuzynkę Mureczkę, osławioną „wożatuję”, dyrektorkę szkoły Walentynę Siłkową, Jana Pierowskiego i panią Wojdyłową. Za nią stoi Nadzia, córka cici Katarzyny.



Fotografia klasy szóstej z zimy 1940 roku. Pierwsza dziewczynka „wyglądająca” po lewej stronie zza głów chłopców to moja siostra Mundzia, a obok siostry stoi jej przyjaciółka Irka Szpilfogel.



Fotografia klasy czwartej wykonana w tym samym czasie. Piąty chłopiec od strony okna w czapce „pilotce”, to mój brat Stefan. Pośród dzieci widać siedzącą dyrektorkę szkoły Siłkową.

z tych portretów namalowali dwaj uczniowie ze starszej klasy, bracia Adam i Karol Hercmanowie. Pochodzili z Warszawy, a ojciec ich był artystą malarzem. Kiedy wybuchła wojna, Hercmanowie uciekając przed Niemcami dotarli aż do Telechan i tutaj pozostali.

W Telechanach pozostał także uciekinier z Warszawy, artysta rzeźbiarz pan Szpilfogel wraz z żoną i córką Irenką. Była to całkowicie spolszczona żydowska rodzina. Szpilfoglowie zamieszkali po sąsiedzku, najmując pokój w domu stolarza Perelsztajna.

Irenka chodziła do jednej klasy z moją siostrą Mundzią. Dziewczynka miała w nosie polipa, dlatego też oddychała sapiąc i mówiła przez nos. Irenka często przychodziła popołudniami do mojej siostry i razem odrabiały lekcje. Nijak nie mogła nauczyć się czytać po rosyjsku. Kiedyś przyniosła i podarowała mi drewnianego konika, wyrzeźbionego przez jej tatę.

I tak obaj panowie artyści z Warszawy, wiedli w Telechanach nędzny żywot. Jeden malując, a drugi rzeźbiąc dla miejscowych urzędów wizerunki Lenina i Stalina.

Nędzny żywot wiedli nie tylko artyści z Warszawy. Jak mówiła mama, nastały dla nas ciężkie czasy. Ojciec mój nie mógł nawet marzyć o pracy, zgodnej z jego kwalifikacjami. Nie mieliśmy więc pieniędzy, ale nie było to największe zmartwienie, bo sklepy świeciły pustkami. Mama gotowała na okrągło kartoflanke, barszcz, zacierki i kasze. Zostaliśmy pozbawieni własnego mleka, gdyż bolszewicy zabrali do kołchozu obie nasze krowy.

Ciotka Mania dzieliła się z nami mlekiem, bo jej rasowa holenderska krowa Czekolada, jakimś cudem ocalała przed kołchozem. Mój brat wydeduko-

wał powód tego, bo była czarna, a nie czerwona. Niestety, nasze krowy były rasy czerwonej poleskiej. Ponieważ kur do kołchozu nie zabierano, a one jakoś się niosły, to w domu były „swoje” jajka.

Także wuj Stefan miał kłopoty z uzyskaniem jakiejkolwiek pracy i cała rodzina utrzymywała się z nauczycielskiej pensji Mureczki.

Wreszcie ojciec dostał pracę w buchalterii rejonowego banku, ale prędko i bez uzasadnienia, został stamtąd zwolniony. Mając kłopoty z uzyskaniem następnej pracy, po bezowocnych poszukiwaniach czepił się w końcu roboty w tartaku, przy traktowaniu drzewa. Teraz już było w porządku, bo był „czornoraboczej”. Raniutko wychodził z domu w połatany kożuszek, który dostał od znajomego Poleszuka Basałaja. Obaj znali się jeszcze sprzed wojny. Mama uszyła z grubego płótna torbę, do której każdego ranka wkładała posiłek dla taty. Na ogół był to czarny chleb i ugotowane na twardo jajka. Czasami tylko chleb i cebulę, kiedy brakowało jajek.

W tartaku pracowali wraz z ojcem Łoziuk, Chomienia i młody Bogdanowicz. Oni również na wzór innych mieszkańców, chodzili teraz w starych zniszczonych kapotach, żeby nie rzucać się w oczy porządnymi, „burżujskimi” okryciami. Kto nie miał w domu takich staroci, na swoje palto naszywał łąty i tak chodził. Teraz przyzwoicie ubrany człowiek na ulicy, natychmiast rzucał się w oczy.

„Naczelnikami” wszędzie zostali bolszewiczcy urzędnicy, którzy przyjechali z Rosji. Jeden z nich pracujący w tartaku, przyjechał nawet z dalekiej Syberii. Mówił, że u nas nie ma zimy. Kiedy ludzie kulili się z zimna i stawiali kołnierze, on chodził w rozpiętej kurtce, bez szalika i w rozchełstanej pod szyją koszuli.

Większość przyjezdnych Rosjan opowiadało, jak u nich wszystko „kulturalno” i jaki to dobrobyt panuje w ZSRR. Jak tam pełno wszelkiego dobra. Jeśli w Telechanach jest inaczej, to nie szkodzi. Niebawem dobrobyt dotrze i tutaj. Wszyscy ci głosiciele lepszego jutra, na odległość skrzyli się żenującym prostactwem. Przypuszczalnie ich mózdzki szczerze wierzyły w radosną przyszłość Telechan. Przyznać jednak trzeba, że wśród przyjezdnych byli także ludzie myślący normalnie. Ci jednak, zapewne w obawie przed NKWD głosu nie zabierali w takich sytuacjach. Milczeli.

Natomiast rzeczywistość mniej radosną od głoszonej, stworzyło w miasteczku NKWD. Już w listopadzie 1939 roku, nastąpiły pierwsze aresztowania, a niedługo po nowym roku, rozpoczęły się wywózki ludzi na Syberię i do Centralnej Azji.

Na pierwszy ogień, w Telechanach poszli komendant policji pan Kowal razem z rodziną i pozostali policjanci. Potem aresztowano byłego burmistrza Kowalewskiego i kilku urzędników, a wśród nich męża chrzestnej mojego brata, wujka Cypriana Demczyłę.

Ofiarą aresztowania i wywózki, niebawem padli nasz sąsiad Polczyński, nadleśniczy Jakutowicz, właściciel przewozowej firmy Pigulewski, oraz nauczyciel pan Gwiazdowski. W kilka miesięcy później, aresztowano z całą rodziną jego żonę, która też była nauczycielką w mojej szkole i wywieziono na Syberię.

NKWD szybko się również do byłych legionistów, którzy mieli niewielkie mająteczki w okolicach Telechan, nadane im przez polskie władze. Wszyscy oni jako wrogowie pracującego ludu i kontrrewolucjoniści, otrzymali wieloletnie wyroki. Rodziny ich powywożono do Archangielska, albo Kazachstanu.

Wśród aresztowanych przeważali Polacy, lecz byli też Rosjanie a nawet Żydzi, których w tym czasie, bolszewicy swoim traktowaniem wręcz „głaskali”.

Aresztowania następowały zawsze w nocy. Enkawudziści dobijali się do drzwi, potem dawali „poł czasu”, pół godziny na spakowanie małego bagażu. Aresztowanych eskortowano na stację kolejki, skąd wywożono do Iwacewicz. Stamtąd pod „opieką” czerwonoarmistów wywożono ich w głąb Rosji, w zamkniętych bydlęcych wagonach. W takich warunkach, deportowano ludzi podczas najsurowszej zimy ubiegłego wieku.

Bezpańskie teraz domy po wywiezionych, zajmowali przybysze z głębi ZSRR.

Po kilku miesiącach, zaczęły nadchodzić ocenzone listy od wywiezionych. Nie od wszystkich. Niektórzy zamilkli na wieki. Mówiono, że wielu ludzi umiera w transporcie. Ci, co dojechali do swojego miejsca przeznaczenia błagali w listach o żywność, a szczególnie o cebulę i czosnek, bo zagraża im szkorbut.

Teraz, co jakiś czas przychodziły do nas paczki z Rudzka od cioci Mirki i wujka Nikodema. Była w nich kasza, mąka, słonina. Mama dzieliła te produkty na kilka części i robiła z tego nowe paczki, które zaszywała w płótno. Na płótnie tym wypisywała chemicznym ołówkiem dziwne, nowe adresy naszych znajomych, wywiezionych przez bolszewików. Z tymi paczkami szła na pocztę, gdzie naczelnikiem był teraz jakiś człowiek z Rosji. Niektórych paczek, poczta nie chciała przyjmować. Mówiono, że „tam nieźlia”.

Ciocia Katarzyna, chrzestna mojego brata, przychodziła do nas często. Siadała na kozetce, albo w kuchni na ławie i płakała. Ona nie miała żadnej wiadomości od męża. Mama pocieszała ją, jak umiała, że jeszcze napisze, że na pewno żyje, że Pan Bóg jest miłosierny. Przecież jej męża wywieźli razem z Polczyńskim, a on już napisał list. Na pewno pracują razem przy wyrębie tajgi.

Niestety, ciocia Katarzyna nie doczekała się listu od męża. Po jakimś czasie i o panu Polczyńskim słuch zaginął. W nieskończonej syberyjskiej tajdze, zaginęła również wieść o wywiezionych tam, Pacu, Daszkiewiczu i wielu innych.

Moi rodzice każdej nadchodzącej nocy, w napięciu czekali na wizytę NKWD. Ciotka Mania, każdego wieczoru siedząc wygodnie w fotelu długo modliła się na głos, aby dobry Pan Bóg ocalił jej rodzinę przed aresztowaniami. Oczywiście, głównie prosiła o uratowanie syna Stefcia, jej Ścioszyka, przedwojennego studenta Uniwersytetu Wileńskiego. Jak do tej pory, to Ścioszyk z pomocą swojej narzeczonej Ireny mieszkanki Grodna, skutecznie schodził z oczu radzieckiej władzy. W dużym mieście takim jak Grodno, udawało mu się to zupełnie skutecznie. Tam też przetrwał cały okres władzy bolszewickiej, i nawet zdążył ożenić się z Ireną.

ROZDZIAŁ 6

Pierwsza połowa 1940 roku, nosiła już wszystkie znamiona sowieckich rządów. Poznikały prywatne warsztaty i sklepy. W bławatnym sklepie Czerni, który jako przedwojenny burżuj chodził teraz dla niepoznaki w starym połatany palcie, powstał państwowy sklep z „mydłem i powidłem.” Powszechnie nazywano go z rosyjska „ławką”, rzadziej „magazinem”. Sprzedawano tam naftę, sól, mąkę, zapalki, papierosy o cuchnącym dymie, solone ryby o dziwnych egzotycznych nazwach, oraz liche ubranka i także obuwie.

Telechańskich rzemieślników razem z ich warsztatami, zrzeszono w jednej spółdzielni, tak zwanej „Artieli”. Dotychczasowi właściciele, teraz stali się tylko jej pracownikami. Prezesem „Artieli” formalnie był jakiś miejscowy Żyd, ale faktycznie spółdzielnię zarządzał przyjezdny sowiecki urzędnik. Grunt, że spółdzielnia działała.

Teraz piekarz Gitelman piekł chleb w piecu należącym do „Artieli”, z mąki dostarczanej mu z państwowego młyna po Pusłowskim. Krawiec Gursztel szył „po zakazu” w „artielnym” warsztacie. Tak samo nie u siebie strzygł fryzjer Lejba, ale on po roku wbrew swojej woli, przeniósł się z „Arteli” do sowieckich kazamatów. W drugiej „artielnej” fryzjerni należącej wcześniej do Majcherskiego, w kącie przy małym stoliku siedziała wielka baba. W zielonym zeszycie skrętnie zapisywała każdą kopiejkę, którą fryzjer wystrzygł z klienta.

Życie rolnicze zwane teraz kołchozowym, też wyglądało zupełnie inaczej. Sowiecka władza zamieniła telechański majątek Pusłowskiego na kołchoz, dołączając do niego grunty rolników z okolicznych chutorów. Pozabierane ludziom najładniejsze krowy, a w tym również dwie nasze, zostały dołączone do majątkowego stada.

Ze względu na porę roku, kiedy to zrobiono, nie było dostatecznego zapasu paszy i słomy na ściółkę, dla tak powiększonego stada. Gdyby nie siano z poprzedniego roku zabrane ludziom do kołchozu, krowy zapewne zimy by nie przetrwały. Niedokarmione krowy z brzuchami wytapetowanymi własnymi odchodami, stłoczone w pomajątkowych oborach, bez przerwy żałośnie porykiwały.

Nieszczęsne stado odżyło dopiero z nastaniem wiosny, kiedy zaczęto je wypasać na ługach za kanałem. Pastuchem stada został młody Basała, a do pomocy miał dwóch poleskich chłopaków.

Oczywiście, że kołchoźnikami musieli zostać również Kalinowski „Kuka”, Brzostowski „Płaksa”, Fiedkowicz „Romanko” i wszyscy pozostali gospodarze razem z całym swoim dobytkiem i płachetkami ziemi.

Jakoś na początku maja, przyszła do nas z Wygonoszczy młoda kobieta o imieniu Wiera. Pomiędzy nią i moimi rodzicami, od lat istniała zażyła zna-

jomość. Kiedy moje rodzeństwo było maluchami a ja oseskiem, Wiera wówczas młodziutka dziewczyna, pracowała u nas jako pomoc domowa mamy. Mama Wierę bardzo lubiła i zawsze serdecznie ją witała.

Po powitaniu, Wiera rozsiadała się w kuchni na ławie z szeroko rozstawionymi nogami odzianymi w postoły, czyli łapcie z lipowego łyka. Siorbała ugotowaną przez mamę na ten dzień zupę i opowiadała, jak to się teraz żyje w kołchozie. Płakała, że jej krowa nie jest jej, a i koń też nie jest jej. Że ziemia po ojcach jest kołchozowa, to znaczy wspólna.

Wiera mówiła jak to ludzie cichcem żartują, że tylko patrzeć jak Sielsowiet każe, aby wszyscy kołchoźnicy siorbali barszcz z jednej wspólnej miski. Potem zęgnęła się pobożnie i prosiła, żeby niczego nie powtarzać, bo choć w kołchozie jest źle, to na Syberii na pewno będzie jeszcze gorzej.

Po kołchozowych żniwach 1940 roku, Wiera przychodziła do nas częściej. Wtedy jej bose nogi były czerwone i podrapane. To od chodzenia po lesie albo bagnach, gdzie Poleszuczki zbierały w zależności od sezonu różne grzyby i jagody. Pocziwa Wierka prawie przy każdych odwiedzinach, przynosiła nam takie leśne bogactwa. Mówiła, że jest to gościniec, znaczy podarunek od serca. Pewnego razu, przyniosła wyciągniętego z leśnej barci miodu, razem z woskowym plastrem. My dzieci gryźliśmy ten wosk, wysysając z niego miód.

* * *

Warunki zdrowotne w miasteczku, bardzo się pogorszyły. Doktor Wojdyło powołany w 1939 roku do wojska, nie powrócił z wojny. Wprawdzie został jeszcze felczer Dramowicz i zjawił się skądś doktor Borman, ale oni byli przeważnie bezradni, bo uspołeczniona teraz apteka nieomal świeciła pustkami. Zapasy apteczne były na wykończeniu, bez problemu można było kupić tylko jodynę i aspirynę, po której ludzie często dostawali wysypki.

Były właściciel apteki pan Bochiński zmarł niedługo po tym, jak przyszedł Bolszewicy. Jego żona, rozmazując po całej twarzy szminke mówiła, że Julka zabiła zgryzotą. Faktycznie, ta „zgryzota” miała postać wielkiego guza na aptekarskiej głowie, rosnącego tam od lat.

Na miejsce zmarłego aptekarza, przyjechał gdzieś z Rosji nowy pigularz, Sawczenko. Sawczenko starał się jak mógł, aby ludziom pomóc, czym szybko zaskarbił sobie powszechną sympatię. Z ocalałych jeszcze specyfików ucierał proszki i robił mikstury. Tyle, że trzeba było dać na nią swoją butelkę.

Aptekarz wystarał się w „Rejispółkomie” o jakiś dokument i z tą „sprawką” w kieszeni jeździł to do Pińska, to do Hancewicz, ba nawet do Brześcia, skąd przywoził aptekarskie specyfiki. Obrotny aptekarz poszedł jeszcze dalej i w aptecce pojawiło się szare śmierdzące mydło, którego często brakowało w „magazynie”. A było ono bardzo potrzebne. Na skutek upadku poziomu higieny, zaczęła rozpowszechniać się choroba skórna „czesotka”, czyli świerzb. Pojawiła się też wszawica. Obaj medycy Borman i Dramowicz mówili, że jak tak dalej pójdzie, to może wybuchnąć epidemia tyfusu.

W Telechanach światło elektryczne nadal dostarczała elektrownia przy tartaku, ale tylko przez cztery godziny wieczorem. Potem pan Białobłocki wyłączał prąd i szedł do domu. Ludzie siedzieli przy naftowych lampach, ale nafty w „magazynie” na ogół dla wszystkich nie starczało.

Bolszewicy pod karą aresztowania, nakazali oddać wszystkie radioodbiorniki. U nas w domu były dwa radia, stare i nowe, kupione niedługo przed wybuchem wojny. Nasze stare radio zostało oddane, ale nowe rodzice schowali na strychu. Tam też pan Białobłocki doprowadził do niego prąd i zainstalował antenę.

Wieczorami dopóki był prąd, ojciec słuchał nadawanych po polsku wiadomości z Londynu. Prawie każdego wieczoru przychodził wuj Stefan. Dopóki nie ustąpiła zima i nie pocieplało, obaj siedzieli na strychu przy radiu ubrani w palta i czapki. Kiedy elektrownia wyłączała prąd, schodzili do mieszkania i długo jeszcze rozmawiali przy naftowej małej lampce o wydarzeniach na świecie. Cała trójka nas dzieci miała surowo zakazane, aby broń Boże powiedzieć komukolwiek o radiu na strychu.

Rodzice surowo nakazali także nam dzieciom, aby nie wdawać się z obcymi w rozmowy, a już szczególnie niczego o domu i rodzinie nie opowiadać. Oczywiście, podstawą do takiego nakazu był strach przed enkawudowskimi wężycielami. Chodziło o to, ażeby nie wywnioskowali z naszego gadania jakiś bzdurnych podejrzeń, obciążających naszych rodziców.

W efekcie tego nakazu rodziców, wynikały różne zdarzenia. Pewnego razu, mieszkający naprzeciwko nas w domu Polczyńskich stary kawaler, emerytowany sędzia Zanarewski zaczął mnie pytać, jak mam na imię. Pomny nakazu rodziców, zamiast grzecznie odpowiedzieć, demonstracyjnie odwróciłem się plecami i poszedłem na nasze podwórko.

Sędzia zgorszony moim zachowaniem, przy okazji spotkania z moim ojcem powiedział, że jestem jołop. To wobec mojego ojca nie było towarzysko najlepsze, ale stary sędzia był w ogóle osobnikiem ekscentrycznym. Ludzie nawet dziwili się, jak takie dziwadło mogło kiedyś sprawować funkcję sędziego. Człowiek ten, wraz ze swoją niezamężną siostrą, pojawił się w Telechanach jakoś na początku 1940 roku. Oboje zamieszkali w domu Polczyńskich, zajmując tam jeden z pokoi. Zanarewscy byli bowiem ich jakimiś krewnymi po dziesiątej wodzie.

Sędzia już przed wojną od paru lat był na emeryturze, której teraz Bolszewicy oczywiście mu nie wypłacali. Siedział więc, z siostrą na garnuszku Polczyńskiej. Ta zaś pracując teraz w szkole jako nauczycielka i mając na utrzymaniu troje dzieci, klepała biedę. W tej sytuacji sędzia poprawiał swoje samopoczucie, nazywając siebie i swoją siostrę pensjonariuszami. Czasami, starej damie udawało się za pomocą pośrednika sprzedać za bezcen żonie któregoś bolszewickiego dygnitarza, coś ze swojej biżuterii. Za uzyskane tak liche pieniądze, Polczyńska kupowała u Poleszuków żywność. Trafiała ona do jej kuchni, ponieważ ani sędzia, ani jego siostra, nie mieli żadnego pojęcia o przyrządzaniu posiłków. Ignorancja ich w tej dziedzinie była tak głęboka,

że dopiero w podeszłym wieku dowiedzieli się od Polczyńskiej, jaki związek występuje pomiędzy kurą a jajkiem.

Oboje „pensionariusze” oprócz osobliwego zachowania i myślenia, mieli również oryginalny wygląd. Sędzia miał nieproporcjonalnie wydłużoną głowę, o pomarszczonej jak pieczone jabłko twarzy. Z tyłu łysawej głowy zwieszał się długi wiecheć włosów, bez jakiegokolwiek koloru. Był zawsze źle ogolony. Na małym i czerwonym nosie siedziały binokle. Zza szkieł spoglądały świdrujące oczy.

Siostra sędziego, chuda leciwa dama o obwisłej i pomiętej skórze twarzy i szyi, robiła wrażenie osoby żywcem wyjętej z połowy XIX wieku. Przyczyniały się do tego noszone przez nią ubiory i sposób bycia. Kiedy nadeszła wiosna a potem lato, stara dama wychodziła czasami do ogrodu, ubrana w którąś ze swoich muzealnych sukienek. Z domu nie ruszała się bez parasolki, nad ukwieconym kapeluszem. Spacerowała po ogrodowej alejce, zadziwiając Polczyńską i jej sąsiadki niezwykłą płynnością kroku. Robiła wrażenie, jakby stopami nie dotykała ścieżki.



Sędzia Zanareski ze swoją siostrą.
Fotografia z lat 60. ubiegłego wieku.

Rzucający się w oczy wygląd rodu Zanareskich sprawił, że na sędziego zwrócili uwagę enkawudziści, kiedy ten idąc ulicą miał pecha napatoczyć się na nich. Skończyło się na tym, że w czasie wstępnego przesłuchania na komendzie tylko raz niegroźnie oberwał po gębie. Większej krzywdy sędziemu nie zrobiono. Zwolniony został po godzinie, kiedy napatoczył się tam i poręczył za niego współpracujący z NKWD miejscowy Żyd, Herszel.

Jednak to zajście przeraziło sędziego na tyle, że przez kilka dni w ogóle nie wychodził z domu. Później za namową życzliwych mu ludzi, zmienił swój zewnętrzny wygląd. Na palcie miał ponaszywane łąty, a karakułowy kołnierz zastąpiony został jakimś zjedzonym przez mole futrzanym płachetkiem. Na głowę zamiast karakułowej czapki, zakładał teraz ogromną

wyprzałą ze starości baranią czapę, która spadała mu na oczy i nos. Czapa ta u sąsiadów natychmiast zyskała miano wroniego gniazda. Binokli sędzia już nie nosił, bo zostały one stłuczone podczas przymusowej wizyty w NKWD.

Kiedy wreszcie nastała wiosna, sędzia zabijał beczynność żywota wynalezionym przez siebie zajęciem. Brał grabie i godzinami wyrównywał piaszczystą, niebrukowaną jezdnię ulicy wzdłuż domu Polczyńskich. Kiedy spadł

deszcz i koleiny po kołach chłopskich wozów napełniały się wodą, sędzia „wyganiał” ją stamtąd grabiami i pracowicie wyrównywał drogę. Ta dziwaczna i syzyfowa praca była nieraz obiektem kpinek ze strony przechodzących akurat miejscowych żulików. Reakcja sędziego była zawsze taka sama:

– Jołopy! – Wołał za nimi – Jołopy!

– Sędzia jołop! – Odkrzykiwali rechocząc żule.

Określenie „jołop” używane było przez starego sędziego nader często. Właściwie nieomal wszyscy wokół byli jołopami. Ta hojność w rozdawaniu tego niezbyt chlubnego przydomku sprawiła, że niebawem on sam zyskał wśród ludzi miano „sędziego jołopa”.

Przy żywiołowej niechęci do władzy bolszewickiej, sędzia chętnie czytał ich gazety, które przynosił do domu syn Polczyńskiej, Wicia. Czując się bezpiecznym w domowym zaciszu, stary „pensjonariusz” czytał ociekające nachalną propagandą gazety, komentując każdą przeczytaną wiadomość i wieszając na niej pęczki jołopów.

ROZDZIAŁ 7

Przyznać trzeba, że władza sowiecka zadbała o to, żeby karmić ludzi swoją propagandą do całkowitej niestrawności. Już w tydzień po wejściu Bolszewików, Telechany zostały zasypane gazetami. Od komunistycznej „Prawdy”, po dziecięcą „Mur’zilkę”. Bez względu na charakter gazety lub czasopisma, we wszystkich wyczytać się dało to samo. A więc budowa socjalizmu i stachanowski ruch przodowników pracy.

Głównym tematem była jednak walka z kontrrewolucją i obywatelski obowiązek wyniszczenia wrogów ludu. Pracujący lud miast i wsi walczył ze szpiegami nawet na łamach „Mur’zilki”. Walnie przyczyniały się do tego kochające socjalistyczną ojczyznę dzieci. To one w tłumie uczciwych budowniczych lepszego jutra, bezbłędnie rozpoznawały szpiegów i powiadamiały o nich milicję.

Na idola młodzieży kreowano męczennika najlepszego ustroju, niejakiego Pawła Morozowa. Był to kilkunastoletni chłopiec, syn rosyjskiego chłopca z Syberii. Ten Pawełek będąc żarliwym komunistą, zadenuncjował w sowieckiej bezpiece swojego tatusia, iż nie jest on przychylny władzy radzieckiej i potajemnie przechowuje broń. Było więc oczywiste, że bolszewicka władza potraktowała tatę tak, jak na to według niej zasłużył. Tata został ukatrupiony i wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie mściwi wrogowie ludu, krewniacy i sąsiedzi nieboszczyka. Ci nikczemni wiejscy bogacze „kułacy”, w odwecie zamordowali młodego komunistę, biednego Pawelka.

Na cześć tego „bohaterskiego” Pawła z rosyjska nazywanego zdrobniale Pawką, Paszą albo Pawlikiem, pisano wiersze i nowele umieszczane głównie w młodzieżowych czasopismach i szkolnych podręcznikach. Wiersza o nim zadanego do nauczania się na pamięć, uczyło się również moje rodzeństwo. W mojej klasie tego wiersza nie uczyliśmy się, byliśmy na to jeszcze za mali, ale na pionierskich zbiórkach najmłodszych dzieci, „wożataja” czytała nam go kilkakrotnie.

My dzieci wychowane w duchu „czcij ojca swego i matkę swoją”, nie mogliśmy pojąć tej nowej, jak mówiono i pisano wszędzie, jedynie słusznej prawdy. Na nasze dziecięce głowy spadł ciężki obowiązek przyjęcia dwulicowej postawy wobec życia. Dzieci uczone od oseska mówienia wyłącznie prawdy, musiały błyskawicznie nauczyć się, co mówić wolno, a czego nie. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ten samozachowawczy przymus, zasiał na całe życie jakieś ziarenko dwulicowości.

Jeszcze parę słów o prawdzie. Młodzież miała obowiązek czytania „swojej” gazety, noszącej tytuł „Komsomolskaja Prawda”. Ja będąc w odcytaniu

jak na swój wiek zdecydowanym „wyroślakiem”, niejednokrotnie szperałem w dziale tej gazety, gdzie pisano o różnych ciekawostkach.

Zrozumiałe, że każda z zawartych tam informacji była „skąpana” w bolszewickiej propagandzie. Chyba szczytowym osiągnięciem tego działu, była wyczytana przeze mnie pewnego razu wiadomość o wynalezieniu lokomotywy. To tam „dowiedziałem się”, że nie wynalazł jej jakiś tam Anglik Stephenson. Tak tylko „brieszet”, czyli szczeka kontrrewolucyjna propaganda! Faktycznym wynalazcą lokomotywy był rosyjski samouk, chłop z Urala Stiepan Fiensonow! Nu wot tiebie na, zaiste „Komsomolskaja Prawda”.

Władza bolszewicka dbała jednak nie tylko o ideologiczną czystość serc swoich obywateli. Dbała również, a jakże, o rozwój kulturalny. To fakt, że Telechany pierwszy raz w swojej historii ujrzały obraz na kinowym ekranie razem z dźwiękiem, wiosną 1940 roku. A więc niewiele ponad pół roku, po przyjsciu bolszewików.

W niewielkiej salce domu ludowego, a teraz domu kultury, ścisk panował nie do opisania. Krzesel nie było i wszyscy stali. Panował straszliwy zaduch i smród. Stłoczona na przedzie dzieciarnia wskutek niecodziennych wrażeń, waliła baki bez opamiętania. W głębi sceny na ścianie, rozwieszono jak mi się wydawało prześcieradło. Pod przeciwległą ścianą, terkotał aparat kinowy ustawiony na dwóch stołach, jeden na drugim. Operator, co chwila wchodził na taborety przysunięte do stołów z aparaturą.

Mnie osobliwa aparatura kinowa interesowała wówczas chyba bardziej, aniżeli to, co działo się na ekranie. Szczególnie, że obraz i dźwięk były fatalne. Dzień był słoneczny, a okna pozasłaniane jakimiś skrawkami papieru i gazetami. Dźwięk wydobywający się z głośnika charkotał, zniekształcony ciągłym buczeniem.



Dom Ludowy (za okupacji sowieckiej Dom Kultury) w Telechanach.
Fotografia z lat 30. ubiegłego wieku

Pierwszym obejrzanym przez telechański ludek dźwiękowym filmem, był obraz historyczny „Minin i Pożarski”. Opiewał on siedemnastowieczne bohaterstwo ludu moskiewskiego, który wyparł ze swojego grodu polskie wojska hetmana Żółkiewskiego i uwolnił Rosję od cara Dymitra Samozwańca. Oczywiście, w tym filmie wszyscy Moskowiczyanie byli szlachetni i bohaterscy, a Polacy z wyglądu i usposobienia okropni.

Film powyższy obejrzałem wraz z siostrą i bratem. Po powrocie do domu, pełni oburzenia opowiedzieliśmy rodzicom jego treść. W następstwie tego, ze zdumieniem usłyszeliśmy słowa ojca, że choć film na pewno jest przekłamany po bolszewicku, to w tej moskiewskiej wojnie Polska wcale nie była taka święta. Następnie wypowiedź swoją ojciec okupił długim wyjaśnianiem, o co wówczas tak naprawdę polskim możnowładcom w tej wojnie chodziło.

Rodzeństwu i mnie trudno było zrozumieć, że polski król mógł brać udział w jakichś intrygach i na kogoś napaść. Brat mój zapewniał ojca, że w podręczniku historii Polski było napisane zupełnie inaczej. Przecież hetman Żółkiewski był wielkim i szlachetnym narodowym bohaterem. Odpowiedź ojca zdumiała nas ponownie.

– Tak synu, hetman Żółkiewski jest wielką postacią w naszej historii, ale jego działania na polecenia króla, nie zawsze były chwalebne. W podręcznikach nie ma o tym ani słowa, bo niestety tak już jest, że ludzie będący u władzy nakazują dopasowywać historię do swoich poglądów. Stąd zdarzają się w niej różne zafałszowania, zawsze ukazujące siebie w jak najlepszym świetle, a wszelkim złem obciążające drugą stronę.

– No właśnie, tak jak to robią bolszewicy – tryumfalnie zawołał mój brat.

– Masz synu tutaj całkowitą rację, ale nie oni wynaleźli tę obłudną metodę. Ona jest tak stara, jak sama historia. Tylko zapamiętajcie dzieci, że teraz nie mówi się takich rzeczy głośno – zamknął dyskusję ojciec.

– Ciiicho, na litość boską, jeszcze ktoś usłyszy! – dodała mama załamując rękę.

Kino objazdowe po tym pierwszym pobycie w Telechanach, pojawiała się mniej więcej regularnie raz w miesiącu. Częściej zdarzały się jednak filmy nieme, z napisami. Wśród nich słynny „Pancernik Potiomkin” Eisensztajna.

Niewybrednym telechańskim widzom, nie przeszkadzały wszystkie uciążliwości związane z oglądaniem filmów. Tłok, zaduch, smród, konieczność stania przez godzinę albo i dłużej, na ogół zły obraz i jeśli był, również dźwięk. Faktem jest, że stateczni mieszkańcy miasteczka na filmy raczej nie chodzili. Widzowie „rozwijający” swoją kulturę, byli w większości ludźmi przyjezdnymi z Sojuza, oraz młodzież i dzieciarnia.

W ogóle, wśród przyjezdnych słowo kultura było do obrzydzenia popularne. „Kulturno” jadło się na stołówce siorbiąc, „kulturno” pluło się na podłogę, „kulturno” rozmawiało się z rękami w kieszeniach po łokcie. Nieliczni przyjezdni posiadający jakąś ogłade, byli na ogół osobami starszymi, którzy z prawdziwą kulturą zetknęli się jeszcze przed rewolucją. Oni zachowaniem swoich pobratymców czuli się skrzepowani, ale głosu nie zabierali, bo tacy nie liczyli się.

A więc, życie toczyło się do przodu nowo wytyczoną drogą. NKWD dalej wylapywało wrogów ludu, których aresztowano i najczęściej wywożono na Sybir czy do Centralnej Azji. Co i raz, ktoś z Telechan znikał. Spółdzielcze teraz rzemieślnicze zakłady, urzędy i kolchozy, codziennym trudem budowały socjalizm. Co prawda w biurach nie pokonano jeszcze przejściowych trudności i urzędowe „sprawki” pisano na odwrotnej stronie tapet. Tapety były kapitalistyczne, bo pochodziły z przedwojennego sklepu Lowki Mudryka. Zostały zarekwirowane tam jeszcze w 1939 roku, ale teraz służyły budowie lepszego jutra. Na tych tapetach, „sprawki” pisała pracująca od niedawna w Rejonie, przyuczona na maszynistkę Ninka Polczyńska, powszechnie nazywana Pestką.

Papierowy deficyt jednak nie dotyczył szkoły. Zeszyty były dostępne zawsze w dowolnej ilości i wszyscy posiadali wymagane podręczniki. Tyle, że były one drukowane na bardzo marnym papierze. Wszystko, co zostało zrobione z papieru, było zadziwiająco tanie.

Jakoś latem, nareszcie pojawił się we wszystkich biurach papier. Był on w dużych arkuszach i na miejscu cięto się go w kawałki odpowiedniej wielkości.

Na ogół był on żółtawy, ale czasami też niebieskawy lub różowy. Jedna „sprawka” na takim różowym papierze wystawiona przez bolszewików mojemu ojcu, zachowała się u mnie do dzisiaj. Dotyczyła ona zwolnienia ojca z pracy w banku, bez podania uzasadnienia. Bo i po co, skoro wszystko było jasne. Ojciec mój jako Polak i przedwojenny urzędnik, był przecież wrogiem rewolucji!

Jedynie słuszna władza, zadbała również o kształcenie kadr przyszłych budowniczych socjalizmu. W Związku Radzieckim istniały skoszarowane szkoły dla młodzieży, w których poza żarliwym wkuwaniem ideologii, uczono jeszcze konkretnego zawodu tokarza, murarza, prądkę i tak dalej. Szkoły te nosiły nierozszyfrowany przeze mnie skrót, o nazwie „FEZAO”. Wytypowana młodzież po ukończeniu szesnastego roku życia, była werbowana do „FEZAO”. Temu werbunkowi podlegali oczywiście najlepsi, najaktywniejsi, o niezachwianej ideologii.

Latem 1940 roku, władza radziecka dbająca o lud pracujący, otworzyła w Telechanach drugi sklep. Wykorzystano do tego celu przedwojenny sklep spółdzielczy, zamknięty jeszcze przed przyjściem Bolszewików. Prowadzący go Niemiec pan Szneke, po wybuchu wojny wyjechał z miasteczka wraz z rodziną. Od tego czasu, drzwi sklepu pozostawały zamknięte na wielką kłódkę.

Otwarcie w Telechanach drugiej „ławki”, nie poprawiło zbyt lichego zaopatrzenia. Takie podstawowe towary, jak sól czy nafta, nie zawsze były do kupienia w wystarczającej ilości. Nawet zapalki, których fabryka znajdowała się zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów w Pińsku, nie zawsze były dowożone na czas.

Wypiekane przed wojną przez Gitelmana wspaniałe chleby i białe pieczywa, przepadły z pojawieniem się w Telechanach bolszewików. Choć

upaństwowiony młyn Pusłowskiego pracował nadal, wyrabiana w nim teraz mąka była dostarczana do piekarni nieregularnie. Po czarny chleb często z zakalcem, tworzyły się nieraz kolejki. W ogóle, przestało się mówić „idę do sklepu”. Mówiło się teraz „idę w oczieriedź”, czyli kolejkę.

Kolejkowym bohaterem Telechan, rychło stał się sprzedawca w „ławce” po sklepie spółdzielczym. Był to człowiek przyjezdny z Rosji. Właściwie nikt nie wiedział, jakie ma on nazwisko. Znany był powszechnie z imienia Miśchał, po rosyjsku zdrobniale Misza.

Otóż ten Misza, ustanowił dziwaczny sposób obsługiwanie swoich klientów. Ludzi spragnionych dokonania jakiegoś zakupu, bez względu na panującą pogodę do sklepu nie wpuszczał. Obsługiwał ich przez otwarte sklepowe okno. Surowo przy tym przestrzegał, aby kupujący nie kłębili się pod nim, lecz stali w karnej kolejce, „oczieriedi”. Dyscyplinę w kolejce Misza utrzymywał za pomocą groźnych warknięć na niesfornych, że pogoni „iz oczieriedi won”, albo w ogóle „zakrojet okno”. Sterroryzowane tak telechańskie babiny stały więc pokornie, cichcem przeklinając Miszę i jego porządki.

Ten wzorowy porządek w „oczieriedi”, nie obowiązywał jednak pobratymców Miszy, czyli przyjezdnych z głębi Rosji. Taka radziecka „graždanka”, czyli obywatelka, bezceremonialnie przepychała się do okna z okrzykiem „Miszaaa”!

Misza pojawiał się w oknie, brał torbę czy koszyk i znikał w głębi sklepu. Po chwili wracał z zamówionym towarem, inkasując pieniądze. Zdarzało się często, że „graždanka” kupowała towar, którego dla ludzi z kolejki „dawno użie nie chwatiło”, dawno już zabrakło.

Przy ciągłym niedoborze towarów, w obu „ławkach” nigdy nie brakowało tylko karmelków i towarów luksusowych. Składały się na nie okrągłe wyszywane czapeczki, jakie noszą mężczyźni w Azji Środkowej, zwane krymkami, albo tiupiejkami. Drugim towarem zbytku były drewniane łyżki zdobione rzeźbą, malunkami i polakierowane.

Towarzysze przyjezdni z głębi Rosji nadal zapewniali miejscowych, że trudności w zaopatrzeniu są chwilowe. Skoro u nich tam daleko wszystkiego jest pełno, to i do Telechan ten dobrobyt dojdzie. Gdyby nie wroga socjalizmowi kontrrewolucja działająca ze swoich kryjówek, to już wszystkiego byłoby „po ławkam poño”.

To przez wrogów ludu, nikt w Telechanach nie wyrobił jeszcze stachanowskiej normy 500 procent. To przez wrogów pracującego ludu, kołchozowe krowy nie dają jeszcze 50 litrów mleka z udoju, a pole nie rodzi 200 pudów żyta z hektara.

Ludzie zmuszeni do słuchania tych bredni zastanawiali się, do jakiego stopnia uprawiana powszechnie obłędna propaganda może wyprać do czystego ludzkie umysły. Nikt jednak nie ośmielił się zaprotestować przeciwko tym głoszonym bredniom. Zmora NKWD wisiała nad wszystkimi.

* * *

Dobiegł końca rok 1940,znaczony enkawudowskim terrorem i biedą każdego dnia, bez widoków na poprawę. Bolszewicka socjeta spotkanie Nowego Roku, obchodziła uroczyście. W dawnym domu ludowym, a teraz domu kultury, odbył się wielki, noworoczny bal. Pito i tańczono do białego dnia.

Zaraz po Nowym Roku, na terenach zajętych przez bolszewików rozpowszechniła się opowiadana cichaczem anegdota. Otóż na noworoczny bal, przyszedł sowiecki dygnitarz z żoną, oboje przyjezdni z głębi Rosji. Od początku oboje czuli się nieswojo, gdyż wielu noworocznych balowiczów, natrętnie przyglądało się żonie dygnitarza. Ten poirytowany tym szczególnym zainteresowaniem, zwrócił się wreszcie do jednego z uczestników balu, miejscowego aktywisty.

– Towarzyszu, czym moja żona tak zaimponowała zebranym tutaj towarzyszom, że nie spuszczają z niej oczu?

– Wy towarzyszu naczelniku, zabierzcie stąd swoją żonę jak najprędzej. Przecież ona przyszła na bal nie w sukni, ale w nocnej koronkowej koszuli!

Nie trzeba dodawać, że ta nieszczęsna koronkowa koszula zanim trafiła do rąk towarzyszki dygnitarzowej, należała do jakiejś bogatej „burżujki” wywiezionej na Sybir.

Mieszkańcy każdej miejscowości napawając się złośliwą satysfakcją z tego żalosnego zdarzenia twierdzili, że miało ono miejsce właśnie u nich...

ROZDZIAŁ 8

Wiosna 1941 roku długo zmagala się z niechętnie ustępującą mroźną zimą. Jednak grzejące coraz mocniej słońko, dokonało swego. Resztki śniegu splukały wiosenne deszcze i przyroda ożyła. Po krótkiej bujnej wiośnie, nastąpiło pogodne i gorące lato. Ciepły wiatr niosący od ługów zapach młodych traw i ziół, świeżość wody na kaskadzie śluzy kanału Ogińskiego i rozgwar ptaków, to wszystko nie przyćmiło u mieszkańców Telechan niepokoju i poczucia tymczasowości. Resztki polskiej ludności, a także ideologicznie niepewni obywatele innych nacji, każdej kolejnej nocy spodziewać się mogli aresztowania, albo wywózki w nieznane.

Ludzie żyjąc w warunkach stworzonych przez bolszewicką władzę, nie dawali wiary obietnicom nadejścia powszechnego dobrobytu. Borykając się z ciągłym niedostatkiem, żyli w cieniu niepewności i rezygnacji, co przyniesie następny dzień.

I oto nastał dzień, w którym wydarzyło się coś niewyobrażalnego. Hitlerowskie Niemcy, będące zgodnie ze słowami towarzysza Stalina jego najlepszymi przyjaciółmi, napadli znienacka na ZSRR!

W dniu tym, 22 czerwca 1941 roku, w Telechanach „zagotowało się”. Mówiono o powszechnej mobilizacji mężczyzn. Ludzie gorączkowo wykupowali z obu „magazynów” wszystkie dostępne towary.

Na ulice wyroili się enkawudziści i milicjanci. Szwendali się po wszystkich zakamarkach, wyraźnie za czymś węszyli. Ludzie spodziewali się najgorszego.

Upłynął trwożny dzień, nastąpiła noc. Noc, w którą załomotać mógł w drzwi but enkawudzisty. A to mogło oznaczać aresztowanie, wywózkę, lub powołanie do armii.

Gdzieś około północy, w istocie ktoś zaczął walić w drzwi. A więc stało się to najgorsze. Rodzice zerwali się z łóżek, mama poszła otworzyć. Ale do drzwi dobijał się tylko milicjant Parczuk, miejscowy człowiek. Przyniósł dla ojca kartę mobilizacyjną do Czerwonej Armii. Rano na godzinę szóstą, musi zgłosić się do Wojenkomatu.

Oczywiście, że tej nocy nikt z nas już nie zasnął. Mama przygotowywała ojcu jakieś rzeczy do zabrania ze sobą. Popłakiwała przy tym cichutko. Be-kiem uciszanym przez mamę, wtórowała jej siostra Mundzia. Ja i brat siorba-liśmy nosami, które co rusz napełniały się spływającymi do nich łzami.

Ojciec pocieszał nas jak mógł, ale brakowało mu argumentów. Złościł się, że nie może pójść na strych, włączyć radia i posłuchać Londynu, ażeby dowiedzieć się, jaka rzeczywiście jest sytuacja. Uniemożliwiała to drobnostka, o tej porze nie było prądu. W niepewności i domysłach upłynęła reszta krótkiej, letniej nocy.

Poranne słońce, czerwone i zaspane wisiało jeszcze nisko nad horyzontem, kiedy całą rodziną przy akompaniamencie płaczu, odprowadziliśmy ojca do furtki. Nikt z nas nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczymy.

Kiedy sylwetka ojca zniknęła za zakrętem ulicy Kościelnej, cała nasza pochlipująca czwórka, bez słowa udała się do domu wuja Stefana. Tam okazało się, że wuj z tej branki do Czerwonej Armii jakoś ocalał. Widocznie uznano go za zbyt starego.

Na wieść o tym, co nas spotkało, ciotka Mania zamiast podtrzymać mamę na duchu, dostała spazmów. Tym samym stała się centralnym obiektem zainteresowania naszej mamy i Mureczki. Obie bowiem rzuciły się do cucenia ciotki, która przed atakiem ułożyła się wygodnie na kanapie. Natomiast wuj nie zwracając w ogóle uwagi na ciotkę, bez słowa zgarnął naszą trójkę dzieci i wypchnął delikatnie do drugiego pokoju. Tam pocieszał nas, że z całą pewnością wszystko skończy się dobrze i tata powróci zdrowy i cały.

Nie miałem pojęcia, że wuj Stefan potrafi mówić takim ciepłym głosem. Następnie polecił Mureczce uwolnionej już z obowiązku ratowania swojej mamusi, ażeby dała nam coś do jedzenia i miała na wszystko baczenie, bo on wychodzi do miasta. Może czegoś się dowie o panującej sytuacji. Perswazuje wszystkich trzech kobiet, że to może być niebezpieczne, skwitował po swoim tylko machnięciem ręki.

W czas jakiś potem wrócił, przynosząc parę wiadomości. Na wstępie powiedział, że coś go tknęło i zajrzał na nasze podwórze. Tam stwierdził, że zostawiliśmy dom otwarty na oścież. Wuj wiedział gdzie znaleźć klucze i wszystko pozamykał.

Będąc już w mieście stwierdził, że gazet dzisiaj w ogóle nie dostarczono. Jedynie z ulicznego megafonu wiszącego na słupie przy siedzibie partii, wysłuchał komunikatu z Moskwy. Usłyszał, że niezwyciężona Czerwona Armia lada moment zmiecie zbrodnicze niemieckie wojska z powierzchni radzieckiej ziemi. Dowodem na to jest fakt, że twierdza w Brześciu broni się dzielnie, chociaż pierwsza padła ofiarą niemieckiej napaści. Poza tym, nie podano żadnych konkretnych wiadomości.

Wuja ogromnie irytował fakt, że w ciągu dnia elektrownia nie pracuje. Nie ma prądu i nasze radio na strychu jest nieużytecznym rupieciem. Mówił, że chyba pierwszy raz w życiu tak niecierpliwie czeka nadejścia wieczoru.

Na bezczynności, urywkowych rozmowach i bez posiłków, dzień minął nam w domu wujostwa. Prowadzone przez dorosłych rozmowy, cały czas krążyły wokół wojny, ale nie trzymały się kupy. Ten nastrój udzielił się także nam dzieciom. Żadne z nas nie miało nawet ochoty wyjść na podwórze.

Po zachodzie słońca jak tylko włączono prąd, wuj natychmiast udał się na nasz strych posłuchać radia. Po jakimś czasie powrócił z humorem zepsutym jak mówił, do dna.

– Radio w Londynie podaje – mówił wuj – że Niemcy uderzyli na całej długości wspólnej z Sowietami granicy. Sowietci całkowicie zaskoczeni, nie stawiają żadnego oporu. Niemcy napotkawszy po drodze sowieckie jednost-

ki, w marszu rozbijają je w puch. Niemieckie samoloty tak samo jak w trzydziestym dziewiątym roku, bombardują i ostrzeliwują cywilów. Londyn potwierdził wiadomość podaną przez Moskwę, że twierdza w Brześciu wciąż się broni.

– Boże, Boże – kobiety kwitowały półgłosem wujowe wiadomości.

– Staszku, gdzie ty jesteś teraz, co się z tobą dzieje – mama zanosła się płaczem.

Mureczka przytuliła ją do siebie, a zza jej okularów popłynęły łzy.

– Ja już teraz nie wiem - wybuchnęła ciotka Mania - kto jest gorszym szatanem, Stalin, czy Hitler? Jeden morduje niewinnych ludzi w kazamatach, drugi bombami...

– Słuchałem także Moskwy – mówił wuj dalej – tam od rana nie zmienili piosenki. Nie ma żadnych wiadomości z frontu, tylko spiker moskiewski Lewitan na okrągło bębni swoim grobowo uroczystym głosem o rychłym, pełnym chwały zwycięstwie nad Niemcami. No i że każdy radziecki obywatel, gotów jest oddać za ojczyznę życie.

– Szczególnie ten, którego niewinnie aresztowało enkawude – wtrąciła ciotka.

– Tutaj masz rację – ku mojemu zdumieniu wuj poparł ciotkę – a co dotyczy się walk, to jedynie od czasu do czasu chwalą się bronioną w Brześciu twierdzą, jakby wyłącznie tam toczyła się wojna.

Na świecie było już zupełnie ciemno, kiedy wuj Stefan ponownie wybrał się na nasz strych, aby posłuchać radia. Chwilę później usłyszeliśmy z niepokojem, że wraca i to nie sam. W otwartych drzwiach stanął wuj, w towarzystwie naszego ojca. Oba powitał niepohamowany, radosny krzyk, wydany przez wszystkie gardła.

Ojciec był niesamowicie zmęczony, jego ubranie było brudne, pokryte kurzem. Okazało się, że rano przed Wojenkomatem zebrała się duża grupa zmobilizowanych w nocy mężczyzn. Tam jakiś oficer polityruk oświadczył im, że wchodzi w skład obywatelskiej obrony Rejonu i podlegają wojennemu prawu. To nakłada na nich obowiązek obrony ojczyźnej ziemi, nawet za cenę swojego życia.

Po sprawdzeniu listy obecności, pomiędzy „ochotników” rozdano kilkanaście starych, ćwiczebnych karabinów. Następnie całą grupę pod opieką tegoż polityruka i kilku podoficerów, wyprowadzono czwórkami na leśną porębę przy drodze do Świętej Woli. Tam w skwarze nieruchomego w sosnowym lesie powietrza, cały dzień bez wody do picia i żadnego posiłku, ćwiczone musztrę i uczono strzelania do nieprzyjaciela bez użycia amunicji. Najbardziej męczące były pozorowane ataki na nieprzyjaciela w walce na „szytki”, czyli na bagnety.

Podczas krótkich przerw w tych zajęciach, odbywały się pogadanki prowadzone przez polityruka. W każdej pogadance mówił wyłącznie o tym, że Czerwona Armia jest niezwyciężona. Ma najlepsze uzbrojenie, a za socjalistyczną ojczyznę każdy radziecki żołnierz gotów jest z radością oddać życie. Natomiast

wojska niemieckie są źle uzbrojone i zdemoralizowane. Za kilka dni, Hitler będzie błagał towarzysza Stalina o darowanie mu życia na kolanach!

Słońce zaszło już za horyzont, kiedy na polanę przyjechał rowerem enkawudzista. Groźnym tonem przypomniawszy, że chociaż obecni tutaj „tawariszczi” nie mają mundurów Czerwonej Armii, jako obrońcy Związku Radzieckiego podlegają wojennemu prawu. Za jego naruszenie, idzie się pod polowy sąd. Gdyby ktoś odważył się jutro rano nie stawić do Wojenkomatu, zostanie uznany za dezterera i rozstrzelany. Po tak miłym pożegnaniu, ludzi zwolniono na noc do domów.

Tę historię ojciec opowiedział jeszcze u wujostwa. Odmówił jakiegokolwiek posiłku, tylko popijał gorącą herbatę, którą przygotowała Mureczka.

Kiedy wracaliśmy od wujostwa przez ogrody do domu, ojciec powłóczył nogami, jak zgrzybiały starzec. Dotarłszy na miejsce, zrzucił jedynie wierzchnią odzież, po czym zwałił się na kanapę i zasnął. Mama przykryła go ple-dem, a nam nie wspomniawszy nawet o obowiązku mycia, kazała natychmiast iść do łóżek. Zasnąłem nie doczekawszy się przyjścia mamy, ale ona chyba pozostała na noc przy ojcu.

Jeszcze przed wschodem słońca, całą naszą rodzinę postawił na nogi narastający warkot silników. Wszyscy podeszliśmy do okien, wychodzących na ulicę. Na świecie panował dopiero poranny brzask.

Po chwili przez ulicę przewalało się kilka ciężarówek, wyjeżdżających z miasteczka. Załadowane były czubato telechańskimi enkawudzystami, milicjantami, cywilami, ich babami, dziećmi i tobołami. W tę stronę, to ciężarówki mogły jechać tylko do Hancewicz, a więc do kolejowej stacji. Czyżby to była ucieczka przed Niemcami w tak gwałtowny, haniebny sposób?

Zanim rodzice ustalili, co zrobić w tej sytuacji z wezwaniem ojca do Wojenkomatu, zanim na dobre wstało słońce, przyszedł do nas pan Chomienia. On także miał wezwanie do Wojenkomatu, które jak mówił, można już spokojnie wrzucić do ognia. Samochodów z uciekinierami nie widział, ale idąc do nas zobaczył, jak w pustym budynku siedziby NKWD, miejscowe żuliki demolują meble, wybijają szyby w oknach i wyrzucają przez nie jakieś papiery. Zauważył też, że zerwane z budynku sowieckie godło leżało na środku ulicy.

Pan Chomienia podzielił się z nami także wiadomościami o wojnie. Że Niemcy wypróbowaną w 1939 roku metodą, rozpoczęli działania wojenne bez wypowiedzenia, na całej linii granicy z Sowietami. Że podobnie jak wówczas, lotnictwo niemieckie ostrzeliwuje i bombarduje wszystko, co porusza się po ziemi. Wczoraj broniła się jeszcze twierdza w Brześciu, ale czy już nie padła?

Więcej aktualnych wiadomości od przekazanych przez pana Chomienię, znaliśmy już od wczorajszego wieczoru, kiedy wysłuchał ich w radiu wuj Stefan. Ale tego powiedzieć nie można było. Oznaczałoby to przyznanie się do posiadania radia. Pana Chomieni rodzice także nie pytali, skąd ma te wiadomości. Co prawda, był on naszym dobrym znajomym, ale czasy były takie...

Tak więc w dwa dni po wybuchu wojny, w Telechanach przestała istnieć radziecka władza i radzieckie urzędy. W panicznej ucieczce, NKWD i milicja porzuciły większość swoich archiwów. Po ich rozbiciu, do rąk ludzi trafiły wśród innych dokumentów także wykazy, kto jeszcze i kiedy był przeznaczony do aresztowania i wywózki.

Jeszcze w tym samym dniu, moi rodzice dowiedzieli się o niesłychanie szczęśliwym zbiegu wydarzeń. Otóż aresztowanie i wywózka naszej rodziny, została kiedyś tam zaplanowana w NKWD na tę noc, w którą Bolszewicy z Telechan uciekli.

Wiadomość ta byłaby wręcz niewiarygodna, gdyby nie pochodziła od ciotki Katarzyny. Przybiegła z nią do nas natychmiast po tym, jak ktoś z jej znajomych przysięgając powiedział, że te dokumenty widział na własne oczy. Na tym wykazie osób przeznaczonych do aresztowania i wywózki, znajdowała się również nasza rodzina. Data planowanego aresztowania była właśnie taka...

Znajomy ciotki widział także w jednym z protokołów nazwisko jej męża, aresztowanego ponad rok temu. Powodem aresztowania było uznanie go, jako byłego skarbnika gminy za osobę szczególnie niebezpieczną dla radzieckiego ustroju.

Niebawem wiadomość o planowanej dacie wywózki naszej rodziny, przekazało nam jeszcze kilka innych osób.

Już pierwszego dnia bez żadnej władzy w miasteczku, przedsiębiorczy ludek z Telechan i okolicznych wsi rozbił oba posowieckie sklepy i magazyny z towarami. Grabiono stamtąd wszystko to, co zawierały. Wynoszono sól, śledzie, naftę, zapaliki, perkale. Całą noc, po drewnianym chodniku wybudowanym przez radziecką władzę wzdłuż ulicy Kościelnej, tupotały bose nogi Poleszuków taszczących magazynowe dobra. Niebawem, oba magazyny zaświeciły pustkami.

To jednak nie było końcem zła, że nie będzie skąd zdobyć szczypty soli, kapki nafty, zapalek. Przecież nikt nie wiedział, co stanie się, kiedy przyjdą Niemcy.

ROZDZIAŁ 9

Niemcy zjawili się niespodziewanie w Telechanach następnego dnia. Od strony Świętej Woli, przyjechały trzy niewielkie tankietki. Były pomalowane w trójkolorowe zygzaki, a na ich bocznych ścianach widniały duże, czarne krzyże. Pojazdy zatrzymały się na ulicy nieopodal cerkwi i z ich wnętrz powychodzili żołnierze w czarnych mundurach, o krótkich do bioder kurtkach. Nie mieli ze sobą innej broni, oprócz zwisających u pasa kabur z pistoletami. Zachowywali się swobodnie, nie okazywali żadnego niepokoju w tym nowym dla siebie otoczeniu. Nie zwracali uwagi na cwałujących tu i ówdzie po ulicy rabusiów, taszczących resztki magazynowych dóbr.

Jeden z Niemców odrobinę bełkotał po rosyjsku, a ktoś z miejscowych ludzi, po niemiecku. Niebawem było wiadomo, że Niemcy jadą do Pińska, a mają zbyt mało paliwa. Zatrzymali się tutaj z potrzebą zatankowania pojazdów.

Ludzie bezradnie rozkładali ręce. Benzyna w Telechanach? Niemcy nie dawali za wygraną, stawali się coraz bardziej natarczywi. Zaczęli wrzeszczeć na ludzi, zażądali natychmiastowego sprowadzenia burmistrza, pootwierali kabury z pistoletami.

Oklapnęli nieco dowiedziawszy się, że burmistrz będący Bolszewikiem, wraz z innymi uciekł z Telechan, a oni są tutaj pierwszymi niemieckimi żołnierzami. Po cichej naradzie, powrócili do tankietek i odjechali w kierunku Pińska.

Jeszcze wieczorem tegoż dnia, Telechany trzęsły się od sensacji wywołanej finałem pojawienia się Niemców. Pancerniacy ci po opuszczeniu miasteczka i ujechaniu kilku kilometrów, zatrzymali się i przetankowali resztki paliwa z dwóch tankietek do trzeciej. Potem nieużyteczne już pojazdy zniszczyli, wrzucając do ich wnętrz granaty. Sami upchnąwszy się w trzecim, ruszyli w drogę do Pińska.

Niestety, nie dotarli tam. Przejeżdżając pomiędzy wsiami Kraglewicze i Ozarycze przez potężny bór, niespodziewanie zostali zaatakowani przez ukrywający się w nim, rozbitą gdzieś sowiecki oddział wojska. Butni Niemcy w poczuciu pełnego bezpieczeństwa i prawie unieruchomieni ilością trzech załóg w jednym pojeździe, okazali się bezbronni. Obrzuceni granatami przez krasnoarmiejców, zginęli na miejscu.

W ciągu następnych dni, Niemcy w Telechanach nie pokazali się. Tyle, że dwukrotnie nad miasteczkiem pojawiły się ich samoloty. Latały tak nisko, że kiedy robiły skrety, w kabinach wyraźnie było widać czarne sylwetki pilotów.

W międzyczasie, poprzez przyjezdnych docierały nowe wiadomości o wojnie. Potwierdzało się wszystko to, co podawało londyńskie radio. Niem-

cy nieomal bez przeszkody prą do przodu, po drodze bombardując miasta, pociągi i wszystko, co porusza się na drogach. Wojska sowieckie w beładzie cofają się, ponosząc w ludziach niesamowicie ciężkie straty. Z relacji przyjezdnych, ale głównie z londyńskich radiowych wiadomości wynikało, że Telechany znajdują się już daleko za frontem, na terenie dawno zajętym przez Niemców.

Dotarła również wiadomość, że niemieckie lotnictwo zbombardowało sowieckich uciekinierów z Telechan, jadących samochodami do Hancewicz. Było dużo ofiar, głównie pośród kobiet i dzieci. I w ogóle, podobno ginie dużo cywilów.

Ciotka Mania mówiła, że wciąż trudno jej uwierzyć w te wiadomości. Przecież Niemcy to naród kulturalny i nawet wobec takiej zarazy jak Bolszewicy, nie mogliby tak postępować. Przycichła trochę, jak sama wdrapała się na nasz strych i posłuchiwała przez radio wiadomości z Londynu. Tam dużo mówiono o strzelaniu do cywilów.

A na ulice Telechan wypełzło teraz nowe zło w postaci miejscowego i okolicznego motłochu, który rozpoczął grabież żydowskiego mienia. Rabunek rozpoczął się nieomal natychmiast, po ogłoszeniu obu sklepów i magazynu.

Do lumpenproletariatu, dołączyli także niekiedy poczciwi polescy ludkowie z okolicznych wsi. Poczucie bezkarności spowodowane brakiem jakiegokolwiek władzy, obudziło w nich uśpioną od lat nienawiść do żydowskiej ludności, jaką wszczepiano w dusze ich przodków przez całe wieki.

Łupieżcy wchodzili do żydowskich domów z siekierami i nożami w rękach, patrosząc zawartość szaf i kufrów. Zabierali wszystko, co wpadło im w łapy. Na ulicach widać było młodych i starych, chłopów i baby, a wszyscy taszczyący toboły z ubraniami, futrami, dywanami. Widziałem jakieś babsko, dźwigające w płachcie na plecach ogromną palmę w wielkiej drewnianej donicy. Poszły w ruch także gospodarskie sprzęty, a nawet meble. Ludzie dziwili się, gdzie oni to wszystko zdołają pomieścić.

Gremplarka Chaja próbowała przeciwstawić się rabusiom, pobito ją niechętnie. Jej piskliwy wrzask niósł się nad dachami domów.

– Aj waj, aj waj, gewaaa! – Rozdzierało ludzkie uszy.

Parę znajomych osób mówiło rodzicom, że w drańskim procederze rabunku żydowskiego mienia, uczestniczy aktywnie kryminalista i nieudaczny bojownik o komunizm, Mikołaj Dziechciaryk. Okazało się teraz, że przedwojenny przymusowy pobyt Mikołajka w towarzystwie profesjonalnych kryminalistów w świętokrzyskim więzieniu, zaowocował rozwinięciem się jego bandyckiego smaczku. Nie interesowały go żydowskie futra, buty czy dywany. Ten odrażający typ znający doskonale miejscowe środowisko, odwiedzał wyłącznie domy zamożnych Żydów. Tam przy pomocy moralnego i fizycznego znęcania się nad nimi wymuszał, aby oddali mu ukryte złoto i dolary.

Natomiast rozpasany motłoch rabował żydowskie mienie nie przebiegając, dom po domu. Poczucie całkowitej bezkarności spowodowało, że nie-

bawem jakieś pozamiejscowe szumowiny zaczęły już węszyć wokół okazałych zabudowań chrześcijańskich.

Przed południem rzeciego dnia tego bandyckiego rozgardiaszu, w Telechanach pojawili się Niemcy. Dwie ciężarówki pomalowane w trójkolorowe wzorki wjechały niespodziewanie od strony Pińska i stanęły na placyku przed kościołem. Spod brezentowych bud samochodów wysypało się około trzydziestu żołnierzy w garnkowatych hełmach i zgniłozielonych mundurach. Na nogach mieli buty, z luźnymi cholewami.

Z kabiny jednego samochodu wysiadł wysoki, chudy oficer. Na głowie miał czapkę z wysoko zadartym nad daszkiem przodem, a na nim szeroko rozrzucił skrzydła dziwny ptak. U pasa na zapadniętym brzuchu, zwisała mu czarna kabura pistoletu. Łydki nóg obciskały długie, lśniące cholewy butów.

Oficer szczekającym głosem wydał jakąś komendę i żołnierze z karabinami w ręku rozbiegli się po uliczkach. Niebawem rozległ się wystrzał karabinowy, potem jeszcze kilka. Rabusie uciekali chyłkiem wzdłuż płotów, przeskakiwali je, kryli się w ludzkich ogrodach. Uciekając, porzucali w popłochu różne zrabowane rzeczy. Na ulicy leżała kanapa, walały się jakieś piernaty, rondle, a nawet niebieski nocnik.

W niecałą godzinę, w Telechanach zapanował spokój. Rabująca ludzi horda gdzieś się zapodziała. Do ciężarówek powoli wracali niemieccy żołnierze. Pozdejmowali hełmy, wycierali spocone twarze.

Wówczas do gromadzących się Niemców, z całego miasteczka zaczęli ścigać Żydzi. Młodzi i starzy, kobiety, a nawet dzieci. Otoczyli żołnierzy szerokim kręgiem. Do chudego oficera podeszła żydowska starszyczna, wręczając mu tacę z chlebem i solą. Widocznie dziękowali za wybawienie od rabusiów, kłaniali się z szacunkiem. Oficer wzięwszy niedbale tacę oddał ją stojącemu obok żołnierzowi, a ten rozejrzawszy się wokół, postawił ją na stopniach ganku najbliższego domu.

Oficer krótko przemówił do zebranych Żydów swoim szczekliwym głosem. Żydzi ze zrozumieniem kiwali głowami, potakiwali. Ojciec mój, który znał język niemiecki, przetłumaczył nam słowa oficera. Otóż, jeżeli Żydzi będą wykonywać dokładnie wszystkie niemieckie rozporządzenia, to będą bezpieczni i włos im z głowy nie spadnie.

Następnie oficer znowu szczeknął jakąś komendę i żołnierze wsiedli do ciężarówek, które odjechały w stronę Pińska.

ROZDZIAŁ 10

Jeszcze tego samego dnia po południu, w Telechanach znowu pojawili się Niemcy. W małym samochodziku amfibii przyjechało kilku oficerów, a w dużym ciężarowym samochodzie, kilkunastu żandarmów. Oba pojazdy również były pomalowane w trójkolorowe esy-floresy.

Dwaj brzuchaci oficerowie po objechaniu amfibią miasteczka, obrali sobie za kwatery część domu pana Pierowskiego. Wprowadzając się tam powiadomili go, że to oni będą tutaj zarządzać gospodarką.

Natomiast żandarmi zajęli budynek niezagospodarowanego jeszcze, wybudowanego tuż przed wojną nowego szpitala. Tam też ulokował się niemiecki komendant Telechan, który jeszcze w tym samym dniu wydał rozkaz rozstrzelania kilku mieszkańców miasteczka i zakopania ich w ziemi tuż za kanałem.

Ofiarami kaźni byli miejscowi ludzie, drobne bolszewickie płotki pracujące w ich partyjnym aparacie. Oznaczało to, że Niemiec ma już miejscowych donosicieli. Ludzie zaczęli przebąkiwać, że widziano kręcącego się obok żandarmów kryminalistę Dziechciaryka, usiłującego kreować się za bolszewickiej władzy na bojownika o komunizm.

Tym dramatycznym wydarzeniem zakończył się tydzień, zapoczątkowany wybuchem niemiecko sowieckiej wojny. Jednak wielu mieszkańców Telechan miało nadzieję, iż mimo świeżo przeżytych okropności, ludziom „nieumoczonym” w jakąkolwiek politykę będzie się żyło pod okupacją niemiecką spokojniej, aniżeli dotychczas pod bolszewicką.

Tej złudnej nadziei, uległ nawet ksiądz Tarnogórski. W niedzielę, następnego dnia po opisanych wydarzeniach, w swoim kazaniu żarliwie dziękował Opatrzności za uwolnienie spod bolszewickiej niewoli i wyrażał głębokie przekonanie, że oto po dniach zamętu nadchodzą lepsze czasy.

Jakże tragicznie mylił się pocziwy kapłan. Już parę dni później, Niemcy dokonali zbiorowego morderstwa na kilkunastu żołnierzach Czerwonej Armii. Byli to rozbitkowie jakiegoś sowieckiego oddziału, ukrywający się w którymś z okolicznych lasów. W czasie tej potyczki z Niemcami, skończyły się im zapasy amunicji. Tak wziętych do niewoli bezbronnym czerwonoarmistów, Niemcy przygnali do miasteczka i rozstrzelali nad brzegiem kanału.

Natomiast niemiecki komendant Telechan, swoje pierwsze oficjalne rozporządzenie wydał następnego dnia po niedzielnej mszy, podczas której ksiądz Tarnogórski wygłosił kazanie przepełnione dziękczynieniem i optymizmem.

Właściwie był to rozkaz wydany żydowskiej ludności miasteczka, że od świtu następnego dnia, muszą oni nosić na prawym przedramieniu żółtą opaskę. Absolutnie wszyscy. Brak jej równoznaczny był z wyrokiem śmierci przez natychmiastowe rozstrzelanie. Żyd, który spotka na ulicy Niemca,

powinien zejść mu z drogi, zdjąć czapkę i nisko uklonąć się. Tak brzmiało pierwsze niemieckie rozporządzenie.

Rodzice moi byli wstrząśnięci takim traktowaniem ludzi. W miasteczku, w którym przecież nie wszyscy byli gorącymi przyjaciółmi Żydów, raczej powszechną była opinia, że takie rozporządzenie jest barbarzyńskie.

Ciotka Mania powiedziała, że wstydzi się swojej dotychczasowej opinii o Niemcach. Do tej pory uważała ich za naród kulturalny. Za Żydami to ona wprowadzie nie przepada, ale jak można tak ludzi upodlać! Teraz dopiero widzi, że Niemcy to są swołócze. Skoro tak postępują, to ona tfu, przeklina ich.

Widocznie jednak ciotczyna klątwa moc miała nijaką, bo nie przeszkadzała absolutnie Niemcom w ich poczynaniach. Komendant Telechan miał dziwnie dobre rozeznanie w miejscowych warunkach. Już po kilku dniach swojego urzędowania, spośród mieszkańców miasteczka wyszukał osoby władające niemieckim językiem. Znaczyło to niezbitcie, że korzysta z usług miejscowych donosicieli.

Z jego rozkazu, młoda kobieta Maria Struniewska władająca dosyć biegle niemieckim językiem, została zatrudniona w żandarmerii jako tłumaczka. Na burmistrza miasteczka, komendant wyznaczył młodego człowieka, dwudziestodwuletniego Jakutowicza. Jego pech polegał na tym, że on również znał dobrze niemiecki język. Jednakże ten burmistrz, był tylko nic nieznającym pionkiem w cieniu komendanta Niemca. Podczas swojego „urzędowania” Jakutowicz czynił wszystko, żeby nikomu nie zaszkodzić.

Utworzone przez Niemców siły porządkowe, stanowiła tak zwana czarna policja. Rekrutowała się ona w zasadzie z miejscowego i okolicznego lumpenproletariatu, ale ku zdumieniu większości ludzi, znalazło się tam również kilku młodych, tak zwanych przyzwoitych mężczyzn. Niemcy wyfasowali policjantom czarne mundury z niebieskimi wypustkami i uzbroili w mauzery.

Kilku spośród policyjnych drabów wywodzących się ze znanych powszechnie miejscowych łotrzyków, stało się postrachem ludności. Poczuvwszy smak bezkarnej władzy, czepiali się ludzi z byle powodu. Z pewnymi siebie pyskami, przy każdej okazji potracali ludzi kolbami karabinów i straszili „puloj w łob.”

Zdarzyło się pewnego razu, że na podwórku jednego z domów ośmioletnia dziewczynka bawiła się czerwoną chustką swojej matki. Przechodzący ulicą dwaj policyjni debile uznali, że nie inaczej, musi to być jakaś komunistka. Wpadli na podwórko i wywlekli przerażone dziecko na ulicę, „szczoby jeju zastrelić”. Na nieszczęście małej, w domu nie było nikogo, kto mógłby ją obronić. Nie wiadomo zresztą, jaki byłby tego skutek.

Nad dziewczynką jednak Bozia czuwała. Ulicą przechodziła akurat kobieta, jakaś przyjaciółka matki jednego z policajów. Okładając ciężkimi „jobami” nadgorliwych półgłówków w czarnych mundurach, wydarła z ich łap przerażone dziecko. Krzyku zarówno małej jak i jej oswobodzicielki było na całą ulicę tyle, że ze wszystkich okolicznych domów powybiegali ludzie. Na ich oczach obie uzbrojone kreatury zmyły się jak niepyszne, ścigane przekleństwami rozjuszonych kobiety.

Szczególnym draństwem wśród policjantów odznaczał się pewien telechański kryminalista, Wiktorowicz. Nazwisko bandziora znało w miasteczku niewielu, powszechnie znany był ze swojego imienia Żorż, czyli Jerzy. Ten typ nawet przez swoich kolegów nazywany był Gadem. Wiktorowicz ubolewał niejednokrotnie przed kamratami, że Bolszewicy w 1939 roku zgładzili gdzieś policjanta, pana Patka. Mówił, że „joho żywjom by rizau, da posypywau solju”, żywcem by go kroił i posypywał solą. Patek jako stróż porządku publicznego, nieraz złoczyńcy Żorżowi zalał sadła za skórę.

Teraz Wiktorowicz cały swój sadyzm wylewał głównie na Żydów. Pewnego razu zaczepił na ulicy przechodzącą Żydówkę, która według niego za późno zeszła mu z chodnika na jezdnię. Uderzył ją pięścią w twarz, a gdy kobieta upadła, bił ją dalej sztachetą wyrwaną z płotu. Potem kazał językiem zlizać kurz ze swoich butów.

Zadowolony ze swojego wyczynu odszedł następnie kilkadziesiąt kroków i zatrzymawszy się obserwował, czy ktoś nie zechce skatowanej kobiecie przyjść z pomocą. W krótkim czasie Gad zastrzelił na ulicy kilku Żydów, którzy ośmielili się przeciwstawić jego samowoli.

W ogóle, Niemcy w Telechanach stworzyli Żydom istne piekło. Naznaczonych żółtymi opaskami ludzi, Niemcy używali do najcięższych robót, czasami zupełnie bezsensownych. Okrucieństwem było na przykład wydane polecenie, aby niebrukowaną ulicę przy której mieściła się żandarmeria, wysypać grubą warstwą żółtego piasku. Do jego transportu służyły specjalnie w tym celu porobione wielkie skrzynie z uchwytami do noszenia. Nadzorujący pracę Żydów czarni policjanci dopilnowywali, aby skrzynie ładowano piaskiem do pełna. Ten potworny ciężar dźwigało czterech mężczyzn. Było to ponad siły normalnych ludzi. Każdy upadek czy zwolnienie tempa marszu z ciężarem dla złapania oddechu, były karane biciem. Bito kolbami karabinów i kijami.

Niekiedy na miejsce tych robót przychodzili żandarmi, na ogół młodzi ludzie. Stali na szeroko rozstawionych nogach, głośno rozmawiali ze sobą, śmiali się. Czasem fotografowali rozgrywające się przed nimi sceny. Wówczas nadzorujący Żydów policjanci okazywali szczególną nadgorliwość, popędzając ich i bijąc.

Żydów zmuszano także do wykonywania robót nie tylko ciężkich, ale również głęboko upokarzających. I tak na przykład, kazano im z wychodka stojącego przy budynku, w którym za Bolszewików mieściło się NKWD, wybrać gołymi rękoma fekalia. W celu wykonania tej czynności, siepacze w czarnych mundurach kijami zapędzili dwóch Żydów do kloacznego dołu. Następnie przyglądając się nieszczęśnikom ugrzęźniętym w odchodach po enkawudzistach z bezpiecznej odległości, „szczob nam bolszewickim honom ne smerdiło”, zaśmiewali się do łez.

Natomiast niemieccy żandarmi i administratorzy zadekowani w Telechanach, zaczęli popadać w stan błęgiego spokoju, porastając w tłuszcz. Oddali się wszystkim dostępnym przyjemnościom życia, suto podlewając je samogonem.

Bez wątpienia, pragnieniem ich było spokojne dotrwanie tutaj, do szybkiego końca zwycięskiej dla nich wojny.

ROZDZIAŁ 11

Leżąc w ciepłej pościeli po rannym wybudzeniu, słuchałem jak mama z przejęciem opowiada ojcu swój sen. Opowiadała go z takimi szczegółami, jakby to wydarzyło się w rzeczywistości.

Senne widzenie umiejscowione było w Telechanach, a nawet dotyczyło naszej ulicy. Szła mama ulicą Kościelną w kierunku stacji kolejowej, ale zamiast normalnej drogi, były jakieś wertepy. W dołach z brudną wodą pływały jakieś łachmany. Panował dziwny półmrok, napawający strachem. Kiedy mama doszła wreszcie do stacji kolejowej, zobaczyła na pustkowiu od strony lasu, wznoszące się wysokie pagórki świeżego piachu. Były dobrze widoczne na tle nienaturalnie ciemnego nieba, na którym zamiast księżyca, świeciła zimnym światłem ogromna, sześcioramienna gwiazda Dawida.

Mama obudziła się złana potem, w skroniach czuła oszalałe tętno. Upłynęło sporo czasu, zanim doszła do siebie.

Ten niesamowity sen musiał zrobić na mamie niezwykle wrażenie, bo opowiadała go wielu osobom w ciągu kilku dni. Wszystkie one uznawały sen za niezwykle, groźny, mogący być zwiastunem czegoś strasznego.

Stare wdowy, panie Wasiljewne słuchając opowiadania mamy, żegnały się pobożnie szerokim znakiem krzyża. Po wysłuchaniu stwierdziły, że na Telechany niewątpliwie spadnie jakaś boska kara. Najbardziej niepokoiła ich ta gwiazda Dawida.

– Gospodi Boże pomiluj, Panie Boże zlituj się – szeptała to jedna, to druga staruszka.

Lecz mijał dzień po dniu i w miasteczku nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Ludzie jak mrówki dreptali wokół codziennych trosk, przewyciężając trudności, jakie niosła okupacyjna rzeczywistość.

Tak minęła reszta lipca.. Zaraz na początku sierpnia, w Telechanach pojawił się nagle duży, kawaleryjski oddział wojsk SS. Towarzyszyło mu kilkanaście konnych wozów taborowych.

Oddział po wjechaniu do miasteczka od strony Pińska, z marszu skręcił w uliczkę wiodącą nad kanał Ogińskiego. Tam zaczął rozlokowywać się na bulwarze i pobliskiej łące. Jednocześnie, wszystkie dojazdowe drogi do miasteczka zostały szczelnie obstawione niemieckimi posterunkami.

W jakąś godzinę po przybyciu wojska do Telechan, na ulicy Kościelnej zjawiono się około dziesięciu konnych jeźdźców. Byli to oficerowie i podoficerowie formacji SS. Wśród nich wyróżniał się starszy, tęgi szpakowaty oficer. Ojciec powiedział, że jest to pułkownik. Jechali powoli, obserwując bacznie mijane domostwa. Na wysokości naszego domu jadący zatrzymali się i pułkownik wydał jednemu z oficerów jakieś polecenie. Ten zsiadł z konia,

otworzył furtkę i wszedł do ogródka. Rozejrzawszy się uważnie, krokami przemierzył trawnik, na którym wiosną szalało „białe morze” dzwoneczków konwalii. Następnie wrócił do furtki, wyprężył się na baczność i pokazując pułkownikowi trawnik, zapytał:

– Hier, tutaj?

– So, sehr gut – tak, bardzo dobrze – z wyraźnym zadowoleniem w głosie powiedział pułkownik. Oficer dosiadł konia, jeźdźcy zawrócili i odjechali.

W niecałą godzinę później, na ulicy przed domem zatrzymał się taborowy wóz. W mgnieniu oka na trawniku wyrósł duży szarozielony namiot, a obok drugi, przy tamtym malutki. Pojawił się też niebawem pułkownik z adiutantem. Obaj zachowywali się tak, jakby przebywali tutaj od dawna. Adiutant usługując pułkownikowi poruszał się szybko i wydawało się, że bezszelestnie. Każdy jego ruch był celowy, zamykał jakąś wykonywaną czynność.

Natomiast pułkownik, popołudnie tego dnia wyraźnie przeznaczył na głęboki odpoczynek. Oficerski mundur został zamieniony na szamerowaną złotym sznurem brązową bonzurkę, a długie lśniące buty na bambosze w kratkę. Esesman siedział rozparty w wiklinowym fotelu, zabranym przez adiutanta bez pytania z werandy. Palił cygara i przeglądał jakieś papiery, robiąc czasem notatki.

Po południu zjadł obiad przygotowany przez adiutanta na prymusie, po czym udał się do namiotu. Był tam ponad godzinę, widocznie uciął sobie poobiednią drzemkę. Później już do wieczora przesiedział w fotelu, czytając coś i notując.

Jeszcze przed wieczorem, po Telechanach rozniosła się wieść o pewnym wręcz sensacyjnym wydarzeniu. Otóż po południu, ulicami miasteczka spacerował sobie niemiecki oficer SS. Był to niemłody już człowiek, w stopniu majora. Zachowywał się dziwnie. Kilkakrotnie przemierzał wolnym krokiem te same ulice, zatrzymywał się i rozglądał wokół, jakby szukając czegoś. Dużo czasu poświęcił na gruntowne oględziny cerkwi, obchodząc ją ze wszystkich stron i robiąc zdjęcia. Fotografował także kościół i niektóre domy.

Spacerując jedną z ulic, nagle stanął i zaczął pilnie przyglądać się idącej z naprzeciwka kobiecie. Była to mieszkanka Telechan, kobieta około czterdziestki. Nazywała się Zinaida Tołściak. Zbliżając się do Niemca, spostrzegła jego wzrok utkwiony w siebie. Zwolniła kroku i niespokojnie rozglądnęła się.

– Zyna? – półgłosem powiedział Niemiec ni to do kobiety, ni to do siebie.

Na dźwięk swojego imienia z ust esesmana, Zina zatrzymała się w pół kroku. Głowa uciekła jej pomiędzy ramiona, dłonie przytuliła do policzków. Teraz ona przewiercała wzrokiem twarz Niemca. Ten stał nieruchomo, nie spuszczając z kobiety oczu.

– Zyna? Zynoszka? – Powtórzył niepewnie.

– Bożesz ty mój, tooo czyżbyyy, to Helmut? – wyrzęziła kobieta.

W esesmana strzelił piorun. Z okrzykiem „ja, ja, ich Helmut”, postąpił kilka kroków do przodu. Chwycił oburącz kobietę za ramiona i lekko nią potrząsając, zasypał potokiem niemieckich słów, rechocząc jednocześnie.

Kobieta usiłowała bezskutecznie wyzwolić się z rąk Niemca, powtarzając „Helmut pusty mene, nu pusty Helmut”... Helmut, puść mnie. Z jej twarzy jednak powoli ustępowały zdumienie i przestach. Opanował się również oficer, cofnął ręce od Ziny.

Spotkanie tych dwojga nie trwało długo. Otoczeni tłumkiem podnieconych gapiów, rozmawiali obcymi dla siebie językami. Ona dukała słowa niemieckie, on rosyjskie. Mieszanie słów uzupełniali gestykulacją.

Niemiec wyraźnie zachęcał kobietę do wspólnego spaceru, przed czym ta wzbraniała się z zakłopotaniem. To też niebawem rozstali się. Zina zostawiła wylewne żegnającego ją Niemca i pośpiesznie odeszła z opuszczoną głową. Major stał nieruchomo z uśmiechem na twarzy i patrzył na oddalającą się kobietę, dopóki ta nie zniknęła w bocznej uliczce.

Nic dziwnego, że spotkanie tych dwojga wywołało taką sensację. Starsi ludzie przypomnieli sobie, że podczas pierwszej światowej wojny, kiedy w Telechanach było niemieckie oficerskie kasyno, Zinajda pracowała w nim jako kelnerka. Starszawy teraz wiekiem major, był wówczas podporucznikiem cesarskiej armii Niemiec i znał Zinę z kasyna. Jakże potrafią skrzyżować się ścieżki ludzkich losów!

ROZDZIAŁ 12

Wczesnym rankiem bezszelestny adiutant ogolił pułkownika, pomógł mu umyć się i ubrać do pełnej gali. Wtedy pułkownik rozparł się w fotelu, zaś adiutant postawił przed nim na rozkładanym stoliczku filiżankę, ze świeżo zaparzoną na prymusie kawą.

Niebawem na ulicy pojawiła się grupa konnych niemieckich jeźdźców. Przed naszym domem oficerowie zsiadli z koni i oddawszy lejce towarzyszącym żołnierzom, zameldowali się pułkownikowi. Ten rozwalony w fotelu nie przerywając picia kawy, wydał zapewne rozkazy wyprężonym na baczność oficerom. Oni zaś po odebraniu jakichś papierów i oddaniu honoru przez podniesienie ręki, odjechali kłusem.

W niecałą godzinę potem, kilku żołnierzy przyprowadziło pięciu Żydów. Była to żydowska starszyna, ludzie zamożni, powszechnie w Telechanach znani i szanowani. Przed wejściem do ogródka, jeden z esesmanów wrzasnął „Mycen ap!” Czapki zdjąć!

W ogródku, żołnierze ustawili ich w szeregu, w sporej odległości od rozpartego w fotelu pułkownika. Ten paląc cygaro, uważnie zlustrował stojących przed nim w ugrzecznionej postawie ludzi, trzymających w rękach nakrycia głowy. Następnie wyjął z teczki jakiś dokument i głośno odczytał jego treść. Żydzi usłyszawszy ją zachnęli się, zaczęli gorączkowo mówić jeden przez drugiego, nerwowo gestykulując.

Ryk pułkownika zagłuszył zgiełk Żydów, którzy gwałtownie zamilkli i odstąpili jeszcze parę kroków do tyłu. Stali zrezygnowani, z opuszczonymi głowami. Któryś z nich próbował jeszcze coś powiedzieć, wystąpił krok do przodu, odchrząknął. Nie zdążył jeszcze powiedzieć pierwszego słowa, kiedy esesman zerwał się z fotela rycząc:

– Schweigen! Du schmutzig Jude! – Milczeć! Ty brudny Żydzie! – Następnie zwrócił się do żołnierzy, machnąwszy pogardliwie ręką w stronę Żydów:

– Vertreiben das Judendreck! – Przepędzić to żydowskie łajno!

– Raus, raus! – krzyczeli esesmani, wypychając Żydów na ulicę i potrącając ich kolbami.

Żydzi tłoczyli się w prześwicie furtki, śpiesznie wybiegając na ulicę. Zakładając na głowy kapelusze, bezładnym tłumkiem oddalali się niemal truchtem.

Niezauważonym przez nikogo świadkiem tej sceny, był mój ojciec. Kiedy zobaczył przez okno, że esesmani przyprowadzili do pułkownika żydowską starszysznę, wyszedł cichutko na werandę. Stamtąd, niewidoczny za zieloną ścianą oplatającą ją winorośli, słyszał każde słowo rozmowy esesmana z Żydami.

Ojciec wzburzony tym wydarzeniem, treść jego natychmiast przekazał mamie. Otóż pułkownik zawezwał do siebie przedstawicieli telechańskich Żydów, aby powiadomić o nałożeniu na nich kontrybucji. Warunki jej były niesamowite. Do zapadnięcia zmroku, każdy żydowski dom miał dostarczyć Niemcom sto kilogramów owsa dla koni i tysiąc dolarów. W razie nie spełnienia warunków kontrybucji, Żydzi mieli ponieść ciężkie represje. Jakie, tego esesman nie powiedział.

Scena, która rozegrała się w naszym ogródku, głęboko rodziców poruszyła.. Ojciec powiedział, że tyle owsa Żydzi nigdy nie zbiorą, ale to żądanie jest śmieszne wobec takiej ilości dolarów, której domaga się Niemiec.

Rodzice rozmawiali o tym czas jakiś, po czym ojciec poszedł z tą wiadomością do wuja Stefana. Moja nienasycona ciekawość, oczywiście poniosła mnie za ojcem. Szedłem za nim ogrodową ścieżką, w bezpiecznej odległości. Zauważył mnie dopiero tuż przy domu wujostwa i tylko westchnął z rezygnacją.

– Tysiąc dolarów! Tysiąc dolarów! To coś około pięciu i pół tysiąca złotych na jeden dom! Toż to majątek. Ten Niemiec chyba oszalał! – Wołał wuj Stefan.

Nigdy nie widziałem wuja tak poirytowanego. On nawet dzikie awantury ciotki Mani na ogół kwitował machnięciem ręki. Teraz twarz i szyja mu poczerwieniały, a oczy zza szkieł okularów nienaturalnie świeciły. Ruchy miał nerwowe, nie swoje.

Stanem wuja zaniepokoiła się nawet ciotka Mania. Słodziutkim głosem zapytała, czy nie podać mu na uspokojenie walerianki. W odpowiedzi, wystarczyło jej samo spojrzenie wuja. Pośpiesznie, niemal na paluszkach wyniosła się do drugiego pokoju.

– Stachu, czy ty aby nie przesłyszałeś się z tymi dolarami? – dociekał jeszcze wuj.

– Mój drogi, eintausend zawsze oznacza jeden tysiąc. Byłem przecież na werandzie, paręnaście kroków od nich – obruszył się ojciec.

– Fakt – powiedział wuj marszcząc czoło – że niedługo po wojnie, Żydzi otrzymali pomoc w dolarach z Ameryki. Ale przecież miasto było w zgłiszczach i oni za te dolary pobudowali nowe domy, dwie synagogi, łaźnię, domy pomocy społecznej... Do tego nie wszyscy te pieniądze dostali. Tylko popatrz Stachu, ile w Telechanach jest żydowskiej nędzy! Popatrz na ich rudery! Ta biedota to nawet nie ma pojęcia, jak dolar wygląda!

Wuj Stefan wiedział o dolarach, jakie Żydzi otrzymali z Ameryki po zakończeniu pierwszej światowej wojny. W tamtych latach, był on w Telechanach jedynym adwokatem, prowadzącym prawniczą kancelarię. To też poprzez nią Żydzi musieli załatwiać wszystkie formalności, związane z uzyskaniem owej pomocy.

Wiadomość o niemożliwej do wykonania kontrybucji, jaką Niemcy nałożyli na Żydów, błyskawicznie rozniosła się po miasteczku.

Cały dzień do późnego wieczoru, żydowska starszyna pod nadzorem niemieckich oficerów, liczyła wyskrobane z najtajniejszych domowych skrytek dolary i ważyła owies. Im bliżej było końca dnia, tym bardziej topniały żydowskie szanse na spełnienie warunków kontrybucji. Żydzi biegali nerwowo od domu do domu, zbierali się w małe grupki, szwargotali półgłosem.

Za to pułkownik był uosobieniem spokoju. Rozparty w fotelu palił cygara i czytał jakieś czasopisma. Dokładnie jak poprzedniego dnia, po południu zjadł przygotowany przez adiutanta obiad, po czym udał się do namiotu na drzemkę. Nad wieczorem siedząc ponownie w fotelu, ćmił swoje cygara i odbierał od esesmanów jakieś meldunki.

Przez cały dzień, po przeciwnej stronie ulicy dyżurowali dwaj Żydzi bez nakryć na głowach, ale z miotłami i szuflami w dłoniach. Do ich obowiązku należało natychmiastowe oczyszczenie ulicy, jeśli napaskudził na niej koń któregoś z esesmanów, przyjeżdżających do pułkownika.

Nadeszła ciepła sierpniowa noc. Gdzieś z centrum miasteczka niewyraźnie dobiegały jakieś dziwne odgłosy. Ni to śpiewu, ni to krzyków. Od czasu do czasu lekki wiaterek przynosił coś, jakby cienką niteczkę muzyki.

Później okazało się, że to niemieccy pijani żołdacy spędzili pod dom kultury grupę Żydów. Tam kazali im wywlec na ulicę fortepian. Jeden z esesmanów grał na nim, a Żydom kazano tańczyć wokół ogniska, w którym płonęły biblioteczne książki. Ta pijacka, barbarzyńska orgia trwała do późnej nocy.

ROZDZIAŁ 13

Dzień wstał pogodny, słoneczny. Od wczesnego ranka, esesmani we dwóch lub trzech, kolejno wchodzili do żydowskich domów, wypędzając stamtąd całe rodziny. Następnie prowadzili je pod eskortą ulicą Kościelną w kierunku stacji kolejowej. Tam gromadzono Żydów w barakach, które przed wojną pełniły rolę kolejowych magazynów. Zdziwając prędko, do niemieckich żołnierzy dołączyły różne szumowiny z miasteczka i okolicznych wsi.

Jeżeli esesmani ograniczali swoje czynności do wyganiania Żydów z domów i prowadzenia do baraków, te męty myszkowały po wszystkich zakamarkach obejść sprawdzając, czy ktoś się nie ukrył. Prócz tego, znęcali się nad prowadzonymi nieszczęśnikami, bijąc ich i kopiąc. Rymarz Misiel Bromberg próbował sprzeciwić się poszturchiwaniom. Wówczas został pobity przez lumpów tak, że nie mógł podnieść się z ziemi. Wtedy esesman przyglądający się spokojnie tej scenie, zastrzelił rymarza. Jego skulone ciało w czarnym chałacie, leżało na ulicy do wieczora. Nie wiadomo, kto kiedy i gdzie go stamtąd zabrał.

W miarę upływu godzin rzezimieszy tak się rozpanoszyli, że zaczęli bez udziału żołnierzy sami wywlekać Żydów z domostw i gonić do baraków. Niemcom było to na rękę, bo w upalny dzień zaoszczędzało im trudu. Warszawski artysta rzeźbiarz pan Szpilfogiel, który ostatnio mieszkał z rodziną u chrześcijańskich gospodarzy, chciał oszczędzić złego losu swojemu jedynekmu dziecku, córce Irencie. Dziewczynkę ukryto w jednym z pokoi gospodarzy. Ale hałastra nie popuściła.

– Tutaj musi być jeszcze mała Żydówka! – Zawrzeszczał męt. Wtargnął w głąb mieszkania i wywłókł stamtąd przerażoną, płaczącą Irenkę. Zdarzało się, iż niektóre żydowskie rodziny barykadowały się w domach.. Tak uczynił również kupiec Czernia. Na niewiele to się zdało. Rozjuszona tym hołota rozbiła oszkloną werandę i wyłamała drzwi. Kilkunastu drabów było przerażonych ludzi kijami i kopało, pędząc w kierunku baraków. Niektórzy Żydzi wciąż nieświadomi, co ich czeka, usiłowali zabrać ze sobą jedzenie, albo jakieś rzeczy. Esesmani krzyczeli, kazali wszystko zostawiać.

Stałem przy oknie w domu wujostwa z mamą, ciotką Manią i jej córką Murczką. Mama przytulała mnie do siebie i czułem, jak drżą jej ręce. Patrzyłem ze strachem, jak rozhukana hałastra pędzi małymi grupkami Żydów. Prowadzili ich środkiem ulicy, natomiast niemieccy żołnierze szli chodnikiem, z karabinami zawieszonymi na ramionach. Wielu grupom pędzonych Żydów esesmani w ogóle nie towarzyszyli. Zastępował ich rozpasany motłoch. Od czasu do czasu, do któregoś z Żydów doskakiwał bandzior i uderzał niesionym w rękę kijem. Bity człowiek kulił się, chował głowę w ramiona.

Kiedy zobaczyłem małego Szejgę, coś ścisnęło mnie w gardle. Ja i moje rodzeństwo widywaliśmy go codziennie. Był to mały, jak nam się wydawało śmieszny chłopczyk. Codziennie przechodził koło naszego domu dziwnym, bocianim krokiem. Idąc, podnosił wysoko kolana, a kołnierzyk jego niebieskiej kurteczki odstawał daleko od cienkiej szyjki. Szejga szedł samotnie przed grupką kilku dorosłych osób. Płakał. Za każdym razem, kiedy któryś oprych uderzał Żyda kijem, mały kulił się w sobie i podbiegał parę kroków. Potem stawał i ogładał się bezradnie. Z całej jego postaci było przerażenie.

Poczułem, że i mnie ogarnia strach. Dziwny, jeszcze nieznany. Zimnymi mrówkami pełził od pośladków w górę po plecach. Kiedy doszedł do szyi, wydawało mi się, że podnosi mi włosy na głowie. To było okropne uczucie. Wtuliłem się jak mogłem najmocniej w mamę. Trochę mi to pomogło.

– I pomyśleć, że ci ludzie chodzą do cerkwi, do kościoła, modlą się... Kreśląc na piersi znak krzyża – powiedziała drżącym głosem mama.

– Przecież Żydzi to też ludzie – zaszeptwała ciotka Mania – oni za swoje winy chyba już dawno odpokutowali – dodała w zamyśleniu.

– Boże, o czym ty mówisz! Czy ty urodziłaś się trzysta lat temu? – Zawołała mama.

– Mamo, ja już nie mogę! – Zawołała nagle Mureczka. Kucnęła przy ciotce i zanosła się płaczem.

– Chodźcie dzieci, to zbyt straszne dla waszych oczu. Straszne! – Powiedziała mama.

Poszliśmy do kuchni, z ulicy dobiegały wrzaski pijanych żuli. Nagle po miasteczku gruchnęła jak piorun straszna wiadomość. Okazało się, że Niemcy kazali młodym Żydom kopać obok kierkutu ogromne doły. Bardzo głębokie, szerokie na dwa metry i długie. Prawdą stała się czyjaś niedorzeczna myśl, że ma nastąpić totalna zagłada Żydów. Potworne niemożliwe zaczęło nabierać realnych kształtów.

Ten pogodny sierpniowy dzień, miał być dniem ostatnim części mieszkańców Telechan. Zagładzie miało ulec plemię, bytujące na Polesiu od wieków. I tak ulicą Kościelną ku swojemu straszному przeznaczeniu szli znani w miasteczku obywatele i szaraczkowie, o których istnieniu wiedzieli nieliczni. Szedł razem z rodziną przedwojenny dzierżawca jeziora w Wólce Landman, szedł piekarz Gitelman z synem Kałmanem i resztą rodziny, szedł Abram, Hirszy i Lejzor, szli z żonami, dziećmi... Dreptały staruchy, kuśtykali starcy. Szli, szli...

Nagle w głowie mojej pojawiła się myśl straszna. Na moment ogłuszyła i oślepiła. Przecież Chaimek i Dobka to też Żydzi! Moi przyjaciele są Żydami! Co z nimi?! Rzuciłem się w panice do wyjściowych drzwi w kuchni. Nerwowo mocowałem się z klamką.

– Ty dokąd?! – zawołała mama.

– Mama, Chamek, Dobka! Oni ... oni ... czy oni też?

Zapanowała cisza. Czułem, jak z żołądka pełźnie mi do gardła coś obrzydliwie słodkiego. Doświadczylem już tego uczucia, kiedy enkawudzista bił na

ulicy mojego ojca. Spazmatycznie wciągnąłem powietrze. Mama przykucnęła przy mnie i mocno przytuliła do siebie. W oddali znów zaszczeakał karabin maszynowy.

– Synku ... – mamie wyraźnie brakowało słów.

– Chaimek ... Dobka ... – bełkotałem. Usta były pełne gęstej, lepkiej śliny.

– Kiedy chodziłam po drzewo, widziałam, jak ich wyganiano z domu – ponuro powiedziała Mundzia.

– Mamusiu, czy można coś zrobić? Przecież tata zna niemiecki, może coś można zrobić! – Przez łzy zalewające mi twarz, widziałem wszystko podwójnie, zamazane.

– Nie dziecino. Tutaj nic już nie można zrobić, nic. – Łzawym głosem ci-chutko odpowiedziała mama.

W godzinach popołudniowych, ulica opustoszała. Panowała cisza, nawet jakby wróble w gałęziach przycichły. Tylko od czasu do czasu serią wystrzałów zagrzecotał karabin maszynowy. Nagle na ulicy rozległ się dziwny dźwięk. Jakby ktoś kijem walił w zawieszony na trzepaku dywan. Podbiegłem do okna z siostrą i bratem. Z kuchni przyszła mama.

Środkiem ulicy, w kierunku stacji biegł drobnym truchcikiem stary, niewysoki Żyd. Nie wiadomo, czemu ubrany był w długie, zimowe palto. Mycka na głowie przekrzywiła się tak, że daszek znalazł się nad uchem. Długa, siwa broda pokryta była plamami spienionej krwi. Człowiek miał otwarte usta, a oczy były tak wybałuszone, że zdawały się być okrągłe. Takie oczy ma dusząca się ryba, wyciągnięta z wody i rzucona na brzeg.

Za starym Żydem szedł dziarskim krokiem miejscowy drab, o imieniu Antek. Po wejściu Niemców do Telechan, jako jeden z pierwszych wstąpił do czarnej policji. Teraz widocznie gdzieś wywęszył kryjówkę tego człowieka i stamtąd go wywłókł. Kiedy biedak zwalniał kroku, Antek bił go po plecach trzymaną w rękach deską. To właśnie te zadawane razy dawały dźwięk, który zważył nas do okna.

– Ach, Jezu mój! – jęknęła mama na ten widok. Chwyciła w objęcia naszą trójkę i odciągnęła od okna. Głośno zapłakała. Zawtórowała jej moja siostra Mundzia.

Sprawiedliwości stało się zadość tyle, że rok później Antka zastrzelili partyzanci. Wydarzyło się to w biały dzień, kiedy ten pojechał rowerem na swój chutor. Tam już na niego czekano z wyrokiem.

Jeszcze tego wieczoru, po miasteczku rozeszła się wieść, jak odbył się mord Żydów. Opowiadali o tym chrześcijańscy mężczyźni, których esesmani po dokonaniu „łapanek” na mieście, pod groźbą karabinów zmusili do zasypywania dołów z trupami. Kiedy bowiem zapełnił się trupami pierwszy dół, Niemcy kazali go zasypać łotrom pomagającym im w tropieniu i pędzeniu Żydów na miejsce kaźni. Wówczas dobrowolni pomagierzy w popełnianiu tej zbrodni, błyskawicznie rozpiechli się po zagajniku. Na miejscu pozostało zaledwie kilku posłusznych, którzy wzięli się za łopaty. W tej sytuacji, esesmani uzupełnili braki w roboczej sile łapanek przypadkowych mężczyzn na ulicach.

Opowiadania świadków mordu Żydów, u większości słuchaczy wywoływały grozę. Do masowego grobu opuszczona była drabina, po której schodzili wypędzani kolejno z baraku Żydzi. Układali się równiutko, jeden obok drugiego twarzą do ziemi. Przed dołem na składanym krześle, siedział esesman z karabinem maszynowym w rękach. Serią kul z niego, pozbawiał życia kilkadziesiąt osób. Wtedy następna grupa Żydów wyciągała drabinę nad trupy i ustawiała ją na nich. Potem do dołu. Kłaść się. Następna seria z karabinu. Szybko, sprawnie, planowo. Z prusacką precyzją. Esesmani pomyśleli o wszystkim. O krześle, drabinie, łopatach, nawet o alkoholu, którym raczyli się obficie, wprost z butelek. Wszystko zostało przywiezione na miejsce kaźni taborowym wozem.

Dzieci mordowano inaczej. Kazano im klękać na brzegu dołu i po zastrzeleniu, oprawcy spychali je butami w głąb wykopu. Doły z trupami zapełniły się. Ci, co zasypywali je, to już nie byli Żydzi. Robota została skończona, no to raus! Wynosić się!

Było tuż po zachodzie słońca, kiedy od świeżych kopców ziemi obok kierkutu, powrócił na bulwar taborowy wóz z drabiną, krzesłem, łopatami i pijanymi esesmanami.

Pułkownik cały ten dzień przesiedział w fotelu przed namiotem. Przyjmował jakieś meldunki od zdyszanych, spoconych żołnierzy. Czasami, któregoś ostro obsztorcował za rozmamłany mundur. Małymi łyżkami popijał kawę i palił cygara. Słońce już zaszło i zaczął robić się lekki półmrok, kiedy konno przyjechało kilku oficerów. Pułkownik tym razem stojąc w pełnym umundurowaniu, kolejno przyjmował od nich meldunki. Potem każdemu z nich uściśnął rękę i zaczęła się swobodna rozmowa, przerywana śmiechem. Wtedy adiutant odkorkował butelkę z alkoholem i nalał go w małe kieliszki. Rozniósł je na tacy między esesmanami. Rozległo się zgodne „prozit” i alkohol został wypity w postawie na baczność.

Oficerowie po krótkiej, przerywanej gromkim śmiechem rozmowie, trzasnawszy jednocześnie obcasami, podnieśli prawe ręce do góry.

– Heil Hitler! – Rozległ się zgodny chórek, po czym dziarsko wymaszerowali na ulicę. Tam wsiedli na konie i odjechali. Pułkownik wyglądający wyraźnie na zmęczonego, z pomocą adiutanta zdjął mundur, umył się dokładnie i zjadł przygotowany posiłek. Następnie udał się na odpoczynek, zapewne z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

W tę letnią ciepłą noc, która opanowała skrwawione Telechany, świecił pełnią milczący księżyc. Gwiazda Dawida zgasła.

* * *

Rankiem następnego dnia, przed dom zajechał konno żołnierz, prowadząc ze sobą dwa osiodłane wierzchowce. Tuż za nim przywłókł się wojskowy furgon. Ogolony i wygłancowany pułkownik wychodząc na ulicę, zatrzymał się przez chwilę przy kępie wysokiej, kwitnącej żółto rudbekii.

Zerwał kilka kwiatów, łamiąc ich długie łodygi, poczym starannie zamknął za sobą furtkę, tuż przed nosem adiutanta.

Godzinę później, ulicą Kościelną w kierunku Hancewicz przeciągnął konny oddział esesmanów i towarzyszący mu tabor wozów. Na czele oddziału w towarzystwie dwóch oficerów i adiutanta, jechał pułkownik. Do siodła miał przyczepiony żółty bukietik rudbekii zerwanych w naszym ogródku.

Nie mam wątpliwości, że pułkownik wyjeżdżał z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Wlókł za sobą nieścieralne piętno tysięcy ludzkich niewinnych ofiar. Z jego rozkazu w jeden dzień zmienił się wizerunek miasteczka, kształtowany przez stulecia. W następnych dniach pułkownik z sumiennością wysokiego oficera SS, będzie zmieniał kolejno wizerunek Wygonoszczy, Hancewicz...

Pamiętnik dziejów żydowskiego narodu, pisany od wieków przez historię na poleskiej ziemi, został w Telechanach zamknięty raz na zawsze ręką niemieckiego zbrodniarza.

ROZDZIAŁ 14

Unicestwienie żydowskiej ludności w Telechanach przez niemieckich zbrodniarzy, ludność chrześcijańska przyjęła różnie. Na niektórych nie zrobiło to większego wrażenia. Oł, stało się. Żydzi byli, Żydów nie ma. Ale znaleźli się również tacy, którzy zaaprobowali barbarzyńskie wyczyny esesmanów. Oni jako „porządni” i prawowierni ludzie, uznali Niemców za wyzwolicieli od Żydostwa. Argumentowali to różne. Dla jednych Żydzi byli tylko pluskwami czy wszami wysysającymi chrześcijańską krew, ale dla innych znie-nawidzonymi potomkami morderców Chrystusa.

Takie opinie stały się bolesną porażką dla telechańskich duchownych. Ksiądz Tarnogórski i pop Ojciec Joan, utrzymując życzliwe stosunki z miejscowym rabinem Glickiem, poświęcili wiele lat kapłańskiej misji na wydoby-cie swoich wiernych z szatańskiego kręgu nietolerancji i uprzedzeń. Niestety, przykład własny kapłanów i nauczanie o szacunku dla ludzi bez względu na ich nację, religię i obyczaje, nie dotarły do świadomości wielu „pobożnych wiernych”. W mózgownicach tych osobników, których przodkowie przez setki lat karmieni byli jadem „bogobojnej” nietolerancji, nad rozumem za-tryumfował haniebny kołtun średniowiecza. Lata pełnej poświęcenia pracy obu chrześcijańskich duchownych, poszły na marne.

Niejaki Grizka Rasputin, gorliwy uczestnik wszystkich nabożeństw i ob-rzędów religijnych w cerkwi, a obecnie nie mniej gorliwy czarny policjant, długo przechwalał się wszem i wobec, jak tropił i wywlekał „żydowskie ga-dziny” z różnych kryjówek. Za ten wyczyn, komendant Telechan awanso-wał go od razu do stopnia sierżanta, a później mianował komendantem po-sterunku policji w Świętej Woli.

Jednakże spora część ludności, długi czas nie mogła otrząsnąć się ze wspo-mnień, przytłaczających ludzkie umysły. Starzy ludzie pamiętali jeszcze po-grom Żydów z 1905 roku, zorganizowany tutaj przez carską policję. Ale tych kilka trupów wówczas było niczym wobec barbarzyńskiego mordu, popeł-nianego planowo na całej żydowskiej populacji w Telechanach i tylu innych pobliskich miejscowościach.

Tę niewiarygodną zbrodnię dokonaną przez esesmanów, mój ojciec i wuj Stefan porównywali do barbarzyńskich rzezi z czasów najczarniejszego średniowiecza. Było wręcz niewiarygodne, iż dokonali tego przedstawiciele narodu, który szczyci się tym, że to on właśnie ochrzcił i ucywilizował po-gańską i „dziką” Europę.

Nie rozumieliśmy z bratem pełnego sensu tych rozmów, ale zarówno ojciec jak i wuj, zbywali nas wymijającymi odpowiedziami. Zauważyliśmy z bratem, że przy takich rozmowach nasz ojciec zaczął nawet po wujowemu machać ręką.

W Telechanach było jednak wielu ludzi, którzy ze zgrozą opowiadało sobie wypadki widzianych lub zasłyszanych zdarzeń, jakie miały miejsce w dniu zagłady Żydów. Nasi rodzice, nie zezwalali nam dzieciom na przysłuchiwanie się tym okropnościom. Mnie jednakże skręcała nienasycona ciekawość i stosowałem różne metody, ażeby coś usłyszeć.

W ten sposób dowiedziałem się, jak poniosła śmierć młoda Żydówka Esterka, dziewczyna znana w całych Telechanach z nadzwyczajnej urody i wdzięku. Kiedy byłem jeszcze małym brzdącem, widząc na ulicy Esterkę w białej długiej sukni, zapytałem rodzica z którym szedłem, czy to jest anioł.

O tym jak Esterka poniosła śmierć, opowiedziała koleżanka mojej mamy jeszcze z ich panińskich czasów, pani Eugenia Trydeńska.

Oboje państwo Trydeńscy, przyszedli do nas drugiego dnia po wyjeździe esesmanów z Telechan. Było niedługo do zachodu słońca, kiedy bez pukania weszli kuchennym wejściem. Po dziwnym, jakby ukradkowym powitaniu odmówili wejścia do pokoju i usiedli na ławie pod oknem. Rozmowa natychmiast potoczyła się na temat mordy Żydów. Po chwili, pani Eugenia jak mi się wydawało bez powodu, rozplakała się w głoś.

– Aniu, co ja przeżyłam! Nie wiem, kiedy dojdę do siebie – powiedziała przez łzy.

W tym momencie mama powiedziała mnie i bratu, abyśmy poszli do pokoju i zamknęli za sobą drzwi. Nie dotyczyło to siostry, gdyż siedziała w pokoju i wyszywała coś.

Nie mogłem pozwolić sobie na to, ażeby nie usłyszeć opowiadania pani Eugenii. Wylazłszy przez okno w sypialni na podwórze, tylną werandą podczołgałem się na czterech pod otwarte kuchenne okno. Usadowiony wygodnie, słyszałem z kuchni każde słowo.

W dniu mordy Żydów, przed południem Trydeńscy pracowali w swoim ogrodzie, podwiązując krzaki pomidorów. Z ogrodu doskonale było widać, co dzieje się na ulicy. Tamtędy od czasu do czasu pod eskortą esesmanów lub miejscowych lumpów, prowadzono grupki Żydów. Państwo Eugenia i Arkadiusz byli przekonani, że nastąpi deportacja żydowskiej ludności z Telechan.

Eskortowani Żydzi robili wrażenie ludzi zastraszonego, szli z opuszczonymi głowami. Kiedy któryś z nich bez żadnego powodu został uderzony kijem przez lumpa, reagował jedynie kuleniem się i chowaniem głowy pomiędzy ramiona. Dlatego też Trydeńscy zwrócili uwagę na sporą grupę Żydów, wśród których szła Esterka. W odróżnieniu od pozostałych pobratymców, szła krokiem pełnym godności, z wysoko podniesioną głową. Jej tak odmienna postawa widocznie budziła respekt u wyrodków prowadzących tę grupę, gdyż żaden nie ośmielił się jej tknąć.

Ten widok wręcz zafascynował Trydeńskich. Przerwali swoje zajęcie i stali wpatrzni w Esterkę. Ona zaś w białej sukience, z rozpuszczoną grzywą czarnych zwijających się w loki włosów, wręcz płynęła nad grupą pokornie skulonych postaci.

Kiedy ta grupa Żydów znalazła się na wysokości ogrodu Trydeńskich, z naprzeciwka konno nadjechał kłusem niemiecki oficer. Gwałtownie zatrzymał konia, aż ten przysiadł na zadzie. Żydzi także stanęli jak wryci, a mężczyźni pośpiesznie zdjęli czapki. To samo, o dziwo, uczyniły lumpy. Jedyne Esterka nie zmieniła swojej postawy. Na odwrót, podniosła głowę jeszcze wyżej, hardo patrząc esesmanowi prosto w oczy.

I stało się coś niezwykłego. Niemiec nie wytrzymał wzroku dziewczyny, opuścił głowę i z głupią miną zaczął wiercić się na siodle. Trwało to dobrą chwilę, zanim się opanował. Jednakże w końcu spojrzał na żydowską piękność i żalosnym głosem powiedział:

– Mein Gott – mój Boże, nie widziałem jeszcze tak pięknej kobiety! O Boże, czemu jesteś tak niesprawiedliwy, że ona też...

Esesman przerywając zdanie w połowie, spiął konia ostrogami i wpadł w tłumek Żydów, gdzie ponownie zatrzymał się. Żydzi z krzykiem rozpierzchli się po ulicy, a z nimi także lumpy. Na miejscu pozostała Esterka. Nawet nie drgnęła, wciąż patrząc oficerowi w oczy. Ten błyskawicznie wyjął pistolet i niemal przykładając lufę do czoła dziewczyny, wystrzelił. Głowa Esterki poleciała do tyłu, twarz błyskawicznie pokryła krew z rany po kuli. Dziewczyna osunęła się na piasek ulicy. Niemiec zaś spiął konia i pogalopował jak szalony, wołając „mein Gott, mein Gott”...

Pan Trydeński znał na tyle niemiecki język, że zrozumiał, co esesman mówił.

W trakcie opowiadania, pani Eugenia nie przestawała głośno płakać. Zawtórowała jej mama. Płacz kobiet widocznie usłyszała Mundzia i weszła do kuchni. Po chwili, ona także rozryczała się. Ojciec i pan Arkadiusz coś mówili, ale głosy mieli jakieś nieswoje, rozmazane.

Mnie przed oczyma stanął nagle mój drogi przyjaciel, Chaimek Perelstain. Ponownie uświadomiłem sobie, że zmuszono go w najpotworniejszy ze sposobów, aby bez słowa pożegnania opuścił mnie na zawsze.

Zapominając o swoim nieposłuszeństwie, bo przecież podsłuchiwałem rozmowę, podniosłem się spod okna i wszedłem do kuchni. Z nosem, w którym już nie mieściły się napływające tam łzy, przytuliłem się do pochlipującej wciąż mamy.

* * *

W dniu mordu telechańskich Żydów, omal nie doszło do tragedii w rodzinie kowala, pana Nowaka. Syn kowala Czesiek obserwował z podwórza, jak esesmani prowadzą grupami Żydów. Wiedziony chłopcą ciekawością, wyszedł przed dom na ulicę. Tam żołnierz prowadzący kolejną grupę zwrócił uwagę na czarniawego chłopca, stojącego samotnie na ulicy. Uznał, że jest to zagubione żydowskie dziecko i kiwnięciem ręki przywołał go do siebie. Nieświadomy niebezpieczeństwa Czesio podszedł do Niemca, a ten wepchnął go pomiędzy Żydów.

Od śmiertelnego niebezpieczeństwa, Cześka uratowało dwóch miejscowych łotrzyków, mieszkańców przedmieścia Huta. Jako „pomocnicy” eses-

manów, gdzieś po drodze dołączyli do tej właśnie grupy Żydów, w której znajdował się Czesiek. Obaj znali z widzenia chłopca, że jest to syn Nowaka

– Panoczku Nemeć, heto ne Żydiuha, heto chrystijańskij chłopeć! – Panie Niemiec, to nie Żydziać, to chrześcijański chłopiec! – Zaczęli wołać jeden przez drugiego.

Esesman wreszcie zrozumiał natarczywe perswazje lumpów. Wskazując lufą karabinu rozporek Czesia, warknął:

– Zeig’mal deinen Pimmel! – Pokaż twojego siusiora!

Czesiek nie rozumiał, czego żołnierz chce od niego, ale męty zorientowały się błyskawicznie.

– Wytiahaj siurdaka, panoczek Nemeć tobi prykazau! – Pan Niemiec kazał tobie pokazać siusiaka!

Chłopiec stał nie rozumiejąc, o co im chodzi. Wówczas jeden z obdartsów, nagłym szarpnięciem ściągnął Czesiowe spodnie do kolan. Esesman końcem lufy potrafił obiekt zainteresowania i stwierdziwszy, że chłopiec ma napletek w idealnym stanie, roześmiał się.

– So was! Faktisch, das ist kein Judenwelp! Fluchten zu Haus! Weg, weg!

– Coś podobnego! Faktycznie, to nie żydowskie szczenię! Uciekaj do domu, precz!

* * *

Jakoś w południe trzeciego, może czwartego dnia po upiornej zagładzie telechańskich Żydów, w głębi ulicy Borowej gdzieś za ogrodami naszym i wuja, rozległo się parę gromkich okrzyków, nad którymi górowało „heta Żydiuha” – to Żydzisko – i „stoj, job twoju mać, strielať budu” – poczym gruchnęło kilka karabinowych wystrzałów.

Niedługo po tym, przysła do nas sąsiadka mieszkająca na Borowej i opowiedziała o zaistniałym tam wydarzeniu.

Okazało się bowiem, że nauczyciel z naszej szkoły Szulczyn pracujący w niej za bolszewickiej władzy, będąc Żydem, podczas holokaustu jakoś uniknął śmierci. Potrafił ukryć się na tyle skutecznie, że nie wywęszył go żaden tropiciel Żydów.

Dziwne było więc to, że w celu zdobycia pożywienia wylazł ze swojej kryjówki w środku białego dnia i wślizgnął się do czyjegoś ogrodu, by zdobyć jakieś warzywo. Tam „złodzieja” wypatrzył właściciel ogrodu i rozpoznał, z kim ma do czynienia.

I tutaj Szulczyn miał wyjątkowego pecha. Uciekając przed właścicielem ogrodu na ulicę Borową, natknął się tam na patrol dwóch czarnych policjantów. Kiedy przełaził przez płot po drugiej stronie ulicy chcąc zaszyć się tam w bujnych zaroślach, dopadły go policyjne kule. Nieszczęśnik skonał przewieszony przez płot...

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

CZĘŚĆ TRZECIA:

KOSZMAR OKUPACJI

ROZDZIAŁ 1

Czas powoli oddalał mieszkańców Telechan od strasznego dnia siódmego sierpnia, czterdziestego pierwszego roku. Dnia bestialskiego mordy na żydowskiej ludności miasteczka. Na zawsze zniknęli z niego odziani w chałaty i mycki byli właściciele warsztatów i sklepików. Zabiegani, zatroskani sprawami dnia powszedniego, wydawali się być nierozzerwalnie zrośnięci z telechańską społecznością.

Upokarzani niewiarygodnie przez niemieckiego okupanta, maltretowani i opluci przez miejscowy motłoch w ostatnich dniach swojego życia, teraz leżeli w równych rzędach warstwa na warstwie, w piaszczystych dołach tuż za miasteczkiem, nieopodal brzozowego zagajnika.

Ci sami ludzie, którzy w czerwcowych dniach samowoli dopuszczali się rabunku, teraz błyskawicznie ogołocili opuszczone domy, podwórza i obory ze wszystkiego, co się w nich znajdowało. Uliczki i zaułki straszły śmiertelną ciszą, wiatr skrzypiał okiennicami i otwartymi drzwiami opustoszałych domostw, szeleścił stertami śmieci, wśród których błąkały się ogłupiałe, bezpańskie teraz psy i koty.

Sponiewierane żydowskie ciała żywią teraz poleską ziemię, która przez wieki karmiła ich kolejne pokolenia po społu z Białorusinami, Rosjanami, Polakami i Litwinami. Schodząc pod ziemię, odeszli stąd na zawsze, a pamięć o nich wśród ludzi będzie stawać się coraz bledsza i bledsza, aż kiedyś zachowa się jedynie w kartkach książek.

Bez względu na tragiczne zdarzenia, które miały miejsce, życie musiało toczyć się dalej. Ci mieszkańcy Telechan, którzy do tej pory z różnych przyczyn doznawali niewygody gnieźdzenia się w mieszkaniowej ciasnocie, zaczęli zajmować opuszczone żydowskie domy. Zrywali z futryn drzwi mezuzy, blaszane puszki z zawartą wewnątrz na kartce papieru ręcznie napisaną po hebrajsku modlitwą. Pop ojciec Joan, czy ksiądz Tarnogórski kropił święconą wodą świeżo wybielone ściany. Domy ożywiały się ponownie, nowi ludzie wnosili do nich oddech życia, które w nowej okupacyjnej rzeczywistości nabierało nowego, aczkolwiek z czasem coraz bardziej ponurego koloru.

Życie telechańskiego społeczeństwa, musiało przystosować się do okupacyjnej rzeczywistości. Niewiele było wiadomo, co dzieje się na świecie. Strzępy wiarygodnych informacji docierały rzadko i z opóźnieniem, wyłącznie dzięki kolejarzom z ciuchci i ludziom przyjezdnym. Podawane w gazetach przez Niemców wiadomości z frontu, były skąpe i mało wiarygodne. Poza

tym i gazety pojawiały się od przypadku do przypadku, szczególnie później w zimowy czas, kiedy drogi zawiąło śniegiem.

Ponieważ posiadanie radia było równoznaczne z natychmiastowym rozstrzelaniem, ojciec nie chcąc narażać świadomie rodziny, przechowywane na strychu radio głęboko zakopał w piwnicy. Tym samym, odcięta została możliwość uzyskiwania wiarygodnych wiadomości ze świata. Na co dzień wiadomym było jedynie to, do czego musieli przyznawać się sami Niemcy.

Ich niezwyciężona dotąd armia, została na całym wschodnim froncie powalona na kolana przez wszechwładną rosyjską zimę. Skończył się sen Hitlera o defiladzie w Moskwie. Sowieckie wojska zaczęły spychać Niemców z powrotem na zachód, tak że ich jedyną pociechą w tym czasie, były jakieś sukcesy w Afryce. O tym niemieckie gazety trąbiły głośno i roiły się od zdjęć czołgów na piaskach pustyni.

Niemcom należy przyznać, że do zagospodarowania na swój sposób zagarniętych ziem zabrali się bardzo sprawnie. Już wczesną jesienią 1941 roku, okupanci mieli zorganizowany aparat podatkowy. Podatkowymi poborcami okazali się dwaj wiecznie uśmiechnięci Czesi w niemieckich mundurach, których zakwaterowano w hotelu u pani Girszelowej. Już po kilku dniach całe miasteczko wiedziało, że jeden z nich ma na imię Janiczek, drugi zaś Pepik. Niebawem też okazało się, że dzięki tym poborcom miejscowe świnki i cielęta są dosyć bezpieczne, gdyż głównym zajęciem obu wesołych Czechów, było zapijanie się samogonem podatników.

Przy tak słabych wynikach w ściąganiu podatków, Niemcy wkrótce zamienili roześmianego Janiczka i Pepika, na parę ponurych czetników z Chorwacji. Ci w odróżnieniu od Czechów, zawsze patrzyli na ludzi spode łba. Od swoich poprzedników różnili się jeszcze i tym, że nie było wiadomo jak się nazywają. Ludzie z miejsca zawyrokowali, że ci jako poborcy, będą bardziej restrykcyjni od Czechów.

* * *

Nad ługami przestało już snuć się babie lato i porankami ścielił się na nich siwy szron, kiedy w Telechanach z półtoramiesięcznym opóźnieniem została otwarta szkoła. Było w niej całe sześć klas.

Dyrektorki Siłkowej w tej nowej szkole nie było, gdyż uciekła z Telechan razem z Bolszewikami. Spośród nauczycieli uczących w szkole za Bolszewików, pozostało małżeństwo państwa Trydeńskich. Pani Eugenia Trydeńska została teraz kierownikiem szkoły, a jej mąż, prawosławny diakon pan Arkadiusz, nadal zwykłym nauczycielem. Do nich dołączyła ich stara przyjaciółka, pani Olga Jakobson. Matematyki uczył młody chłopak spod Telechan Dziemiańczyk, który przed wojną był uczniem pińskiego gimnazjum. Ponadto, nauczycielami były jeszcze trzy inne osoby, a wśród nich mówiący źle po rosyjsku, przyjezdny człowiek Otto Bach. Ten był nauczycielem języka niemieckiego, który został wprowadzony do szkolnego programu.

Nauka w szkole odbywała się w języku białoruskim, ale jakimś dziwnym, powykręcanym, ogromnie różniącym się od tego ze szkoły sowieckiej. Z czasem pojawiły się nawet podręczniki nauki tego języka. Takiego języka nie słyszał nikt z tutejszych ludzi. Nie był on ani literacki jak w książkach Jakuba Kołasa, ani gwarowy. Była tam kupa nieprawdopodobnych dziwolągów, wymyślonych przez jakichś domorośłych „Białorusinów”. I tak dla przykładu, zwykła pocziwa „bania”, co we wszystkich wschodnio słowiańskich językach oznacza łaźnię, teraz nazywała się „gołopupnią.”

Z tego białoruskiego podręcznika, w pamięci utkwiał mi następujący czterowiersz:

„ Iszou łysyj dy z plaszywym,
Naszli jany hrebień,
Adzin plunu’u, druhij charknu’u,
Jon nam nie patrebien!”

Co prozą należy przetłumaczyć na język polski jako: „Szli dwaj łysi i znaleźli grzebień, jeden plunął drugi charknął, on nam nie jest potrzebny”. Obok tego wierszyka o wyjątkowo wychowawczej treści, figurował rysunek dwóch łysoli bluzgających na ziemię smarkami.

Zajęcia w szkole rozpoczynały się modlitwą, w tym niby białoruskim języku. Zanosila ona do Boga prośbę wpierw o zdrowie naszego Führera, a potem o nasze. Po sakramentalnym Amen, następował okrzyk Heil Hitler! Prawdę mówiąc, Hitlera pozdrawiano niemrawo i nie zawsze. Jedynie Otto Bach uczący w starszych klasach niemieckiego języka, pilnował tego skrupulatnie.

Ta karykaturalna edukacja telechańskiej dzieciarni, w zimowych miesiącach była podczas silnych mrozów kilkakrotnie przerywana. Zdarzało się bowiem, że do szkoły nie dowieziono na czas opału. Wtedy była przerwa w nauce. Śnieg zasypywał wydeptane na szkolnym podwórzu ścieżki, a uczniowie z czerwonymi od mrozu twarzami, używali zimowych uciech na łyżwach i sankach.

ROZDZIAŁ 2

Ucisk niemieckiej okupacyjnej władzy, odczuwany był coraz dotkliwiej. Kiedy nastał ciężki zimowy czas, opaśli Niemcy z administracji niechętnie opuszczali swoje bezpieczne i ciepłe leża, obfitujące w dobre żarcie i samogon. Do rabunku ludności zwanego podatkami i utrzymania ładu wedle własnych potrzeb, mieli przecież pomagierów w postaci chorwackich poborców i siepaczy z czarnej policji.

Poborcom rodem z Chorwacji, ludziom z południowej Europy, poleskie mrozy dopiekały okrutnie. Po kilku pierwszych mroźnych dniach, nie nosili już wojskowych płaszczy. Zamienili je na długie chłopskie kozuchy, złupione gdzieś na wsi. Chronieni przed mrozem kozuchami, nieustannie dogrzewali się jeszcze od wewnątrz samogonem. Pomimo ciągłego wybrzydzenia, że jest gorszy od ichniej palinki, żłopali go bez umiaru. Niemal codziennie widziano czetników trzymających się pod rękę i pokonujących z mozołem drogę do hotelu całą szerokością ulicy, albo jak przywożą ich tam zalanych w trupa chłopskimi saniami.

Wkrótce, Niemcy niezadowoleni ze słabych wyników w ściąganiu podatków przez wiecznie pijanych czetników, gdzieś ich spławili. Na ich miejsce, w Telechanach pojawiło się dwóch niemieckich podoficerów. Jeden z nich był pękatym kurduplem, drugi zaś wysokim, przygarbionym chudzielcem. Obaj nieźle mówili po rosyjsku. Podobno byli to niemieccy koloniści, mieszkający przed wojną gdzieś koło Nowogródka. Podoficerowie nie rozstawali się z czarnymi pejcami, gdyż były to ich narzędzia pracy.

Niebawem obu poborców ludzie nie nazywali inaczej, jak tylko „Chapunami”, co w poleskim narzeczu oznaczało łapaczy.

Chapuny zaś rozliczali ludzi z podatków niezwykle skrupulatnie. Nie zgłaszanie niemieckiej administracji chowu zwierząt i ukrywanie zboża, stało się teraz niebezpieczne. Tych, którzy takie „wykroczenie” popełnili, poborcy karali na podwórzu Rejonu chłostą dwudziestu pięciu razów, zadanych pejczem na gołe siedzenie. Ten mały pękaty Chapun podobno bił mocniej i jego wszyscy bali się panicznie. Wysoki szybko się męczył i kara była mniej dotkliwa.

W tej brudnej robocie, poborcy posługiwali się czarną policją. Zalegających z podatkami chłopów, policjanci przywozili do siedziby Rejonu nawet z odległych wiosek. Nieszczęśnicy ci po zaliczeniu dwudziestu pięciu smagnień pejczem w goły tyłek, wracali do swoich wsi na piechotę. Dalsze ociąganie się z oddaniem wyliczonego przez Niemców podatku, mogło zakończyć się nawet rozstrzelaniem krnąbrnego Poleszuka.

Na okupowanych terenach, które poprzednio znajdowały się pod panowaniem Bolszewików, walutą podstawową stała się oczywiście niemiecka

marka. Jednak praktycznie, w obiegu nadal były pieniądze sowieckie. Szaro zielone ruble i czerwone karbowance z wizerunkiem Lenina, o wartości dziesięciokrotnie wyższej jak rubel. Ludziom było zresztą zupełnie obojętne, jaką walutą płacą, bo zmartwieniem był tylko rozpaczliwy brak podstawowych artykułów.

Okupacyjne zaopatrzenie Telechan stało się jeszcze gorsze jak za Bolszewików. W jedynym teraz sklepie, ludzie godzinami wyczekiwali, kiedy przywiozą chleb, sól czy naftę. Nafta zaś była towarem, który pojawiał się niezwykle rzadko i w skąpych ilościach. Najdotkliwiej cierpieli więc ci, którzy nie byli podłączeni do elektrowni. Natomiast elektrownia tartaku dostarczała prąd od zmroku, do godziny jedenastej wieczór.

W miasteczku pojawili się speculanci, handlujący brakującymi wciąż w sklepiku towarami. Konkurencją dla nich stał się Signiewicz, który mając zdobyczą jakimś cudem posowiecką ciężarówkę, na miarę benzyny skombinowanej od Niemców za bimer, przywoził z Pińska albo Hancewicz niezbędniejsze towary. Do czasu jednak, gdyż proceder ten okazał się być ryzykownym. Powracającego z Hancewicz Signiewicza, w lesie zatrzymali jacyś rabusie z karabinami i z samochodu przeładowali cały towar na furmanki. Z tego napadu, sam Signiewicz wyszedł bez szwanku.

Ludziska przebąkiwali, że byli to najemcy pracujący dla telechańskich spekulantów. Poszeptywano nawet nazwisko jednego ciemnego typu, lecz pozostawał on w wielkiej zażyłości z Niemcami. Głośno o tym nie mówiono, ale wiedziało o tym całe miasteczko, że załatwia z żandarmami jakieś ciemne interesy. A poszkodowanym był nie tylko Signiewicz, bo ludziom liczącym na jego pomoc, coraz bardziej doskwierał niedostatek.

Również zaopatrzenie miasteczka w medykamenty, było tragiczne. Apteka w prowadzona od sowieckich czasów przez Rosjanina Siemaszkina, posiadała jedynie resztki zapasu leków, które zostały jeszcze po słabym sowieckim zaopatrzeniu. Brak leków powodował, że zaczęła rozszerzać się plaga zakaźnych chorób. Coraz więcej osób zapadało na świerzb. Ludzi zakażonych nim, aptekarz ratował preparując maść, z tylko sobie wiadomych składników. Nie leczyła, ale przynosiła ulgę. Zatrważająco zwiększały się także zachorowania na tyfus plamisty, roznoszony przez wszy.

Oczywiście, że było to wynikiem braku środków czystości. Mydło stało się nieomal luksusem. Jeśli nawet pojawiło się w sprzedaży, to właściwie pożytku z niego nie było. Podczas używania go nie mydliło się, tylko rozłaziło w rękach. Było tak cuchnące, że umyte w nim ręce czy uprane rzeczy, długo śmierdziały. W tej sytuacji, kobiety prały bieliznę przy pomocy ługu, który robiły z drzewnego popiołu.

To jasne, że przy takim niedostatku podstawowych środków czystości, musiało dojść do wzrostu zachorowań, spowodowanych brakiem higieny. Przy tym, lekarska pomoc też była nijaka. Jedyne w miasteczku lekarz, pulchny i piegowaty Rosjanin Bożko, który nie uciekł z Bolszewikami i pozostał

w miasteczku, był praktycznie bezradny. Jeśli nawet zalecał choremu jakieś leki, od razu informował, że ich zdobycie właściwie jest niemożliwe.

W tak beznadziejnej sytuacji, jedynym ratunkiem dla chorych bywali telechańscy kolejarze. Oni mieli możliwości zdobywania niezbędnych leków poprzez kontakty w Iwacewiczach z kolejarzami, którzy jeździli do Generalnej Guberni. Tam zaopatrzenie było nieporównywalnie lepsze jak na Polesiu, także i w leki. Na ogół, kolejarzom udawało się przeschmuglować lek przez granicę. Pozostawała jeszcze kwestia ceny.

ROZDZIAŁ 3

Katolickie Boże Narodzenie czterdziestego pierwszego roku przyszło cicho, bez świątecznej atmosfery. Ponieważ obowiązywała policyjna godzina, Niemcy nie wyrazili zgody na odprawienie pasterki o normalnej porze. Święta przeszły cichutko i jakby chyłkiem, pojawił się nowy, 1942 rok. Potem tak samo ukradkiem przeminęło prawosławne Boże Narodzenie.

Mróz siarczasty trzymał tej zimy długo, odwilże były rzadkie i krótkie, ale przyroda trzymała się swojego kalendarza. Po zimowym przesileniu dni były coraz dłuższe, słońce wyłaniało się zza chmur coraz częściej i grzało coraz mocniej. Na domach z okapów zwisały coraz dłuższe lodowe sople i jeśli nie zostały strącone, obrywały się pod własnym ciężarem. Pojawiły się wyraźne objawy budzenia się przyrody. Leszczyny pokryły się baziami, na drzewach zaczęły nabrzmiewać pąki, a telechańskie wróble i wrony wyraźnie ożywiły się.

Jakoś w marcu, dotarł do nas saniami wujek Nikodem, mąż cioci Mirki. Przywiózł trochę mąki, kaszy i wspaniałą, marynowaną szynkę z uchowanego przed niemieckim poborcą wieprzka. Gościł u nas dwa dni. Rodzice i wujek wymienili między sobą wszystkie wiadomości o wydarzeniach, jakie od początku niemieckiej okupacji nastąpiły w Janowie i u nas. Sporo czasu poświęcili także na omawianie tragedii holokaustu. Rodzice opowiedzieli o bestialstwie esesmanów w Telechanach, a wujek powiedział nam o losie Żydów z Janowa. Tam Niemcy od razu ich nie wymordowali, tylko zamknęli w getcie i dopóki nie wybuchła w nim epidemia tyfusu, używali do najcięższych publicznych robót. Podobno teraz, w getcie panują potworne warunki.

Dowiedzieliśmy się też, jak w Rejonie janowskim Niemcy zdzierają z ludzi podatki i jakie są represje za ich nie płacenie. Ludziom jest bardzo ciężko, bo żywność zabierają im także partyzanci, żeby móc w lesie przetrwać zimę. W lasach otaczających Janów są duże partyzanckie oddziały, pozbierane z rozbitych w czerwcu sowieckich wojsk.

Wraz ze zbliżającą się wiosną, także w Telechanach temat partyzanckich oddziałów w okolicznych lasach, zaczynał pojawiać się coraz częściej. Do miasteczka stałe napływały wieści, że Niemcy mają z nimi narastające kłopoty. A to wywiązała się strzelanina z niemieckim oddziałem, a to został zniszczony kawałek torów kolejki do Iwacewicz, a to udaremniono pobór podatków. Ludzie dowiadывali się, że tu i ówdzie partyzanci uniemożliwili Niemcom wywiezienie ściągniętych od ludności płodów rolnych, o partyzanckich napadach na małe posterunki żandarmerii i policji, zakończone niekiedy ich rozbiciem.

Niemniej, pomimo wciąż narastających partyzanckich akcji, Niemcom wciąż jeszcze udawało się z pomocą czarnej policji jakoś zarządzać telechań-

skim Rejonem. Stało się to jednak w końcu na tyle trudne, że chude niemieckie siły zostały wzmocnione sporym oddziałkiem Wehrmachtu. Teraz Niemcy wyruszali poza miasteczko jedynie dużymi pododdziałami, wzmocnionymi czarną policją.

Siedziba komendanta Telechan mieszcząca się w budynku żandarmerii, została obwarowana palisadą ze strzelnicami, a obok domu pana Pierowskiego, gdzie mieszkali dwaj brzuchaci niemieccy administratorzy, wybudowano potężny bunker. Obaj brzuchacze w swoich służbowych sprawach, na ogół nie pojawiali się w miasteczku. Do tego celu używali swojego lizusa w osobie Mikołaja Dziechciaryka. Ten z profesji bandyta i wściekły wyznawca antysemityzmu, kolejno zmieniał skórę na koniunkturalnego komunistrę, teraz faszystę, a dodatkowo stał się jeszcze o zgrozo, żarliwym dewotem.

Skończony szuja Dziechciaryk, cieszył się u niemieckich spaśluchów od administracji pełnym zaufaniem. Obdarowali oni swojego pochlebcę pistoletem, powierzając mu nadzór nad wszystkimi gospodarczymi obiektami w Telechanach. W łapskach władzy bandziora znalazły się młyn, tartak i smolarnia, a także piekarnia należąca dawniej do Żyda Gitelmana. „Zawiedujuszczij” Dziechciaryk, wsadzał także nos do nielicznych w miasteczku prywatnych warsztatów.

Okazało się, że ten bezwzględny kryminalista umie chodzić także przy swoich interesach. Nieomal jednocześnie z pozyskaniem „służbowej funkcji” u niemieckich administratorów, rozpoczął budowę w centrum miasteczka obszernego domu dla siebie. Materiały budowlane pozyskiwał z rozbiórki najporządniejszych żydowskich domów.

Dom budowali Dziechciarykowi trzej telechańscy rzemieślnicy, Chołodowicz, Czujko i Żywołowicz. Cała trójka w okresie okupacji sowieckiej, była w nią „umoczona” przynależnością do komunistycznej partii. Za wybudowanie domu, Dziechciaryk nie zapłacił im ani jednej kopiejki, a najmniej pokornego Żywołowicza, niemieccy żandarmi ukatrupili. Był to wystarczający argument, aby dwaj pozostali ekskomuniści, położyli uszka po sobie.

Jednak okupacyjny pobyt w Telechanach obu brzuchatych Niemców nie był do końca beztroski i rozkoszny, mimo umiłania go im przez różnych lizusów i zaprzańców. Nie raz i nie dwa okazało się, że partyzanci byli doskonale informowani o poczynaniach okupacyjnej administracji i ruchach niemieckich wojsk. Nieomal każdy wyjazd Niemców poza Telechany, kończył się stratami pojazdów najeżdżających na miny i wymianą ognia. Niemcy powracali niechlubnie, często wioząc rannych, byli też zabici. To doprowadzało ich do wściekłości. Swoją bezsilność wobec partyzantów, powetowali sobie na cywilnej ludności.

Aresztowania i przesłuchania na żandarmerii, stawały się coraz częstsze. Zdarzało się, iż wezwany na żandarmerię człowiek znikał bez śladu. Innych natychmiast pod silnym konwojem wywożono do Hancewicz, gdzie był duży niemiecki garnizon i więzienie. Tam przepadli bez wieści między innymi nasi sąsiedzi, młody Bogdanowicz i Miziński.

Pewnego dnia, w Telechanach pojawiło się dwóch oficerów gestapo w czarnych mundurach i trują czaszką na czapkach. Przyjechali z Pińska osobowym autem, konwojowanym przez pancerny samochód wypełniony uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

Jeden z gestapowców przywiózł ze sobą niemieckiego doga, nawet jak na tę rasę, psa gigantycznych rozmiarów. W Telechanach czegoś takiego nigdy nie widziano. Kiedy Niemiec spacerował z nim po miasteczku, ludzie ustępowali im z drogi, przechodząc na drugą stronę ulicy.

Gestapowcy wzywali różnych ludzi na przesłuchania, podczas których kilka osób zostało ciężko pobitych. Innych natomiast przesłuchiowano spokojnie, pozwalano im nawet siedzieć. Większość zatrzymanych osób, po kilku dniach przesłuchań zwalniano. Jednak spośród aresztowanych, niektórzy zostali wywiezieni do Hancewicz.

Zatrudniona na żandarmerii przez komendanta Telechan tłumaczka Maria Struniewska, w gestapowskich przesłuchaniach nie uczestniczyła. Obaj oficerowie w czarnych mundurach, mówili biegle po rosyjsku. Struniewska widziała skatowanych przez gestapowców ludzi i twierdziła, że odmówiłaby udziału w przesłuchaniach nawet wówczas, gdyby miano ją rozstrzelać.

Gestapowcy w ciągu tygodnia zakończyli przesłuchania i odjechali do Pińska pod ochroną pancernego samochodu z kilkunastoma żołnierzami. Żołnierze ci przebywając w Telechanach, kwaterowali w hotelu stojącym niemal naprzeciwko naszego domu. Z tym faktem związane było pewne zdawać by się mogło drobne wydarzenie, które jednak utkwіło mi w pamięci, jak wyuczona rola w teatralnej sztuce.

Powróciłem właśnie ze szkoły i w kuchni gdzie krzątała się mama, jadłem obiad. Nagle na werandzie rozległy się ciężkie kroki i ktoś zastukał do drzwi. Do kuchni wszedł wysoki blondyn w mundurze podoficera wermachtu.

– Dzień dobry – powiedział najczystsą polszczyzną – mam prośbę. Czy pożyczysz mi pani jakiś drobny pilnik, albo kamień do ostrzenia? Chcę naostrzyć bagnet.

Mama bez słowa wyjęła z szuflady kamienną ostrzałkę do kuchennych noży i podała ją żołnierzowi. Ten bezceremonialnie usiadł na ławie pod oknem, wyciągnął z pochwy bagnet i zaczął go ostrzyć. Jednocześnie zadawał jakieś pytania bez żadnego znaczenia to mamie, to mnie.

Mama sprowokowana jego nienaganną polszczyzną, w końcu odezwała się.

– Pan mówi pięknie po polsku – powiedziała.

– Proszę pani – moja rodzina od trzech pokoleń mieszka w Bromberg. Wy Polacy po zajęciu tego miasta, nazwaliście go Bydgoszczą. Kiedy ja się urodziłem, to Bromberg był już zajęty przez Polaków. Musiałem chodzić do polskiej szkoły i zdawałem polską maturę, ale jestem najczystszej krwi Niemcem. Nikt z mojej rodziny nigdy jej nie spaskudził, choćby jedną kroplą polskiej. Zawsze byliśmy bardzo dumni z tego, że jesteśmy Niemcami.

– Opowiem pani takie zdarzenie z mojego życia. Mieszkaliśmy w dużej kamienicy, w której oprócz naszej rodziny, mieszkali sami Polacy. W oficynie

tej kamienicy, była piekarnia. Też należała do Polaka. W lecie przy ładnej pogodzie, ten piekarz wystawiał na słońce przed włożeniem do pieca drożdżowe bułeczki, żeby szybko i ładnie wyrosły.

– Miałem jakieś osiem lat, kiedy zachciało mi się piekarzowi napsocić. Jak on wystawiał bułeczki na słońce, to ja w każdej z nich palcem robiłem dziurkę. Piekarz kłął strasznie, ale nie wiedział kto mu to robi, bo dzieci w kamienicy mieszkało dużo.

– Za którymś razem, upilnowała mnie piekarzowa. Złapała mnie na gorącym uczynku i tak powykręcała uszy, że z wielkim płaczem uciekłem do domu. Wtedy moja mamusia wzięła pas i poszła do piekarzy. On był w piekarni, to mamusi nikt nie przeszkodził tak zbić piekarzową, aż jej z ust i nosa poszła krew. Wtedy mamusia powiedziała:

– Ty polska świnió, żono polskiego knura! Zapamiętaj do końca życia, że nie wolno ci nawet palcem dotknąć niemieckiego dziecka! Pani wie, że jak w trzydziestym dziewiątym roku nasi wyzwolili Bromberg, to piekarzy Gestapo natychmiast aresztowało?

– No, to bagnecik wyostrzyłem już jak brzytwę. Oddaję kamyczek z podziękowaniem. Była pani bardzo uprzejma. Życzę dużo zdrowia. Auf Wiedersehen. (Do widzenia).

Zrozumiałe, że kiedy psotny chłopczyk uzbrojony w bagnet opowiadał o swojej mamusi, moja mamusia mu w tym nie przeszkadzała.

ROZDZIAŁ 4

Dzień w Telechanach upływał za dniem, a nad miasteczko nadciągały coraz czarniejsze okupacyjne chmury. Zaopatrzenie ludności nadal było fatalne. Coraz częściej słychać było o wypadkach zachorowania na tyfus, a ludzie zakażeni świerzbem drapali się, nijak nie mogąc się go pozbyć.

Nad takimi to urokami okupacyjnego życia, górowała jeszcze niemiecka grabieżcza polityka. Dwaj poborcy z pejczami zwani Chapunami, bezlitośnie wymuszali na ludziach oddawanie Niemcom daniny, nazywanej przez nich perfidnie podatkami. Kiedy minęła zima i na świecie zrobiło się ciepło, nie ograniczali się już do robienia krwawych befsztyków z poleszuckich tyłków na podwórzu Rejonu. W towarzystwie kilku żandarmów i czarnych policjantów, jeździli po wsiach z wykazami zadłużonych gospodarstw. Kara chłosty odbywała się we wsiach publicznie, na oczach spędzonych na miejsce kaźni mieszkańców.

Okupant niemiecki Polesie odzierał ze wszystkich możliwych płodów tej ziemi. Do Niemiec płynęły szeroką rzeką zrabowane ludziom zboża, wszelkie kasze, mięso, owcza wełna, len, skóry... Jeszcze jesienią ubiegłego roku, rozpoczął się bezlitosny rabunkowy wyrąb lasów. Do tej rzeki wszelkich poleskich dóbr płynących do Trzeciej Rzeszy, wpływał również strumyczek z ziemi telechańskiej, nadzorowany przez brzuchatych niemieckich administratorów, przy pomocy Chapunów.

Do przetworzenia zrabowanych bogactw w żywność i przedmioty niezbędne do zaopatrzenia walczących na froncie wojsk, fabryki potrzebowały rąk do pracy. Potrzebował ich również gigantyczny niemiecki przemysł wojenny. A tych Niemcom rozpaczliwie brakowało. Mężczyzn wchłonęła nienasycona armia, pozostawiając w kraju tylko kobiety, starców, dzieci i faszystowską bezpiekę.

W tej sytuacji, apetyt zaborców nie ograniczył się tylko do wysysania z okupowanych terenów dóbr materialnych. Tereny te były również nieprzebranym źródłem siły roboczej, której Niemcom tak rozpaczliwie brakowało.

Na przełomie marca i kwietnia rozeszła się po miasteczku i okolicy wieść, że w niektórych Rejonach okupant zażądał sporządzenie wykazów młodzieży, w wieku od szesnastego do dwudziestego piątego roku życia. Była to zapowiedź branki młodzieży, którą miano wywieźć do Rzeszy na przymusowe roboty.

Wiadomość o mającej nastąpić brance młodzieży, ludzie Telechan przyjęli różnie. Trochę młodzieży natychmiast gdzieś się ulotniło. Przebąkiwano, że poszli do partyzantki. Inni zachowali bierną postawę martwiąc się razem ze swoimi rodzicami, jaki los ich czeka w razie wywiezienia. Było również kilkoro takich, którzy cieszyli się, że zobaczą kawał świata.

W związku z branką młodzieży do Niemiec, niepokój zapanował również w naszym domu. Moja siostra Mundzia, za kilka miesięcy rozpoczynała szesnasty rok życia. Nie było żadnej pewności, czy w którejś następnej brance ona również nie zostanie wyznaczona na wyjazd do pracy w Rzeszy.

To samo zmartwienie pojawiło się również w domu cioci Mirki i wujka Nikodema, ponieważ tam rozpoczęto rejestrowanie młodych niepracujących ludzi, celem wywiezienia ich na przymusowe roboty do Niemiec. Groźba ta zawisła także nad ich rodziną, gdyż oprócz syna Gieńka mojego rówieśnika, mieli jeszcze dwóch synów dryblasów. Kuzynek Aleksander miał lat dziewiętnaście, a Sergiusz, siedemnaście.



Ciocia Mirka
w ludowym poleskim stroju.



Fotografia wujka Nikodema Pawelczuka
z 1915 roku, kiedy odbywał wojskową
służbę w rosyjskiej marynarce wojennej.

W związku z pojawieniem się niebezpieczeństwa wywózki obu chłopców do Rzeszy, rodzice ich podjęli próbę rozwiązania tego problemu, wspólnie z moimi rodzicami. Któregoś dnia, niespodziewanie zjawiała się u nas ciocia Mirka z Gieńkiem. Ciocia z wujkiem uznali, że jazda furmanką przez lasy w tak niespokojnych czasach będzie bezpieczniejszą dla niemłodej kobiety z dzieckiem, aniżeli dla mężczyzny.

Decyzja podjęcia próby ratowania chłopców przed wywózką, zapadła już pierwszego wieczoru po przyjeździe cioci. Ojciec pracując w biurze Rejonu wiedział, że poszukuje się ludzi, którzy mogliby podjąć się pracy nauczycieli w dwóch wiejskich szkołach nieopodal Telechan. Ponieważ Aleksander



Fotografia rodziny cioci Mirki i wuja Nikodema, z lipca 1939 roku. Stoją kolejno wujek, ciocia, ich starszy syn Aleksander i przyjaciółka cioci Mirki pani Antonina. Młodszy ich syn Sergiusz, siedzi. Druga dziewczynka z lewej strony zdjęcia to moja siostra Mundzia, a dwie pozostałe, to córki pani Antoniny. Urządzenie stojące pomiędzy dziećmi, to miniaturowy tkacki warsztat wykonany przez Aleksandra.

jeszcze przed wybuchem wojny uczył się w średniej szkole pedagogicznej, a Sergiusz rozpoczął tam naukę w 1939 roku, więc były jakieś punkty zaczepienia. A więc, może ten manewr się uda, skoro Niemcy jeszcze nie rejestrują młodzieży w telechańskim Rejonie.

Następnego dnia, ojciec przyniósł po pracy wiadomość, że kandydatury moich kuzynów na nauczycieli, wzbudziły zainteresowanie rejonowego inspektora do spraw szkolnictwa. Wobec takiego obrotu sprawy, kilka dni po wyjeździe cioci Mirki zjawili się u nas jej obaj synowie, Aleksander i Sergiusz. Przyjechali ze swoim sąsiadem Horochem, który przywiózł także swojego dwudziestoletniego syna Polikarpa. On także uczył się z moimi kuzynami w pedagogicznej szkole, tyle, że w starszej klasie.

Niebawem obaj moi kuzyni zostali zatrudnieni jako nauczyciele w pobliskiej wsi Kolońsk, a Horocha zrobiono nawet ich kierownikiem. Do tej pory, kolońska szkoła z braku nauczycieli była zamknięta. Ponieważ do wakacji pozostały niecałe trzy miesiące, moi kuzyni i Horoch, mieli rozpocząć pracę od nowego szkolnego roku we wrześniu. Niemniej w kieszeniach mieli już po dokumencie, że są zatrudnieni jako nauczyciele. Rodzice moi, i tych pożał się Boże pedagogów, odetchnęli z ulgą. Na razie groźba wywózki chłopców do Niemiec, została oddalona.

Do czasu pomyślnego zakończenia sprawy zatrudnienia całej trójki w szkole, przez kilka dni gościł u nas ojciec Polikarpa, stary Horoch. Jak

na prostego wiejskiego człowieka odznaczał się wysokim stopniem ogłady i przy tym był bardzo sympatyczny. Po pomyślnym załatwieniu sprawy zatrudnienia jego syna w szkole, nie znajdował słów podziękowania dla moich rodziców. Żegnając się z nimi przed odjazdem do domu człowiek był tak wzruszony, że miał w oczach łzy.

Kuzynkowie Aleksander i Sergiusz, pozostali u nas. Moi rodzice uznali bowiem, że wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa branki, przebywanie w pobliżu „ich” szkoły będzie uzasadnione i dla nich bezpieczniejsze.

Chłopcy zamieszkali w gościnnym pokoju. Byli dobrze ułożeni, niekłopotliwi i bardzo chętni do wykonywania wszelkich prac. Na miarę potrzeb naszego i wujostwa domu, pomagali w różnych gospodarskich pracach. Szła wiosna, a obie nasze rodziny posiadały duże warzywne ogrody. Mieli także sporo wiosennych zajęć w obu sadach, gdzie nasz przy sadzie wuja Stefana był mikrym karzełkiem.

Obaj kuzyni byli bardzo muzykalni i mieli piękne głosy. Jadąc do nas, zabrali ze sobą swoje instrumenty. Aleksander grał na gitarze i śpiewał barrytonem, a Sergiusz popisywał się głosem tenorowym, grając na mandolinie. Obaj stanowili wspaniały duet i wieczorami dawali przemiłe koncerty z repertuarem prastarych rosyjskich i cygańskich romansów.

Bywało, że na te rodzinne wokalne muzyczne występy przychodzili wujostwo z Mureczką. O dziwo, nigdy nie zdarzyło się, żeby ciotka Mania zrobiła kiedykolwiek jakąś uszczypliwą uwagę wobec artystycznych popisów moich kuzynów. Wręcz odwrotnie, cukierkowe słowa śpiewanych romansów o tragicznej miłości, cioteczkę rozrzewniały do stanu posiorbywania nosem.

Aleksander w odróżnieniu od spokojnego i zrównoważonego Sergiusza, był typem człowieka, którego stale rozpierała niezaspokojona potrzeba podejmowania coraz to nowych, twórczych zajęć. Niebawem okazało się, że jego niespokojny duch znalazł sobie ujście w inicjatywie poprawienia doli telechańskich palaczy tytoniu.

Choć to zabrzmiało dziwnie, ale niemiecka okupacja również i na palaczach tytoniu odcisnęła swoje piętno. Jeszcze w 1939 roku z nastaniem sowieckiej władzy, ze sklepów i kramików zniknęły zapasy znajdujących się tam przeróżnych gatunków papierosów i tytoni, oraz bibułka papierosowej „Solali”. Co prawda, sowiecki handel dostarczał jakiś tytoń, a także papierosy „Kazbeki” z wizerunkiem kaukazkiego jeźdźcy na pudełku. Jednak nawet palacze machorki samosiejki mówili, że one im nie smakują.

Nieszczęśliwcami stali się ci, którzy przyzwyczajeni byli do dobrych gatunkowo papierosów. Mój ojciec, który przed wojną palił jakieś luksusowe egipskie papierosy, teraz krztusił się machorą zawiniętą w grubą bibułę. Kaśka, ale z palenia nie zrezygnował.

Sytuacja palaczy pogorszyła się jeszcze bardziej, kiedy Polesiem zawładnął niemiecki okupant. Z handlu zniknęła sowiecka bibułka, do robienia papierosowych skrętów. Do robienia ich pozostały teraz wyłącznie pojawiające się z rzadka gazety, drukowane w białoruskim języku. Papier był gruby,

a druk rozpuszczał się w ślinie. Wobec tego, palacze na ogół ćmili machorę w papierze z książek, albo przedwojennych czasopism. Zależało od tego kto co miał w domu, albo co zdobył.

Jeden z mieszkańców Telechan Kuroczkin, poszedł na prosty sposób zdobywania tytoniu. Mianowicie zbierał skrzętnie po ulicach wszystkie napotkane niedopałki. Wykruszał z nich resztki machorki i tak pozyskany surowiec zawijał w pierwszy lepszy zdobyty papier. Choć Kuroczkin był człowieczkiem nędznej postury, mały i chuderlawy, świetnie sobie radził z odzyskową machorą w byle papierze i o dziwo, nigdy nie kasłał.

Takich i tym podobnych problemów, nie przeżywał stary cieśla Struniewski. Ten wąsaty olbrzym, od niepamiętnych czasów hodował w swoim ogródku machorkę samosiejkę. Zbierał z niej liście, suszył, kroił i wypalał w ogromnej, osmalonej fajce. Ciągnął mozolnie dym przez skwierczący cybuch i wypuszczał ogromne kłęby niebieskiego dymu. Kiedy siedział przed swoim domem na ławce niewidoczny z ulicy za gęstwiną starego zdziczałego bzu, obecność jego zdradzał duszący zapach fajkowego dymu docierającego aż na ulicę.

Wiosną 1942 roku, któryś obrotny palacz zdobył jakimś cudem nasiona tytoniu, zwanego prawdziwie czy nie, „Wirginia”. Ojciec mój pozyskał od zaprzyjaźnionego palacza kilka sadzonek z pouczeniem, że ta delikatna roślina musi rosnąć „od południa i w zaciszu”. Latem wyrosło pięć prawie dwumetrowych roślin, z ogromnymi liśćmi.

Aleksander co kilka dni, zrywał z dołu roślin największe tytoniowe liście. Po wypreparowaniu z nich wszystkich grubych żyłek nanizywał na sznurki i rozwieszał na południowej ścianie domu, gdzie suszyły się na słońcu. Wyschnięte liście pachnące tak, że kręciło się w głowie, kuzyn układał w blaszanych pudełkach, których mnóstwo było na strychu. Leżały one tam jeszcze od czasów przedwojennych, a były to opakowania po chińskiej herbacie, jaką piło się u nas w domu.

Niebawem obrotny Aleksander po społu z aptekarzem Siemaszkinem wpadli na pomysł, aby z wysuszonych liści „Wirginii” robić cygaretki. Wspólnie wypracowali technikę zwijania i klejenia tytoniowych liści. W ten sposób pozbyli się problemu braku papierosowej bibułki. Teraz wszyscy szczęśliwi posiadacze „Wirginii”, zapragnęli palić cygaretki. Otrzymywany w zapłacie za ich produkcję bimber, aptekarz Siemaszkin poddawał ponownej obróbce. Uzyskany w ten sposób spirytus rozcieńczał do mocy, jaką posiada wódka.

Po taki alkoholowy rarytas, do Siemaszkina nie ustawiała się kolejka telechańskich ludzi, oni zadowalali się naogół mętnym samogonem. Mimo to, produkcja „prawdziwej” wódki szła w aptecę pełną parą, aby nadażyć zapotrzebowaniu Niemców, stacjonujących w Telechanach. Tu handel był wymieniony. Na konserwy, niemieckie słodczy, lekarstwa, a nawet na koce i buty.

I tak krąg zadowolonych ludzi, zamknął się. Szczęśliwi palacze tytoniu „Wirginia” zamieniali ze smakiem „cygaretki” w dym i popiół, spółka Siemaszkina z Aleksandrem porastała w dobrobyt, a żandarmi i opaśli administratorzy, pili „prawdziwy” sznaps.

ROZDZIAŁ 5

Kiedys jak zwykle niespodziewanie odwiedziła nas znajoma moich rodziców, Wiera z Wygonoszczy. Tym razem przyszła mając nadzieję, że poratujemy ją w zdobyciu nafty. Teraz z jej braku, oni na wsi jak za czasów swoich dziadów, znowu zmuszeni są świecić w chatach łuczywem.

Siedząc w kuchni, rozmawiała z mamą o panującej biedzie i o brance młodych ludzi, na przymusowe roboty w Niemczech. Mówiła, że w niektórych wsiach sołtysi już otrzymali polecenie zrobienia wykazów młodych mężczyzn i kobiet. Na wieść o tym, wielu spośród nich uciekło do partyzantki

– Chociły Nimci bilsz ludej na robotu, nu tak i polipszały sobi, teper majuć bilsz parczanou - chcieli Niemcy mieć więcej ludzi do pracy, no to poprawili sobie, teraz mają więcej partyzantów - westchnęła głęboko i z satysfakcją Wierka.

– Boże, jak mi tych młodych szkoda – ulitowała się mama.

Niedługo po wizycie Wiery, barbarzyńskie działania okupanta zapewniające darmową siłę roboczą w Niemczech, dotarły również do Telechan. W miesiącu maju, czarni policjanci rozniesli po domach wezwania dla około dwustu młodych ludzi, kobiet i mężczyzn. Napisane były w języku rosyjskim, a podpisywali je komendant miasteczka i burmistrz Radkiewicz. Pisma te powiadamiały adresatów, że zostali wyznaczeni do podjęcia przymusowej pracy na terytorium Wielkich Niemiec. Każda próba nieposłuszeństwa, zostanie ukarana natychmiastowym rozstrzelaniem. Wezwania mówiły również o dacie i miejscu zbiórki zwerbowanych ludzi. Tym miejscem była nasza szkoła.

W dniu zbiórki młodzieży, dzieci nie miały lekcji. Gromadzących się na szkolnym placu młodych ludzi, pilnowali policyjni siepacze. Wśród zwerbowanych do Niemiec było sporo młodych ludzi, których moi rodzice znali od małego dziecka. Między innymi znalazła się tam szkolna przyjaciółka Mundzi, starsza od niej o kilka miesięcy Lucia córka naszych sąsiadów Góźniczaków.

Przed wieczorem tego samego dnia, zaczęły gromadzić się przed szkołą podwozy. Tak nazywano chłopskie konne zaprzęgi, wyznaczone urzędowo do przymusowego wykonania transportowej usługi. Z pobliskich chutorów i wsi, zjechało się ich ponad dwadzieścia. Miały one za zadanie wywieźć wczesnym rankiem młodzież do punktu zbornego w Hancewiczach.

W nocy zaczął się wiosenny deszcz. Kiedy wstał ciepły majowy dzień, nad miasteczkiem niziutko wisiały chmury. Z nich bezszelestnie opadał gęsty deszczowy pył, wsiąkający we wszystko, co napotkał na swojej drodze. Zapowiadała się deszczowa trzydniówka.

W takiej scenarii wyruszyła spod szkoły kawalkada chłopskich furmanek, na których siedzieli młodzi ludzie z branki. Eskortowało ich dwóch żandar-

mów i parunastu czarnych policjantów. Pod szkołą zgromadził się tłum ludzi, żegnający wywożoną młodzież. Głównie rodziny, koleżanki i koledzy ofiar branki. Jedni i drudzy płakali i nawoływali się.

Z miasteczka w kierunku Hancewicz, jechało się ulicą Kościelną. Patrzyliśmy przez okna na wlokące się chłopskie wozy, ciągnięte przez mokre od deszczu poleskie koniki. Na furmankach, w sinym pyłe drobnego dżdżu siedzieli skuleni młodzi ludzie pookrywani pelerynami, derkami i workami. Gdzieś sterczała z wozu piramidka czarnej policyjnej peleryny, zakończona spiczastym kapturem.

– Zmokną na tym deszczu do kości biedacy – głosem pełnym litości powiedziała mama – To chyba nasza ziemia tak płacze za swoimi dziećmi.

– Żegnaj moja kochana Luciu – chlipnęła Mundzia i przytuliła do mamy.

* * *

Jeszcze tego samego deszczowego dnia przed wieczorem, sensacja niesiona od chutoru do chutoru, dotarła do Telechan. Dotyczyła wywiezionej młodzieży, a było to tak.

Kawalkada furmanek minawszy wieś Wólkę, znalazła się w wiekowym borze. Kiedy jechała wzdłuż leśnej poręby porośniętej z obu stron drogi wysokim młodniakiem, stała się rzecz niespodziewana. Z jednego wozu zwinnie zeskoczyła drobna dziewczuszka o imieniu Lenka i błyskawicznie zniknęła w młodniaku. Siedzący na najbliższym wozie policjant, usłyszawszy podejrzane odgłosy, wydobył się spod swojej peleryny.

– Szo take zrobiłasia? – Co się stało? – Zapytał.

– Odnadzi'uka utiekła u lis, hooon tama! – Jedna dziewczyna uciekła do lasu, o tam! – krzyknęło kilka osób, pokazując stronę przeciwną do ucieczki dziewczyny.

– Trymaj jeje, łowy! – Trzymaj ją, łap! – wrzasnęli policjanci, rzucając się na oślep w mokrą zieleń młodniaka. Za nimi, choć niechętnie, ruszyli się obaj żandarmi.

Kiedy policjanci zanurzyli się między sosenki, młodzież gremialnie rzuciła się w młodniak po przeciwnej stronie drogi, tam gdzie uciekła Lenka. Na wozach pozostało dosłownie kilkanaście osób. Wśród nich grzeczna i potulna Lucia Góźniczakówna, przyjaciółka mojej siostry.

Pierwsi w sytuacji zorientowali się Niemcy. Zaczęli wrzeszczeć „Halt,” i strzelać na oślep w las we właściwym kierunku. To z kolei spłoszyło chłopskie konie, które skłębity się na wąskiej leśnej drodze. Zanim czarni policjanci pojęli w czym rzecz i wydobyli się z młodniaka, upłynęło sporo czasu. Wściekli żandarmi wrzeszczeli, Poleszucy uspokajali swoje koniki, a policaje bezskutecznie przetrząsali po właściwej stronie cały młodniak i duży obszar rosnącego za nim starego lasu. Bezskutecznie. Gościnny las przygarnął i schował swoje poleskie dzieci przed drapieżnym apetytem okupanta, pomnażając partyzanckie zastępy.

Maria Struniewska, telechańska tłumaczka na żandarmerii opowiadała później, że z gabinetu komendanta przez kilka dni były pioruny jego bezsilnej wściekłości. Niemców straszył wysłaniem na front, a policjantów rozstrzelaniem za sabotaż.

Po tym niepowodzeniu, na głowy Niemców zaczęły sypać się kolejne. Kończył się czas ich niefrasobliwego bytowania. Nienaruszona pozostała im jeszcze tylko jedna przyjemność. Udział w libacjach, które organizował im burmistrz i dwóch miejscowych lizusów.

Burmistrzem w Telechanach, teraz nie był już Jakutowicz. Biedakowi zmarło się jeszcze zimą na zapalenie płuc. Przez dwa tygodnie walczył z chorobą o życie, zanim wyzionął ducha. Kilka dni później, miejsce po nieboszczyku zajął ściągnięty skądś przez Niemców, mówiący dobrze po niemiecku wielki i brzuchaty Rosjanin Radkiewicz. Jego urzędowanie, w zasadzie ograniczało się do nieustannego żłopania samogonu z Niemcami.

Kiedy latem czterdziestego drugiego roku, Niemcy podjęli w Rosji nową potężną ofensywę w celu dostania się do kaspijskiej ropy naftowej, bardzo nasiliły się partyzanckie działania. Było o nich słyhać coraz głośniejsze. Wciąż docierały nowe wiadomości o skutecznych zasadzkach na niemieckich żołnierzy, napadach na posterunki, wysadzaniu w powietrze wojskowych pociągów. Ten temat wpisał się już na stałe do codziennych rozmów pomiędzy ludźmi. Wieści te przywozili kolejarze pracujący na wąskotorowej ciuchci i ludzie zatrzymujący się przejazdem w Telechanach.

W miasteczku Niemcy wprowadzili obowiązek zaciemnienia okien. W oświetlone okna, patrole bez ostrzeżenia strzelały. Tak zginęła od kuli starsza Kisłowa, która nie zamknęła za sobą drzwi do oświetlonego pokoju. Wiktorski prawie cudem uniknął śmierci, gdy pół metra od jego głowy wybuchła na szafie kula dum-dum, kiedy ten w ciemnym pokoju przypalał papierosa. Ulicą akurat przechodził patrol. Zaniedbanie swoje biedny Wiktorski odpokutował dwudniowym ciężkim rozstrojem żołądka.

Któregoś dnia, ponownie zjawiała się u nas Wiera z Wygonoszczy. Jak mówiła i tym razem, przygnała ją tutaj bieda. U nich tam na wsi, od jakiegoś czasu nie sposób było zdobyć okruszka soli. Oni już od paru dni jedzą wszystko niesolone. Wybrała się w końcu do nas z nadzieją, że jakoś ją wspomozemy.

Siedziała Wiera swoim zwyczajem w kuchni na ławie, jadła chleb z marmoladą domowej roboty i siorbała z blaszanego kubka zbożową kawę. Kiedy skończyła utyskiwać na biedę, zaczęła opowiadać o partyzanckich oddziałach, których mnóstwo pojawiło się w nieprzebytych wygonoskich lasach. Chciał nie chciał, karmić ich trzeba, bo jak nie dasz po dobroci, to sami wezmą. A i Niemcy podatkami łupią ludzi niemiłosiernie. Zła sława dwóch niemieckich poborców z pejcami, przyszła do Wygonoszczy na posiekanych chłopskich tyłkach. Najgorsze są jednak uzbrojone bandy, włóczące się od wsi do wsi. Podają się za partyzantów, ale faktycznie tylko rabują co im w łapy wpadnie. Potyczek z Niemcami unikają jak ognia. Życ jest coraz trudniej.

ROZDZIAŁ 6

Ponurą monotonię okupacyjnego życia, niespodziewanie rozjaśnił w Telechanach prawosławny duchowny Ojciec Joan Strukowski. Ten nieprzeciętny znawca ludzkich dusz, zapragnął podnieść telechańskich ludzi na duchu odrywając ich bodaj na chwilę od ponurej i pełnej niebezpieczeństw rzeczywistości. Mając mocne oparcie w księdzu Tarnogórskim podjął starania, aby w miasteczku powstał amatorski teatralny zespół.

Popa kosztowało sporo energii i czasu, zanim wyjednał u komendanta miasteczka zgodę na utworzenie amatorskiego teatrzyku. Uzyskawszy ją wreszcie, zaczął kompletować zespół „aktorów.” Zgodę na zagranie ról w tym teatrzyku wyrazili małżonkowie Linko, pani Trydeńska, miejscowa piękność Tania Bogdanowiczówna i aptekarz Siemaszkin.

Przedstawienia miały odbyć się w nieczynnym teraz Domu Kultury, noszącym przed wojną nazwę Domu Ludowego. Dekorację sceny do tej sztuki, wykonali dwaj synowie warszawskiego artysty malarza pana Hermana, Karol i Adam. Ci dwaj kilkunastoletni chłopcy, spisali się tutaj na piątkę z plusem. Wykonana przez nich dekoracja wywoływała u widza optyczne złudzenie, że on sam znajduje się na wiejskiej ulicy, gdzie toczy się akcja przedstawienia. Złudzenie to potęgowały jeszcze dwa fragmenty krytych słomą chat, które ze sceny „wypełzały” na widownię.

Była to prościutka naiwna sztuka, oparta na białoruskim ludowym motywie. W oryginale nosiła nazwę „Zbiandeżanyj Sauka,” co oznacza zrozpaczonego Sawkę, którego grał pan Linko. Ukazywała ona odwieczne kłopoty zakochanej w sobie pary, gdzie jedno pochodziło z bogatej, a drugie z biednej rodziny. Całość przedstawienia ubarwiał Siemaszkin, występujący w roli wsiowego głupka. Oczywiście sztuka kończyła się dobrze, bo zaręczynami młodych.

Przedstawienia były darmowe, to też ilość chętnych do jego obejrzenia, przekraczała możliwości niewielkiej widowni. Na sali nie było żadnych siedzeń, stłoczeni widzowie sztukę oglądali stojąc. Pomimo, że wszystkie okna były otwarte, z ludzi obficie spływał pot. Nikomu to jednak nie psuło dobrego nastroju. Zduszeni ze sobą widzowie, na kapitalne gagi Siemaszkina reagowali grzmotem śmiechu.

Teatrzyk dał zaledwie cztery przedstawienia. Po dwa w sobotę i niedzielę. Po tych atrakcjach, niemiecki komendant miasteczka zabronił dalszej działalności teatrzyku. Tym sposobem, Telechany powróciły do okupacyjnej szarzyzny.

Letnie dni mijały szybko, a każdy następny mógł być gorszy od poprzedniego. Niepostrzeżenie przekwitły lipy i nadeszły żniwa. Z otaczających

miasteczko poletek, zniknęły kopce żyta. Ludzie będą niepewni jutra, nie zaniechali żywicieli ziemi i rozpoczęli podorywki ściernisk.

Według niemieckiego okupanta, zakończenie żniw powinno stać się czasem obfitego zgarniania podatków od ludności. Jednakże Niemcy nie mogli już tego dopilnować. Zapuszczanie się do odleglejszych miejscowości, zaczęło oznaczać niebezpieczeństwo utraty życia. Tym zacieklej ścigali podatki na terenach, które były dla nich jeszcze dostępne.

Ludzi zdziwiło, że właśnie w tym czasie zniknęli z Telechan oba „Chapuny,” niemieccy podatkowi poborcy z pejcami. Pani Wanda Girszel z hotelu, w którym kwaterowali obaj podatkowi zdziercy powiedziała rodzicom na ucho, że po ich rzeczy przyjechał żandarm z dwoma policjantami. Niemiec ostrzegł panią Wandę, że fakt ten ma przemilczeć jak grób, bo sama do niego trafi. Widocznie, „Chapunów” dopadli gdzieś poczynający sobie coraz śmielej partyzanci.

Głośnym echem po okolicy, rozniosły się dwa zuchwałe partyzanckie ataki na posterunki żandarmerii i policji. Jeden miał miejsce w Kosowie, drugi w Świętej Woli.

W ataku na miasteczko Kosów, partyzanci użyli nawet zdobyczej na Niemcach armaty. Zapewne w jakimś stopniu dzięki niej, łatwo opanowali posterunki żandarmerii i policji. Poza obfitymi zdobyczami w postaci broni, amunicji, żywności i lekarstw, uratowali jeszcze od zagłady kilkaset ludzkich istnień. W Kosowie, Niemcy Żydów nie wymordowali. Utworzyli tam dla nich getto i wykorzystywali do ciężkich publicznych robót. Partyzanci opanowawszy miasteczko uwolnili ich stamtąd, po czym wyprowadzili do lasu.



Partyzancka armata

Miesiąc później, partyzanci popisali się następnym brawurowym atakiem na posterunki żandarmerii i policji, tym razem w Świętej Woli.

W lesie zatrzymali wąskotorową ciuchcię, wiozącą do Świętej Woli na odkrytych wagonach robotników, pracujących przy wyrębie lasu. Przegnąwszy ich stamtąd załadowali się na nie sami i ruszyli w drogę. Kolejka przyjechała do Świętej Woli zgodnie z planem. Tyle, że obładowana partyzantami.

Zaskoczenie było tak piorunujące, że oba posterunki zostały zdobyte w oka mgnienia. Zginęli wszyscy żandarmi i czarni policjanci, a partyzanci obłowili się suto w broń, amunicję i leki. Wśród zabitych policjantów był również ich komendant, niejaki Griszka Rasputin, rodem z Telechan. To on obnosił się po miasteczku ze swoją „zasługą”, jak to podczas akcji zagłady Żydów, osobiście wywlekał z różnych kryjówek „żydowską gadzinę”.

Griszkę ukatrupiono w makabryczny sposób. Po wyniesieniu się partyzantów z miasteczka, w zdewastowanym posterunku ludzie znaleźli go w pomieszczeniu służącym za areszt. Jego ubabrany własnymi fekaliami nagi trup z odrąbanymi rękoma, zwisał głową do dołu z sufitowej belki. Na podłodze w kałuży krwi i fekalii Griszki, walały się jego odrąbane ręce i drwalska siekiera. Na ciele policjanta nie było żadnych innych obrażeń, ani śladu kul.

Ta barbarzyńska egzekucja, w zasadzie nie wstrząsnęła ludźmi. Powszechnie tylko uznano, że zadanie takiej śmierci kanalii Rasputinowi, było czymś osobistym odwetem za jego bestialstwa. Nie brakowało też osób, które znając sadystyczne wyczyny Griszki wręcz twierdziły, że w pełni zasłużył sobie na taką śmierć.

Cieszyło ludzi, że Niemcy coraz słabiej panują nad okupowanym terenem i ponoszą coraz więcej strat. Jednakże kilka dni później, radość z niepowodzeń Niemców stłamsiła straszna wiadomość. W odwecie za rozgromienie posterunków w Kosowie i Świętej Woli, oddziały esesmanów dokonały w tych miejscowościach mordów na setkach mieszkańców.

ROZDZIAŁ 7

Na świecie powoli wygasały ciężkie letnie upały, a noce stały się chłodne. Jakiś tydzień przed nastaniem września, zjawiał się u nas ponownie stary Horoch z synem Polikarpem. Następnego dnia, odwiózł go razem z moimi kuzyni Aleksandrem i Sergiuszem do niedalekiej wsi Kolońsk. Tej trójce udało się uniknąć branki do Niemiec, gdyż jeszcze wiosną uzyskali status nauczycieli. Teraz, zadaniem ich było otwarcie w Kolońsku szkoły i prowadzenie w niej lekcyjnych zajęć.

Rodzice moi i stary Horoch, byli pełni niepokoju o ich bezpieczeństwo w tej wsi, zdanej na łaskę i niełaskę partyzantów, Niemców i wszelakich bandziorów.

Z początkiem września, lekcyjne zajęcia rozpoczęły się także w telechańskiej szkole. Nauczycieli mieliśmy tych samych i w programie szkolnym też nic się nie zmieniło. Tylko dzieci pojawiło się w szkole o wiele mniej, jak w roku poprzednim.

W tym czasie, kiedy w szkole rozpoczęły się zajęcia, do Telechan dotarły wielkie pliki rozporządzenia, wydanego na rozkaz naczelnego wodza formacji SS, Himmlera.

Woźny Rejonu Bargieł długo objeżdżał na rowerze miasteczko, gęsto rozlepiając arkusiki tego rozporządzenia, przetłumaczonego na język rosyjski. Głosiło ono, że w związku z pojawieniem się na terenach podległych Trzeciej Rzeszy zbrojnych grup bandytów, niemieckie władze podjęły zdecydowane kroki, celem ich likwidacji.

Jednocześnie ostrzeżono cywilną ludność, że osoby podejrzane sprzyjaniu bandytom, lub okazujące nawet najmniejsze nieposłuszeństwo wobec niemieckich władz, będą rozstrzeliwane na równi z bandytami i Żydami.

Jeden z miejscowych niemieckich lizusów, uczestnik popijaw z żandarmami, w przypływie alkoholowego zaufania powiedział komuś, że mająca nastąpić potężna zbrojna akcja przeciwko partyzantom ma nosić dziwną nazwę „Błotnej febry.” Oczywiście, wiadomość rozniosła się po miasteczku błyskawicznie. Na potwierdzenie tego, telechańscy kolejarze z wąskotorówki opowiadali, że w ostatnich dniach przybyło do Iwacewicz i Baranowicz wiele pociągów, które przywiozły duże ilości zmotoryzowanego wojska, głównie formacji SS.

Pierwszymi znamionami zapowiedzianej akcji przeciwko partyzantom, było pojawianie się samolotów. Widać je było latające nisko nad horyzontem, po północnej stronie nieba. Tam ciągnęły się dziesiątkami kilometrów przepastne knieje i nieprzebyte bagna, będące zapewne siedliskami partyzantów. Każdy samolot po dokonaniu kilku okrążeń nurkował z wyciem silników,

po czym gwałtownie wyrywał w górę. Po chwili do uszu dochodziły głuche detonacje. A więc Niemcy bombardowali uroczyska. Ludzie nie wiedzieli, co Niemcy bombardują. Przecież wśród lasów i bagien, leżały poleskie wsie!

Odpowiedź przyszła w następnych dniach. Przynieśli ją okoliczni Poleszacy. Lotnictwo zrzucało bomby wyłącznie na uroczyska, czyli domniemane siedliska partyzantów. Następnie, obszary te przeczesują wojska formacji SS, własowców i policji. Zdarzają się potyczki z partyzantami, ale przeważnie udaje się im wyslizgnąć z opresji, gdyż znają doskonale leśne ostępy i bagna.

Niemiecka akcja „Błotnej febry” zgotowała straszny los mieszkańcom niedużej, zagubionej w puszczy wsi Kraśnica. Leżała ona na terenie objętym tą akcją. Esesmani otoczywszy wieś szczelnym pierścieniem, wymordowali wszystkich jej mieszkańców. Przed spaleniem wioski, zabrano z niej zgromadzone przez ludzi płody rolne i żywy inwentarz. Po wsi Kraśnica, pozostały jedynie trupy jej mieszkańców i zgliszcza.

Wobec strasznych wiadomości, jakie przynosiły następne dni, słabą pociechą była wieść o likwidacji niemieckiego oddziału przez partyzantów w następujących okolicznościach. Duże zgrupowanie esesmanów przeczesywało okoliczne lasy, celem wykrywania i likwidacji partyzanckich baz. Po morderczym przedzieraniu się przez puszcę i bagna, oddział dotarł do kanału Ogińskiego w miejscu, gdzie wpadał on do jeziora Wygonoskiego. Tutaj na wysokości dwunastej śluzy kanału, esesmani zgrupowali się na odpoczynek

Wówczas niespodziewanie zaatakował ich silny partyzancki oddział, odcinając jednocześnie dostęp do samochodów stojących na drodze. Jakiegokolwiek inne manewry, Niemcom uniemożliwiały wody kanału i jeziora. To była pułapka doskonała. Po zaciętej, trwającej kilka godzin bitwie, Niemcom udało się wreszcie wyrwać z okrążenia, umykając przed partyzantami na piechotę. Esesmani w czasie bitwy ponieśli ogromne straty, a wycofując się podobijali ciężko rannych sami.

Partyzanci wzbogacili się o duże ilości broni, amunicji i żywności. Zdobyli również dobrze zaopatrzoną aptekę. Porzucone przez Niemców na leśnej drodze samochody, spalili.

Taką dokładną relację o sromotnej klęsce Niemców, do Telechan przynieśli Poleszacy z Wygonoszczy i przyległej okolicy. Wśród nich, było wielu naczynych świadków tego pobojuwiska.

Jednakże mieszkańcy sąsiednich wiosek, zapłacili za to najwyższą cenę, cenę życia. Była połowa września czterdziestego drugiego roku, kiedy Niemcy rozwścieczeni słabymi rezultatami pacyfikacji i zaczepną aktywnością partyzantów, popełnili następne okrutne zbrodnie. Wojska SS spaliły trzy wsie leżące nad Bobrowickim jeziorem i wymordowały ich mieszkańców. Esesmani otaczali wioski ciasnym kordonem, uniemożliwiając w ten sposób ludziom ucieczkę. Następnie spędzali ich nad brzeg jeziora. Tam seriami z broni maszynowej wymordowano mężczyzn, kobiety i dzieci.

Wsie Wiado i Tupiczyce, zniknęły wraz ze wszystkimi mieszkańcami z powierzchni ziemi. W liczących ponad sześćuset mieszkańców Bobrowiczach, uratowało się zaledwie kilka osób. Esesmani opuszczając miejsca zbrodni, kazali uczestniczącej w akcji czarnej policji zabrać teraz już niczyje hodowlane zwierzęta, zboża i inne płody. Esesmani dokonując mordów mieszkańców tych wsi, z niemiecką skrupulatnością spalili też wszystkie zabudowaia.

W Telechanach widać było, jak nad północnym horyzontem podkreślonym czarną linią lasu, uniosły się ku niebu olbrzymie pióropusze ciemnoburzego dymu. Po zapadnięciu zmroku, długo jeszcze przerażała ludzi krwawa luna, która rozmyła się dopiero w brzasku wschodzącego słońca.

Jakieś dwa, trzy dni po dokonaniu przez Niemców tej zbrodni, w Świętej Woli na stacji wąskotorówki załadowano do wagonów zrabowane w spalonych wsiach dobra. Nie było wątpliwości, co do ich pochodzenia. Czarni policjanci pilnujący robotników przy załadunku, mówili o tym bez ogródek. Z załadowanych żywym inwentarzem i rolnymi płodami wagonów, kolejarzy zestawili w sumie kilka pociągów, odprawionych do stacji w Iwacewiczach i Janowie.

Niedługo po tych upiornych wydarzeniach, kiedy po powrocie ojca z pracy jedliśmy obiad, do domu nieomal bezszelestnie weszła jakaś nieznajoma kobiecina. Wyglądała żałośnie. Zawinięta była wraz z głową w wielką kraciastą chustę, spod której widać było kawałek brudnej, zniszczonej zapaski, oraz bose, pełne skaleczeń i zadrapań nogi. Z wynędzniałej twarzy patrzyły na nas niespokojne, rozbiegane oczy. W rękę trzymała niewielki, częściowo napełniony czymś płócienny worek.

Kiedy ojciec cicho i spokojnie zapytał kobietę czy potrzebuje pomocy, ta niespodziewanie rozplakała się w głos i z głębokim ukłonem zrobiła na piersi znak krzyża.

– Ludy dobryńkije, ja z Bobrowiczy, ja spłasiasia... – Ludzie drodzy, jestem z Bobrowicz, ja uratowałam się...

Kobieta odmówiła zaproszenia, aby usiąść przy stole. Powiedziała, że sama sobie śmierdzi od brudu, ale kiedy mama zaproponowała jej umycie się, odmówiła.

– Pani, dziakuju duże, ne chocz szczyoby was moi woszy oblizły – bardzo dziękuję, ale nie chcę, żeby was moje wszy oblażyły.

Niebawem kobiecina siedziała na taborecie po środku kuchni i jadła kaszę z miski przyciśniętej do piersi z taką łapczywością, jakiej nigdy dotąd nie widziałem. W miarę jak w misce ubywało kaszy, widać było, jak kobietę opuszcza nerwowe napięcie. Ręce i kolana przestały drżeć, kończyła jedzenie bez pośpiechu, rozluźniona. Po posiłku, kobieta ściągnęła z ramion chustkę i spod niej ukazał się duży, jakby nabrzmiaty brzuch.

– Jesteście brzemienna? – Spytała mama

– Bóg dał... – Kobieta rozplakała się ponownie – zima idzie, jak ja to małeństwo utrzymam przy życiu w ziemiance!

Potem zaczęła opowiadać o potwornych przeżyciach w czasie pacyfikacji Bobrowicz. Esesmani zastrzelili jej męża i najstarszego, kilkunastoletniego syna. Ocalała trójka młodszych dzieci, z których najmłodsze ma dwa latka. Z nimi przeleżała w chaszczach obok starej drewnianej studni do późnej nocy. Niezauważeni tam przez Niemców, prawie cudem nie stracili życia w inny sposób. Od palącego się w pobliżu budynku bił taki żar, że omal nie upiekli się w nim żywcem. Uratowała ich gruba zimowa świtka, którą byli przykryci. Kiedy ogień przygasł, udało się im wydostać niezauważonymi przez Niemców i policję do lasu.

Bez jedzenia i wody, przez dwa dni przedzierała się razem z dziećmi przez bagna do odległej o kilkanaście kilometrów Wygonoszczy, gdzie mieszka jej jakaś krewna. Padającym z wyczerpania dzieciom, dawała do picia wodę wyciśniętą z torfu. Na bagnach parokrotnie uniknęli śmierci kryjąc się w chaszczach, kiedy tamtędy przechodziła tyraliera Niemców, lub czarnych policjantów. Raz napotkali partyzantów. Ci dali im napić się do woli i nakarmili. Dzieci dostały nawet do zjedzenia po kawałku mięsa.

Kiedy wreszcie dotarli do Wygonoszczy okazało się, że Niemcy niedawno zabili tej krewnej męża i spalili dom, podejrzewając ich o sprzyjanie partyzantom. Gnieźdzą się więc razem w ziemiance, którą krewna wygrzebała

nieopodal spalonego domu. Ta krewna ciągle jej dokucza, że w ziemiance jest strasznie ciasno. Kobieta zaczęła więc, ryc już w ziemi dziurę na swoją ziemiankę. Ciężko idzie, brakuje sił...

Słuchaliśmy opowiadania cudem nieomal uratowanej kobiety. W tym czasie mama i Mundzia pochlipując nosami, przygotowywały dla niej jakieś zapasy jedzenia. Odsypywały z naszych skromnych zasobów mąkę, fasolę, groch i kasze.

Podziękowaniom i łzom radości ze strony bobrowickiej kobiety, nie było końca. Ojciec zapytał ją, co dzisiaj jeszcze chce zrobić. Jest późne popołudnie, do Wygonoszczy kilkanaście kilometrów, niebawem nadejdzie policyjna godzina.

– Panoczku, ja ne take uże pereżyła. Szczob ono szczęśliwo wyjtiy za horodok, a lisu ja ne bojusia!

– Panie, ja nie takie rzeczy przeżyłam. Byle szczęśliwie wyjść za miasteczko, a lasu ja nie boję się!



Powojenna fotografia Barbary Ślesarczyk z Bobrowicz, która przeżyła wraz ze swoimi dziećmi mord mieszkanców tej wsi, popełniony przez Niemców we wrześniu 1942 roku.

W kilka dni po tym jak była u nas kobieta z Bobrowicz, Niemcy zgotowali ludziom następne piekło. Nie spodziewanie zjawiała się u nas Wiera z Wygonoszczy. Na rękach trzymała swoją pięcioletnią córkę, a na plecach miała niewielki tobołek.

Kobieta siedziała w kuchni na ławie, trzymając na kolanach dziecko. Płacząc i zawodząc opowiadała o nieszczęściu, jakie spadło na nią i na całą Wygonoszcz.

W poprzednim dniu, niespodziewanie zjawilo się koło wsi kilka ciężarówek z żołnierzami formacji SS, którzy zaczęli otaczać miejscowość. To nie wróżyło niczego dobrego. Wśród mieszkańców wsi, którzy doskonale wiedzieli o zbrodniczych działaniach esesmanów, wybuchła panika. Oni przecież doskonale wiedzieli o spaleniu sąsiednich wiosek i zgładzeniu ich ludności.

Wielu ludzi, głównie młodych, usiłowało uciec do lasu. Okrążający wieś żołnierze strzelali do uciekających jak do zwierzyny. W ten sposób zginęło kilkoro młodych mężczyzn i dziewcząt. Kilku osobom udało się prześlizgnąć przez okrażenie i zapaść w wiekowym lesie.

Esesmani spędzili wszystkich mieszkańców Wygonoszczy na plac przed gminą. Do zgromadzonych w kilku zdaniach przemówił niemiecki oficer. Towarzyszący mu cywil, który przyjechał z wojskiem, przetłumaczył słowa oficera. Oto ludność Wygonoszczy za udzielanie wsparcia partyzantom, zostanie surowo ukarana.

Następnie żołnierze wywlekli ze zbitej gromady dwudziestu przypadkowo wybranych mężczyzn i rozstrzelali na oczach przerażonych ludzi. Wśród zamordowanych, znalazł się także mąż Wiery.

Przed odjazdem, Niemcy podpalili we wsi większość zabudowań. Z gospodarstwa Wiery pozostała kupa popiołu. Z płonącego domu, z trudem udało się jej wynieść tylko parę osobistych rzeczy, swoich i dziecka.

Z pięcioletnią dziewczynką i żalosnym dobytkiem w niewielkim tobołku, bezradna i roztrzęsiona Wiera zjawiała się w naszym domu. Tragicznie owdowiała kobieta zamieszkała razem z dzieckiem w naszej kuchni. Rodzice dzielili się z nimi jedzeniem, jakie spożywała nasza rodzina.

Jednakże Wiera, młoda zdrowa i energiczna kobieta szybko otrząsnęła się z ciężaru nieszczęścia, jakie na nią spadło. Nawykła od dziecka do ciężkiej pracy, znalazła sobie doskonałe zajęcie. Chodziła po okolicznych chutorach i przynosiła stamtąd do przędzenia len, albo owczą wełnę. Potem całymi dniami za pomocą wrzeczona mojej mamy, snuła niekończącą się nić. Cza-



Syn Barbary Ślesarczuk, Roman.
Fotografia wykonana w 2004 r.

mi przynosiła gotową już wełnianą przędzę i z niej robiła na drutach grube swetry, szaliki, rękawice. Niebawem cała kuchnia przesiąkła ostrym zapachem owczej wełny.

Za wykonane roboty, Wiera otrzymywała zapłatę w różnej postaci. Był to kawałek słoniny, rzadziej mięsa, mąka, kasza, albo fasola. Te wszystkie dobra przekazywała mamie. Mama początkowo zżymała się przed przyjmowaniem tych produktów, ale coś z tym trzeba było zrobić. W końcu Wiera i jej dziecko, jadły ze wspólnego z nami garnka.

Córka Wierzy pięcioletnia Szurka, bo tak matka nazywała zdrobniale swoją małą Aleksandrę, była bojaźliwym dzieckiem z wielką szopą jasnych włosów. Dopóki na świecie było jeszcze ciepło, nie odstępowała matki. Kiedy jednak nadeszły chłody, dziecko z braku odpowiedniego ubrania, musiało siedzieć w domu.

Początkowo Szurka mazała się, kiedy Wierzy nie było w domu. Z czasem ośmieliła się na tyle, że nawet próbowała bawić z nami. Ale z bratem moim, kilkakrotnie od niej starszym, wspólnego języka nie znajdowała. Dla mnie też już nie była kompanem do wspólnej zabawy, a przedszkolanka ze mnie była do niczego. Toteż próba podjęcia wspólnej zabawy, często kończyła się rykiem małej. Wtedy na odsiecz małej śpieszyła mama, pocieszając dziecko.

Wkrótce Szurka podczas nieobecności Wierzy, zaczęła nie odstępować mojej mamy. Ona zaś, potrafiła przy swoich kuchennych zajęciach godzinami opowiadać małej bajki. W mojej ocenie było im razem na tyle dobrze, że nie raz szarpała mną zazdrość. A więc ciotka Mania miała trochę racji, bo tkwił we mnie jakiś podlec. Może nie bolszewicki, jak tego cioteczka sobie życzyła, ale zawsze...

ROZDZIAŁ 8

Był zimny i dżdżysty dzień kończącego się września 1942 roku. Około południa, ze skrzypem i jazgotem dawno nie smarowanych drewnianych kół, od strony Pińska wjechał do miasteczka długi tabor konnych, dziwacznych wozów. Wozy były małe, płaskie, zbudowane całkowicie z drewna, nawet bez śladu żelaza. Te archaiczne, rodem ze średniowiecza wózki ciągnęły niewielkie, włochate, wynędzniałe koniki. Na wozach wśród tobołków siedziały zakutane w łachmany kobiety i dzieci. Gdzieniegdzie, na wozie między kobietami tkwił starzec z siwą, zmierzwioną brodą. Tę dziwną karawanę konwojowało kilku czarnych policjantów, jadących na furmankach miejscowych Poleszuków.

Jeszcze tabor wozów nie wjechał dobrze do miasteczka, a już telechańscy ludkowie zwiedzieli się, że są to ludzie pochodzący z okolic rosyjskich miast Wielkie Łuki i Rżew. Tam latem 1942 roku toczyły się niezwykle ciężkie boje pomiędzy wojskami sowieckimi i niemieckimi. Później Niemcy pisali w gazetach, że niezwyciężona niemiecka armia po zadaniu bolszewikom ciężkich strat, wycofała się na z góry upatrzone pozycje. Z tym upatrzeniem pozycji widać było kiepsko bo Niemcy wciąż się cofali, a sowiecka ofensywa od Wielkich Łuków aż po Czarne Morze parła do przodu.

Po chwilowym postoju na rynku, tabor został skierowany do baraków znajdujących się obok stacji kolejowej. Ostatni raz były one wykorzystane do gromadzenia Żydów przed dokonaniem na nich mordów.

Bieżeńcy, tak nazywano z rosyjska uchodźców, wynieśli spod ognia straszliwych bitew żywe głowy, ale byli nieludzko wycieńczeni. Panowała wśród nich wszawica i choroby, tyfus i czerwonka. To też następnego dnia raniutko, Niemcy wysłali do baraków odsiadującego na żandarmerii karę więzienia fryzjera Majcherskiego, celem wygolenia wszystkim uchodźcom włosów porastających ciała kobiet, dzieci i starców. Podobno po dwóch dniach harówki Majcherski powróciwszy do swojej celi, odchorował ten wyczyn.

Niemcy panicznie bojący się zakaźnych chorób, po umieszczeniu uchodźców w barakach wydali kategoryczny zakaz opuszczania ich. Pojawienie się bieżeńca w miasteczku, miało być równoznaczne z rozstrzelaniem go na miejscu. Dziwne, ale w tym wypadku zawsze skrupulatni Niemcy, swojego ostrzeżenia w czyn nie wprowadzili.

W rezultacie, po miasteczku gęsto włóczyły się wynędzniałe kobiety z chustkami na wygolonych głowach, dzieci z zapadniętymi, podkrążonymi na czarno oczyma, ślaniali się starcy. Ćma tych nędzarzy oblepiających codziennie ulice miasteczka, błagała o jedzenie. Z wdzięcznością przyjmowali chleb, kaszę, ziemniaki. Głodne Telechany oskubywane bezlitośnie przez

Niemców pomagały zagłodzonej biedocie z baraków jak mogły, gdyż utworzona tam kuchnia nie zapewniała wynędzniałym ludziom utrzymanie się przy życiu. Gotowano w niej wyłącznie kartofle i buraki w ilościach, dających głodowe porcyjki jadła. Bieżeńcy zaraz na początku swojego pobytu w miasteczku, zjedli prawie wszystkie swoje nieprzydatne już do niczego wynędzniałe koniki.

Nasza rodzina na miarę swoich możliwości, ratowała tę zagłodzoną biedotę. Mama oddawała żebrzącym zbędną odzież i dzieliła się naszymi zapasami żywności. Niebawem okazało się, że nasza spiżarnia pustoszeje w zaskakującym tempie, co zmusiło nas do obdarowywania nędzarzy mniejszymi datkami.

Głód, zimno i choroby panujące w barakach powodowały wśród bieżeńców dużą umieralność, głównie wśród dzieci i starców. Najwięcej śmiertelnych ofiar zbierał panujący tam tyfus plamisty. Zmarłych bieżeńców, grzebano w pobliżu masowych grobów telechańskich zamordowanych Żydów.

Mimo niezwykle ciężkich warunków bytowania, większości uchodźcom udało się przetrwać srogie mrozy zimy. Z nadchodzącą wiosną 1943 roku, panujący wśród nich tyfus praktycznie wygasł. W tej sytuacji, komendant miasta zezwolił uchodźcom na swobodne poruszanie się, a nawet przenoszenie z baraków do opuszczonych pożydowskich domów. Wtedy wielu spośród nich zaczęło rozpaczliwie poszukiwać jakiegokolwiek pracy, choć byli i tacy, którzy nadal wolli żebrać.

Rosyjskie kobiety przywykłe do ciężkiej pracy, miały się każdego zajęcia. Pracowały przy wyrębie lasu, który Niemcy cięli cały rok, pracowały w tartaku, smolarni. Z nastaniem wiosny najmowały się do polowych robót u okolicznych Poleszuków, za przysłowiową łyżkę zupy i kromkę chleba. Miały przecież na utrzymaniu ocalałe jeszcze dzieci i dogorywających starców.

Te pomimo zabiedzenia piersiaste, przeważnie o bryłowej budowie kobiety, okazały się być niezwykle silne i odporne na wszystkie nieszczęścia, jakie na nie spadły. Nic nie wiedziały o losie swoich mężów, ojców i braci, których pochłonięła nienasycona w swym okrucieństwie wojna. W ogóle, to mówiły o tym niechętnie, całkowicie pochłonięte walką o przetrwanie swoje i swoich ocalałych dzieci.

Sporo bieżeńców, a głównie ludzie starzy, po oficjalnym zezwoleniu opuszczania baraków, zaczęło uczęszczać na nabożeństwa w cerkwi. Niektórzy z nich opowiadali, że nie byli w cerkwi od dziesięciu i więcej lat. Na rozkaz Stalina, w latach trzydziestych zamknięte zostały w sowieckiej Rosji prawie wszystkie cerkwie. Oczywiście, że szczególną pobożność wykazywali tutaj starcy. „Odmodlali” wszystkie lata, kiedy dostęp do świątyń był im utrudniany, lub całkowicie uniemożliwiony.

Kiedy Niemcy oficjalnie zezwolili bieżeńcom na przesiedlanie się do pustych pożydowskich domów, bywały wypadki, że niektórzy samotni uchodźcy zostali przygarnięci pod dach przez telechańskich ludzi. Tym to sposobem, w małym domku cici Katarzyny zamieszkała Daria Iwanowna.

Kobiety znały się już od kilku miesięcy i darzyły sympatią. Ciocia zaproponowała Darii Iwanownej wprowadzenie się do malusieńkiego pokoiku, który tak naprawdę był przedłużeniem przedpokoju. Zmieściło się tam tylko stare, wąskie żelazne łóżko przyniesione ze strychu i jedno krzeselko.

Pod swój nowy dach w domu cioci Katarzyny, Daria Iwanowna ubrana w połatany waciak i dziurawe walonki, przyczłapała z małym tobołkiem pod pachą. Ciocia ofiarowała jej coś ze swoich ubrań i oto niedawna zabiedzona bieżenka, ofiara sowieckiej władzy i okrutnej wojny, przeobraziła się w miłą starszą panią.

Daria Iwanowna była niemłoda, posiwiała kobietą. Jednakże na jej twarzy zachowały się resztki niegdysiejszej urody. Trudno powiedzieć, była to wada, czy zaleta Darii Iwanownej, ale cioci Katarzynie zapewne ciężko było znosić jej niekończącą się paplaninę o własnych dziejach. Swoje opowieści wiodła pięknym, choć trochę już archaicznym rosyjskim językiem, budując obrazowo kwieciste zdania. Wielokrotnie powtarzała, iż jest wdzięczna dobremu Bogu, że choć na stare lata pozwolił jej zaprzestać jak mówiła, babrania własnego języka w knajackim dialekcie. Życie zmuszało ją do tego przez ponad ćwierćwiecze.

Daria pochodziła z dawnej orłowskiej guberni. Ojciec Darii był właścicielem wielkich dóbr ziemskich, a jego nazwisko słynęło w całej Europie za przyczyną pasji i zajęcia, przynoszącego mu krociowe zyski. W carskiej Rosji, orłowska gubernia słynęła bowiem na świat z hodowli koni kłusaków, zwanych z rosyjska rysakami. Majątek rodziców Darii, należał do jednego z największych hodowlanych ośrodków tych wspaniałych zwierząt.

Po wybuchu pierwszej światowej wojny, majątek ojca Darii zaczął podupadać, ale z powierzchni ziemi zmiotła go dopiero rewolucja 1917 roku. Rodzinne dobra zostały rozgrabione, wspaniałe rysaki wybite, a dwór spalono. Ojciec Darii, który wystąpił w obronie swojej własności, został rozniesiony na strzępy przez rozszalały tłum rabusiów. Ocalałą matkę przygarnęli dobrzy ludzie z pobliskiego miasteczka, gdzie niebawem zmarła. Dwaj bracia Darii, carscy gwardyjscy oficerowie, zginęli gdzieś na bezkresach Rosji objętych wojną domową.

Daria wyszła z tego żywa i zdrowa dzięki temu, że wówczas nie było jej w rodzinnym majątku. Czasowo przebywała w Wielkich Łukach u rodziny swojego męża, który będąc oficerem kawalerii walczył gdzieś na froncie. Po wygaśnięciu w Rosji krwawej domowej wojny, mąż Darii dotarł do Wielkich Łuków. Tam małżonkowie spotkali się po latach rozłąki. Z wojny powrócił chory, z niedoleczonymi ranami.

Radość spotkania nie trwała jednak długo. Przeszkodziła temu CZEKA, bolszewicka służba bezpieczeństwa z komisarzem Feliksem Dzierżyńskim na czele. Niebawem ustaliła ona, że mąż Darii i jego brat byli carskimi oficerami. Obaj, jako wrogowie ludu i rewolucji trafili za kratki i po krótkiej farsie śledztwa, zostali rozstrzelani. Dom szwagra Darii zarekwirowała radziecka władza i kobieta znalazła się dosłownie na ulicy. Po długiej poniewierce, do-

stała wreszcie pracę na dworcu kolejowym w Wielkich Łukach, jako sprzątaczką.

Pochodząca ze wspaniałej ziemiańskiej rodziny, starannie wychowana i wykształcona Daria Iwanowna trafiła na samo dno lumpenproletariatu. W nowym otoczeniu przedmieścia zamieszkałego głównie przez miejscowy motłoch, wyśmiewano się i szydzono z tych, którzy wyróżniali się sposobem mówienia czy bycia. Darii przyszło nauczyć się kłąć, pluć i smarzać przez palce na podłogę. Musiała też nauczyć się mówić po knajacku. Wtedy stała się niezauważalną, jedną z nich. Było to konieczne i z tego względu, że sowiecka władza wtedy skrupulatnie tępiła najmniejsze nawet przejawy „burżujskiego” sposobu bycia.

Po kilku latach związała się z koczeharem, parowozowym palaczem o imieniu Ostap. Zapisali się w „Zagsie,” sowieckim urzędzie stanu cywilnego i zostali oficjalnym małżeństwem. Był nienajgorszy, bo choć pił jak wszyscy, ale nie bił. Daria Iwanowna opowiadając o swoim drugim mężu, nigdy inaczej nie mówiła jak „mój Koczehar”, albo „ten mój Cham”. W ciągu ponad dziesięciu lat pożycia z Ostapem, na świat nie przyszło żadne dziecko, podobnie jak w pierwszym małżeństwie Darii.

I tak, upłynęło Darii z górą dwadzieścia lat na zamiętaniu dworcowej podłogi. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku, zmienił jej życie. Zaraz na początku wojny, Ostap zginął w lokomotywie pociągu, który zbombardowało niemieckie lotnictwo. Straszliwe działania wojenne niebawem dotarły do Wielkich Łuków, gdzie zebrały wśród cywilnej ludności obfite, krwawe żniwo. Darii udało się głowę ocalić.

Po zajęciu tych terenów przez Niemców, Darię wchłonęła fala uciekinierów z Wielkich Łuków, Rżewa i okolicznych wsi. Ta fala głodna i zawszawiona, zżerana przez choroby i dziesiątkowana przez śmierć, płynęła na skrzypiących drewnianych wózkach w kierunku zachodnim. Byle dalej od frontu. Po kilku miesiącach takiej gehenny, część tej fali dotarła do Telechan i tutaj pozostała. Pośród nich, piekło to przetrwała także Daria Iwanowna.

ROZDZIAŁ 9

Upłynęły niecałe dwa miesiące od czasu przybycia do Telechan bieżenców z okolic Wielkich Łuków i Rżewa, kiedy w miasteczku zjawił się duży, silnie uzbrojony oddział łotewskiego wojska. W okupowanej Łotwie, Niemcy utworzyli bowiem łotewską armię. Żołnierze nosili mundury podobne do niemieckich, ale mieli swoje dystynkcje i na czapkach jakiś narodowy znaczek. Wyposażeni byli w niemiecką broń.

Przybyły do Telechan oddział zajął połowę szkoły i stojący obok niej budynki przedwojennej gminy, w którym za sowieckiej okupacji gnieździło się NKWD. Wiele Łotyszy znało wystarczająco dobrze rosyjski język, żeby porozumiewać się z miejscowymi ludźmi, których traktowali bez cienia wrogości.



Kiedy spadł pierwszy śnieg, łotewscy żołnierze wzięli udział w bitwie na śnieżki.

Łotysze ludzie lasów i bagien, na Polesiu czuli się jak u siebie w kraju i prawie z marszu rozpoczęli zaczepne akcje przeciwko partyzantom. Pozostawiając w Telechanach nieduży oddziałek, zapadali w lasy na kilka dni. Wracając, przywozili nieraz rannych. Parokrotnie też, mówili o swoich kole-

gach zabitych podczas akcji. Jednak do Telechan zwłok nigdy nie przywozili, zapewne grzebali je gdzieś po lasach. Ciekawscy ludzie jakoś policzyli, że w czasie pobytu Łotyszy w miasteczku, stracili oni sześciu żołnierzy.

Partyzanci w tym czasie stanowili już na tyle dużą siłę, że parokrotnie sami podejmowali działania zaczepne przeciwko Łotyszom. Z miejsc potyczek zawsze zabierali swoich rannych, czy zabitych. Na ziemi pozostawały tylko ślady krwi.

Po jednej z kolejnych wypraw Łotyszy do lasu, zrobiło się o niej w Telechanach głośno. Wiadomość o swoim tak wielkim sukcesie, roztrąbili sami Łotysze. Za jednym wypadem udało się im zlikwidować cały partyzancki duży oddział. Nie było wiadomo, jak Łotysze wpadli na trop, który zaprowadził ich do partyzanckiego obozowiska. Oczekali w pobliżu do zapadnięcia nocy i wtedy ciasnym kołem otoczyli partyzantów, cichaczem likwidując po drodze wartowników. Następnie zarzucili obóz granatami. Granaty wybuchły w ogarniętym paniką ludzkim zbiorowisku, rozdzierały ludzi na strzępy. Partyzantów próbujących wyrwać się z okrążenia, kosiły serie z maszynowej broni. Całą akcję napastnikom ułatwiły palące się w obozie ogniska, było widno.

W ciągu kilkunastu minut, przestał istnieć duży partyzancki oddział. Kiedy zapanowała cisza przerywana tylko trzaskaniem płonącego w ogniskach drewna, Łotysze dokonali oględzin zrobionych przez siebie jatek. Zginęło kilkadziesiąt osób. Wśród zabitych było parę kobiet, prawdopodobnie spadochroniarek, gdyż miały na sobie sowieckie mundury. Sądząc po uzbrojeniu i wyposażeniu zlikwidowanego oddziału, partyzanci zaopatrywani byli przez zrzuty z sowieckich samolotów. Na wyposażeniu mieli nawet radiostację.

Sporo łotewskich żołnierzy mówiło po rosyjsku i ci szeroko rozpowiadali po Telechanach o swoim sukcesie. Niewątpliwie, likwidacja tak dużego oddziału była dla poleskiej partyzantki dużą stratą.

Początkowo ludzie dziwili się bardzo, dlaczego Łotysze pałają taką nienawiścią do sowieckich partyzantów. Z czasem rzecz się wyjaśniła, gdyż Łotysze przy każdej okazji opowiadali, jakim straszliwym represjom poddany był ich mały naród podczas bolszewickiej okupacji w latach 1939 - 41. To, co w tym samym czasie władze sowieckie wyprawiały w Telechanach, było represjami nieporównywalnie łagodniejszymi.

NKWD uznawało większość łotewskich obywateli za niebezpiecznych szpiegów, a przynajmniej za wrogów rewolucji. Ten, kto został aresztowany, mógł cieszyć się, że w czasie śledztwa nie dostał kuli w tył głowy. Za szczęśliwców uważani byli ci, co po farsie procesu trafiali do kryminału, albo w bydłących wagonach wywożeni byli na Sybir. W ciągu półtora roku sowieckiej okupacji, Łotwa spłynęła krwią.

W Telechanach poruszenie tematu łotewskiego wojska, ludziom kojarzyło się na ogół z walkami przeciwko partyzantom. Na ogół, ponieważ po jakimś czasie, do łotewskiego tematu wkradł się mały wątek o zabarwieniu towarzyskim.

Podczas okupacji, w małym poleskim miasteczku, miejscowe panny skazane były w zasadzie na adorację wyłącznie ze strony znanych im od urodzenia chłopaków. Ukazanie się nowej męskiej ładnej twarzy nawet w tych śmiertelnie niebezpiecznych czasach, było swojego rodzaju towarzyską atrakcją.

Człowiek ten nie był kandydatem do żeniaczki, ale nieprzeciętnie przystojnym łotewskim oficerkiem. Jego pojawienie się, powodowało zapewne szybsze bicie niejednego dziewiczego serca.

Peter, bo tak miał ów porucznik na imię, był wysoki, zgrabny, miał nienagane maniery i nosił nieskazitelnie leżący na nim mundur. Mówił, że jego ojciec był bogatym ziemianinem. Peter po ukończeniu w Niemczech studiów, pracował w Rydze jako inżynier konstruktor radioodbiorników. W 1939 roku po zajęciu Łotwy przez sowiecką Rosję, został aresztowany z tysiącami innych młodych ludzi. NKWD torturowało go w swoim więzieniu kilka miesięcy. Potem wraz z innymi więźniami, wysłany został bydłowym wagonem na Sybir. Peter miał szczęście, ponieważ więźniom udało się podczas transportu wyłamać w podłodze wagonu deskę i uciec. Do przyjsia Niemców, Peter przesiedział w lesie wśród bagien.

Peter w wolne wieczory chadzał na wymuszane przez siebie wizyty do domów, gdzie były dorosłe dziewczęta. Przynosił ze sobą gitarę i marnej jakości, ale prawdziwą herbatę, której telechańscy ludzie nie widzieli od bolszewickich czasów. Opowiadał Peter o swoim kraju, swoich przeżyciach. Ładnym głosem śpiewał rosyjskie romanse, akompaniując sobie na gitarze. Wytwornymi manierami czarował telechańskie matrony i ich córki.

ROZDZIAŁ 10

W ostatnim kwartale 1942 roku, Telechany wraz z okolicą przeżywały narastanie wciąż nowych i nowych wydarzeń. Do klęsk dotychczasowych w postaci bestialskich represji okupanta na cywilnej ludności, rosnącej wciąż biedy i panoszących się chorób, konsekwencji wzmagających się walk partyzanckich oddziałów z Niemcami i Łotyszami, zaczęły mnożyć się bezkarnie grasujące bandy rabujące cywilną ludność. Nikt nie potrafił przewidzieć, jakie nowe zdarzenie może jeszcze spaść na ludzi.

W tym piekielnym losowym tygłu, także i nasza rodzina uczestniczyła wbrew swojej woli. O pewnym zdarzeniu, które nastąpiło w pewne pochmurne listopadowe popołudnie, nikomu z nas nie mogło się nawet przyśnić.

Był jeszcze niby to dzień, ale w mieszkaniu po kątach i przy meblach czaiły się już załążki zmroku. W domu panowała zupełna cisza. Siedzieliśmy z bratem każdy na swoim ulubionym miejscu i mimo zapadającego mroku, pożeraliśmy treść kolejnej książki. W kuchni przykryta pledem spała Szurka, dziecko Wiery. Ojciec był gdzieś w mieście, a mama z Mundzią i Wierą pracowały w ogrodzie. Korzystając z suchej pogody, porządkowały go i zabezpieczały przed mrozami zimujące tam rośliny.

Zachrobotały wejściowe drzwi z sieni do kuchni. Usłyszałem kroki i głos ojca. Oprócz niego przyszedł jeszcze ktoś obcy. Porzuciłem książkę i już byłem w kuchni, przyglądając się przybyszowi. W istocie, był to ktoś, kogo widziałem po raz pierwszy. Człowiek ubrany był w ciemną jesionkę, w rękę trzymał dużą teczkę. Zdumienie moje wywołały naszyte na jesionce tego człowieka z przodu po lewej stronie i z tyłu na plecach, żółte sześcioramienne gwiazdy Dawida.

– Skąd tutaj Żyd, skoro Niemcy ich wymordowali? – Uderzyło mnie w głowę.

Ojciec z nieznanym weszli do pokoju, plątałem się przy nich.

– Niech pan zdejmie jesionkę – powiedział ojciec – proszę się rozgościć, zostawiam pana na chwilę z moimi synami.

– Dziękuję panu – głos nieznanego zabrzmiał jak basowa struna w gitarze kuzyna Aleksandra, syna wujka Nikodema.

Wiedziałem, że to niegrzeczne, ale nie mogłem przestać gapić się na gościa. Świadomość, że jest on Żydem, skręcała mnie w środku niezaspokojoną ciekawością.

– Skąd on się tutaj wziął? – Maltretowało mnie w duchu – przyszedł ot tak sobie z ulicy, nie bał się Niemców, a tata razem z nim ...

Teraz zauważyłem, że gościowi również natrętnie przygląda się mój brat. Pociągnąłem go za rękaw, wyszliśmy z pokoju i zaszyliśmy się w najdalszym kącie sypialni.

- To Żyd – zasyczał Stefan.
- Tak, Żyd, ale skąd on się w Telechanach wziął?
- Nie wiem, to dziwne ...
- A może on schował się u nas przed Niemcami?
- Możliwe ...

Narobiwszy sobie pytań bez odpowiedzi, wróciliśmy do nieznajomego. Siedział przy stole i palił papierosowego skręta. Był to człowiek mający około trzydziestu lat. Miał krótko przystryżone ciemne włosy i gęste brwi. Pod nimi duże, brązowe oczy patrzące niespokojnie, jakby przestraszone. Nos jego zaraz skojarzył mi się z ogórkiem, był długi i wygarbiony. Grube, lekko wywinięte wargi, od dołu podkreślone były szerokim podbródkiem z dołkiem po środku.

Obaj z bratem kręciliśmy się na krzesłach, to gapiąc się na przybysza, to zerkając jak mi się wydawało, porozumiewawczo na siebie. Nic z tego nie wynikało i myślę, że brat czuł się tak jak i ja coraz głupiej. Na szczęście milczenie przerwał nieznajomy.

– Jak ci na imię? – Pytanie skierowane było do mnie. Zmieszany wybąkałem je i byłem na siebie wściekły. W duchu uznałem, że jestem skończony dupek. To określenie używane przez syna ciotki Mani Stefcia, wydało mi się teraz najodpowiedniejsze dla mnie.

Brat mój zachowywał się normalniej i dzięki temu rozmowa zaczęła powoli rozkręcać się. Przerwało ją przyjście do domu rodziców, Wiery i siostry. Kobiety z Mundzią zajęły się przygotowywaniem kolacji, a ojciec rozmawiał z nieznajomym. Obaj z bratem próbowaliśmy coś z niej dla siebie wyłowić, ale niewiele z tego zrozumieliśmy.

– Pan wybacz – zwróciła się mama do nieznajomego – na kolację do ziemniaków mogę panu zaproponować tylko zsiadłe mleko, bo jajecznica jest na słoninie... – zająknęła się, była wyraźnie zmieszana.

– Bo jestem Żydem i słoniny nie jem? – Dokończył ze uśmiechem nieznajomy – proszę pani, czasy są takie, że jem wszystko co do jedzenia nadaje się, chętnie zjem jajecznicy.

– Musiałam pana zapytać... – zaniepokojenie mamy powoli mijało.

Po kolacji, nieznajomy paląc papierosa zaczął opowiadać o sobie. Był Żydem, nazywał się Salomon Bursztyn. Pochodził z małego miasteczka Siennicy, odległego od Warszawy o kilkadziesiąt kilometrów. Był najstarszy spośród sześciorga rodzeństwa. Jego ojciec był sklepikarzem sprzedającym okolicznym chłopom przysłowiowe wszystko, od mydła po widły. Ku zgorzseniu większości miejscowych Żydów, swoje dzieci posyłał na naukę do publicznej szkoły.

Kiedy Salomon ją ukończył, ojciec umieścił go w gimnazjum w sąsiednim miasteczku, Mińsku Mazowieckim. Niestety, edukacja trwała tylko niespełna trzy lata. Stary Bursztyn zachorował i prowadzony przez niego sklep podupadł. Skończyły się możliwości pokrywania kosztów edukacji Salomona w gimnazjum. Musiał więc przerwać naukę i powrócić do Siennicy. Tutaj

przyjął go na naukę zawodu miejscowy krawiec. Okazało się niebawem, że chłopak ma w tym kierunku talent. W niewiele lat później, swoimi krawieckimi umiejętnościami prześcignął pryncypała. Ten zaś był ze swojego czeładnika niezwykle zadowolony. Zakład krawiecki prosperował doskonale.

Salomon, który w polskich szkołach uczył się ponad dziesięć lat, doskonale mówił po polsku. Nie interesował go wyłącznie krawiecki stołek. Czytał książki i gazety. Kiedy tylko była po temu okazja, jeździł do pobliskiego Mińska, żeby obejrzeć wyświetlany w kinie film.

Któregoś roku w pełni lata, Salomon ożenił się z dziewczyną o zielonych oczach. Miała na imię Miriam, a swoim zachowaniem bulwersowała sienińskie Żydówki. Lekceważyła tradycyjne żydowskie obyczaje i nie dość, że pokazywała się na ulicy bez żadnego przykrycia głowy i w sukience ledwie zakrywającej kolana, to jeszcze po ślubie nie obcięła swoich ognistorudych włosów zaplatanych w dwa grube warkocze.

Miriam była osobą ciekawą świata, czytała gazety i przynoszone do domu przez Salomona książki. Była oszczędna, ale nie skąpa, należała do tych kobiet, które „z niczego potrafią zrobić coś”. Jedynym zmartwieniem małżonków i całej rodziny było to, że po dwóch latach małżeństwa na świat nie przyszło dziecko. Miriam nie mogła zająć w ciążę.

Wybuch wojny we wrześniu 1939 roku, zniweczył senny spokój miasteczka. Salomon zmobilizowany razem z innymi młodymi ludźmi do wojska, długo w nim nie pobyl. Pułk, w którym służył, został niebawem rozbity przez Niemców gdzieś nad Narwią i już w październiku udało mu się powrócić do domu.

Niemiecka okupacja wdeptała żydowskich mieszkańców miasteczka w błoto nędzy i upokorzenia. Zostało spalonych wiele domów, okupant państwili się nad Żydami fizycznie i moralnie. W ciągu niespełna trzech miesięcy niemieckiej okupacji, spośród sześciuset żydowskich mieszkańców Siennicy zmarło kilkadziesiąt osób, głównie dzieci i starców.

Kiedy latem 1942 roku rozpoczęła się w miasteczku likwidacja żydowskiej ludności, Niemcy nie powtórzyli błędu, jaki popełnili rok wcześniej przy mordzie Żydów na wschodnich kresach okupowanej Polski.

W miasteczkach i osadach rzemieślnikami w takich zawodach jak krawcy, szewcy czy fryzjerzy, głównie byli Żydzi. Po ich wymordowaniu, wielkie okupowane tereny pozbawione zostały fachowców w tych zawodach. Oczywiście troską Niemców nie było to, że cywilna ludność została pozbawiona możliwości korzystania z tych usług. Niemieckim żołnierzom rozsianym po setkach miejscowości, też odrastały włosy, niszczyły się mundury i buty. Stąd wziął się pomysł pozostawiania przy życiu żydowskich rzemieślników. Korzystanie z darmowych usług na każde zawołanie, było dla Niemców bardzo wygodne.

Bursztyn z kilkoma innymi krawcami, przez kilka miesięcy przewożony był z miejscowości do miejscowości. W każdej z nich, jeden z towarzyszy niedoli pozostawał.

Kiedy Salomon i jeszcze dwóch krawców trafili do Iwacewicz, zabrali go stamtąd żandarmi telechańscy.

Na miejscu komendant miasta zażądał od burmistrza, by ten krawca gdzieś ulokował. Ten z kolei wezwał ojca i polecił załatwienie sprawy. To, co ojciec uznał za najlepsze, to przygarnąć człowieka pod swój dach.

Tym sposobem, w rok po wymordowaniu telechańskich Żydów, zamieszkał u nas Żyd z odległej Siennicy, Salomon Bursztyn.

Rodzice ulokowali krawca w pokoju gościnnym, do którego została przeniesiona maszyna do szycia mamy. Spał na kozetce, posiłki zjadał z apetytem razem z nami. Palił tytoń, którym dzielił się z nim ojciec.

Roboty zlecanej przez Niemców, Bursztyn miał niewiele. W wolnym czasie szył dla naszej rodziny różne rzeczy. Ponieważ od wybuchu wojny całą trójką rodzeństwa powyrastaliśmy ze swoich ubrań, przerabiał odzież rodziców na naszą. Nim na świecie zapanowała surowa zima, paradowaliśmy w nowych paltach.

Następnie krawiec uszył ojcu z kupionego jeszcze przed wojną materiału elegancki brązowy garnitur, a mamie kostium. Potem w wolnym od niemieckich zleceń czasie, zaspakajał krawieckie potrzeby wujostwa i różnych znajomych.

Najgrubsze materiały Salomon zszywał ręcznie. Mówił, że maszyna mamy jest do tego za słaba. Kiedy szył, mama nie mogła się nadziwić, że jego ręczne ścięgi nie różnią się nieomal od maszynowych. Krawiec śmiał się i mówił, że ręczne szycie jest trwalsze od maszynowego, a kiedyś przecież szyto tylko w ten sposób.

Nie było dnia, aby Salomon nie wspominał rodziny. Kiedy mówił o swojej żonie Miriam, głos mu się załamywał. O swój los nie dbał, choć często powtarzał, że żyć chce każdy.

Kiedy Salomon pracował w pokoju sam, często słyszałem jak nuci swoim pięknym gitarowym głosem zawsze tę samą piosenkę. Właściwie nie była to piosenka, tylko jedno słowo śpiewane na zawodzącą melodię. Salomon śpiewał w kółko „Wej, wej, wej...”

Bawiąc się od małego dziecka z żydowskimi dziećmi, nieźle rozumiałem język Jidysz. To „wej, wej” oznaczało tyle, co nasze „o rety, rety.” Kiedyś zapytałem mamę, dlaczego Salomon tak na okrągło to śpiewa.

– Moje dziecko, jesteś jeszcze za mały, żeby zrozumieć tragedię tego człowieka. Ja go podziwiam, że on potrafi tak nad sobą panować i ma jeszcze tyle pogody – usłyszałem od mamy. Jednak nie byłem za mały. Zrozumiałem wszystko, przypominając sobie Chaimka, Dobkę, ich mamę Warszawiankę...

Podczas rozmów prowadzonych w jesienne, a potem zimowe wieczory, rodzice niejednokrotnie namawiali Salomona, aby skorzystał z danej mu w Telechanach przez Niemców swobody i uciekł do partyzantki. Zrozumiałe przecież było, że Niemcy pozwolą mu żyć dotąd, dopóki będzie im potrzebny. Ten nie chciał jednak o tym słyszeć. Po pierwsze nie znając języka rosyjskiego, u partyzantów natychmiast stanie się osobą podejrzaną. Po drugie, zanim

dotarłby do prawdziwych partyzantów, to dziesięć razy wpadnie w łapy grasujących wszędzie band, a ci go przecież nie oszczędzą. Salomon żył nadzieją, że będzie Niemcom potrzebny dotąd, dopóki nie przegrają oni wojny. Opinii rodziców, że jest to rozumowanie dziecinne, nie chciał słuchać.

* * *

Kiedy przyszła zima i na Telechany spadły wielkie śniegi, w wolnym czasie Bursztyn nieraz proponował mi, że powozi na sankach. Oczywiście skwapliwie na to przystawałem. Wówczas krawiec odprowadził mnie od swojej jesionki żółte gwiazdy Dawida i woził mnie biegając od ulicy Szkolnej aż do stacji kolejki. Po takim szaleństwie, zziębnięty odpoczywał w domu zasmradzając pokój papierosowym dymem i nucąc swoim nadzwyczaj pięknym głosem jakieś melodie.

Całą trójką rodzeństwa bardzo polubiliśmy Salomona. Ten odwzajemniał się nam istną przyjaźnią, traktował nas jak młodsze rodzeństwo. Często opowiadał nam różne zabawne historyjki ze swojego życia, sypał żydowskimi anegdotami, a kiedy nie miał żadnego zajęcia, grał z nami w chińczyka lub domino.

Salomon nie pominął też małej Szurki, dziecka Wiery. Odkąd na świecie zrobiło się zimno, dziewczynka z braku ciepłej odzieży została uwięziona w domu. W lnianej długiej sukience i grubym moim swetrze, który dała jej moja mama, godzinami klęczała na ławie pod oknem. Pracowicie chuchała na szybę pokrytą lodem. Tym sposobem robiła w nim okrągłe otworki i patrzyła przez nie na zaśnieżone podwórko. W pogodne dni chodziło po nim stadko kur. Przylatywały także wróble i wrony zjadając skrzętnie wszystko, czego nie zjadły kury.

Znużona gapieniem się przez okno, często zasypiała zwinięta w kłębuszek, przytulając do buzi gałgankową lalkę, którą zrobiła dla niej moja siostra Mundzia. Jeśli nie było Wiery, to mama albo Mundzia przykrywały śpiące dziecko ciepłą chustą.

Salomon czasem stawał nad śpiącym dzieckiem i przyglądał mu się w milczeniu. Jego twarz wyrażała głęboki smutek. Nieraz robił wrażenie, że zaraz rozpłaczę się.

– Biedne dziecko, biedne dziecko – mówił wracając do swojej roboty.

Pewnego dnia, uszył Szurce z kawałka pluszu misia wypchanego gałgankami. Dziewczynka była nim zachwycona, choć w rzeczywistości miś wyglądał pokracznie. Nie wypuszczała go z rąk i całowała guziczek udający czubek jego nosa. Lalka ze szmatek, którą jeszcze jesienią uszyła jej Mundzia, na parę dni poszła w ką.

Potem krawiec zapytał mamę, czy w domu nie ma jakiegoś palta, z którego wyrosło któreś z nas. Niemal cała odzież, która nie była naszej rodzinie niezbędna, została rozdana żebrzącym i marznącym bieżącym. Jednak mamie udało się jeszcze w głębi jednego z kufrów, znaleźć przedwojenne małe paltko Stefana.

Po jego przeróbce w ciągu jednego dnia pracy Salomona, mała Szurka czerwona z emocji na buzi, nie pozwalała zdjąć ze siebie paltka z popielatego misia. Pocziwa Wiera rozplakała się w głos i w podzięcie chciała Salomona pocałować w rękę. Krawiec wzbraniał się energicznie i po jego ogórkowatym nosie także popłynęły łzy.

Czasem Niemcy potrzebowali fachowej ręki Bursztyna u siebie na swoich kwaterach. Wówczas krawiec przyszywał na jesionce żółte gwiazdy, brał teczkę z krawieckimi gratami i szedł do grubych administratorów, albo na żandarmerię. Wychodząc z domu, za każdym razem był blady, zdenerwowany. Mówił niejednokrotnie, że tym razem może już nie wróci.

Kiedy Salomon był u Niemców, mama była spięta, nie swoja. Pewnego razu ostro przemówiła się z ciotką Manią, która akurat przyszła do nas.

– Zachowujesz się tak, jakby to był twój krewniak, a nie jakiś Żyd – w szczerym zdziwieniu, ciotka złożyła rękę.

– Jak możesz tak mówić! Czy do ciebie nie dociera tragedia tych ludzi? Przestań natychmiast wygadywać takie rzeczy, bo usłyszysz ode mnie, co o tobie myślę! – Mama mówiła nienormalnie głośno – czy dlatego, że Żyd jest tylko Żydem, wymaga mniej szacunku jak Rosjanin czy Polak ?

– Nie ma z kim rozmawiać – ciotka dysząc z pasją, pośpiesznie nakładała futro – ty Anka całe życie prowadzasz się pod rączkę z muzykami i Żydami!

– Bo pamiętam o Tym, że ludzie będą mnie szanować tylko wówczas, kiedy ja ich szanować będę! – Zawołała mama w trzaskające za ciotką drzwi.

* * *

Mijał dzień za dniem i nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Mama zaprosiła Salomona do udziału w wigilijnej wieczerzy jeszcze w południe, żeby nie popełnić w ostatniej chwili jakiejś niezręczności.

– A wie pani, bardzo się z tego cieszę. Dużo czytałem o chrześcijańskich świętach narodzin Mesjasza, ale nigdy tego nie widziałem. Chodziłem przecież do gimnazjum razem z katolikami – Salomon zakończył z uśmiechem kłopotliwą dla rodziców rozmowę.

Po zapadnięciu zmroku, mama rozścieliła na stole pachnące siano, a potem przykryła je białym, nakrochmalonym obrusem. Na stole pojawiło się dwanaście tradycyjnych potraw, z czego ponad połowa przyrządzona była z grzybów. Była też ryba kupiona u Basałaja, który łowił zimą w przerębli na Wólczańskim jeziorze.

Do wigilijnej wieczerzy zasiadła nasza rodzina, oraz ci, których okrutne wojenne losy swoim zrzędzeniem rzuciły pod nasz dach. Siedziała razem z nami Wiera w swojej nowej, pięknie wyszywanej bluzce, trzymając na kolanach Szurkę. Siedział z nami przy wigilijnym stole również Żyd, Salomon Bursztyn.

Po wspólnej modlitwie, podczas której Bursztyn stał ze złożonymi na piersiach rękoma, ojciec wziął opłatek. Życząc zdrowia i szczęśliwego prze-trwania wojny, kolejno łamał się nim z mamą, nami dziećmi, Wierą i jej

dzieckiem, oraz z Żydem Salomonem Bursztynem. Ten ostatni był szczerze wzruszony.

Przez cały wieczór, w kącie gościnnego pokoju resztkami przedwojennych jeszcze świeczek jarzyła się pachnąca lasem choinka.

W przeddzień Nowego Roku, ojciec przyniósł do domu butelkę wódki. Tak na prawdę, był to samogon, uszlachetniony przez aptekarza do rangi „Schnapsa”. Ojciec śmiejąc się powiedział, że nadchodzący Nowy Rok musi przywitać uroczyście, bowiem będzie to rok zakończenia wojny. Myślę, że w to wierzył.

W ciągu dnia, mama przyrządziła pieczonego z ziemniakami królika. Musiała przyparzyć go jakimiś ziołami, bo pieczeń pachniała w całym domu. Obaj z bratem nie mogliśmy się doczekać, kiedy dostaniemy ją do jedzenia.

Wreszcie nadeszła pora i na stole pojawił się półmisek z królikiem, obłożony upieczonymi na brązowo ziemniakami. Przy półmisku stały dwie salaterki. W jednej była kwaszona kapusta z żurawinami, w drugiej kwaszone ogórki. Te wspaniałości uzupełniał upieczony przez mamę chleb. Teraz pysznił się na wiklinowym talerzu przykrytym lnianą serwetką, lśniąc brązową skórą znaczoną maleńkimi pęknięciami. Z drugiej strony półmiska, bezwstydnie rozparła się pękata kryształowa karafka z aptekarsową wódką.

Spotkanie o północy Nowego Roku odbyło się przy elektrycznym świetle, gdyż komendant miasta zarządził, aby elektrownia pracowała całą noc, a nie jak zwykle do jedenastej. Widocznie Niemcy fetowali Sylwestra.

Ojciec nalał wódkę do czterech kieliszków, wziął jeden, a pozostałe podnieśli mama, Wiera i Bursztyn. Toast był krótki i treściwy. Żeby w nadchodzącym roku zakończyła się wojna, a wszyscy tu obecni w zdrowiu ją przeżyli i odrodziła się Polska. Mama umoczyła w kieliszku wargi, a ojciec z Bursztynem wypili po całym. Wiera wódkę wlała w siebie z wyraźnym zadowoleniem, a Mundzia, Stefan i ja spełniliśmy toast kompotem z owocowego suszu. Niebawem spostrzegłem, że po trzecim kieliszku policzki Wierki pokrył krwisty rumieniec, a oczy rozświeciły się jak żarówki. Przytulając do obszernego łona śpiącą już Szurkę, nie spuszczała oczu z Salomona. Nie wiedziałem dlaczego, ale pocziwa Wiera skojarzyła mi się z naszą kotką Stellą. Kiedy mama oprawiała rybę, Stella wpatrywała się w nią takim samym żarłocznym wzrokiem, jak Wierka w Salomona.

Kiedy nadeszły prawosławne święta Bożego Narodzenia, mama znowu przygotowała uroczystą wigilijną wieczerzę, która odbyła się w takiej samej atmosferze, jak poprzednia.

Rodzina nasza czciła oba święta, gdyż mama była wyznania prawosławnego, a Mundzia została ochrzczona w cerkwi. W Telechanach, małżeństwa różnego wyznania były na porządku dziennym. Podwójne obchodzenie świąt, było nieomal zasadą.

* * *

W któryś lutowy mroźny dzień, przyszedł do nas czarny policjant. Stojąc w wejściowych drzwiach kuchni powiedział, że jest tu z polecenia samego komendanta miasta. Napompowany ważnością swojej misji, mówił:

– Ten Żyd co tu u was siedzi, zaraz ma zabrać swoje rzeczy i iść ze mną na żandarmerię.

– Czemu ma zabierać swoje rzeczy? – Z wyraźnym przestachem w głosie zapytała mama.

– W Hancewiczach zachorował i umarł tamtejszy Żyd krawiec. Tam jest dużo wojska i krawiec jest im bardzo potrzebny, to ten pojedzie na jego miejsce. No, niech się zabiera!

Usiadł na ławie, na której nocą spała z dzieckiem Wiera. Z otwartymi ustami i wyłożonym na dolną wargę językiem, zrobił papierosowego skręta. Po chwili cała kuchnia zasnutą była niebieskim, śmierdzącym dymem.

Bursztyn drżącymi rękoma pośpiesznie przyszywał do jesionki żółte gwiazdy Dawida. Potem wrzucił do teczki swój skromny dobytek i nałożył jesionkę. Stał na środku kuchni z czapką w rękę.

– Niech Najwyższy zawsze wasz dom ma w swoich łaskach – powiedział drżącym głosem.

– Będę się modlić, żeby Pan Bóg zachował pana przy życiu – odparła mama.

Jej głos załamał się. Stojąca obok Wiera spazmatycznie chlipnęła nosem.

– Czohoż wy płaczecie choziajki – zdumiał się policjant – za Żydom?

– Za człowiekiem! – Niespodziewanie głośno zawołała mama.

Przez okno w pokoju patrzyliśmy, jak ulicą Kościelną idzie ku swojemu przeznaczeniu krawiec Bursztyn. Szedł wolno, zgarbiony, z opuszczoną głową. Kilka kroków za nim z karabinem przewieszonym przez plecy, z rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie płaszcza szedł policjant.

Na zimnym niebie świeciło lutowe słońce i ich postacie rzucały na śnieg długie niebieskie cienie. Po chwili obaj zniknęli za łukiem ulicy.

Wtedy widzieliśmy Salomona Bursztyna po raz ostatni. Nieznane mi są dalsze losy żydowskiego krawca z dalekiej Siennicy, którego na Polesie do Telechan zapędziła szaleńcza hitlerowska polityka.

ROZDZIAŁ 11

Sroga zima 1943 roku przyniosła Niemcom gigantyczną klęskę pod Stalingradem. Kłamliwa faszystowska propaganda, nie mogła już nazwać manewrem „wycofania się na z góry upatrzone pozycje” faktu wzięcia do niewoli przez Rosjan feldmarszałka von Paulusa razem z jego trzystutysięczną armią. Okupacyjne gazety roiły się od fotografii wagonów, ze stertami trupów zamrzniętych niemieckich żołnierzy. Krótkie komentarze pod zdjęciami mówiły, że jedynym powodem tej klęski, były panujące tam straszliwe mrozy.

Jednakże Rosjanie zamiast również zamarzać, odnieśli wielkie zwycięstwo.

Ta istotnie bardzo mroźna zima, u swojego schyłku zaczęła jednak powoli ustępować miejsca przedwiośniu. Ludzi przytłoczonych ciężarem niebezpieczeństw czyhających nań ze strony okupanta, chyba wciąż bardziej interesowała jeszcze potężna klęska Niemców pod Stalingradem, aniżeli budząca się po zimie do życia Matka Przyroda.

Któregoś takiego dnia na przedwiośniu, mieszkająca wciąż u nas z dzieckiem Wiera, zdecydowała się odwiedzić swoją Wygonoszcz. Wyszła z domu jeszcze przed świtem i wróciła już wieczorem. Była nieludzko zmęczona. Okazało się, że na drodze leżały jeszcze śnieżne zasy, przez które kobieta musiała przebrnąć. A śnieg był mokry, ciężki, na wierzchu zlodowaciały. Wiera zapadała się weń tak głęboko, że nieomal do krwi pościerała sobie skórę na nie okrytych niczym udach. Poleszuczki zimą nosiły naraz po kilka długich i ciepłych spódnic, ale pod nimi nogi owijały wełnianymi onucami najwyżej do kolan.

Kiedy Wiera już trochę odzignęła i zjadła miskę ciepłej zupy, wzięła na ręce swoją małą Szurkę, siedzącą dotąd na kolanach Mundzi. Tulila dziecko i popłakując opowiadała o losie swoich ziomków, którzy z braku innych możliwości pozostali na zimę w spalonej wsi.

W wyniku dokonanej przez esesmanów pacyfikacji, Wygonoszcz została straszliwie okaleczona. Niemcy zastrzelili łącznie kilkudziesięciu mieszkańców wsi, w tym sporo uciekających przed esesmanami młodych ludzi. Z pożogi wznieconej przez oprawców, ludziom udało się uratować niewiele domów. Teraz w każdym z nich, w straszliwej ciasnocie gnieździło się po kilka rodzin. Pozostałe rodziny zimują w skleconych przez siebie ziemiankach.

Wskutek niezwykle ciężkich warunków życia, z wycieńczenia i chorób zmarło wielu ludzi. Głównie starców i dzieci.

Podczas bardzo surowej i śnieżnej zimy, spaloną wieś zawiąło ogromnymi śnieżnymi zaspami. Wiejski cmentarz zasypany górami śniegu, stał się prawie niedostępny. Toteż zdarzało się, że matki, które straciły swoje dzieci, same słabe czy chore, na czas zimy grzebały je w śniegu obok ziemianek.

Wiera powiedziała, że gdyby moi rodzice nie dali jej dachu nad głową, też musiałaby zimować w ziemiance wygrzebanej przez siebie i nie wie, co wówczas stałoby się z jej małą Szurką.

– Nu szczoż – westchnęła Wiera na zakończenie rozmowy – Hospodź Boh pozwołyu meni i mojomu dzieciaci pereżytyi, dziakowaty Jomu za teje – no cóż, Pan Bóg pozwolił mnie i mojemu dziecku przeżyć, dzięki Mu za to.

– Wierko kochana – mama oburącz przytuliła do siebie głowę kobiety.

* * *

Coraz dłuższe dni zbliżającej się wiosny 1943 roku, upływały w strachu przed Niemcami, a następujące po nich noce, przed coraz zuchwalszymi bandami grabieżców. Ludziom coraz bardziej doskwierał niedobór takich podstawowych towarów jak sól, nafta, mydło, zapalki. Ponadto ludzi nadal gnębiła plaga panoszących się chorób, głównie wśród ludności wiejskiej. Przyczyna tego, leżała w tragicznym braku środków utrzymania higieny.

W tych dniach wypełnionych niepewnością i strachem, jedyną pociechą stały się dla ludzi wiadomości z frontu, podawane w skąpo dostarczanych gazetach. Według tych informacji, niezwyciężona niemiecka armia cofając się, zawsze zajmowała z góry upatrzone pozycje. Jednak dla czytających te wiadomości ludzi, oznaczało to tylko jedno. Niemieckie wojska ponoszą klęskę za klęską.

Dotyczyło to również ich sytuacji na okupowanym zapleczu, z dala od frontu. Tam także Niemcom było coraz trudniej utrzymać jakikolwiek ład. Nie inaczej działo się i na telechańskiej ziemi. W ciągu minionej zimy, Niemcy przy pomocy łotewskich wojsk i oddziałów sowieckiego generała Własowa, który wraz ze swoją armią przeszedł na niemiecką stronę, przeprowadzili w okolicznych lasach potężną zbrojną akcję, w celu likwidacji partyzanckich oddziałów. Uczestniczył w niej także łotewski oddział z Telechan.

Efekty tej akcji były widocznie mierne, skoro Niemcy coraz gorzej panowali nad sytuacją. Pomimo zacieklego tropienia partyzantów i to głównie przez wojska łotewskie, ludzie coraz częściej przynosili wieści o rozbitych niemieckich posterunkach, o stałym paraliżowaniu kolejowego transportu. Partyzanci w dogodnym dla siebie terenie, coraz częściej wysadzali w powietrze jadące na wschód wojskowe transporty. Szczególnie to właśnie było dla okupanta bolesne, gdyż utrudniało w dużym stopniu dostawy na front zaopatrzenia i nowych dywizji wojska.

Jak opowiadali kolejarze, Niemcy wpadli na szatański pomysł ochrony kolejowych transportów. Parowozy pchały przed sobą jeden lub dwa odkryte wagony, na których znajdowało się po kilkudziesięciu Żydów, wywlekanych w tym celu z obozów. Gdyby pociąg najechał na minę, z pewnością zginęliby Żydzi, a pozostawała duża szansa uratowania pociągu.

Prócz tego, teraz każdy bardziej cenny dla Niemców skład pociągu miał dwie lokomotywy. Jedną z przodu, a druga była doczepiona do ostatniego wagonu składu. Jeśli partyzanci uszkodzili tory, albo pociąg najechał na minę, wówczas lokomotywa doczepiona do końca składu, miała za zadanie wywieźć go z powrotem, z miejsca partyzanckiej zasadzki.

W tej sytuacji partyzanci zmienili taktykę. Zaczęli używać min sterowanych ręcznie, albo na niestrzeżonych odcinkach kolejowych linii rozkręcali

szyny i niszczyli torowiska. Również i na stacjach, partyzanci zaczęli coraz częściej i coraz skuteczniej dokonywać dywersji.

To zmusiło okupanta do obsadzenia kolejowych węzłów silnymi oddziałami wojska. W tym celu przeniesiono z Telechan łotewski oddział do Łunińca, gdzie znajdowała się duża, węzłowa kolejowa stacja, stale sabotowana przez partyzantów.

Kilka dni po opuszczeniu Telechan przez Łotyszy, na ich miejscu pojawił się w miasteczku duży oddział Litwinów. Na okupowanej Litwie, Niemcy również utworzyli wojskowe, litewskie oddziały. Litwini podobnie jak Łotysze ubrani byli w niemieckie mundury. Ciekawostką było to, że większość żołnierzy nosiła długie włosy, spięte na tyle głowy półokrągłym gęstym grzebieniem.

Litwini zakwaterowani po Łotyszach w budynkach szkoły i gminy, swój pobyt w miasteczku zaczęli od fortyfikowania swojej siedziby. Z grubych drewnianych bali pobudowano dwa potężne bunkry. Połączono je między sobą i budynkami siecią okopów.

Litewscy wartownicy mieli w czasie godzin lekcyjnych pełne ręce roboty, ponieważ na przerwach pomimo surowego zakazu, niesforni chłopaczkowie ciągle włączali do okopów, usiłowali zaglądać do bunkrów. Wartownicy krzycząc na nich, zawsze używali tych samych, choć niezrozumiałych słów. Byliśmy pewni, że klną po litewsku. Nie rozumiejąc znaczenia słów, pojętna szkolna dzieciarnia recytowała tasiemcowe zdania.

Kiedyś ulicą obok szkoły przechodziła pani Gilisowa, żona telechańskiego Litwina. Język litewski знаła dość dobrze. Usłyszawszy popisy szkolnej dziatwy, znieruchomiała z wrażenia. Widać owe recytacje, musiały być mocno pieprzne.

Żołnierze litewscy do miejscowej ludności nie byli nastawieni zbyt przyjaźnie. Siedzieli w swojej twierdzy i na ulice bez absolutnej konieczności, wychodzili rzadko. W odróżnieniu od Łotyszy, nie szukali kontaktów z miejscowymi ludźmi. Byli wobec nich chłodni, na wszystkich patrzyli z góry, niemal z pogardą. Kiedyś trzech podpitych Litwinów, chciało woźnemu Rejonu Bargiełłowi odebrać na ulicy rower. Kiedy ten zdecydowanie zaprotestował przeciw jawnemu rabunkowi, został dotkliwie pobity i skopany. Z obrażeń, leczył się ponad tydzień.

Niemiecki komendant miasta zarządził śledztwo. W Hancewiczach odbyła się parodia sprawy sądowej. Litwinom włos nie spadł z głowy.

Litwini w odróżnieniu od Łotyszów, byli bardzo niechętni do spotkań z partyzantami. Nie robili wypadów w lasy, siedzieli w swoim fortecznym legowisku. Zaraz na początku swojego pobytu, przez kilka dni oddawali stamtąd po kilkanaście wystrzałów z moździerza. Pociski z wyjątkim szumem przelatwały nad miasteczkiem i wybuchały w lesie za nieczynną teraz smolarnią. Ten ślepy bezzasadny ostrzał lasu, Litwini robili zapewne dla zademonstrowania potęgi swojego uzbrojenia. Faktyczne działania, ograniczyli do nocnych posterunków pilnujących młyna i tartaku, oraz patroli chodzących nocami po miasteczku.

ROZDZIAŁ 12

Miesiące 1943 roku, obdarzyły mieszkańców Telechan mnogością wydarzeń. Niektóre z nich miały wręcz sensacyjny charakter.

Jakoś tuż po przybyciu litewskiego oddziału do miasteczka, gruchnęła po nim wiadomość, że w nocy na leśnej wycince nieopodal spalonej wsi Kraśnica, rozbił się sowiecki samolot. Okazało się, że przyleciał on z „Wielkiej Ziemi” z zaopatrzeniem dla partyzantów. Startując do odlotu zaczepił o wierzchołki drzew i spadł na ziemię, ulegając uszkodzeniu. Partyzanci pozostawili w samolocie osoby, które poniosły w katastrofie śmierć i uszli w puszcę, unosząc ze sobą dostarczone im zaopatrzenie.

Telechańscy żandarmi w otoczeniu czarnej policji i dużej grupy litewskich żołnierzy, na miejscu katastrofy zjawili się około południa. W mocno zdemolowanym samolocie oprócz kilku trupów, niczego nie znaleziono. Partyzanci uprzedzili Niemców i ofiarom katastrofy zabrali broń, dokumenty i wszystkie rzeczy osobiste.

Na wszelki wypadek, żandarmi kazali policjantom dokładnie spenetrować odzież nieboszczyków. Kiedy obszukiwano jednego z dwóch pilotów, trup niespodziewanie zajęczał. Okazało się, że partyzanci uznali ciężko rannego pilota, za martwego. Tak więc, sowiecki ranny lotnik był jedynym trofeum niemieckiej wyprawy do Kraśnicy.

Wciąż żyjącego jeńca, żandarmi przywieźli do Telechan. Leczony był przez niemieckiego lekarza na terenie żandarmerii. Tłumaczka Struniewska mówiła, że Wania, gdyż lotnik twierdził, że tak ma na imię, zaczął już po miesiącu poruszać się samodzielnie. Ludzie gubili się w domysłach, jaki cel mają Niemcy w tak troskliwym leczeniu sowieckiego jeńca.

Prawdziwe zdumienie wywołał fakt, że po pewnym czasie Wania zaczął zupełnie swobodnie wychodzić na ulice miasteczka. Miał dużą łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi. Rozmawiał chętnie o byle czym, ale pytań podchwytliwych zręcznie unikał.

Niedługo po tym, jak Niemcy zezwolili lotnikowi na swobodne poruszanie się po miasteczku, ten zakwaterował się u jakiegoś samotnie mieszkającego osobnika. Wtedy widocznie Niemcy przestali go karmić, gdyż zaczął pracować w tartaku, wykonując tam ciężką robotę przy traktowaniu kłód drewna.

Ludzie wciąż nie wiedząc, jaka tajemnica okrywa takie potraktowanie przez Niemców sowieckiego i to nie bylejakiego jeńca, w końcu przywykli do widoku jego osoby. Niewysoki i krępy blondynek Wania, zawsze grzeczny i uśmiechnięty, odziany w jakieś podarowane mu łachy, wkrótce z niesłychanej atrakcji stał się szarym, niezauważalnym człowieczkiem.

* * *

Ledwie ludzie przestali interesować się osobą Wani, który spadł im dosłownie z nieba, miejscowi sensaci dostali świeżą pożywkę. W kręgu miasteczkowej, teraz w okupacyjnych warunkach pożał się Boże socjety, tę nową sensację przekazywano sobie z wypiekami na twarzy. Wywołały ją wydarzenia w rodzinie Piszczyków. Choć oni sami rozpętali owo piekielko plotek, z całą pewnością woleliby, żeby wszystko pozostało w głębokiej rodzinnej tajemnicy.

Otóż w domu Piszczyków niespodziewanie pojawił się Albert, narzeczony ich córki Baśki. Do wybuchu wojny, jako polski oficer pełnił służbę w Prużanach. Od września 1939 roku, słuch o nim zaginął. Teraz zjawił się nagle z fałszywymi dokumentami przedstawiciela jakiejś niemieckiej firmy, handlującej drewnem na potrzeby Trzeciej Rzeszy.

Okazało się, że po rozbiciu przez Niemców jego jednostki i upadku Polski, przedostał się do Belgii, gdzie związał się z tamtejszym ruchem oporu. W tych nienormalnych, pełnych niebezpieczeństwa warunkach, serce Alberta nie słuchało rozumu. To też postanowił on za wszelką cenę poślubić ukochaną Baškę. Ponieważ był Poznaniakiem i wyrósł w otoczeniu niemieckich kolonistów, znakomicie władał ich językiem. Zdobył odpowiednie fałszywe dokumenty i puścił się w szaleńczą podróż z Belgii do Telechan.

Szczęście mu dopisało. Przejechał okupowaną przez Niemców Europę i oto brudny, nieogolony, ale bezgranicznie szczęśliwy, mógł przytulić najdroższą mu dziewczynę. Baśka też nie posiadała się ze szczęścia. Śmiała się i płakała na przemian, nie zwracając uwagi na demonstracyjne zgorzenie mamuśki. Pozwalała narzeczonemu obcałowywać swoją twarz i ręce, odwzajemniała pocałunki.

Stary Piszczyk nie kryjąc wzruszenia, ucałował Alberta jak syna w oba policzki. Okazywał wielką radość, długo ścisnął go i poklepywał po plecach. Groźnie warknął na połowicę, gdy ta zaprotestowała przeciw poleceniu męża, ażeby służąca Tosia przygotowała gościowi kąpiel. Piszczyk nie odmówił sobie także przyjemności zaproszenia sąsiada, niegdyś swojego aplikanta a potem kolegę po adwokackim fachu, mojego wuja Stefana.

Wykąpany i najedzony Albert opowiadał o swoich karkołomnych przejsiach od czasu wybuchu wojny po dzień dzisiejszy. Piszczykowa demonstracyjnie nie dotrzymywała towarzystwa. Zamknęła się w drugim pokoju i udawała, że czyta jakieś romansidło. Jeszcze przed wojną nie kryła niechęci do Alberta. Dla niej to nie był właściwy kandydat na męża jej córki. Młody oficer bez majątku, to gołodupiec, chłystek. Według niej, Baśka powinna była już dawno wyjść za mąż za człowieka bogatego, statecznego i sporo od niej starszego. Piszczykowa miała nawet na oku pewnego wdowca z Pińska.

Kiedy rozmowa skręciła wreszcie na właściwy tor i Albert oświadczył, że jego jedynym najgorętszym pragnieniem jest poślubić Baškę chociażby dzisiaj, Piszczykowa niby to czytająca w drugim pokoju książkę i to przy zamkniętych drzwiach, dostała dzikich spazmów. Rzuciła się na podłogę,

tłukła w dywan głową i pięściami, zanosila się płaczem i krzyczała, że nie pozwoli skrzywdzić swojej jedynej córki. Ona nie dopuści do tego, aby jej Baśka wyszła za mąż ukradkiem, jak złodziej, bez sukni i welonu, bez gości i wesela. Wesele Baśki musi olśnić Telechany, ba, całą okolicę. O tym weselu, ludzie powinni mówić długo i z podziwem. Nie, stanowczo nie pozwoli tak skrzywdzić swojego dziecka.

Ten występ artystyczny kochającej mamuski, sparaliżował wszystkich obecnych. Piszczyk i Albert nie mogli wydobyć ze siebie słowa. Baśka zamieniła się w słup soli, wyglądało na to, że zaraz zemdleje. Najprzytomniejszy był wuj Stefan, który po chwili osłupienia podniósł się z krzesła i bez słowa wyszedł.

Tymczasem Piszczukowa na nowo podniosła lament, dlaczego Bóg skarał tak córką, że nawet nie próbuje ratować matki, która za chwilę może umrzeć. I wtedy Baśka zemdląca. Cucił ją Albert, cucił ojciec i służąca Tosia. Baśka odzyskiwała przytomność i mdlała ponownie. Wtedy Piszczyk kazał służącej biec co sił w nogach, po mieszkającego nieopodal felczera Dramowicza.

Tymczasem mamunia Baśki, której zbrzydził występ na dywanie, usiadła na kanapie i tam płakała zawodząc i snując swoje żale.

Felczer Dramowicz wreszcie jakoś doprowadził Baśkę do takiego stanu, że dziewczyna, choć biała na twarzy jak płótno, siedziała na krześle i popłakując mogła jakoś rozmawiać.

Wtedy ponownie do akcji wkroczyła Piszczukowa. Chlipiąc, głosem nieznoszącym sprzeciwu, kazała felczerowi usiąść. Ona musi mu powiedzieć, jaka to hańba spadła na jej dom. Tak, ona do tego ślubu, który poniżyłby całą rodzinę Puszczuków nie dopuści! Jeśli jej córka, jej dziecko z krwi i kości nie posłucha matki, która chce tylko jej dobra, to ona przeklnie swoją córkę, jej dzieci i wnuki. A sama umrze z rozpacz i wstydu. Albo Baśka podda się matczynej woli, albo niech będzie przeklęta. Na wieki. Wtedy Baśka zemdląca ponownie. Albert płakał głośno, jak mały chłopiec, Dramowicz cucił dziewczynę, a Piszczyk załamując ręce powiedział, że gdyby miał się gdzie podziać, to rzuciłby raz na zawsze to piekło. Tylko żal mu swojego dziecka.

Dzień pełen płaczu i serdecznego żalu zakończył się tym, że Albert po trwających do późnego wieczora bezowocnych rozmowach, przenocował w domu mojego wujostwa. Rano po rozdzierającym pożegnaniu z Baśką, odjechał pociągiem wąskotorowej kolejki do Iwacewicz. Po Albercie, na zawsze przepadł wszelki ślad.

Tę tragedię dwojga młodych ludzi, komentowano różnie. Mężczyźni w zasadzie ograniczali się do podziwiania szaleńczej determinacji i odwagi Alberta, kobiety poświęcały swój czas na współczucie dla nieszczęśliwej Baśki. Byli jednak i tacy, a do nich należeli także i moi rodzice, którzy współczuli serdecznie obojgu młodym, potępiając jednocześnie niewyobrażalny egoizm Piszczukowej.

I tutaj o dziwo, ciotka Mania jak nigdy, całkowicie podzieliła zdanie mamy. Kiedy skończyła mówić o tym, pogłężyła się w głębokim zamyśleniu.

W końcu ożywiła się oświadczać, że w takich warunkach ona swojej Murreczce też by nie pozwoliła wyjść za mąż. Teraz dopiero zrozumiała Piszczykową! Przecież ta chciała dobrze dla swojego dziecka! Ale mimo to i Baški i Alberta, jej żal ...

* * *

Następujące po sobie dni, rozwiały niebawem dym miasteczkowej sensacji w rodzinie Piszczyków. Ludziom coraz bardziej dokuczał brak podstawowych towarów, takie jak sól, nafta, czy mydło. Przez lata wojny, także ludzka odzież i obuwie ulegały coraz większemu zniszczeniu, a o jakichkolwiek zakupach, nie było mowy. Ponadto wiele rodzin zostało z tych rzeczy ogołoconych przez nocnych rabusiów.

W tej sytuacji, stolarz Ławreńczyk i szewc Kosowski, obaj będący w Telechanach przed wojną jedynymi chrześcijańskimi rzemieślnikami w tych zawodach, wpadli na doskonały pomysł. Zaczęli wytwarzać sezonowe obuwie, na zbliżające się ciepłe miesiące. Rzemieślnicy wspólnie opracowali model drewnianych chodaczków, mających zastąpić sandały. Miały one służyć kobietom, mężczyznom i dzieciom. Taki chodaczek stanowiła jesionowa gruba podeszwa razem z obcasikiem, rozcięta na wysokości palców stopy. Te obie części łączył skórzany zawiaszek, umożliwiający swobodne zginanie stopy podczas chodzenia. Sandały, którym ktoś nadał nazwę „dieriewiaszek,” mocowało się do nóg skórzanymi paskami.

Obaj producenci drewnianych sandałów, pracowali w pocie czoła. Zamiarów mieli tyle, że na to okupacyjne obuwie ludzie czekali w kolejce. Na drewnianych chodnikach Telechan, coraz częściej słychać było klaskanie jesionowych sandałów.

Ponieważ wiosna czterdziestego trzeciego roku szybko pokonała surową zimę, posiadacze „dieriewiaszek” paradowali w nich już w świąteczne dni Wielkiej Nocy. W roku tym, święto wypadło bardzo późno. Katolickie tygodnie przed nastaniem maja, prawosławne już w maju.

Święto Wielkiej Nocy spowodowało, że litewscy żołnierze wyroili się ze swego leża i rozpełzli po miasteczku. W dni Wielkiego Tygodnia chodzili małymi grupkami w pełnym uzbrojeniu od domu do domu, grzecznie prosząc o sprzedanie im jaj na zbliżające się święta. Dopytywali się też o samogon.

Miejscowi ludzie znając niechętny stosunek Litwinów do siebie, dziwili się takiej gwałtownej ich zmianie. Jednakże po zdobyciu widocznie wystarczająco dużego zapasu bimbrowa i surowca na wielkanocne twarde jaja, żołnierze powrócili do zasady ignorowania ludzi. Ponownie stali się tylko niezbyt uciążliwymi okupantami.

Tuż po wielkanocnych świętach katolickich, w nocy rozpoczynającej miesiąc maj, Telechany zostały postawione na nogi przez potężną strzelaninę. To partyzanci zaatakowali młyn i tartak, pilnowane przez Litwinów. Na skutek przeważającego ognia partyzantów, litewskie posterunki zostały zmuszone do wycofania się. Z wyniku półgodzinnej bitwy, zadowolone były obie strony.

Litwini, że wyszli z tej opresji bez szwanku, a partyzanci też osiągnęli swój cel, paląc oba obiekty. Miasteczko rozświetliła łuna pożaru, którą przytłumił dopiero wstający dzień pierwszego maja. Telechańscy ludkowie zaraz wykombinowali, że partyzanci w ten sposób uczcili robotnicze majowe święto.

Niemiecki komendant Telechan był wściekły. Wezwał do siebie dowódcę litewskiej jednostki. Struniewska, tłumaczka z żandarmerii mówiła, że wrzask Niemca było słychać w całym budynku. Wyzywał Litwinów od najgorszych. Zrozumiałe, że za taką gospodarczą stratę, komendant z pewnością sam nieźle oberwał od swoich zwierzchników z Pińska.

Miesiąc później, w nocnej potyczce z partyzantami, zginął litewski żołnierz. Podczas obchodu swojego terenu, Litwini zobaczyli na ganku budynku Rejonu jakieś ludzkie sylwetki. Zanim zdążyli zareagować, z ganku posypały się strzały. Żołnierze upadli na ziemię, otwierając ogień do partyzantów. Jeden z żołnierzy rzucił w ich kierunku granat. To przerwało strzelaninę. Partyzanci rzucili się do ucieczki, znikając w ogrodach. Wtedy to Litwin, który za pomocą granatu zakończył potyczkę stwierdził, że jego kolega nie żyje. Kula trafiła go w twarz tuż pod hełmem.

Po nastaniu dnia, wielu ludzi przychodziło obejrzeć miejsce potyczki. Od budynku Rejonu, przez ulicę aż do czyjegoś ogrodu, widoczne były obfite ślady zaschniętej krwi. W drewnianych schodach ganku, po wybuchu granatu została wielka wyrwa. Widocznie granat miał niewielką siłę rażenia, skoro wybuchając tak blisko partyzantów, jedynie ich poranił. Nie odnieśli oni ciężkich obrażeń, skoro uciekli o własnych siłach przeskakując płot do ogrodu.

Pogrzeb żołnierza odbył się z żałobną mszą. Wywiezionego przez Bolszewików organistę, zastąpił grający na organach litewski żołnierz. Ksiądz Tarnogórski ciała nie odprowadzał na miejsce pochówku, ale odprowadziła go kompania honorowa. Po trzykrotnej salwie, nad świeżo usypaną mogiłą krótko przemówił uczestniczący w pogrzebie oficer. Gapię odprowadzający tłumnie pogrzebowy kondukt na cmentarz dziwili się, że wielu żołnierzy nad grobem kolegi płakało.

Litwinom wiodło się w Telechanach nieszczególnie. Co prawda ofiar śmiertelnych więcej nie było, ale sukcesów również. W tej sytuacji, partyzanci poczynali sobie z Niemcami coraz zuchwalej, zadając im coraz bolesniejsze rany. W związku z częstymi napadami na pociągi wąskotorowej kolejki do Iwacewicz i nieustannym niszczeniem torów, Niemcy zrezygnowali z ich ciągłej naprawy. Ciuchcia do Iwacewicz po trzydziestu latach istnienia, umarła.

Dla Niemców utrata tego środka transportu, oznaczała całkowity upadek gospodarczy telechańskiego Rejonu. Teraz już nie mieli czym wywozić z Telechan nawet tych żalosnych okruchów kontyngentu, jaki udawało się im jeszcze ściągnąć od ludzi. Dla okupanta, miasteczko stało się jedynie żalosnym bastionem, zagubionym wśród poleskich lasów.

Natomiast cywilnej ludności, coraz bardziej dawali się we znaki rabusie, którzy oczywiście zawsze podawali się za partyzantów. Bandziory często

w ogóle nie posiadali broni. Jedni włamywali się do domów z atrapami karabinów, inni z siekierami czy widłami, a jeszcze inni po prostu z potężnymi kijami. Nocami, na chutorach i peryferiach miasteczka dobijali się do domostw, rabowali ludzkie mienie i przepadali w okolicznych wioskach.

Grabieżcy z twarzami zasłoniętymi szmatami, zabierali wszystko, co wlazło im w łapy. Zrozpaczeni ludzie wymyślali coraz to chytrzejsze skrytki dla swoich dóbr, ale łupieżcy często wymuszali na ludziach biciem wskazanie kryjówek różnych przedmiotów, czy jedzenia.

Wielu spośród tych, którzy padli ofiarą rabusiów opowiadało, że w jednej bandzie prym wiedzie jakieś babsko. Baba była niesłychanie wulgarna w pysku i często potraçała pięściami napadniętych ludzi. Ponadto zawsze świetnie wiedziała, co napadnięci ludzie jeszcze posiadają i czego szukać. Musiała korzystać z donosów jakichś plugawców, którzy potem zlizywali z jej łap resztki zrabowanych dóbr.

Babsko posiadało niesłychaną umiejętność odnajdywania kryjówek, w których ludzie chowali swoje dobra. Na jednym z chutorów, w którym niebawem córka właściciela miała wyjść za mąż, łupieżczyni domagała się oddania przygotowanego na wesele samogonu. Zakłębom gospodarza, że alkoholu w domu jeszcze nie ma, wiary nie dała. Poszukiwania trwały długo, aż nareszcie bańkę z trunkiem megiera wyciągnęła w oborze spod nawozu, na którym stały dwie krowy.

* * *

Lato powoli chyliło się ku końcowi, kiedy w Telechanach wybuchła nowa sensacja. Oto podczas libacji z Niemcami, aresztowany został uczestniczący w niej burmistrz Radkiewicz. W stanie absolutnego upojenia samogonem wyznał swym niemieckim kompanom, że tak naprawdę, to on jest partyzantem. Cóż, któryś z Niemców był trzeźwiejszy...

W takich to tragicznych dla burmistrza okolicznościach stało się jasne, dlaczego Niemcy mieli takiego pecha we wszystkich swoich poczynaniach.

Zona burmistrza dowiedziawszy się jakoś o wpadce męża, chciała uciec do lasu. Niestety, została złapana przez Niemców.

Byliśmy z bratem przypadkowymi świadkami tego zdarzenia. Nad wieczorem zobaczyliśmy Radkiewiczową, jak w towarzystwie trzech nieznanym nam mężczyznom pospiesznie szła w kierunku kolejki. Jeden z nich z widocznym wysiłkiem dźwigał dużą walizę. Było to dziwne dla nas. Po co iść z walizką do kolejki, skoro ta przecież nie jeździ.

W kilkanaście minut później ujrzelśmy kilku żandarmów, jak z karabinami w rękach biegną w kierunku stacji. W parę minut później, rozległo się stamtąd kilka wystrzałów. Upłynęło jeszcze ze dwa kwadranse i na ulicy pojawiła się chłopska furmanka. Jechała od strony kolejki. Za woźnicą leżała walizka Radkiewiczowej, a ona sama siedziała skulona na końcu wozu. Wóz otaczali idący pieszo Niemcy.

Po kilku dniach przestuchań, hitlerowcy oboje małżonków rozstrzelali.

Niebawem, wytorturowane z burmistrza zaznania wyciekły jakoś do publicznej wiadomości. Otóż Radkiewicz przygotowywał partyzancką akcję zdobycia Telechan. Znając wszystkie tajniki niemieckiej fortecy, partyzanci mieli zdobyć ją w przygotowany wcześniej sposób. W zdobytym miasteczku pokazowo mieli być rozstrzelani wszyscy Niemcy, czarni policjanci oraz ci, których partyzanci uznaliby za niemieckich kolaborantów.

Długo i skrupulatnie przygotowywany partyzancki plan, utopił się w pijackich skłonnościach Radkiewicza.

Po tak fatalnej wpadce burmistrza, do partyzantki uciekło z Telechan kilka osób. W miasteczku nikt nie przypuszczał, że ci ludzie mogą mieć cokolwiek wspólnego z podziemną organizacją. Do lasu uciekł elektryk Białobłocki z całą czteroosobową rodziną. Swego czasu Niemcy zatrudniali go przy jakichś instalacjach, podczas budowania swoich fortec wokół żandarmerii i przy domu Pierowskich.

Telechany opuściła też w panice rodzina Pietrasów. Córka drobnego właściciela chutoru Pietrasa, pracowała w żandarmerii jako sprzątaczką. Na drugi dzień po aresztowaniu burmistrza, czarny policjant zauważył ją schodzącą ze strychu. Na pytanie co tam robiła, otrzymała jakąś zdawkową odpowiedź. Nie zaspokoilo to jego ciekawości i poszedł z kamratami na strych. Tam nad gabinetem komendanta znaleźli jeszcze nieuzbrojony, potężny ładunek wybuchowy.

Oczywiście Hela Pietrasówna dziewczyna nie w ciemie bita, po przyłapaniu jej przez policjanta nieomal na gorącym uczynku, natychmiast dała drapakę ratując życie. Razem z Helą, w lesie znaleźli się jej rodzice i młodszy brat Adaś, z którym chodziłem w szkole do jednej klasy. Adaś noszący przezwisko Suchota, po szkolnej modlitwie podczas okrzyku „Heil Hitler”, był jedynym dzieckiem w klasie, podnoszącym do góry rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. A to dopiero mały konspirator!

W tym samym czasie ludzi w miasteczku zelektryzowała wiadomość, że do lasu uciekł również niejaki Mikołaj Dziechciaryk. Telechańskie wielopostaciowe indywiduum w jednej osobie, bandyta i rabuś, przedtem komuniści, a teraz niemiecki lizus i donosiciel.

Jednakże prawdziwą sensacją dla ludności miasteczka, a ciężkim szokiem dla Niemców była ucieczka do lasu doktora Michetki wraz z żoną. Michetko pojawił się w Telechanach niespełna rok wstecz, zamieniając się miejscem z doktorem Bożko, który podobno wrócił do Baranowicz. Nowy lekarz przyjechał razem z żoną, wysoką, bardzo ładną blondyną. Michetko był doskonałym lekarzem, a w otoczeniu miejscowych ludzi wręcz wyróżniał się, jako człowiek niezwykle sympatyczny, uczynny i kulturalny.

Ludzie mieli mu za złe jedynie to, że od pierwszych dni pobytu w Telechanach zwąchał się z Niemcami. Przyszło mu to o tyle łatwiej, że jego żona mówiła biegle po niemiecku. Oboje stali się nieodłącznymi uczestnikami niemieckich wódczanych libacji. Ludzie dziwili się tolerancji Michetki, że nie jest zazdrosny o swoją piękną żonę, która w tak jawny sposób obdarzała

swoimi wdziękami opasłych żandarmów. Zdarzało się często, a czego to ludzie nie wypatrzą, że Michetkova nocowała u niemieckich administratorów w domu Pierowskich.

Pewnego dnia Michetkova zachorowała na tyfus i zrozpaczony mąż zawiózł ją furmanką do szpitala, który mieścił się poza miasteczkiem, za kanałem Ogińskiego. Zaprzyjaźnieni z Michetkową Niemcy, bardzo przejęli się jej chorobą. Jeden z nich nawet zapragnął odwiedzić chorą w szpitalu. Wybił mu to z głowy mąż Michetko. Jako lekarz, kategorycznie odradził mu tej wizyty, ponieważ tyfus jest chorobą niezwykle zaraźliwą. Oczywiście żadnemu innemu spośród Niemców drżących o własną skórę nie przyszło do głowy, aby Michetkową odwiedzać w szpitalu.

Dopiero po dwóch dniach gruchnęło po miasteczku, że Michetkowie nigdy do szpitala nie dotarli. Wyszło na jaw, że oboje byli świetnie zamaskowanymi partyzanckimi wtyczkami, ulokowanymi w samym jądrze okupanta Telechan. Na Niemców padł błdy strach. Przecież Michetkova tak jak oni sami, doskonale znała wszystkie tajniki ich twierdzy. Oba grubasy mieszkający w domu Pierowskich, śpiesznie porzucili swoją twierdzę i przenieśli się do obwarowanej żandarmerii, którą zaczęto wewnątrz przebudowywać.

Zdarzenie z Michetkami miało miejsce niebawem po tym, jak z Telechan zostali przeniesieni Litwini do jakiejś innej miejscowości. W miasteczku pozostała niewielka grupa ukrytych w żandarmerijnej twierdzy przerażonych Niemców i oddziałek trzęsących portkami czarnych policjantów.

Pomimo tak korzystnej dla partyzantów sytuacji, praktycznie nie pojawiali się oni w miasteczku, nawet nocami. Natomiast prawdziwą plagą stały się rabujące ludzi bandy, które rozmnożyły się do zastraszającej ilości. Od zmierzchu włóczyły się po miasteczku, w poczuciu całkowitej bezkarności. Grabieżom niejednokrotnie towarzyszyły pobicia ludzi. Z nastaniem świtu, łupieżcy przepadali w pobliskich chutorach i wsiach.

ROZDZIAŁ 13

Nadszedł z babim latem wrzesień 1943 roku, ale w telechańskiej szkole było cicho i pusto. Rok szkolny nie rozpoczął się. Niemiecki komendant miasta, nie wydał na to zezwolenia.

Na bezrobociu pozostało małżeństwo Trydeńskich i Ola Jakobson. Nie zjawiał się też nauczyciel matematyki Dziemiańczyk. Nauczyciel o przydomku Kakakul, był w partyzantce, a uczący w szkole niemieckiego języka Bach, wyjechał dokądś jeszcze w lecie.

Wprawdzie z Pińska dostarczono dla potrzeb szkoły zeszyty, ale zostały one rozsprzedane przez spekulantów ludziom z Telechan i okolicznym Poleszkom, jako papier do robienia papierosowych skrętów. Papier z zeszytów w porównaniu z gazetowym, na którym rozmazywała się drukarska farba, był dla palaczy machorki istnym luksusem.

Przywieziony z zeszytami dla potrzeb szkoły atrament, pozostawiono w opuszczonej szkole. Jacyś wandale porozbijali butelki i część podłogi szkolnego korytarza, przybrała smutny, brudno niebieski kolor.

Z nierozpoczęcia roku szkolnego, dzieciarnia cieszyła się niepomieranie. Cieszyli się również moi dwaj kuzyni, Aleksander i Sergiusz, synowie cici Mirki i wujka Nikodema. Miniony szkolny rok, przetrwali w swojej szkole w Kolońsku, z duszą na ramieniu. Tam wielokrotnie zjawiali się partyzanci i różni rabusie. Niektórzy spośród i jednych i drugich czepiali się chłopców, że ci pracując w szkole, służą Niemcom. Argumenty w stylu, że z powodu niemieckiej okupacji dzieci nie mogą wyrastać na niepiśmienne głąby, na ogół nie docierały do świadomości „partizanów”.

Miesiące wakacyjne, obaj kuzyni przesiedzieli u nas, gdzie przynajmniej teoretycznie było bezpieczniej, jak w ich rodzinnym Rudzku koło Janowa Poleskiego. Kiedy wakacje dobiegały końca, na temat nowego szkolnego roku nie było już nawet z kim rozmawiać, ponieważ komendant miasta zlikwidował urząd rejonowego inspektora do spraw oświaty.

Gdzieś w połowie października, na wyprawę do Pińska razem z kilkoma spekulantami, zdecydował się dobry znajomy ojca, pan Chomienia. Aleksander i Sergiusz zdecydowali się jechać do Pińska razem z nim. Tam przecież jeżdżą pociągi do Brześcia, a więc i przez leżący na trasie Janów Poleski. Stamtąd do Rudzka, to już na piechotkę tylko pięć kilometrów. W końcu teraz wszędzie zrobiło się bardzo niebezpiecznie, a to jedyna okazja, żeby powrócić do rodzinnego domu.

Rodzice moi pomysłem chłopców zachwyceni nie byli, ale w końcu ulegli ich perswazjom. Zaopatrzonych w jedzenie na kilka dni, po serii pożegnań

i napomnień o tym, aby byli ostrożni, naznaczeni przez mamę znakiem krzyża na czołach, rozstali się z nami.

Mama i ojciec byli o nich bardzo niespokojni. Odetchnęli dopiero wówczas, kiedy pan Chomienia powróciwszy z Pińska powiedział, że osobiście pomógł im wsiąść do pociągu jadącego do Brześcia.

Zrozumiałe, że pozbycie się przez rodziców tego zmartwienia nie usunęło całej piramidy pozostałych. Mimo, że ludzie od początku wojny utyskiwali na ciężkie warunki bytowania, śmiało można powiedzieć, że dopiero teraz nastały w Telechanach ciężkie czasy. Poza spekulanckimi dostawami z Pińska, które w drodze nie stały się łupem band, zaopatrzenie prawie nie istniało. Śmierdząca, rozpadająca się kostka mydła była luksusem. Ludzie mówili, że do jego produkcji Niemcy używają tłuszczu, wytapianego z mordowanych w obozach Żydów.

Wszawica stała się nieomal powszechna, ludzi nękał świerzb, a zachorowania na tyfus, zdarzały się coraz częściej. Po spaleniu przez partyzantów młyna, zaczęło brakować mąki. Młyn pracował głównie dla potrzeb niemieckich, ale korzystali z niego także właściciele chutorów i ludzie z okolicznych wsi. Teraz ci, którzy mieli jeszcze zachowane po swoich ojcach żarna, wyciągał je z kąta i na nich mieli grubą, ciemną mąkę.

Czasy stały się na tyle niespokojne, że nie mogliśmy liczyć na pomoc ze strony cioci Mirki i wujka Nikodema. Jazda samotnej furmanki przez las, była zbyt niebezpieczna. Chleb już nie był powszedni, coraz częściej zastępowały go kasze z pełnego ziarna, gotowana kukurydza i fasola. Natomiast więcej było mięsa, gdyż ludzie zaczęli znowu hodować świnię.

Niemcy ukrywający się w swojej twierdzy, teraz już nie karali za nielegalną hodowlę. Ściąganie podatków stało się dla Niemców bezsensowne, gdyż zrabowanych ludziom dóbr nie było jak wywieźć z Telechan.. Strach przed narastającą siłą partyzantów spowodował, że okupanci właściwie zaniechali jakichkolwiek restrykcji wobec ludności. Spośród czarnych policjantów, jedynie jeszcze tylko „Gad” Wiktorowicz czasami pokazywał zęby, ale na tym się kończyło.

Nocny atak partyzantów na Telechany, który nastąpił jakoś u schyłku października chociaż nieskuteczny, niewątpliwie jeszcze bardziej osłabił w Niemcach ich pewność siebie.

Głęboką nocą, mieszkańców miasteczka, wyrwała ze snu huraganowa strzelanina. Atakowany posterunek żandarmerii, w którym teraz chronili się wszyscy Niemcy i policjanci, znajdował się w nieznacznej odległości od kanału Ogińskiego. Partyzanci zalegli na jego przeciwnym brzegu i stamtąd prowadzili ogień. Obie walczące strony, ostrzeliwały się głównie z broni maszynowej. Ciemną październikową noc, co chwila rozświeślały wystrzeliwane przez Niemców rakiety, gasząc widoczne w ciemnościach gęste smugi świetlnych pocisków.

W pewnym momencie, usłyszeliśmy wyciszone odległością i strzelaniną przeciągłe „Uraaaaa!” – Hura! – Okrzyk ten wydawała duża ilość ludzi.

– No to partyzanci poszli do ataku – powiedział ojciec – ciekawe, czym to się skończy.

Okrzyki zagrzewające do ataku ucichły szybko, ale palba i wystrzeliwanie rakiet, trwały jeszcze nieomal godzinę. Kiedy strzelanina osłabła, wyraźnie było ją słychać od strony żandarmerii. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Czy partyzanci teraz zdobywają niemiecką warownię, czy wycofali się. W tym drugim wypadku znaczyłoby to, że Niemcy ostrzeliwują jeszcze teren za kanałem na oślep. W końcu strzelanina zaczęła słabnąć, aż zdechła całkowicie. Nad miasteczkiem przykrytym bezgwiezdną październikową nocą, ponownie zapanowała cisza.

Tej nocy nikt już u nas w domu nie zasnął. Wyjątek stanowiła mała Szurka, która ułożywszy się wygodnie na poduchach matczynej piersi, smacznie spała. Siedzieliśmy wszyscy w ubraniach, nałożonych zaraz po wybuchu strzelaniny. Rozmowa rodziców i Wiery obracała się wyłącznie wokół zaistniałego wydarzenia. Zarówno siostra jak i ja z bratem, włączaliśmy się do niej. Wciąż przecież nie było pewności, czym zakończyła się ta bitwa. Wiele przemawiało za tym, że partyzanci wycofali się pod przeważającym ogniem Niemców. Ale dorośli nie wykluczali finału, w którym załoga żandarmerii mogła teraz leżeć pokotem martwa.

Kiedy zaczął wstawać mroczny jesienny poranek, odezwała się Wierka:

– Najlepiej będzie, jak ja polecę na miasto. Niech się pan z domu nie rusza, o nieszczęście nie trudno. Ja już dobrze poznałam i jednych i drugich. Jak na mieście są partyzanci, to mnie wiejskiej babie nic nie zrobią. A Niemców też się nie boję. Jeżeli oni przeżyli, to na pewno siedzą w swojej norze i po mieście nie włóczą się. A gdyby nawet, to dokument mam, powiem że przyszedł z Kraglewicz, to przecież blisko.

Jak Wierka powiedziała tak zrobiła, pomimo że rodzice odwozili ją od tego pomysłu wszelkimi sposobami. Powróciła do domu po kilkudziesięciu minutach w rozpiętej świtce, z czerwoną od zgrzania twarzą, a zdjętą z głowy wełnianą chustę niosła w ręku.

– No i co Wierka? – Spytałśmy pośpiesznie, prawie chórem.

– Tioplińkij deń bude, upociła ja – ciepłutki dzień będzie, spociałam się – brzmiała pogodna, jak cała Wierka odpowiedź. To wystarczyło, żeby wszystko zrozumieć. Partyzantom atak nie powiódł się.

ROZDZIAŁ 14

Na początku listopada, w Telechanach zaroilo się nagle od mundurów w kolorze khaki. W miasteczku niespodziewanie zjawił się batalion węgierskiego wojska. W Europie okupowanej niemal w całości przez Niemców, państwo węgierskie kolaborując z nimi, zachowało pozory niezawisłości.

Wojsko przybyło do miasteczka samochodami, które ustawiono w równych rzędach na obszernym placu, leżącym pomiędzy hotelem, a kanałem Ogińskiego. Hotel zajęli wyżsi oficerowie ze swoimi ordynansami, a pozostali oficerowie i całe wojsko rozlokowało się w miasteczku, zajmując ludziom na kwaterach części ich domów.

Do naszego domu stojącego w pobliżu hotelu, wprowadziło się czterech honwedów, czyli węgierskich żołnierzy. Po obejrzeniu całego domu, zażyli dla siebie nasz pokój gościnny. Takie ulokowanie się Madziarów, było dla nas najmniej kłopotliwe, a może i dla nich. Dwaj spośród nich mieli podoficerskie stopnie i mówili biegle po niemiecku.

Najstarszy stopniem Madziar przedstawił się, że ma na imię Imre. Powiedział, że byłoby mu miło, gdyby gospodarze tego domu tak się do niego zwracali. Drugi podoficer, do odmiany najstarszy wiekiem szpakowaty Kalman, pochodził z Budapesztu i w cywilu był kelnerem w luksusowej restauracji, a młodziutkie chłopię nazywało się Miklosz. Czwarty „lokator” w stopniu starszego szeregowca okazał się być Serbem, o imieniu Rado. Węgrzy mówili mu Rado. Obaj podoficerowie zwracali się do mamy per „Frau” albo „madam”, Rado mówił do niej „majko”, czyli matko, a Miklosz w ogóle nie odzywał się do nas, tylko uśmiechał.

Już pierwszego wieczoru, nasi lokatorzy dali się poznać jako ludzie sympatyczni i kulturalni. Podoficer o imieniu Imre zapytał, czy mogą zapoznać się z gospodarzami przy wspólnej kolacji. Po aprobacie ze strony rodziców, na stole pojawiły się niewyobrażalne frykasy. A więc była tam pyszna konserwowa papryka, którą zobaczyliśmy po raz pierwszy, sardynki w oliwie, czerwona od papryki kielbasa, był węgierski wojskowy chleb o złocistym kolorze, herbata, kawa, czekolada i butelka węgierskiego koniaku. Kalman będący w cywilu kelnerem, popisał się sztuką swojego zawodu nakrywając stół do tej zapoznawczej wspaniałej kolacji, po której Rado dał piękny solowy koncert na dużej, ustnej harmonii.

Nasi węgierscy lokatorzy byli niezbyt kłopotliwi. Wstawali raniutko i chociaż marzli, myli się na dworze. Do golenia dostawali od mamy ciepłą wodę i robili to u siebie w pokoju. Potem wynosili się z pożegnaniem „wiszontlatasra”! Tylko Serb Rado żegnał nas zawołaniem „zdrawstwujtie”. W języku rosyjskim to słowo oznacza powitanie, ale naszemu Serbowi pomieszało się

z jego ojczystym pożegnaniem „zdravojste”, czyli naszym „bądźcie zdrowi”. Ten słowny epizodzik wyjaśnił mi się po wielu latach, kiedy bywałem na gościnnych Bałkanach.

Węgrzy na kwaterę wracali późnym popołudniem, a wieczorami chętnie przychodzili do nas na pogawędki. Imre i Kalman rozmawiali z ojcem po niemiecku, a Rado z resztą rodziny słowiańskim bełkotem. Tylko młodzik Miklosz milczał i uśmiechał się do wszystkich. Prawie każdego wieczoru, Serb grywał na swojej ustnej harmonii.

W Telechanach porozumienie się z Madziarami nie sprawiało ludziom zbyt trudności, gdyż w wojsku tym służyło wielu Słowian, głównie Serbowie i zakarpaccy Rusini.

Co się tyczy Słowian w węgierskiej armii, to spotkało nas zaskakujące wydarzenie. Pewnego wieczoru, przyszedł do naszego Serba Rado jakiś honwed w stopniu szeregowca. Był to szpakowaty mężczyzna po czterdziestce, który niemal od drzwi rzucał się w oczy swoją postawą. Ojciec powiedział, że człowiek ten zachowuje się tak, jak gdyby znajdował się nie u zwykłych ludzi, a w jakimś wytwornym salonie.

Żołnierz ten powitawszy nas w pięknie brzmiącym rosyjskim języku, niezbyt długo półgłosem rozmawiał o czymś z Radem, który okazywał swojemu rozmówcy wyraźny szacunek. Kiedy nieznajomy pożegnał nas kwieciście po rosyjsku i wychodził z domu, Rado odprowadził go do drzwi z eleganckim, pełnym szacunku ukłonem.

Rado widząc po tej wizycie niewyraźne miny rodziców, roześmiał się i wyjaśnił niezwykle zachowanie swoje i swojego gościa. Okazało się, że ten z pochodzenia Serb w stopniu szeregowca, kilka lat przed wybuchem wojny, był jugosłowiańskim dyplomatą wysokiej rangi w Paryżu. Nasz Rado zaś był wtedy jego osobistym szoferem. Teraz obaj byli honwedami i kaprysem losu, spotkali się w tej samej jednostce. Tyle, że eks-dyplomata w stopniu szeregowca, a jego eks-szofer miał o jeden stopień więcej. Rodzice moi długo byli pod wrażeniem okoliczności losu, jaki spotkał jego ekscelencję dyplomatycznego korpusu Jugosławii, okupowanej teraz przez Niemców.

* * *

Przebywający w Telechanach Węgrzy, rzucili wynędzniałej ludności miasteczka nie tylko swój pyszny pszenno kukurydziany chleb, mięsne i rybne konserwy, ale i takie wspaniałe dobra jak mydło, tytoń, zapaliki. Ludzie kupowali wspaniałe tytoń, a nawet ryż i czekoladę, których to miasteczko nie widziało od 1939 roku. Także dzięki Madziarom, Telechany ujrzały po raz pierwszy paprykę.

To wszystko można było dostać u węgierskich żołnierzy za niewielkie ilości samogonu. Zdarzało się często, że żołnierze obdarowywali różnymi dobrami gospodarzy swoich kwater ot tak po prostu, z dobrego serca.

Tak przyjazny stosunek Madziarów do miejscowej ludności, był absolutnym zaprzeczeniem dotychczasowej wiedzy o węgierskim wojsku. Jeszcze

w poprzednim roku, do Telechan przyjeżdżali ludzie z Wołynia. Opowiadali wówczas o walkach węgierskich wojsk z partyzantami i o represjach dokonywanych na cywilnej ludności. Za podejrzenie współpracy z partyzantami, Węgrzy podobno pacyfikowali tam całe wsie. Gdzie tkwiła tajemnica przeciwnieństwa tych obu faktów, mieszkańcy Telechan nie mogli zrozumieć

Ponieważ wojsko węgierskie i to w tak znacznej sile rozkwaterowane było po domach w całym miasteczku, stało się ono niedostępne dla rabujących band. Ludzie odetchnęli z ulgą. Odetchnęli też prawdopodobnie i Niemcy w swojej twierdzy. Teraz byli oni wręcz niezauważalni. Również i czarni policjanci przestali włóczyć się po Telechanach. Miasteczko zostało całkowicie opanowane przez mundury w kolorze khaki. A mundury te były inne od tych, jakie widziano tutaj do tej pory. Inny był ich krój, inne były czapki.

Chłopaczek, a zapewne i miejscowe dziewczęta, z zachwytem patrzyli na węgierskich oficerów. Nosili oni idealnie dopasowane mundury i długie lśniące buty na wysokim zgrabnym obcasie, przyozdobione w dzwoniące ostrogi. Ich czapki różniły się od czapek szeregowców tym, że miały małe ciemnozielone daszki. U boku kołysała się szabla. Każdy oficer obowiązkowo nosił wąsy i na odległość pachniał kolońską wodą.

Węgrzy, którzy bez przerwy narzekali na zimno, absolutnie nie kwapili się też do potyczek z partyzantami. Wprawdzie wybrali się parę razy w cieplejsze dni dużym oddziałem gdzieś poza Telechany, a nad wieczorem zjawiali się cali i zdrowi. Ludzie mówili, że wyjeżdżające samochody prócz wojska, zawsze zabierały jakieś ładunki, a wracały bez nich. Zachodzono w głowę, czy to nie był handel i z kimś. Domysły szły też w kierunku, że są to darowizny dla partyzantów. Nie wiadomo, komu przeznaczone były te wywożone ładunki.

Natomiast na pewno zadowoleni byli obywatele miasteczka, bo nikt ich teraz nie gnębił. Ponadto, dla ludzi niezwykle ważne było i to, że węgierski lekarz udzielał wszystkim darmowych porad i obdarowywał lekarstwami. Ten wąsacz mając pełne ręce roboty, każdego chorego przyjmował z uśmiechem na twarzy. Towarzyszył mu felczer, zakarpacki Rusin.

Mieszkańcy Telechan przyjęli za ciekawostkę fakt, że w tej madziarskiej jednostce znajdowało się dziecko. Był to chłopiec w wieku około dwunastu lat. Nosił na sobie uszyty na miarę węgierski mundurek i także obuwie. Tyle, że na czapce nie miał żadnego wojskowego emblematu. Chłopca często widziano na ulicach miasteczka, ale ten zachowywał się tak, że nikomu z miejscowych ludzi nie udało się nawiązać z nim kontaktu. Nie było wiadomo, jakiej narodowości jest ten „syn pułku”.

Tak długo męczyłem ojca, aby dowiedział się tego od naszych madziarskich lokatorów, aż kiedyś zapytał o to Kalmana. Ten uśmiechnął się smutno i odpowiedział, że węgierscy żołnierze przygarniając tego chłopca, chcieli chociaż w ten sposób pomniejszyć swoją winę, że został on sierotą. Po tej wymijającej odpowiedzi Kalmana, w domu zapanowało długie, kłopotliwe milczenie...

Inną ciekawostką, jeśli wręcz nie sensacją węgierskiego wojska było to, że służbę pomocniczą pełnili w nim węgierscy Żydzi. Obsługiwali oni kwatermistrzostwo. Ubrani byli w mundury, ale bez dystynkcji. Choć państwo węgierskie było sojusznikiem Niemiec, na jego terytorium wojsk niemieckich nie było. Dyktator państwa Horthy, zachował dużą niezależność.

O tej ciekawostce wieczorami opowiadali ojcu Imre i Kalman, a z kolei ojciec nam wszystko tłumaczył.

Dzięki polityce Horthy'ego, 70.000 węgierskich Żydów uniknęło losu swoich pobratymców z obszaru Europy, okupowanej przez Niemców. Co prawda, dla złagodzenia nacisków Hitlera na węgierski reżim, wprowadzono tam pewne „prawa rasowe”, ale życiu Żydów nic nie zagrażało. Zostali oni tylko pozbawieni prawa do wykonywania wielu zawodów i piastowania różnych funkcji. Wprowadzono również przepisy, które ograniczały im kontaktowanie się z nie żydowskimi obywatelami państwa.

Na Węgrzech istniała legalna faszystowska organizacja, której członków nazywano „Strzałokrzyżowcami”. Oni życie obrzydzali Żydom przy każdej sposobności. Poza różnymi wymyślanymi przez nich szykanami, zdarzały się także pobicia.

Dla Żydów, pomocnicza służba w węgierskiej armii, była więc zbawienna. Wprawdzie ich pozostawione w kraju rodziny podlegały różnym upokorzeniom, ale oni sami na ogół traktowani byli przez węgierskich żołnierzy jak równi sobie.

W trakcie pobytu Madziarów w Telechanach, kilka osób było świadkami niezwykłego wydarzenia na styku Węgrzy, Żydzi, Niemcy. Na dziedzińcu rejonowego biura stała węgierska wojskowa kuchnia polowa. Kręciło się tam zawsze mnóstwo żołnierzy i węgierskich Żydów.

Pewnego dnia, na ten dziedziniec przyszedł niemiecki podoficer. Później okazało się, że chciał zamówić dostawę opału dla żandarmerii. Na dziedzińcu zaczepił jednego z przechodzących Żydów, wydając mu jakieś polecenie. Ten nie zrozumiał, o co mu chodzi, wzruszył ramionami i odwrócił się, chcąc odejść. To rozzłościło Niemca.

– Du, Jude, halt! Stój Żydzie!

Dopadł go, chwycił za ramię, obrócił twarzą do siebie. Z rozmachem, na płask uderzył go dłonią w twarz. Człowiekiem rzuciło, aż przysiadł. Niemiec ruszył w jego kierunku, ale nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi węgierski oficer. Niemiec zatrzymał się, ale był gotów do ataku.

– Raus! – Ryknął na Węgra – Precz!

– Still, still, cicho, cicho. – spokojnie powiedział Madziar.

Niemiec z pięściami ruszył na niego i w tym momencie gwałtownie zahamował. Kopnięty celnie w dół brzucha, stał w rozkroku zgięty w pałąk, trzymając się oburącz za swoje klejnoty. Z pozieleniałą twarzą, chwycił powietrze otwartymi ustami. Wszyscy wokół znieruchomieli.

Wreszcie paroksyzm bólu Niemcowi widać minął, gdyż gwałtownie sięgnął po pistolet. Ale węgierski oficer już w niego mierzył. Niemiec z rezygnacją opuścił ręce, powoli wyprostował się.

– Zapamiętaj sobie, że to jest nasz węgierski obywatel i ty nie masz prawa go tknąć! Zrozumiałeś? – Powiedział Madziar po niemiecku głośno i wyraźnie. Potem zagadał coś po węgiersku do wianuszka zgromadzonych i ci rozeszli się do swoich zajęć.

Niemiec chwilę stał niezdecydowany, po czym żując półgłosem jakieś przekleństwa, powlókł się do budynku gminy.

Wśród węgierskich żołnierzy, trafiały się także i „czarne owieczki”. O różnych wybrykach honwedów, ludzie tu i ówdzie opowiadali. Jednak była różnica pomiędzy Węgrami, a wojskami innych narodowości, które uprzednio tutaj stacjonowały. Jeśli wśród żołnierzy były jakieś wybryki, to mało znaczące, a winnych wykroczeń surowo karano. Okazało się przy tym, że w wojsku węgierskim wciąż jeszcze istnieje prawo karania podwładnych zwyczajnym mordobiciem, jak za dawnych czasów cesarstwa austrowęgierskiego.

Taki incydent miał właśnie miejsce w naszym domu. Jakies trzy, cztery dni od przybycia Madziarów, w godzinach przedpołudniowych przyszedł do nas wielki żołnierz, o dziobatej po ospie twarzy i ponurym spojrzeniu. Spod czapki widać mu było brudny bandaż opatrunku, a lewą dłoń także miał zabandażowaną. Nie wydobywszy ze siebie żadnego głosu, od drzwi ruszył w głąb mieszkania i obszedł wszystkie pokoje. Nie spotkawszy tam nikogo, wrócił do kuchni i zdejmując pokrywki ze stojących na płycie rondli, zaczął obwąchiwać ich zawartość. Stwierdziwszy, że jest tam barszcz i są ziemniaki, na migi kazał oniemiałym z wrażenia i strachu mamie, Mundzi i Wierze, podać to sobie do jedzenia. Kiedy mama sięgnęła po talerz, drab warknął „nem” i wskazał na dużą blaszaną miskę, a sam rozsiadł się za kuchennym stołem. Dostawszy jedzenie, spojrzał ponuro na kobiety i zachrypiał pytając „keń-jet”? Nikt nie rozumiał, o co mu chodzi. Ponurak westchnął z rezygnacją, wstał i zaczął gmerać w kuchennym kredensie. Wydał pomruk zadowolenia, wydając stamtąd bochenek chleba. Nie był to jednak chleb wypieku mamy, ale przydziałowy, z piekarni. Żołdak ujrawszy, jakie to paskudztwo, z odrazą rzucił go na gorący blat kuchni i pomrukując coś, usiadł za stołem. Ziemniaki zżerał łapczywie, ale barszcz wyraźnie mu nie smakował. Wykrzywił twarz i czmychał nosem. W pewnym momencie rzucił łyżką o stół i huknął zachrypniętym basem :

– Daj mięso! Daj mięso! – Daj mięso!

A więc potrzebnych mu rosyjskich słówek, już zdążył się nauczyć.

Przyznam się, że obleciał mnie strach. Natomiast obie kobiety i siostra gorączkowo gestykulując, zaczęły tłumaczyć się przed nim, że mięsa w domu nie ma.

To draba nie przekonało. Wstał zza stołu i tym razem dokładnie przejrzał zawartość kuchennego kredensu i szafki. Tam zobaczył papierosy podarowane ojcu przez Kalmana i wsadził je do kiszeni. Następnie coś warcząc pod

nosem, dojadł barszcz z wyrazem niesmaku na gębie i bez słowa wyniósł się z domu.

Rodzice obawiali się powiedzieć o tym wydarzeniu naszym Madziarom nie wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje. Przecież mieszkający u nas sympatyczni żołnierze, zachowaniem swoim wobec nas nie reprezentowali prawa obowiązującego w okupacyjnej węgierskiej armii.

Żarłoczny drab widocznie wiedział dobrze, kiedy może przychodzić do nas. W ciągu tygodnia pojawiał się jeszcze kilkakrotnie. Nie był wobec domowników bardziej agresywny jak za pierwszym razem, ale stawał się coraz bezczelniejszy. Za którymś razem, kiedy już sobie podżarł, bez słowa wszedł do pokoju stołowego. Penetrując zawartość kredensu, od niechcienia wepchnął w kieszeń parę srebrnych sztućców.

Już kierował się do pokoju gościnnego, kiedy zdarzył się cud. Niespodziewanie jak na tę porę, przyszedł do domu Imre. Na jego widok, drab wyraźnie struchlał.

Imre ujrzawszy ospowatego i otwarty kredens z powyciąganymi szufladami, ostrym głosem zadawał mu jakieś pytanie. Drabisko natomiast ze wzrokiem utkwionym w podłódze, jękając się bąkał coś pod nosem. Widocznie jakieś grzeszki dziobatego były Imremu znane, gdyż kazał mu powyracać na zewnątrz kieszenie. Kiedy na podłogę posypały się z brzękiem nasze sztućce, Imre pomagając sobie gestami zapytał mamę, czy to są nasze rzeczy.

Po potwierdzeniu przez nią tego faktu, kazał żołnierzowi pozbierać je z podłogi i podać mamie. Następnie przywołał go do siebie i postawił na baczność.

W tym samym momencie, na odlew walnął pięścią dziobatego w twarz tak mocno, że ten stracił równowagę i zatoczył się pod okno. Pod nosem draba, pokazała się krew.

Mama, Wiera i Mundzia, krzyknęły ze strachu, a mała Szurka zaniósła się płaczem. Imre uśmiechnął się do nich i ręką uczynił uspokajający gest. Potem błyskawicznie wyjął z kabury pistolet i grożąc nim dziobatemu, krzyczał coś. Ten wróciwszy po uderzeniu do równowagi, czmychnął z domu pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Zwiewający w panice drab, skojarzył mi się z widzianym kiedyś czmychającym w przerażeniu kotem.

Dopiero w chwilę po tym incydencie, ktoś zauważył leżącą na podłodze pod oknem czapkę honweda. Imre wziął ją w dwa palce i niosąc przed sobą z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy, wyrzucił na podwórze. Kiedy w chwilę potem wyrząłem tam, czapki już nie było.

Imre długo coś do nas mówił, a z całej jego postaci wręcz biły przeprosiny.

Wieczorem Madziarzy powróciwszy na kwaterę, sami nawiązali ponownie do tego tematu. Imre i Kalman przepraszały za ten incydent po niemiecku, Rado po serbsku, a mały Miklosz uśmiechał się do nas wszystkich.

Na koniec, Rado wyciągając ze swoich bagaży zieloną butlę z palinką, wołając:

– Majko, je palinka, molim te stakanice! – Matko, jest palinka, proszę o szklanki!

– Jo, taps Rado reszere! – Brawo Rado! – Zawołali Madziarzy. Tym razem, po raz pierwszy usłyszeliśmy głos Miklosza.

* * *

Pewnego dnia przed południem, przyszedł do naszego domu węgierski żołnierz. Niewysoki, z wielkimi wąsami. Zagadał nie po węgiersku, ale w jakimś brzmiącym z ukraińska narzeczu. Domyśliliśmy się, że to Czerwonorusin zakarpacki. Pytał, czy w domu jest jeszcze ktoś oprócz obecnych w kuchni. Była w niej mama, Wiera i ja z siostrą. Mama powiedziała, że starszy syn jest w pokoju.

Żołnierz otworzył drzwi do pokoju i zobaczywszy Stefana, ponownie je zamknął. Bez pośpiechu zdjął płaszcz, czapkę i rozsiadł się wygodnie na ławie, będącej teraz miejscem spania Wiery z dzieckiem. Karabin oparł o ścianę obok siebie, po czym wyciągnął fajkę zdobioną mosiądzem i skórzany kapciuch z tytoniem. Nabił nim fajkę, potem długo celebrował jej zapalenie. Bez słowa patrzył na krzątające się w kuchni mamę i siostrę, Wierę robiącą na drutach coś z wełny i na jej dziecko.

Ja oczywiście zaraz przysiadłem się do żołnierza i kolejno lustrowałem guziki przy mundurze, pas, ładownicę z nabojami, oczywiście najbardziej interesował mnie stojący obok karabin. Odważyłem się nawet ukradkiem dotknąć jego zimnej lufy, która w kuchni pokryła się drobniutką rosą.

Rusin tymczasem przy pomocy fajki narobił w kuchni parę smug niebieskiego, pachnącego dymu. Jakże ten zapach różnił się od machorkowych smrodliwców telechańskich palaczy. Nawet „cygaretki” mojego kuzyna Aleksandra, nie umywały się do tytoniu w fajce tego żołnierza.

– Maty, ja ne Madziar, ty mene ne bojś – matko, nie jestem Madziarem, nie bój się mnie – odezwał się w końcu Rusin – ja czut’ ne partizan – ja jestem prawie partyzantem.

Na taką odzywkę, mama nie wiedziała jak zareagować. Uśmiechnęła się niepewnie i dalej obierała ziemniaki.

– Nieńka ne bojś, na, poczitaj – mamuśku nie bój się, weź, poczytaj.

Sięgnął do leżącego na ławie płaszcza i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął plik kartek wielkości szkolnego zeszytu, złożonych na pół. Śliniąc palce, kolejno rozdawał po jednej kartce mamie, siostrze i Wierze. Ta wzruszyła tylko ramionami, nie chcąc jej przyjąć. Mama i Mundzia stały zaś na środku kuchni, niepewnie obracając kartki w rękach. Ja zdążyłem zauważyć, że na kartce jest jakiś tekst w języku rosyjskim.

W tym momencie otworzyły się drzwi od pokoju i do kuchni wszedł mój brat Stefan. Rusin uśmiechnął się do niego i przywołał kiwnięciem ręki. Znowu poślinił palce i wręczył mu kolejną ulotkę. Resztę schował do płaszcza.

Stefan wziął kartkę i zachęcany przez żołnierza, zaczął jej treść czytać na głos. Okazało się, że ta kartka jest sowiecką propagandową ulotką. Kiedy

Stefan czytał ją, Rusin słuchał tego z uśmiechem, z aprobatą kiwając głową. Cały czas pociągał dym z fajki i wypuszczał go na kuchnię. Pozostało tajemnicą, jak te ulotki dostały się w ręce Ruina, służącego w węgierskim wojsku.

Ulotka mówiła o niemieckiej agresji na Europę. Chociaż treść zawierała absolutną prawdę, forma była jaskrawym odzwierciedleniem bolszewickiej propagandy. Autor ulotki darł szaty nad losem okupowanej Holandii, Belgii i pozostałych krajów razem z Grecją, ale dziwnym zbiegiem okoliczności, w całej tej ulotce nie znalazło się ani jedno słowo o Polsce. Ani nawet pół. O Polsce, która pierwsza stawiała czoło niemieckiej agresji. O Polsce, która w dwa tygodnie po napaści Niemców, została śmiertelnie ugodzona w plecy przez sowiecką Rosję.

Dalej ulotka opowiadała, jak zdradziecko faszystowskie bestie napadły na „świaszcziennuju sowietskiju rodzinu”, na świętą, radziecką ojczyznę. I jak bohaterscy radzieccy ludzie miast i wsi, chętnie oddają za swoją ojczyznę życie na froncie i w partyzantce. Za ich przykładem, wszyscy pozostali obywatele powinni wstąpić do partyzantki, a przynajmniej ją wspierać na wszystkie możliwe sposoby.

Ulotka nosiła tytuł „Zaria”, Zorza i podpisana była przez podziemny wojewódzki komitet Komunistycznej Partii Bolszewików Białorusi.

Skrętnie schowaną przed naszymi Madziarami partyzancką ulotkę, wieczorem ojciec zaniósł do wuja Stefana. Tam z najgłębszym oburzeniem czytali ją wuj i goszczący akurat u niego panowie, Szweps i Chomienia. Gorącą dyskusję zakończył strach przed policyjną godziną. Choć po miasteczku krążyły teraz wyłącznie węgierskie patrole, rozgorączkowani panowie pośpiesznie rozeszli się do domów. Na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 15

Zbliżało się Boże Narodzenie 1943 roku i wyznaczony przez niemieckiego komendanta miasta burmistrz Telechan, emerytowany przedwojenny adwokat mój wuj Stefan Ustymczuk, zdecydował się na wręcz szalony pomysł. Choć sam był wyznania prawosławnego, wspólnie z księdzem Tarnogórskim zwrócili się do niemieckiego komendanta o zezwolenie odprawienia w kościele pasterki o północy.

Wprawdzie zrobili to ze słabym przekonaniem uzyskania zgody, jedynie zachęteni panującym ostatnio w miasteczku spokojem. Tym większe było ich zdumienie, kiedy komendant nieomal natychmiast wyraził zgodę, lecz pod jednym warunkiem. Oto nabożeństwo miałoby się odbyć z udziałem gry na organach.

W Telechanach zawrzało. Przecież organista został w 1939 roku aresztowany przez bolszewików i wywieziony na Sybir, jako jeden z pierwszych. Nikt z telechańskich ludzi nie miał pojęcia o grze na organach.

Nagle ktoś przypomniał o telechańskim muzyku samouku, Michale Kryńcu. Michał, czy jak go powszechnie nazywano Michońka, był człowiekiem obdarzonym niezwykłym muzycznym talentem. Starsi ludzie nieraz opowiadali, jak jego matka pani Ksenia Kryńcowa szczyciła się tym, że jej syn od małego brzdąca wykazywał niesłychaną muzykalność. Chociaż Michońka nie uzyskał żadnego muzycznego wykształcenia i pozostał samoukiem, znał doskonale nuty i grał na wszystkich dostępnych w Telechanach instrumentach.

Propozycję wystąpienia w roli organisty, Michońka przyjął bez wahania. Nie spieszył go fakt, że na opanowanie gry na organach, miał zaledwie dzień czasu.

Nadeszła mroźna, ale cicha wigilijna noc i oto po latach milczenia, odezwał się kościelny dzwon. Mroźne powietrze zanosilo dźwięk jego do najodleglejszych zakamarków miasteczka.

Nielicznych w Telechanach katolików, przerzedzonych jeszcze sowieckimi wywózkami, w kościele walnie uzupełniali prawosławni mieszkańcy miasteczka. Prawdziwy ścisk zrobili jednak dopiero węgierscy żołnierze, którzy przybyli na pasterkę bez broni. Ubezpieczali ich koledzy, krążąc w silnych patrolach po wszystkich ulicach miasteczka.

Ku zaskoczeniu mieszkańców Telechan, w nabożeństwie uczestniczył również niemiecki komendant miasta. Siedział w bocznej ławce obok ołtarza, obstawiony swoimi żołnierzami w hełmach, z automatami gotowymi do strzału. Żołnierze tkwili nieruchomo, stojąc do komendanta plecami, twarzą do wnętrza kościoła.

Okazało się więc, że komendant nie ze względu na sympatię do ludzi zezwolił na odprawienie pasterki o północy. Będąc widać katolikiem, po prostu skorzystał z okazji i zafundował sobie tę uroczystość z dala od ojczyzny. Okazją tą był liczny węgierski garnizon w Telechanach, chroniący przed partyzantami.

W trakcie odprawiania tego nabożeństwa, kościół telechański był świadkiem jedyne w swej historii wydarzenia. Kiedy Michońka wydobył z organów melodię kolędy „Cicha noc”, kościół nagle zatrzęsł się od potężnego śpiewu w węgierskim języku.

– Csendes az éj – zagłuszyło – „Cichą noc, świętą noc”.

Wrażenie było niesamowite. Kobiety zaczęły płakać, śpiewały kolędę z twarzami zalanymi łzami, płakało też wielu mężczyzn. Atmosfera wzruszenia ogarnęła mnóstwo honwedów. Nie ukrywał łez i ksiądz Tarnogórski, płacząc razem z wiernymi.

Jedynie niemiecki komendant, zachował kamienną twarz. Co prawda, śpiewał i on razem ze wszystkimi „Stille Nacht”, bo poruszał ustami w takt melodii, ale jego fizjonomia nie wyrażała żadnego uczucia. Żadnych uczuć nie można było dopatrzeć się też na twarzach jego obstawy.

Celebrowanie pasterki trwało jak nigdy, ponad dwie godziny. Kolęda płynęła za kolędą. Zdarzył się jeszcze taki dziw, że kiedy przebrzmiewały ostatnie takty kolędy, a Michońka nie intonował na organach nowej melodii, węgierscy żołnierze zaczęli śpiewać swoją, madziarską kolędę. Odśpiewali ich w sumie kilka. Na zakończenie pasterki, w kościele zabrzmiała potężnie raz jeszcze „Cicha noc”, odśpiewana zgodnie w obu językach.

Po zakończeniu mszy, na oświetlonych księżycem ulicach zrobiło się rojno od ludzi. Zniesiona tej nocy godzina policyjna wyzwoliło w ludziach uczucie jakiejś wewnętrznej swobody i zapomnienia, że żyje się w ciągłym zagrożeniu, niepewności dnia ani chwili.

Szli ludzie spokojnie, powoli do swoich domów. Nie bacząc na siarczysty mróz, zatrzymywali się małymi grupkami, swobodnie rozmawiali, śmiali się. Na gęsto krążące węgierskie patrole, nikt nie zwracał uwagi.

Święta Bożego Narodzenia, choć biedne i z godziną policyjną, po raz pierwszy od kilku lat upłynęły spokojnie. Nudzący się na swoich kwaterach węgierscy żołnierze, od rana do wieczora podśpiewywali swoje kolędy. Ci z nich, którzy dostali z domów świąteczne paczki, obczęstowywali kolegów i gospodarzy czerwoną, paprykową kielbasą i palinką.

Nagle wyciszone obecnością węgierskich żołnierzy uczucie strachu i niepewności, pewnego styczniowego dnia 1944 roku gwałtownie ożyło. W ciągu jednego dnia wojsko madziarskie załadowało się z ekwipunkiem na samochody i opuściło Telechany.

Odjechali do Pińska, pozostawiając na miejscu mały, obwarowany posterunek żandarmerii z kilkoma Niemcami i kilkunastoma czarnymi policjantami. Oczywiście, ani jedni, ani drudzy nie mieli chęci w takiej sytuacji wychylać stamtąd nosa. Nawet największy bandzior policjant „Gad” Wiktorowicz, gdzieś się zapodział. Z takiego stanu skorzystali natychmiast wszelkiego rodzaju rabusie rozzuchwaleni do tego stopnia, że szwendali się po ulicach nawet w biały dzień. Natomiast partyzanci, jakoś nie pokazywali się w Telechanach ani w dzień, ani w nocy.

ROZDZIAŁ 16

Czwartego dnia takiej bezpańszczyzny, w Telechan zjawili się nagle kilkanaście niemieckich samochodów i kilka motocykli z przyczepami, na których znajdowały się karabiny maszynowe. W sumie przyjechało kilkudziesięciu, a może nawet setka żołnierzy.

Po miasteczku gruchnęła wiadomość, że Niemcy likwidują posterunek żandarmerii i opuszczają Telechany. Wywożą też ze sobą, wszystkie zgromadzone kosztem ludności zapasy rolnych płodów. Jeżeli wystarczy w samochodach miejsca, to wyjechać z Niemcami mogą ci, którzy obawiają się o swoje życie ze strony partyzantów.

Oczywiście pierwsi zgłosili się ci, którzy mieli na sumieniu jakieś konaszchy z Niemcami. A więc w pierwszym rzędzie wszelacy donosiciele i różne lizusy, uczestniczący we wspólnych z żandarmami libacjach. Pragnienie opuszczenia Telechan, zgłosiło też kilka uległych Niemcom panienek.

W strachu o swoje głowy, chęć wyjazdu zgłosiło też sporo osób, które pracowały w telechańskiej administracji. Obawiali się, czy nie zostaną ukarani przez partyzantów za domniemaną współpracę z okupantem. W sumie, zebrała się spora ilość osób.

Ludzie mieli świeżo w pamięci zdarzenie, jak parę miesięcy wstecz partyzanci rozprawili się z trzema telechańskimi ludźmi. Podejrzewani przez Niemców o współpracę z partyzantami, zostali aresztowani i przewiezieni na śledztwo do gestapo w Hancewiczach. Po tygodniowym śledztwie, kiedy Niemcy upewnili się, że aresztowanie było pomyłką, ludzie ci zostali wypuszczeni na wolność. Poturbowani w czasie śledztwa, ale szczęśliwi wolnością, z braku innego sposobu powrotu do domu wracali do Telechan piechotą. Zatrzymani w lesie przez partyzantów, zostali wzięci na spytki. A kto, a co, a po co, a dlaczego.

Kiedy okazało się, że to ludzie uwolnieni przez gestapo, „naczalnicy” partyzantów uznali, iż nie może być inaczej, są to niemieccy kolaboranci, którzy po powrocie do domu będą pełnić rolę prowokatorów. Bogu ducha winnych ludzi, powieszono na skraju Telechan na drzewach. Na piersi jednego z nieszczęśników, partyzanci zawiesili tekturową tabliczkę. Stało na niej napisane, że tak oto radziecka władza karze zdrajców radzieckiej ojczyzny, wysługujących się niemieckim faszystom.

Wiść, że Telechany mają pozostać na łasce i niełasce partyzantów, wywołała w naszej rodzinie nerwowy nastrój. Rodziców przytłoczyło pytanie bez odpowiedzi. Co w tej sytuacji należy zrobić? Fakt, że ojciec był spokojnym szanowanym człowiekiem, dla wielu sowieckich partyzantów z pewnością był bez znaczenia. Oni szufladkowali ludzi po swojemu, czego jaskrawym przykładem, byli ci trzej powieszeni nieszczęśnicy.

Ten i szereg innych przykładów świadczyły, że ludziom ocierającym się w jakikolwiek sposób o okupacyjne władze, przyjsie partyzantów niczego dobrego nie wróży. A ojciec był księgowym w biurze Rejonu. Do tego Polak. W pamięci rodziców, całkiem świeża jeszcze była pamięć o czasach władzy radzieckiej, jak wówczas traktowano ojca.

Do tego zbiorowiska zagrożeń, dochodził jeszcze jeden fakt. Było nieomal pewne, że niejaki Mikołaj Dziechciaryk, który parę miesięcy wstecz zmieniając skórę zniknął z Telechan i z niemieckiego sługusa stał się partyzantem. Ojciec będąc przedwojennym samorządowym urzędnikiem, wręcz z obowiązku znał jego bandycką przeszłość, przerwana przez wyrok odsiadki w kryminale. Zrozumiałe więc, że w mniemaniu towarzysza Mikołaja, taki żywy świadek jest nazbyt niewygodny.

Po południu przyszli do nas wujostwo z Mureczką. Oni także popadli w panikę. Przecież wuj Stefan ileś tam miesięcy wstecz, pod groźbą rozstrzelania w razie odmowy musiał przyjąć funkcję burmistrza! Więc jego los, też jest zapewne przesądzony.

Raniutko następnego dnia, wujostwo przyszli do nas ponownie. Przyszła też ciocia Katarzyna, chrzestna mojego brata. Mama z siostrą miały zaczerwienione oczy, a ciotka Mania chlipała i trąbiła smarkami w chusteczkę. Mureczka też zdejmowała okulary i przykładła do oczu dłoń, że niby ją bołą. W kuchni, mokrym nosem chlupotała Wiera. Tylko ciocia Katarzyna trzymała się dzielnie, choć czasami i jej łamał się głos.

Toczyła się nerwowa rozmowa. Wyjechać, czy zostać? Ojciec, pracownik Rejonu. Z wujem Stefanem, jest jeszcze gorzej. Do tego obaj z ojcem, to przedwojenni polscy urzędnicy. Bolszewicy partyzanci im tego na pewno nie darują. Tacy ludzie, to dla nich zdrajcy. Faszystowscy zaprzedańcy. Jedyna sprawiedliwość, to pula w łob.

Zapada zgodna decyzja. Trzeba opuścić dom i jechać w nieznane. Uniknąć śmierci z kulą w głowie, zdając się na łaskę i niełaskę Niemców. Bo to daje szansę uratowania życia. Ojca i wuja. A może całych obu rodzin.

Krótkie, tragiczne pożegnanie z ciocią Katarzyną. Ona zdecydowała się pozostać. Skoro Bolszewicy nie aresztowali jej w 1939 roku razem z mężem, to może i partyzanci zostawią ją w spokoju. Gdzie ona pojedzie z dziećmi w nieznane. Nasza rodzina i wujostwo, to co innego. Pozostać nam nie wolno. Pozostanie na miejscu, oznacza śmierć.

Gorączkowa narada zakończona. Wujostwo i ciocia Katarzyna poszli do swoich domów. Rodzice pośpiesznie zaczynają pakować rzeczy. Co jest niezbędne, ile można unieść, a czego nie da się zabrać? Nikt nie potrafił odwieść mamy od decyzji, zabrania główki maszyny do szycia. Leżała teraz obok innych tobołków, zawinięta w koc i obwiązana sznurkiem. W kilka miesięcy później, ta maszyna do szycia okaże się być przez jakiś czas jedyną żywicielką rodziny.

Przy pakowaniu rzeczy, pomagała nam jak mogła i doradzała Wiera. Ona postanowiła zostać jeszcze w naszym domu. Przecież w środku zimy, z dzie-

kiem nie ma gdzie się podziać, ale z nastaniem wiosny powróci do swojej Wygonoszczycy. Tam sporo ludzi wciąż mieszka, ona jest zdrowa, silna, to jakoś się urządzi. Na wsi została jej ziemia, a serce boli, że leży odłogiem. Jak ją będzie uprawiać nie wie, ale ziemia, to przecież matka żywicielka.

Naszymi zwierzętami, Wiera zaopiekować się nie chciała. Mówiła, że skoro partyzanci zorientują się, iż one były nasze, zabiją je natychmiast na mięso. Trzeba więc jeszcze coś zrobić z krową i prosiakiem. Pobiegła siostra do sąsiada, pana Brzostowskiego, „Płaksy”. Niebawem zjawili się oboje. Brzostowski pochwalił decyzję o wyjeździe. Obiecał zaopiekować się zwierzętami. W jego oborze miejsca wystarczy, a i paszy też.

Pan Brzostowski po zabraniu do siebie krowy i prosiaka, z własnej woli przyjechał pod nasz dom swoim włochatym konikiem, zaprzężonym w sennie. Chce nasze rzeczy podwieźć na miejsce zbiórki do odjazdu.

Tak, już najwyższy czas opuścić dom i oddać się w ręce nieznanego losu. Mama klęka, a za nią pozostali domownicy i pan Brzostowski. Mama w improwizowanej modlitwie prosi Pana Boga, aby mając nas w swojej opiece sprawił, żebyśmy wszyscy przeżyli wojnę.

Pocziwa Wierka żegnając się z nami płakała w głos i wszystkich obsypywała gorącymi, mokrymi od łez pocałunkami. Ze swoją mamą, mazała się także mała Szurka. Popłakały się również mama i siostra.

Sanie bez trudu zmieściły nasz chudy dobytek, uzupełniony bagażami wujostwa i chlipiącą ciotką Manią. Pan Brzostowski przysiadł boczkami na półkoszku i cmoknął na konika. Sanki ruszyły w kierunku żandarmerii, gdzie stały niemieckie ciężarówki. Nasi rodzice, my dzieci oraz wuj i Mureczka, poszliśmy pieszo. Szliśmy ku naszemu nieznanemu przeznaczeniu.

Ulica, przy której znajdowała się żandarmeria, była zastawiona długim sznurem wojskowych ciężarówek i motocykli z przyczepami. Pomiędzy nimi gęsto kręcili się wartownicy. Niemcy i czarni policjanci. Kręciło się też trochę miejscowych ludzi. To ci, co zdecydowali się wyjechać z Telechan.

Jakiś niemiecki oficer wskazał ojcu ciężarówkę, w której można było złożyć nasze rzeczy. Skrzynia ciężarówka, do połowy załadowana była leżącym luzem ziarnem łubinu. W innych samochodach było podobno żyto i inne zboża. Tyle zrabowanego dobra Niemcy zabierali ze sobą.

Do wskazanego przez Niemca samochodu, załadowała się nasza rodzina, wujostwo i pracownik Rejonu, samotny pan Pawłowski. On też boi się zostać pod rządami partyzantów, za Bolszewików zdążył już być aresztowany i zaznał pieśczęt enkawudzystów.

Na świecie od kilku dni panowała odwilż. Śnieg stał się mokry, ciężki. W rozjeżdżonych przez niemieckie samochody koleinach, stała woda ze śniegową zlodowaciałą kaszą. Po tej brei od strony budynku żandarmerii w kierunku szkoły, szedł człowiek. Zdumione oczy ludzi zebranych wokół samochodów, rozpoznały w nim miejscowego policjanta Harasiuka. Zdumienie to wywołał jego ubiór. Policjant był bez czapki, w rozpiętej kurtce munduru i nie miał na sobie spodni, ani obuwia. W białych płóciennych

gaciach, człapał na bosaka z opuszczoną głową po mokrym, rozjeżdżonym śniegu.

Niezawodna pantoflowa poczta, momentalnie wyjaśniła to zdarzenie. Otóż, mimo zbliżającej się godziny odjazdu Niemców z Telechan, rodzina Harasiuka nie pojawiła się na żandarmerii. Koleżkowie policjanta wzięli więc go na spytki, gdzie się podziewa. Ten dawał mętne odpowiedzi, płątał się.

Natychmiast powstało więc podejrzenie, że jego rodzina w ogóle nie ma zamiaru wyjechać, chce pozostać pod partyzancką władzą. Musiało to znaczyć, że Harasiuk jako czarny policjant jest zdrajcą. Dokonawszy tego odkrycia, policjanci zameldowali o tym komendantowi, wyrażając gotowość natychmiastowego rozstrzelania swojego kolegi. Ku ich zdumieniu, komendant po chwili zastanowienia kategorycznie im tego zabronił. Kazał puścić Harasiuka wolno, jedynie odartego ze spodni i obuwia. Pozostanie tajemnicą Niemca, jakie pobudki kierowały jego decyzją, że lekką rączką darował policjantowi życie.

Tymczasem jego koleżkowie rozeźleni decyzją komendanta, nie mogąc wykonać egzekucji na swoim niedawnym kamracie stali na środku ulicy i ujadali za oddalającym się człowiekiem.

- Kaby ty zhareu, jobu twoju u hrobi mać!
- Idy ty u sraku czortowej maci!
- Poszou u żopu, ty hnidowe partizankeje houno!
- Idy, idy, kaby ty zadawi'usia!
- Bacz, a to strelu tobi u sraku, haże pula jajcami wyjde!

Harasiuk z opuszczoną głową powoli oddalał się. W momencie, kiedy doszedł do zakrętu ulicy, obejrzał się. Widząc, że nikt za nim nie idzie, rzucił się biegiem do ucieczki. Biegając ślizgał się na mokrym śniegu, spod jego bosych stóp tryskała woda.

W kilkanaście minut po tej sensacji, z budynku żandarmerii wysypali się hurmem żołnierze wermachtu i żandarmi. Byli wśród nich też czarni policjanci. Pośpiesznie zajmowali miejsca w samochodach i na motocyklach. Zahuczały silniki pojazdów. Wilgotne, ciężkie powietrze stało się nieznośnie smrodliwe od silnikowych spalin.

Padła jakaś niemiecka komenda wielokrotnie powtarzana od samochodu do samochodu. Kolumna wolno ruszyła w stronę pińskiej szosy.

Kronika moich telechańskich dziejów, została zamknięta.

ROZDZIAŁ 17

W niecałą godzinę po ucieczce Niemców z Telechan, pojawili się w nich partyzanci. Wchodzili do miasteczka pojedynczo lub małymi grupkami ze wszystkich stron, rozpełzając się po ulicach. Wielu spośród nich było zarośniętych i brudnych. Poubierani byli różnorodnie. Głównie w kapoty i kozuchy, ale przewijały się też sowieckie albo niemieckie wojskowe płaszcze. Niektórzy paradowali w solidnych, choć na ogół już sponiewieranych, czyichś paltach i futrach. Taka sama zbieranina dotyczyła obuwia, od poleskich „postołów” z lipowego łyka, po przeróżne rodzaje skórzanego obuwia. Rzucało się w oczy, że nie wszyscy mieli broń i była ona „od Sasa do lasa”. Mnóstwo spośród tych „partyzantów”, uzbrojona była tylko w siekiery, albo potężne pały.

Nie zdążyła jeszcze w Telechanach nadejść pierwsza noc bez okupanta, a już wyszło na jaw, że owi partyzanci są zwykłymi grabieżcami. Rozpełzłszy się po miasteczku, szumowina ta zaczęła odwiedzać dom po domu, zabierając stamtąd, co wlaźło w łapy. Jedni wychodzili z łupem, a już pchali się następni. Nie gardzili żadnymi, ocalałymi jeszcze po domach rzeczami, głównie wężąc jednak za odzieżą i obuwem. Powszechne było zjawisko zdzierania z ludzi odzieży czy obuwia, jeśli tylko spodobało się to rabusiom. W ten sposób syn cici Katarzyny Kola, stracił marynarkę, którą miał na sobie.

Jeszcze tej pierwszej nocy opanowanej przez plądrującą hołotę, obrabowany został doszczętnie dom zamieszkały przez wdowę po popie Godlewskim, Elżbietę Wasiljewną i jej siostrę Nadzieję Wasiljewną Kruczenko. Gromadzone przez długie lata dobra Godlewskich i Kruczenków, lumpy ładowali na sanie niemal do świtu, wywożąc je gdzieś poza miasteczko. Aż dziw bierze, że rabusie ulitowali się nad błagającymi staruszkami i zostawili każdej z nich po sukience, przeznaczonej na ich przyszłe pogrzeby.

Kiedy po tej strasznej nocy nastał wreszcie dzień, wtedy do domu pań Wasiljewnych zaczęli ponownie dobijać się jakieś pijane bandziory.

– Otkroj dwieri, a to budu strielat’! – Ryczeli.

Przerażone starowiny otworzyły drzwi i do domu wtargnęło kilku odrażających, pijanych drabów.

– Dawaj starucha zołoto! – Wrzeszczał jeden z nich.

– Dawaj, jobu twoju mać, a to zarięzu! – Ryczał inny, uzbrojony w wielki nóż.

Obie wdowy półżywe z przerażenia, siedziały w kącie na podłodze. Grabieżcy nie chcieli uwierzyć, że w tak dużym i dostatnio wyglądającym domu, nie ma już nic do zrabowania. Kiedy wśród rozrzuconej rupieciarni znaleźli pozostawione staruszkom pogrzebowe staromodne sukienki, natychmiast wpakowali je do worka. Wtedy pani Godlewska zaczęła ze łzami błagać rabusiów:

– Ostawcie ich radi Boga, eto naszymi płaci na pochoron! – Proszę na Boga zostawcie je, to nasze sukienki na pogrzeb!

– Kak podochniesz, to wyniku ciebie za zabor z hołotu srakoj, kak suku! – Zarechotał śmieć – kiedy zdechniesz, wyrzucę cię za płot z gołą dupą, jak sukę!

Reszta kompanów wychodząc z domu, wtórowała śmiechem i przekleństwami.

Rabunek ludności trwał od świtu, do nocy. Oczywiście, towarzyszyły temu pijane burdy i pobicia ludzi. W tym straszliwym, brudnym i chamskim tłumie szumowin, nie sposób było znaleźć kogoś odpowiedzialnego za jakikolwiek ład i porządek. Panowała absolutna anarchia. Ta zalewająca miasteczko fala bandziorów mianujących siebie partyzantami, była po prostu zbieraniną zdemoralizowanych mieszkańców różnych wsi, którym okoliczne lasy dawały schronienie przed jakąkolwiek odpowiedzialnością.

Zrozumiałe, że grabieżcy zaraz na wstępie rozbili magazyn, znajdujący się na terenie byłej żandarmerii. Niemcy pozostawili w nim oprócz razowej mąki ogromne, wielotonowe zapasy soli, której niedostatek ludzie odczuwali od dawna. Rabująca hołota rzuciła się na nią łapczywie, nie dopuszczając do niej ludności miejscowej.

Jeden z naszych telechańskich sąsiadów, który odwiedził nas później w Pińsku opowiedział, że z naszego domu i wujostwa, w ciągu dwóch dni grabieżcy wywieźli saniami gdzieś poza miasteczko literalnie wszystko.

Wiera, która pozostała z dzieckiem w naszym domu, opuściła go już pierwszego dnia tej bandyckiej anarchii. Zabrała swoją małą Szurkę i z niewielkim tobołkiem na plecach, wywędrowała do Wygonoszczy.

Taki pełen chamstwa grabieżczy chaos, trwał pełne trzy dni. Rankiem czwartego dnia, ludzie zobaczyli z przerażeniem, że do Telechan wlewa się nowa fala partyzantów. Ci jednak, jeśli nie jechali na saniach, to szli pododdziałami w zwartych, wojskowych szykach. Wszyscy byli uzbrojeni, a na saniach jechało sporo maszynowych karabinów. Nie byli jednolicie jakoś umundurowani, większość miała na sobie cywilne ubrania. Niektórzy partyzanci ku zdumieniu ludzi, paradowali w wojskowych węgierskich płaszczach, albo kamaszach. Tak częściowo wyjaśniły się bezkrwawe „wypadki” Madziarów poza Telechany, kiedy ci w nich stacjonowali.

Niebawem wśród mieszkańców miasteczka gruchnęła wiadomość, że jest to partyzancki 208 pułk, który po koncentracji rozproszonych po lasach oddziałów, nareszcie wkroczył do Telechan.

Na grasujące stada rabusiów, padł blady strach. Partyzanci wkraczali z leśnych ostępów od strony Wólczańskiego jeziora i Świętej Woli, a szumowiny pośpiesznie wynosiły się w lasy omijając partyzantów i unosząc ze sobą ostatnie łupy.

Budynek, w którym mieściła się żandarmeria, znowu zmienił lokatora. Rozlokował się tam w miejsce biwakującej przez trzy dni hołoty, sztab partyzanckiego „naczalstwa”. Na palisadzie otaczającej porzuconą przez Niemców warownię, zatknięty został wielki czerwony sztandar. Partyzanci uru-

chomili porzuconą przez Niemców, a ocalałą jakimś cudem przed rabusiami polową elektrownię i całą noc poniemiecka twierdza jaśniała łuną elektrycznego światła.

Rankiem podano do publicznej wiadomości, że w telechańskim Rejonie, sekretarzem podziemnej Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, jest Andrzej Chackiewicz. Ludzie przypomnieli sobie, że podczas pobytu Bolszewików w Telechanach był on kierownikiem miejscowej ubezpieczeniowej kasy. Chackiewicz uznawany był za jednego z niewielu, którzy pośród przyjezdnych Rosjan wyróżniali się inteligencją i kulturalnym sposobem bycia.

W partyzanckim „naczalstwie” niczego nie można było również zarzucić dowódcy pułku i „komandirom” podległych mu oddziałów. Dowódcy poszczególnych oddziałów dbali nawet o to, aby zachowanie ich podwładnych wobec ludzi z Telechan, nie miało żadnych przejawów chamstwa. Było to o tyle istotne, że żołnierze partyzanckiego pułku zostali rozlokowani na kwaterach, w poszczególnych domach mieszkańców miasteczka.

W niewielkim domu ciotki Katarzyny, zakwaterowali się dwaj oficerowie, którzy służyli w oddziale imienia porucznika Czertkowa. Był to nieżyjący już oficer Czerwonej Armii. Czertkow po rozbiciu przez Niemców w 1941 roku pułku, w którym służył, zorganizował z jego szczątków leśny oddział. W ciągu trzech lat istnienia, dawał się on Niemcom srodze we znaki. Między innymi to właśnie jego oddział latem czterdziestego drugiego roku, dokonał brawurowego ataku na niemiecki garnizon w Świętej Woli, niszcząc go doszczętnie. W jakiś czas potem, w czasie bitwy z esesmanami Czertkow zginął.

W składzie 208 partyzanckiego pułku przebywającego w Telechanach, znajdowały się także inne oddziały, które wślawiły się zwycięskimi bitwami z wojskami okupanta. Pośród nich był oddział, noszący nazwisko nieżyjącego już swojego dowódcy, Szczorsa. Oddział ten dwa lata wstecz, rozbił duży niemiecki garnizon w Kosowie, uwalniając z getta kilkuset Żydów. Następnie partyzanci wyprowadzili ich w leśne ostępy, organizując tam dla nich obozowisko. Niestety, niedługo potem karna ekspedycja SS wytropiła to leśne schronienie i zlikwidowała w bestialski sposób.

Niektórzy mieszkańcy Telechan spotkali w tym partyzanckim pułku swoich znajomych, którzy z różnych przyczyn znaleźli się w leśnych oddziałach. Do tych osób należeli między innymi Białobłocki, Pietras i jego dzielna córka Hela, której wyłącznie wielki pech nie pozwolił wysadzić w powietrze niemieckiej komendantury.

Jednakże dla większości ludzi, istnym szokiem było ujrzzenie pośród partyzantów powszechnie znanego w Telechanach bandziora, Mikołaja Dziechciaryka. Ten wysługujący się okupantowi złoczyńca, parę miesięcy wstecz zniknął z Telechan. Teraz ubrany w skórzany enkawudowski płaszcz z dynadającym u pasa pistoletem i czapkę uszankę z czerwoną gwiazdą, „merdał ogonem” przed partyzanckimi sztabowcami.

Widocznie jednak Dziechciaryk zdobył u nich jakieś zaufanie, skoro właśnie on rozpoczął „prześwietlanie dusz” podejrzanych obywateli mia-

steczka. Swoją „misję” Dziechciaryk wypełniał przesiadując większość dnia w „biurze”, czyli w jednym z pokoi dawnej siedziby czarnej policji. Przesłuchiwał tam miejscowych obywateli, próbując ustalić domniemane powiązania różnych ludzi z Niemcami. Sam jako półanalfabeta protokołów nie pisał, posługiwał się jakimś młodym, biegle piszącym człowiekiem.

Pierwszą widoczną oznaką tych przesłuchań, było nieomal natychmiastowe aresztowanie czterech mężczyzn. Ci aresztowani, to były lumpy z pobliskich chutorów, wysługujące się Niemcom donosicielstwem, a więc do niedawna Dziechciarykowi kołesie po fachu. Oni także mieli mocno ubrudzone ręczki grabieżami i pomaganiem Niemcom przy likwidacji żydowskiej ludności. I tak to kryminalista Dziechciaryk, rozliczał innych kryminalistów.

Kilka dni później, w Telechanach pojawiło się pięciu enkawudzistów. Byli nimi, przynajmniej ze względu na typowe dla enkawudzistów umundurowanie. Na drugi dzień odjechali saniami w nieznane, zabierając ze sobą czterech aresztowanych złoczyńców. Ta czwórka o brudnych łapach, do Telechan już nigdy nie powróciła.

W miasteczku pozostały pytania. Dlaczego ci niby enkawudziści zamiast swoim zwyczajem poczęstować ich na miejscu „puloj w łob”, zabrali gdzieś ze sobą? Czy Dziechciaryk nie zmanipulował usunięcie brudnych koleżków z Telechan bez robienia im krzywdy? Było to nader podobne do jego własnej afery, mającej miejsce podczas pobytu Bolszewików w Telechanach. Pytanie to pozostało na zawsze bez odpowiedzi.

Niedługo potem, Dziechciaryk zaprzestał parodii swoich śledztw. Bohater nasz jednak tylko pozornie oklapnął w swojej aktywności ścigania wrogów ludu. Teraz już nie tylko wieczorami, niby to zupełnie prywatnie odwiedzał dawnych znajomych. Z zadowoleniem pozwalał częstować się samogonem, natomiast niedomyślnym gospodarzom, robił niedwuznaczne aluzje o poczęstunku.

W rozmowach przy butelce ciągnął ludzi za języki, wypytując o wspólnych znajomych. Interesowało go wyłącznie to, jak oni sprawowali się po jego ucieczce do lasu. Czasami jednak przekroczywszy swoją normę w piciu, zaczynał stroić się w pawie piórka bohatera. Opowiadał wówczas o swoich bohaterskich wyczynach w partyzantce. Najczęściej plótł o zasadzce na kolumnę niemieckich samochodów, którymi oddział Wehrmachtu kilkanaście dni wstecz wywoził z Telechan do Pińska zrabowane płody rolne i obsadę garnizonu. Ludzie dowiadawali się, że to pod jego dowództwem została zaminowana droga w lesie pod Kraglewiczami, wskutek czego Niemcy ponieśli okropne straty.

Opowiadka ta była którąś kolejną Dziechciarykową blagą. Na drodze w lesie pod Kraglewiczami, była jedna jedyna mina i jeden uszkodzony samochód. Poza tym, nikogo nawet nie drasnęła żadna partyzancka kulka. Skąd wiem? Ano, byłem wówczas pasażerem jednego z samochodów w tej kolumnie, jako że wtedy wyjechało z Telechan sporo cywilnych osób, w obawie przed partyzanckimi represjami. W tamtej potyczce, Niemcy mieli

ogromną przewagę ogniową. Smutnym dowodem na to była ilość rannych partyzantów, jaką 208 pułk przywiózł ze sobą do Telechan.

Innym razem Dziechciaryk zaczynał marzyć o czasach, kiedy do Telechan przyjdzie już Czerwona Armia, a on zasiądzie na odpowiednio wysokim stołku w partyjnym aparacie.

Podczas rozmów o tych, którzy z Niemcami wyjechali do Pińska, miał jednoznaczne zdanie. Zdrajcy! Bardzo żałował, że nie dopadł swojego wuja Stefana Ustymczuka, który w ostatnim czasie był burmistrzem w Telechanach. Dziechciaryk wiedział o tym, że wuj odmawiając niemieckiemu komendantowi objęcie tego urzędu, wypisałby sobie wyrok śmierci. Pomimo to, zdaniem Dziechciaryka wuj jako burmistrz wysługiwał się Niemcom, a więc był zdrajcą Związku Radzieckiego, za który on Mikołaj Dziechciaryk, w partyzancie przelewa krew. Zapomniał Mikołajek biedactwo, ile czasu z własnej woli był czołowym niemieckim sługusem i to najpodlejszego gatunku!

O innych osobach, które wyjechały z Telechan, wyrażał się bardziej, lub mniej „życzliwie” niż o swoim wuju Stefanie. Kiedy w miesiąc później nasi dobrzy znajomi państwo Linko przyjechali do Pińska, opowiedzieli takie zdarzenie. Podczas pobytu w Telechanach partyzantów, do ich domu zawitał nieproszony gość w osobie Dziechciaryka z informacją, że zaschło mu w gębie. Po wypitej butelce samogonu, w trakcie rozmowy pan Linko zapytał, jaki los czekałby swojego ojca, gdyby ten pozostał w Telechanach. Zagad-

nięty o to Dziechciaryk, gwałtownie ożywił się i zawołał:

– Da ja by jego liczno s miasta zastrielił! – Ja bym go osobiście z miejsca zastrzelił!

– Za cóż to?

– Jeszcze pytacie Linko? Po pierwsze to Polak, który był legionistą u Piłsudskiego. Po drugie, kiedy Białoruś okupowali Polacy, był urzędnikiem w ichniej administracji. Po trzecie, skoro zna biegle niemiecki język, to musiał mieć jakieś konszachty z faszystami. Po czwarte, za Niemca był księgowym w Rejonie, czyli wysługiwał się faszystom. Ktoś taki, już z samej gęby jest wrogiem radzieckiej władzy! Jeszcze wam mało, Linko?

– A co z jego żoną i dziećmi?

– Nu... etot wopros nada by pieriedumať – noo... nad tym trzeba by się zastanowić.



Mikołaj Dziechciaryk. Fotografia wykonana w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

A więc towarzysz kryminalista-komunista, już awansem powypisywał ludziom wyroki śmierci. Na szczęście, ominęło to wszystkich Polaków, którzy z Telechan nie wyjechali. Oni widocznie zostali uznani za nieszkodliwych, a w końcu nie Dziechciaryk decydował o tym, był przecież tylko jakimś nadętym pionkiem.

O kilku panienkach, które umilały Niemcom pobyt w miasteczku i z nimi wyjechały do Pińska, miał opinię krótką. Takie „bladi” powinny mieć włosy strzyżone na zero do końca życia. Przyjdzie Armia Czerwona, pierwsze wyjadą na Sybir, gdzie zgniją w łagrze.

– Tam budut ich jobat’ sobaki karaulszczikow! – Tam będą ich j... psy wartowników!

Po wejściu do Telechan 208 partyzanckiego pułku, grabieże ludności ustały. Początkowo, jeszcze gdzieś na skrajach miasteczka bandziory próbowali grasować, ale chwytanemu szumowinie zgodnie z partyzanckim kodeksem, wlepiano po kilkadziesiąt kijów. Rabusia z rozkwaszonym tyłkiem i portkami w garści wyganiano z miasteczka razem z obietnicą, że przy następnym spotkaniu będzie „pula w łob”.

Z zaopatrzeniem w podstawowe artykuły niezbędne do życia, w Telechanach było fatalnie. Rabująca przez parę dni wszystko i wszystkich hołota, zdążyła w zasadzie wyczyścić miasteczko dosyć dokładnie. W tej czarnej biedzie, jedyną jasną, a właściwie słoną plamą była nie rozrabowana do końca sól. Partyzancka administracja, rozdzielała ją teraz pomiędzy miejscowych ludzi.

W magazynach pozostawionych przez uciekających Niemców, przed szumowinami nie ocalały prawie żadne dobra. Nie było gdzie zdobyć ropy, ani nawet śmierdzącego niemieckiego mydła. Nawet palaczom zabrakło papieru do robienia papierosowych skrętów, z hodowanej przy domach machorki samosiejki. Teraz wzdychali oni do niemieckich kłamliwych gazet. Co prawda robione z nich skręty brudziły drukarską farbą wargi i język, dusiły w gardle śmierdzącym dymem, ale czego palacz nie zrobi, aby nie przepuścić przez płuca machorkowego dymu!

Za kanałem Ogińskiego znajdował się dawny majątek hrabiego Pusłowskiego, który później za Sowietów, był główną bazą kolchozu. Niemcy ze względu na trudności stwarzane im przez partyzantów, ostatnio korzystali tylko z jego niewielkiego „ogryzka”. Jednakże uciekając z Telechan, pozostawili tam spore zasoby żywego inwentarza, oraz zapasy zboża i ziemniaków. Teraz to, czego nie zdążyli rozkraść okoliczne lumpy, zaczęło znikać w partyzanckich żołądkach.

Wobec powstałej sytuacji, obowiązek karmienia partyzantów przeniósł się dodatkowo na właścicieli pobliskich chutorów. Rekwirovano tam na ubój świnie, liche krowy, zabierano mąkę, kasze, ziemniaki.

Ponemiecki magazyn mocno spustoszony przed wejściem partyzantów przez rabującą hołotę, niebawem zaświecił całkowitą pustką. Wówczas kilku przedsiębiorczych spekulantów, zaczęło przywozić z Pińska sobie tylko znanymi sposobami ropy i inne niezbędne produkty. Partyzancka radziecka

władza udawała, że nie widzi tych spekulanckich działań. Sama także wieczorami siedzieć po ciemku nie chciała, gdyż do napędzającego elektrownię silnika, niebawem zabrakło paliwa.

Przy groźbie nadciągającej nędzy i coraz silniejszego zaciskania pasa, w Telechanach nie zabrakowało tylko samogonu. Jako surowca do jego pędzenia, pomysłowi ludkowie oszczędzając mąkę, zaczęli używać pastewnych buraków. Wychodziła z tego mętna cuchnąca breja, ale i tak ją chętnie żłopano. Nie do rzadkości należał obrazek zataczających się po ulicach pijaczków, w tym także i „partyzanów”. Przyznać jednak trzeba, że ci ostatni za publiczne pijaństwo byli surowo karani.

Dopóki była ocalała jeszcze przed rabusiami poniemiecka mąka, chleb pieczony przez przypadkowych piekarzy w piekarni po Gitelmanie, był bardzo marnej jakości. Toteż zdarzało się, że partyzanci „dzielili się” z ludźmi chlebem, pieczonym w domach. Przy okazji, domagali się jeszcze czegoś do chleba. Jeżeli jednak skarga taka dotarła do sztabu pułku, łakomego złodziejaska karano surową plagą kijów.

Pobyty partyzantów w Telechanach miał i komiczne epizody. Powszechną wesołość wśród mieszkańców miasteczka wzbudzał kominiarz Zońka Żywołowicz, zwany Wijunem. On już za okupacji bolszewickiej w 1939 roku był „aktywistą” i chadzał ze zdobyczną gdzieś skórzaną teczką.

Za Niemców, powrócił do czyszczenia kominów. Teraz paradował w zrabowanym komuś obszernym damskim futrze, a na lewe przedramię naciągnął czerwoną opaskę. W tym stroju biegał po Telechanach i zaczepiał ludzi. Zońkę, jako jedyne go w miasteczku kominiarza, praktycznie znali wszyscy. On zaś każdemu teraz dawał obietnicę, jaka to świetlana przyszłość rysuje się przed wszystkimi. Tylko niech radziecka władza okrzepnie. Do siebie nie pozwalał zwracać się inaczej, jak tylko per „towarzyszu”. Wszystkie inne zwroty traktował jak osobistą obelgę. Krzyczał, groził i tupał nogami. Tak to zwykły Zońka wyrósł nagle na ważnego człowieka, ale on zawsze był w miasteczku obiektem powszechnej wesołości.

Jedynym prawdziwie słonecznym promieniem na obrazie partyzanckich rządów, okazał się być doktor Michetko. Powrócił do Telechan razem z partyzantami. Mając pod opieką wielu rannych i chorych partyzantów, nieomal z marszu pośpieszył z pomocą mieszkańcom Telechan, wobec których felczer Dramowicz z powodu tragicznego braku leków, był bezradny. Jak na panujące warunki, Michetko miał aptekę dobrze zaopatrzoną w zdobyczne niemieckie leki. Od rana do wieczora, w jego kwaterze tłoczyli się kaszlący i stękający chorzy, dla których zawsze miał dobre słowo i uśmiech. Ludzie pamiętali naturalnie miły sposób bycia doktora Michetki, ale teraz zaskarbił on sobie dodatkowo ich ogromną sympatię.

Szpital opuszczony od czasu jego ucieczki do partyzantki, ożył na nowo. Tam lądowali chorzy zakaźnie, ponieważ zachorowania na tyfus nie ustawały. A więc w tym wypadku, władza partyzantów w Telechanach wyszła jej mieszkańcom w pełni na dobre.

* * *

W lutym 1944 roku, pojawił się w Telechanach duży, zmotoryzowany oddział Wehrmachtu, własowców i czarnych policjantów. O jego zbliżaniu się, partyzanci zostali powiadomieni jakimś sposobem odpowiednio wcześniej i ewakuowali się w zorganizowany sposób. Oddali Telechany bez walki, jedynie kosztem kilku anemicznych wystrzałów oddanych raczej dla fasonu z bezpiecznej odległości, zza kanału Ogińskiego.

W stosunku do ludności, Niemcy nie zastosowali żadnych represji. Ze swojej warowni niechętnie wychylali nosy, gdyż ze wszystkich stron otoczeni byli dużymi partyzanckimi siłami. Na ulice miasteczka wychodziły patrole złożone wyłącznie z własowców i policjantów. Niemcy najprawdopodobniej mieli radiostację i z jej pomocą porozumiewali się z innymi garnizonami. Zaopatrzenie odbywało się drogą lotniczą, nieraz z dużymi stratami zrzutów dla Niemców. Zdarzało się, że korzystali na tym z narażeniem życia odważniejsi ludzie. Przechwytywali taki zrzut, jeśli został on zniesiony wiatrem daleko od niemieckiej warowni.

Mieszkańcy Telechan żyjąc w takich warunkach, cierpieli z powodu wielkiego niedostatku i panoszących się nieomal bezkarnie rabusiów, chociaż ci niewiele już mogli ludziom zabrać.

Jak nigdy dotąd, rozprzestrzeniły się takie choroby jak tyfus, czerwotka i świerzb. Felczer Dramowicz z powodu braku jakichkolwiek leków, był całkowicie bezradny. Biedni ludziska daremnie wzdychali do doktora Michetki, który odszedł z partyzantami do lasu.

W tym trudnym czasie, ratunkiem w zaopatrzeniu Telechan ponownie okazało się być kilku odważnych spekulantów. Jeździli saniami, a potem wozem do Pińska po sól, naftę i inne niezbędne, a dostępne na czarnym rynku artykuły.

Zdarzyło się parokrotnie, że razem ze spekulantami przyjeżdżali do Pińska ludzie, którzy sami robili jakieś zakupy i razem z nimi wracali do Telechan. Przyjeżdżali także ci, co postanowili wyrwać się z telechańskiego piekielka. W sumie kilka rodzin, które w Pińsku już pozostały.

Czasami bywało, że spekulantów zatrzymywali w lesie jacyś grabieżcy i zabierali im cały zdobyty w Pińsku towar. Speculanci wówczas nie protestowali, to też bandziory оголоonych pechowców puszczali wolno. Ci powracali do domu z westchnieniem ulgi, że przywieźli w całości przynajmniej własną skórę.

* * *

W czerwcu 1944 roku, do Telechan wkroczyły wojska Czerwonej Armii. Niemcy zdążyli odpowiednio wcześniej opuścić miasteczko, zostawiając w nim na oczywiste stracenie nieliczną grupę czarnej policji i własowców. Tak też się stało. Po żałosnej wręcz obronie w ponemieckiej twierdzy, zostali oni przez sowieckich żołnierzy rozstrzelani.

Tak to moje Telechany, rozpoczęły następny etap swojej historii.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ

CZEŚĆ CZWARTA:

PO OPUSZCZENIU TELECHAN

ROZDZIAŁ 1

Dzień dziewiętnastego stycznia 1944 roku, otworzył nowy rozdział losów naszej rodziny. W obawie o życie mojego ojca, które ten mógł utracić poprzez nieodpowiedzialną decyzję jakiegoś partyzanta, opuściliśmy naszą małą telechańską Ojczyznę. Ratując może razem z ojcem także i swoje głowy, wykorzystaliśmy przyzwolenie niemieckiego okupanta, na wyjazd z nim do Pińska. Okupant opuścił miasteczko na kilka tygodni, nasza rodzina niestety na zawsze.

W ponury, pełen roztopowej odwilży styczniowy dzień, wyruszyła z Telechan w drogę do Pińska długa kolumna niemieckich wojskowych ciężarówek. Pomiedzy nimi, brnęły po mokrym śniegu motocykle z przyczepami. Na każdej przyczepie karabin maszynowy. Skrzynie większości ciężarówek wypełnione są ziarnem żyta, owsa, jęczmienia i gryki. Jest nawet łubin. Tyle Niemcy uciekając z Telechan, zdążyli zagarnąć. Zrabowane bogactwo poleskiej ziemi.

Wszystkie samochody mają brezentowe budy. Większość z nich, w swoim wnętrzu kryje uzbrojonych po zęby żołnierzy Wehrmachtu.

W samochodzie ze skrzynią napelnioną do połowy ziarnem łubinu, jedzie grupka ludzi, którym los zagroził utratą życia. To nasza rodzina, wujostwo z Mureczką i samotny pan Pawłowski, urzędnik z Rejonu.

Krótki odcinek drogi biegnącej wzdłuż zamrożonego teraz kanału Ogińskiego, za miasteczkiem niebawem wcisnął się do wiekowego lasu. Tam obstały ją ciasno potężne sosny. Zdarza się, że ciężki sosnowy konar chłśnie zielonymi igłami po brezentowej budzie któregoś z jadących drogą aut. Ich silniki wyją na wysokich obrotach, bo droga jest trudna do pokonania. Kilkudniowa silna odwilż, zamieniła leżący na drodze śnieg w ciężką, lodowatą kaszę.

Mniej więcej w połowie drogi do Pińska, znajduje się miasteczko Łohiszyn. Po drodze, zagubione pomiędzy wiekowymi lasami, leżą dwie wsie, Kraglewicze i Ozarycze.

Las zaczyna przerzedzać się i oto już pierwsza z nich. Gdyby nie kilka szarych dymów snujących się z kominów chat, wieś wygląda jak wymarła. Nie widać żadnego człowieka, nie zaszczekał ani jeden pies.

Przejechawszy wieś, kolumna ponownie zapada się w prastary las. Tutaj droga jest nieco lepsza. W lesie śnieg okazał się mniej mokry, a pewnie przetarły go też trochę, płozy jeżdżących tędy chłopskich sań.

Nagle lasem szarpnął potężny wybuch. Nieomal jednocześnie rozległa się długa seria z karabinu maszynowego, i już następna. Posypał się bezładny groch wystrzałów.

– No, brakowało nam jeszcze tego, na drodze są miny – nieswoim głosem powiedział ojciec.

– Boże wiekuisty, ocal nas – zajęczała ciotka Mania.

Karabiny maszynowe na motocyklach rozszalały się. Wspomagali je żołnierze z samochodów. Niemcy huraganowym ogniem siekli po gęstym leśnym poszyciu. Ich ogień był zdecydowanie silniejszy od partyzanckiego.

– Pjuuu! Pjuuu! – Gwizdały kule w powietrzu.

Leżeliśmy wszyscy płasko na ziarnie łubinu. Ciotka Mania modliła się na głos.

Dziwne, ale nie odczuwałem strachu. Ciekawiło mnie, co dzieje się poza samochodem, na drodze. Brata mojego też. Podnosiliśmy głowy, zerkaliśmy ponad burtę skrzyni. Mama nerwowo przyciskała nasze głowy do łubinu.

– Dzieci, na litość boską, leżcie spokojnie – mówiła płaczliwym głosem. Niewiele to pomagało.

– Psiaa, krew! – Ryknął nagle ojciec. – Leżeć, bo dam w dupę!

Obaj z bratem struchleliśmy. Po raz pierwszy w życiu usłyszeliśmy od ojca, że mamy dupy. Nie czuliśmy strachu przed gwizdzącymi kulami, a teraz przeszło nam po plecach mrowie. Wrażenie jednak powoli mijało, a za burtą samochodu działo się tyle ciekawego!

W pewnym momencie samochód, którym jechaliśmy, wyminął stojącą przy drodze mocno przechyloną na bok ciężarówkę. To zapewne ona najechawszy na minę, z rozpędu popęzła jeszcze parę metrów w stronę lasu i utknęła w śniegu.

Szofer w białym kombinezonie, gorączkowo oblewał samochód benzyną z kanistra. Obok niego dreptali dwaj czarni policjanci, z karabinami gotowymi do strzału. Widocznie byli to pasażerowie pechowego samochodu. W chwilę potem, samochód gwałtownie objęły czerwone płomienie, a czarny dym popęzł w stronę lasu.

W międzyczasie, do uszkodzonego samochodu podjechał motocykl i szofer pośpiesznie usadowił się na jego tylnym siodełku. Motocykla próbowali ucześcić się również dwaj czarni policjanci. Szofer z rozmachem uderzył jednego z nich automatem w pierś. Policjanta odrzuciło w śnieg. Drugi gwałtownie odskoczył sam. Motocykl włączył się w kolumnę. Policjanci trzymając w rękach karabiny, biegli teraz co sił w nogach, kilka metrów za motocyklem.

Strzelanina wyraźnie słabła. Właściwie las już nieomal zamilkł. Poszczekiwały jeszcze karabiny maszynowe na motocyklach. Też coraz słabiej.

Zerknąłem na drogę. Dwaj policjanci wciąż biegli. Widać było, że resztkami sił. Szczególnie jeden z nich, ciągle potykał się. Zdawało się, że za chwilę upadnie. Wtedy zatrzymał się mijający ich właśnie samochód. Policjanci błyskawicznie wdrapali się do jego skrzyni.

Niebawem umilkły ostatnie wystrzały. Wszyscy zaczęli podnosić się z łubinu, ponownie usadawiać.

– Babach! – Trzasnęło nagle w plandekę budy samochodu. Wszystkich poderwało. Ale to tylko uderzyła w nią nisko zwieszająca się gałąź sosny.

– Uj, Boże ratuj! Kula w nas trafiła! – Ni w pięć ni w dziesięć wrzasnęła ciotka Mania, która już od dłuższej chwili zaniechała odmawianych w kółko modlitw.

– A ty czego znowu! – Warknął wuj. I nagle wszyscy głupio, ale z uczuciem ulgi roześmiali się. Napięcie gwałtownie minęło. Ojciec i pan Pawłowski zapalili po węgierskim papierosie. Wszyscy rozmawiali ze wszystkimi, rozhulała się bezładna paplanina.

Kiedy minęliśmy zdawać by się mogło wymarłą wieś Ozarycze i ponownie wjeżdżaliśmy w las, na świecie zapadał już wczesny, zimowy zmrok. W wysokim gęstym lesie, robiło się już ciemno. Gapilem się na pociemniały, bezgwiezdny pas nieba, widoczny nad drogą. Jego obrzeża strzępiły uciekające do tyłu, czarne teraz wierzchołki sosen. Reflektory samochodów zamalowane do połowy, kreśliły na śniegu świetlne zygzaki.

Nagle gęstniejący mrok zaczęły rozświetlać gdzieś z głębi lasu żółte błyski i wtórujący im grzechot wystrzałów.

– Znów się zaczyna – powiedzieli każdy sobie, a jednocześnie chórkim, ojciec i wuj.

Wszyscy obecni w samochodzie, zaczęli pośpiesznie układać się plackiem na łubinie, a ciotka Mania ponownie uderzyła w głośnie modły.

Siła ognia partyzanckiej zasadzki widocznie była słabiutka, bo niemiecki ogień dosłownie ją zalał. Po kilku minutach, rozbłyśki wystrzałów z lasu nieomal całkowicie ustały. Niemcy natomiast, jeszcze dobrą chwilę cięli z maszynowej broni serie świetlnych pocisków, w ciemną ścianę lasu. Wkrótce palba całkowicie ucichła i leśną ciszę zakłócało tylko jęczące buczenie samochodów, wlokących się po głębokim mokrym śniegu.

Upłynęło jeszcze trochę czasu i kolumna pojazdów zaczęła wypelzać z lasu. Pod zupełnie już ciemnym niebem, na lewo i prawo od drogi aż po horyzont, rozpościerała się śnieżna równina. Pozostało jeszcze parę kilometrów do miejscowości Łohiszyn. Tam pewnie będzie nocny postój.

Z półsennego odrętwienia wywołanego monotonią jazdy, wyrwał wszystkich silny wstrząs. Samochód gwałtownie przechylił się na bok, na dole pod jego skrzynią coś głośnie trzasnęło. Silnik zadławił się i umilkł. Staliśmy nie-naturalnie, krzywo.

Po chwili wszystko było jasne. Otóż samochód jako któryś kolejny przejeżdżał przez most na kanale Ogińskiego, który tutaj przecinał drogę. Wtedy pod tylnym kołem załamała się jedna z belek mostu. Pewnie była spróchniała. Koło samochodu wpadło w dziurę po belce i tam uwięzło.

Kolumna pojazdów zatrzymała się. Szofer z naszego samochodu kłął, spluwał w dziurę po złamanej belce, bez sensu machał rękami. Tymczasem zeszło się kilkunastu żołnierzy. Oni też kłeli i zaglądali do dziury w moście. Z samochodu zsiadli całą trójką mężczyźni. Mnie mama na wszelki wypadek przytrzymała za palto.

– Abstejgen! - Wysiadać! – Krzyknął niemiecki oficer w głąb samochodu.

– Schnell, schnell, raus! – Wrzeszczał nadgorliwie jakiś żołnierz.

Byliśmy już na zewnątrz, tylko jak zawsze zrobił się kłopot z ciotką Manią. Utknęła na burcie samochodu z jedną nogą na zewnątrz, a drugą w środku. Ni w jedną stronę ni w drugą. Ani rusz.

– Stiopa, nie mogę! – Jęczała do wuja. Wreszcie wuj, ojciec i pan Pawłowski, jakoś wydobyli ciotkę z samochodu i postawili na śniegu. Do pomocy przyłączył się nawet jakiś młodziutki niemiecki żołnierz. Trzymając ciotkę za palto, jednocześnie zaśmiewał się.

– Ty niezdaro! – Stojąc już obok samochodu, wybuchnęła ciotka do wuja. Zupenie, jakby to on przed chwilą zaklinował się na samochodzie. Wuj obyty na co dzień z takimi pieścizotami ciotki, bez słowa machnął ręką i odszedł na bok.

Do samochodu wskoczyło kilku żołnierzy z łopatami. Gorączkowo wyrzucali na lewo i prawo od mostu ziarno łubinu. Po kilkunastu minutach, skrzynia auta była już pusta. W międzyczasie do mostu podjechał tyłem inny samochód. Zaczepiona została holownicza lina. Silnik wył na najwyższych obrotach. Koła ślizgały się, z trudem szukając zaczepienia. Zapadnięty w dziurę samochód, co sił pchało kilkunastu żołnierzy, ojciec, wuj i pan Pawłowski.

Po którejś nieudanej próbie, auto nagle wyskoczyło z dziury i potoczyło się do przodu. Pod nim, coś metalicznie głośno zaklekotało. Mogło to oznaczać, że o własnych siłach dalej nie pojedzie. Po krótkiej, nerwowej naradzie, Niemcy kazali nam wsiąść do tego samego samochodu. Żołnierze rozbiegli się do swoich pojazdów i kolumna powoli ruszyła. Pozostałe samochody, które jeszcze nie przekroczyły mostu, robiły to ostrożnie, omijając jak najdalej feralną dziurę.

Dalsza jazda przebiegała w pełnym dyskomforcie. Kiedy holujący samochód pokonywał wyboje w drodze, naszym niemiłosiernie szarpało. Uszkodzony w czasie wypadku detal, ogłuszająco tłukł o podłogę pojazdu.

Wreszcie Łohiszyn. Samochody i motocykle ustawiają się wzdłuż ulicy w podwójnej, ciasnej kolumnie. Ojciec z wujem gdzieś się zapodziali. Poszli szukać jakiegoś noclegu. Wreszcie są z powrotem. Każdy z nich znalazł miejsce gdzie indziej.

Obszerna, ale niska izba słabo oświetlona płomykiem maleńkiej naftowej lampki. Na dwóch drewnianych łóżkach śpią jacyś ludzie. Oprócz nich, stoi jeszcze łóżeczko ze śpiącym dzieckiem. Mama rozściela na podłodze koc. Tu w trójkę będziemy spać my, dzieci. Przykrywać się nie trzeba, śpimy w ubraniach, a w izbie jest bardzo ciepło. Mama mówi, że posiedzi obok, tutaj jest jej bardzo wygodnie. Kochana mama, kiedy nawet nas oszukuje, to dlatego, że bardzo nas kocha. Ojciec gdzieś wyparował. Pewnie na dworze pali kolejnego papierosa.

Z łóżka podnosi się kobieta. Ubrana jest w długą, do kostek koszulę. Na plecach jej leżą dwa do połowy rozplecione warkocze, a pod koszulą kołyszą się ogromniaste piersi. Boso podchodzi do naftowej lampki, stojącej komodzie.

– Tuszu świat, a to kierasina żałko – gaszę światło, nafty szkoda – mówi. Głos ma cienki, całkiem jak u dziewczynki. Dmuchnęła w szkło lampki. Za-

panowała ciemność. Oczy jeszcze nie przyzwyczyły się do mroku. Nic nie widać. Zza okiennicy dobiegają głosy niemieckich żołnierzy.

Spałem bardzo mocno. Kiedy się ocknąłem, wszyscy już byli na nogach. W izbie jedno łóżko było puste, leżała na nim pognieciona pierzyna i dwie poduchy. Na drugim łóżku obok odgarniętej pierzyny, siedziała stara kobieta. Na lnianą do ziemi koszulę, miała naciągnięty gruby owczy sweter. Bose stopy z sękatymi palcami, opuściła na podłogę. Głośnym szeptem odmawiała jakąś modlitwę, jednocześnie zaplatając włosy w cienki warkoczyk. Obok niej w łóżeczku siedziało może półtoraroczne dziecko z bosymi, pulchnymi nóżkami. Mamlą w buzi trzymaną w rączce skórkę chleba.

W izbie powietrze było ciężkie. Ciepłe i smrodliwe. Przy ruskim piecu buchającym jęzorami ognia w komin, stała piersiasta kobieta i obierała ziemniaki. Teraz jej warkocze zaplecione były wokół głowy w koronę. Na nogach miała walonki włożone do kaloszy.

Siostra i brat siedzieli na ławie i jedli chleb posmarowany smalcem. Zabrałiśmy tego z Telechan cały garnek. Mama posmarowała nim kromkę chleba i podała mnie.

– Biercie kipiatak – bierzcie wrzątek – powiedziała kobieta do mamy, swoim ciekim głosem dziewczynki.

Siorbaliśmy gorącą wodę, dmuchając w blaszane kubki. Mama piła ją maleńkimi łyżkami. Koniec z posiłkiem. Tobołki gotowe do drogi. Mama dziękuje kobiecie za gościnę. Ta wzrusza ramionami. Mama obejmuje ją za ramiona i całuje w oba policzki. Teraz obie mają łzy w oczach.

– Daj nam Boh pereżyty wojnu – daj nam Boże przeżyć wojnę – mówi Poleszuczka.

Wychodzimy na dwór. Nadal ciężka, zgniła odwilż. Wszędzie pełno niemieckich żołnierzy. Na ulicy widzimy ojca, jest też pan Pawłowski. Obaj wyglądają na zmęczonych. Mówią, że spali w jakiejś sieni. Marzli i musieli wielokrotnie wstawać i chodzić, żeby się rozgrzać. Ojciec już wie, do którego samochodu można będzie załadować się. Ten dla odmiany załadowany jest ziarnem gryki. Ale porządnie, w workach. Pierwsza gramoli się do skrzyni samochodu Mundzia, moja siostra. Odbiera podawane tobołki.

– Ostrożnie dziecko – mówi mama podając jej z wysiłkiem główkę maszyny do szycia. To najcenniejszy przedmiot, jaki teraz mamy.

A oto i wujostwo z Mureczką. Niosą swoje tobołki. Teraz trzech mężczyzn, ładują ciotkę Manię do auta tak ostrożnie, jakby była zrobiona z tortu. Udało się. Nic nie odpadło.

Do samochodów wsiadają już żołnierze. Buczą silniki. Powietrze znów jest pełne smrodu spalin.

– Abfahren! – Odjazd! Rozlega się wielokrotnie wzdłuż sznura pojazdów.

Samochody i motocykle powoli ruszają, formuje się długi wąż cuchnącej spalinami kolumny. W drogę do Pińska.

ROZDZIAŁ 2

W pochmurne południe dwudziestego stycznia 1944 roku, w niemieckiej wojskowej ciężarówce przyjechaliśmy do Pińska. Po zatrzymaniu się kolumny pojazdów na jakiejś ulicy, Niemcy wrzeszcząc nakazali cywilom opuścić samochody. Tak oto, znaleźliśmy się z naszymi tobołami na chodniku.

Na świecie, od kilku dni panowała zgniła odwilż. Jeźdnię ulicy zalegała brudna, śniegowa rozjeżdżona maź. W zamglonym ostrym powietrzu, unosiło się coś smrodliwego.

Pomyślałem, że w Telechanach bez względu na pogodę, powietrze zawsze było czyste i świeże.

Telechańscy ludkowie znaleźszy się na pińskiej ulicy, pośpiesznie rozpetzili się po mieście w poszukiwaniu dachu nad głową. Ci, co nie mieli w Pińsku żadnych krewnych bądź znajomych, rozglądali się za opuszczonymi domami po zamordowanych żydowskich mieszkańcach miasta.

Moje wujostwo nie musi szukać takiego opuszczonego domu. W Pińsku mieszkają ich dobrzy znajomi z czasów przedwojennych, państwo Szpudejkowie. Nie ma wątpliwości, że chętnie przyjmą ich pod swój dach, ale nasza rodzina nie może przykleić się do wujostwa. Domek Szpudejków jest maleńki, to teraz i bez naszej rodziny zapanuje tam ciasnota.

A więc, plan działania jest znany. Wuj z ciotką i Mureczka udają się do swojej przyszłej kwatery na ulicy Kolejowej. O drogę pytać nie muszą, bo wuj zna Pińsk dobrze. Ojciec z panem Pawłowskim zapalają kolejnego papierosa i ruszają na poszukiwanie jakiegoś opuszczonego domu, czy mieszkania.

Naszej rodzinie los posprzyjał. Paręset metrów od miejsca gdzie wysiedliśmy z samochodu, ojciec wypatrzył duży dom zamieszkaný tylko w połowie. Był to narożny budynek u zbiegu dwóch ulic, tuż przy kolejowej stacji. Jego frontowa ściana stykała się z chodnikiem tak, że idąc nim nie sposób było nie zerkać w okna. Okazało się, że jest to pożydowski dwurodzinny dom, którego połowę zajmuje jakiś człowiek mianujący się właścicielem. Druga połowa domu, stoi pusta. Zapada decyzja. Na razie wprowadzimy się tutaj, w końcu jest to dach nad głową. Później może znajdzie się coś lepszego.

Na wiadomość o całej połowie pustego domu, dołącza do nas rodzina Daszkiewiczów. Oni też przyjechali do Pińska razem z nami, ale w innym samochodzie. Duża rodzina. Matka, żonaty syn z dzieckiem i trzy córki. Ojca nie ma. W 1940 roku bolszewicy wywieźli go na Sybir. Już się nie odezwał. Syn Oleś z Niemcami nie kolaborował, ale sowieckich partyzantów bał się. Nie on jeden. Z Telechan uciekła cała rodzina Daszkiewiczów. Nic w tym dziwnego, przecież bolszewicy uznali Daszkiewicza za wroga ludu.

Nasz nowy gospodarz otwiera pustą część domu. Ma dobrze po pięćdziesiątce, a jego żona wyglądała raczej na córkę. Ósmioletnia może dziewczynka Ela, zwracała się do niego raz tato, innym razem wujku.

W mieszkaniu są cztery pokoje, kuchnia i sień. We wszystkich pomieszczeniach, powietrze jest wilgotne i stęchłe. Na futrynach drzwi uchowały się jeszcze poprzybijane tam mezuzy. Na podłodze walają się różne śmieci. Są też dwa żelazne łóżka i masywny, dębowy stół. Tyle, że z odpadającą jedną nogą.

Gospodarz ostrzega nas, że ten pokój z oddzielnym wejściem jest strasznie zapluskwiony. Trzy pozostałe w amfiladzie, chyba nie. Ten zapluskwiony ma na ścianach liche, odłazące tapety. Reszta mieszkania jest wybielona wapnem. Tutaj pluskwy nie mają gdzie ukrywać się.

Dzielimy pokoje pomiędzy rodziny. My wprowadzamy się razem z panem Pawłowskim do pokoju z oknami na ulicę, a dwa pozostałe zajmuje rodzina Daszkiewiczów. Oleś, jego żona mdła Brygidka i roczna Emilka, zajmują pokój tuż za kuchnią. Reszta, to znaczy matka, najstarsza córka garbata Rela, piękność z wodnistymi oczyma Jadzia i niewiele ode mnie starsza Halinka, zajmują następny pokój. Są z nimi jeszcze dwie suczki maltanki. One uchowały się jeszcze sprzed wojny.

Znowu pojawia się nasz nowy gospodarz. Mówi, że w komórcie na podwórzu są jakieś meble. Jeśli coś się nada, to wziąć sobie. Potem przyniósł kilka materacy. Zapewniał, że bez pluskiew. Nawet gdyby kiedyś tam były, to na strychu przez trzy zimy zdechły.

W komórcie znalazły się jeszcze dwa żelazne łóżka i jakieś stołki. Jedno łóżko powędrowało do naszego pokoju. Drugie, nadpsute zabrał Oleś. Powiedział, że naprawi. Teraz to już był cały komfort. Szczególnie, że na tym łóżku spać miałem ja, bo byłem najlżejszy, a ono stało na nogach bardzo niepewnie.

Na noc, Oleś napalił w piecu pożyczonym od gospodarza węglem. Ten powiedział, że oddamy mu jutro, jak nakradniemy. Bo on też kradnie. Na stacji kolejowej jest tego cała góra. Trzeba tylko uważać, żeby nie było w pobliżu Niemców.

Napalony piec nagrzał się tak, że aż pomiędzy kaflami porobiły się szpary. Potem okazało się, że jeszcze do tego narobiło się czadu. Rano wstawaliśmy z ciężkim bólem głowy. Wszyscy przerazili się, co z dzieckiem Olesia, bo ciągle spało. Brygidka nieomal dostała spazmów, a dziecko obudziła dopiero jego babcia, kiedy zaczęła je bić po pupie. Cały dzień Emilka była marudna, płaczliwa i zasypiała nawet na siedząco. Matka wrzeszczała na swojego Olesia, że przez głupotę otruły dwie rodziny. Że od dzisiaj sama będzie palić w piecu.

Po porannej awanturze, Oleś i moje rodzeństwo poszli na kolejową stację z blaszaną wanienką, kraść węgiel. Obrócili parę razy. Pod ścianą sieni wyrosła spora węglowa kupka.

Ojciec, który też narzekał na ból głowy, jednak ogolił się i wyszedł do miasta. Chciał rozejrzeć się za możliwością podjęcia jakiejś pracy. Mieliśmy ze sobą trochę jedzenia i pieniędzy, ale na długo by nie starczyło. Około południa ojciec powrócił radosny, jak wiosenny kaczeniec. Był w niemieckim

biurze pracy, Arbeitsamcie i dostał pracę. Kiedy okazało się, że zna biegle niemiecki język, przyjęto go do roboty w wojskowej bazie siana i słomy. W niemieckiej armii wciąż jeszcze było dużo konnego taboru.

Wiadomością, że ojciec dostał pracę, wszyscy bardzo się ucieszyli. Jedyne pani Daszkiewiczowa powiedziała, że jej Oleś takiego szczęścia nie miał. Tyle, że on nigdzie nie chodził i nic w tym kierunku nie zrobił. Kiedy skończył kraść razem z moim rodzeństwem węgiel, resztę dnia przesiedział osowiały z bolącą głową. Sam sobie był winien.

Następne dni upływały raczej monotennie. Trudno było tylko przyzwyczaić się do ulicznego hałasu. Po głębokiej ciszy panującej na ulicy Kościelnej w Telechanach, to było piekielko. Od wczesnego świtu, po kocich łbach jezdni w jedną i w drugą stronę toczyły się niemieckie i węgierskie taborowe wozy na ogromniastych, ciężko okutych kołach. Od tego, w oknach dzwoniły szyby. Ponadto, ciągle jeździły wojskowe ciężarówki.

W ciągu dnia, chodnikiem przelewała się fala żołnierzy. Niemców, Węgrów i własowców, czyli żołnierzy sowieckiego generała Własowa, który zdradził Stalina i przeszedł ze swoim wojskiem na służbę do hitlerowskiej armii. Prawie wszyscy żołnierze mijający okna naszego pokoju, celowo lub mimowolnie spoglądali w nie. Byliśmy jak na patelni. Kiedyś pan Pawłowski powiedział, że zaglądają w okna, jak głodny pies do jatki pełnej mięsa.

Któregoś dnia, na ulicy przy oknie naszego pokoju zatrzymał się wąsaty węgierski żołnierz. Bacznie lustrował jego wnętrze, przysłoniwszy sobie oczy daszkiem zrobionym z obu dłoni. Potem wszedł na podwórko, chwilę tam stał. Wreszcie wszedł do mieszkania.

– Jo napot! – Wyrwałem się z powitaniem, chcąc zaimponować, jaki to ja mądrała.

– Jo napot! – Odpowiedział honwed, wyraźnie zaskoczony.

Potem uśmiechnął się do mnie i bez słowa podszedł do zamkniętych drzwi od pustego, zapluskwionego pokoju. Otworzył je i rozległ się pomruk zawodu. To nie tutaj zaglądał on z ulicy przez okno. Zostawił otwarte drzwi i wszedł do pokoju, gdzie mieszkał Oleś z żoną i Emilką. Tutaj mu nie pasowało, bo okno pokoju wychodziło na podwórze. Nic nie mówiąc, poszedł dalej. W następnym pokoju zobaczył Relę, Jadzię i Halinkę. Znow nie ten pokój! Za trzecim razem, trafił wreszcie do naszego pokoju. Przez cały czas, za Madziarem szła mama, pani Daszkiewiczowa i oczywiście ja, a po drodze dołączyli Oleś i Halinka.

– Jo! – Zawołał triumfalnie. To ten pokój widział przez okno.

Madziar zdjął z ramienia dużą brezentową torbę i wyciągnęte z niej konserwy, czekolady i papierosy, poukładał na podłodze. Potem wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją panu Pawłowskiemu. Ten przeczytał napisaną po rosyjsku treść.

– Za ten towar, chcę litr samogonu.

Wszyscy zaczęli gorączkowo gestykulować, tłumacząc jak kto umiał, że bimbru to on tutaj nie dostanie. Rozkładali ręce, kręcili głowami. Wąsaty coś do nas mówił, uśmiechając się pokazywał na swój towar i piłował kantem dło-

ni szyję udając, że coś łyka. Wreszcie zrozumiał, że popełnił omyłkę. Tutaj nie pohandluje. Ciężko westchnął i zaczął swój towar pakować do torby. Chwilę zastanawiał się ważąc w dłoni pakiet tabliczek czekolady, po czym z uśmiechem wręczył po tabliczce mojemu bratu, Halince i mnie. Zawiesił pasek torby na ramieniu i bez słowa wyszedł. Mój brat powiedział, że jedną tabliczkę czekolady należałoby schować na ciężkie czasy. Jakby te były lekkie.

Po tym zajściu, w Olesia wstąpił nowy duch. Doznał olśnienia, że handel bimbrem z madziarskimi żołnierzami może być świetnym interesem. Chodził z pokoju do pokoju i snuł głośno handlowe plany paląc papierosa po papierosie, aż Brygidka zaczęła go upominać, że dym szkodzi dziecku. Postanowił zaraz wyjść do miasta i zrobić rozeznanie, gdzie i za ile można zdobyć bimber. Zapomniał nawet o strachu, przed niemieckimi łapankami na przymusowe roboty.

Kiedy indziej, przyszło czterech własowców z konnej formacji, nazywanej kozacką. Ci niby kozacy także mieli niemieckie mundury, ale na głowach nosili kozackie czapki kubanki. Były to wysokie, obszyte szarym barankiem toczki z czarnym sukiennym denkiem, przeciętym na krzyż dwiema kolorowymi naszywkami.

Trzej nieproszeni goście byli Rosjanami, a czwarty jak sam powiedział, pochodził z Azerbejdżanu. Po rosyjsku mówił bardzo słabo. Ja zwróciłem uwagę na jego żuchwę. Była ona nienaturalnie wielka i wysunięta do przodu. Mówiąc, szeroko rozchyłał wargi i widać było rząd ogromnych, białych zębów.

Własowcy zażyczyli sobie, aby im odgrzać mięsną konserwę. Przynieśli ze sobą także dwa wojskowe chleby, takie z formy. Kazali je pokroić pani Daszkiewiczowej na grube kromki. Nie pytając o zgodę, rozsiedli się przy stole z odpadającą nogą. Na nim postawili dwie butelki mętnego bimbru. Nożami kładli na chleb kawałki odgrzanej, gorącej konserwy i zakąszali tym wypity samogon. Niebawem języki im się rozwiązały, zrobili się gościnni, zaczęli zapraszać „w kampaniju” młode Daszkiewiczówny. Dziewczyny wzbraniały się jak mogły. Jeden z własowców stwierdził, że obie suczki maltanki Daszkiewiczów są bardzo „kulturyjne”, bo nie pchają się na stół. Dostały za to po kawałku konserwy.

Własowcy wyszli weseli, nieomal serdeczni. Na stole zostały dwie puste butelki i resztki jedzenia. Psy miały wyżerkę.

W jakieś dwa tygodnie po naszym przyjeździe, ojciec wyszedł rano do pracy i zaraz wrócił. Miał niewyraźną minę. Powiedział, że cała ulica obstawiona jest niemiecką polową żandarmerią. Żandarm ojca wylegitymował i kazał mu wrócić do domu. To mogło niczego dobrego nie wróżyć. W napięciu czekaliśmy, co będzie dalej. Po jakiejś pół godzinie, do mieszkania weszło dwóch żandarmów. Na głowach mieli hełmy, a na piersiach zawieszono na łańcuszkach duże, rogalikowate blachy z wytłoczonym orłem i otaczającym go niemieckim napisem. Na brzuchach zwisały im z pasów gigantycznie długie, drewniane kabury z pistoletami.

Kolejno sprawdzali dokumenty wszystkim dorosłym. Ojciec coś im tłumaczył, pokazując na wszystkich. Najdłużej stali przy panu Pawłowskim. Wi-

działem, jak na jego czole pojawiły się grube krople potu. Żandarmi o czymś rozmawiali półgłosem.

– Na ja! Gut! – Po dłuższej chwili prawie krzyknął Niemiec, oddając mu dokument.

– Heil Hitler – mruknęli pod nosem, unosząc lekko niedbałym gestem prawe ręce. Wyszli z domu, zostawiając za sobą otwarte drzwi do sieni i na podwórze.

Nie wiedzieliśmy, co ta kontrola miała znaczyć. Widocznie żandarmi szukali jakiś konkretnych osób. Roztrzęsiona pani Daszkiewiczowa powiedziała, że drżała o Olesia. Młody mężczyzna bez pracy! Olesiowi też trzęsły się ręce, kiedy przypalał papierosa. Oleś bowiem wciąż nie pracował, ale z dobrym skutkiem rozkręcał handel z węgierskimi żołnierzami.

Dwa dni po tym zajściu, przyszło do nas trzech Madziarów. Jeden z nich okazał się być Słoweńcem. Można było z nimi porozumieć się. Szukali wolnej kwatery, a przez okno widzieli pusty pokój. Pani Daszkiewiczowa zaczęła im odradzać tej decyzji. Tam ponoć są straszne pluskwy. Były trudności w wyjaśnieniu, o co właściwie chodzi, wreszcie zrozumieli. Zarechotali i wyszli.

Dziesięć minut później, na podwórku rozległ się tupot licznych nóg. Z hałasem otworzyły się drzwi do sieni, potem do kuchni. Do środka zaczęli tłumnie pakować się węgierscy żołnierze. W pełnym rynsztunku. Nie zwracając uwagi na zdumione mamę i panią Daszkiewiczową, wchodzili do pustego pokoju i rozłokowywali się na podłodze.

Po kilkunastu minutach, pod sufitem wisiała sina chmura tytoniowego dymu, przeważnie z fajek. Kopciło przecież około dwudziestu chłopów.

Nad wieczorem, dwaj żołnierze przynieśli ogromny termos z zupą, inni dużo mniejszy z czarną kawą i worek chleba.

Oczywiście, że nie mogłem sobie odpuścić radochy kręcenia się między żołnierzami. Wypędzany stamtąd przez mamę, nachalnie powracałem. Jakiś żołnierz, wyraźnie starszy wiekiem od pozostałych, przywołał mnie skinieniem ręki.

– Chcesz pojistiy? Prinesiy misoczku – chcesz pojeść? Przynieś miskę – powiedział do mnie po ukraińsku. Pogalopowałem po swoją miskę jak burza. Głodny nie byłem, ale gęsta zupa z makaronem, mięsem i jakimiś nieznany mi przyprawami, smakowała mi nadzwyczajnie. Jej smak nie przypominał niczego, co jadłem dotychczas.

Zrobiło się późno, w domu zapanowała senna cisza. Nagle drzwi od pokoju z Madziarami otworzyły się z trzaskiem i wyszedł stamtąd mój zaprzyjaźniony Ukrainiec.

– Kłópiy nas zajediat’ – pluskwy nas zeżrą – powiedział żalosnym głosem. Żołnierz prosił o lampę albo żarówkę, bo w pokoju nie ma jej, a ich latarka nie pozwala na skuteczne polowanie. Ponadto pluskwy podobno nie lubią światła, a więc byłyby mniej natarczywe.

Biedni Madziarzy, sami tego chcieli! Nie posłuchali ostrzeżenia.

ROZDZIAŁ 3

Gdzieś w połowie lutego, przyszedł do nas wuj Stefan z Mureczką. Okazało się, że dzięki pomocy ich gospodarzy państwa Szpudejków, znalazło się dla naszej rodziny bardzo ładne mieszkanie. Dwa pokoje z kuchnią. I to niedaleko wujostwa.

Po kilku dniach, byliśmy już w nowym mieszkaniu. W opuszczonym przez nas pokoju pozostał pan Pawłowski, który nosił się z zamiarem wyjazdu do Łunińca. Odszukał tam bowiem jakichś swoich znajomych.

Rodzina nasza zamieszkała w domu, którego właścicielką była pani Bemowa, niemłoda owdowiała kobieta. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, kuchni i dużej werandy. W tym lokum wcześniej mieszkała z mężem młodsza córka pani Bemowej. Dwa lata temu po jakiejś wpadce, Niemcy aresztowali ich i wywieźli gdzieś w nieznane. Po wielu miesiącach niewiedzy o ich losie, pani Bemowa otrzymała list od córki. Dowiedziała się z niego, że oboje są w obozie pracy przy hucie ołowiu, w której harują niezwykle ciężko.

Ich czteroletnie teraz dziecko, grzeczny i ponad wiek rozwinięty Pawełek został pod opieką swojej babci, pani Bemowa. Babcia poza swoim wnuczem nie widziała świata i przy każdej okazji, obdarzała go jakąś pieśczętą. Mówiła przy tym na ogół „ty moja mała paszkowska mordeczko”, jako że rodzice Pawełka nazywali się Paszkowscy.

Mieszkania pani Bemowej i nasze, połączone były wspólnymi drzwiami i mały Pawełek cały dzień kursował pomiędzy nimi. Pogodny, ciekawy życia, nieuciążliwy. Po prostu przemiłe dziecko.

Pani Bemowa zajmująca drugą część domu, mieszkała ze starszą córką Heleną Pawłówną. Pani Helena była malutką bezdzietną kobietką, w wieku trzydziestu kilku lat. Jej męża adwokata, bolszewicy wywieźli w 1940 roku na Sybir. Tam zaginął bez wieści. Pawełek mówił na swoją ciotkę „Koka”. Bezdzienna Koka była nieprzytomnie zakochana w swoim małym, uroczym siostrzeńcu.

Obie kobiety były tak bezpośrednie i serdeczne, że niebawem czuliśmy się w nowym mieszkaniu, jak gdyby nasze rodziny żyły obok siebie od zawsze.

Pani Bemowa powierzyła nam mieszkanie swojej córki z całym wyposażeniem. Meble, sprzęty, naczynia. Namawiała mamę do używania pościelowej bielizny, od której pękała wielka bieliźniarka. Mówiła nawet, że jak jej wywieziona na roboty córka Nina wróci z Niemiec, to pościeli starczy wszystkim na sto lat.

Pani Bemowa trzymała dwie białe, bezrogie kozy. Codziennie rano dostawaliśmy od niej słoik świeżutkiego, koziego mleka.

Ulica, przy której stał dom pani Bemowej, przed wojną nosiła nazwę ulicy 11-go listopada i zabudowana była jak większość Pińska, parterowymi drewnianymi domami. Leżała w odległości może stu kroków od biegnącej na wschód kolejowej linii. Po przeciwnej stronie torów, równolegle do nich ciągnęła się niemal przez całe miasto ulica Kolejowa, zabudowana w stronę peryferii o wiele dalej, aniżeli nasza ulica.

Tutaj, dom pani Bemowej był jednym z ostatnich budynków. Mała poprzeczna uliczka oddzielała go od wielkiego, solidnie ogrodzonego placu ze stojącym tam potężnym, opuszczonym budynkiem nieczynnej huty szkła. W 1939 roku, Bolszewicy hutę upaństwowili. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Niemcy w fabryce produkcji nie wznowili i ta stała opuszczona. Wielkie okienne otwory, pozabijane były deskami.

Za fabrycznym ogrodzeniem i jeszcze kilkoma domkami, ulica nasza urywała się. Dalej ciągnęło się okryte teraz śniegiem ogromne pole, sięgające w głąb aż po linię lasu na horyzoncie. To pole przed wojną należało do jakiegoś ziemianina, który za sowieckiej okupacji wyładował na Syberii, a jego majątek przeobrażono w sowchoz.

Wzdłuż tego pola biegła wąska polna droga prowadząca do zabudowań folwarku, zawładniętego teraz przez Niemców. Mieściła się tam wojskowa baza siana i słomy, w której pracował mój ojciec.

Ulica nasza nie miała utwardzonej nawierzchni. Wiosenne roztopy w 1944 roku, rozpoczęły się bardzo wcześnie, toteż ulicę zalegało głębokie błoto. Wojskowe samochody wiozące z bazy prasowane bele siana i słomy, z trudem brnęły przez czarną, gęstą maź. Zdarzało się, że któryś samochód w niej utknął. Wtedy z kabiny samochodu wylazili żołnierze. Klęli i chodząc przytrzymywali za cholewy swoje buty, które zapadały się w żarłocznie cmokające maziste błoto. Czekali, aż nadjedzie gąsienicowy samochód i pomoże im wydostać się z błotnej pułapki.

Nasza ulica mimo peryferyjnego już położenia, była bardzo ruchliwa. Pełzały nią po błocie jęcząc silnikami wojskowe ciężarówki, a obok torami przetaczały się długie pociągi. W kierunku wschodnim, czyli na front jechały zamknięte towarowe wagony i platformy z czołgami i armatami. Jechały również wagony, pełne niemieckich żołnierzy.

Takie pociągi, na ogół miały po dwie lokomotywy. Jedna ciągnęła cały skład, a druga była doczepiona do ostatniego wagonu. Lokomotywa ciągnąca pociąg, pchała przed sobą jedną, dwie, a nawet trzy platformy, na których siedziało po kilkunastu Żydów.

A więc, potwierdziło się to, o czym jeszcze w Telechanach opowiadali kolejarze i przyjezdni ludzie. W ten perfidny sposób, Hitlerowcy próbowali zniechęcić partyzantów do minowania torów. Wybuch miny, w pierwszym rzędzie zniszczyłby platformę i pozabijał Żydów, a transport wojska i sprzętu, byłby ocalony. W razie uszkodzenia torów, lokomotywa znajdująca się na końcu składu, miała za zadanie wywieźć pociąg z miejsca zagrożenia.

Do odmiany, na zachód ciągnęły długie składy pustych wagonów, albo pociągi sanitarne, wypełnione rannymi żołnierzami. Rodzice mówili, że ci biedni ludzie z okaleczeniami i odmrożeniami, są ofiarami szaleńców, którzy wywołali tę zbrodniczą wojnę.

Front zbliżał się do Pińska coraz bardziej. Coraz więcej też słyszało się o dotkliwych razach, jakie Niemcom zadają partyzanci. Szczególnie na liniach kolejowych i w małych garnizonach niemieckich. Nad miastem, pojawiały się czasem sowieckie zwiadowcze samoloty. Wówczas rozszechkiwała się niemiecka przeciwlotnicza artyleria, a w porcie nad Prypecią i fabryce zapalek, wyły syreny.

ROZDZIAŁ 4

Ku naszemu zdziwieniu i radości, kilkakrotnie odwiedzili nas ludzie z Telechan. Zabierali się do Pińska ze spekulantami, którzy przyjeżdżali po towary. Ryzykowali wiele, bo nigdy nie było wiadomo, co może ich spotkać na drodze znajdującej się we władaniu nie tylko partyzantów, a przede wszystkim różnych łupieżców i bandziorów.

Pierwsza odwiedziła nas pani Daukszowa. Zjawiała się w kapeluszu na głowie, eleganckich botkach i karakułowym futrze, które otulało szykowną sukienkę. Zaiste ciekawe, gdzie zostały ukryte przed rabusiami te wszystkie elegancja, skoro swoją wizytę u nas rozpoczęła od opowieści, jak zostali obrabowani do zera. A więc, kiedy rabusie już wszystko z domu wynieśli, kazali panu Daukszy ściągnąć spodnie dopilnowując, żeby niczego nie wyjął z kieszeń. Z kolei, złoczyńcom spodobały się jego przedwojenne kalesony!

Moja bujna wyobraźnia natychmiast wyimaginowała postać pana Daukszy z gołymi nogami, kryjącego wstydliwie swoje przyrodzenie jedynie za koszulką. Zapominając o swoim miejscu dobrze wychowanego chłopca, zarechotałem głupkowatym śmiechem.

– I pan Dauksza nie przyjechał z panią, bo nie ma spodni? – Wtrąciłem się bezczelnie do rozmowy dorosłych. Jeszcze nie skończyłem pytania, kiedy zauważyłem, jak twarze rodziców gwałtownie zmieniają kolor. Oboje zrobili się purpurowi. Pani Daukszowa w przeciwieństwie do moich rodziców przybladła i siedziała z otwartymi ustami.

– Pani wybacz... – zachrypiał ojciec w kierunku naszego gościa – gorąco przepraszam panią za smarkacza.

Kłęczałem w drugim pokoju pod ścianą jak mi przykazał rodzic równiutkie pół godziny, ale wykręcone ucho bolało znacznie dłużej. Zarówno tym bolącym uchem i tym zdrowym słyszałem, jak naszemu gościowi nagle zaczęło bardzo gdzieś się śpieszyć.

Po wyjściu gościa, jeszcze na klęczkach wysłuchałem z pokorą długiej rodzicielskiej mowy o dobrym wychowaniu i szacunku dla starszych.

– Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie! – Dołożył mi mój starszy braciszek.

– A ty go nie czepiaj się, bo też nie jesteś wojewodą – wzięła mnie w obronę siostra.

Nie pojąłem, dlaczego ani mama, ani ojciec nie wtrącili swoich uwag do głosów rodzeństwa. Zapewne frapowała ich ta sama myśl co i mnie, jak państwu Daukszom udało się przechytryć całe stado rabusiów.

W jakiś czas po tej wizycie zakończonej moim bolącym uchem, odwiedził nas pan Helman i ku naszemu miłemu zaskoczeniu, ojciec mojego najszyb-

ciej biegającego kolegi Roberta, pan Karol Miziński. W czterdziestym roku aresztowali go bolszewicy, a następnie w czterdziestym trzecim Niemcy, wywożąc do gestapowskiej kaźni w Hancewiczach. Od tego czasu, nie było o nim żadnych wiadomości. Rodzina i znajomi stracili wszelką nadzieję, że żyje. A on nie dość, że to wszystko przeżył i powrócił do Telechan, to jeszcze wybrał się do Pińska.

Widocznie obaj panowie mieli mniej szczęścia od pani Daukszowej, bo przyjechali nie w futrach i kapeluszach, tylko w starych kapotach i bylejakich czapkach. Mieli na sobie stare marne spodnie i zapewne także gacie pod nimi. Obaj gościli u nas kilka dni i opowiadali, jakie to po ucieczce Niemców przez kilka dni działy się w Telechanach zaiste dantejskie sceny. Bandy grabieżców były zupełnie bezkarne, dopóki do miasteczka nie wkroczył regularny pułk partyzancki. Wtedy w miasteczku zapanował znośny porządek.

Innym razem przyjechał do nas były woźny Rejonu pan Bargieł, który po dwóch dniach wrócił ze spekulantami do Telechan. Niedługo po nim przyjechał pan Linko z żoną i dwuletnią córeczką Ludmiłą. Właśnie od nich dowiedzieliśmy się, jak towarzysz Dziechciaryk ostrzył zęby na mojego ojca i wuja Stefana. Linkowie mieszkali u nas ponad tydzień, dopóki nie znaleźli w mieście jakiegoś lokum.

Mama bardzo martwiła się o ciocię Katarzynę. Dostała od niej dwa listy, jeden przywiózł pan Helman, drugi państwo Linkowie. Ciocia zapewniała w nich, że żadna szczególna krzywda ani jej, ani dzieciom się nie stała. Rabusie obłupili dom okrutnie, ale ze starej odzieży ocalało tyle, że nie marzną. Łupem bandziorów padły krowa, prosiak i wszystkie kury. Ale trochę żywności w spiżarni i piwnicy jakoś ocalało. Jest jeszcze mąka i kasza, są też ziemniaki. Jakoś pomaleńku żyją, a i Daria Iwanowna zdrowa. Ona też nas pozdrawia

Wszyscy przyjezdni drobiazgowo opowiadali, jak biedne Telechany znoszą razy zadawane przez okrutny wojenny los. Od 1939 roku nie było takiej nędzy, jak teraz. Miasteczko obskubywanie od dawna przez różnych złoczyńców, teraz zostało ogołocone niemal doszczętnie. Po ucieczce Niemców brakowało dosłownie wszystkiego, z wyjątkiem porzuconego przez nich zapasu soli. Sporą jej częścią, jaka ocalała jeszcze przed rabusiami, partyzanci podzielili się z miejscową ludnością.

Zdesperowani ludzie, jedyną nadzieję mieli w kilku straceńcach, uprawiających spekulancki proceder. Ci nie bacząc na możliwość utraty własnej głowy, dowozili z Pińska najpotrzebniejsze rzeczy. To dzięki nim Telechany nie tonęły wieczorami w całkowitych ciemnościach, gdyż ci, których było jeszcze na to stać, kupowali po odrobinie nafty. Kupowali też widocznie i inne towary, skoro spekulanci nie ustawali w kursowaniu do Pińska i spowrotem.

W miasteczku rozpanoszyły się jak nigdy dotąd choróbska, głównie świerzb. Drapali się prawie wszyscy. Niemcy panicznie bojący się wszelkich chorób, całkowicie odizolowali się od ludności. Po ponownym zajęciu Telechan, nie wysadzali nosa poza swoją twierdzę. Na ulicach miasteczka, poja-

wiały się wyłącznie wieloosobowe patrole uzbrojonych po zęby własowców i czarnych policjantów. Miało to swoją dobrą stronę. Namnożeni bez liku wszelkiej maści łupieżnicy, nie mieli odwagi robić wypadów całkiem bezkarnie. Jeśli rabuś miał pecha i wpadł w łapy patrolu, rozstrzeliwany był na miejscu. Biednym telechańskim ludziom, przynajmniej ten pozorny spokój pomagał łatwiej znosić doskwierający niedostatek.

ROZDZIAŁ 5

Życie w naszej rodzinie, toczyło się z dnia na dzień jednostajnie. Ojciec wychodził rano do roboty, powracał z niej powłócząc nieraz nogami ze zmęczenia. Swoją robotę na bazie jako ładowacz musiał wykonać, a prócz tego ile razy zaszła taka konieczność, na każde skinienie komendanta bazy pełnił rolę tłumacza. Komendantem był niemłody oficer, gruby leutnant, który jeszcze brał udział w pierwszej światowej wojnie. Pochodził gdzieś z głębi Niemiec, po polsku czy rosyjsku nie rozumiał ani jednego słowa, a może tylko udawał. Robotnikom krzywdy nie robił, można by powiedzieć, że dbał o nich, jak dobry gospodarz dba o swoje zwierzęta. Własowcami, którzy na bazie pełnili służbę wartowniczą, wyraźnie gardził. Nie znosił bałaganu, widząc najmniejszy nieporządek, wpadał w złość.

– Ordnung muss sein! – Porządek musi być! To było jego ulubione powiedzonko.

Czasami komendanta nachodziła chandra. Tęsknił za domem, rodziną.

– Menyk! – Bo tak wymawiał nazwisko ojca – Komm mal her! Schnella, schnella! – Chodź no tutaj, szybko!

Przywoływał ojca do swojego kantoru, gdzie zapatrzony w porozwieszane fotografie swojej rodziny, opowiadał o żonie, czterech córkach, wnukach i zięciu, który zginął w pierwszych dniach wojny. Podstarzały oficer stopniowo rozszerzał repertuar swoich monologów i w końcu zaczął narzekać na nieszczęścia spowodowane wojną, wzywając niebo, aby ukarało jej sprawców. Swojego wodza Hitlera, sprawcę tych wszystkich nieszczęść, które spadły na jego kraj, obrzucał najgorszymi przekleństwami.

Z czasem Niemiec tak „spoufalił” się do ojca, że zaczął zwracać się do niego po imieniu. Robił to z dużą trudnością, gdyż udało mu się jedynie zamienić „Menyka” na „Sztaniyszlaufa”, jako że ojciec miał na imię Stanisław.

„Sztaniyszlauf” wbrew swojej woli, przyjął na siebie rolę powiernika komendantowych tęsknot i zwierzeń. Na wszelkie próby wykręcenia się z tego obowiązku, oficer reagował zawsze warknięciem, że „jeszcze nie pozwoliłem ci odejść”. Uzyskawszy wreszcie takie zezwolenie, pędził do swojej roboty, aby wykonać ją przed fajrantem. Kiedy przychodził do domu, często prosił, żeby mu niczym nie dokuczać. Zjadał przygotowany przez mamę posiłek i kładł się „na chwilkę”. Zasypiał natychmiast, leżąc jak kamień.

* * *

Ja z moim bratem nie chodząc do szkoły, pewnie nudzilibyśmy się jak dwa mopsy, gdyby nie Koka, ciotka Pawełka. Ona sama zaproponowała nam pożyczanie wspañałych książek, ze swojej pokażnej biblioteki.

Natomiast w życiu naszej siostry Mundzi, zaszła duża zmiana. Siostra ukończyła szesnaście lat i wisiało nad nią duże niebezpieczeństwo. W wypadku trafienia na uliczną łapankę, jako bezrobotną Niemcy z miejsca zabraliby na przymusowe roboty. Mogła pozostać w Pińsku, albo być nawet wywiezioną do Rzeszy.

Z tej opresji Mundzię wybawiła, jak okazało się nieoceniona Koka. Pracowała ona w niemieckim biurze zatrudnienia Arbeitsamcie. Udało się jej zatrudnić siostrę w wojskowej piekarni. I tak to moja siostra stała się niedostępna dla ulicznych łapaczy siły roboczej, jako że pracowała teraz dla „niezwyciężonej” niemieckiej armii.

Dzięki temu, naszej rodzinie poprawiły się warunki bytowe. Cywilni pracownicy piekarni, dostawali codzienny deputat w postaci dwóch bochenków chleba. Niemiecki wojskowy chleb nie był zbyt smaczny, ale o wiele lepszy od tego, jaki można było kupić w sklepie.

Mundzia wychodziła z domu wcześniej, żeby zdążyć do roboty na szóstą. Robota była ciężka, ale siostra zносиła to dzielnie, nie narzekała. Przez jej ręce i jeszcze dwóch kobiet, przechodziło tysiące kęsów ciasta. Wybierane z mieszalniczy szły na wagę, a potem do piekarskich form. Z kolei, pomocnicy majstra wkładali je do pieca i robota kobiet zaczynała się od początku. Szykowały kolejny wsad.

W takim piekarniczym kołowrocie, Mundzia pracowała nieraz nawet dziesięć godzin. Po zakończeniu dziennego wypieku chleba, kobiety przystępowały do sprzątania piekarni, przygotowując wszystko do pracy w następnym dniu.

Oprócz Mundzi i kilku kobiet, w piekarni pracowali niemieccy żołnierze. Podoficer majster piekarski i kilku pomocników. Prawie wszyscy mieli jakieś widoczne ślady kalectw po ranach, odniesionych na froncie. Byli jednak widocznie jeszcze za dobrzy na to, aby puszczono ich do cywila, skoro nadal służyli w armii.

Jeden spośród nich, dwudziestoparoletni kulawy Hans, zaczął wyraźnie zwracać uwagę na moją siostrę. Robił wrażenie człowieka, któremu żal było młodziutkiej dziewczyny pracującej tak ciężko. Kiedy tylko miał okazję, pomagał jej przy robocie. Siostrę bardzo to krępowało. Sarkania i dasy jakimi obdarzała Hansa, nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Kobietom pracującym z Mundzią, bardzo nie podobano się takie wyróżnianie smarkuli. Toteż nie szczędziły jej uszczypliwych powiedzonek. Nieraz doprowadzały siostrę do łez. Wykonując swoją robotę, cichutko płakała. Zapewne niejedna jej łza trafiła do chlebowego ciasta.

Kiedy złośnice te rozjazgotały się zbyt głośno, majster uciszał je krzykiem.

– Genug! – Dosyc! – Wrzeszczał. – Nicht klatschen, arbeiten, arbeiten! – Nie plotkować, pracować, pracować! – Baby milkły i nadąsane złymi oczami wodziły za majstrem.

Któregoś dnia, kiedy Mundzia wracała do domu z roboty, dogonił ją kulawy Hans. Dziewczyna w żaden sposób nie mogła pozbyć się nieproszonego kompana. Długo kluczyła po ulicach, ale w końcu znaleźli się na naszej ulicy. Żołnierz uparł się, że wejdzie z nią do domu.

Kiedy weszli do mieszkania, siostra była bliska płaczu. Mama i ojciec, który powrócił już z pracy, nie bardzo wiedzieli, jak mają się zachować. Ojciec spokojnym głosem zapytał żołnierza, czego sobie życzy. Ten usłyszawszy niemiecki język, rozpromienił się. Potokiem słów zaczął usprawiedliwiać swoje najście obcego domu.

– Ja nazywam się Johan, jestem Hans, proszę mnie nie obawiać się. Ja wiem, że boicie się Niemców, ja to rozumiem. Ja nie jestem Niemcem, pochodzę z Nadrenii, jestem Nadreńczykiem. W moim kraju też rządzi Hitler. My też boimy się Hitlerowców i Gestapo.

– Nie wypraszaście mnie z domu, chcę побыć trochę wśród normalnych, zwykłych ludzi... – Hans mówił żywo gestykulując, prosząco uśmiechał się. W rękę nerwowo miał czapkę.

Rodzice wciąż robili wrażenie zakłopotanych. Poprosili, aby żołnierz usiadł. Ten poczęstował ojca papierosem. Mama zaparzyła zbożowej kawy. Hansowi nie zamykały się usta.

– Ja codziennie widzę, jak wasza córka ciężko pracuje. To nie jest robota dla takiej młodej dziewczyny. Ale jest wojna, ja wiem, że ona pracować musi. Robi to z biedy i ze strachu, żeby nie wywieziono jej do Niemiec. Gdyby nie ta okropna wojna, nie dalibyście swojego dziecka do takiej ciężkiej roboty.

Potem Hans długo opowiadał o sobie, swoim rodzinnym domu w Nadrenii. Jego ojciec miał duże, sadownicze gospodarstwo. Uprawiali jabłonie, z których owoców wyrabia się znane i cenione w południowych Niemczech wino. Po zbiorze jabłka fermentowały w ogromnych kadziach. Kiedy wino było już gotowe, pojawiał się handlarz winem. Długo sprawdzał jego zalety, smakował. Potem z ojcem Hansa dobijał targu i wino przetoczone w ogromne beczki, handlarz wywoził. W spokoju i dostatku upływało im życie rok po roku.

Tak było, dopóki w Niemczech władzy nie objął Hitler. Wtedy pojawiły się faszystowskie bojówki, pomiędzy ludźmi weszli gestapowcy. Zaczęły się aresztowania. Na ogół, zatrzymani przez gestapo do domów już nie wracali.

Tego roku, w którym wybuchła wojna, Hans miał jesienią ożenić się. Nie zdążył, został powołany do wojska. W 1941 roku trafił na wschodni front. Z początku pułk, w którym służył Hans, bez przerwy parł do przodu. Widział otchłań ludzkich nieszczęść, spaloną obcą ziemię, trupy kobiet i dzieci. Widział nieludzko traktowanych sowieckich jeńców.

Wojna z Sowietami wybuchła w upalnym czerwcu, ale mijały miesiące i nadeszła straszna rosyjska zima, o jakiej Hans nie miał najmniejszego wyobrażenia. Wielu jego kamratów poodmrażało ręce, nogi, niektórym odpadały odmrożone martwe nosy i uszy. Wielu jego kolegów, zamarzło na śmierć podczas snu. Hans to wszystko przetrwał.

Nadeszła wiosna 1942 roku. Sowieckie wojska jakby okrzepły, bitwy były coraz krwawsze. Kamratów Hansa, z którymi zaczynał wojnę, prawie już nie było pośród żywych. Na ich miejsce przychodzili nowi, świeże mięso armatnie. Codziennie rozszarpywały je pociski. Pod Woroneżem, Hans dostał w nogę. Odłamek pocisku, zgruchotał mu kość piszczelową. Po bitwie znaleźli go sanitariusze. W szpitalu polowym lekarze od razu powiedzieli, że jego noga, to szmelc. Że będzie Kruppel, kaleka. Ale dla swojego Führera służyć będzie dalej, tyle że nie na froncie. I tak Hans trafił do piekarni.

Żołnierz mówił i mówił, a czas płynął. Na dworze dawno już zapanowała ciemność. Ojciec zmordowany dniem pracy na bazie, wyraźnie walczył z obezwładniającym go snem. Tłumaczenie Hansowej opowieści sprawiało mu coraz większą trudność. Siedzącej w kącie Mundzi zmordowanej dniem harówki w piekarni, też zaczęły zamykać się powieki. Jej głowa coraz częściej opadała to ku lewemu, to ku prawemu ramieniu.

Hans wreszcie zorientował się, że nadużył gościnności. Zerwał się z krzesła, rozejrzał za czapką.

– Dziękuję, dziękuję, że przyjęliście mnie w waszym domu jak zwykłego człowieka, że mogłem na chwilę zapomnieć, iż noszę niemiecki mundur - mówił potrząsając na przemian dłońmi to mamy, to ojca. Był wyraźnie wzruszony, a mnie wydało się, że w jego oczach błyszczały łzy.

Na pożegnanie, mnie i mojego brata pieśczośliwie uszczypnął w ucho, a przed siostrą trzasnął obcasami i z elegancją skinął głową.

– Czy pozwolicie, abym kiedyś was jeszcze odwiedził? - Zapytał stojąc już w drzwiach.

– Zapraszamy – po chwili ciszy odpowiedział ojciec.

– Co miałem powiedzieć temu człowiekowi – ni to do siebie, ni to do wszystkich odezwał się ojciec po wyjściu żołnierza.

– Wydaje się być przyzwoitym człowiekiem – powiedziała mama.

Jeszcze przed udaniem się na spoczynek, mój brat wyśrubował na ojcu dokładną wiadomość, dlaczego Hans mówił, że nie jest Niemcem tylko Nadreńczykiem. Ojciec ziewając, tłumaczył mu coś o niemieckich krajach, wchodzących w skład Rzeszy. Mówiąc o Nadrenii-Palatynacie powiedział, że tam ludzie mówią po niemiecku na tyle inaczej, iż tłumaczenie tego co mówił Hans, sprawiało mu wiele kłopotu.

Ojciec musiał jeszcze wyjaśniać mojemu dociekliwemu bratu, że wszystkie niemieckie kraje po zakończeniu pierwszej światowej wojny zostały zjednoczone, a teraz wszędzie tam rządzi Hitler. Już spod kołdry powiedział jeszcze, że do polityki teraz najlepiej nie wtrącać się, bo to niebezpieczne.

Co do naszego nowego znajomego czyli Hansa, to ten nie dał na siebie długo czekać. Zjawił się u nas następnego dnia, kiedy już zapadał zmrok. Stał w drzwiach, nie chciał wejść dalej. Czerwieniąc się i jękając, przeproszał za to co robi. Z brezentowej torby wyjął dwie konserwy i postawił obok siebie na podłodze. Prosił o przyjęcie tego podarunku.

Rodzice wzbraniali się przed tym, ojciec zaczął nawet mówić podniesionym głosem. Nie na wiele się to zdało, Hans wycofał się tyłem do sieni i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę jeszcze było słychać na podwórzu jego kulejący bieg do furtki.

Kiedy po kilku dniach Hans pojawił się znowu, mama z pomocą ojcowego tłumaczenia powiedziała, że konserwowego prezentu ot, tak sobie przyjmując nie może. Chyba, że będzie mogła się zrewanżować upraniem Hansowej bielizny. I tu o dziwo, obie strony dogadały się.

Odtąd było tak, że mama prała piekarzom ich bieliznę, a oni płacili jej konserwami, marmoladą, mydłem i tymi wszystkimi dobrami, jakie udało się im ukraść z magazynu. Oczywiście pośredniczył w tym interesie poczciwy Hans, nosząc w swojej torbie raz bieliznę, raz kradziony prowiant.

Pewnego razu przytaszczył nawet pięciolitrowe, hermetycznie zamykane wiaderko kwaszonej kapusty. Była dziwnie spreparowana, zapewne po niemiecku, bo słodzona i z laurowym liściem, ale została zjedzona.

Można powiedzieć, że nasze okupacyjne odżywianie choć niezbyt smaczkowite, stało się dużo lepsze. Jedzenia teraz prawie nie kupowało się. Jedyne zakupy robione u Poleszuczek, to były jajka i sery.

Pewnego dnia mama dała mi w płócienną torbę dwie duże mięsne konserwy od Hansa, ażebym zaniósł je do wujostwa. Wuj i Mureczki nie było, byli w pracy. Ciotka Mania starannie obejrzała konserwy, a potem wzięła mnie na spytki. A skąd one, a jakim sposobem, a czy tego mamy dużo. Nie byłem skłonny udzielać szczegółowego raportu, coś tam ciotce odbąknąłem pod nosem i czym prędzej wyniosłem się.

Nie upłynęło pół godziny, a spocona i zasapana ciotka przytoczyła się do nas. Wizytę swoją rozpoczęła od wymówek robionych mamie, na kogo to ona mnie wychowuje.

– Ja tobie Aniu zawsze mówiłam, że z niego może wyrosnąć tylko bolszewik! Toż on w ogóle nie ma szacunku dla dorosłych! Ja mówię do niego jak do chłopca, a on ośmiela się tylko coś mi bąkać pod nosem! Co to za wychowanie!

Wzburzony potok słów z ciotczyego wnętrza, nie dopuszczał mamy do głosu. Kiedy cała żółć z ciotki już wypłynęła, niespodziewanie wybuchnęła głośnym płaczem.

– Boże mój Boże, jakich to czasów myśmy dożyli – wołała wśród szlochów – człowiek nie ma co do ust włożyć, nie wie co będzie jutro! Mój Stiopa haruje od świtu do nocy i co my z tego mamy? Toż to nędza, głód!

Pomyślałem sobie, że coś tu jest nie tak. Do niedawna ojciec pracował sam na wyżywienie naszej pięcioosobowej rodziny, a z głodu tutaj nikt nie umarł. Wujostwa z Mureczką jest troje, a pracują dwie osoby. A może oni więcej jedzą? W końcu, w ciotkę można by lekko włożyć dwie moje mamy.

Nagle olśnił mnie wspaniały pomysł. Tak, to się ciotce na pewno spodoba. I nie będzie miała do mamy pretensji, że jej powodzi się lepiej!

– Ciociu – powiedziałem przymilnym głosem – jak ciocia chce mieć konserwy, to ja mam sposób. Koło waszego domu stoi na bocznicy kolejowej niemiecki pancerny pociąg. W nim mieszka dużo żołnierzy. Niech ciocia pierze im bieliznę tak jak to robi mama, a oni za to na pewno będą cioci dawać konserwy.

Na ciotce Mani, łzy wyschły gwałtownie. Spokojny domek pani Bemowej długo trząsł się od wybuchów oburzenia, jakie wstrząsało moją cioteczką. A ja tylko chciałem dobrze!

Co do pancernego pociągu. Od kilku dni stał on na kolejowej bocznicy, dokładnie na przeciw domku państwa Szpudejków, w którym mieszkali wujostwo. W pociągu tym, wszystkie wagony i lokomotywa pokryte były stalowym pancerzem. Pociąg uzbrojony był w artyleryjskie działa i ciężkie karabiny maszynowe, przykryte brezentowymi pokrowcami. Okna wagonów, miały poodślaniane teraz pancerne klapy.

Pociąg pomalowany na biały kolor, teraz był przemalowywany. Wokół pociągu po przystawionych drabinkach łazili żołnierze w upakowanych kombinizonach. Biały dotychczas korpus pociągu stawał się żółto-zielono-brązowy. W różne esy floresy.

Stefan mój brat, szybko stracił zainteresowanie pociągiem. Ponownie utknął nosem w kolejnej książce pożyczonej od Pawełkowej cioci Koki. Mnie natomiast pancerny pociąg fascynował. Ilekroć nadarzyła się okazja, pędziłem w jego pobliże. Szwendałem się wzdłuż pociągu, wsłuchiwałem się w wydobywające się spod pancerza lokomotywy sapania i pomruki. Ten pancerny potwór robił na mnie wrażenie czegoś żywego, tajemniczego i bardzo groźnego.

Po kilku dniach mojego szwendania się w pobliżu pancernego pociągu, jeden z malujących go żołnierzy, tłuszciochowaty rudzielec zaczął za mną wołać:

– Heil Sterling – Cześć wróblu! Pozostali żołnierze rechotali. Rzeczywiście, pomimo zbliżającej się wiosny, z braku innego okrycia nosiłem jeszcze wróblowato szare palto, przerobione ponad rok temu z jesionki ojca, przez Salomona Bursztyna.

ROZDZIAŁ 6

Czas płynął, dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Błoto na naszej ulicy podsychało coraz bardziej. Wzdłuż drewnianych płotów biegnących od jednego domku do drugiego, pojawiła się pierwsza wiosenna trawa. Na drzewach nabrzmiewały pąki. Ożywiły się też pińskie wróble i rajcowały od świtu do zmroku, a gawrony wyniosły się poza miasto. Prawdziwa wiosna z całą jej urodą, była coraz bliżej.

Wielkanoc 1944 roku nadeszła niepostrzeżenie, jakby ukradkiem. Mama powiedziała, że pomimo nienormalnych warunków, w jakich znaleźliśmy się, od świątecznej tradycji nie odstępimy. Trzeba poświęcić pokarm i będzie uroczyste śniadanie z dzieleniem się święconym jajkiem.

Jajka na wielkanocne kraszanki, mama kupiła na targu. Zrozumiałe, że nie odczepiłem się od niej i poszliśmy tam razem. Na targowym placu leżącym tuż nad brzegiem Prypeci, falował nieprzebrany tłum ludzi. Widok ten skojarzył mi się z gigantycznym leśnym mrowiskiem. Tak wielkie ludzkie kłębowisko, widziałem po raz pierwszy w życiu. Pośród kluczących między chłopskimi zaprzęgami ludzi ubranych w różnorakie palta, świtki i kozuchy, od czasu do czasu przewijały się wojskowe zgniło zielone niemieckie płaszcze, albo czarne policyjne, z niebieską wypustką.

Poleszuczka, która sprzedawała mamie jajka, zrobiła to zgodnie z poleską tradycją. Na Polesiu wśród młodzieży i dzieci, niezwykle rozpowszechniona była wielkanocna zabawa polegająca na „stukaniu się” kraszonymi jajkami. Kto najwięcej kraszanek stłukł swoją, zapewniał tym sobie dobre zdrowie, aż do następnych świąt Wielkiej Nocy.

Chłopka upewniwszy się, że sprzedaje jajka na kraszanki, każde z nich dokładnie sprawdziła, czy ma twardą skorupkę. Zrobiła to tradycyjnym poleskim sposobem, stukając czubkami jajek o swoje wyszczerzone zęby. Te o najtwardszych skorupkach nadające się na kraszanki, wydawały dźwięk najgłośniejszy i czysty.

– Ja błahich jaic na pokrasku wam ne prodam, a tyje pohanyje nechaj iduć u ciesto.

– Ja na kraszanki byle jakich jaj wam nie sprzedam, a te marne pójdą do ciasta – mówiła Poleszuczka, odkładając na bok jajka o słabszej skorupce.

Zakupione na targu jajka, mama ufarbowała na czerwono-brązowy kolor, gotując je w wodzie z łupinami cebuli. Były też inne świąteczne przysmaki. Z resztek przechowanej na to święto telechańskiej mąki, mama upiekła babkę. Pani Bemowa podarowała nam kawałek mięsa z ubitego koziołka. Z tego mama zrobiła pieczeń. Pyszna, delikatnie pachnąca czosnkiem.

W Wielką Sobotę, mama ułożyła w małym koszyczku na lnianej serwetce chleb, sól i kraszone cebulowymi łupinami jajko. Tak przygotowany świąteczny pokarm, zanieśliśmy w trójkę z siostrą i bratem do poświęcenia. Świecenie odbywało się w niewielkim starym kościele, w centrum miasta. Kościół ten zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Wyglądał na zaniedbany od lat, a z jego mrocznych zakamarków ciągnęło wilgotną stęchlizną.

Największą katolicką świątynię, pińską katedrę, bolszewicy zbombardowali artyleryjskim ogniem w 1939 roku. Ten sam los spotkał prawosławną katedrę, sobór. Później sowieckie gazety pisały, że radziecka władza do tego czynu została zmuszona, ponieważ na wieżach kościoła i soboru, podstępnie zaczęli się z karabinami maszynowymi księża i popi. Z tych kryjówek zaczęli oni zdradziecko razić ogniem żołnierzy Czerwonej Armii, która przybyła w celu uwolnienia Białorusinów spod polskiej niewoli. Tak oficjalnie sowiecka propaganda uzasadniła ten barbarzyński wyczyn.

Teraz w centrum miasta stały potężne ruiny tych dwóch świątyń. Do odmiany, Niemcy upaprali ich niegdysiejszą biel tynków na czarno. Podobno miało to chronić miasto przed sowieckimi samolotami, aby nie było widać dużych, białych celów. Niebawem, nic to Niemcom nie pomogło.

* * *

Dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze, a wiosna rozpanoszyła się na dobre. W ciągu dnia słońce grzało tak, że w zimowych okryciach nie sposób już było chodzić. Na naszej ulicy, głębokie błoto mieszane od początku wiosennych roztopów kołami setek przejeżdżających wtedy samochodów, wyschło prawie całkowicie. Teraz z kolei, jadące ulicą wojskowe samochody wzbijały chmury popielatego kurzu.

Szeroki płat ziemi oddzielający ulicę od kolejowych torów, pokrył się gęstą, soczystą trawą. Po ustąpieniu gęstwiny kwiatów podbiału, miejsce ich zajmowały pojawiające się w coraz większej ilości, złote kwiatowe oczka mleczu.

Na tę przyuliczną zielono złocistą teraz łączkę, liczni właściciele kóz wyprowadzali swoje zwierzęta spragnione świeżego pokarmu. Kózki białe, płowe i łaciate, uwiązane do łańcuchów albo sznurów mocowanych do wbitych w ziemię kołków, z apetytem skubały soczystą trawę. Pasły się tam również kozy pani Bemowej.

Jakoś w połowie kwietnia, nad Pińskiem pojawił się mały niemiecki pocztowy samolocik, popularnie nazywany bocianem. Krążąc nad miastem wyrzucał pliki ulotek, które wolno spływały rozłazącymi się chmurkami na ulice i pomiędzy domy. Ulotki spadły również na naszą ulicę. Pobiegliśmy śpiesznie z bratem i każdy zdobył po kilka sztuk. Były to nieduże, kilkukartkowe broszurki z fotografiami.

Treść broszury zaszokowała wszystkich domowników, albowiem opisywała bolszewicką zbrodnię mordu polskich oficerów w Katyniu. Broszurka była bogato ilustrowana zdjęciami, w większości z ekshumacji zwłok, prze-

prowadzanej przez Niemców. Była też lista około tysiąca nazwisk osób, których tożsamość została ustalona na podstawie dokumentów znalezionych przy zwłokach.

Niemiecka propaganda lała krokodyle łzy nad niedolą polskich matek, wdów i sierot, po zamordowanych w Katyniu oficerach. Przy całej potworności tej enkawuduńskiej zbrodni, nie sposób było nie pamiętać o zbrodniach hitlerowskich, których byliśmy świadkami. Choćby ta dokonana z prusacką starannością, egzekucja na telechańskich Żydach. Albo zgładzenie mieszkańców poleskich wsi Krasnica, Bobrowicze, Wiado i wielu, wielu innych. Przecież to, czego byliśmy świadkami, było maleńką kropelką w oceanie zbrodni powodowanych szaleńczymi pomysłami zarówno Stalina, jak i Hitlera. W ich to imieniu z jednej strony frontu NKWD, a z drugiej Gestapo i oddziały SS, pozbawiały życia tysiący niewinnych ofiar.

Rozmowy tej i podobnej treści, prowadzili moi rodzice z wujem Stefanem, Mureczką i ciotką Manią, którzy przyszli do nas. Była też pani Bemowa i Koka, Helena Pawłowna. Wszyscy byli do głębi wstrząśnięci. Jak kipiące mleko z garnka, wypłynęły wszystkie przyśnięte emocje związane z przeżyciami ostatnich strasznych lat. Kobietom w trakcie tych rozmów, od czasu do czasu łamały się głosy w stronę płaczu. Najbardziej płaksiwa była oczywiście ciotka Mania, ale łzy wycierała również moja mama i pani Bemowa.

Nie licząc małego Pawełka, który znużony słodko spał na kolanach swojej babci, byłem w tym gronie najmłodszy. Dlatego zapewne do mnie nie docierała w pełni groza tematów, omawianych przez dorosłych. Jednak w pewnym momencie, kiedy mama mówiła o mordzie dokonanym przez esesmanów na telechańskich Żydach, jak żywi stanęli mi przed oczami moi przyjaciele, Chaimek i mała Dobka Perelsztainowie. I wtedy coś ścisnęło mnie w gardle.

ROZDZIAŁ 7

Miesiąc maj 1944 roku był ciepły i pogodny. Monotonie okupacyjnych dni zaczęły zakłócać coraz częstsze przeciwlotnicze alarmy, nie powodując sobą jak do tej pory żadnych konsekwencji. Niebawem alarmy te przestały robić na ludziach jakiegokolwiek wrażenie. Nawet wówczas, kiedy niemiecka artyleria przeciwlotnicza ostrzeliwała lecący wysoko nad miastem sowiecki zwiadowczy samolot. Czasami tylko gapie zadzierając głowy patrzyli, jak w pobliżu samolotu wybuchają pociski, zostawiając po sobie pierzaste obłoczki dymu. Chyba nie zdarzyło się, aby Niemcy stracili zwiadowcę.

Te monotonne zwiastuny przybliżającego się frontu, któregoś dnia zakłóciło nowe wydarzenie. Ulica, przy której mieszkaliśmy, zaroila się nagle od chłopskich furmanek. Na nich wśród tobołów siedziały całe rodziny, mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci. Często za wozem szła krowa, uwiązana do niego postronkiem za rogi. Nad tym taborem unosił się pył ulicy, podniesiony nogami zwierząt i kołami wozów. Wnet rozeszła się wieść, że są to ludzie z wiosek leżących za Prypecią, gdzie Niemcy rozpoczęli budowę fortyfikacji. Sowieckie wojska były już niedaleko.

Na placu nieczynnej huty szkła obok domu pani Bemowej, w ciągu godziny powstało wielkie obozowisko ludzi, koni, krów i wozów. W górę wzbily się słupy dymów z rozpalanych ognisk. Ludzie wyrwali z okien budynku huty deski, rąbali je i tym podsycali ogień. Inni z wiaderkami w rękach rozpełzli się po okolicznych podwórzach. Czerpali ze studzien wodę, potem poili nią swoje konie i krowy.

Obozowiska pilnowało kilku własowców, którzy szwendali się po placu między wozami, końmi i ludzkim zbiorowiskiem. Niebawem gdzieś się zapodziali.

Na obrzeżach leżącego w pobliżu huty ogromnego pola administrowanego obecnie przez Niemców, pojawili się ludzie z obozowiska. Żęli młode, soczyste, zakwitające dopiero zboże. Kępami nosili je do obozu, karmili nim swoje zwierzęta.

Ludzie widząc to, bardzo dziwili się, że niemieccy oficerowie, którzy przyjechali do obozu z tłumaczem następnego dnia, przyglądali się koszeniu żyta obojętnie. Nie zabraniali im tego również własowscy wartownicy.

Po kilku dniach, w obozie znów pojawili się niemieccy oficerowie. Tłumacz przekazał jakieś polecenie i ludzie zaczęli ładować swój dobytek na wozy i zaprzęgać konie. Poleszukom zezwolono na powrót do swoich wsi. Tak więc, Niemcy doszli do wniosku, że budowa obronnej linii wzdłuż Prypeci nie jest celowa.

Wczesnym popołudniem, na placu po wielkim obozowisku pozostały tylko sterty śmieci, walające się wszędzie zdeptane zielone żyto i wypalone ogniska

Uchodźcy z nadprypeckich wsi, nie byli jedyną zapowiedzią nadciągającego frontu. Na kolei panował coraz większy ruch. Pociągi osobowe przestały kursować na wschód od Pińska, ale coraz więcej było wojskowego taboru. W kierunku wschodnim jechały pociągi załadowane armatami i czołgami, czasem tylko wojskiem. W kierunku zachodnim natomiast, było coraz więcej pociągów sanitarnych z rannymi. Od pewnego czasu, bez względu na rodzaj pociągu, ostatnim wagonem zawsze była platforma ze sterczącymi z niej w górę czterema lufami przeciwnocnego szybkostrzelnego dział.

Któregoś ranka zdarzyło się coś, co ludźmi wstrząsnęło. Oto na polu za nieczynną hutą szkła, Niemcy zaczęli kosić żyto, które dopiero teraz kwitło. Koszono je kilkoma dwukonnymi kosiarkami. Zżęte zielone żyto zbierali i układali w sterty przymusowi robotnicy, z pińskiego obozu przymusowej pracy. Na wykoszonym już obszarze widać było geodetów w niemieckich mundurach, robiących pomiary. W miejscach gdzie dokonano już pomiarów, wolno jeździły wielkie drogowe walce, ubijając ziemię. Przed nimi, nierówności gruntu robotnicy wyrównywali łopatami. Całość robót nadzorowało paru Niemców. Po polu kręcili się także własowcy, ci widocznie pilnowali robotników. Z przebiegu robót wynikało, że na polu po życie, Niemcy budują polowe lotnisko.

Przyszła do nas Mureczka. Ona już nie pracowała, bo jej firmę Niemcy ewakuowali z Pińska. Była bardzo wzburzona popełnianiem jak to powiedziała, morderstwa na młodziutkim zielonym życie.

Na drugi dzień po rozpoczęciu budowy lotniska, Niemcy zadali ludziom z naszej ulicy prawdziwy cios. Zarządzili, że mieszkańcy z wyznaczonych domów leżących w pobliżu przyszłego lotniska, muszą je opuścić w krótkim, kilkudniowym terminie.

Dla pani Bemowej i Koki była to wiadomość straszna. Porzucić na pastwę losu dorobek całego życia! Co jest wart człowiek bez dachu nad głową! Co stanie się z tym ich całym dobrem, którego nie da się ze sobą zabrać?

Splakane i robiące wrażenie zupełnie bezradnych, prosiły mamę, aby pomogła im spakować te rzeczy, które są najbardziej niezbędne. Pani Bemowa powiedziała mamie, żebyśmy zabrali ze sobą jak najwięcej jej rzeczy. Wtedy jest szansa, że ocaleją przed jakimiś złodziejami.

Obie kobiety z małym Pawełkiem, przeniosły się do jakiejś zaprzyjaźnionej rodziny w centrum miasta, a kozy powędrowały do kogoś mieszkającego na przedmieściu.

Nasza rodzina też musiała znaleźć nowe mieszkanie. W Pińsku, gdzie stało wiele pustych pożydowskich domów, nie było to zbyt trudne. Taki dom ojciec znalazł niedaleko po drugiej stronie torów kolejowych, przy ulicy Pańskiej.

Dom stał zapewne pusty od czasu, kiedy Żydów przed wymordowaniem przesiedlono do getta. Na futrynach wszystkich drzwi zachowały się mezu-

zy, blaszane puszki z hebrajską modlitwą. Wnętrze domu było splądrowane, wszędzie wały się pouszkodzone meble, jakieś szmaty i sterty śmieci. W niewietrzonych od dawna pomieszczeniach, cuchnęło zastarzałym brudem, kurzem i wilgocią. Mama i Mundzia całe popołudnie szorowały podłogi, zmywały brudy.

Dom, w którym teraz zamieszkiwaliśmy, tak jak i inne sąsiedzkie domy, stał w otoczeniu sadów i warzywnych ogrodów. W ciepłe ciche wieczory, w sadach przekrzykiwały się między sobą słowiki.

Te cudowne słowicze koncerty, zaczęły coraz częściej przerywać lotnicze alarmy. Gdzieś wysoko na niebie ciężko buczały silniki bombowców, lecących na zachód. Wtedy po ciemnym niebie bezszelestnie i nerwowo szperały ostre smugi przeciwlotniczych reflektorów.

Najgorsze dopiero jednak przyszło. Pewnej nocy po ogłoszeniu alarmu, samoloty nadleciały inaczej niż zwykle. Szły nisko, wydawało się, że tuż, tuż nad ziemią. W ciągu kilku minut, w mieście zrobiło się widno jak w dzień. To samoloty, zrzucały masowo palące się jaskrawo lampiony na spadochronach. Potem na Pińsk posypały się bomby. Ich wybuchy rozdzierały powietrze.

Na polecenie ojca, rzuciliśmy się do ucieczki z domu. W sadzie ojciec kazał nam położyć się płasko na ziemi. Mówił, że tutaj jest bezpieczniej niż w domu. Dom może od wybuchu bomby zawalić się, grzebiąc nas pod gruzami.

Dziwne, ale ciekawość przewyższała u mnie strach. Wykręcałem głowę, próbowałem przekręcić się na plecy. Po niebie ślizgały się światła przeciwlotniczych reflektorów. Parokrotnie w ich smugę wpadał samolot. Robił wtedy ostry skręt i rozpląwał się w pobladłym od lampionów niebie, które pstrzyły wybuchy przeciwlotniczych pocisków. To wszystko nie trwało dłużej, jak pół godziny. Kiedy samoloty odleciały, po długiej groźnej ciszy zawyły syreny odwołujące alarm. Reszta nocy upłynęła spokojnie.

Rano po mieście rozniosła się wieść, że Rosjanie zbombardowali rejon rzeczno-portu, gdzie była zgromadzona duża ilość niemieckiego wojska. A więc Rosjanie byli świetnie zorientowani co dzieje się w Pińsku i gdzie należy bombardować.

Hans, który odwiedził nas po południu opowiedział o stratach, jakie wskutek bombardowania ponieśli Niemcy. Bomby zabiły kilkudziesięciu żołnierzy, wielu poraniły. Zniszczeniu uległo dużo samochodów i innego wojkowego sprzętu.

Po tym bombardowaniu, wszędzie tam gdzie zakwaterowani byli Niemcy żołnierze, pojawili się przymusowi robotnicy. Kopali przeciwlotnicze rowy. Były one głębokie na dwa metry i wąską zygzakowatą linią, biegingy przez ludzkie ogrody i sady.

Groźba utraty życia podczas bombardowania spowodowała, że mieszkańcy Pińska również zaczęli kopać przeciwlotnicze rowy wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Ojciec wspólnie z nowymi sąsiadami, także rozpoczął kopanie rowu. Pomagała mu w tym mama i siostra. Mnie i brata, dorośli wnet przepędzili z rowu. Mieliśmy trudności z wyrzucaniem ziemi poza rów, na

odpowiednią odległość. Zdarzało się, że obficie posypywaliśmy nią głowy kopiących. Nie dorośliśmy jeszcze do tego, aby sprawnie manewrować ciężkim szpadlem z wilgotną ziemią.

W następujących po sobie nocach, alarmy przeciwlotnicze były ogłaszane, ale same naloty były inne. Poza tym, że siały spustoszenie, miały jeszcze charakter wyraźnie nękający. Z początku wysoko lecący samolot zrzucał na spadochronach oślepiające lampiony, które oświeślały z góry miasto. To powodowało dodatkowo, że niemiecka przeciwlotnicza obrona była nieomal bezradna. Potem pojawiały się kukuruźniki. Były to małe dwupłatowe samolociki, które posiadały dużą zdolność szybującego lotu z wyłączonym silnikiem. Swoje dziwaczne przezwisko zawdzięczały charakterystycznemu dźwiękowi silnika, brzmiącego jak młocarnia do łuszczenia kukurydzianych kolb.

Hans, który teraz przychodził do nas rzadziej i na krótko powiedział, że Niemcy nazywają kukuruźniki „nocną śmiercią”.

Ta nazwa zapewne była zasadną, biorąc pod uwagę sposób bombardowań za pomocą kukuruźników. Wpierw słychać było nadlatujący samolot i nagle nastawała denerwująca cisza. Po chwili rozlegało się kilka wybuchów małych bomb, po których odzywał się terkot odlatującego samolotu. Nigdy nie było wiadomo, gdzie kukuruźnik nadleci szybującym lotem i co zbombarduje.

Takie bombardowania bardzo doskwierały Niemcom. Były niezwykle celne i robiły wiele szkód. Nie było wątpliwości, że w Pińsku byli sowieccy agenci. Musieli porozumiewać się ze swoimi za linią frontu, przy pomocy radiostacji. Dokładnie oznaczali cele bombardowań.

Na początku czerwca, spotkała nas radosna niespodzianka. Oto z ekipą spekulantów, do Pińska, a konkretnie do nas przyjechała Nadzia, córka cioci Katarzyny. Rodzice witali ją, jak odnalezioną cudownie własną córkę. Nadzia była u nas dwa, może trzy dni, ale radość spotkania zepsuło nocne silne bombardowanie miasta przez sowieckie lotnictwo. Tę noc przesiedzieliśmy w okopie. Tak więc, Nadzia dzięki swojej wizycie u „cioci Ani” w Pińsku, zakosztowała jeszcze jednego smaku wojennych przygód.

ROZDZIAŁ 8

Którejś kolejnej nocy, znowu zawyły syreny. Nad miastem zakwitły lampiony. Ich światło wspomagał księżyc świecący w pełni. Pińsk został wyrwany z nocnego mroku. Było widno jak w dzień. Ludzie siedzący w okopach usłyszeli zamiast parkotania kukuruźnika, ciężki pomruk bombowców. Na miasto zaczęły spadać potężne bomby. Wybuchy następowały raz za razem, nakładały się na siebie.

Z podwórza graniczącego z ogrodem gdzie siedzieliśmy w okopie, dochodził skowyt, rzec można rozpaczliwy psi płacz. Widocznie zwierzę przerażone było detonacjami bomb.

– Wituś, ty co! Wituś wracaj! O Boże, dziecko, wracaj! – Rozległ się przerażony kobiecy krzyk w drugim końcu okopu.

– Witek wracaj! Psiakrew z tym chłopcem! – Zawtórował męski głos.

Dwie postacie, chłopca i usiłującego złapać go mężczyzny pobiegły w stronę podwórka. Niemal w tymże momencie, rozległo się wycie spadających bomb. Wydawało się, że to wprost na nasze głowy. Przypadłem przerażony na dno okopu. Wycie zbliżało się, rosło, pęczniało. Potem był oślepiający błysk. Poprzedził coś, co uderzyło potwornym, krótkim jak mgnienie oka rykiem. Wcisnęło się w uszy, głowę, całe ciało. Dwa takie same, jedno po drugim. Dopiero po długiej chwili, jakby wyjechał zza zasłony, doszedł do mnie tumult bijącej w niebo przeciwlotniczej artylerii. Z uszu nie ustępował niekończący się ton dzwonu.

Teraz doszedł nowy dźwięk. Był to histeryczny, pełen płaczu kobiecy krzyk.

– Jezu, zabiło ich, o Jezu słodki, zabiło ich!

Krzyk nie ustawał. Po okopie błyskawicą przeleciała wiadomość. Tu chodziło o tych dwoje, dziecko i mężczyznę, co pobiegli na podwórze. Przecież gdzieś tam właśnie przed chwilą spadły bomby! Na pewno rozerwały ich na strzępy.

Ludzie z trudem zatrzymali spazmującą kobietę w okopie do czasu, aż nalot stracił trochę na sile. Wtedy kilka osób pobiegło wraz z kobietą na podwórze. Rzeczywiście, na podwórze spadła jedna z tych dwóch bomb. Jej wybuch rozniósł stojącą tam komórkę. Z okien domu poleciały szyby, a z dachu zmiotło większość gontów, którymi był pokryty. Z mężczyzny został osmalony kształt czegoś, co nie przypominało człowieka. Ale chłopiec ocalał!

Kobieta zawodząc i wydając nieartykułowane dźwięki, siedziała na ziemi obok poszarpanego trupa męża. Tuliła do siebie wciąż jeszcze oszołomionego syna. Mały trzymał się matczynej szyi i buczał pochlipując.

Nie bacząc na to, że alarm trwa jeszcze, ludzie opuścili okop. Stali teraz kręgiem na podwórzu, gorączkowo rozmawiając.

Z bezładnych strzępów zdań, powoli wyłonił się przebieg tragedii. Kiedy został ogłoszony alarm i wszyscy schronili się w okopie, na podwórzu pozostał uwiązany do swojej budy młody psiak. Przerażony grzmotem przeciwlotniczej artylerii i wybuchami bomb, wył i skomlał. Siedzący w okopie z rodzicami Wituś, wiedziony litością nad swoim czterołapym przyjacielem wyskoczył z okopu, chcąc zabrać do niego psa. Zdenerwowany ojciec pogonił za małym uciekinierem. W momencie, gdy obaj znaleźli się na podwórzu, spadła na nim i eksplodowała bomba. To, że Wituś ocalał, ludzie uznali za cud.

Kiedy Wituś doszedł do siebie na tyle, że mógł mówić, opowiedział przebieg wydarzenia. Mianowicie, kiedy dobiegł do psiej budy stojącej przy schodkach wiodących do domu, na podwórzu spadło coś wielkiego i zaczęło jak określił chłopiec, „kręcić się po ziemi”. Przerażony, wpadł pod puste wewnętrzne drewniane schodki. Wybuch bomby ogłuszył chłopca. Kiedy ludzie przybiegli na podwórze, zauważyli wystające spod schodów buciki Wiktusia. Wyciągnięto stamtąd chłopca żywego i całego. Biedaczek nie zdawał sobie sprawy, że tragicznie stracił ojca. Płakał po stracie swojego Żuczka.

Noc miała się ku końcowi, na wschodzie czerwieniało niebo. Ludzie nawet nie zauważyli, kiedy odwołano przeciwlotniczy alarm. Jedni zaczęli rozbierać się do domów, inni zajęli się kobietą i Witusem. Szczątki zabitego, ktoś okrył przyniesioną kapą na łóżko. W ciągu dnia, krwawe strzępy z nieboszczyka ludzie znajdowali na podwórzu i w ogrodzie.

Druga bomba wybuchła w sadzie niedaleko domu, w którym mieszkaliśmy. Podmuch eksplozji, wtłoczył okno do wnętrza domu. Pokój usłany był drobno tłuczonym szkłem. Było wszędzie. Kiedy weszliśmy do niego, powitało nas spokojne, miarowe tykanie budzika. W niezrozumiały do dzisiaj sposób, budzik stojący na parapecie okna nie został zmieciony podmuchem eksplozji. Poczciwy budzik miał już wówczas dwadzieścia lat służby poza sobą. Służył rodzinie jeszcze sporo lat. Przeżył moich rodziców.

Wybuch bomby uszkodził ścianę budynku, która niebezpiecznie zarysowała się. Rodzice uznali, że może grozić zawaleniem.

Nie pozostało nic innego, jak poszukać nowego mieszkania. Ktoś z sąsiadów powiedział, że parę dni wstecz jego znajomi wyjechali z Pińska. Rzeczywiście, pod wskazanym adresem, były puste dwa pokoje z kuchnią.

Dom stał przy ulicy Poprzecznej, w pobliżu portu na Prypeci. Mieszkało w nim kilku niemieckich żołnierzy, którzy byli chyba gdzieś wartownikami. Inną część domu od strony podwórza, zajmowało pięciu przymusowych robotników pracujących w porcie. Byli to Ukraińcy, których pilnował stary chuderlawy Niemiec. Ukraińcy wołali na niego Żorż. Wszyscy oni żyli ze sobą w doskonałej komitywie. Rano Żorż z karabinem przewieszonym przez plecy, prowadził swoich podopiecznych do pracy w porcie. Kiedy po południu wracali, Żorż brał menażkę i szedł gdzieś na obiad. Czasami przynosił go i jadł siedząc na ławce pod starą gruszą. Ukraińcy sami pichcili sobie posiłek. Gdy udało im się zdobyć gdzieś samogonu, pili go razem z Żorżem na podwórzu. Niemiec upijał się szybko i zasypiał na siedząco. Wówczas pod-

chmieleni Ukraińcy, zanosili swojego patrona na rękach do domu. Na drugi dzień, Żorż był skisnięty i ledwo się ruszał.

W nowym miejscu, żyło się naszej rodzinie gorzej jak poprzednio. Ojciec i Mundzia mieli do pracy o wiele dalej. Nocne naloty stały się także bardziej uciążliwe. Co prawda robiły je teraz tylko kukuruźniki, ale bliskość rzecznego portu i niemieckich wojsk, były powodem bombardowań tego właśnie rejonu miasta.

Na placu za domem, wykopane były dwa przeciwlotnicze rowy. W czasie nalotów, w jednym chronili się okoliczni mieszkańcy, a drugi w większości zajmowali niemieccy żołnierze.

Kiedyś alarm lotniczy został ogłoszony wyjątkowo wcześniej, zaraz po zapadnięciu zmroku. Ludzie spodziewali się ciężkiego nalotu. Rzeczywiście, niebawem niebo po wschodniej stronie, zaczęło pęcznieć ciężkim warkotem bombowców. Samoloty nad miasto jednak nie nadleciały. Przeszły na zachód bokiem. Fala za falą, dużo tego było. Gdzieś daleko dudniła przeciwlotnicza artyleria. Potem zapanowała pełna wyczekiwania cisza.

Nagle nad okopem rozległ się wyraźnie nietrzeźwy głos.

– Wnimanije, wsie Palaki wylezat’! – Uwaga, wszyscy Polacy wylaźić!

Nad rowem kiwała się postać własowca z automatem w rękach. Nie było wątpliwości, był pijany.

– Ja skazał Palaki, job waszu mat’ wylezajtie, razstrieliwat’ budu! – Powie-działem, Polacy ...wasza mać wylaźić, rozstrzeliwać będę!

Głos własowca stawał się coraz bardziej zły, napastliwy. Szczęknął zamek automatu. Ludzie w okopie struchleli. Na ich głowy, pijany bandzior wyle-wał strumień najohydniejszych przekleństw. Takie wymyślne koronki, mo-gły powstać tylko gdzieś pośród lumpenproletariatu z najniższej półki.

– Nu Polaczki, wylezat’, a to ubiwat’ budu wsiech po oczierdiedi! – Polacy wylaźić, a to zabijać będę wszystkich po kolei!

Pijak już nie mówił, zaplawał się pijackim wrzaskiem. W każdej chwili mogło dojść do tragedii. Perswazje kobiet z głębi rowu, że siedzą w nim wy-łącznie Rosjanie, nie robiły na bandziorze najmniejszego wrażenia.

Nagle skuleni na dnie okopu ludzie usłyszeli głośnie plaśnięcie i ciężki upadek ludzkiego ciała.

– Du Eber, du Wieh! – Ty knurze, ty bydlę! Zaryczał inny głos po niemiec-ku.

Potokowi dalszych wyzwisk, wtórował odgłos kopnięć i towarzyszące im sapanie. Niemiec kłął, sapał i zapamiętałe kopał tarzającego się własowca. Kiedy wreszcie udało mu się wywinąć spod kopniaków, rzucił się do ucieczki i rozplynął w ciemnościach pobliskiego sadu. Niemiec podniósł porzucony przez napastnika automat i poszedł wolno w kierunku swojego okopu. Za-nim doszedł do niego, wyskoczyła stamtąd jakaś dziewczyna. Zarzuciła Niem-cowi ręce na szyję, rozległy się głośnie cmoki pocałunków.

– Kochany, ty ocaliłeś ludzi, dziękuję ci Ernest! – Wołała między pocałun-kami.

– Genug Irene, genug – Ernest wyraźnie chciał się wyzwolić spod wylewnych uścisków.

Wszechwiedzące plotkarki zaraz rozniosły po okopie, że Irena jest pościelową towarzyszką Ernesta.

Jakby na to nie patrzeć, to jej wstawiennictwo u kochasia, aby poskromił pijanego włosowca, warte było nieograniczonej wdzięczności. Pijany złoczyńca z bronią w ręku, na pewno nie poprzestałby na pogróżkach i przekleństwach.

Innej nocy, kiedy akurat nie było alarmu, mieliśmy inną atrakcję. Niemieccy żołnierze mieszkający na kwaterze za ścianą, zdobyli gdzieś alkohol i urządzili pijacką orgię. Gadali, krzyczeli, śpiewali, wyli nie śpiewali, klęli. Dobrze już po północy zaczęli demolować swoją kwaterę. Trzeszczały i pękały drewniane przedmioty, zapewne meble. Z dochodzących odgłosów można było wnioskować, że z kolei rozwalają piece. Wreszcie z okien poleciały szyby. Pijacka burda dopiero ucichła, kiedy na dworze zaczęło świtać. Niebawem ojciec i Mundzia musieli wychodzić już do roboty.

Około godziny siódmej rano, w kwaterze Niemców ponownie rozległ się wrzask. Tym razem wrzeszczał jeden głos. Od czasu do czasu słychać było wylęknione, pełne pokory inne głosy, jakby odpowiedzi. Widocznie kwaterę odwiedził jakiś przełożony nocnych hulaków.

Do południa zza ściany dochodziły odgłosy zbijania drewnianych przedmiotów, brzęk zamiatanego szkła. Nie wiedzieć, czemu żołnierze rozmowy prowadzili półgłosem. Cały ten nocny koncert był tak doskonale słyszany w naszym mieszkaniu, bo od Niemców dzieliła nas tylko cienka drewniana ścianka z dykty.

Kiedy po południu cherlawy Żorż przyprowadził swoich Ukraińców, pokazywał na skrzydło domu zamieszkane przez nocnych wyczynowców, spluwał i kręcił głową.

– Das Trinkers, Shurkes, – mówił krzywiąc usta. – To pijacy, łajdacy.

– Ceż twoi brat’ja Nimci, czemu ich ruhajesz? – Toż to twoi bracia Niemcy, czemu ich przeklinasz? – Śmiali się z Żorża Ukraińcy.

Po krótkiej przerwie w bombardowaniach, następnych kilka nocy było bardzo uciążliwych. Kukuruźniki małymi bombkami zasypywały właśnie tę dzielnicę, gdzie mieszkaliśmy. Potwierdziło się przypuszczenie, że Sowieci do brze wiedzą, co czynią. Dzielnica, w której mieszkaliśmy, roiała się od wojska.

ROZDZIAŁ 9

Pewnego ranka, odwiedził nas z Mureczką wuj Stefan. Po nocy spędzonej w okopie, twarze mieli szare i jakby wymięte. Zza okularów, patrzyły zaczerwienione oczy.

Zarówno wuj jak i Mureczka, już nie pracowali. Ich niemieckie firmy, wyniosły się z Pińska przed nadciągającym frontem.

Wuj przyniósł dobrą wiadomość. Oto ktoś z jego znajomych z byłej pracy powiedział, że jest możliwość wyniesienia się za miasto, unikając w ten sposób bliskości sowieckich nalotów. Krewni tego znajomego, mieszkali na swoim chutorze pod Pińskiem. Nawet na piechotę, to niezbyt daleko od miasta. Z jakichś powodów opuścili chutor i przenieśli się do swoich krewniaków, mieszkających w którejś z pobliskich wsi. Chutor pozostał opuszczony. Wuj był tam wczoraj z Mureczką, to kwadrans drogi od miejskiej rogatki. Miejsce dobre, ciche, niezbyt dalekie od szosy biegnącej w kierunku Brześcia.

Decyzja mamy była szybka. Tak, przeniesiemy się tam. Noce spędzane w okopie najgorzej doskwierały ojcu i siostrze, którzy musieli rano iść do roboty i harować przez wiele godzin. Wuj powiedział, że po południu przyjdzie do nas z ciotką i Mureczką, za miasto pójdziemy razem.

W ciągu dnia mama spakowała nasz lichego dobytek i ugotowała obiad. Zjedliśmy go, kiedy z roboty wrócili ojciec i Mundzia. Czekaliśmy na zjawienie się wujostwa.

Było już dobrze pod wieczór, kiedy przysła sama Mureczka. Okazało się, że ciotka Mania poczuła się źle i wujostwo postanowili nie ruszać się tego dnia z miejsca.

Objuczeni tobołami, pośpiesznie ruszyliśmy w drogę, aby zdążyć jeszcze przed godziną policyjną wyjść poza miejskie rogatki.

Na rogatce zatrzymał nas niemiecki wartownik. Długo dociekał, dlaczego na noc wychodzimy z miasta. Ojciec cierpliwie tłumaczył żołnierzowi. Ten uważnie wysłuchiwał odpowiedzi i znów o coś pytał.

– A, ganz egal! – Wszystko jedno! – Żołnierz nagle przerwał wywody ojca. Z rezygnacją machnął ręką, w której trzymał pęczek naszych dokumentów, po czym wcisnął je wszystkie w ręce mojej siostry. Odwrócił się od nas i poszedł do budki wartowniczej, po drugiej stronie szosy.

Pośpiesznie szliśmy szosą w zapadającym letnim zmroku. Mureczka w pewnym momencie zawahała się, czy to tutaj należy skręcić w polną dróżkę. Po dziesięciu minutach dalszego marszu, weszliśmy na podwórko ogrodzone wysokim płotem z desek.

Chata była niewielka, dwuizbowa. Mama z Mureczką, natychmiast pootwierały maleńkie okna. W chacie panował zaduch baranich kozuchów, go-

towanych w obierkach kartofli i tych wszystkich smrodów, jakie wytwarza człowiek bez codziennego towarzystwa mydła.

Mama z ojcem przynieśli ze stodoły parę snopów słomy. Rozścielona na podłodze, stanowiła legowisko dla wszystkich.

Z daleka, od strony miasta dochodziły od czasu do czasu odgłosy grających nad nim kukuruźników. Zanim pousypialiśmy, Mureczka jeszcze głośno martwiła się o rodziców. Zostawiła przecież niezdrową matkę!

Pomyślałem nikczemnie, że ciotki żaden diabeł nie ubodzie, bo by połał sobie rogi. Jeśli nawet choruje, to tylko po to, żeby się nad nią litować.

Wstaliśmy raniutko. Przecież ojciec i Mundzia muszą zdążyć na czas do roboty. Do miasta poszli czwórką, ojciec z mamą i siostra z Mureczką. Mama poszła do wujostwa, żeby zobaczyć się z chorą ciotką. W chałupie zostałem ja z bratem. Stefan zaraz po śniadaniu zerwał z otoczeniem, topiąc się w książce. Mnie oczywiście zaraz poniosło obwąchać wszystkie kąty opuszczonego chutoru. Dom, oborę, stodołę, nawet głęboką ziemną piwnicę w rogu podwórza i studnię z żurawiem.

Pod strzechą domu i obory, tkwiły rzędy jaskółczych gniazd. One same jak czarne kreski, przecinały podwórze koszącym lotem. W piasku przed stodołą, darła się i wodziła za łby horda wróbli. Z pół szedł z ciepłym wiatrem zapach rozgrzanych słońcem łąnów, zaczynającego dojrzewać żyta.

Chata robiła wrażenie opuszczonej w pośpiechu. Zostało w niej sporo gospodarskich sprzętów. Na drewnianych łózkach, leżały sienniki z wygniecioną słomą. W rogu izby, gdzie prawosławni wieszają święte obrazy, na ścianie został ciemny ślad zasnuty pajęczyną.

Słońce jeszcze nie wspięło się wysoko, ale już dobrze dogrzewało. Nagle usłyszałem, że ktoś otwiera skrzypiącą bramę wjazdową. Pobiegłem na podwórze i zobaczyłem, że wjechała na nie chłopska furmanka. Obok wozu, przywiązana do niego postronkiem za rogi, szła poleska czerwona krowa. Na wozie siedziała kobieta z dzieckiem na kolanach i dorastająca dziewczyna. Resztę wozu wypełniały toboły, na których przywiązany sznurem, leżał do góry nogami niewielki orzechowy stół z rzeźbionymi nogami. Zdecydowanie nie pasował do tobołków powiązanych w samodziałowe płachty. Chłop i dziewczyna zsiadli z wozu, kobieta z dzieckiem pozostała na nim. Mężczyzna trzymając w ręku bat i nie spuszczać ze mnie wzroku, postąpił kilka kroków w moją stronę.

– Biełobrysyj – świński blondyn – przemknęło mi przez głowę. W istocie. Jego wyłazające w nieładzie spod czapki kosmyki włosów, brwi i niegolona od paru dni broda, miały kolor szczeciny świni „blondynki”.

Siwe oczy białobrysego, patrzyły na mnie uporczywie i z zaskoczeniem.

– Ty szo tut robysz chłopczuk? – Co ty tu robisz chłopcze – zapytał po chwili.

– My tutaj mieszkamy – odpowiedziałem.

– Wid koły? – Ze zdziwienia, chłop aż otworzył usta – Od kiedy? Ja tu wczoraj byłem po południu i nikogo nie było – nie przestawał dociekać.

Odsunął mnie ze swojej drogi i wszedł do chaty. Poszedłem za nim. Mężczyzna rozejrzał się po słomie na podłodze i naszych tobołach. Teraz na jego twarzy odmalowało się zatroskanie. Zdjął czapkę i podrapał się w białą czuprynę, dawno nie strzyżonych włosów.

– Myśmy przyszli tutaj z Pińska wczoraj na wieczór – powiedziałem.

– No to jak będzie? – Zafrasował się jeszcze mocniej – ja tu byłem wcześniej. A de twoi baćki? Gdzie twoi rodzice? – Ożywił się nagle.

– W Pińsku, przyjdą późno – odpowiedziałem.

Człowiek wyszedł na podwórze.

– Sonia, złaż z wozu, trzeba znieść rzeczy – powiedział do kobiety.

Ta podała może roczne dziecko dziewczynie, która wciąż stała obok wozu. Oboje z mężem zaczęli wnosić do chałupy swoje toboły. Na środku podwórza został tylko zdjęty z wozu orzechowy stolik, z intarsjowanym blatem i rzeźbionymi nogami. Patrzyłem na to „dobro” Poleszuka, rodem z jakiegoś salonu i myślałem o naszych jesionowych meblach, które zostały w Telechanach. Nasze mebelki pasowały do naszego domu. To rzeźbione cacko, do pocziwego Poleszuka nie przystawało nijak.

W całe to zamieszanie, włączył się wreszcie mój brat Stefan. Ruch w chacie i na podwórzu wyciągnął go z cienia pod drzewem za budynkami. Kiedy już wiedział wszystko w czym rzecz, straciwszy zainteresowanie tym tematem, znowu poszedł czytać pod swoje drzewo. Na kręcącą się po podwórzu ładną córkę białobrysego, nawet nie spojrzał.

Człowiek po rozładowaniu wozu powiedział, co go tutaj przygnało wraz z rodziną. Jest właścicielem chutoru paręnaście kilometrów stąd, gdzieś nad Prypecią. Front już tam zbliżył się na tyle, że słysząc grzmot ciągłej kanonady, a wieczorami nad horyzontem widać błyski wybuchów. W okolicy jego chutoru, najechało się mnóstwo wojska. Są tam armaty i czołgi, a Niemcy spędzają ludzi z całych wsi, do kopania okopów. Widocznie chcą tam nad Prypecią długo się bronić. Zostać tam, to tak, jakby dobrowolnie skazać się na śmierć. Uciekają stamtąd wszyscy, kto tylko może.

Teraz on śpieszy się, żeby jeszcze raz obrócić i przywieźć więcej dobytku. On na to pracował całe życie. Teraz pójdzie to na zmarnowanie. Tak nie można, to grzech ciężki. Tyle dobra, tyle dobra... Poleszuk śpieszył się. Napoił konia, uwiązał w cieniu drzewa krowę, po czym wsiadł z żoną na wóz i oboje pośpiesznie odjechali.

Na podwórzu została córka białobrysego, która teraz spacerowała po nim ze swoim rocznym może braciszkiem Fied'ką na rękach. Była uśmiechnięta, swobodna i rozmowna. Żeńka, bo tak miała na imię, jak na swoje czternaście lat, fizycznie rozwinięta była nad podziw. Miała duże, wysoko osadzone piersi i szerokie biodra. Urodą do ojca absolutnie nie przystawała. Miała piękne popielate długie włosy, spływające na plecy grubym warkoczem. Z delikatnej okrągłej twarzy, zadziornie patrzyły duże jak u dziecka, ciemne oczy. Jak magnes, przyciągały mój wzrok jej usta koloru krwi. Nie mogłem pohamować w sobie pragnienia, żeby nie gapić się na nie. Gdzieś na dnie

świadomości, kojarzyły mi się z ustkami małej telechańskiej świntuszki Dusi. Wspomnienie jej, wywołało mrówki na moich plecach.

A Żeńkę rozsadzały kipiące hormony. Zachowywała się nie jak czterna-stolatka, ale dojrzała, rozgrzana samica. Nosząc siedzącego okrakiem na jej brzuchu braciszka, pośpiewywała i zaczepnie patrzyła mi w oczy. Ja łąziłem za nią jak zahipnotyzowane ciele, a dziewczyna rozpięła nałożoną na gołe ciało bluzkę i wtykała malcowi w buzię różowe jagody to jednej, to drugiej piersi.

Chodząc po podwórku tam i z powrotem, ocierała się o mnie ciałem. Czułem wtedy jej mocny, nie do określenia zapach. Łapczywie łapałem go w nozdrza, a usta wypełniły mi się gęstą śliną. Od jej wyłazających spod rozpiętej bluzki piersi, z początku odwracałem oczy. Po prostu wstydyłem się. Później mi to przeszło i z rozkoszą gapilem się na baloniaste, osadzone wy-soko dziewczęce cacka z różowymi poziomkami sutków.

Im dłużej to trwało, tym bardziej poddawałem się zniewalającemu pod-nieceniu. Doznania, którymi swego czasu obdarowała mnie w drewnutni Duś-ka małpująca figle swojej matki, były lichutkie wobec tych, które ośwładnęły mną przy Żeńce. Dołem brzucha pełzały nieznosnie drażniące, rozkoszne mrówki. Pragnąłem z całej siły dotykać się, ale wstydyłem się Żeńki. W koń-cu uległem pokusie i zapuściłem ręce w kieszenie.

Dziewczyna przyjrzała się temu bez żenady i usiadła na ławie z szeroko rozstawionymi bosymi nogami. Trzymając braciszka pod pachy, postawiła go sobie na dołku, który malec miesił bosymi nóżkami. Wyraźnie mu w tym pomagała, co w widoczny sposób sprawiało Żeńce przyjemność. Potem niby to drapiąc się po łydce, jakby przypadkiem podciągnęła wysoko spódnicę. Zobaczyłem jej białe, jędrne uda. Dziewczyna nie miała na sobie bielizny.

Tego było dla mnie za dużo. Poczułem, jak rojące się we mnie mrówki zamieniają się w pulsujący mokry skurcz, bijący rozkoszą aż do podstawy czaszki. Nieznane dotąd tak silne uczucie, omal nie powaliło mnie z nóg. Przed oczami zawirowały czerwone płatki. Po chwili to wszystko zaczęło odpływać ze mnie błogim odprężeniem. Stojąc z zamkniętymi oczami, lekko odurzony wracałem do rzeczywistości. I wtedy poczułem przytulające się do mnie piersi dziewczyny. Podniosłem ciężkie jeszcze powieki i zobaczyłem przed sobą rozchylone wilgotne usta i ciemne oczy Żeńki, badawczo patrzą-ce na mnie.

– Nu, tobi wże polipszało, a szo teper bude so mnoju? – Tobie już dobrze, ale co teraz będzie ze mną? – spytała ni to z żalem, ni to z pretensją.

Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Opanował mnie ogromny wstyd. Rzuciłem się do furtki i uciekłem w pole. Biegłem miedzą w szpalerze wy-sokiego, nie dojrzałego jeszcze żyta. Zatrzymałem się daleko w polu. Słońce grzało silnie, a w kołyszącym się lekko zbożu, cykały polne koniki.

Teraz mogłem wszystko spokojnie przemyśleć. Położyłem się na miedzy i z zamkniętymi oczyma zacząłem centymetr po centymetrze snuć nitkę wy-darzeń z podwórka. Im dłużej ciągałem tę nić wspomnień, tym bardziej

pragnąłem zobaczyć Żeńkę ponownie. Moja pamięć, przykleiła mi pod powieki obrazek, z odsłoniętymi wysoko udami Żeński. Bałem się otworzyć oczy, aby nie utracić tego widoku. Przywołany podnieconą wyobraźnią zapach jej ciała, wygasił w moim powonieniu wszystkie zapachy otaczającej mnie nieskażonej przyrody.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy wróciłem na podwórze, było już dobrze po południu. W chacie zastałem mamę. Powiedziała mi, że wujostwo na razie tutaj nie sprowadzą się, bo ciotka Mania jest chora. Już drugi dzień nieomal nie złazi z nocnika. Nie daj Boże, żeby to tylko nie było coś zakaźnego. Mureczka pielęgnuje ciotkę, a wuj jest zły, chociaż nic nie mówi. Macha tylko na swojego pecha ręką.

Przygotowanie posiłku szło sprawnie. Mama krzątała się przy kuchni gotując rodzinie kartoflankę, a Żeńka rozbetywała z wodą gryczaną mąkę na bliny. Potem mama pomogła jej w smażeniu i obie narobiły tego całą stertę. Mama była niezadowolona, że jak rodzice Żeńki przyjadą, będą jeść zimne bliny. Tyle, że nie było wiadomo, kiedy oni wrócą. Przez cały ten czas, czułem się wyjątkowo głupio i skwapliwie unikałem wzroku Żeńki.

Było upalne popołudnie, kiedy wrócili z roboty ojciec i Mundzia. Usiedliśmy do posiłku, Żeńka razem z nami. Małemu Fiedzi mama ugotowała zacierkę na mleku, z południowego udoju. Jadł z apetytem, ale pluł na stół i Żeńkę.

Tuż po zachodzie słońca, na podwórze zajechała furmanka. Parsknął zdronzony koń. To wrócili rodzice Żeńki. Przywieźli nowe toboły. W chałupie zrobiło się teraz ciasno. Ojciec Żeńki wyprzągł konia, napoił i założył mu na szyję płócienną torbę z obrokiem. Potem usiadł z żoną do posiłku. Jedli zimne bliny, uprzednio maczając je w miseczce z roztopioną słoniną.

Przez cały ten czas, Żeńka nie spojrzała na mnie. Raz tylko, kiedy mijaliśmy się w drzwiach, pokazała mi zwinięty w rurkę czerwony język.

Po posiłku, rodzice Żeńki razem moimi rodzicami, zaczęli mozolnie obrać temat, jak to będzie z zajęciem chałupy. W końcu stanęło na tym, że jutro nasza rodzina ją opuści. My mamy gdzie się podziać. W każdej chwili możemy wrócić do ostatniego pińskiego mieszkania. Niemile ono, ale jest. Najgorsze te nocne naloty. Męczące i niebezpieczne. Ale trudno. A oni nie mają wyboru. Chałupę wyszukali pierwsi. I co by robili w Pińsku. Gdzie podziałby się koń, żywicielka krowa, wóz? Oni są ze wsi, w mieście by przepadli.

Nadeszła ciepła letnia noc. Gdzieś w oddali na niebie buczały samoloty. Nad Pińskiem pęłzały po niebie jasne nitki reflektorów. Bębniła gdzieś w oddali przeciwlotnicza artyleria. Pomimo otwartych okien, w izbach było duszno. Leżąc na prześcieradle przykrywającym pachnącą słomę, rozmyślałem o śpiącej w drugiej izbie Żeńce. Pragnienie przytulenia się do niej, nie pozwalało mi usnąć. Wreszcie jednak sen wziął górę nad marzeniami.

Tej nocy Pińsk nie był bombardowany. Nic nas nie budziło.

Raniutko następnego dnia, było wspólne śniadanie. Matka Żeńki nagotowała dla wszystkich zacierkę na mleku. Jadłem je z miski zapatrzony w Żeń-

kę, siedzącą naprzeciw mnie. Ta od czasu do czasu, ukradkiem strzelała do mnie ślepiami.

Nawet nie zauważyłem, kiedy dojechałem do dna miski. Przyzwyczajony do tego, poprosiłem mamę, aby zrobiła zbożowej kawy. Brat zrobił to samo. Żeńka ze swoją matką, dziwiły się naszej zachciance. Jej ojciec powiedział, że to miastowa fanaberia. Powiedział to śmiesznie po polesku, „chwanabierija”.

Mama po wyjściu ojca i Mundzi do roboty, zajęła się pakowaniem naszych rzeczy. Ponieważ do popołudnia było dużo czasu, zdecydowała się zrobić jeszcze przepierkę. Na takim słońcu szybko wyschnie.

Kiedy mama była zajęta praniem, ja bezradnie pałętałem się wokół Żeńki. Ta pośpieszając nosiła na rękach swojego braciszka. Chodząc po podwórzu, w pewnym momencie skręciła do małej furtki obok stodoły i wyszła poza ogrodzenie. Ja trzymałem się dziewczyny jak cień. Rozpaczliwie szukałem słów, chciałem jej coś powiedzieć, pokazać się z dobrej strony. Ale czułem, że jestem żaloszny i pogrążam się coraz bardziej. Nie śmiałem już na nią spojrzeć.

W którymś momencie, Żeńka przywarła do mnie na tyle szczelnie, na ile pozwalał na to siedzący okrzakiem na jej brzuchu mały Fied’ka. Poczułem na ustach jej gorący, wilgotny pocałunek. Dziewczyna ssła moje usta, jak wysysa się cytrynę, oddychając gorącym, krótkim, szybkim oddechem. Jej atak, obudził we mnie jurnego samczyka. Poczułem, że dławione przez całą noc i poranek pragnienie dotyku ciała Żeński, za chwilę wywoła u mnie eksplozję. Pragnąłem, aby nastąpiło to jak najbliżej ciała dziewczyny, ale pomiędzy nami tkwił na jej rękach mały Fiedia.

– Żeńka, de ty diwajeszsia! – Huknął z podwórka głos ojca dziewczyny. Widocznie tata wietrzył coś w zachowaniu córki i chciał ją mieć na oku.

– Ja tut batia! Idu, idu! – Odkrzyknęła.

Żeńka gestem ręki kazała mi wynosić się z tego miejsca i śmignęła przez furtkę na podwórze. Byłem tak zły na białobrysego Poleszuka, że zacząłem mu w duchu złorzeczyć.

Ten wyspany pocałunek był moim pożegnaniem z Żeńką. Ta dziewczyna, w której tak burzliwie dojrzewało przyszłe powołanie jej ciała do macierzyństwa, obudziła i moje ciało.

* * *

Po powrocie ojca i Mundki z roboty, zjedliśmy obiad i zaczęliśmy się zbierać do Pińska. Wtedy ojciec Żeńki powiedział, że nas zawiezie furmanką. Rodzice byli bardzo wdzięczni tym bardziej, że o zapłacie chłop nawet nie chciał słyszeć. Wówczas ojciec dał Poleszukowi wszystkie papierosy, oprócz napoczętej paczki. Ten zapalił, zakasłał i odrzekł, że machorki nic nie zastąpi. Tyle, że z papierem ciężko. Niestety, nie mogliśmy sprezentować mu wypożyczonej książki, którą Stefan właśnie czytał.

Do zachodu słońca jeszcze sporo brakowało, kiedy furmanka z nami i naszym dobytkiem, wjechała na podwórze domu opuszczonego dwa dni wcześniej. Tam przywitali nas hałaśliwie nasi sąsiedzi, Ukraińcy. Mieli samo-

gon, raczyli się nim siedząc wianuszkami na trawie w cieniu jawora. Libację musieli zacząć niedawno, bo uczestniczący w niej Niemiec Żorż, był jeszcze całkiem żwawy.

– Wypijcie z nami za przyjazdne! – Wypijcie z nami za powrót!

Wąsata góra mięśni w osobie lekko podchmielonego Iwana, oparła się o wóz. W jednej ręce trzymał butelkę z mętnym płynem, w drugiej aluminiowy kubek. Po długich targach stanęło na tym, że ojciec wypije ciut-ciut za całą rodzinę i sąsiadów, za to właściciel furmanki, ile dadzą. Dali mu pół kubka i bimber został smakowicie wyżłopany.

Na odjazdne, ojciec Żeńki wydobył spod słomy wyścielającej wóz spory woreczek gryczanej kaszy.

– Nechaj bude na zdorouje, beritie, nu beritie – bierzcie.

Rodzice mieli opory, ale skończyło się na przyjęciu podarunku. Nasz skromny zapas gryczanki skończył się jeszcze wczesną wiosną.

Kiedy furmanka wreszcie odjechała, mama poszła do wujostwa. Trzeba było powiadomić ich, że przenosiny do chałupy za miastem są nieaktualne. Poza tym, mama chciała dowiedzieć się o zdrowie ciotki. Musiała śpieszyć się, żeby powrócić przed policyjną godziną.

Po powrocie mamy dowiedzieliśmy się, że wuj bardzo się zezłościł na wiadomość o chałupie, a ciotka już wyzwoliła się z objęć nocnika. Tyle, że jest bardzo słaba. Mureczka gotuje jej kleik i parzy herbatę z mięty, którą dała jej pani Szpudejkowa.

ROZDZIAŁ 11

Nazajutrz, Mundzia przyszła z roboty w towarzystwie Hansa. Ten wyciągnął ze swojej torby konserwy, bryłkę mażącego się w woskowym papierze smalcu i mydło. Mama zapytała, kiedy przyniesie bieliznę do prania. Na to Hans odrzekł, że to jest Geschenk, prezent. O niczym innym nie chciał słyszeć.

W tym dniu Hans był w złym nastroju. Bardzo martwił się, jak jego stary Fati, tatuś radzi sobie z sadem. Przecież to jest żywiciel całej ich rodziny. Mówił też, że Rosjanie są już niedaleko Pińska, że będą tu lada dzień. Dla niego Rzesza była już całkiem kaput, razem z Hitlerem. Mówił, że nie może się tego doczekać. Niechby krew przestała się lać, a on mógłby nareszcie powrócić do swojej Nadrenii.

Zapadł wieczór, a Hans gadał i gadał. Nie zauważał, albo nie chciał, że rodzice coraz to spoglądają znacząco na budzik. Wreszcie ojciec przestał tłumaczyć potok Hansowych słów. Żołnierz ocknął się dopiero, jak zawyły alarmowe syreny. Szybko pożegnał się i pokuśtykał do swojej kwatery.

Nalotu nie było, ale potem z każdą następną nocą było coraz gorzej. Rosjanie bombardowali celnie, mocno dokuczając Niemcom. Niestety, cierpiała również ludność cywilna. Zdarzały się okaleczenia, ginęli ludzie. Czasem na Pińsk spadały bomby zapalające. Drewniane domy, których w mieście była większość, płonęły jak smolne szczapy.

W końcu czerwca ojciec przyniósł wiadomość, że baza, w której pracuje, będzie ewakuować się lada dzień. Nie było wątpliwości. Dni pobytu Niemców w Pińsku były policzone. Bój o miasto będzie na pewno, a ucierpią cywile. No i to głównie, że razem z sowieckim wojskiem wkroczy nieodłączne NKWD.

Rodzice długo dyskutowali, jak postąpić. Zostać w Pińsku, to oznaczało dobrowolne wpakowanie się w łapy enkawudzystów. Moi rodzice mieli z nimi wystarczająco dużo do czynienia, ażeby mieć uzasadnione obawy. Nie sposób było uwierzyć w przypadek, że nie wywęszą, iż ojciec pracował w niemieckiej bazie. A gdzie tam pracował, na pewno służył Niemcom! Zdrajca! I do tego Polak. Tiurma, więzienie gotowe, a później Sybir. Pula w łob może nie. Będą lepsi, co na to zasłużyli. Wszystko w majestacie bolszewickiego prawa, nad którego ideologiczną czystością, czuwa sam towarzysz Stalin.

Przed rodzicami, pojawił się niezwykle poważny dylemat. Strach przed Bolszewikami w pełni zasadny, ale wyjechać stąd? Jeśli wyjechać, to przecież razem z Niemcami! To też śmiertelni wrogowie. Żeby wspomnieć tylko unicestwienie mieszkańców podtelechańskich wsi Bobrowicze, Wiada, Kraśnicy czy Tupiczyc. A zgładzenie Żydów? Potworność. Na razie Niemcy tutaj ludzi

tak nie krzywdzą, bo potrzebna im siła robocza. Ale co będzie później? I bądź człowieku mądry. Który potwór na dzisiaj jest mniej niebezpieczny. Czerwony, czy czarny?

Ostatecznie, po długich męczących dyskusjach, rodzice zdecydowali się na wyjazd z Pińska. Pozostał tylko problem, jak tego dokonać praktycznie. Pociągi osobowe dawno już nie chodziły, trzeba będzie czepić się jakiegoś towarowego. A te przeważnie woziły niemieckie wojsko. Trzeba będzie dogadywać się z kolejarzami. I tak zapadła decyzja rodziców o wyjeździe.

Ojciec chodził teraz po robocie na kolejową stację i rozmawiał z kolejarzami o szansach czepienia się jakiegoś składu towarowego. Wypytywał, jak tam właściwie jest za Bugiem w Generalnej Guberni. Trudno mu było uwierzyć, że tam do tej pory nie obowiązuje nocne zaciemnienie. A zaopatrzenie ludności, jest nieporównywalnie lepsze jak na Polesiu.

Tam w Guberni również są bitwy z partyzantami, aresztowania i egzekucje. Gestapo też wszędzie węszy i mnożą się ofiary. W końcu nic dziwnego, to przecież ten sam okupant. Jednak tutaj na całych kresach wschodnich, ludność znosi cierpienia o wiele gorsze. Oni kolejarze jeżdżą i tu, i po Generalnej Guberni, to wiedzą najlepiej.

W Pińsku, każdy następny dzień zagęszczał przyfrontową atmosferę. Dziwne, ale Rosjanie w ostatnim czasie odpuścili sobie z nalotami. Już parę nocy pod rząd, spaliliśmy w domu. Wieczorami, kiedy przycichał uliczny hałas, gdzieś na wschód od Pińska, słychać było pomruki artyleryjskiej kanonady. Tam był front, tam ginęli ludzie.

Mój brat Stefan i ja musieliśmy wymyślać jakieś zajęcia, żeby nie rozchorować się z nudów. Skończyła się nam możliwość pożyczania gdziekolwiek książek, na czym głównie cierpiał Stefan. Wspólnym zabawom z okolicznymi gołębiarzami, rodzice byli przeciwni, ale i ja z bratem wielkiej ochoty na to nie mieliśmy. Oni mnie i Stefana wyraźnie mieli w niehonorowym miejscu, a na ulicy mijaliśmy się na pół wrogo, pół obojętnie.

Za to wbrew surowemu zakazowi rodziców, chodziliśmy na niedalekie skrzyżowanie z ulicą, wychodzącą na szosę do Brześcia. Na ulicy tej, panował potężny ruch. W jedną i drugą stronę, nieomal bez przerwy przetaczały się niemieckie wojska. Artyleria, samochody na kołach i gąsienicach, konne tabory, piesze oddziały, a nawet grupy żołnierzy na rowerach.

Na wschód ciągnęły wojska z wyglansowanym sprzętem. Armaty i samochody, zamaskowane były zawsze świeżo ściętymi gałęziami. Żołnierze jadący na samochodach, często śpiewali, ale ci, co szli na piechotę, milczeli.

Na zachód sunęły wojska zluzowane z frontu. Samochodów było niewiele, a te które jechały, były brudne, zabłocone, pokryte kurzem. Niektóre miały na sobie widoczne ślady uszkodzeń. Nie lepiej wyglądał tabor konny. Biedne, chude koniska z opuszczonymi łbami i zmierzwioną sierścią, były uosobieniem rezygnacji. Żołnierze wyglądali podobnie. Opaleni na czekoladę mieli zarośnięte twarze, zapadnięte policzki i oczy. Mundury były brudne, często podarte.

Piechurzy szli w porozrywanych szykach, każdy swoim sposobem. Jedni nieśli karabiny zawieszone na ramieniu, inni trzymając je za lufę, mieli zarzucone na ramię kolbą do tyłu. Hełmy były poprzypinane do plecaków, albo dyndały u pasa. Wielu żołnierzy nie miało żadnego ekwipunku poza karabinem, ładownicą i przeciwgazową maską. Sporo z nich było rannych. Mieli opatrunki na głowach, ręce na temblaku. Widocznie ci ciężej ranni i z ranami na nogach, jechali furgonami i nielicznymi samochodami.

Nad jakim takim porządkiem w spływie tego potoku ludzi, sprzętu i koni, czuwała regulując ruch polowa żandarmeria. W hełmach, z księżycowatymi blachami na piersiach i chorągiewkami w rękach. Wszyscy Feldżandarmi mieli ogromne pistolety, w długich drewnianych kaburach. Kiedy zobaczyłem taką broń po raz pierwszy, ojciec wyjaśnił mi, że z takiego pistoletu połączanego w całość z drewnianą kaburą, można strzelać jak z karabinku.

Parę razy w ciągu dnia, na jednym z rogów ulicy pojawiała się kilka młodych, ryżawych Niemek. Były ubrane w ciemne, jednakowe spódnice i żółtawe bluzki z jakimiś naszywkami na rękawach. Wszystkie one nosiły też jednakowe krawaty, a na ryżych koafiurach, miały furażerki z niemieckim orłem. Ciekawe, skąd się takie w Pińsku wzięły.

Tuż przy krawężniku chodnika stawiały spory, dwukołowy wózek. Załadowany był transporterami, w których były butelki z mineralną, czy sodową wodą. Niemki brały po parę butelek i wybiegały z nimi na jezdnię, rozdając je idącym tamtędy żołnierzom. Ci wypijali w marszu ich zawartość, a puste butelki stawiali na jezdni tuż przy krawężniku. Niemki biegały zbierając je i zносиły do wózka.

Czasami pińscy gawrosze zwani tu gołębiarzami, robili mały sabotaż. Wyskakiwali na jezdnię i wyprzedzając Niemki, sprzed nosa wychwytywali im pozostawione przez żołnierzy faszki. Zebrawszy naręcze, rzucali je na bruk, rozbijając w kawałeczki. Gołębiarze znający tu każdy zakamarek i każdą dziurę znikali błyskawicznie, jakby rozptywali się w powietrzu.

Umundurowane służki Führera, dostawały szafu. Bezskutecznie próbowały łapać chłopaków, jazgocząc na całą ulicę. Zdarzało się, że którąś Bertę czy Hildę poniosło tak dalece, że zaczynała płakać.

Kiedyś opowiedziałem mamie o wyczynach gołębiarzy i to bardzo ją zdenerwowało. Powiedziała mi, że przez swoją głupotę narażam się na wielkie niebezpieczeństwo. Skąd wiem, że nie mogę być posądzony przez Niemców, o należenie do paczki małych sabotażystów? To dobrze, jeżeli skończyłoby się na tegim laniu. Nie daj Boże, strach pomyśleć!

Argumenty mamy były przekonujące. Jak żywi, stanęli mi przed oczami telechańskie Chapuny, podatkowi poborcy z pejcami. Sam widziałem, jak na rejonowym podwórzu, wliczali dwadzieścia pięć razy w gołe tyłki Poleszuków.

Teraz długie kwadransy gapienia się na ruchy wojska, trzeba było czymś zastąpić. Zblazowany już samą myślą podjęcia tej czynności, czepiałem się

czytania po raz drugi tych samych książek. Podziwiałem Stefana, który robił wrażenie, że ponowne czytanie znanej mu treści, bardzo go interesuje.

Męcząc się ponownie nad „Trędowatą” Stefcia i jej nieszczęśliwym losem, nagle przypomniałem o podarunku, jaki dostałem kiedyś od Hansa. Był to scyzoryk z jednym ostrzem. Rękojeść miał metalową, w kształcie ryby. Na rybie widoczne były oczy, pyszczek, łuski, oraz złożone płetwy. Scyzoryk był duży i ciężki.

Uradowany pomysłem, zaraz przystąpiłem do czynu. Mam oto nóż, będę nim rzeźbił w drewnie. Widziałem parę razy, jak kiedyś robił to w Telechanach rzeźbiarz, pan Szpilfogieli. Uciekając przed Niemcami z Warszawy, zostawił w niej prawie wszystkie swoje rzeźbiarskie narzędzia. Kiedy mieszkał w Telechanach, rzeźbił dobrze wyostrzonym scyzorykiem. Pomyślałem sobie, czy ja muszę być gorszy?

Na podwórku leżało sporo drewna, które zimą służyło zapewne Ukraińcom do palenia w piecu. Była tam sosna, brzoza i ku mojej radości, znalazłem trochę osiki. Wiedziałem od pana Szpilfogiela, że osika doskonale nadaje się do rzeźbienia. Drewno to jest miękkie i nie ma włókien.

Zaraz na początku, rozwaliłem sobie dłoń ostrym, jak brzytwa nożem. Bliżnę mam do dzisiaj. Z dłonią obwiązaną lnianą szmatką, zaciekle drążyłem kawałek drewna, usiłując wydobyć z niego zamierzony kształt. Miała to być głowa rzymskiego konsula Cyclerona. Fotografię z płaskorzeźbą jego podobizny, widziałem w pożyczonej książce „Mówią wieki”. Dłubanina w drewnie zajęła mi kilka przedpołudni, ale ze swego dzieła byłem kontent.

Deseczka z płaskorzeźbą, była w naszym domu kilkadziesiąt lat. Przepadła gdzieś dopiero przy likwidacji mieszkania rodziców, po ich śmierci.

Chcąc pochwalić się swoim dziełem, wyniosłem je na podwórze po południu, kiedy na trawie wylegiwali się Ukraińcy. Niby to dłubiąc w drewnie, usiadłem między nimi.

– Ce ty wirizbi’u? – Ty to wyrzeźbiłeś? – Z zainteresowaniem zapytał kędzierzawy Mychajło. Wziął ode mnie deseczkę, z ciekawością jej się przyglądał. Półgłosem rozmawiał z pobratymcami.

– Ceż wiłykije diło, budesz na cim hroszy zaroblat’ – To duża sprawa, będziesz na tym zarabiał pieniądze – powiedział oddając mi Cyclerona.

Rozpierała mnie duma. Mychajło wydał mi się nagle niezwykle sympatyczny. Milszy, jak brat mój Stefan. On kiedy rzeźbiłem mówił, że mu śmieć pod nosem. A tu proszę, wielka sprawa!

Z kolei Petro spytał, czy potrafię wyrzeźbić konika. On ma małego synka, też Petra. Jak go Niemcy puszcza i wróci do domu, będzie miał hostyneć, znaczy podarunek dla swojego małego kozaczka.

Petro mówił, a ja w sobie pęczniałem z dumy. Jaki jestem ważny, mnie o coś proszą! I to obcy, dorośli ludzie. Poważnie kiwałem głową, przytakiwałem. Wyrzeźbię, oczywiście że wyrzeźbię. W tej chwili biorę się do roboty! Zaraz też poszedłem do sterty drzewa, wyszukać odpowiedni kawałek osiki.

Okazało się, że zadanie jest trudniejsze, jak sobie wyobrażałem. Cycon wykonany w płaskorzeźbie, to było ciastko do zjedzenia. Koń, to była pełna bryła i do tego skomplikowana. Szło mi to niezwykle mozolnie. Miałem tego po pierwszym dniu już dosyć. Ale było mi wstyd, nie mogłem przed Petrem zblążyć się. Pełen determinacji, dłubałem więc drewno milimetr po milimetrze. Niebawem z niekształtnego klocka, zaczął wyłaniać się zamierzony kształt. Ale do konia było mu jeszcze daleko.

Hans, który przyszedł do nas i obejrzawszy z zainteresowaniem mojego Cycona, tudzież zarys konia powiedział, że jestem Schnitzmeister, rzeźbiarski mistrz. To już mi całkiem przewróciło w głowie. Widziałem już siebie jako dorosłego człowieka, w swojej pracowni pełnej wspinających rzeźb. Jednocześnie przypomniałem sobie, że kiedyś czytałem książkę o jakimś rzeźbiarzu, w którego pracowni roilo się od pięknych modelek. Wtedy oczami wyobraźni, zobaczyłem w swojej pracowni Żeńkę w rozpiętej bluzce. Serce zabiło mi mocno, a po brzuchu zaczęły biegać słodkie mrówki.

Przyznać się muszę, że ta dziewczyna prześladowała mnie często i to szczególnie w nocnych widziadłach. Obrazki z udziałem więcej lub mniej podkaszanej Żeńki, nawiedzały mnie we śnie dosyć często. Śniły mi się też jakieś nieznanne na jawie golaski, w obiecujących pozach. Te senne mary, były zawsze przerywane gwałtownym wybudzeniem się ze snu. Wtedy odczuwałem lekki żal, że sen urwał się tak nieoczekiwanie i to w najciekawszym momencie. No cóż, widocznie czar Żeńki, przyspieszył rozwój mojego samczyka.

Raz do odmiany, przyśniła mi się ciotka Mania, w długich za kolana barchanowych majtadałach. Kiedyś dawno temu, w Telechanach zobaczyłem ciotkę w takim stroju, kiedy niespodziewanie wtargnąłem do sypialni wujostwa. Wyskoczyłem z niej jeszcze szybciej jak tam wpadłem, ścigany słowami ciotki o moim bolszewickim charakterku.

Wyrwany ze snu w środku nocy, tym razem nic a nic nie żałowałem, że ten sen się skończył. Musiał on jednak coś oznaczać, bo rano po śniadaniu mama zapytała mnie, czy pójdę z nią do wujostwa. Właśnie tam się wybiera. Dla urozmaicenia dnia, natychmiast zgodziłem się. Ponadto ucieszyłem się na spotkanie z Mureczką.

Szliśmy przez miasto pełne wojska, samochodów i furgonów. Będąc już na ulicy Kolejowej, widzieliśmy po drugiej stronie torów, gdzie stał dom pani Bemowej, sznur jadących samochodów załadowanych belami siana. A więc baza, w której pracował ojciec, już zaczęła się ewakuować.

W domu państwa Szpudejków, zastaliśmy przy dużym okrągłym stole siedzące ciotkę Manię i panią Szpudejkową. Jej mąż i wuj, krążyli po pokoju z rękami założonymi na plecy. Mureczka siedziała w kącie pokoju na kozetce.

Ciotka Mania nie poprosiła, a rozkazała mamie usiąść przy stole. Ja zaś czując się mężczyzną, przyłączyłem się do wuja i pana Szpudejki. Zacząłem jak oni krążyć po pokoju, z rękami na plecach.

– A ty się tutaj nie kręć! Bożże, co to za chłopiec! – Ciotka uniosła pobożnie oczy w kierunku sufitu.

– A ty się od niego odczep! – Fuknął wuj i od razu bardziej go polubiłem.
– Bogdanek, chodź, usiądź koło mnie – aksamitnym głosem zaczęła Mureczka. Była ciepła i pachniała rumiankiem.

W pokoju panowała nerwowa atmosfera. Dyskusja obracała się wokół jednego tematu, należy wyjechać z Pińska, czy w nim pozostać. Pan Szpudejko był przeciwnikiem wyjazdu. On jest Pińczuk z dziada pradziada. Rosjanin. Majątku żadnego, poza tą chałupką nie posiada. A i to nie on dom wystawił, tylko jego dziad jeszcze. Do czego więc NKWD może przyczepić się? No to oni zostają. Jeśli wyjadą, Bóg jedyny wie, jaki los im Niemcy wyszykują. I do tego stracą dom, a w nim dorobek całego życia. Zostają.

Z wujostwem sprawa była bardziej skomplikowana. Ciotka nie wyobrażała sobie, że może znowu wpaść do łap bolszewickiej władzy, a dorobek jej życia szlag już trafił.

– W końcu ja to ja – dzieliła się swoją troską ze Szpudejkami – ale co ze Stiopą, mężem moim znaczy. Toż on ostatnio w Telechanach jak wiecie był burmistrzem. Nie z własnej woli, z przymusu, ale był. I co z tego, że nie chciał. Niemiec kazał i już. I nie było tutaj żadnego ale, ale. Powiedzieli mu wyraźnie, co woli, tego burmistrza, czy kulę w łeb. Stiopa ludziom zawsze pomagał, nikomu nie zaszkodził. Ale czy to dla Bolszewików ma jakieś znaczenie? Zaraz będzie, że służył Niemcom.

Już teraz, ten kryminalista przedwojenny Dziechciaryk oblizuje się za Stiopą, a co będzie przy Bolszewikach? Przyjezdni ludzie z Telechan, nieraz wspominali tego Dziechciaryka. Podobno ten drań bardzo żałował, że nie może spotkać się z moim mężem. Podobno ciągle powtarzał, że mój Stiopa, to zdrajca! A, cholera z nim. Komu tu dzisiaj można wierzyć? Niemcom tak samo nie! Co oni wyrabiają! Kto ludzi morduje, kto wsie popalił? Co robić, co robić, ojej, ojej...

Choć ciotka miała rację, ja miałem dość słuchania jej wywodów. Cichutko opuściłem miejsce przy Mureczce i poszedłem do drugiego pokoju. Tam na kanapie siedziały obie Szpudejkówny, coś szydełkując. Były to rozkapryszone pannice, w wieku przed dwudziestką. Zapytałem, czy chciałyby pożyczyć mi coś do czytania. Okazało się, że panienki są bardzo uprzejme. Nawet uśmiechały się do mnie.

– Ależ oczywiście, książki są tu, na etażerce. Proszę sobie coś wybrać. Ile zechcesz.

Grzebiąc w książkach, z ukosa przyglądałem się grubym, ciasno ze sobą splecionym udom jednej z panienek, której szlafrok szeroko rozchylił się. Hm, niby kobiece, ale takie jakies jak ciasto. To nie Żeńka, bardziej pasuje tu ciotka Mania.

Dyskusja w sąsiednim pokoju, trwała jeszcze dobre pół godziny. Stanęło na tym, że skoro mamy wyjechać, to będziemy z wujostwem trzymać się razem.

Wreszcie wyszedłem z mamą na ulicę. Pod pachą niosłem książkę, której tytuł najbardziej mi się spodobał. „Quo vadis” Sienkiewicza. Musi być ciekawa. Trylogia, którą przeczytałem całą jeszcze w Telechanach, bardzo mi się podobała.

Kiedy po południu ojciec przyszedł z roboty powiedział, że lada dzień baza zostanie całkowicie zlikwidowana. Zaraz wyrwałem się, że widziałem jak wiozą samochodami siano. Rodzice nawet nie zwrócili na to uwagi. Urażony wyszedłem na podwórze, wydłubywać z osikowego klocka Petrowego konika. Z każdym dniem szło mi lepiej. Konik miał już w zarysie głowę, szyję i grzbiet. Najwięcej roboty, zapewne będę miał z jego nogami i ogonem.

Twórczą pracę przerwali mi Ukraińcy, którzy znów zdobyli gdzieś samogon. Wróciłem do domu i utonąłem w pierwszych stronicach „Quo vadis”.

Tę noc znów spędziliśmy w okopie, bo kukuruźniki grasowały nad miastem.

Kiedy zaczęło świtać, wróciliśmy do domu. Ojciec nastawił budzik na godzinę piątą, po czym położył się w ubraniu, żeby jeszcze trochę pospać.

Mnie plotły się jakieś majaki. Spałem tak długo, aż mama zbudziła mnie, abym nareszcie zjadł śniadanie. Mój brat zatopiony był w książce, którą wczoraj pożyczyłem.

Nagle rozległa się potężna, głucha detonacja. Zadzwończyły szyby w oknach. Zerwałem się z krzesła.

– Mamusiu, bombardują! – Krzyknąłem, zanim cokolwiek pomyślałem.

– Nie ogłosili alarmu - logicznie powiedział Stefan.

– Dzieci, spokojnie – mama była zdenerwowana, ale panowała nad sobą – chodźcie na podwórze, bliżej okopu...

Dalsze słowa, wcisnął mamie w gardło grzmot następnego wybuchu. Popychając nas przed sobą, wybiegła na podwórze z otwartymi ustami. Tam zobaczyliśmy, że na środku ulicy stoi grupka ludzi. Wszyscy patrzyli z zadartymi głowami, w tym samym kierunku. Nam ten widok, zasłaniała ściana domu.

Od strony, w którą gapili się ludzie na ulicy, znowu rozległa się potężna eksplozja. Nogi same poniosły mnie na ulicę. Za mną podążył Stefan.

W oddali nad dachami domów, unosiła się chmura czarnego dymu.

Rozległ się nowy grzmot wybuchu, w górze zakotłowała się czarnymi bałwanami następna chmura.

– To tak jakby w koszarach – powiedział po rosyjsku starszy człowiek w workowatych spodniach.

– Chyba macie rację, co oni tam robią, ha? – Odezwał się ktoś inny.

– A może wysadzają koszary przed ucieczką? – Powiedział jakiś domyslny gołębiarz.

– Boże, to Niemcy popsuliby koszary? – Dziwowała się jakaś baba w długim, brudnym fartuchu. Na rękę trzymała może roczne dziecko. Miało ono na głowie nie wiedzieć czemu grubą wełnianą czapkę, a pod nosem dwie zielone świeczki smarków.

Wybuchów było jeszcze kilka. Ludzie utwierdzili się w przekonaniu, że to Niemcy wysadzają koszary. To znaczy, że już „więcej” z Pińska.

Aż mnie swędziało, żeby tam pójść, zobaczyć. Mama jednak czytając jakoś w mojej głowie, surowo mi tego zabroniła.

Moja siostra po przyjściu z roboty powiedziała, że pracować będzie jeszcze tylko jutro. Piekarnia pakuje się i wyjeżdża gdzieś dalej na zachód. Parę razy głośno wyrażała swoje zmartwienie, że już nie będzie przynosić przydziałowego chleba. Mama odpowiedziała jej, że jest głuptasek. Przecież pracowała nie dla bochenka przydziałowego chleba, a dla własnego bezpieczeństwa przed wywózką do Niemiec.

Przed wieczorem przyszedł do nas Hans. Przytasczył dużą torbę z prezentami na pożegnanie. W torbie były konserwy, smalec, a nawet mała torbka z cukierkami. Potem Hans przepaszając mamę, wyciągnął z kieszeni niewielką butelkę niemieckiej wódki. Powiedział, że pragnie wypić po kieliszku ze swoimi przyjaciółmi. W kasynie ten Schnaps wychlaliłby oficerowie, więc ukradł go bez wyrzutów sumienia.

– Jesteście dla mnie jak prawdziwa rodzina – powiedział łamiącym się głosem. Był wyraźnie wzruszony.

W domu nie było kieliszków. Wódka została wlana do jedynej szklanki i do kubków.

– Obyśmy się spotkali po wojnie żywi i zdrowi – powiedział Hans.

Rodzice jego życzenie powtórzyli. Potem ojciec i Hans wypili wódkę, a mama i Mundzia umoczyły wargi.

Byłem urażony, że ja ze Stefanem nie dostaliśmy ani kropelki wódki. Swoim oburzeniem podzieliłem się z bratem. Ten spojrzał na mnie z pogardą i powiedział, że mam zadatki na pijaczykę.

Hans siedział u nas długo. Żegnał się z mamą i ojcem parokrotnie. Przy każdym pożegnaniu, zachowywał tę samą kolejność, najpierw żegnał się z ojcem, potem z mamą, Mundzią, moim bratem, a na końcu ze mną. Hans jeszcze dodatkowo Stefanowi i mnie, rozcapierzoną dłonią czochrał włosy. Po każdym takim pożegnaniu, znów siadał na krześle. Wyraźnie, było mu ciężko rozstać się. Przy ostatnim pożegnaniu zapytał ojca, czy żegnając się z Mundzią, może pocałować ją w policzek. Ojciec odpowiadał, że to jej decyzja. Mundzia zrobiła się czerwona jak pionierski krawat i choć z wahaniem, policzek Halsowi nadstawiała. Ten, stojąc już w drzwiach, jeszcze odwrócił się do nas.

– Niech was dobry Bóg ma w opiece – powiedział płaczliwie. Wtedy mama nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Kiedy Hans zniknął za drzwiami, na zawsze zniknął z życia naszej rodziny. Ciekawe, jak potoczyły się dalsze losy pocziwego Nadreńczyka.

ROZDZIAŁ 12

Następnego dnia, Mundzia przysłała z roboty jeszcze przed południem. W torbie przyniosła kilka bochenków ciepłego jeszcze chleba, z ostatniego wypieku. Szef piekarni powiedział, żeby kobiety wzięły sobie „viel Brot”, dużo chleba.

W godzinę po powrocie siostry do domu, zawyły syreny. Nie zdążyły umilknąć, jak zadudniła przeciwlotnicza artyleria. Rzuciliśmy się w stronę okopu. Nie dobiegliśmy jeszcze do niego, kiedy nisko nad naszymi głowami, z rykiem silników przeleciało kilka samolotów. Na skrzydłach miały czerwone gwiazdy. Usłyszeliśmy, jak terkocą ich maszynowe karabiny.

Samoloty powracały nad miasto kilkakrotnie, ostrzeliwując jakieś obiekty. Odszczekiwała się im palba z ziemi. Domyśliliśmy się, że Rosjanie ostrzeliwiają niemieckie wojska na szosie. Po jakimś czasie, wszystko ucichło. Niepewnie wracaliśmy z okopu do domu.

Dzień po nalocie sowieckich szturmowców, ojciec jak zwykle poszedł rano do roboty, ale już po kilku godzinach, był z powrotem w domu. Powiedział, że baza, w której pracował, już nie istnieje. Co prawda większość siana i słomy były już wcześniej wywiezione, ale wydawano jeszcze pozostałe zapasy. Dzisiaj rano komendant powiedział, że z bazą schluss, koniec. Ojciec był niezwykłe zaskoczony zachowaniem komendanta. Kiedy ten zawiadomił już robotników bazy o jej likwidacji, podszedł do ojca i uściśnął mu rękę.

– Sei gesund, Sztaniyszlauf – bądź zdrow Stanisław – Jak zwykle przekreślił imię ojca.

Ojciec wychodząc z innymi robotnikami z terenu bazy zobaczył, jak komendant z własowcami ze służby wartowniczej podpalali pozostałe pryzmy siana i słomy. To może oznaczać tylko jedno. Niemcy wieją z Pińska i jest im pilno. To przypuszczenie, potwierdzał jeszcze inny fakt. Ojciec chodząc do pracy wzdłuż pola, na którym Niemcy budowali lotnisko, od kilku już dni nie widział ani robotników, ani walców ubijających ziemię. To niewątpliwie oznaczało, że Niemcy zrezygnowali z jego budowy.

A więc, Rosjanie są tuż, tuż. Nie wiadomo tylko, będą Niemcy bronić miasta, czy oddadzą je bez walki.

Dla naszej rodziny to oznaczało jedno. Najwyższy czas na wyjazd z Pińska. Rodzice postanowili, że mama zaraz pójdzie do wujostwa, a ojciec na kolejową stację. Oczywiście oboje w tej samej sprawie, sprawie wyjazdu z Pińska.

Po powrocie do domu mama powiedziała, że na wieść o rychłym wyjeździe, ciotka Mania bardzo się zdenerwowała. Płakała i zawodziła. Dobrze, że jest tam Mureczka. Ona tak umie uspokoić każde nerwy.

Ojciec też przyniósł ze stacji wiadomości. Spotkał jednego z poznanych wcześniej kolejarzy. Ten powiedział, że ludzie wyjeżdżają codziennie. Do Generalnej Guberni często jadą puste pociągi, które przedtem zawiozły na front wojsko i sprzęt. Teraz po prostu trzeba być na stacji i czekać na taką okazję. Ojciec widział na stacji koczujących ludzi.

Po południu, Rosjanie dokonali błyskawicznego nalotu na Pińsk. Celem ataku była stacja kolejowa. Wydawało się, że samoloty lecą tuż nad dachami domów. Siekły cele z karabinów maszynowych. Znikały na niebie za miastem i wracały. Piekło zaczynało się od początku. Niemcy ostrzeliwali napastników, ale bez widocznych rezultatów.

Po kilku minutach, było już po wszystkim. Nad miastem zapanowała cisza.

W tym całym zamieszaniu, jakie przyniósł ten dzień, dopiero nad wieczorem spostrzegliśmy, że nie ma już naszych sąsiadów Ukraińców. Wynieśli się razem ze swoim niemieckim Żorżem cicho i nie wiadomo kiedy. Nawet drzwi do ich kwatery pozostały szeroko otwarte.

Pomyślałem z żalem, że kiedy Petro wróci po wojnie do domu, jego mały synek nie dostanie prezentu w postaci wyrzeźbionego przeze mnie konika.

Patrzyłem na wyłaniającą się z drewnianego klocka sylwetkę konika i całkowicie straciłem ochotę do dalszego rzeźbienia.

Następnego dnia raniutko, pojawili się u nas wujostwo. Wuj i Mureczka uginali się pod ciężarem niesionych przez siebie tobołów, ciotka Mania przelewała się z nogi na nogę z niewielką torbą w ręku.

Nasze rzeczy były już spakowane i każde z nas miało przydzielony do niesienia swój bagaż. Jedynie rzeczy Mundzi zostały podzielone między Stefana i mnie, bo jej przypadło w udziale dźwiganie główki maszyny do szycia.

Przed wyjściem z domu mama uklękła, a za nią pozostałe kobiety. Głośno odmówiły modlitwę, w której prosiły Boga o opiekę nad ich rodzinami. Wyruszają oto w drogę, której końca nikt nie zna. Oby dotarli tam wszyscy, cali i zdrowi. Potem każde wzięło swój toboł i wyruszyliśmy w drogę do stacji kolejowej.

Droga była mozolna, wielokrotnie robiliśmy przystanki odpoczywając. Szliśmy przez miasto rojące się od wojska pieszego i na różnorakich pojazdach. Na skrzyżowaniach ulic, stali żandarmi z rogalikowatymi blachami na piersiach i chorągiewkami w rękach. Regulowali przepływem tego potoku ludzi i sprzętu. Przechodząc jedno z ulicznych skrzyżowań zauważyłem, że nie ma już na nim ryżych Niemek, rozdających żołnierzom butelki z wodą do picia. Zapewne przeniesiono je z Pińska gdzie indziej.

Żołnierze chrzęszcząc gwoździemi podkutych butów po kocich łbach jezdni, szli spoceni, w rozmamłanych mundurach. Gorące, pełne kurzu powietrze ulicy, przesycone było smrodem brudnych ludzkich ciał i przepoconych ubrań. Brzegiem jezdni sunęło wolno kilka furgonów, ciągnionych przez mokre od potu konie. Zwierzęta były zabiedzone, szły z opuszczonymi nisko łbami. Przez bezładny ludzki strumień i taborowe wozy, z trudem przedzierały się z rzadka ciężarówky. Pozostawiały za sobą welon czarnego, cuchnącego dymu.

Nagle w uliczny zgiełk wdarł się chrapliwy, zawodzący jęk syreny lotniczego alarmu. Niemal jednocześnie, zdawało się, że tuż nad dachami przemknęło rycząc silnikami kilka samolotów z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Po momencie, zniknęły gdzieś za dachami domów.

Luźne szyki wojska skłębily się. Jezdnia zaczęła błyskawicznie pustoszeć. Żołnierze znikali w bramach domów i podwórkach, przywierali do ścian budynków. Na ulicy pozostały tylko porzucone w alarmowej gorączce ciężarówki i furgony z przylepionymi do nich woźnicami.

– Dzieci, trzymajmy się razem! – Przytomnie krzyknęła mama.

– Tutaj, na podwórzu! – Nieswoim głosem zawołał ojciec.

– Na podwórzu! – Dyszkanem krzyknął wuj.

Przez na wpół otwartą w płocie bramę, wpadliśmy na jakieś obszerne podwórzu. Z dwóch stron otaczały je ściany budynku, pozostałe zamykał wysoki, drewniany płot z desek.

Z nadspodziewaną siłą, mama przygniotła mnie do ziemi tuż przy ścianie domu i przykryła własnym ciałem. Obok tulili się do ziemi brat z siostrą.

Znow śmignęły nad nami samoloty, siekąc z karabinów maszynowych. Zaklaskały gdzieś kule, posypało się szkło. Niemcy odpowiadali chaotycznym, gorączkowym ogniem. Strzelali z karabinów i automatów. Jakiś oficer przycupnięty pod płotem, pykał do przelatujących samolotów z pistoletu. Gdzieś niedaleko, na ulicy grzechotał karabin maszynowy.

Mama przygniatając mnie do ziemi, głośno modliła się roztrzęsionym głosem. Dziwne, ale nie odczuwałem strachu, zapewne nie zdawałem sobie sprawy z grozy sytuacji. Zerkając spod przygniatającego mnie ciała mamy zobaczyłem nagle coś, co wywołało u mnie wybuch śmiechu. Od bramy, w kierunku stojącego w kącie podwórza wychodka, cwałowała ciotka Mania. Ten cwał, to był jakiś kaczy galop. Za nią biegła Mureczka, coś krzycząc. Strzelanina zagłuszała jej słowa. Chwytając ciotkę za rękaw sukienki, bezskutecznie usiłowała pociągnąć ją pod ścianę budynku. Ciotka z niespodziewaną zwinnością wywinęła się z rozpaczliwego chwytu Mureczki i wskoczyła do wychodka, zatrzaskując za sobą drzwi. Mureczka zastukała w nie oburącz. Widziałem jej twarz. Płakała. Bezradnie rozejrzała się po podwórzu.

W tym momencie, znowu nadleciały samoloty i wybuchła huraganowa strzelanina. Dziewczyna kucnęła pod drzwiami wychodka i przykryła głowę dłońmi.

Jeden z samolotów śmignął tuż nad podwórzem. Ryk silnika przydusił mnie do ziemi. Kątem oka zobaczyłem na skrzydle maszyny błyski ogieńków karabinu maszynowego. Z dachu budynku, do którego ściany tuliliśmy się, posypały się skorupy potrzaskanych dachówek. To mnie przestraszyło. Wtuliłem się w mamę, jak mogłem najmocniej.

– Nu, tuż nasza mogiła – powiedział jakiś człowiek, który dopiero teraz wpadł na podwórzu z ulicy i kucnął obok nas pod ścianą. Poczułem, że silnie cuchnie on machorkowym tytoniem.

Samoloty znów nadleciały i wybuchła wściekła palba. Po chwili zapano-
wała głęboka cisza.

– Hiilfee... hiilfee ... – ratunkuu... – doleciało z ulicy od strony bramy. Płacz-
liwy, jakby chłopięcy zawodzący głos, natychmiast skojarzył mi się z marco-
wym miauczeniem kota.

Samoloty już nie nadlatywały. Ucisk maminego ciała zelżał. Zacząłem
spod niej wyłazić, stanąłem na nogi. Teraz dopiero zobaczyłem, że na po-
dwórzu jest mnóstwo niemieckich żołnierzy, którzy oblepiali ściany budyn-
ku i płot. Teraz otrzepywali mundury, rozglądali się za porzuconymi rzecz-
mi niepewnie zerkali w górę.

– Mamuś, otwórz! – usłyszałem płaczliwy głos Mureczki.

– Zostaw ją, sama wyjdzie – powiedział wuj podchodząc do córki.

Mama, ojciec i Mundzia z bratem, zaczęli zbierać nasze porozrzucane to-
bołki. Mundzia głośno wyraziła obawę, czy porzuconej na ziemi główce ma-
szyny do szycia, nic się nie stało.

– Dziecko, co tam maszyna, dziękujemy Panu Bogu, że jesteśmy żywi
i cali – powiedziała mama.

Skrzypnęły drzwi od wychodka. Ciotka Mania stojąc w otwartych
drzwiach, niepewnie zerkła na niebo. Po chwili wahania, wyszła na po-
dwórce. Bezradnie rozejrzała się po nim i nagle głośno rozpłakała. Mureczka
objęła ją oburącz i przytuliła do siebie.

– Dosyć babskich spazmów! Zbierajcie się idziemy – twardo powiedział
wuj. Jego głos był szorstki, nieprzyjemny. Musiało to jakoś podzielać na ciot-
kę, bo jej płacz nagle ustał. Parę razy siorbnęła nosem i rzeczowo zapytała:

– A rzeczy nasze, to są?

– Zabieraj się stąd, idziemy! – Zawarczał wuj. Mureczka milcząc, zbierała
rzeczy.

Po chwili wyszliśmy na ulicę. Tuż przy bramie, na chodniku zobaczyłem nie-
wielką kałużę krwi, która kropelkową ścieżką prowadziła do furgonu stojącego
na jezdni. Czterej żołnierze układali w nim rannego, który wciąż miauczącym
głosem prosił o ratunek. Ranny żołnierz był młodym chłopcem, o zupełnie dzie-
cięcej twarzy. Zdażyłem zauważyć, że jedną nogawkę spodni ma rozdartą i za-
krwawioną. Obok furgonu stał żołnierz woźnica. Oburącz trzymał napięte lejce
końskiej uprzęży. Te wciąż były jeszcze niespokojne. Potrząsały łbami, parskały,
tuliły uszy i przebierały w miejscu nogami, klaskając podkownikami o bruk.

W zasięgu wzroku, na ulicy leżało kilka nieruchomych ciał. Żołnierze
zbierali je i znosili na chodniki. Wśród żołnierzy zauważyłem sanitariuszy.
Przez chwilę poczułem się źle. Było mi jakoś słabo. Pośpiesznie poszukałem
maminej ręki i mocno ją ścisnąłem. Pomogło.

Zahamowany nagłym nalotem strumień pieszych żołnierzy i pojazdów,
powoli formował się ponownie i zaczynał płynąć ulicą. Szliśmy chodnikiem
z kierunkiem tego strumienia jeszcze czas jakiś, po czym skręciliśmy w bocz-
ną ulicę, w stronę dworca. Po kwadransie, zziębnięci upałem i ciężarem niesio-
nych rzeczy, zbliżaliśmy się już do celu.

ROZDZIAŁ 13

Kiedy dotarliśmy wreszcie do stacji, niespodziewanie spotkaliśmy na niej panią Bemową z Pawełkiem. Powitanie było smutne, ale bardzo serdeczne. Pani Bemowa siedziała na walizce, w cieniu budynku dworca. Czekala na Kokę, która miała zjawić się tutaj z najętymi ludźmi, niosącymi ich rzeczy. Była bardzo przygnębiona. Najbardziej męczyła ją myśl o losie małego Pawełka, który teraz świetnie bawił się obserwacją rozgardiaszu panującego na stacji.

Rozmowę ze starszą panią, przerwało nadejście ojca z jakimś kolejarzem. Ten miał zaczerwienione oczy, a twarz pokrywał mu kilkudniowy zarost.

– Dawaj poszli, pоторopities – idziemy, pośpieszcie się – burknął.

Mama i Mundzia pośpiesznie ucałowały panią Bemową i Pawełka. Gorączkowo wymienili pomiędzy sobą jakieś zdania. I jeszcze smutne uśmiechy. Pożegnalne kiwnięcia dłońmi.

Chwyciliśmy swoje bagaże i podążyliśmy za nieogolonym kolejarzem. Przecinaliśmy rzędy kolejowych szyn, oddalając się od dworcowego budynku. Kilkakrotnie musieliśmy pokonywać przeszkody, w postaci zagradzających nam drogę towarowych składów. Przechodziliśmy na drugą stronę pociągu po buforach wagonów, pomagając sobie wzajemnie w przeniesieniu bagaży.

Jak zawsze, kłopot był z ciotką Manią. Przejście na drugą stronę wagonu po buforach, okazało się dla niej niewykonalne. Mama i Mureczka przepychały więc ciotkę pod buforami wagonów w pozycji kucznej, a ona pełzła tamtędy na czworakach. Przy tym ciotka sapała, złorzeczyła losowi, Niemcom, bolszewikom i temu, co wymyślił takie wagony.

Wskazany przez kolejarza pociąg, stał na jednym z najbardziej oddalonych od dworca torów. W jego składzie był jeden wagon osobowy, kilkanaście krytych towarowych i mnóstwo platform. Na torowisku wzdłuż pociągu i w krytych wagonach, kręcili się jacyś ludzie. Na kilku platformach stały uwiązane czyjeś krowy i kozy. Pomiędzy nimi leżały sterty siana i słomy.

– Iszczenie miasta w lubom wagonie – szukajcie sobie miejsca w dowolnym wagonie - odezwał się milczący przez całą drogę kolejarz. Odwrócił się i bez słowa poszedł w kierunku dworca.

A więc, tutaj mamy znaleźć sobie miejsce w dowolnym wagonie. Ojciec powiedział, że trzeba rozejrzeć się po wagonach, aby trafić pomiędzy jakichś przyzwoitych ludzi. Wuj przytaknął i obaj poszli wzdłuż pociągu. Niebawem wrócili z wiadomością, że wybrali już wagon. Zajmowało go kilka rodzin. Wszyscy przyjęli nas tam bardzo życzliwie. Wskazali na kawałku podłogi wolne miejsce i powiedzieli, gdzie w pobliżu jest studnia, żeby zaopatrzyć się w wodę.

Teraz oprócz naszych dwóch rodzin, w wagonie było jeszcze kilka małżeństw w różnym wieku. Większość ich córek i synów to byli już dorośli ludzie. Z dzieci oprócz mnie i brata, byli jeszcze dwaj chłopcy, mniej więcej w wieku Stefana. Rysio zaraz przypiął się do nas, natomiast Karolek siedział niemrawy na jakichś tobołkach. W jednym z kątów wagonu, siedziała na fotelu na kółkach, maleńka zgrzybiała staruszka. Przy niej kręciła się niewysoka, szczupłutka kobieta. Niebawem wiedziałem, że nazywa się pani Lodzia.

Zbliżało się południe i duchota niemal wszystkich wygnała na świeże powietrze. W naszym wagonie pozostali tylko pan Kawun o jajowatej tysej głowie i pani Lodzia z matką.

Mama zabroniła bratu i mnie oddalać się gdziekolwiek, ale wokół pociągu działo się zbyt wiele, żeby zakazowi temu być całkowicie posłusznym. Zaraz też przyłączył się do nas Rysio, a markotnego Karolka także udało się nam wyciągnąć na torowisko, gdzie było sporo ludzi i panował gwar. Rozmowy toczyły się tutaj zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim.

Łaziliśmy w czwórkę po torowisku, w tłumie przyszlých współtowarzyszy podróży. Patrząc na tych ludzi zadałem sobie pytanie, jakie przyczyny wywołały u nich obawę przed nadciągającą bolszewicką władzą. Nie było wątpliwości, że podczas sowieckiej okupacji, większość ich rodzin doznała nieuleczalnych ran ze strony aparatu czerwonego terroru, który aresztował lub wysyłał na Sybir ich ojców, mężów i braci. Przypomniała mi się też niemiecka ulotka, o sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Absurdalną winą tych ludzi względem Bolszewików mógł być również fakt, że chcąc przetrwać niemiecką okupację musieli podczas niej pracować. A więc, według mniemania enkawudzystów służyli faszystom!

Jednak chodząc wzdłuż pociągu wśród ludzi niewyróżniających się niczym szczególnym, rzucała się w oczy nieliczna grupka typów, których z daleka czuć było kryminałem. Trzymali się razem i półgłosem rozmawiali ze sobą pińskim knajackim językiem. Spod naciągniętych głęboko na czoła czapek, podejrzliwie lustrowali otoczenie. Tutaj nie było wątpliwości, że ci wieją przed Bolszewikami, mając łapy ubrudzone kryminalną współpracą z niemieckim okupantem. Do tego towarzystwa należało jeszcze dorzucić paru czarnych policjantów, którzy ze swoimi rodzinami ulokowali się w jednym wagonie.

Była jeszcze grupka panienek, które bez wątpienia były niemieckimi łózkowymi kolaboracjonistkami. Te kręciły tyłkami przed żołnierzami, którzy zajmowali w pociągu osobowy wagon. Tych kilkunastu oficerów i podoficerów, drastycznie różniło się wyglądem od swoich frontowych kamratów, którzy w ostatnim czasie przewalali się przez Pińsk. Ci tutaj mieli wypasione pyski i zaokrąglone brzuchy. Gładko leżały na nich mundury i świeciły się wyglancowane buty. Byli to dekownicy jakiegoś kwatermistrzostwa, czy wojskowej firmy.

Chwilowy popłoch wywołało doczepienie do wagonów lokomotywy. Ludzie zaczęli pośpiesznie wsiadać do pociągu, ale zaraz ktoś krzyknął, a za nim

powtórzyło to wiele osób, że odjazdu nie będzie. Wiedzieli o tym widocznie niemieccy żołnierze z osobowego wagonu, bo na podstawienie parowozu nie zwrócili najmniejszej uwagi. Stali na torowisku z rękoma w kieszeniach i głośno rechotali, prowadząc jakieś niemiecko-polsko-rosyjskie rozmowy z kilkoma mizdrzącymi się panienkami, uczesanyymi w loczki według niemieckiej mody.

Przedpołudniowe słońce zalewało ziemię obezwładniającym żarem. Rozgrzane kolejowe podkłady na torowisku wydzielały ostry, drażniący zapach smoły, którą były nasycone. Nad łąkami za stacją, drżało gorące powietrze.

Ludzie szukali cienia, zbierali się w nim gromadkami. Mężczyźni pościągali marynarki, porozpinali koszule. Najbardziej cierpiały z powodu upału tłuste kobiety. Te nie miały nic do zrzucenia z odzieży. Z czerwonymi, spocnymi twarzami, przylepionymi do cielsk bluzkami i sukienkami, były istnymi męczennicami upalnego dnia.

Nam chłopcom, upał nie dokuczał tak jak dorosłym. W krótkich spodenkach i porozpinanych koszulach, szwendaliśmy się wzdłuż pociągu. Łaząc odkryliśmy, że jest tutaj kilka znajomych rodzin, a wśród nich Daszkiewiczowie. Oczywiście, te wiadomości od razu zanosiliśmy rodzicom. Mama spytała, czy nie widzieliśmy pani Bemowej z Koką i Pawełkiem. Ich niestety w pociągu nie było. Widocznie coś je zatrzymało jeszcze na stacji.

Kręcąc się przy pociągu, zostałem za swoje wszędobylskie ciągoty dotkliwie ukarany. Nie sam, bo wciągnąłem w to jeszcze nowego kolegę Rysia. Mianowicie strzeliło mi głowy namówić go, abyśmy wdrapali się na platformę, gdzie stało uwiązanych kilka czyichś krów. Platforma była grubo zasłana słomą, na której leżała jakaś derka. Ułożyliśmy się na niej z Rysiem, wystawiając pyszczki do słońca. Niebawem dopiekło ono nam zbyt mocno i wynieśliśmy się na torowisko.

Nie upłynęło parę minut, jak zaczęliśmy się zaciekle drapać. Swędziały nas piersi, boki, ale głównie plecy. To było wręcz nieznośne. Nie pozostało nam nic innego, jak szukać ratunku u swoich mam. Te z przerażeniem stwierdziły, że po nas łążą wszy, które musieliśmy kupić wylegując się na derce jakiegoś niechluj.

Rodzicielki zawlokły nas w krzaki rosnące poza torami, gdzie rozebrani do naga przyglądaliśmy się, jak krwiożercze weszki tracą życie, trzaskając między paznokciami naszych mam. Nie omieszkalem pytania, skąd mama wie, że to się tak robi. Dowiedziałem się wtedy, że podczas pierwszej światowej wojny w czasie ucieczki przed frontem, walka z wszami była zajęciem codziennym.

Po skrupulatnym przeszukaniu wszystkich zakamarków naszych ubrań, cała czwórka odetchnęła z ulgą. Ja i Rysio przyjęliśmy instruktą, aby natychmiast meldować o jakimkolwiek swędzeniu ciała. Ale pogrom napastliwych żyjatek okazał się na tyle skuteczny, iż żadne z nich nie uszło z życiem.

Kiedy operacja ta dobiegła końca i wróciliśmy do pociągu, ludzie zaczęli już przygotowywać posiłki. Obok toru rozpalali ognie, na których przyrzą-

dzali jakieś potrawy. Nasza mama również ugotowała na niewielkim ognieku rondel zupy. Dla nas i dla wujostwa. Obezwładniona upałem ciotka Mania siedziała w cieniu na jakimś pieńku i nie wykazywała żadnej życiowej aktywności. Zapowiedziała, że gotować nie będzie i jeść również.

Mama zaczęła nalewać kartoflanek do misek, kiedy powietrze nagle za-falowało w rytm alarmowej syreny na stacji. Zawtórowały jej inne, gdzieś w mieście. Nalot!

Ludzie w panice zgarniali swoje dzieci i pokonując przeszkodę w postaci wagonowych platform na sąsiednim torze, pędzili na łeb, na szyję w pobliskie chaszcze za torowiskiem.

– Dzieci, trzymajmy się razem! – Krzyknęła mama chwytając mnie za rękę. Dobiegaliśmy do wagonów odgradzających nas od krzaczastych łoż, kiedy ktoś za nami rozdzierająco krzyknął, że nasz pociąg odjeżdża. Obejrzelismy się. W istocie, wagony naszego składu wolniutko jechały po torze.

– Do pociągu! – Krzyknął ojciec.

– Stóóój! Zatrzymać się! Haaalt! – rozlegało się ze wszystkich stron.

Biegliśmy, co tchu do naszego wagonu. Dopędziliśmy go bez trudu, bo ten wciąż jechał wolniutko. Zerknąłem w stronę lokomotywy. Z okna parowozowej kabiny maszynista wychylił się aż do pasa, patrząc w kierunku wagonów. Obserwował, co dzieje się wzdłuż pociągu. Widocznie zmuszony do odjazdu, pamiętał o ludziach.

– Dzieci, wskakujcie, tylko ostrożnie! – Zawołał ojciec.

Mundzia zgrabnie wdrapała się do wagonu i pomagała wsiąść mnie, bratu i rodzicom. Potem wspólnie z ojcem, pomogli jeszcze kilku obcym osobom, które dobiegły do wagonu.

– O Boże, nie ma naszych! – Zawołała mama mówiąc o wujostwie.

Wyjrzelismy na torowisko. Na jego opustoszałej wstędze znajdowała się rozproszona grupka ludzi, a wśród nich wuj, ciotka Mania i Mureczka. Ciotka wymachiwała rękoma i widać było, że coś krzyczy, ale stukot jadącego pociągu rozmazywał jej głos. Wydawało mi się, że płacze.

Pociąg zaczął nabierać prędkości. Postacie wujostwa i nielicznych osób, które nie wsiadły do pociągu, zmniejszały się z każdą chwilą. Równa dotąd linia wagonów powoli zaczęła się wybrzuszać, pociąg wchodził w zakręt. Któreś kolejne czerwone pudło wagonu, zasłoniło malejące sylwetki ciotki Mani, wuja, Mureczki i pozostałych ludzi.

– Dzieci, odejdźcie od drzwi – zawołała mama. – Boże, co z nimi będzie!?

– Pytanie to dotyczyło oczywiście wujostwa.

– Zostali tak bez niczego, jak stali – powiedział ojciec – i nie wiadomo jak tu postąpić. Gdzie teraz wsiąść, jak ich spotkać...

– Że też bidne ludzie powsiadać nie nadążyli – odezwał się ktoś z głębi wagonu.

– A i nam niedużo brakowało – jęknęła jakaś kobiecina.

Tymczasem pociąg uchodził śpiesznie poza stację, zagrożoną lotniczym napadem. Koła wagonów stukały nerwowo na złączach szyn. Przez dwu-

stronnie otwarte na oścież drzwi, do środka wagonu wdzierало się ciepłe, pachnące łąką powietrze.

Po jakiejś godzinie z okładem, pociąg zaczął zwalniać. Postukiwanie kół o szyny stało się wolniejsze, lokomotywa od czasu do czasu pogwizdywała. Wagony toczyły się ślamazarnie i nierówno, to hamując, to po szarpnięciu przyspieszając. Potem pod kołami zastukały rozjazdy szyn i wjechaliśmy na stację. Zapiszczały hamulce i pociąg zatrzymał się na bocznym torze.

– Gdzież my zajechali? – zaciekała się gruba, spocona kobieta.

– Toż to Janów, nigdy tutaj nie była? – Bez powodu zaperzył się chudy mężczyzna, z twarzą jak zużyta i zmięta gazeta.

– A jaż nie jego zapytała – ucięła krótko gruba.

Jakiś młody blondyn wyskoczył z wagonu i pobiegł w stronę lokomotywy. Wrócił niebawem z istną rewelacją, że nie wiadomo, kiedy pojedziemy dalej.

– Tyle to i raniej było wiedzieć – prychnął ten z pomiętą twarzą.

– Tak czemuż był nie powiedział, a teraz dopiero taki mądrała – odciął się młody.

– Luuudzi, ludzi – ni to powiedział, ni to zaśpiewał łysy pan Kawun – jeszcze jechać dobrze nie zaczęli, a już w swary poszli. Doprawdy nie potrzeбно, taż Bóg wi ile będziem razem, myż tutaj stali susiedzami!

Przyczichło w wagonie. Ludzie nie wiadomo dlaczego, rozmawiali półgłosem. W stojącym wagonie ponownie zaczynało być duszno. Co odważniejsi, powychodzili na świeże powietrze.

Mama wstrząśnięta nagłym rozstaniem się z wujostwem, siedziała na tobołku nerwowo zaciskając na kolanach dłonie.

– Staszku – odezwiała się z kolei któryś raz – co z nimi będzie?

– Nie wiem, nie wiem – odpowiedział ojciec – jak postąpić, żeby spotkać się z nimi...

– Oni jakimś pociągiem z Pińska wyjadą, ale gdzie na nich czekać?

Rodzice pełni rozterki, uporczywie krążyli wokół tego tematu. Mnie i bratu, zabronili pod jakimkolwiek pozorem opuszczać wagon. Wpadłem na pomysł, że muszę natychmiast wysiąść, bo nie wytrzymam.

– Idziemy – powiedział ojciec – wysiadziemy razem.

– Jakoś mi się odechciało – wycedziłem przez zęby, z trudem tłumiąc złość.

Rodzice obu pozostałych chłopców, również zabronili im wychodzić. Wobec tego, pozostało nam usadowić się w drzwiach na podłodze wagonu, z opuszczonymi na zewnątrz nogami. Bez zainteresowania przyglądaliśmy się sennemu ruchowi na stacji. Przed budynkiem łąziło kilku cywili, a wśród nich jakiś kolejarz z neseserem w ręku i dwóch żandarmów z karabinami. Widocznie mieli gdzieś jechać, bo na ramionach mieli plecaki, z przypiętymi do nich hełmami i zrolowanymi szarymi kocami.

Senną beczynność pograżonej w upale stacji, przerwało wtargnięcie na nią lokomotywy, ze sznurem wagonowych platform. Pociąg wjechał od strony Pińska. Wagony były puste, tylko na jednym siedziała grupka cywili.

Kiedy mijał on nasz wagon, zobaczyłem, że wśród tych ludzi jest wuj Stefan, ciotka Mania i Mureczka.

– Są, są nasi – powiedział siedzący obok mnie brat mój, Stefan.

– Mureczkooo! – Darłem się na całe gardło.

– Mamo, tatusiu, są nasi, przyjechali tym pociągiem! – Nie panowałem nad sobą, stojąc przy rodzicach, darłem się nieomal z całej siły.

Pociąg zwalniał piszcząc i zgrzytając hamulcami, wreszcie stanął.

Ojciec zeskoczył na torowisko i pobiegł w kierunku wagonu z ludźmi, którzy już z niego zaczęli schodzić. Ja nie zwracając uwagi na głos mamy, abym nie ruszał się z miejsca, wyskoczyłem w ślad za ojcem. Wyprzedziłem go, dopadłem już wagonu z wujostwem.

Tymczasem wuj zeskoczył z platformy, pomógł uczynić to Mureczce. Oboje z trudem opuścili na torowisko ciotkę. W czasie tej operacji, w miarę jak ciotka osuwała się na ziemię, sukienka jej podciągała się do góry. Światu ukazały się długie za kolana, grube niebieskie ciotczyne reformy. Stojąc już na torowisku, ciotka obciągnęła sukienkę z pomocą Mureczki.

– Co za rozdziawy, nawet człowiekowi porządnie pomóc nie potrafią – dyszała niezadowolona ciotka – żeby tak nic, a nic...

– Mamuś, nie denerwuj się, zobacz, Pan Bóg nam pomógł, jest Ania, Staszek, znaleźliśmy się - łagodziła kipiącą ciotką Mureczka.

– Uj, daj spokój, jeszcze ma coś do powiedzenia niezdara!

– Szkoda, że nie zostałeś w Pińsku, jak ci tutaj źle – uciał wuj.

Szliśmy gromadką do naszego wagonu. Ja oczywiście otwierałem pochód. Za mną pośpiesznie przelewała się ciotka, a za nią szła reszta, czyli ojciec z moim bratem i wuj z Mureczką. Przeszliśmy przez jedne i drugie tory, stanęliśmy przy drzwiach naszego wagonu.

– Staszek, pomóż mamusi... – przymilnie powiedziała Mureczka.

– Zrozumiałe Muruś – zrewanżował się kuzyneczce ojciec, wdrapując się do wagonu.

Wspólnie z Mundzią, chwycili ręce ciotki. Od dołu windowali ją wuj z Mureczką. Udało się gładko. Po chwili, ciotka stanęła w wagonie na nogach.

Od razu lunął wodospad ciotczynych słów. O tym, jak swołocz maszynista odjechał ze stacji, zostawiając na niej ludzi. O tym, że żadne samoloty nad Pińsk nie nadleciały. O tym, że znalazł się jeden porządny kolejarz, który powiedział, jaki pociąg zaraz odjedzie i żeby tam wsiadać. O tym, że jazda na odkrytym wagonie, to gotowe zapalenie płuc. O tym, że...

Wreszcie ciotka wyczerpana długim monologiem przycichła, a mnie się wydawało, że w wagonie wszyscy odetchnęli z ulgą.

W jakimś momencie wagonem szarpnęło i zaczęliśmy jechać. Wolno przesunęły się do tyłu zabudowania stacji, z otaczającymi ją drzewami. Parę razy rzuciło na rozjazdach szyn i po chwili bieg pociągu stał się gładki, równo postukujący. Do wagonu ponownie wionęło powietrze, z przylegających do torów łąk. Zapachniało trawą, ziołami i świeżą torfową ziemią.

Dalsze godziny jazdy, upływały w monotonii. Pociąg zwalniając bieg, minął stacje w Drohiczynie i Kobryniu. Postął niewiele w Żabince, przepuszczając długi pociąg, jadący na wschód. Ten załadowany był czołgami, samochodami i armatami. Na jednym wagonie, jeżyły się przeciwlotnicze działka. Cały ten arsenał, Niemcy zamaskowali przed oczami sowieckich lotników zielonymi gałęziami. Liście na nich były już przesuszone i powiewały na wietrze, smutno szeleszcząc.

Słońce już zaszło, kiedy wjechaliśmy na stację w Brześciu. Staliśmy zagubieni w gąszczu kolejowych szyn i towarowych pociągów. Na sąsiedni tor od wschodniej strony, wjechał pociąg sanitarny, wypełniony rannymi żołnierzami. Chwilę postął i odjechał w zachodnim kierunku.

W kwadrans później, ruszył nasz pociąg. Rozległa platanina szyn zwężyła się coraz bardziej i niebawem wyjechaliśmy ze stacji, rozplywającej się w narastającym zmroku. Niedługo potem usłyszeliśmy głos ojca, stojącego przy drzwiach wagonu.

– Dzieci, spójrzcie tutaj – powiedział.

Pociąg zbliżał się do rzeki. Jej niski brzeg porośnięty był szerokim pasem krzewów łoży, rozmazujących się już w zapadającym zmroku.

Stukot kół wagonu zmienił dźwięk na głęboki, metaliczny. Jechaliśmy wolno przez most. W dole pod nim, widać jeszcze było w cieniu zbliżającej się nocy nurt rzeki, połyskującej teraz srebrno-czarnymi zmarszczkami.

– Tata, ta rzeka to Bug? – Zapytał Stefan.

– Tak synu, to Bug.

Zapanowała chwilowa cisza, po czym ojciec mówił dalej z jakąś zadumą w głosie.

– Tam za Bugiem, zostało nasze Polesie. Tam każde z was na świat przyszło.

Wracaliśmy od drzwi na swoje miejsca w głąb wagonu, w którym panowało teraz całkowite milczenie. Po dłuższej chwili przerwał je ojciec, mówiąc w jakimś zamyśleniu.

– Ktoś mądry powiedział kiedyś, że człowiek bez swojego miejsca na ziemi, jest jak drzewo wyrwane z korzeniami. Wiecie o tym dzieci, że przesadza się tylko młodziutkie drzewka. One mają w sobie taką siłę życia, iż w nowym miejscu zapuszczają korzenie i wyrastają na zdrowe, potężne drzewa. Gorzej jest z drzewami dorosłymi. Jeśli nawet nie uschną w nowej glebie, to do końca życia już będą cherlawe, podatne na wszelkie szkodniki.

– Stachu – niespodziewanie wtrącił się wuj Stefan – nigdy nie podejrzewałbym ciebie, że ty stary urzędas, masz jakieś pojęcie o życiu drzew. Ale to, co powiedziałeś swoim dzieciom, powinno być najwspanialszą lekcją, gdzie jest ich prawdziwe miejsce na ziemi. Bo to właśnie tam za Bugiem, została nasza ojczysta ziemia.

– Prawdu powiedzieli, oj światuju prawdu. Z razu widać, że to powiedzieli jakieś uczone ludzi – z ciemnego kąta odezwał się kobiecy głos.

– Oj Bożeńkoż ty moj, jakież los nas czeka – zajęczała jakaś babina.

– Przeżyjem kobitki, przeżyjem, wszystko u reńkach dobrego Boga!

Tym razem, rozpoznałem głos pana Kawuna.

Pociąg po przejechaniu mostu, przyśpieszył biegu. Wiózł nas w nieznane, zanurzając się w gęstniejącym mroku zapadającej nocy.

I wtedy ojciec odezwał się ponownie. Mówił dziwnie mocnym, stanowczym głosem.

– Jeśli wojna skończy się dla nas szczęśliwie, powrócimy do naszych Telechan!

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ

CZĘŚĆ PIĄTA: NA NOWEJ ZIEMI

ROZDZIAŁ 1

W pociągu, którym opuściliśmy nasze Polesie w dniu dziesiątego lipca 1944 roku, spędziliśmy osiem dni.

Po wyjechaniu z Brześcia, pierwszy postój nastąpił w Siedlcach. Mimo pełnej nocy, w naszym wagonie nikt nie spał. Wszyscy byli zdumieni, że cały teren dworca był jasno oświetlony elektrycznymi lampami, gdyż w Pińsku Niemcy bardzo rygorystycznie przestrzegali nocnego zaciemnienia.

Mając świeżo w pamięci niemal conocne sowieckie lotnicze bombardowania miasta, wszyscy z przerażeniem spoglądali na pociąg stojący na sąsiednim torze. Był to rząd kolejowych platform, na których piętrzyły się starannie poukładane i umocowane do nich potężne lotnicze bomby. Tego śmiercionośnego ładunku, pilnowało zaledwie kilku spacerujących wzdłuż wagonów żołnierzy Wehrmachtu, wyraźnie znudzonych tą czynnością.

Nasz pociąg ruszył, kiedy zaczynał już wstawać dzień. Wydobywszy się z płataniny szyn, potoczył się jednotorową trasą, prowadzącą w kierunku północnym.

– Można wnioskować, że trafimy do Wschodnich Prus – powiedział ojciec.

– Tak należałoby sądzić po kierunku jazdy – potwierdził wuj Stefan.

– To nie pozostaniemy w Polsce, znaczy w tej Generalnej Guberni? – Zapytał ktoś.

– Dokąd nas zawiozą? – Głowili się ludzie w naszym wagonie.

Jechaliśmy słabo zaludnionym terenem. Napotkany po drodze niewielki sosnowy las, był skąpy i jakiś rachityczny. Potem długo tkwiliśmy na stacyjnej bocznicy w Sokołowie Podlaskim, jakby pociąg namyślał się, co robić dalej. Wreszcie ruszył w dalszą drogę i było już blisko południa, kiedy ponownie zatrzymał się pod zamkniętym semaforem, właściwie w szczerym polu. W oddali widoczne były jakieś zabudowania, ni to osady, ni to miasteczka.

– Panie, panie, a gdzie my popadli, co to za stacja? – Zawołał pan Kawun do kolejarza, który pojawił się gdzieś na torowisku, o kilka wagonów od naszego.

– Ludzie, który raz już tutaj mówię, że to Treblinka. Ja sam tego nie rozumiem, czemu was tutaj przywieźli! – Odkrzyknął kolejarz.

– Czeżoż on nie rozumieje? Jaką Treblinka? To zapewne jakąś miejscowość – dziwował się i rozumował pan Kawun.

– Oj, tutaj może być coś śmiedziaczego – westchnął ktoś – jak ten kolejarz sam czegoś tam nie rozumieje...

Rzutki młody blondyn wyskoczył z wagonu i pobiegł w kierunku lokomotywy. Powrócił po kilku minutach. Jego twarz wyrażała zmieszanie, a może nawet strach.

– Ludzie, tutaj w tej Treblince, tutaj jest wielki łagier, do którego Niemcy zwożą Żydów z całej JeuropY. Tysięcy, całe tysiące Żydów! W tym łagrze ich mordują. Tak mnie powiedział nasz maszynista z pociągu i jeszcze jeden kolejarz.

– Oj gdzieżeż my popadli, Bożeńkoż ty mój, Matko Rodzicielko Jezusa, nie opuszczaj nas! – Rozjęczał się z głębi wagonu, znany już babski głos.

– Tak my nie Żydy, my ludzi prawosławne i katolickie, my ksześcijany! Co nam po Żydam i ich łagru w tej, jak tam, Treblinkie! – Zakrzyknął z wyraźną pychą w głosie, ten z pomiętą twarzą.

– To nie przypadkowe dzieło panie, że nas tutaj powieźli – powiedział pan Kawun drżącym głosem – Ja bym Niemcam tak lekko nie powierzył.

– Dobrze to nie wygląda – zamruczał do nas ojciec.

– Anusia kochana, dawaj pomodlimy się – płaksiwie jęknęła do mamy ciotka Mania.

Pierwszy raz w życiu usłyszałem, żeby ciotka zwróciła się do mamy tak słodziutko.

Po jakimś czasie, pociąg ruszył i niebawem znalazł się na niedużej stacji. Istotnie, nosiła ona nazwę Treblinki. W wagonie wszystkich ogarnęło przerażenie, kiedy zobaczyli, że pociąg wjeżdża na tor, wzdłuż którego stoi kilkunastu uzbrojonych niemieckich żołnierzy. Kilku spośród nich, trzymało na smyczy rosłe psy, niemieckie owczarki.

Ludzie siedzieli zbici w gromadki w głębi wagonu. Nikt nie ośmielił się zbliżyć do drzwi. Mama mocno przygarnęła do siebie Mundzię, Stefana i mnie. Bezdźwięcznie, szybko poruszała wargami. Domyśliłem się, że odmawia jakąś modlitwę. Ojciec jak zwykle w niejasnych sytuacjach, czepił się papierosa. Zaciągał się raz po razie.

Wagony szarpnęły raz i drugi, tłukąc się o siebie buforami i ponownie zamaryły w bezruchu. Niebawem zobaczyliśmy, że jedyny osobowy w naszym pociągu wagon, w którym jechali niemieccy dekownicy, lokomotywa przetoczyła na inny tor.

– Nu, Niemców odcepili od naszego pociąga, a nas do łagra? – Zapytał do nikogo pan Kawun, a w jego głosie wyczuwało się strach – oj ludzi, niedobrze święci się, niedobrze ...

– Hospodi Bożeńko, tak myż nie Żydy, poratuj nas prawych krześcijan! – Chlipnęło jęczące babsko.

Jakby w odpowiedzi, ciotka Mania zaczęła odmawiać głośno jakąś modlitwę po rosyjsku. Natychmiast podchwyciło ją kilka innych kobiet. Niektóre jednocześnie popłakiwały. Mężczyźni rozmawiali gorączkowo półgłosem między sobą.

Mama i Mundzia modliły się bezgłośnie. Brat miał minę bardzo niepewną. Ojciec, jak zwykle był przyssany do papierosa. Ja zaś poczułem w jelitach

burzliwą falę, która wbrew mojej woli zapragnęła gwałtownie wydostać się na świeże powietrze. Ścisiałem nogi aż do bólu, ale w zmaganiu tym słabłem coraz bardziej.

Nagle ta dzika fala przewyciężająca centymetr po centymetrze moje rozpaczliwe stawianie jej oporu, z głośnym pomrukiem niezadowolenia cofnęła się gdzieś w głąb wnętrzości, gdyż całe moje jestestwo osłupiało na widok tego, co uczynił wuj Stefan. On, śmiertelny wróg tytoniu, poprosił mojego ojca o papierosa i zapalił go!

Niedługo potem usłyszeliśmy, jak obstawiający nasz pociąg Niemcy przekazują sobie komendę zejścia z posterunków. Żołnierze szli nieśpiesznie w kierunku stojącego nieopodal dworcowego budynku samochodu z brezentową budą, okazując całkowity brak zainteresowania naszym pociągiem. Prawie jednocześnie szarpnęły i zagrzechotały o siebie wagony naszego pociągu, który zaczął wyjeżdżać ze stacji. Opuszczaliśmy Treblinkę.

– Hospodi Boże, ty wysłuchał naszej modlitwy i Niemcy nie zagnali nas do łagra! – zaskrzeczała wagonowa specjalistka od wzywania Boga i od jojczenia.

Z pewnością wielu spośród znajdujących się w wagonie dziękowało Stwórcy za taki obrót rzeczy, ale innych okrzyków nie było. Mojej uwadze nie uszło, że ciotka Mania przeżegnała się kilkakrotnie, a wuj Stefan wyrzucił przez otwarte drzwi wagonu swojego nadpalonego papierosa i kilkakrotnie z obrzydzeniem splunął.

Na wszystkich twarzach malowało się ogromne odprężenie.

* * *

Z Treblinki powieziono nas do Łodzi, która wówczas znajdowała się już na terenie Niemiec. Po drodze, pociąg stał bez lokomotywy w Warszawie na Żoliborzu przez dwie doby. Wtedy z pociągu uciekli prawie wszyscy młodzi ludzie. Panowało bowiem powszechne przekonanie, że przed okupantem polującym na młodzież w celu wywiezienia jej do Niemiec na przymusowe roboty, najłatwiej ukryć się można w wielkim mieście. Biedacy nie mieli pojęcia, że już za niecały miesiąc, znajdą się w śmiertelnym kotle warszawskiego powstania.

Nasz pociąg, do Łodzi nigdy nie dojechał. Po długim postoju w Koluśkach, nie zatrzymując się po drodze wrócił do Warszawy, gdzie znowu bez lokomotywy sterczał ponad dobę na jakiejś zardzewiałej, zagubionej w zielisku bocznicy.

Po powrocie pociągu z Kolušek do Warszawy, Niemcy pilnujący transportu właściwie przestali się nim interesować. Ze swojego wagonu wychodzili nieuzbrojeni, w rozchełstanych kurtkach mundurów, a najczęściej w ogóle bez nich. Na ludzi, których mieli pilnować, nie zwracali uwagi. Praktycznie, całe swoje zainteresowanie skupili teraz na kilku panienkach z pociągu, które kręciły przed nimi tyłkami.

Kiedy wreszcie o naszym pociągu przypomniano sobie, wypchnięto go z Warszawy w kierunku wschodnim i po godzinie z hakiem, znaleźliśmy się w Mińsku Mazowieckim.

Niektórzy ludzie z naszego pociągu, a w tym także i moi rodzice uznali, że należy skorzystać z okazywanego przez Niemców braku zainteresowania, co dzieje się w konwojowanym przez nich transporcie. No, bo skoro Niemcy trzymając nas przez tydzień w pociągu miotają nim w różnych kierunkach, a teraz cofają go ponownie na wschód, to Bóg wie, jaki szatański plan powzięli. Skąd wiadomo, że ta Treblinka jest przeznaczona wyłącznie dla unicestwiania Żydów? Może teraz istnieje ostatnia szansa ucieczki z transportu i kto wie, może uratowania życia? A na pewno pozostania w Polsce, choć okupowanej. Ale wśród swoich, daleko od frontu.

Nie wszyscy myśleli w ten sposób. Niektórzy uważali, że skoro Niemcy udostępnili cywilom kolejowy transport, aby umożliwić im ucieczkę przed zbliżającym się frontem i sowieckimi wojskami, to na pewno krzywdy ludziom nie zrobią.

– Nie gadaj pan durnoty o jakiejś Treblinkie, też ona dla Żydów, a my krześcijanie, także samo jak i Niemcy – żołądkował się ten z pomiętą twarzą na pana Kawuna, który głośno snuł swoje obawy wobec nieznanych niemieckich planów.

– Mój Frydrych mówi, że oni, znaczy Niemcy krzywdy nam nie zrobią, a dopóki sami mają co jeść, to i nam jedzenia nie zabraknie – jazgotała z drugiego końca wagonu córka tego z pomiętą twarzą. Była to blond panienka, która od kilku dni częściej przebywała w wagonie niemieckich wartowników, jak w naszym.

Pociąg nasz stał w Mińsku Mazowieckim na bocznym, skrajnym torze. Kilkanaście kroków od niego, ciągnęła się wzdłuż torów porośnięta trawą skarpa wysoka jak kolejowy wagon. Na jej szczycie widniał płot z drucianej siatki, za którym rosły krzaki i stare drzewa. W głębi pomiędzy nimi, widniały dachy jakichś zabudowań.

Ludzie uciekający z pociągu objuczeni tobołami, mozolnie drapali się po tej skarpie na jej wierzch. Tam przerzucali swoje rzeczy na drugą stronę płotu i forsowali go sami, po czym znikali w gęstych krzakach. Zdarzało się, że ktoś wdrapując się na skarpe objuczony bagażem staczał się z niej, albo zjeżdżał tyłem w żabiej pozycji. Najwięcej problemów z pokonaniem chwiejnego płotu z siatki, miały tęgie kobiety. Niektóre z nich drąc o płot sukienki, spadały na trawę po jego drugiej stronie jak placki, ukazując przy tym kopiaсте pośladki i zwaliste uda. Jednak jakoś nikomu nie było do śmiechu.

W czasie tej gorączkowej ucieczki ludzi z pociągu, pełnej nerwowego pośpiechu i strachu, pilnujący transportu Niemcy gdzieś się zapodziali, jakby w ogóle przestali istnieć.

Naszej rodzinie nieobciążonej dużymi i ciężkimi bagażami, udało się przemknąć do dzikiego parku szybko i sprawnie. Pomógł nam w tym jeszcze wuj Stefan.

Kłopot jak zwykle, zrobił się z ciotką Manią. Od kilku dni narzekała, że czuje się źle. Że boli ją serce, wątroba i w ogóle nie wie, czy w tym pociągu nie umrze. Ciotka z natury żarłoczna, prawie całkowicie zrezygnowała z posiłków. Siedząc godzinami w bezruchu, wyglądała jak kupka nieszczęścia. Moja mama i Mureczka, niewiele mogły ulżyć w jej prawdziwych, czy urojonych cierpieniach, a wuj Stefan po swojemu tylko machał na to ręką.

Teraz, kiedy po przeniesieniu największych bagaży wujostwa za płot na skarpie przyszła kolej na ciotkę, ta oświadczyła, że na ten piekielny płot nie wejdzie. Dużo życia już jej nie pozostało, ale nie chce zabić się, albo połamać spadając z płotu.

Do uczonej kurczowo haka w drzwiach wagonu ciotki, nie docierało nic, ani pełne płaczu błagania mamy, Mureczki i Mundzi, ani perswazje ojca, ani wściekłe warczenie wuja Stefana gwarantujące, że przez ten przeklęty płot przeniosą ją na rękach, jak najdelikatniejszy tort. Kiedy wuj spróbował oderwać siłą rękę ciotki od drzwi wagonu, ta podniosła taki lament, aż ludzie w wagonie zaczęli krzyczeć, że sprowadzi na nasze głowy Niemców.

W trakcie tych „negocjacji” z ciotunią ktoś krzyknął, że po drugiej stronie pociągu, do wagonu wartowników wsiadają nowi żołnierze. Po kilku minutach, paru z nich w hełmach i z karabinami w rękach, pojawiło się na torowisku.

– Dawaj polezat’ w wahony, nie szlat’ sia! – Włazić do wagonów, nie szwendać się! – Wołali wartownicy po rosyjsku, idąc wzdłuż pociągu i zapędzając ludzi do wagonów.

Własowcy! Więc Niemcy wyręczyli się nimi, luzując swoich wartowników. Teraz dopiero zapanuje w transporcie piekło dyscypliny!

Resztka ludzi, która zdecydowała się na ucieczkę z transportu, pośpiesznie zniknęła w krzakach, za drucianym płotem na skarpie. To samo musieli uczynić moi rodzice i Mundzia. O dziwo, własowcy na to nie zareagowali, choć niemożliwe było, aby nie zauważyli kilku osób, rejterujących od pociągu za płot na skarpie.

W niecałą godzinę później, do pociągu, w którym pozostali wuj Stefan, ciotka Mania i moja kochana Mureczka, doczepiono lokomotywę i transport odjechał w kierunku Warszawy.

W takich oto dramatycznych okolicznościach, nasza rodzina rozstała się z wujostwem. Całe to zajście, ja i mój brat obserwowaliśmy ukryci w krzakach na skarpie, gdzie leżały już nasze rzeczy i większość bagaży wujostwa, które niestety pozostały z nami.

ROZDZIAŁ 2

Po ucieczce z pociągu, rodzinie naszej udało się zadekować we wsi Gliniak, leżącej nieopodal Mińska Mazowieckiego. Dach nad głową udostępnił nam bogaty tamtejszy gospodarz, stary kawaler Kazik Kubicki. Posiadał on dwa domy, w jednym mieszkał razem z niezamężną siostrą i młodszym bratem, a dom drugi o czterech niezależnych mieszkaniach, przeznaczony był do wynajmowania „letnikom”. Tak nazywano mieszkańców Warszawy spędzających tutaj przed wojną wakacje, których nie było stać na wakacyjny pobyt w Otwocku, Świdrze czy Konstancinie.

Teraz podczas wojny, „letników” nie było i Kubicki dom udostępnił rodzinom bez dachu nad głową. Zajęte były dwa mieszkania. W jednym mieszkała z czterema nieletnimi córkami kobieta, której męża Niemcy wywieźli do Rzeszy na przymusowe roboty. Utrzymywała przy życiu siebie i dzieci, handlując czymś na targu w Mińsku.

Drugie mieszkanie zajmował jakiś gość razem z żoną i dwoma małymi synami, uciekinier z nieujawnianego miejsca zamieszkania. Pracował w Mińsku w jakimś społecznym, zaakceptowanym przez okupanta Komitecie, mającym udzielać materialnej pomocy wojennym uchodźcom.

Mojego ojca, który ów komitet w tej sprawie odwiedził, odesłano z kwitkiem. Po tej wizycie, pracujący w tym Komitecie nasz sąsiad oświadczył, że jego kierownik to skąpiec i dupek, a on niestety, nie ma tam nic do powiedzenia. Zapewne z tych oto powodów, biedaczysko wracał codziennie z pracy z pokaźną paczką na rowerze, a jego dzieci żarły takie specjały, jakich ja nie widziałem od wybuchu wojny.

I tak to bez pomocy skąpego kierownika dupka i niezaradnego sąsiada, rodzina nasza utrzymywała się przy życiu pracując u Kubickiego i innych rolników we wsi. Roboty było huk, gdyż rozpoczęły się właśnie żniwa.

Normalny tok polowych robót o tej porze roku, niebawem przerwał nadciągający gwałtownie front. Sądząc po zbliżającym się nieustannym artyleryjskim grzmocie i przewalających się przez wieś niemieckich wojskach, zażarte boje toczyły się coraz bliżej.

Kiedy w pobliżu wsi zaczęły spadać artyleryjskie pociski, ojciec z kilkoma gospodarzami pośpiesznie zabrali się do budowy ziemnego schronu, w którym przesiedzieliśmy kilka dni.

Podczas pierwszej nocy spędzonej w schronie, nieopodal Gliniaka spadł na pole niewielki jednosilnikowy sowiecki samolot, najprawdopodobniej myśliwski.

Kiedy to się zdarzyło, w schronie bodajże nikt nie spał, gdyż działa niemieckich czołgów ukrytych w pobliskim lasku, grzmiły raz po raz

W pewnym momencie, usłyszeliśmy zbliżające się od zachodniej strony nienaturalne wycie samolotowego silnika, które narastało z sekundy na sekundę. Po chwili, osoby siedzące najbliżej wejścia do schronu zobaczyły na tle pełnego gwiazd nieba otoczony płomieniami samolot, który wyraźnie opadał na ziemię. Wydawało się, że przemknął on tuż nad drzewami otaczającymi naszą kryjówkę, a po niewielu sekundach nastąpił potężny wybuch, który błyskiem rozjaśnił ciemności panujące w schronie.

Należy przypuszczać, że sowiecki pilot po uszkodzeniu jego samolotu przez Niemców, próbował za wszelką cenę dotrzeć na teren opanowany już przez Rosjan. Prawdopodobnie w płonącym samolocie były uszkodzone urządzenia nawigacyjne, gdyż lotnik wyskoczył z niego zbyt późno i zbyt nisko nad ziemią. Spadochron już nie zdążył otworzyć się i biedak zginął na miejscu. Jego samolot uderzył o ziemię i eksplodował, kilkaset metrów dalej.

* * *

Linia frontu przez samą wieś przeszła bez boju, jedynie wybuchające w pobliżu pociski, porobiły nieznaczne szkody w kilku zabudowaniach.

Niesłychane wrażenie na ludziach ze wsi i naszej rodzinie wywołał fakt, że pierwszymi żołnierzami walczącymi z niemiecką armią, którzy pojawili się w Gliniaku, byli żołnierze polscy! Ich szerniałe twarze i brudne mundury świadczyły o tym, że wiele dni spędzili w nieustannym boju.

Ludzie witali ich z histeryczną radością, zasypywali różnorakimi pytaniami, wiele kobiet płakało. Niektórzy gorąco zapraszali ich nawet do swoich domów.

Niestety, temu entuzjazmowi mieszkańców Gliniaka, żołnierze nie poświęcili prawie żadnej uwagi. Robili wrażenie spiętych w sobie i czujnych, na pytania ludzi prawie nie odpowiadali, natomiast sami zadawali pytania o niemieckie wojska. Byli to, bowiem zwiadowcy czołówki nadciągających wojsk. Po kilku minutach, żołnierze ci rozplynęli się w zaroślach na końcu wsi.

Po jakiejś godzinie, w Gliniaku pojawili się następni zwiadowcy w małych, opancerzonych samochodach. Tym razem, byli to zwiadowcy sowieccy. Przed nastaniem zmroku, wieś została zalana niezliczoną ilością żołnierzy Czerwonej Armii, którzy przybyli do niej samochodami i pieszo.

Tak wyglądało w skrócie wyzwolenie wsi Gliniak, spod niemieckiej okupacji. Polskich żołnierzy nie widzieliśmy później przez kilka miesięcy, natomiast wieś dosłownie roiła się od żołnierzy Czerwonej Armii. Gnieździli się oni w wielu gospodarskich domach i rozstawionych po wsi namiotach, skąd przenieśli się po nadejściu jesiennych chłódów, do pobudowanych przez siebie ziemianek.

Przyznać trzeba, że stosunki pomiędzy miejscowymi ludźmi i sowieckimi żołnierzami ułożyły się dosyć poprawnie. Nie słyszało się o jakichś konfliktach, z wyjątkiem przypadku kradzieży w jednym z domów, kapy na łóżko. Skradła ją żołnierz kobieta, pracująca we frontowej polowej drukarni jako zecer. Po zdemaskowaniu złodziejki, poniosła ona za ten występki niewy-

obraźalnie wysoką karę, gdyż została rozstrzelana przez enkawudzistę bez żadnego dochodzenia i osądu.

Inny występ popełniony przez krasnoarmiejca, ujawnił się w niecały rok po wkroczeniu sowieckich wojsk. Dotyczył on pewnej kobiety z sąsiedniej wsi, matki dwojga dzieci, której mąż nie powrócił z wrześniowej kampanii 1939 roku. O zdarzeniu tym, kobieta opowiadała chętnie i często, a brzmiało to mniej więcej tak:

– Jak u mnie mieszkali ruskie żołdacy, to ten Monguł co tu był i wołali jego Amino czy jakoś tak, to on wziął i odbywał mnie. Potem jak mnie zaczął brzuch rosnać, to się okropnie bojałam, że to będzie taki sam Monguł jak tamten. Modliłam się o zlitowanie do Matki Przenajświętszej i Ona mnie wysłuchała, bo upłęła się dziewucha!

Nie ma wątpliwości, że ta niemal idealna dyscyplina ogromu sowieckiego wojska stacjonującego w tej okolicy, była ewidentną zasługą funkcjonariuszy NKWD, od których mrowiło się wśród czerwonoarmistów. A więc, powód do zachowania dyscypliny był, bo skoro za kradzież kapy na łóżko złodziejka w mundurze została bez sądu rozstrzelana ...

Niezmiernie dziwiło mnie, że większość enkawudzistów mówiła po polsku, niektórzy nawet zupełnie poprawnie. Wkrótce łączy nieustannie po wsi enkawudziści, znali na pamięć wszystkich jej mieszkańców. Każdego nowego osobnika, jaki w niej pojawił się, zatrzymywali i skrupulatnie „prześwietlali na wylot”.

Taki stan wysokiej gotowości bojowej sowieckich wojsk, nie ograniczył się do nieustannej inwigilacji ludności przez NKWD i niezliczonych kontrolnych posterunków. Rosjanie świetnie zamaskowali w samej wsi i wokół niej nieprzebraną ilość przeciwlotniczej artylerii. Ta jednak nigdy nie odezwała się, kiedy na niebie pojawiały się niemieckie zwiadowcze samoloty o dziwnym kształcie. Nie miały one typowego dla samolotu kadłubu, tylko wystającą poza skrzydła niemal kwadratową ramę zakończoną statecznikami.

Te latające ramy miały jednak bardzo ograniczone możliwości węszenia nad Gliniakami i okolicą, gdyż nieustannie czuwały sowieckie myśliwce, stacjonujące nieopodal Mińska Mazowieckiego.

Niewątpliwie miało to związek z tym, że kiedy front utknął na linii Wisły, Rosjanie przygotowując się do kolejnej ofensywy, zaczęli tworzyć gigantyczne składyska amunicji, lokując je w licznych laskach i zagajnikach tej okolicy.

Może dlatego właśnie, że było tutaj tak nikłe zagrożenie ze strony Niemców, czas jakiś w miejscowej szkole stacjonował dowódca tego frontu marszałek Konstanty Rokossowski. Pół wieku później dowiedziałem się, że pochodził on z Telechan. Trafiłem bowiem na dokumentalne dowody, że jego rodzice mieszkali w Telechanach i jego matka po śmierci tam została pochowana.

Myślę, iż warto napomknąć, że dzięki Rokossowskiemu ja już w sierpniu 1944 roku, obejrzałem występ sławnego dzisiaj na całym świecie zespołu pieśni i tańca imienia Aleksandrowa. Wtedy, zrobił on na mnie niezapomniane wrażenie.

Zespół ten, dał bowiem koncert przed marszałkiem Rokossowskim w Gliniaku, występując pod gołym niebem. Na niewielkiej łące leżącej na zapleczu jednego z gospodarstw, została zmontowana drewniana estrada przywieziona przez „Aleksandrowców”. W głębi estrady rozwieszono czerwoną kotarę zasłaniającą wejście do wielkiego namiotu, będącego garderobą artystów zespołu.

Rokossowski w towarzystwie jakiegoś generała i kilkunastu wyższych oficerów, siedział w pierwszym rzędzie składającym się z dużych i masywnych krzeseł, także przywiezionych przez zespół. Drugiego rzędu już nie było, pozostali widzowie występ oglądali stojąc.

Tę prowizoryczną widownię wypełniało kilka setek żołnierzy Czerwonej Armii, do których „poprzylepiało się” po bokach trochę miejscowej młodzieży, z przewagą dzieciarni. Nie zauważyłem ani jednej starszej cywilnej osoby.

Przyzwyczajony do nieustannego widoku wszędobylskich enkawudzi-stów, ze zdziwieniem widziałem w pobliżu estrady zaledwie kilka charakterystycznych niebieskich czapek. Czyżby marszałek Rokossowski czuł się tutaj aż tak bezpiecznie?

Prawdę mówiąc, to na Gliniaku tak całkiem bezpiecznie jednak nie było. Niemcy bowiem z całą pewnością wiedzieli, że na stację w Mińsku Mazowieckim przybywają pociągi z zaopatrzeniem dla frontu. Dlatego też niebawem zaczęli ją ostrzeliwać, jak się później okazało z gigantycznego kolejowego działła, stojącego gdzieś za Wisłą, kilkadziesiąt kilometrów od Mińska.

Te pociski, które ludzie nazywali pociskami z „Grubej Berty”, były wręcz szatańskim wynalazkiem jego twórców. Posiadały lekką powłokę i rozrywając się wysoko nad stacją, rozrzucały odłamki w promieniu kilku kilometrów. Te zaś miały niezwykle strzępiastą, czepiającą się wszystkiego strukturę. Przypadkowy, nawet najlżejszy kontakt takiego odłamka z ludzkim ciałem powodował skaleczenia, które zamieniały się w ropiejące, niezwykle trudno gojące się rany.

Wybuch takiego pocisku wysoko nad ziemią i rozrzucenie zatrutych odłamków, to było dopiero preludium niszczycielskich dokonań tej broni. Pękający w powietrzu pocisk, wyrzucał z siebie potężny wybuchowy ładunek, który eksplodował na ziemi.

W tym ostrzeliwaniu okolic kolejowej stacji w Mińsku Mazowieckim, Niemcy w sumie mieli tylko jeden prawdziwy sukces, kiedy trafili w sowiecki wojskowy pociąg, załadowany amunicją. Wyleciał on w powietrze, zmiatając z ziemi kolejowy dworzec i dewastując sporą część stacyjnych urządzeń. Zrozumiałe, że skutek tak potwornej eksplozji, było mnóstwo ludzkich śmiertelnych ofiar.

Na szczęście, jakoś jesienią Mińsk Mazowiecki przestał być nękany wybuchami pocisków z „Grubej Berty”. Powód tak szybkiego zaniechania przez Niemców prób wymacania i likwidacji gigantycznych sowieckich składów amunicji wyjaśnił się, kiedy styczniowa ofensywa ruszyła przez Wisłę. Monstrualne kolejowe działło plujące na odległość kilkudziesięciu kilometrów

tymi straszliwymi pociskami, wpadło w ręce sowieckich wojsk nieopodal Pruszkowa.

Wtedy wyszło na jaw, dlaczego Niemcy zaprzestali ostrzeliwania rejonu stacji w Mińsku Mazowieckim. Kolejowe działo, z którego to robili miało krótki żywot, gdyż niezwykle potężne ładunki wybuchowe wyrzucające tak ogromne pociski na odległość kilkadziesiąt kilometrów, szybko zniszczyły jego lufę. Działo zdechło nie osiągnąwszy żadnych sukcesów, poza jednym celnym pociskiem.

* * *

Ostrzeliwanie Mińska Mazowieckiego przez „Grubą Bertę”, rozpoczęło się w sierpniu czterdziestego czwartego roku, kiedy w Warszawie trwało już powstanie. Wieści docierające stamtąd do Gliniaka jakimś niezbadanymi drogami, były skąpe. Wiedzieliśmy tyle, że Niemcy używają do walki z powstańcami czołgów, lotnictwa, artylerii i moździerzy, nazywanych „krowami” lub „szafami”. Wiedzieliśmy też o okrucieństwie okupanta używającego miotaczy ognia, również wobec bezbronnej ludności cywilnej.

Ludzie byli przekonani, że walka warszawskich powstańców zakończy się sukcesem, że znad Wisły lada dzień ruszy na jej drugi brzeg zwycięska ofensywa. Nie brakowało również takich, którzy byli przekonani, że Anglicy zrzucają na Warszawę desant, który rozgromi Niemców. Oczekiwaliśmy na tę pomoc dla powstańców, oczekiwaliśmy na nią z dnia na dzień.

Widoczną pomocą dla warszawskiego powstania, którego byłem naocznym świadkiem, był nieudany amerykański spadochronowy zrzut broni, lekarstw i żywności.

Któregoś wrześniowego wczesnego popołudnia, w powietrzu zaczął szybko narastać pomruk silników ciężkich samolotów. Rodzina nasza miała jeszcze świeżo w pamięci pińskie bombowe naloty, to też popadliśmy w nieżyły popłoch, kiedy na zachodniej strony nieba pojawiła się niezliczona chmara olbrzymich samolotów, obniżających swój lot do kilkuset metrów nad ziemią.

Kiedy nadleciały nad Gliniak, ze zdumieniem ujrzelśmy, że są to samoloty amerykańskie. Nie mieliśmy pojęcia, że istnieją takie czteromotorowe giganty. W jakiś czas potem dowiedziałem się, że nazywano je latającymi fortetami.

Tych latających fortet, była ogromna ilość. Leciały w nieregularnych, porozrywanych eskadrach. Na skrzydłach niektórych spośród nich były wyraźne uszkodzenia, najpewniej spowodowane pociskami niemieckiej przeciwlotniczej artylerii.

Zdumienie ludzi spotęgował fakt, że niektóre samoloty zrzucały na spadochronach w sumie kilkanaście przedmiotów o wydłużonym kształcie. Te zrzucone w pobliżu Gliniaka, poopadały w otaczających wieś laskach. Niestety, dojście do tych zrzutów uniemożliwiał ludziom ze wsi fakt, że wszystkie okoliczne lasy i większe zarośla, były opanowane przez sowieckie woj-

ska, które cywilów do nich nie dopuszczali. Znajdowały się tam bowiem ogromne składy amunicji i innych wojennych różności, oraz baterie przeciwlotniczej artylerii.

Jednakże nie wszystkie zrzućy „gubione” po drodze przez amerykańskie samoloty, dostały się w sowieckie ręce. Niebawem dotarła do Gliniaka wieść, że gdzie indziej niektóre spadochrony opadały tak, że przechwycili je również cywile. Tymi zrzutami były metalowe cylindry, w których znajdowała się różnoraka broń, leki, środki opatrunkowe i żywność. Zawierały one również instrukcje w języku polskim dotyczące broni i lekarstw. To wszystko było przeznaczone dla warszawskich powstańców!

Sowieccy funkcjonariusze NKWD, nieomal natychmiast rozpoczęli skrupulatne penetrowanie tych miejsc, gdzie zrzućy mogły dostać się w cywilne ręce. Bez ogródek grozili, że znalezienie najmniejszego dowodu posiadania czegokolwiek z amerykańskiego zrzutu, jest równoznaczne z natychmiastowym rozstrzelaniem.

Zastanawiający był fakt, że jakiejś części zrzutu przeznaczonego dla powstańców, Amerykanie pozbyli się dopiero kilkadziesiąt kilometrów za linią frontu, na terenie opanowanym przez Rosjan.

Samoistnie nasuwał się smutny wniosek, iż amerykańskie samoloty obniżające wyraźnie swój lot dopiero w okolicy Mińska Mazowieckiego, nad Warszawą musiały lecieć na tyle wysoko, aby ponieść możliwie małe straty ze strony niemieckiej przeciwlotniczej artylerii. Miało to jednak bezsprzeczny wpływ na trafienie dużej ilości zrzutu, do rąk niewłaściwego adresata.

Od tamtego czasu minęło ponad pół wieku. O warszawskim powstaniu, napisano setki tomów. W materiałach publikowanych w okresie PRL-owskim na temat amerykańskiego zrzutu dla powstańców Warszawy, nie znalazłem żadnej wzmianki. Natomiast historycy szerzący wiedzę o warszawskim powstaniu w Trzeciej Rzeczypospolitej, pisząc peany o szlachetnej solidarności Stanów Zjednoczonych z walczącą Warszawą, nigdzie nie pisnęli nawet jednego słowa o tym, że ich lotnictwo tak spartaczyło ten zrzut dla warszawskich powstańców. A owego partactwa, byłem naocznym świadkiem.

ROZDZIAŁ 3

W takich oto warunkach, rodzina nasza dzień po dniu walczyła o utrzymanie się przy życiu. Dach nad głową u Kazika Kubickiego, mama, ojciec i siostra Mundzia odpracowywali w polu. Pracowali również u innych gospodarzy, dzięki czemu jedzenia, choć niewybrednego, nie brakowało nam.

Kiedy polowe roboty zaczęły się kończyć, utrzymanie rodziny na jakiś czas mama wzięła na siebie. Do głosu doszła wówczas hołubiona przez nią główka maszyny do szycia, której stół, nóżki i napęd, zostały w Telechanach.

Mama szyla, więc na maszynie bez napędu, obracając jej koło zamachowe palcem. Niekiedy ja i brat pomagaliśmy mamie, zastępując ją w tej czynności. Wtedy mama do dyspozycji miała obie wolne ręce i szycie szło szybciej, sprawniej.

Kiedy ja czy brat kręciliśmy koło maszyny do szycia kolejnymi palcami, skóra na nich ocierała się i bolała. To też staraliśmy się od tej roboty wymigiwać. Przychodziło nam to dosyć łatwo, bo mama użalała się nad paluszkami swoich synków. Sama nigdy na swoje palce nie narzekała, choć nieraz miała je czerwone i spuchnięte. Podziwialiśmy mamę, kiedy po zakończeniu szycia, rękoma z takimi palcami obierała ziemniaki, gotowała, prała, sprzątała.

Uszyte przez mamę fatalaszki, głównie dziecięce rzeczy, ojciec wynosił na rynek w Mińsku i tam je sprzedawał. Za tak zdobyte pieniądze, kupował niezbędne rzeczy jak mydło, czy proszek do prania. Z tego rynku w Mińsku, ojca kilkakrotnie wykurzyło ostrzeliwanie stacji przez Niemców z „Grubej Berty”. Wiał wówczas pośpiesznie do Gliniaka, na szczęście zawsze bez uszczerbku na zdrowiu.

* * *

Mijał czas. Przyszła straszna wiadomość o upadku warszawskiego powstania. Wiadomością wręcz nie do wiary było to, że Warszawa jako miasto przestała istnieć na rozkaz zbrodniczej decyzji Hitlera.

Linia frontu trwała nieruchomo na prawym brzegu Wisły, a Gliniak i cała okolica wciąż były narażone na unicestwienie, gdyby Niemcy zwęszyli zalegające tutaj gigantyczne i wciąż powiększane składy amunicji sowieckich wojsk.

W tym wypadku, Gliniak i okolica przypuszczalnie zawdzięczają swoje ocalenie funkcjonariuszom NKWD wyłapującym do nogi niemieckich szpiegów, którzy niewątpliwie usiłowali przedostać się na ten teren. Ludzie wiedząc, że siedzą na takiej bombie z zapalonym lontem, nie sarkali nawet po cichu na nieustanne węszenie enkawudzistów, wsadzających nosy w każdy zakamarek.

Z tych wszystkich zdarzeń nic nie robiła sobie Matka Natura, spokojnie przygotowując się do nadciągającej zimy. W związku z tym, w rodzinie naszej powstał problem, jak ją przetrwać. Letniskowy dom Kubickiego, w którym mieszkaliśmy, nie miał pieców. Cienkie ściany domu, rodzice ocieplili od zewnątrz warstwą suchego igliwia i liści, co w miejscowym języku nazywało się ogacaniem. Wiedzieliśmy jak to należy zrobić, bo wielu gospodarzy na wsi ogacało swoje chałupy w ten sposób, chociaż nie były to domy letniskowe. Ojciec zaś, kupił w Mińsku na rynku stary żelazny piecyk zwany kozą.

Po tych zabiegach, zamarznięcie w letniskowej chałupie już nam nie groziło, ale gorzej było z żarciem w zimie, bo o robotę u gospodarzy było coraz trudniej, a z maminego szycia, dochód był lichutki.

Opatrzność widocznie jednak czuwała nad telechańską rodziną, bo jakoś w listopadzie, ojciec dostał najprawdziwszą, jak się wówczas mówiło posadę w gminie Mińsk Mazowiecki. Powierzono mu tam funkcję kierownika sekcji wydawania ludności żywnościowych kartek. Takie, bowiem wprowadzono, żeby opanować spekulacyjny żywioł handlu deficytową żywnością. Wówczas było to konieczne, w wynędzniałym podczas okupacji kraju.

Codzienne dochodzenie z Gliniaka do pracy, nie było dla ojca zbytnią uciążliwością, gdyż obie miejscowości były oddalone od siebie o niecałe pół godziny pieszej drogi.

Teraz dzięki mizernej pensji ojca podpieranej dorywczymi pracami mamy i Mundzi u różnych gospodarzy, nasza rodzina przetrwanie zimy miała zapewnione.

Tak, więc, sytuacja naszej rodziny powoli stabilizowała się. Również w dziedzinie niedouctwa naszej trójki rodzeństwa. Kiedy bowiem na podstawie dekretu Tymczasowego Rządu rozpoczęto otwieranie szkół, ja zostałem przyjęty do szkoły powszechnej w Gliniaku, a siostra i brat do gimnazjum w Mińsku Mazowieckim. Całą naszą trójkę przyjęto do odpowiednich klas w tych szkołach, na podstawie posiadanych dokumentów i zdanych sprawdzianów z opanowanej do tej pory wiedzy.

Zrozumiałe, że nauka dzieci i młodzieży w czasie trwającej pięć lat okupacji spowodowała wyrwy niewiedzy w takich przedmiotach jak ojczysty język, historia i geografia. Nasza trójka także cierpiała na różne braki w edukacji. Jednak wiele zawdzięczaliśmy naszemu czytaniu, dzięki któremu uzupełnialiśmy poza szkołą wiedzę nie tylko z języka polskiego, którego naukę zakończyliśmy w 1939 roku. To między innymi zaprocentowało tym, że przy pisaniu robiliśmy znacznie mniej błędów, od większości uczniów naszych klas.

ROZDZIAŁ 4

W maju 1945 roku, w Europie zakończyła się druga światowa wojna. Hitlerowski potwór został dobity w swoim własnym gnieździe, w Berlinie. Jeden z największych zbrodniarzy nowożytnej historii, wódz Trzeciej Rzeszy Adolf Hitler popełnił samobójstwo, tuż przed upadkiem Trzeciej Rzeszy.

W kilka miesięcy później, w sierpniu przyszła makabryczna wiadomość dotycząca wciąż niezakończonej wojny na Dalekim Wschodzie pomiędzy USA i Japonią, do której dołączyli się także Rosjanie. Otóż, Amerykanie użyli tam nowej, potwornej w skutkach niszczenia broni, bomby atomowej. W kilkudniowym odstępie, tym nowym rodzajem broni zostały starte z powierzchni ziemi dwa japońskie miasta, Hiroszima i Nagasaki.

Wówczas Japonia skapitulowała i w tym momencie, na świecie zapanał upragniony pokój. Pokój, okupiony kosztem kilkudziesięciu milionów ludzkich istnień.

Zakończenie drugiej światowej wojny, nie było jednak świadectwem nastania radosnego pokoju w naszym Kraju. Wszędzie stacjonowało sowieckie wojsko, w którym nieomal roilo się od funkcjonariuszy NKWD. Tych „towarzyszy” w okrągłych niebieskich czapkach, bali się nie tylko Rosjanie. Enkawudziści bezkarnie buszowali wśród polskiej cywilnej ludności, wyszukując wrogów radzieckiej władzy. Przy okazji ofiarami padali także ludzie Bogu ducha winni, na których padł jakiś fałszywy cień podejrzenia. W sukurs enkawudzistom ochoczo szły ówczesne polskie organa bezpieczeństwa, powołane przez Rząd „wyświęcony” w Moskwie, przez samego ojczulka Stalina.

Przekazywanie sobie szeptem wiadomości o ludziach aresztowanych przez NKWD czy Urząd Bezpieczeństwa, było elementem codziennych rozmów. Wielu aresztowanych wywożono później w głąb sowieckiej Rosji, do łagrów. Zaroily się również więzienia w Kraju. Tyczyło to głównie osób, które podczas wojny walczyły z niemieckim okupantem w tych zbrojnych organizacjach, które nie podlegały sowieckiemu dyktatowi.

W lasach pozostawały jeszcze niektóre partyzanckie oddziały, uznające za jedynie legalny emigracyjny rząd w Londynie. Polski aparat bezpieczeństwa sterowany przez NKWD, podjął z tymi oddziałami bezpardonową walkę. One zaś, z kolei ukatrupiały milicjantów, ubeków i partyjnych działaczy. Zależnie od poglądu dowódcy leśnego oddziału na efekty zaistniałej rzeczywistości, nierzadkie też były represje wobec chłopów, którzy otrzymali ziemię na mocy dekretu o reformie rolnej.

Moi rodzice ciężko przeżywali wiadomości o tych bratobójczych walkach i ich skutkach. Spośród naszego rodzeństwa, moja siostra obciążona obowiązkiem nauki i dodatkowo zarobkowymi robotami, okazywała tym spr-

wom najmniej zainteresowania, ale mnie, a szczególnie mojego brata, te zagadnienia interesowały bardzo.

Jednak rodzice rozmawiając na te tematy, ograniczali w tym udział swoich dzieci do maksimum. Główną przyczyną takiej ich postawy był strach, aby któreś spośród nas w nieodpowiedzialny sposób, nie wyniosło zasłyszanych wiadomości z domu. Gdyby jakiś ubecki podogoniec doniósł o tym ówczesnym władzom bezpieczeństwa, mogłoby to napędzić naszym rodzicom niezłych kłopotów.

* * *

Kraj umęczony wojną i bestialską okupacją, powoli zalecał najcięższe rany. Większość ludzi cierpiała na skutek braku środków higieny, wciąż jeszcze panoszyły się wszawica, tyfus i świerzb. Nędza była zjawiskiem powszechnym, życie dostatnie prowadzili wyłącznie różnego rodzaju kombinatorzy i ludzie będący z każdym prawem na bakier.

Warunki materialne naszej rodziny, znacznie poprawiły się na początku 1947 roku. Wtedy starosta Mińska Mazowieckiego, powierzył ojcu stanowisko sekretarza mińskiej gminy, w której pracował on już od półtora roku. Niebawem też przeprowadziliśmy się całą rodziną z Gliniaka do Mińska Mazowieckiego, gdzie otrzymaliśmy w budynku siedziby gminy służbowe mieszkanie, należne osobie pełniącej funkcję, którą teraz objął ojciec.

Budynek ten stał w bezpośrednim sąsiedztwie kolejowej linii, biegnącej ze stacji w kierunku wschodnim. Odległość ta, nie przekraczała przysłowio-
wego rzutu kamieniem.

Chociaż od zakończenia wojny minęły dwa lata, większość przejeżdżających pociągów miała nadal militarne przeznaczenie. Codziennie, w obie strony gęsto przewijały się transporty wypełnione sowieckimi wojskami z różnorodnym wojennym sprzętem. Jeśli pociąg jechał w kierunku wschodnim, to niemal obowiązkowo był udekorowany napisami, że oto jadą nim „iz Bierlina” zwycięzcy nad faszyzmem.

„Iz Bierlina” na wschód jechało nie tylko sowieckie wojsko. Niemal każdego dnia ciągnęły transporty zaplombowanych wagonów, ciężko dudniących ukrytym wewnątrz ładunkiem, albo całe składy platform załadowanych skrzyniami, ogromnymi jak współczesne kontenery.

Ludzie wiedzieli od kolejarzy, że tymi transportami jadą do sowieckiej Rosji całe niemieckie fabryki, zdemontowane na terenach okupowanych przez Czerwoną Armię. Dla Rosjan zawartość tych transportów musiała być nader cenna, gdyż były one zawsze pilnowane przez licznych wartowników.

We wschodnim kierunku oprócz sowieckich wojsk jadących „iz Bierlina” i transportów wiozących zrabowane w okupowanych Niemczech fabryki i inne dobra, często jeździły długie składy odkrytych wagonów załadowanych węglem. Kolejarze wiedzieli dobrze, ile tego węgla zostawało w Polsce, a ile jechało do kraju zdobywców Berlina.

Wokół tych węglowych transportów, zawsze grasowały całe gangi tak zwanych węglarzy. Byli to młodzi ludzie kradnący z nich węgiel, sprzedawany później na czarnym rynku, jako że w miastach ludziom bardzo dośkwierał brak opału.

Ta kradzież węgla była nader niebezpieczna, bo pilnujący węglowych transportów strażnicy strzelali do węglarzy, jak myśliwi do kaczek. W Mińsku znanych było kilka wypadków postrzelenia, a nawet zabicia jednego węglarza.

W tamtych latach, kolejowa stacja w Mińsku Mazowieckim miała słabą przepustowość spowodowaną zniszczeniami, jakich dokonali Niemcy w 1944 roku, ostrzeliwując ją pociskami z „Grubej Berty”. To też większość pociągów jadących ze wschodniego kierunku, stawała pod semaforem znajdującym się dokładnie na wysokości budynku gminy, oczekując na zielone światło otwierające drogę do stacji.

Zdarzało się, że lokomotywa wlokąca za sobą sznur wagonów, nieraz cierpliwie sapała pod semaforem kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt minut. Któregoś letniego dnia, byłem świadkiem takiego długiego postoju, który w mojej pamięci zostawił trwałe piętno.

Wtedy to, przyjechał pociąg złożony z towarowych krytych wagonów, przeznaczony w dwóch miejscach platformami, na których dymiły polowe kuchnie. Kiedy pociąg utknął pod zamkniętym semaforem, w świetle pootwieranych dwustronnie drzwi zaroilo się od jakichś dziwnych postaci, które zaczęły wylazić na torowisko,

Byli to niewiarygodnie wychudzeni mężczyźni z ostrzyżonymi „do zera” głowami, których twarze o zapadniętych policzkach i niemal czarnych cieniach pod oczyma, natychmiast skojarzyły mi się ludzkimi czaszkami, jakie zobaczyłem w Telechanach na miejscu mordy żydowskiej ludności.

Większość tych ludzi miała na sobie łachmany świadczące o tym, że kiedyś były to mundury niemieckiej hitlerowskiej armii. Między tymi „łachmaniarzami” przewijały się zniszczone „rubaszki” umundurowania sowieckiego, albo jakieś strzępy cywilnego odzienia. Na nogach mieli rozpadające się wojskowe buty lub drewniane chodaki, a niektórzy powyłazili na ziemię boso. Ludzie ci, rozmawiali ze sobą po niemiecku.

Zrozumiałem natychmiast, że te ludzkie cienie są byłymi żołnierzami niemieckiej hitlerowskiej armii. Po iluś tam latach pobytu w sowieckiej niewoli zostali zwolnieni z niej i zachowując resztki kołaczącego się jeszcze w nich życia, wracają teraz do swojego kraju, okupowanego przez zwycięzców.

Ten cały desant zagłodzonych postaci, rozsypany wzdłuż wagonów na torowisku, zaczął gwałtownie oddawać swoje naturalne potrzeby. Wielu spośród nich nie mogąc widocznie z osłabienia przyjąć kucznej pozycji, wypróżniała się stojąc w rozkroku, z wypiętymi do tyłu pośladkami.

Temu żalosnemu widokowi apatycznie przyglądało się kilku sowieckich żołnierzy. Zapewne byli to wartownicy, którzy wyszli ze swojego wagonu i siedząc teraz na skarpie obok torowiska, palili papierosy. Ciekawe, że tylko

jeden spośród czerwonoarmistów miał przy sobie broń. Zapewne przekonani byli, iż fizyczna kondycja ich podopiecznych, żadnemu nie pozwoli na ucieczkę.

Kiedy semafor dał wreszcie temu pociągowi grozy sygnał wolnej drogi, maszynista pogwizdując syreną lokomotywy długo czekał, aż jego na pół żywi pasażerowie ponownie wgramolą się do wagonów. Ruszył dopiero wtedy, gdy sowiecki wartownik pomachał mu ręką i krzyknął „dawaj pajechali”.

Widok powracających z sowieckiej niewoli byłych żołnierzy „niezwyciężonej niemieckiej armii”, wywołał we mnie mieszane uczucia. Upłynęło zbyt mało czasu, aby w pamięci zbladły wspomnienia doznanych w różnoraki sposób okrucieństw, zadanych przez niemieckiego okupanta. Ich wykonawcą byli przecież oni, butni niemieccy żołnierze!

Dosłownie kilka dni wstecz, uczyłem się na pamięć zadanego w szkole wiersza Antoniego Słonimskiego. Każda zwrotka wiersza wymieniała hitlerowskie zbrodnie z ich konsekwencjami i kończyła się strofą, „przeklinam Niemców!”

A więc tym Niemcom z pociągu, dobrze tak. Niech odczują i to jak najboleśniej smak upodlenia i strachu przed śmiercią. Oni i tak wygrali wojnę, bo ją przeżyli, nie tak jak mój żydowski przyjaciel Chaimek, jak ludzie z Bobrowicz, Wiada i innych poleskich wsi!

Tę wrzącą mściwą satysfakcję, nagle ostudziły myśli wypływające z drugiego bieguna mojej duszy. Zaraz, zaraz, czy do tych butnych Niemców o zwyrodniałych poglądach należał również Hans, który przychodził do nas w Pińsku? Czyż nie otwierał przed nami swojej duszy płacząc i klnąc Hitlera? Niepodobna, aby Hans był jedynym odszczepieńcem w kraju „panów świata”.

A jak to jest z moimi krajanami? Wszyscy to ludzie dobrzy, uczciwi? Czy telechańscy czarni policjanci Griszka Rasputin i Żorzyk Wiktorowicz, też? A Mikołaj Dziechciaryk?

Nieodgadniony jest cel Stwórcy, że obdarzył nas ludzi tak skomplikowaną osobowością.

ROZDZIAŁ 5

Mijały miesiące wypełnione codziennymi troskami rodziców o byt naszej rodziny, zapuszczającej korzenie w grunt na nowej ziemi. Ziemi, którą nadal wstrząsały niepokoje bratobójczych walk. Rodzice, którym los Kraju nigdy nie był obcy, niejednokrotnie zadawali sobie pytanie, jaka przyszłość nas czeka w takim układzie politycznym.

Tę szarą rzeczywistość rozjaśnił w naszej rodzinie niezwykle radosny promyk, który pojawił się pewnego dnia 1947 roku. Oto w którejś gazecie, w długiej kolumnie rubryki „Poszukiwanie rodzin”, ojciec znalazł ogłoszenie naszej Mureczki, mojej kochanej Mureczki! W ogłoszeniu był także jej adres. Przebywała na gdańskim wybrzeżu nieopodal Pucka, we wsi Połczyno.

Zrozumiałe, że korespondencja z Mureczką została nawiązana błyskawicznie. Pierwszy list, który przyszedł z Połczyna, był brzuchaty i wiele, wielostro- nicowy. Odsłonił wszystkie konsekwencje rozstania się w tak beznadziejnie głupich okolicznościach z Mureczką i wujostwem, w lipcu 1944 roku.

Transport, w którym znajdowali się wujostwo, trafił w końcu nie gdziein- dziej, tylko do obozu pracy leżącego w Niemczech nieopodal Rawesbruck, gdzie znajdował się też koncentracyjny obóz zagłady.

Na wstępie odebrano rodzicom dzieci w wieku poniżej szesnastu lat, wy- syłając je do jakiegoś specjalnego obozu. Jednocześnie, odbywała się selekcja przydatności ludzi z transportu do pracy. Osoby stare, niedołężne i chore odesłano do leżącego nieopodal obozu koncentracyjnego, z pewnością w ce- lu natychmiastowego zgładzenia. Ludzi przydatnych do pracy, zamknięto w obozie pracy o zaostrożnym rygorze dyscypliny.

Kiedy podczas selekcji, zapytano wuja Stefana o zawód odpowiedział, że jest sadownikiem. Jego telechańskie hobby oszczędziło mu pobytu w obozie, gdyż natychmiast zabrał go stamtąd jakiś podstarzały dygnitarz w cywilu i o wuju słuch zaginął.

W takich to okolicznościach, Mureczka i ciotka Mania trafiły do obozu pra- cy, gdzie do późnej jesieni 1944 roku harowały na rozległych polach uprawy ziemniaków i buraków.

Obozowi robotnicy pracując przy zbiorze tych płodów rolnych, na wy- raźny rozkaz komendantury obozu skrzętnie wybierali z ziemi do wiaderek pędraki, służące za jedyną okrasę obozowego jedzenia. Po wznowieniu po- lowych prac wiosną 1945 roku, ta pyszna okrasa powróciła do obozowego menu, w postaci buraczanej zupy.

Jak pisała Mureczka, wiecznie kwękająca i chora ciotka Mania spisywała się w obozie całkiem dobrze. Kiedy podczas zimy w potwornych obozowych wa- runkach więźniowie podali jak muchy, „mama nawet nie przeziębila się”.

Obóz został wyzwolony przez wojska amerykańskie w maju 1945 roku. Dopóki Amerykanie nie zorganizowali transportu polskich więźniów do Kraju, a trwało to około pół roku, Mureczka bez reszty poświęciła się opiece nad polskimi dziećmi, wywiezionymi w czasie wojny przez okupanta do Rzeszy. Większość ich, pochodziła z terenu Zamojszczyzny.

Mureczka opiekując się niemczonymi przez hitleryzm dziećmi, jednocześnie z desperacją „nawracała je na Polskość”. Zrozumiałe, że nie była jedyną wolontariuszką. Między innymi, współpracowała z panią Joanną Szydłowską, była więźniarką obozu w Rawensbruck, gdzie udało się jej przeżyć prawie pięć lat. Pani Szydłowska była spowinowacona ze znaną lubelską rodziną Magierskich, której dwoje przedstawicieli poznałem kilkadziesiąt lat później. Pani Jadwigi Szydłowskiej, która zmarła w 1994 roku, niestety, osobiście nie poznałem.

Tutaj mała wyjaśniająca dygresja, jak dzieci z Zamojszczyzny znalazły się w niemieckiej niewoli. Podczas wojny, hitlerowscy okupanci kolonizowali Zamojszczyznę, osadzając na tamtych niezwykle urodzajnych ziemiach niemieckich rolników. Deportując stamtąd Polaków, jednocześnie odbierali im dzieci i wywozili do Niemiec. Cel tych działań, był wyjątkowo perfidny. Dzieci te trzymane w specjalnych obozach były zniemczane w hitlerowskim duchu i po osiągnięciu dojrzałego wieku, miały służyć Trzeciej Rzeszy za armatnie mięso!

Nie mam wątpliwości, że dzieci jadące z Pińska transportem, w którym także myśmy jechali, kiedy zostały odebrane swoim rodzicom pod Rawensbruck, podzieliły los dzieci zamojskich.

Stąd prosty wniosek, że gdyby nasza rodzina nie uciekła z transportu w Mińsku Mazowieckim, mnie i mojego brata także zamknięto by w takiej fermie hodowli przyszłych żołnierzyków Wehrmachtu, czy nie daj Boże nawet esesmanów.

Historia kocha powtórki, gdyż barbażyńskie manipulacje dziećmi, Hitler tylko zmałpował od starożytnych i średniowiecznych satrapów. Przypomnę tylko chociażby okrutnych i najbitniejszych tureckich żołnierzy, zwanych janczarami. Oni zanim wyrosli i stali się janczarami, byli chrześcijańskimi dziećmi, wziętymi przez Turków w jasyr.

* * *

Kiedy Amerykanie wreszcie przetransportowali statkiem grupę około tysiąca byłych więźniów z okupowanych Niemiec do Gdyni, wśród tych szczęśliwców znajdowały się także Mureczka i ciotka Mania. Urząd repatriacyjny ulokował je we wsi Połczyno koło Pucka, gdzie w miejscowej szkole Mureczkę przyjęto z otwartymi ramionami, jako nauczycielkę.

Po czterech latach rozłąki, w lecie czterdziestego ósmego roku powitałem moją Mureczkę w tymże Połczynie, dokąd pojechałem z ojcem. Wówczas ciotka Mania już od roku nie żyła. W Telechanach ciotki Mani nie lubiłem, ale w Połczynie, zrobiło mi się bardzo przykro.

W jakiś czas później, z pomocą Czerwonego Krzyża odnalazł się także ojciec Mureczki, wuj Stefan. Mieszkał we Wleniu na Dolnym Śląsku. Tam



Moja kuzynka Mureczka
- Małgorzata Ustymczuk.
Fotografia z 1968 roku.

bowiem znajdowały się dom i sad tego emerytowanego dygnitarza, który zabrał wuja z transportu pod Rawensbruck. Wuj pracował u niego jako parobek od pielęgnowania sadu, aż do czasu wejścia Czerwonej Armii. Dygnitarz uciekając przed sowietami z Wlenia, porzucił tam swój dom, sad i swojego wuja. A dom i sad wuja, nadal pozostawały za Bugiem w Telechanach...

Upłynął czas jakiś i odnalazł się z pomocą Czerwonego Krzyża razem ze swoją rodziną syn wuja Stefana też Stefan, nazywany pieszczołliwie przez nieżyjącą już jego matkę Ścioszykiem. W międzyczasie, Ścioszyk dorobił się ze swoją żoną Ireną dwójki dzieci i mieszkał koło Wrocławia w Trzebnicy, gdzie był prawnikiem, pożytkując ukończone przed wojną studia na uniwersytecie w Wilnie.

Jednak radość odnalezienia w powojennym zamęcie wuja Stefana, Mureczki i Ścio-

szyka, przyćmiewał brak jakichkolwiek wieści o losach rodziny cioci Mirki i wujka Nikodema, oraz siostry mojego ojca Katarzyny.

Kontakt z jej rodziną urwał się jeszcze w 1939 roku i w następnych latach, nigdy już nie został przywrócony.

Natomiast z ciocią Mirką, mamie udało się nawiązać listowny kontakt dopiero po śmierci Stalina, w połowie pięćdziesiątych lat ubiegłego wieku. Cała jej rodzina, przeżyła wojnę bez uszczerbku.



Pierwsze powojenne spotkanie
w lutym 1948 roku mamy
z jej bratem, moim wujem Stefanem.

ROZDZIAŁ 6

Moje dotychczasowe niezwykle bogate jak na wyrostka przeżycia spowodowały, że odszukanie w tak poplątanim świecie właściwej drogi przyszłego życia, stało się niezwykle trudne. Wiele moralnych wartości nauki rodziców, okazało się bezsilnymi w zetknięciu z ludzkim draństwem, wyzwolonym przez straszliwą drugą światową wojnę. Także niestety jej zakończenie, nie sprowadziło na Kraj pienia anielskiego chóru.

Wprawdzie rodzice nadal na miarę swych możliwości usiłowali utrzymać wokół swoich dzieci obłoczek chroniący je przed brutalnością życia, ale w miarę naszego dorastania, stawał się on coraz wątlejszy.

Dzisiaj z perspektywy przeżytych lat, składając moim rodzicom najgłębszy hołd za ich wychowawczy trud jednocześnie stwierdzam, że te ich starania w niektórych wypadkach uczyniły więcej złego, jak dobra. Albowiem przy niejednokrotnym zderzeniu się z brutalnością życia, moje rodzeństwo i ja nie umieliśmy przyjąć właściwej, obronnej postawy. W wielu przypadkach, było to przyczynkiem naszych życiowych niepowodzeń, ale w konsekwencji formowały się nasze poglądy na otaczający świat.

I tak już w latach naszego wzrastania jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności, drogi duchowego życia mojego rodzeństwa i moja, zaczęły rozchodzić się dość daleko od siebie. Oni do dzisiaj ślepo przyjmują do wiadomości wyłącznie to, co głoszą kapłani powszechnie wyznawanej w naszym Kraju religii. Natomiast mój rozumek wobec ich poglądów, okazał się być wyrodnym.



Moja fotografia z 1947 roku, wykonana w Mińsku Mazowieckim.

Dla wielu może to wydać się niepojęte, że w młodym człowieku wywodzącym się z głęboko religijnej rodziny, pojawiła się skłonność do dociekania skrętnie przed maluczkimi ukrywanych, bo niechwalebnych wątków historii różnych religii, w tym i katolickiej. Jeszcze dziwniejszym może wydać się fakt, że prowokatorami do powstania takich poglądów, w dużym stopniu byli moi kolejni dwaj księża prefekci.

Zaczęło się to jeszcze w szkole podstawowej, zwanej wówczas powszechną. Nielubiany przez dzieci ponury i opryskliwy prefekt, chętnie wykręcający uczniom uszy bez oszczędzania dziewczęcych, wielokrotnie między wierszami głośno wyrażał żal, że wojna skończyła się zbyt szybko. Sedno jego żalu tkwiło w tym, że Hitler poniósł klęskę nie zdążywszy „wydusić wszystkich Żydów”.

Dla mnie dziecka, któremu od oseska wpajano szacunek dla wszystkich ludzi bez względu na religię, nację i pochodzenie, było to szokiem. Kiedy przy moim dynamicznym usposobieniu spróbowałem wejść z prefektem w dyskusję na ten temat, skończyło się to wyzwiskami od żydowskich pacholców, czarnych owiec szerzących zarazę i wypędzeniem z klasy.

Jednakże prawdziwa nawałnica gromów spadła na mnie dopiero po akcie Bierzmowania, które było dla mnie niezwykle głębokim przeżyciem, o czym pisałem już wcześniej.

Otóż na którejś lekcji religii, prefekt mówiąc o najcięższych grzechach, zaszerzegował do nich także pychę. Omawiając przejawy tej „nikczemnej ludzkiej cechy” powiedział, że jedną z nich jest strojenie się w bogate szaty, aby okazać swoją wyższość nad innymi.

Ja chłopię spostrzegawcze nad miarę, ale naiwne do granic głupoty zapytałem wówczas, jak strojenie się we wspaniałe szaty może być grzechem, skoro podczas wszystkich uroczystości związanych z aktem Bierzmowania, szaty Jego Eminencji księdza Kardynała Augusta Hlonda, aż kapaly od złota.

Moje ucho, za które zostałem wywleczony z klasy na korytarz, bolało mnie do następnego dnia. Groziła mi dwójka z przedmiotu religii i pozostanie w siódmej klasie na drugi rok. Jednak w końcu dzięki kierownikowi szkoły panu Cieślakowi, szkołę ukończyłem mając na świadectwie z przedmiotu „religia” trójkę.

W gimnazjum, z ust już innego prefekta, także parokrotnie polecały na mnie parszywe czarne owce, kiedy prosiłem go o wyjaśnienie nurtujących mnie myśli, związanych z pewnymi dogmatami. Jedynym uzyskanym wyjaśnieniem było to, że należy siedzieć cicho z zamkniętą gębą i ślepo wierzyć w nieomylność tego, co głosi kapłan.

W klasie nie byłem jedyną parszywą owcą, albowiem było ich niewielkie, ale całe stadko. Składało się ono poza mną jeszcze z kilkorga dzieci, należących do kościoła mariawickiego. Dla nich wielbny prefekt nie znajdował innego miana niż parszywych owiec, szerzących zarazę herezji wśród niewinnych białych owieczek.

* * *

Wiosną 1949 roku, warszawski wojewoda powierzył mojemu ojcu funkcję starosty w Pułtusk, dokąd niebawem przeniosła się nasza rodzina. Ten urząd ojciec sprawował niewiele ponad rok. Przez cały okres „starostowania”, prócz swoich obowiązków musiał także wykonywać obowiązki ówczesnego sekretarza starostwa, gdyż ten, był człowiekiem niekompetentnym, całkowicie gubiącym się w swojej papierkowej robocie. Był to jakiś osobnik, protegowany na ten „stołek” przez towarzyszy z komitetu partii.

Pewnego dnia zjawił się w starostwie pełnomocnik wojewody, który „w teczce” przywiózł nowego starostę i rozporządzenie, przenoszące mego ojca z funkcji starosty, na sekretarza powiatu. Dotychczasowy sekretarz, choć człowiek w oczach partyjnego aparatu wielce zasłużony, „stołek” ten musiał opuścić na skutek zawodowego nieudolstwa.

Nowy starosta, był jakimś partyjnym „kombatantem” rodem z PZPR-u, niemającym jak się niebawem okazało, żadnego pojęcia o pracy terenowego samorządu. Jego jedynym plusem było to, iż z natury był człowiekiem przyzwyczajonym. Nie miało to jednak żadnego wpływu na fakt, że mój pechowy ojciec poza swoimi nowymi obowiązkami sekretarza, musiał teraz odwalać także całą robotę za towarzysza starostę.

Ja zaś, z początkiem nowego szkolnego roku, swoją edukację zacząłem kontynuować w pułtuskiej średniej szkole imienia Piotra Skargi. Byłem z tego niepomiernie dumny, jako że moja nowa szkoła miała niezwykłą, pięćsetletnią tradycję.

Ciekawym zbiegiem okoliczności, o Pułtusk i istnieniu tej szkoły wiedziałem jeszcze wówczas, kiedy mieszkaliśmy w Telechanach. Mianowicie, pewnego razu ksiądz Tarnogórski pożyczył mi kolejną książkę pod tytułem: „Pamiętnik błękitnego mundurka”. Autorem tej przepięknej książki był Wiktor Gomulicki, niegdysiejszy uczeń tego gimnazjum.

W pułtuskiej szkole, mój pierwszy kontakt na lekcji religii z nowym prefektem, wywołał u mnie szok uczuciowo odwrotny od tych, jakie serwowali mi jego poprzednicy. Ten trzydziestoparoletni ksiądz w odróżnieniu od prefektów z moich poprzednich szkół, był osobą niezwykle kontaktową i uczniów traktował jak starszy kolega.

Kapłan ten, do odmiany nie żałował przedwczesnej śmierci Hitlera, natomiast często użalał się nad wszystkimi ofiarami wojny, z Żydami włącznie. Głosił, że wobec Pana Boga nie ma równych i równiejszych, są tylko ludzie pragnący żyć w zgodzie z Nim i ludzie źli.

Nabrawszy do nowego prefekta pełnego zaufania, niebawem odważyłem się ponowić któreś z moich pytań z tematyki nurtujących mnie wątpliwości. Ksiądz w przeciwieństwie do moich poprzedników, nie ochrzcił mnie czarną owcą, nie kazał zamknąć gęby, a ona zaś rozdziawiła się ze zdumienia, kiedy ten stwierdził, że jestem myślącym młodym człowiekiem.

Prefekt wielokrotnie na swoich lekcjach puszczał obłoczki pozalekcyjnych tematów, opowiadając nam różne ciekawostki z historii nie tylko chrześcijań-

stwa, ale także i innych religii. W opowiadaniach tych, nie omijał nawet ich ciemnych meandrów. Uzasadniał je tym, że duchowi przywódcy wszystkich religii są przecież tylko omylnymi ludźmi, a nie marionetkami sterowanymi bezpośrednio ręką Pana Boga. Stąd również i pośród chrześcijan pełniących bożą służbę, w ciągu dwóch tysięcy lat historii kościoła, powstało wiele różnych potknięć. I tak między innymi, dowiedzieliśmy się o niektórych moralnych aspektach okrytych wstydlwym milczeniem z okresu krzyżowych wojen, o kobiecie papieżycy, kulisach walki dwóch papieskich tronów, czy przerażającej rodzinie Borgiów.

Każdą taką ciekawostkę prefekt kończył morałem, że opowiedziana przez niego historia winna być dla nas przestrogą, do czego może człowieka doprowadzić chorobliwa żądza władzy, pycha czy hipokryzja. I że te wszystkie ohydne ludzkie przywary są przejawem moralnego upadku, będące owocem niedoskonałości ludzkiej istoty. Napominał nas, abyśmy pamiętając o niej, walczyli ze wszystkimi pokusami i strzegli się ich jak ognia.

Wielokrotnie nam przypominał, że już biblijny przykład pierwszych bożych dzieci, to jest Adama i Ewy świadczy o niedoskonałości człowieka, która jednak nie przeczy temu, że nimi jesteśmy. Tyle tylko, że po ziemi ludzie chodzą różnymi drogami, nie zawsze właściwymi.

W odróżnieniu od moich dwóch poprzednich prefektów, ten nie nazywał innowierców heretykami i nie wysyłał ich „żywcem” w czeluście piekła.



Moja przedmaturalna klasa w Pułtusk. Osoba w okularach stojąca w ostatnim rzędzie, to nasz prefekt ksiądz Szczepański, a ja to środkowy młodzian pomiędzy klęczącymi.

Po pewnym czasie, język rozwiązał się poza mną jeszcze jednemu z moich kolegów, Mańkowi. Kiedyś z jego ust padło pytanie, jak to jest z dogmatem o nieomyślności papieża, skoro dogmat istnieje od tak niedawna, a człowiek jest istotą omylną i błędzącą. Ksiądz uśmiechnął się i odpowiedział, że tej dyskusji nie podejmie. Będąc kapłanem złożył śluby, wśród których zobowiązał się do ślepej lojalności wobec swoich hierarchów.

Po zakończeniu lekcji, odpowiedź prefekta „przeżuwaliliśmy” z Mańkiem, który nie czuł się usatysfakcjonowany. Zarzucał księdzu, że ten wyślizgał się z pytania. Ja natomiast miałem zdanie odwrotne i mój szacunek do prefekta wzrósł jeszcze. Zachowanie jego zrozumiałem w ten sposób, że kapłan będąc wzorem uczciwości zachował lojalność względem złożonych ślubów, ale swoim przemilczeniem podpowiedział nam, abyśmy sami wyciągnęli z tego wnioski.

Kiedy brakował mi rok do matury, kapłańska służba naszego księdza prefekta zakończyła się katastrofalnie. Stało się to wtedy, gdy ludzie na całym świecie podpisywali tak zwany Sztokholmski Apel Pokoju. Nawoływał on do zaniechania jakichkolwiek wojennych działań na świecie, szczególnie z użyciem atomowej broni. Apel był absolutnie zasadny, gdyż w kilka lat po zakończeniu drugiej światowej wojny, która pochłonęła ponad dwadzieścia milionów ludzkich istnień, nad światem zawisła nowa groźba wojny i to właśnie z użyciem broni jądrowej.

Apel w proteście przed rozlaniem się na cały świat ówczesnych zarzewi wojennych, podpisywali ludzie chyba ze wszystkich krajów świata. Poparła go również sowiecka Rosja, znajdująca się wówczas pod stalinowskim reżimem. Poparcie to było jednak nader obłudne, gdyż właśnie Rosja była wówczas jednym z głównych zagrożeń światowego pokoju.

W uzależnionej od Moskwy Polsce, podpisywanie Sztokholmskiego Apelu przybrało rozmiary potężnej nagonki na wszystko, co nie było akceptowane przez stalinowski reżim. Propaganda trąbiła na wszystkie sposoby, że jedyną ostoją pokoju na świecie jest wielki Związek Radziecki. W świetle tak oczywistego ordynarnego łgarstwa, podpisywaniu Sztokholmskiego Apelu sprzeciwili się polscy katoliccy hierarchowie.

W tym miejscu zaniecham komentarza, ale według mnie tamta polityczna obłuda Moskwy nie mogła pozbawić uczciwych ludzi pragnienia zachowania pokoju i udowodnienia tego złożeniem podpisu pod tym Apelem.

W tej skomplikowanej sytuacji zderzenia się humanitarnego protestu z polityczną hipokryzją, przeciwko której tak a nie inaczej zaprotestował polski Episkopat, nasz ksiądz prefekt lojalny wobec swoich zwierzchników, Apelu nie podpisał.

Można rzec, iż partyjne władze Pułtusza tylko na to czekały. W tamtych latach we wszystkich szkołach były lekcje religii, gdyż jeszcze nie istniał oficjalny rozdział pomiędzy Państwem i Kościołem. Jednakże partia wykorzystywała każdą okazję, aby księży wyrugować ze szkół.

Partyjni towarzysze z komitetu, pozbycie się ze szkoły księdza załatwili w „białych rękawiczkach”. Do tego celu użyli „młodzieżowej awangardy”

w postaci Związku Młodzieży Polskiej, do którego wówczas w zasadzie należeli wszyscy uczniowie.

Po odpowiednim instruktarzu w Komitecie partii, przewodniczący szkolnego koła Związku Młodzieży Polskiej, uczeń mojej klasy niejaki Józio Gryc, pewnego dnia na długiej przerwie zarządził masówkę całej szkolnej młodzieży. Na masówce tej odczytał „głębokie oburzenie wszystkich uczni szkoły”, wobec postawy prefekta do Sztokholmskiego Apelu i wniósł do dyrekcji żądanie natychmiastowego zwolnienia go z obowiązków prefekta.

Cóż, młodzież zrzeszona w ZMP jako przyszłość i awangarda narodu, wtedy zawsze miała rację, a szczególnie w takich wypadkach. Dyrektor szkoły chcąc pozostać dyrektorem, alternatywy nie miał.

Ksiądz prefekt Szczepański, z pewnością prefekt nietypowy, ale przecież wspaniały człowiek i wychowawca, wkrótce zniknął ze szkoły. Niebawem wyjechał dokądś z Pułtusza.

* * *

A tak jeszcze na marginesie „wygryzienia” naszego prefekta ze szkoły. Towarzysze z komitetu partyjnego, byli „specjalistami” w metodzie kopania dołków „łapskami w białych rękawiczkach” pod niewygodnymi sobie ludźmi. Do takiego dołka, wleciał także mój ojciec. Tyle, że bez udziału ZMP i jego awangardzisty Józka Gryca.

Ojciec którymś personalnym kwestionariuszu napisał uczciwie, ale głu-pio, że do wybuchu wojny miał długi staż partyjny w PPS-ie, i to o zgrozo, we frakcji wiernej do samego końca Piłsudskiemu.

Komitetowi towarzysze z PZPRu dopatrzwszy się kiedyś tego, zachnęli się. Jakże to tak, żeby piłsudczykowski zaprzaniec pełnił w starostwie tak odpowiedzialną funkcję, skoro tylu półgramotnych, ale zasłużonych towarzyszy czeka w kolejce na ciepłą posadkę? Nie mając przeciwko ojcu żadnych formalnych rzeczowych zarzutów, zaczęli knuć przeciwko niemu różne śmierzące intrygi, przy pomocy swoich zauszników.

Ojciec nękany różnymi brudnymi knowaniami partyjnych figur, w końcu sam złożył wojewodzie rezygnację z funkcji sekretarza starostwa. Potem aż do emerytury, kierował handlowym przedsiębiorstwem w Pułtusku, nadal ciesząc się ogólnym poważaniem.

* * *

Może to zdanie zbulwersuje niejedną Szanowną Personę, ale moje życiowe doświadczenia niezbiecie dowiodły, że z upadkiem poprzedniego systemu politycznego w naszym Kraju, nie wyginęli wszelakiej maści intryganci. W obecnie panującej nam miłościwie Rzeczypospolitej, też niestety od nich rojno jak od pszczołek w ulu, o czym przekonałem się na własnej skórze. Pytam, jak i gdzie wylęgają się takie indywidua w narodzie, który dał światu tylu wspaniałych, sławnych ludzi?

ROZDZIAŁ 7

Minął niespełna rok i stanąłem do maturalnego egzaminu, który sromotnie oblałem. Sto procent winy poniosło tutaj moje zadufanie w swoje możliwości, skojarzone ze śmierzącym leniem. Bez wątpienia, w szkole byłem jednym z największych polonistycznych orłów. Sam uwierzyłem w to głęboko, jako laureat różnych literackich konkursów. Nawet mój wspaniały dyrektor dr Janusz Łopuski, zaofiarował się użyć swoich wysokich koneksji, abym po maturze bez kłopotów rozpoczął dziennikarskie studia na warszawskim Uniwersytecie.

Ta perspektywa nie pociągała mnie jednak. Od zawsze fascynowała mnie technika, a radiotechnika całkowicie pochłonęła mnie już w wieku dorastania. Pragnąłem zostać inżynierem, ale moje lenistwo odstręczało mnie od przykładania się do przedmiotów ścisłych. Uczyłem się przykładowie tylko tego, co mnie w szkole interesowało, a nad resztą prześlizgiwałem się. Jednak ten wypróbowany manewr, na maturalnym egzaminie z matematyki mi nie wyszedł i zakończył się sromotnym upadkiem.

Poczucie urażonej dumy wypływające wprost z młodzieńczej głupoty, nie pozwoliło mi pokornie cmoknąć w przeprosinach ręki mojej szkoły i powtórzyć z sukcesem maturalnej klasy. Mimo perswazji rodziców obficie zakrapianych łzami mamy, zdecydowałem się na radykalną zmianę w moim życiu. Postanowiłem zdradzić wieloletnie marzenie zostania wysokiej klasy inżynierem radiowcem. Zapragnąłem zostać marynarzem, wyrwać się na przestworza mórz i oceanów.

* * *

Zdecydowawszy się na Szkołę Morską w Gdyni, całonocną podróż po ciągami strawiłem na marzeniach. Już widziałem siebie, jak w ślicznym marynarskim ubranku bryluję pośród kipiących namiętnością egzotycznych dziewcząt, w jakiejś portowej tawernie na Karaibach albo Hawajach.

Kiedy wiozący mnie pociąg dowlókł się wreszcie do Gdyni, gdzie odszukałem swoją przyszłą szkołę, moje rozkoszne nocne widziadła zszarzały zaraz na wstępie.

Wymarzone śliczne marynarskie ubranko okazało się być roboczym uniformem z grubego jak brezent płótna, dźwięk hawajskich gitar w tawernie zastąpiły bosmańskie gwizdki i pokrzykiwania, a egzotyczne dziewczęta... ech!

Byłem chłopcem fizycznie sprawnym, nawet co nieco ponad miarę rówieśników, ale w pierwszych dniach bolały mnie wszystkie mięśnie, a na dłoniach pojawiły się odciski. Słabą pociechę miałem w tym, że sporo nowicjuszy było w stanie znacznie gorszym ode mnie.

Płonałem ze wstydu przed komendantem Szkoły, kiedy niebawem zdecydowałem się na legalną dezercję z niej. Tegoż samego dnia wieczorem, siedziałem już w wagonie pociągu wiozącego mnie do Warszawy, skąd było tylko sześćdziesiąt kilometrów do Pułtusza i moich rodziców.

Zjawienie się na łonie rodziców dezercera niedoszłej marynarskiej przygody, wywołało obfite mamine łzy radości i współczucia, że synek tak zmarniał, ale ojciec machnął tylko ręką. Zupełnie, jak to w Telechanach czynił wuj Stefan.

Niedługo popasałem na wikcie mamy. Podobno jeszcze nie odmarniałem do końca po Gdyni, kiedy mi powróciła miłość do radiotechniki. To też niebawem zdałem pomyślnie wstępne egzaminy do Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Białobrzegach, nieopodal Warszawy. Szkoła była dopiero w stadium organizacji, przyjmowano do niej nawet takich naturalnych niedouków jak ja, ale po czterech latach nauki, miało się otrzymać oficerskie szlify i dyplom inżyniera radiotechniki. Tak to się wówczas nazywało.

Pech towarzyszący wiernie mojej osobie przez całe życie i teraz dotrzymał mi kroku. My, przyszli słuchacze tej uczelni, w ciągu pierwszego tygodnia pobytu wiedliśmy żywot rekrutów, poganiani od pobudki do capstrzyku przez jakichś chamowatych kaprali. Przez cały ten czas paradowaliśmy w swoich ubrankach, ponieważ nie otrzymaliśmy ani mundurów, ani żadnego ekwipunku.

Po tygodniu takiej kwarantanny, komendant szkoły powiadomił nas, że rozkazem Marszałka Wojska Polskiego Konstantego Rokossowskiego, szkoła została zlikwidowana zanim rozpoczęła rok szkolny. Dano nam wolną rękę, albo odwalić w pobliskiej jednostce obowiązek dwuletniej służby wojskowej, albo przenieść się do odległej o kilkanaście kilometrów Oficerskiej Szkoły Łączności Radiowej w Zegrzu.

A więc, w rachubę nie wchodził ponowny powrót do Pułtusza, na rodzicielskie łono. Jednak nie wyobrażałem sobie zamiany marzeń zostania inżynierem, na odbytnienie dwuletniej wojskowej służby w jakiejś zapyziałej jednostce piechoty. Postanowiłem ambicjonalnie spaść z wierzchowca na grzbiet kucyka. Z konieczności wybrałem Zegrze.

Kilka dziesiątków takich przymusowych amatorów Zegrza jak ja, pomaszerowało pod nadzorem paru kaprali do nowej szkoły początkowo przez las, a potem wilgotne łąki, które w parę lat później stały się dnem Zalewu Zegrzyńskiego.

Oficerska szkoła w Zegrzu miała stare jeszcze przedwojenne tradycje, ale teraz mocno spuściła z tonu, bowiem teraz w Polsce obowiązywała zasada, że „nie matura, lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”. To też jeśli kandydat na oficera dochrapał się siódmej klasy podstawówki, lub nawet coś mu jeszcze do tego brakowało, ale posiadał słuszne pochodzenie społeczne, zostawał podchorążym.

Cykl nauki trwał w Zegrzu trzy lata z tym, że na pierwszym roku przyszłych oficerów douczano co nieco z przedmiotów ogólnych, jak na przykład

języka polskiego, czy matematyki, a nawet posługiwania się przy jedzeniu widelcem i nożem. Zrozumiałe, że priorytetem było szkolenie ideologiczne.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, mój życiowy pech na chwilę gdzieś się zagapił, bo całą naszą grupę z Białobrzegów czekała miła niespodzianka. Z nas maturzystów nawet takich niedokołysanych jak ja i plutonu przysłanych do Zegrza absolwentów Szkoły Kadetów, utworzono elitarną kompanię o cyklu szkolenia trwającym tylko półtora roku. Nadto po jej ukończeniu, mieliśmy otrzymać nie ówczesny najniższy stopień oficerski chorążego, ale od razu podporucznika.

Półtora roku pobytu w Zegrzu, minęło szybko. W profilu szkoleniowym mojej kompanii, poza elementami ściśle wojskowymi i oczywiście ideologicznymi, zawaleni byliśmy szkoleniem w przedmiotach ściśle technicznych. Chłonałem więc radiotechnikę i wiedzę wojskową, a wolny czas poświęcałem dla sportu.

Rozkochałem się w gimnastyce przyrządowej, którą uprawiałem już w pułtuskiej szkole. Jednak tutaj, miałem po temu wymarzone warunki i niebawem wykazałem się takimi osiągnięciami, iż trafiłem do elitarniej ekipy gimnastyków. Ten fakt upoważnił mnie do marzenia o najprawdziwszej karierze sportowej, jako że wielkimi krokami zbliżała się Olimpiada w Melbourne.

Jednakże mój wierny pech, warował przy mnie. Kiedyś na treningu popsuł się pode mną przyrząd, na którym akurat ćwiczyłem. Poleciałem razem z nim daleko na twardą podłogę, której jednak nie uszkodziłem. Gorzej było z moim kręgosłupem. Po blisko miesięcznym pobycie na neurochirurgii i ponownej komisji wojskowej powróciłem do Zegrza z orzeczeniem, iż nadał jestem zdolny do liniowej służby wojskowej, ale z ograniczeniami.

Moją sportową karierę szlag trafił, ale szkołkę ukończyłem wzorowo i po promocji zostałem skierowany do pancерnej jednostki, stacjonującej w Elblągu.

ROZDZIAŁ 8

Ta moja jednostka była Pierwszym Pułkiem Czołgów, wchodzącym w skład pancерnej dywizji i takiegoż korpusu. Wtedy, w czasach zimnej wojny, korpus ten stacjonował na polskim północnym wybrzeżu, w celu odparcia ewentualnego uderzenia „imperialistycznego agresora” od tej strony.

Pułk mój był zaprawiony w bojach, bowiem powstał jeszcze podczas wojny na terenie sowieckiej Rosji i w nieustannych walkach z Niemcami, dotarł do Berlina. Brał też udział w jednej z najkrwawszych bitew na polskiej ziemi, pod Studziankami.

W pułku tym zostałem dowódcą grupy radiowej. Poza dowódcą pułku i szefem sztabu, większość oficerów była ludźmi nieciekawymi. Przeważnie byli to jeszcze frontowcy, którzy dochrapywali się oficerskich stopni za bojowe zasługi, a potem awansowali za długoletnią wojskową służbę. Niektórzy spośród nich, nie posiadali nawet podstawowego wykształcenia.

Czas mijał mi na wykonywaniu moich służbowych czynności i zabijaniu jego nadmiaru w różnoraki sposób. Elbląg w czasie działań wojennych bardzo ucierpiał, jego znaczną powierzchnię zalegały ruiny. Jednak za moich tam czasów było już kino „Bałtyk”, nocny lokal z kawiarnią i restauracją o nazwie „Słowiańska”, oraz parę obskurnych knajp, a nawet elbląski teatr dramatyczny.

W stosunku do ilości wojsk zapełniających kilka rozrzuconych po mieście ogromnych poniemieckich koszar, ludność cywilna stanowiła tutaj zdecydowaną mniejszość. Przyznaję się dobrowolnie, że w tych warunkach łatwiej było mi znaleźć partnerkę chętną pójścia do „Słowiańskiej”, aniżeli do teatru. Ja sam także nie zawsze chodziłem do niego ochoczo, bo często grane tam były aż nazbyt prymitywne ówczesne produkcyjniaki, zakrapiane klasową walką. A dzięki mojej szkółce w Pułtusku, trochę smaczku w tej materii zdołałem liznąć.

Wobec tego, częściej bywałem w czynnej do drugiej w nocy „Słowiańskiej”, gdzie przedwojenne kawałki i aktualne przeboje grała orkiestra pana Miecia, a on sam kwilił ich teksty płaczliwym głosem skrzywdzonego eunucha.

* * *

W pierwszym pułku czołgów przetrwałem zaledwie rok, później przerzucano mnie parokrotnie do innych jednostek, gdzie w każdej było mi gorzej, jak w tej mojej pierwszej. Przyczynkiem do tego, zawsze byli moi przełożeni. Wielu z nich kłuło w oczy to, że mundur mój był zawsze świeżo wyprasowany i leżał na mnie jak na wystawowym manekinie. Często słyszałem od nich przycinki, że wyglądam jak paniczek, albo sanacyjny oficer.

Istotnie, swoim wyglądem zawsze wyróżniałem się w jednostce spośród kadry, ale taka atmosfera szczerze mówiąc, zachęcała mnie jedynie do niechlujnego wykonywania służbowych obowiązków.

Wolałem jednak jakiś stopień niechlujności w pełnieniu obowiązków aniżeli w wyglądzie, w którym to szczyt osiągnął ówczesny dowódca dywizji. Był nim niejaki Bolszak, sowiecki frontowy pułkownik, zawsze podchmielony brzuchaty facet o nalanej, fioletowej i często nieogolonej gębie, tkwiący w polskim zaszmelcowanym mundurze.

Pochodził z jakiejś podlwowskiej wsi, był prawie półanalfabetą, ale szlify oficerskie zdobył dzięki ponoć niezwykle odważnym wyczynom na froncie. Bolszak mówił po polsku znaną mu sprzed wojny, jego miejscową gwarą.

Dziwne, że taki zapasiony warchoł był jednocześnie erotomanem. Mój dobry kolega Włodek, będący adiutantem tego umundurowanego knura opowiadał, jak niejednokrotnie musiał spędzać popołudnia. Kiedy Bolszakowi nie udało się urznąć do dna, wołał Włodka i wydawał polecenie:

– Wołodia, kupi wódki i weźmi maszynę (samochód), pojedziem w Bażantarnię, nałapajemy kurwe i zabalujemy!

Bażantarnia, to był zdewastowany teren łowiecki, na którym w czasach hitlerowskiego panowania znajdował się jeden z myśliwskich pałacików Hermana Goeringa. Natomiast wówczas, tereny Bażantarni przylegające do miasta, zastępowały park i w cieplej porze roku roiły się od panienek oferujących swoje usługi głównie samcom w mundurach.

Bolszak w Elblągu długo miejsca nie zagrzał, gdyż niebawem sami Sowieci zabrali go na powrót do Sojuza, gdzie wywalili z wojska. W jakiś czas potem, jeden z moich pułkowych kolegów, który uzyskawszy wizę do sowieckiej Rosji odwiedził w czasie urlopu swoją rodzinę mieszkającą we Lwowie, przypadkowo spotkał tam Bolszaka. Były dowódca dywizji Polskiego Wojska, ubrany tradycyjnie w jakiś zaszmelcowany łach, nieogolony i podpity, na lwowskim bazarze handlował starzyzną.

Po odejściu Bolszaka, dywizja przysłowiowo wpadła z deszczu, pod rynną. Dowódcą jej został kurduplowaty pułkownik Ligaj, despota ze skłonnościami sadystycznymi. Osobnik ten na tle wojska „miał fijoła” do tego stopnia, że nawet „uwojskowił” swoją rodzinę. Jego pięcioletniego synka nigdy nie widziano w innym ubranku, jak tylko w oficerskim mundurku, uszytym dla niego na miarę. Dziecko wyglądało żałośnie.

* * *

Do upadku mojej wojskowej kariery, przyczyniłem się sam. W czerwcu 1956 roku podczas letniego obozu na poligonie w Czarnem, pewnego dnia dywizja została postawiona w stan gotowości bojowej. Wszystkie jednostki stanęły w kolumnach, gotowych w każdej chwili na rozkaz ruszyć do marszu. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Cel alarmu mogli znać jedynie najwyżsi sztabowi oficerowie poszczególnych jednostek korpusu. Na niższych szczeblach snuto najgorsze domysły, że wybuchła wojna.

Ja wówczas byłem dowódcą tak zwanego radiobiura, specjalnego autobusu wypełnionego odbiornikami, współpracującymi ze wszystkimi jednostkami korpusu. Był to doskonały węzeł komunikacyjny. Mój nieodłączny pech podszeptał mi, że jedynie ja i to natychmiast mogę dowiedzieć się o prawdziwej przyczynie alarmu. Wysłałem na papierosa swoich żołnierzyków pełniących służbę przy odbiornikach, a jeden z nich błyskawicznie przestroiliłem na BBC. Londyn bębnił o rozruchach w Poznaniu i reakcji władz na nie. Wszystko stało się jasne. Zostaliśmy postawieni w stan bojowej gotowości, ażeby w razie pogarszającej się w Poznaniu sytuacji wkroczyć tam, celem zdławienia rozruchów przy pomocy czołgów, strzelając do naszych współbraci.

Zbulwersowany do apogealnych rozmiarów, zasłyszana wiadomość z Londynu powtórzyłem w najgłębszej tajemnicy jednemu z kolegów, do którego miałem absolutne zaufanie. Jednak po kilkunastu minutach, w jednostce od tej wiadomości aż wrzało. Niemal wszyscy oficerowie i podoficerowie nie wyobrażali sobie, że mogliby strzelać do swoich rodaków. Nawet większość politruków, solidaryzowała się z tym poglądem.

* * *

Pancerny korpus, w którym służyłem, na Poznań nie ruszył. Późnym wieczorem alarm został odwołany, a wojskowe jednostki pozostały tylko w stanie podwyższonej gotowości bojowej. Ówczesnemu premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi, udało się „odciąć kontrrewolucjonistom rękę” przy pomocy sił znajdujących się bliżej Poznania, w którym obficie połała się krew i rozruchy zostały zdławione. Później radio wielokrotnie powtarzało cyrankiewiczową obietnicę, odciąć rękę wrogom socjalizmu.

* * *

Następnego dnia po alarmie, w moim pułku rozpętało się istne piekło. Działająca w wojsku tak zwana Informacja będąca polskim odpowiednikiem NKWD, rozpoczęła skrupulatne przesłuchiwanie całej kadry pułku, kto, jak i od kogo dowiedział się o rozruchach w Poznaniu, kiedy było to jeszcze okryte wojskową tajemnicą. A więc, z przedwczesnego ujawnienia zbrodniczych zakusów władzy, zrobiono zdradę tajemnicy wojskowej.

Po tym, jak dzięki mojemu zaufanemu przyjacielowi w pułku zawrzało, z góry wiedziałem, czego mogę spodziewać się ze strony informacyjnych wężycieli. Nie było bowiem wątpliwości, że języczkiem uwagi Informacji stanie się moja osoba jako dowódcy radiobiura, a więc osobnika posiadającego wręcz nieograniczony dostęp do tego, co dzieje się w eterze. Przecież nawet największy jołop z Informacji, pierwsze podejrzenie skierowałby na służbę radiową.

Do obmyślenia linii obrony w postaci jakiegoś niepodważalnego alibi, miałem do dyspozycji cały wieczór i nieprzespaną noc. Tak długie obmyślanie tematu, dało w efekcie nikłe rezultaty. Przecież podczas bojowego alarmu,

realnie mogłem wykonać niewiele czynności, które stanowiłyby wiarygodne kłamstwo. Tak, więc moją słabiutką obroną było powtarzanie w nieskończoność dokładnie tej samej wersji wszystkich moich czynności podczas alarmu i fakt, że niektórzy oficerowie pułku posiadali przecież radiowe odbiorniki. Wprawdzie wszystkie „wrogie socjalizmowi” stacje były skrzętnie zagłuszane, ale niejednokrotnie można było czegoś wysłuchać.

Byłem w nieskończoność „maglowany” przez Informację na różnych szczeblach sztabowych, ale twardo trzymałem się swojej wersji. Jedynie dla „zmylenia wroga”, zmieniałem szyk zdań i tonację wypowiedzi. Liczyłem się z tym, że mogę być nagrywany i wrażliwe ucho któregoś przesłuchiawcza mogłoby wyłapać, że recytuje wyuczoną wersję.

Czułem się cholernie zagrożony, że mogę się z tego nie wymotać i postanowiłem rejterować z wojska. W tym celu wykorzystałem swoje koleżeńskie, ale zupełnie przypadkowe koneksje sięgające bardzo wysokiego szczebla. Udało się. Niebawem do jednostki dotarł rozkaz z Ministerstwa Obrony, przenoszący mnie do rezerwy.

Tym razem, mój ukochany pech także okazji nie przegapił. Niemal tuż po moim odejściu do rezerwy, na szczycie władzy PRL-u nastąpił pałacowy przewrót. Na tronie zasiadł świeżo wypuszczony z więzienia Wiesław Gomułka, za którego wolą, w Kraju chwilowo dokonała się wielka odwilż polityczna. W wojsku Informacja w dotychczasowej postaci „zdechła”, a z nią i moja nierozwikłana przez nią zagadka, kto był zdrajcą wojskowej tajemnicy.

ROZDZIAŁ 9

Po pechowym opuszczeniu wojska przeniosłem się z Elbląga do Lublina, jako że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, otrzymałem tam pracę w swoim zawodzie.

Przez dalsze kolejne lata, życie mojej rodziny i moje, toczyło się na nowej ziemi bez szczególnych sensacji. Moje rodzeństwo i ja pozakładaliśmy rodziny, z tym, że ja oczywiście w małżeńskim trójkącie ze swoim nieodłącznym pechem. Dzięki temu, małżeństwo to po jakimś czasie rozleciało się. Zyskałem więc, status starego kawalera, ale pozostałem tatusiem mojej córki Oli, będącej na moim utrzymaniu.

Tutaj w Lublinie podwyższyłem swoje zawodowe kwalifikacje, zdobywając dyplom inżyniera. Pracowałem w swoim ukochanym zawodzie, odnosząc niejeden sukces. Jednakże przyspawany do mnie zapewne jeszcze w łonie matki mój nieodłączny pech, wielokrotnie obrzydzał mi życie. Pomógł mi także w rozstaniu się z moją firmą. Tutaj pech polegał na tym, że nijak nie chciałem stać się pokornym sługusem mojego głównego pryncypała, typa o wyjątkowo obmierzłym charakterku. Ten zaś posiadając potężne koneksje w ubecji i partii, bezkarnie mnożył wokół mnie najobrzydliwsze intrygi. Odszedłem z firmy dobrowolnie, po przepracowaniu w niej trzydzieści lat. Do dzisiaj, staram się omijać gmach mojej byłej firmy.

Po odejściu z firmy, trzy lata przebywałem na zagranicznym kontrakcie. Po powrocie zająłem się własnym biznesem, który rozwijał się całkiem obiecująco. Jednakże mój pech, nadal niezawodnie troszczył się o mnie i mój los. Pierwsze tąpnięcie nastąpiło dzięki mojemu wspólnikowi, któremu kształtny tyłeczek naszej sekretarki srogo zamieszał we łbie.

Kiedy pozbywszy się wreszcie obojga wylazłem z kłopotów, pewnej nocy obrabowano doszczętnie magazyn mojej hurtowni.

Rabunek towaru był tym dotkliwszy, że na jego pozyskanie ryzykownie włożyłem wszystkie posiadane środki pieniężne i doraźnie zaciągnięty kredyt. Tym oto sposobem, stałem się jednocześnie niewypłacalnym dłużnikiem dostawcy towaru i banku. Jednak nie utonąłem i do kryminału nie poszedłem. Przez następnych sześć lat pracowałem wręcz niewolniczo, ale z honorem wyszedłem na prostą. Wtedy diametralnie zmieniłem tryb życia. Stałem się wiekowo spóźnionym, ale nieustannie aktywnym emerytem.

* * *

W latach wyznaczonych przez los na moje istnienie pośród żywych, kolejno gasły świece życia członków mojej rodziny. I tak, ojciec mój zmarł wyjątkowo głupio w wieku sześćdziesięciu sześciu lat. Doznał perforacji wrzodu

żołądka, a w szpitalu półidiota lekarz wyciął mu zdrowy wyrostek robaczkowy. Kiedy w szpitalu zjawił się drugi lekarz, przy ówczesnym stanie medycyny, na ratunek było już za późno.

Dziesięć lat po śmierci ojca, mama doznała wylewu krwi do mózgu. Zanim zmarła, chorowała przez rok. Oboje rodzice spoczywają we wspólnym grobie, na starym cmentarzu w Pułtusku.

Kości ciotki Mani pozostały w Połczynie koło Pucka, a w trzydzieści lat po jej śmierci, wuj Stefan spoczął na cmentarzu we Włocławku. Kilka lat później, pochowano tam również jego drugą żonę, Marię.

Mureczka wiele lat mieszkała we Wrocławiu, gdzie dała ze siebie ogromny wkład w rozwój polskiego bibliotekarstwa. Oddała się bez reszty pracy niesłyszanie ważnej w tamtych latach, dla utrwalania polskości na odzyskanych zachodnich ziemiach. Zaskarbiła sobie tym powszechny szacunek, co nie znalazło odbicia w życiu prywatnym, którego nie ułożyła pomyślnie. Wojenna zawierucha rozdarła związek Mureczki z jej narzeczoną Polkiem, na zawsze. Ona jednak pozostała mu wierna dotrzymując danego słowa i nie przyjmując oświadczeń wielu starających się o jej rękę.

Macoszy los wyznaczony wojennymi przeżyciami, odcisnął w niezwykle delikatnej psychice Mureczki piętno, które spowodowało na kilka miesięcy przed jej śmiercią ciężkie zmiany psychiczne. W jej mózgu odżyły wszystkie demony z lat wojny. Mureczka żyła w urojonym świecie ciągłego strachu zarówno przed sowieckimi enkawudzystami, jak i niemieckim gestapo. Pełną świadomość odzyskała na kilka dni przed śmiercią. Odeszła tak cichutko i pogodnie, jaką była przez całe swoje życie. Zmarła w ostatnich latach dwudziestego wieku i spoczęła na zawsze obok grobu swojego brata Stefana i jego żony Ireny, na cmentarzu w Kielcach.

* * *

Moje rodzeństwo i ja, wciąż pozostajemy na łonie Matki Przyrody w świecie istot żywych, forsując rok po roku wszystkie kłody rzucane przez los pod nasze nogi.

Siostra Mundzia wyszła za mąż, kiedy studiowała w Warszawie medycynę. W staraniach, ażeby uniknąć ciąży przed zdobyciem dyplomu lekarza, także przeszkodził jej pech. Trudne ówczesne warunki materialne połączone z wychowaniem dziecka, spowodowały przerwanie studiów. Mundzia medycyny jednak nie zdradziła. Uzyskawszy dyplom pielęgniarki, do emerytury pracowała w jednym ze szpitali w Otwocku, gdzie długie lata była instrumentariuszką na sali operacyjnej, a później siostrą oddziałową.

Teraz nadal mieszka w Otwocku. Ma dwóch dorosłych synów i troje wnucząt. Niedawno owdowiała. Szkoda Mariana, to był bardzo dobry człowiek.

Brat mój Stefan także emeryt, od wielu lat mieszka w Mińsku Mazowieckim. Z zawodu jest ekonomistą, absolwentem warszawskiej uczelni noszącej wówczas nazwę SGPiS-u. Jemu też udało się ożenić dwukrotnie. Paweł jest synem mojego brata, a Piotrek jego drugiej żony, która swego czasu opuściła

Stefana na długie lata i pracowała w Stanach Zjednoczonych. Niedawno powróciła, ale nie w postaci marnotrawnej córki, gdyż tam wypracowała sobie emeryturę.

Stefan będąc emerytem, nie siedzi cały dzień w piżamie przy oknie. Jest bardzo aktywny, należy do kilku interesujących towarzystw i współpracuje z lokalną gazetą.

Ja ugrzęzłem zapewne do końca swoich dni w Lublinie, gdzie po dwunastu latach starokawalerstwa, ożeniłem się ponownie. Mam córkę Anię, która jest już osobą dorosłą i posiada dyplom magistra ekonomii.

Moja pierwsza córka Ola, mieszka w Bytomiu. Jest wdową. Jej córka, a moja wnuczka Agnieszka, jest starsza od mojej Ani o całe półtora miesiąca.

* * *

I tak to moja paplanina na papierze o losach jednej poleskiej rodziny, którą wichur okrutnej wojny wyrwał z korzeniami z ich rodzinnej ziemi, dobiegła finału. Drzewo tej rodziny i jego latorośle zakorzeniły się w nowej ziemi, która najpierw utrzymała ich przy życiu, a potem zapewniła rozwój ich latoroślom. Te zaś, po latach spłodziły nowe latorośle, dla których sentymenty ich dziadów za opuszczoną ziemią, są już zupełnie obce.

A piękna to była ziemia, o absolutnie dziewiczej urodzie. Ale mijały lata, źli ludzie tę urodę zniszczyli nieodwracalnie. Niechże po urodzie tej zaginionej ziemi, pozostanie chociażby jakiś ślad na papierze.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ, OSTATNIEJ.

EPILOG

W dniu dziesiątego lipca 2004 roku, jadę pociągiem kursującym wahałowo pomiędzy polską stacją Terespol, a białoruskim Brześciem i niebawem przekroczyć polsko-białoruską granicę na rzece Bugu.

Ten nijaki pozornie epizod, dla mnie ma ogromne znaczenie. Za dwanaście godzin wypełni się sześćdziesiąt lat od dnia, kiedy przejechałem tę rzekę w kierunku przeciwnym do dzisiejszego. Od tego momentu przestałem być mieszkańcem Polesia na zawsze. Wtedy mój brat i ja byliśmy jeszcze wyrastającymi, a nasza siostra dorastającym podlotkiem.

Po tamtym wydarzeniu, na Polesiu znalazłem się ponownie po dwudziestu trzech latach w roku 1967, już tylko w charakterze gościa.

Zrozumiałe, że głównym celem tamtej mojej wizyty było zaspokojenie bezgranicznego pragnienia, aby odwiedzić Telechany. To spotkanie z moim miasteczkiem, utrwaliłem potem w swoich zapiskach najsumienniejszym jak potrafiłem.

W latach następnych tak układało się w moim życiu, że później w Telechanach nie byłem już ani razu. Dlatego dzisiejszy wyjazd ze względu na jego rocznicowy charakter, jest dla mnie tak niezwykle ważny. Minęło sześćdziesiąt lat, od kiedy utraciłem moją poleską ojczyznę. Taki upływ czasu, to przecież okres narodzin kolejnych trzech pokoleń!

Nie wiem, czy jeszcze żyje ktoś spośród tych dorosłych osób, które owego lipcowego dnia 1944 roku, przekroczyły rzekę Bug w tym samym pociągu, co nasza rodzina. Na dzień dzisiejszy, moi rodzice przeskoczyliby już sporo ponad setny rok życia, a my ówczesne dzieci, teraz jesteśmy ludźmi, którzy osiągnęli pokaźny wiek.

Przez okno pociągu widzę, że właśnie przekraczam granicę. Pociąg jedzie teraz mostem, łączącym oba brzegi Bugu. Spostrzegam, iż rzeka ma tak niski poziom wody, że powylażyły z niej piaszczyste łachy.

Bug zastaje poza mną, jeszcze kilkanaście minut jazdy i pociąg mój przybywa do Brześcia. Śpieszę do dworcowego budynku. To ogromny budowlany kompleks, architektoniczna mieszanina dworca sprzed 1939 roku, z radziecką domieszką z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Kupuję bilet do Pińska i niebawem wsiadam do pociągu, który mnie tam zawiezie. Tutaj na Białorusi, pociąg nosi egzotyczną nazwę „czyhunki”.

Moja czyhunka, to pociąg typu podmiejskiego, przystosowany do kolei bez elektrycznej trakcji, a więc wyposażony w lokomotywę spalinową. Takie pociągi budowano za czasów sowieckich, w „Radzieckiej Republice Łotewskiej”.

W wagonie pasażerowie zmieniają się często. Na kolejnych stacjach i przystankach jedni wysiadają, inni wsiadają. Łatwo daje się zauważyć, że

większość spośród nich ubrana jest odświętnie. Hm, dzisiaj jest sobota, dzień wolny od pracy.

Błądzą oczyma po współtowarzyszach jazdy „czyhunką”. W długim tunelowym wagonie, przeważa starsza młodzież szkolna, a ludzie dorośli są na ogół młodzi i często z dziećmi. Jest też kilka starych babek, a w przeciwnym końcu wagonu, wielka i rozczochrana siwa broda razem z głową swojego właściciela, powoli osuwa się w głębokiej drzemce aż do pępka i gwałtownie powraca na swoje miejsce. I tak raz po razie.

Stwierdzam z przyjemnością, że moi współtowarzysze tej mini podróży, są na ogół ludźmi fizycznie dorodnymi. Nie widzę kurdupli, mężczyźni są zbudowani poprawnie, a u dziewcząt i młodych kobiet, wręcz rzucają się w oczy długie, zgrabne nogi i pomarańczowate piersi. Nie zobaczyłem też ani jednego brzuchatego dziecka z nóżkami jak balerony i ciała wypełnionym tłuszczem. Te nieszczęśliwe dzieci, to ofiary chipsowych „smakołyków”, zamerykanizowanej pizzy, trucicielskich wyrobów Mc Donalda, czy KSF.

A więc, najwspanialszy na świecie, bo amerykański sposób degenerowania społeczeństwa poprzez odpowiednio spreparowane żarcie, Białorusią jeszcze nie zawładnął. Przynajmniej nie całą jeszcze. W dużych aglomeracjach, pod tym względem zapewne jest już o wiele większe zagrożenie trucielskim jedzonkiem.

Moja czyhunka jedzie wolno i zatrzymuje się na każdym przystanku. Dzisiaj ma to swoją dobrą stronę, gdyż z okna wlokącego się pociągu, można dobrze przyjrzeć się mijanemu krajobrazowi.

Kiedy pierwszy raz po wojnie pokonywałem tę trasę w drodze do Telechan, byłem zaszokowany widokiem zdegradowanej przyrody Polesia. W swoich zapiskach z ówczesnego pobytu, zagadnieniu temu poświęciłem sporo miejsca.

Porównując widoki przesuwające się za oknem pociągu, z zapamiętanymi sprzed nieomal czterdziestu laty, obserwuję ogromną zmianę na lepsze. Znowu widzę przed sobą najprawdziwsze poleskie łąki porośnięte bujną i soczystą roślinnością, ciągnące się miejscami aż po horyzont. Ten zaś, ponownie ku mojej radości, zasłonięty jest ciemną linią lasu.

Na łąkach widać gdzieś tam zaniedbane rowy melioracyjne, wypełnione po brzegi wodą. Świadczy to o ponownym wysokim poziomie wód gruntowych, mimo iż godzinę temu widziałem, jaki lichy stan wody jest w Bugu.

Rozpiera mnie uczucie radości, widząc jak Matka Natura pokonała ludzką bezmyślność ekonomistów i naukowców, „czyniących sobie ziemię poddań”. Ekonomiczne trudności byłego Związku Radzieckiego a teraz Białorusi spowodowały, że gigantyczną meliorację z pięćdziesiątych lat ubiegłego wieku, w dużym stopniu wzięli diabli. Prócz tego, ludzie odpowiedzialni tutaj za gospodarkę, już sporo lat temu złapali się za głowę, widząc skutki wyczynów swoich poprzedników.

Spoglądam na zegarek. Zanim dotrę do Pińska, będzie już po południu. Stamtąd, pozostanie mi jeszcze około godziny jazdy autobusem, aby zna-

leżać się w Telechanach, które nasza rodzina opuściła w dniu dziewiętnastego stycznia, 1944 roku. Pół roku później, w dniu dziesiątego lipca pożegnaliśmy nasze Polesie.

Moi rodzice pożegnali je na zawsze, ale moje rodzeństwo i ja mieliśmy szczęście odwiedzić nasze rodzinne ziemie.

* * *

Świadomość powrotu na moje kochane Polesie, obudziła we mnie olbrzymią falę wspomnień. Zrelaksowany monotonią jazdy „czyhunką”, z przyjemnością poddaję się kłębowisku myśli cisnących się do głowy. Jakąż to ilością różnorodnych wydarzeń obdarował mnie mój los, w ciągu tych sześćdziesięciu kilku lat dzielących mnie od opuszczenia Polesia. Sześćdziesięciu kilku lat. To całe życie niejednego człowieka, a ja i moje rodzeństwo jeszcze ho ho... Oby tak dalej, dobry losie!

Dooobry losie? Jestem przekonany, że tak. W ciągu mojego niekrótkiego już życia, wielokrotnie popadałem w arcytrudne życiowe sytuacje, ale w końcu zawsze jakoś spadałem po kociemu na cztery łapy. A więc czuwający nade mną los, ma jednak przewagę nad przyklejonym do mnie pechem!

Parokrotnie zdarzyło mi się też, otrzeć o sytuacje wręcz mało prawdopodobne. Do takich, śmiało mogę zaliczyć ujawnienie po z górą sześćdziesięciu latach personaliów wojennego zbrodniarza, z którego rozkazu wymordowano żydowską ludność w Telechanach. Kiedy w czerwcu 1941 roku, w miasteczku zjawił się demon śmierci w postaci esesmańskiej konnej brygady, z rozkazu potwora w mundurze pułkownika SS, w ciągu jednego dnia została wymordowana cała żydowska ludność miasteczka. Wtedy na zawsze zmieniło się odwieczne oblicze Telechan.

Pułkownik, dowódca owej brygady SS stacjonującej niecałe trzy dni w Telechanach, na miejsce swojego pobytu upatrzył trawnik przed naszym domem, na którym został postawiony jego obszerny namiot. On sam zaś, wysiadywał przed tym namiotem na naszym wiklinowym fotelu, zabranym z werandy.

Ten zbrodniarz pozostawał dla mnie personą incognito, aż do wczesnej wiosny dwutysięcznego czwartego roku! Wtedy to, dzięki zaprzyjaźnionemu historykowi Panu Robertowi Kuwałkowi, do moich rąk trafiły książki zakupione przez niego w Niemczech pod tytułami „Deutscher Osten 1939-1945” – „Niemcy na wschodzie w latach 1939-45” i „Karrieren der Gewalt” – co w tłumaczeniu wolnym brzmi jako „Kariery zdobyte dzięki przemocy”. Jeszcze bardziej przemawiający jest podtytuł książki – „Biografie nazistowskich oprawców”.

Książki te ukazały się na niemieckim rynku dopiero w 2003 roku. Ich autor Klaus Michael Mallmann, we współpracy z Volkerem Riessem, Wolframem Pytą i Gerhardem Paulem, stworzyli te bezcenne historycznie dzieła w oparciu o archiwalne dokumenty i fotografie, dotyczące niemieckich zbrodni na okupowanych terenach.

W książce o „Niemcach na wschodzie” w rozdziale trzecim, jej autor przedstawia na podstawie dokumentów i fotografii niemieckie specjalne wojskowe i policyjne jednostki, zaprowadzające „nowy ład” na okupowanych terytoriach. Wśród siedmiu opisanych tam zbrodniczych jednostek, na trzeciej pozycji figuruje kawaleryjska brygada SS, której głównym zadaniem było mordowanie żydowskiej ludności. Kawalerzyści tej brygady, mordowali żydowską ludność na terenie Polski, Ukrainy i Białorusi. To właśnie oni zgładzili telechańskich Żydów.

Największe „zasługi” w tym haniebnym, nieludzkim procederze położył pierwszy regiment tej brygady, pod dowództwem pułkownika SS, niejakiego Gustawa Lombarda, jednego z pupilków naczelnego wodza zbrodniczej formacji SS, Hainricha Himmlera

W drugiej książce udostępnionej mi przez Pana Roberta Kuwałka, wśród życiorysów hitlerowskich zbrodniarzy jest także życiorys Gustawa Lombarda, z wymienieniem jego „zasług” dla faszystowskiej Trzeciej Rzeszy.

I tam właśnie dowiedziałem się, kim był zbrodniarz w randze pułkownika SS, przebywający w sierpniowe dni 1941 roku w Telechanach, który rozwalając się w naszym fotelu na trawniku przed naszym domem, rozkazał swoim żołdakom zgładzić żydowską ludność miasteczka. Ten szatański miot w ludzkiej postaci, nazywał się Gustaw Lombard.

Jeśli ludzie mówią o Opatrzności czuwającej nad nimi, to z całą pewnością nad Lombardem czuwała opatrzność Lucyfera, o ile takowy istnieje. Kiedy bowiem Lombard już w stopniu generała dostał się do sowieckiej niewoli, nawet śledcze organa NKWD nie trafiły na jakikolwiek ślad jego ludobójczych zbrodni! A przecież z jego to rozkazu, na okupowanych terenach zamordowano dziesiątki tysięcy żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci, nie licząc egzekucji dokonanych na ludności autochtonicznej, podejrzewanej o kontakty z partyzantami

Sowiecki wojenny sąd skazał Lombarda na dziesięć lat więzienia, wyłącznie za służbę w hitlerowskim wojsku w stopniu generała. Zbrodniarz odbywszy ten wyrok, powrócił do ówczesnych Zachodnich Niemiec, gdzie wkrótce stał się bogatym, poważanym biznesmenem.

Na początku sześćdziesiątych lat dwudziestego wieku, niemiecka prokuratura posiadająca dowody zbrodniczej przeszłości Lombarda, w niewyobrażalnie skandaliczny sposób śledztwo wobec niego umorzyła. A przecież posiadała grube tomy dowodów obciążających Lombarda, w postaci zachowanych dokumentów i zeznań świadków narodowości niemieckiej i żydowskiej. I tak to ów plugawy pomiot szatana Gustaw Lombard, otoczony nimbem powszechnego szacunku, dożył w spokoju i dobrobycie wieku dwięćdziesięciu dwóch lat. Zmarł w 1997 roku.

Mnie intryguje fakt, że w rozdziale książki Mallmanna poświęconemu Lombardowi, nie ma ani jednego słowa o tym, że tenże Lombard przed wydaniem rozkazu wymordowania żydowskiej ludności, nakładał na nią kontrybucję w postaci określonej kwoty płatnej wyłącznie w dolarach!

Jestem głęboko przekonany, że fakt ten nie miał miejsca wyłącznie w Telechanach. Stąd nasuwa się prosty wniosek, że tak zdobyte dolary, były prywatnym łupem Lombarda, który prawdopodobnie jego ochłapami dzielił się ze swoimi podwładnymi oficerami, aby zamknąć im gęby na kłódkę.

Mallman w swojej książce nie pominął ciekawostki, że podwładni Lombarda mówili o nim „Papa Lombard”. Widać dla nich ten Papa był dobry, bo hojny... Pewne jednak, że lwia część zagarniętego łupu jakimiś drogami trafiła do niewiadomego skarbcza Lombarda, otwartego dopiero po powrocie zbrodniarza z sowieckiej niewoli do Niemiec.

A więc, świetnie prosperujący biznes Lombarda powstał najprawdopodobniej dzięki dolarom ociekającym krwią dziesiątków tysięcy niewinnych żydowskich ofiar.

Moi rodzice uczyli mnie od małego dziecka, że „Pan Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy”. Czy także dla generała SS, Gustawa Lombarda?

* * *

Innym przykładem mało prawdopodobnej sytuacji w moim życiu, niech będzie następujący fakt. Późnym latem 1942 roku, w moim rodzinnym domu w Telechanach, pojawiła się żebrząca kobieta ze wsi Bobrowicze. Wieś tę, parę tygodni wcześniej Niemcy spalili, a ludność wymordowali. Ta kobieta ocalała wręcz cudem, ratując także swoich czworo spośród pięciorga dzieci. Jedno z tych uratowanych, nosiła wówczas jeszcze w łonie.

Sześćdziesiąt lat po pacyfikacji wsi Bobrowicze, wertując w roku 2002 opracowania dotyczące hitlerowskich zbrodni na terenie Polesia, natknąłem się na książkę trójki białoruskich autorów, A.Adamowicza, E.Bryla i W.Koleśnika, p.t. „Ja ze spalonej wsi”. Książka poświęcona została ofiarom niemieckich zbrodni podczas drugiej światowej wojny, popełnionych na białoruskiej ludności.

W książce tej, znajduje się między innymi rozdział zatytułowany „Barbarka”. To było zdrobniałe imię tej wynędzniałej żebrzącej kobiety, która zjawiała się w naszym domu, któregoś jesienno-go dnia 1942 roku. Tak zwracano się do niej w jej rodzinnej wsi Bobrowicze, startej przez niemieckiego okupanta z powierzchni ziemi wraz z mieszkańcami. Ocalała niemal cudem kobieta, nazywała się Barbara Ślesarczuk.

Większość rozdziału zatytułowanego imieniem tej kobiety, dotyczy pacyfikacji Bobrowicz i jest nieomal kopią tego, co Barbarka opowiedziała w naszym domu, sześćdziesiąt lat temu. Słuchałem jej wówczas uważnie i słowa te utkwiły w mojej pamięci na całe życie.

Jadąc tutaj nie miałem pojęcia, jaką niespodziankę szykuje mi los. Albowiem będąc kilka dni później z moimi przyjaciółmi w odrodzonej po wojnie wsi Bobrowicze, spotkałem się z dwojgiem żyjących jeszcze dzieci Barbary Ślesarczuk. Z jej najstarszym synem i jedną z córek. Trójka ich młodszego rodzeństwa, niestety już nie żyje.

Przyznam się, że była to jedna z najbardziej wzruszających rozmów w moim życiu.

Potwierdziła się mądrość pokoleń, które ukuły przysłowie, iż góra z górą nie zejdzie się, a ludzie... I w powyższych zbiegach okoliczności, przysłowie to mnie obrało za swój cel.

* * *

Snucie wspomnień z odległych lat mojego życia, przerywa fakt dotarcia „czyhunki” do Pińska. Stąd do Telechan, zostało mi jeszcze pięćdziesiąt kilometrów jazdy autobusem. Dworzec autobusowy znajduje się tuż przy kolejowym, to trzy minuty drogi.

Mam farta, bo po kilkunastu minutach oczekiwania, zajeżdża mój autobus. Ludzi w nim niewielu, mam wygodne miejsce przy oknie. Po kilkuset metrach jazdy, widzę duży drewniany dom, który w Pińsku jako pierwszy przyjął naszą rodzinę pod swój dach, kiedy opuściliśmy Telechany. Dom jest stareńki, widać na nim „zęb czasu” tych minionych sześćdziesięciu lat.

Mój autobus toczy się przez kolejowy przejazd i widać biegnącą wzdłuż torów ulicę, która nosiła nazwę Kolejowej. Po drugiej stronie torów znajduje się ulica, na której mieszkaliśmy w gościnnym domu pani Bemowej. Niestety, nie na długo. Niemiecki okupant wyrzucił z niego właścicielkę i naszą rodzinę. Na tamtym terenie miało powstać wojskowe lotnisko. Nie zdążyło, gdyż wkrótce Pińsk zajęły sowieckie wojska. Wyjechaliśmy stamtąd, kilka dni wcześniej.

Otrząsam umysł z kurzu wspomnień, sprzed ponad pół wieku. Autobus jedzie teraz ulicą, prowadzącą do szosy w kierunku Łohiszyna i Telechan. Ulica ta, zmieniła się nie do poznania. Ta zachowana w mojej pamięci była wąska, brukowana kamiennym tłuczniem, a wzdłuż niej za drewnianymi parkanami, stały w ogródkach także drewniane domki. Teraz jest to szeroka dwupasmówka obsadzona wysokimi drzewami, zabudowana obustronnie wielopiętrowymi domami.

Wyjechaliśmy z miasta i suniemy niezłą, asfaltową szosą. Stwierdzam z radością, że to, co widzę za oknem, nie ma w sobie nic a nic z tego, co widziałem jadąc tędy w 1967 roku. Po szarych równinach bezsensownie zmeliorowanych łąk i niemal martwej ziemi po wyciętych lasach, nie ma śladu. Szosę otacza zielona, kipiąca przyroda! Są zielone łąki, są kilkudziesięcioletnie lasy. Raduj się serce!

Matko Przyrodo, Ty jesteś nieśmiertelna. Zwyciężyłaś ludzką głupotę, próbującą zmienić Twoje święte prawo do zachowania życia wszystkiego, co stworzyłaś. Chwała Tobie!

W połowie drogi do Telechan, krótki postój w Łohiszynie. To, co widzę z okna autobusu, nie ma nic wspólnego z tamtym zapyziałym Łohiszynem sprzed lat. Teraz, to schludne, przyjemne miasteczko.

Autobus mój, zbliża się już do Telechan. Teraz jedziemy równolegle do kanału Ogińskiego. Jego obecność, jest wyraźnie zaznaczona pasem bujnych roślin i drzew. Ciekawe, ile wody może być w jego zdewastowanym korycie.

A oto i dworzec autobusowy w Telechanach. Nie było go, kiedy znalazłem się tutaj po raz pierwszy po wojnie, trzydzieści siedem lat temu. Stąd

mam tylko parę minut drogi do domu Nadzi, córki nieżyjącej od lat chrześnej matki mojego brata, cioci Katarzyny. Nadzia i jej brat Kola, to mieszkające w Telechanach osoby, bliskie mi jak rodzeństwo. Żyliśmy przecież w tak bliskiej więzi od urodzenia!

Oprócz tych dwojga, mam tutaj jeszcze dwie inne osoby, z którymi swego czasu poprzez wymianę korespondencji, zawiązałem najprawdziwszą przyjaźń. Ci moi korespondencyjni przyjaciele, to pani Swietłana Krek i Benjamin Byczkowski. Swietłana jest córką Andrzeja Chackiewicza, który przez całą drugą światową wojnę, walczył z Niemcami na Polesiu w partyzantce. W 1944 roku, po opanowaniu Telechan przez partyzantów, był komendantem miasteczka. Po wojnie powrócił do niego i pozostał w nim do śmierci. Jego córka pani Swietłana, do niedawna pełniła funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady. Teraz jest już emerytką.

Telechańscy ludzie Swietłanę znają i szanują. Z listów Nadzi wynika, że w miasteczku nie ma chyba osoby, która nie znałaby Swietłany. Moja z nią znajomość jak do tej pory tylko korespondencyjna, robi na mnie duże wrażenie. Niebawem poznamy się osobiście.

Z zaprzyjaźnionym także listownie Beniaminem Byczkovskim, jesteśmy już na ty. Ciekawy to człowiek, wręcz niezwykły. Trochę zagubiony przez zagmatwane życie. Pisarz, poeta, amator historii i archeologii, badacz „magnetycznego trójkąta” na Uralu. Hobbysta, zbieracz dzwonów. Ma ich setki. Dzięki jego usilnym zabiegom, w Telechanach powstało muzeum historii miasteczka, które także i ja wzbogaciłem materiałami, niedostępnymi dla Beniamina.

To nie wszystkie osiągnięcia Beniamina, gdyż dokonał on rewelacyjnego odkrycia. Nieopodal Telechan nad brzegiem Bobrowickiego jeziora, gdzie wioska Wiado została spalona przez faszystowskich Niemców, a z jej mieszkańców nikt nie ocalał, Benjamin odkrył ślady ludzkiego siedliska, z epoki kamienia łupanego! Dzięki jego staraniom, teraz pracują tam archeolodzy. Plony ich pracy, są nader obfite. Wykopali tam wiele ówczesnych użytkowych „śmięci”, a nawet do kilku miejsc po ogniskach z tamtej z epoki.

Wielkim sukcesem Beniamina, stały się narodziny jego syna Romana. Przyszedł na świat przed kilkoma miesiącami. A Benjamin już dawno przekroczył pięćdziesiąty rok życia. Tak, więc w spóźnionym dzieciństwie przeskoczył mnie wiekowo o całe dziesięć lat! Tyle, że u mnie zamiast Romana, ćwierć wieku wstecz, urodziła się Anna.

Takie oto refleksyjne myśli, towarzyszyły mi w drodze do domu Nadzi. Oto już on. Wchodzę na podwórze. Wita mnie szpaler kwitnących floksów, rosnących wzdłuż chodniczka między furtką i domem. Wchodzę do sieni, pukam do kuchennych drzwi i nie czekając na jakikolwiek odzew, wchodzę. Na środku kuchni stoi niewysoka, siwiutka kobieta. Nadzia? Tak, z owalnej twarzy tej niemłodej kobietki, patrzą na mnie oczy tamtej Nadzi, którą zapamiętałem. Tyle, że lata nie zawsze łatwego życia, jej okazała postać mocno przysgniotły do ziemi.

Powitanie jest wręcz wylewne, oczy Nadźki błyszczą łzami. Witam się z nią, jak z niewidzianą od lat swoją siostrą. Jest mi jednocześnie radośnie i przykro. Przytuliłem do siebie niewysoką, siwiutką starą kobietę. Gdzie podziała się ta zapamiętana sprzed lat, radosna i tryskająca energią Nadziusza?! Postępujący wiek jest bezlitosny.

Dziękuję Nadzi za propozycję posiłku, przystaję na wspólną herbatę. Pijemy ją i Nadźka uważa mi się na swoje kłopoty zdrowotne. Od lat ani ona sama, ani opiekujący się nią lekarze nie mogą opanować jej szalejącego ciśnienia. Biedna Nadzia odczuwa już uciążliwe skutki choroby nadciśnieniowej.

Miałem jeszcze bardziej przykre doznania, kiedy odwiedziłem brata Nadzi, Kolę. On jest ode mnie nieco starszy, ale razem moczyliśmy robaki na wędkach w jezioru przy śluzie kanału Ogińskiego. Kiedy czterdzieści lat temu, upiliśmy się z racji spotkania po latach, Kola był chłopem na schwał. Teraz, na ganku swojego domu siedzi przede mną wsparty na lasce, zniedołężniały siwy starzec w okularach z grubymi szklami.

Kola od lat ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Kręgosłup, stawy, oczy. Właśnie oczy. Niedawno miał z nich usuwaną kataraktę. Nosi okulary o potężnych soczewkach, ale z odległości kilku metrów, człowieka już nie rozpoznaje.

Moi kochani, biedni Nadźka i Kola. Jesteście ostatnim ogniwem, które wiąże mnie z naszymi Telechanami nieomal rodzinnym węzłem. Dobry Losie, pozwól im żyć jeszcze długie lata, nie zrywaj tej serdecznej nici pomiędzy nami!

* * *

Dzięki moim przyjaciółom, w Telechanach spotkało mnie szeregi przemitych niespodzianek. Poza okazywaną mi na każdym kroku z ich strony serdecznością, niezwykle budujące dla mnie było widoczne na każdym kroku odradzanie się poleskiej przyrody. Wprawdzie mój ukochany kanał Ogińskiego nie odrodził się, ale w jego niestety zdziczałym korycie, znajduje się już sporo wody i brzegi porosły dorodnymi drzewami.

Natomiast tam, gdzie przy szczątkach przedwojennej służby było „nasze” dziecięce jezioro, rozciąga się duży porośnięty trawą plac, który od kilku już lat stopniowo zatapia woda z napełniającego się kanału. Prawie czterdzieści lat temu w 1967 roku, zamiast jeziora o przejrzystej wodzie, zastałem cuchnące bajoro wypełnione wszelakimi odpadami. Chwała włodarzom miasteczka, że zlikwidowali ten haniebną dowód dewastacji przyrody.

Stwierdzam z przykrością, że na przeciwległym do miasteczka brzegu kanału, już nie ma ruin pałacu Honoraty Ogińskiej. Czyżby cegła sprzed dwustu pięćdziesięciu laty, z której wybudowano ów pałac, przydała się jeszcze na coś dobrym telechańskim ludkom?

Dowiedziałem się od Swietłany, że istnieje rządowy plan odbudowy kanału Ogińskiego. Targa mną wątpliwość, czy przy gospodarczej sytuacji panującej na Białorusi jest to możliwe? Jednakże... Oby tak się stało!!!

* * *

Kiedy po kilku dniach spacerów brzegami „mojego” kanału Ogińskiego, już nasyciłem się widokami powracającej tutaj do życia przyrody, rozpocząłem skrupulatne „zwiedzanie” miasteczka.

Od czasu wybuchu światowej wojny w 1939 roku, Telechanom przybyło mieszkańców aż trzykrotnie, a więc miasteczko rozrosło się.

Niestety, zatraciło ono swój egzotyczny poleski charakter sprzed lat. To zrozumiałe, przecież Telechany to nie skansen. Jednakże murowane budynki o przypadkowej „architekturze” powplatane między tradycyjne drewniane domy, zdecydowanie szpecą miasteczko.

To jeszcze nie koniec szpetoty. Wiele starych drewnianych domów, ludzie zabezpieczyli przed dalszym chyleniem się ich ku ruinie, poprzez obmurowanie cegłami. Niewątpliwie ma to swoje dobre strony. Jest w nich cieplej i wolniej niszczeją. Ale ich wygląd...

Łącząc po ulicach miasteczka stwierdzam, że stara sowiecka tradycja nie dbania o uliczne nawierzchnie, na Białorusi wciąż obowiązuje. Od zakończenia wojny upłynęło sześćdziesiąt lat, a ileż tutaj jeszcze ulic, których nawierzchnią jest żywy piasek.

Jednak moja dawniej ulica Kościelna, a teraz wciąż Lenina, zmieniła się i ma nawierzchnię twardą. Zmienił się także stojący przy niej pomnik Lenina. Teraz wódz proletariatu wyjął lewą rękę z kieszeni spodni i podpira nią bok. A więc, z upływem lat pewnie kieszonkowa zabawa przestała go cieszyć. Także i drugą ręką już nie wskazuje drogi do komunizmu, tylko trzyma w niej przed sobą niewielką, otwartą książeczkę. Czyżby w głowie wodza narodów nastąpiła taka transformacja, że jest to modlitewnik? No, ale skoro obecny prezydent tego kraju, bywa teraz w cerkwi i to obowiązkowo w świetle telewizyjnych jupiterów? Z kogoś musiał wziąć przykład. W dzisiejszym świecie, wszystko jest możliwe.

Nadal poszukuję miejsc, do których jestem sentymentalnie przywiązany. Znowu jestem w centrum. Na niewielkim zielonym pagórku za bogatym ogrodzeniem, pośród wysokich drzew błyszczą kopułami cerkiew. Jej ściany niemalże lśnią w słońcu nową elewacją. Cerkiew nie utraciła nic ze swojej pierwotnej, architektonicznej krasy. Otacza ją zadbany trawnik, z kwietnymi rabatami

Jednak tam, gdzie prawie czterdzieści lat temu stojąc w cieniu wielkiej lipy snułem wspomnienia z dzieciństwa, nastąpiła radykalna zmiana. Lipy, która darzyła mnie wówczas kojącym cieniem i szumem swych liści, już nie ma. Na miejscu tym wyrósł o zgrozo, nie dom, a pałacyk. Tutaj dzieci uczą się religii i mieszka obecny telechański pop. Cóż, budowniczy tutejszej cerkwi Ojciec Joan Strukowski, do śmierci mieszkał w skromnym drewnianym domku nieopodal domu cioci Katarzyny. Ha, czasy się zmieniają i zapewne teraz ludziska zabiegają o łaskę Pana Boga, budując swoim duszpasterzom pałacyki. Ciekawe, skąd ja to wiem, gdzie już z tym się zetknąłem??

A skoro mowa o pałacach. Dawny katolicki kościół, to obecnie wciąż nie pałac, ale telechański kino-teatr, gdyż do kościelnych murów, dobudowa-

no jeszcze duże skrzydło. Białe tynkowane ściany budowli, toną w zieleni starych drzew, których sporo jeszcze zapewne pamięta dźwięk dzwonów, z nieistniejącej od lat drewnianej dzwonnicy.

Idę dalej, mijam za kościołem dwa budynki i oto miejsce, gdzie stał nasz nowy dom, do czasu wybuchu wojny, całkowicie jeszcze niewykończony. Nie znalazłem go już tutaj w czasie pierwszych odwiedzin Telechan, prawie czterdzieści lat temu i nie udało mi się ustalić, jak przepadł. Teraz widzę, że na naszych, ocalałych wówczas fundamentach stoi niebrzydki drewniany dom, ze spadzistym dachem na wszystkie cztery strony. Takiej drugiej budowli, w Telechanach nie znajdzie się.

Wszystkowiedząca Swietłana wyjaśniła mi, że ileś tam lat wstecz przybył do miasteczka człowiek aż z dalekiej Syberii. Istotnie, wykorzystał stojące puste solidne fundamenty i postawił na nich dom według tradycyjnej, syberyjskiej ciesielskiej sztuki. Teraz nie widać okrągłych bali, z których wzniesiono ściany, bowiem pokrywa je szalunek z desek.

Jednakże największą sensacją dotyczącą tego domu jest fakt, że teraz pełni on w Telechanach funkcję katolickiej kaplicy. Właścicielka domu Pani Jadwiga Witkowska, darowała go „urzędowo” na własność parafii w Łohiszynie, której podlegają Telechany. W każdą niedzielę przyjeżdża stamtąd ksiądz Mirosław Żłobiński i celebrować mszę w tym prawie moim domu.

Niewiele kroków dalej, stoi dziwoląg, który był domem wuja Stefana. Dom jest nie do poznania, gdyż jak wiele innych, został obmurowany białymi cegłami. Jednak wcale nie wygląda imponująco. Za tym dziwolągiem, na ogromnym placu, gdzie znajdował się sąsiadujący z naszym ogrodem i sadem warzywniak i sad mojego wujostwa, stoją aż po dawną ulicę Borową niewielkie domy, poprzedzielane wąskimi uliczkami.

Wzrok mój nie znajduje ani naszej starej brzozy, ani potężnego klonu wujostwa. Po tym ostatnim, ślad jednak pozostał. Na dzikim trawniku, wystaje z ziemi gigantyczny drewniany pierścień półmetrowej wysokości. To pień ściętego klonu. Jego środek nie istnieje, wypróchniał doszczętnie. Klon gigant został ścięty, gdyż groził zawaleniem się.

Olbrzymich rozmiarów szczątek po ściętym klonie, nie wywołał we mnie przynębiającego wrażenia. Obecna właścicielka domu pomysłowa kobietka, po napełnieniu wypróchniałego pnia ziemią nasadziła tam burzę kwitnących roślin, z krzewem kaliny na samym środku. Piękny gazon!

Dalej stoi dom Perelsztajnow, on też został obmurowany cegłami i o połowę przedłużony. Tam, gdzie był ganek, na którym nieraz Chaimkowi i Dobce czytałem bajki braci Grimm, jest teraz jedno z okien budynku. Prócz tego od strony podwórza, domowi wyrósł garb w postaci piętrowej przybudówki.

* * *

Dość penetrowania miasteczka. Siedzę w nim już ponad tydzień i gdybym pozostał nawet jeszcze parę następnych, zawsze odnajdę nową różnicę z moimi Telechanami, sprzed trzech statystycznych pokoleń.

Najwyższy czas rzucić się w najukochańsze, przepastne ramiona poleskiej Matki Przyrody. W odrodzoną, nieokiełznaną kipieli łąk i lasów, gdzie gnieździ się ptactwo i buszuje dzika zwierzyna, gdzie znajdę toń przeczystych wód pełnych ryb.

W następnych dniach doznałem samych wspaniałych wrażeń, jeżdżąc z moimi przyjaciółmi po okolicy. Zachłannie nasycam swoją duszę widokami odradzającej się poleskiej przyrody. Spenetrowaliśmy blisko stukilometrową połąkę równiny między Telechanami, a jeziorami Bobrowickim i Wygonoskim, nad którymi szaleje orgia cudownych nadbrzeżnych łąk, które zamykają ogromne przestrzenie kilkudziesięcioletnich już lasów, poprzątkanych tu ówdzie odradzającymi się bagnami.

* * *

Powyższy wypadek w moje rodzinne strony, dał mi w lwiej części ogromną satysfakcję. Spełniwszy w ten sposób uczczenie sześćdziesiątej rocznicy przymusowego opuszczenia rodzinnej ziemi, spotkałem się na niej poza Nadzią i Kolą (oby nie po raz ostatni), z ludźmi niezwykle wobec mnie serdecznymi.

Jestem im gorąco wdzięczny, że poświęcili mi tyle swojego czasu, że gościli mnie, jak swojego „drogiego krewnego”. Jest to dla mnie tym bardziej cenne, że w ich zachowaniach i słowach nie wyłowilem nic, literalnie nic nie-szczerego. Jest mi aż dziwno, że nawiązane korespondencyjnie znajomości, przerodziły się między nami w tak spontaniczną przyjaźń.

Jeśli mój Dobry Los będzie skutecznie zwalczać mojego pecha i w następnych latach życia nie zgrzybieję wbrew mojej woli, nadal całą posiadaną energię i całą jasność umysłu, poświęcę sławieniu mojej rodzinnej ziemi wszelkimi dostępnymi środkami.

W moim Kraju, żyje przecież tylu zrzeszonych i niezrzeszonych wielbicieli Wschodnich Kresów Polski, sprzed drugiej światowej wojny. Jest dla mnie mało zrozumiałe, że słuchając i czytając peany na temat Wileńszczyzny i Lwowszczyzny, Polesie właściwie jest otoczone ścianą milczenia. Doprawdy żalosne to, że już nawet średniemu pokoleniu moich rodaków, Polesie najczęściej kojarzy tylko ze starą sentymentalną piosenką „Polesia czaaar”... A ich potomstwo? Bez komentarza.

Poleska ziemia, która w dziejach historii Polski wydała tyle wybitnych postaci, która już dwieście pięćdziesiąt lat temu wstęgą kanału Ogińskiego połączyła morze Bałtyckie z morzem Czarnym, tworząc tym samym dla Polski niezwykle ważny strategicznie i handlowo szlak komunikacyjny, ta poleska ziemia odeszła niemal w zapomnienie.

Jednakże już w trakcie pracy nad „Moimi Telechanami” doznałem radosnego odkrycia, że moje pragnienie sławienia poleskiej ziemi idzie w sukurs ze wspaniałą pracą w tej samej dziedzinie, prowadzoną przez obywatelkę Białorusi mieszkającą w Brześciu, Panią Alinę Jaroszewicz.

Pani Alina jest bowiem nieocenionym propagatorem krystalicznie czystych, gdyż niezagmatwanych przez politykę dziejów mojego Polesia daw-

nych i współczesnych. Jest także Redaktorem Naczelnym kwartalnika powstałego w 2003 roku noszącego nazwę „Echa Polesia”, czasopisma sławiącego moją poleską Ojczyznę; jej przyrodę, folklor, ludzi godnych pamięci tej ziemi, jej kulturowe i historyczne pamiątki.

To czasopismo jest „utrzymywane przy życiu”, dzięki szlachetnemu wsparciu Fundacji Pomocy Szkołom na Wschodzie im. T. Goniewicza, z siedzibą w Lublinie.

Ja, osoba publicznie nieznana dostąpiwszy zaszczytu współpracy z takimi Ludźmi i organami, wołam do swych Ziomków z kartek moich wspomnień o Telechanach, będących dla mnie sercem Polesia. Nie pozwólmy zapomnieć o Poleskiej Ziemi. Niech pamięć o Niej odrodzi się w polskim Narodzie tak, jak odradza się wspaniale poleska przyroda.

K O N I E C

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA:

POWRÓT, RETROSPEKCJE, REFLEKSJE

ROZDZIAŁ 1	3
ROZDZIAŁ 2	13
ROZDZIAŁ 3	25
ROZDZIAŁ 4	34
ROZDZIAŁ 5	42
ROZDZIAŁ 6	49
ROZDZIAŁ 8	58
ROZDZIAŁ 9	63
ROZDZIAŁ 10	66
ROZDZIAŁ 11	75
ROZDZIAŁ 12	82
ROZDZIAŁ 13	87
ROZDZIAŁ 14	92
ROZDZIAŁ 15	105

CZĘŚĆ DRUGA:

WOJNA I JEJ OFIARY

ROZDZIAŁ 1	108
ROZDZIAŁ 2	111
ROZDZIAŁ 3	114
ROZDZIAŁ 4	118
ROZDZIAŁ 5	121
ROZDZIAŁ 6	127
ROZDZIAŁ 7	132
ROZDZIAŁ 8	138
ROZDZIAŁ 9	143
ROZDZIAŁ 10	146
ROZDZIAŁ 11	149
ROZDZIAŁ 12	152
ROZDZIAŁ 13	155
ROZDZIAŁ 14	160

CZĘŚĆ TRZECIA:

KOSZMAR OKUPACJI

ROZDZIAŁ 1	164
ROZDZIAŁ 2	167
ROZDZIAŁ 3	170
ROZDZIAŁ 4	174
ROZDZIAŁ 5	179

ROZDZIAŁ 6	182
ROZDZIAŁ 7	185
ROZDZIAŁ 8	191
ROZDZIAŁ 9	195
ROZDZIAŁ 10	198
ROZDZIAŁ 11	206
ROZDZIAŁ 12	209
ROZDZIAŁ 13	217
ROZDZIAŁ 14	220
ROZDZIAŁ 15	228
ROZDZIAŁ 16	230
ROZDZIAŁ 17	234

CZĘŚĆ CZWARTA:

PO OPUSZCZENIU TELECHAN

ROZDZIAŁ 1	242
ROZDZIAŁ 2	247
ROZDZIAŁ 3	252
ROZDZIAŁ 4	255
ROZDZIAŁ 5	258
ROZDZIAŁ 6	264
ROZDZIAŁ 7	267
ROZDZIAŁ 8	271
ROZDZIAŁ 9	275
ROZDZIAŁ 10	280
ROZDZIAŁ 11	283
ROZDZIAŁ 12	291
ROZDZIAŁ 13	295

CZĘŚĆ PIĄTA:

NA NOWEJ ZIEMI

ROZDZIAŁ 1	303
ROZDZIAŁ 2	308
ROZDZIAŁ 3	314
ROZDZIAŁ 4	316
ROZDZIAŁ 5	320
ROZDZIAŁ 6	323
ROZDZIAŁ 7	329
ROZDZIAŁ 8	332
ROZDZIAŁ 9	336

EPILOG	339
------------------	-----

MOJE TELECHANY W 2006

Fotografie wykonał Jacek Gutowski, wnuk nauczycielki z Telechan,
Pani Ludwiki Gwiazdowskiej



Mój spacer z Panią Swietlaną Krek nad kanałem Ogińskiego w miejscu, gdzie znajdował się spacerowy bulwar zwany „biczewnikiem”.



A w kanale Ogińskiego, wody przybywa...



Plac po zlikwidowanym jeziorku, powoli zatapia woda z kanału.



Śluzę na kanale zastąpił wodny przepust. W głębi za drzewami, widać fragment budynku przedwojennego Kierownictwa Eksploatacji Kanału.



Obecnie tak wygląda w Telechanach dawna ulica Józefa Piłsudskiego.



Cerkiew w Telechanach. W głębi po lewej stronie, widać fragment budynku nowej prawosławnej plebanii.



Fronton przybudówki do kościoła, pełniącego obecnie rolę kinoteatru.



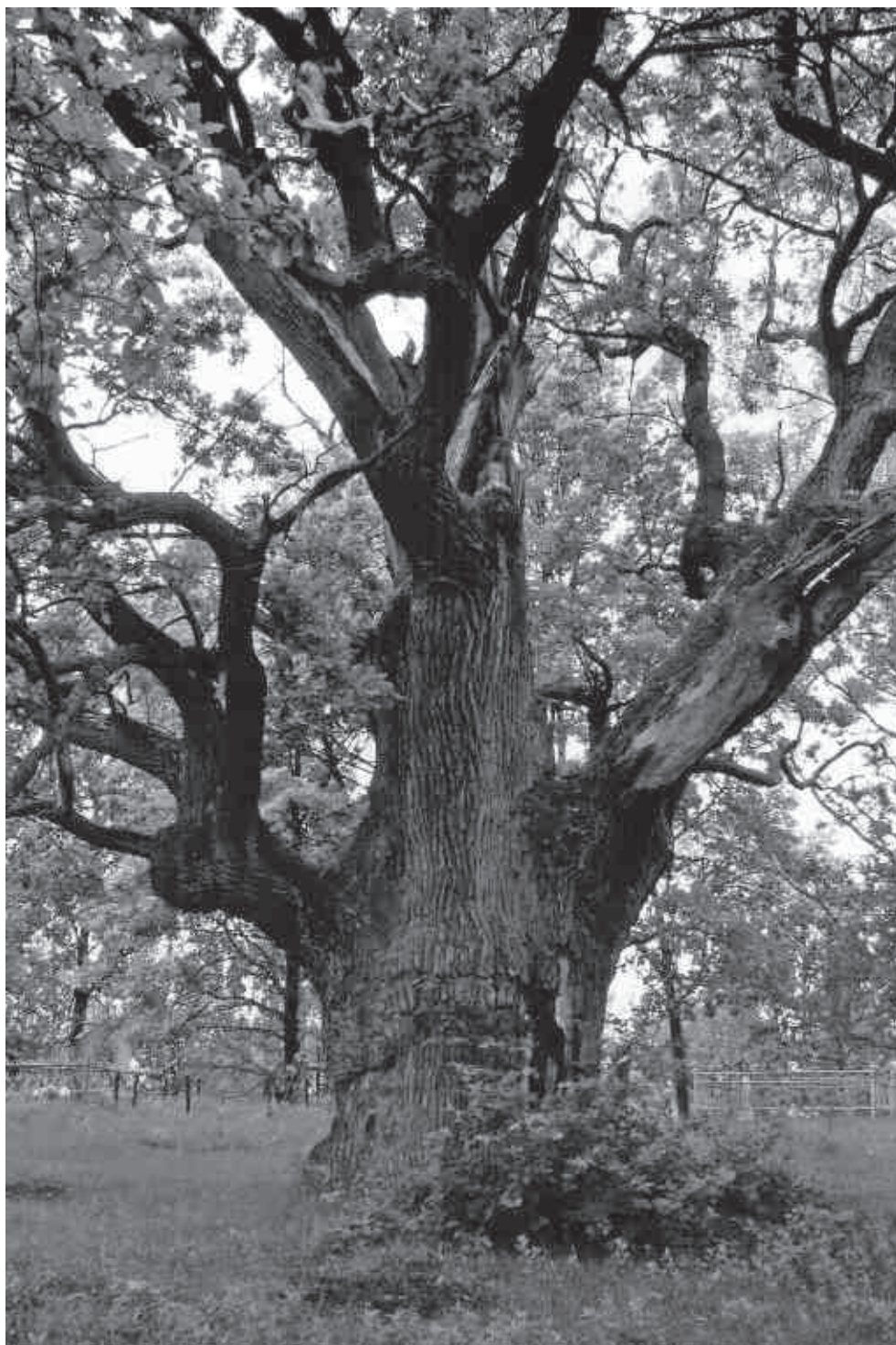
Ołtarzyk katolickiej kaplicy w Telechanach, mieszczącej się w domu Pani Jadwigi Witkowskiej.



Mieszkanki Telechan przywitały mnie w Domu Kultury, ubrane w ludowe poleskie stroje.



Mój przyjaciel z Telechan Benjamin Byczkowski, w swojej regionalnej izbie pamięci w Bobrowiczach.



Gigantyczny dąb rosnący na cmentarzu w Bobrowiczach, kilkusetletni świadek historii tej ziemi.



Widok na Bobrowickie jezioro.



Bagienna łąka nad Bobrowickim jeziorem, kipi urokami przyrody.